

ZBIORY OŚRODKA KARTA

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

INSTYTUT



LITERACKI

Wybór z rocznika

1985

CDN

red. Jerzy Giedroyc

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

Wybór z rocznika

1985

INSTYTUT



LITERACKI

Wydawnictwo



Warszawa 1987

© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.

Zagranicznym przedstawicielem
Wydawnictwa  jest

PULS
publications

BCM Box 687
London WC1N 3XX
United Kingdom

KULTURA, styczeń-luty 1985

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

ŚWIĘTY SMOK

*What is a dragon? An animal, one might say,
which looks or regards /Greek drakon/; so
called, presumably, from its terrible eyes.*

Norman Douglas: *Old Calabria*

I

Wracam z pogrzebu księdza Ilario Sterpone. Ludzi było mało, albo tak to wyglądało w ogromnej nawie Świętej Klary. Gromadka jego studentów i uczniów z lewej strony ołtarza, szeptających do siebie, zniecierpliwionych długością ceremonii. Z prawej jego siostra w czerni z mężem, krewni z Kalabrii, koledzy uniwersyteccy i przyjaciele /tacy jak ja/. Z tyłu trochę starych kobiet, które w kościele przesiadują każdego dnia i o każdej porze, lubią pogrzeby i śluby, niezależnie od tego kto umarł czy wstępuje w związki małżeńskie.

Trumna stała na ziemi, pokryta wieńcami z fioletowymi szarfami. Żółte na nich litery żegnały "ukochanego brata i szwagra", "mądrego nauczyciela", "najdroższego kolegę", "wiernego przyjaciela". Gdy wyniesiono trumnę do karrawanu, siostra zmarłego i jej mąż przystanęli z boku na podjeździe przed kościołem, co było wezwaniem do składania kondolencji. Przyszła kolej na mnie: "Pan odwiedzał go najdłużej. Panu zawsze coś opowiadał".

Kondukt pogrzebowy wcisnął się w tłum i sznur samochodów na Spaccanapoli w momencie odezwania się w samo południe dzwonu na szczycie kampanili obok kościoła. Dzwon Świętej Klary, słyszalny w południe w całym mieście, był ostatnio główną nicią łączącą zmarłego z Neapolem.

Tak, to prawda, odwiedzałem go najdłużej, ostatni raz byłem u niego tydzień przed śmiercią. Nic jej wówczas nie zwiastowało, mimo że powiedział nagle ze smutkiem: "Dawno już zapomniano, że jeszcze żyję. Ja też czasem o tym zapominam".

Mam w notatniku zapis pierwszej u niego wizyty dwa lata temu, wkrótce po przewiezieniu go z kliniki /gdzie blisko pół roku leczono jego wylew krwi do mózgu/ do mieszkania siostry w górnym Neapolu.

"Siedział w fotelu - brzmi ten mój zapis - lekko odwrócony od okna, z którego widać było całą zatokę: leniwy słoneczny dzień wrześnieowy, mnóstwo kolorowych zastygłych żaglówek, statki powoli sunące ku wyspom. Zdawał się uradowany wylzłą, chociaż dostrzegłem natychmiast w jego twarzy cień przestachu. Przez pierwsze pół godziny zabawiał się erudycyjnymi ćwiczeniami pamięci, w czym łatwo odgadywało się głośny ciąg nieustannej, obsesyjnej kontroli sprawności mózgu. Nieostrożnie poprosiłem o powtórzenie tytułu pewnej książki. Prawą zdrową ręką sięgnął po bloczek z przyczepionym doń ołówkiem, położył go sobie na kolanach, z trudem nagryzł parę liter, potem zerknął na lewą bezwładnie zwisającą rękę i zrezygnowany zakrył bloczek dłonią. Do końca wizyty nie mógł już opanować rozdrażnienia, rozmowa się nie kleiła, wydłużały się pauzy milczenia. Gdy w odruchu zakłopotania zagapiłem się na zatokę, odchylił krótko głowę w tym samym kierunku i obrzucił mnie spojrzeniem, w którym była pustka bólu. Chwila słabości okupiona szeptem przy pożegnaniu: *Sto bene, sto sempre meglio*".

II

Zanim jego choroba związała nas przyjaźnią, a może nawet więcej niż przyjaźnią, wspólnym wstuchiwaniem się w coś zagadkowego i bardzo nam obu bliskiego, byliśmy przez wiele lat na stopie zwykłej konwencjonalnej znajomości.

Był od dawna w częstym i żywym kontakcie z rodziną mojej żony: odkąd, w roku 1955, przyjechał z Kalabrii do Neapolu jako nauczyciel filozofii w liceum zakonnym. Miał wtedy trzydzieści pięć lat /dokładnie niemal mój rówieśnik/, księdzem był od dziesięciu. W roku 1970 powierzono mu wykłady zlecane na uniwersytecie, nie przestał jednak uczyć w liceum i dalej też mieszkał w internacie zakonnym.

Widywałem go czasem na proszonych herbatkach; nasze spotkania ograniczały się do zdawkowych rozmów. Raz tylko, gdy podarował mi swój świeżo wydany przekład Plotyna z uczynnym komentarzem, postanowiłem wybrać się na prezentację książki w Towarzystwie Filozoficznym. Nje zachowałem z jego odczytu żadnych szczególnych wspomnień, poza może niejasnym uczuciem słuchania bardzo osobistych wyznań owiniętych szczelnie i umyślnie w bardzo hermetyczny język; uczuciem niejasnym i dość widocznie przelotnym, skoro w naszych następnych spotkaniach wróciliśmy natychmiast do poprzedniej zdawkowości. Dopiero później, podczas jego opowiadań w okresie choroby, wyrwało mu się mimochodem: "Nikt chyba nie usłyszał w moim odczycie tego, co w nim było naprawdę ważne". Zajrzał mi w oczy wyczekująco, jakby spodziewał się przez chwilę że powiem: "Ja usłyszałem". Ponieważ milczałem, dodał sam: "Plotyn twierdził że Bóg, jeśli o Nim mówić bez prawdziwej cnoty, jest tylko imieniem. Czy wystarczy cnota, żeby Bóg przestał być dla nas tylko imieniem?".

Owego dnia marcowego 1982 znaleziono go rano nieprzytomnego, po wyważeniu drzwi, na podłodze między stołem do pracy i łóżkiem. W klinice przeleżał pięć i pół miesiąca. Zachodzili do niego siostra i szwagier, nie życzył sobie innych wizyt. Lekarze wypisali go do domu /czyli do mieszkania siostry/ z zaleceniem "rehabilitacji gimnastycznej", nie rękując pofnle wielkich nadziei na przyszłość. Oczekiwało go życie pasywne, przy względnej jasności umysłu, wystarczającej by w umiarkowanych dawkach czytać i rozmawiać.

Pierwsza odwiedziła go tam moja żona. Uderzyło ją, że cofnął się w odległą przeszłość, do lat kiedy zaraz po wyświęceniu postano go do opróżnionej właśnie parafii w małej wiosce między Catanzaro i Nicastro. Nigdy

przedtem, to znaczy przed chorobą, nie wspominał o tych latach; jego autobiograficzne wtręty zaczynały się zawsze od późniejszego okresu w Catanzaro, gdzie na własną rękę poświęcił się studiom filozoficznym, ucząc równocześnie religii w miejscowym gimnazjum. Catanzaro zresztą była jego miastem rodzinnym, tam odumarli go za młodu rodzice, tam mieszkała jego owdowiała i bezdzietna ciotka, tam skończył seminarium duchowne.

- Jak się nazywa ta wioska?

- Dość dziwnie, San Dragone. Trochę to tak, jakby wymyślono nazwę San Demonio.

Usłyszawszy tę "dziwną" nazwę, stałem się dość częstym bywalcem w domu chorego.

III

O San Dragone przeczytałem kiedyś artykuł w magazynie ilustrowanym, ządno po dziennikarsku sensacyjny by można było odtworzyć sobie jasno obraz i przebieg wypadków, ale dostatecznie frapujący by nazwa wsi kalabryjskiej odcisnęła się trwale w pamięci. Nie wiedziałem, że istnieje poważna książka o San Dragone, autor artykułu nie mógł jej wymienić, gdyż ukazała się znacznie później /nawiasem mówiąc, w Anglii; nie przetożono jej dotychczas na włoski, nie wpadła mi również do rąk żadna o niej informacja w prasie włoskiej/. O tej właśnie książce napomknął ksiądz Sterpone podczas mojej pierwszej u niego wizyty; jej tytułu nie zdołał, na moją nieostrożną prośbę, napisać w bloczku. Wróciłem do domu z zamiarem ponowienia próby podczas następnej wizyty, w pomyślniejszych być może okolicznościach. Zamiar okazał się zbyteczny. Nazajutrz rano znalazłem książkę w naszej skrzynce pocztowej, z przyceploną do okładki wizytówką chorego nadawcy. Przeszło dwustustronicowy tom *The Hidden God*, bogato ilustrowany, zaopatrzone w przypisach w solidną "aparaturę naukową". Z noty na obwolucie wynikało, że jego młody autor George Herbert Grudger specjalizował się w badaniach "z pogranicza socjologii i religioznawstwa" i spędził w San Dragone dwa miesiące w roku 1952.

Mógłbym moich czytelników odesłać w tym miejscu do książki Grudgera, zaszczydzając sobie trudu ekspozycji. Ale każdy zrozumie, że byłoby to nonsens z wielu względów, których nie trzeba nawet wyliczać. Nie pozostaje nic innego jak streścić tu zwięźle, w najistotniejszych punktach, *Ukrytego Boga* /wydanego w Londynie w roku 1957/; a potem podjąć relację o opowiadaniach księdza Sterpone z lat naszej przyjaźni.

Na stronie tytułowej motto z Pascala, uzasadniające tytuł: "Gdyby nie było ciemności, człowiek nie odczuwałby swego skażenia, a gdyby nie było światła, człowiek nie miałby nadziei uleczenia. Stąd jest nie tylko słuszne, lecz użyteczne dla nas, że Bóg jest po części ukryty a po części odsłonięty, gdyż dla człowieka równie jest niebezpieczne znać Boga nie znając własnej nędzy, jak znać własną nędzę nie znając Boga".

W rozdziale wstępnym Grudger podaje garść wyszperanych w archiwach wiadomości historycznych o San Dragone i dość drobiazgowo opisuje wieś, z odsyłaczami do odpowiednich fotografii. Z końca siedemnastego stulecia pochodzą ruiny Torre Falconara, resztki wieży ocalałe z zamku hrabiów Falcone. Wieś powstała na zboczu wzgórza, obok ruin, w połowie osiemnastego stulecia jako kontynuacja dawnego zamkowego *borgo*, zburzonego czy spalonego wraz z zamkiem. Nazywała się najpierw Falconetta, była i pozostała do dziś wsią głównie pasterską. Otaczającą dolinę rzeki /raczej rzeczki/ Chiariva obręcz wzgórz obfituje w łachy pastwisk, względnie łatwo dostępnych dla stad owiec i kóz. Nazwę zmieniono na San Dragone u progu zeszłego stulecia, z przyczyn które wymagają dokładniejszego wyjaśnienia. Oto w ruinach Torre Falconara,

w ścianie rozległej i ciemnej pieczary /niegdyś pewnie lochów zamkowych/, rozwarła się głęboka przepaść, wydzielając co jakiś czas smugi dymu. Narodziła się tak legenda o Smoku; instynktowną próbą przebrnięcia go było przypuszczalnie - zdaniem Grudgera - oddanie wsi pod jego władzę i opiekę w nowej nazwie San Dragone. Wieś nie posiadała jeszcze wówczas kościoła, z Nicastro rzadko przyjeżdżali księża z postugą religijną. Został zbudowany na początku tego stulecia: aż nadto okazały jak na niewielką liczbę mieszkańców, pod wezwaniem Świętego Michała. "Cofnęły się bądź przycichły - pisze Grudger - oznaki półpogańskiego kultu, lecz przetrwał osobliwy Święty Smok w nazwie wsi". Kilka kamieniołomów, otwartych po pierwszej wojnie między pastwiskami, wptynęło na pewne ożywienie San Dragone. Po drugiej wojnie wieś liczyła ponad pięć tysięcy dusz. Na fotografiach widać domki spiętrzone jak gniazda jaskółtek, wąskie uliczki podobne do pochyłych kamiennych korytarzy ze schodkami.

Centralną postacią historii opisaną przez Grudgera jest Gioacchino Scuro, zwany także we wsi Scuro /Ciemny/ z racji posępnego usposobienia i surowej, zawziętej twarzy. Gdy był małym chłopcem, pastuchem owiec swego ojca, widywano go często w pobliżu ruin Torre Falconara, zapatrzonego w bezruchu godzinami w pieczarę gdzie rozwarła się przepaść i podnieconego, ilekroć wypetzała z niej, snując się krótko wśród kamieni i zwalów ziemi, smuga dymu. Ożenił się z córką sąsiada Marią Minuzio i założył warsztat stolarski. Ślub odbył się w nowozbudowanym kościele, udzielił go Don Pietro Vitale, pierwszy proboszcz San Dragone. Scuro stał się najgorliwszym parafianinem, spędzał dużo czasu na modlitwie i w gościnie na plebanii, wykonywał bezpłatnie drobne roboty stolarskie i murarskie w kościele. Powołany do wojska po wybuchu pierwszej wojny, opuścił wieś jako ojciec trojga dzieci, dwóch córek i syna.

Wrócił do domu inwalidą, bez prawej nogi i z przestrzelonym płucom. Poruszał się z trudem o kulach, męczyła go szybko praca w warsztacie. Sie-dział ciągle w chałupie nad książkami: nauczył się czytać i pisać biegle w czasie rekonwalescencji w szpitalu wojskowym.

IV

Najdłuższy rozdział - blisko trzecia część książki - zatytułowany jest *The Conversion* i zawiera taką masę świadectw, dokumentów, drobiazgowych opisów, dygresji i interpretacji autorskich, że nieuniknione staje się wytuskanie z niej kilku tylko podstawowych i nagich faktów. Zabieg w którym tkwi ryzyko zubożenia i spłaszczenia całej historii, a nawet znacznej redukcji jej wiarygodności w oczach czytelników, zdaje sobie z tego aż za dobrze sprawę. Lecz nie znajdują innego rozwiązania.

Pewnej nocy w roku 1930 Scuro miał objawienie. Stała przed nim we śnie kobieta w zielonej sukni, wskazała mu lampkę oliwną z trzema dzióbkami i rozkazała: "Zapał tę lampkę". Po czym dorzuciła: "Nazywasz się Levi i musisz tą lampką rozniecić światło". Nazajutrz rano zapukał do jego drzwi jakiś człowiek, którego Scuro nigdy przedtem nie widział w San Dragone, i podarował mu egzemplarz Biblii: był to pastor ewangelicki, roznoszący w Kalabrii od wsi do wsi literaturę religijną. Scuro zabrał się do czytania i kiedy dobrnął wreszcie do końca, odkrył że był dotąd w fałszywej wierze. "Zrozumiał - według świadectwa córki Scuro przytoczonego przez Grudgera, - że religia Starego Testamentu spoczywa u źródeł wszelkiej religii a zatem była prawdziwa, podczas gdy religie Nowego Testamentu, zarówno katolicka jak protestancka, były późniejsze a zatem fałszywe". Nie miał wówczas pojęcia, że na świecie istnieją jeszcze Żydzi, był święcie przekonany, że to jemu Bóg powierzył misję przywrócenia ludzkości prawdziwej wiary. Przystąpił więc do szerzenia odkrytej wiary: gromił "pogan" czczących obrazy i po-

sągi Matki Boskiej, upominając ich że należy odpoczywać w sobotę a nie w niedzielę. Grudger przytacza wypowiedź chłopca, nawróconego przez Scuro: "Jeden tylko Bóg nam rozkazuje. Mówi On: Jam jest twój Pan Bóg, Ja cię ocaliłem i wyprowadziłem z ziemi egipskiej. Jam jest wasz Bóg zazdrosny aż do piątego pokolenia. Sąd Ostateczny odbędzie się w Dolinie Jozafata. Nasz Bóg nie przebacza wielokrotnym grzesznikom, jak Bóg katolicki. W Dolinie Jozafata Sąd Ostateczny nagrodzi wiekuiustym życiem prawych, ukarze wiekuiustą śmiercią niegodziwych". Komentarz Grudgera: "Co najbardziej podbito jego wyobraźnię, to nieugięta sprawiedliwość Boga żydowskiego. Chłopom z San Dragone nie mówił już nic miłosierny Bóg chrześcijański; woleli, jak starożytni Żydzi, Boga sprawiedliwego i nieubłaganego".

Scuro, który kazał się odąd nazywać Levi-Nauczyciel i uważał się za potomka Lewitów i kapłana Wspólnoty, nawrócił około pięćdziesięciu osób. Ani jedna z nich nie podejrzewała nawet, że gdzieś na świecie żyją jeszcze wyznawcy Starego Zakonu. Pierwszą o tym wiadomość przywiózł do San Dragone pewien wędrowny handlarz; on też wpisał do książki Nauczyciela adres swego przyjaciela-Żyda w Neapoliu. Scuro wysłał do niego natychmiast list i w odpowiedzi otrzymał adres naczelnego rabina rzymskiego. Następny list, wysłany już do Rzymu, pozostał bez odpowiedzi. Nawróceni z San Dragone nie dali jednak za wygraną i napisali po raz drugi: było to znowu zawiadomienie o odkryciu prawdziwej religii i prośba o pomoc, gdyż "chcieliby zostać prawdziwymi Żydami". Tym razem przyszła odpowiedź. Rabin rzymski donosił, że z początku uważał to wszystko za żart, ale teraz zmienił zdanie i wkrótce wysłał do San Dragone swego przedstawiciela. I rzeczywiście po kilku dniach zjawił się w San Dragone wystannik rabina, spędził cały dzień u Scuro i odwiedził także pozostałych nawróconych. Słuchał opowiadających uważnie i w milczeniu, lecz na odjeźdźnym powiedział: "Jesteście bardziej Żydami, niż wszyscy inni Żydzi". Po tej wizycie zaczęły do San Dragone przychodzić broszurki religijne, z których jedna nosiła nazwę *Prosta Droga*. Ale nawróconym nie wystarczyło samo słowo drukowane, chcieli być oficjalnie przyjęci do gminy żydowskiej. W Rzymie tymczasem panowało nadal wahanie. Przed wojną dwukrotnie jeszcze odwiedził San Dragone delegat żydowskiej gminy wyznawców w Rzymie, który po wprowadzeniu ustaw rasistowskich we Włoszech ukrywał się nawet jakiś czas w kalabryjskiej wsi. "W roku 1938 - powiada jedno ze świadectw - dowiedzieliśmy się, że wydano prawo, które na wszystkich Żydów nakłada obowiązek zgłoszenia swojej rasy. Napisaliśmy do Rzymu że i my chcemy zgłosić naszą rasę, bo jesteśmy Żydami jak inni i chcemy cierpieć wraz z całym narodem żydowskim. Ale z Rzymu odpowiedziano nam: nie".

Żydzi z San Dragone czekali więc cierpliwie na uznanie Rzymu i praktykowali prawa moźeszowe według własnych reguł, wyinterpretowanych z ksiąg Starego Testamentu. Wielka zmiana w ich życiu nastąpiła dopiero pod koniec roku 1943, po zajęciu południowych Włoch przez Sprzymierzonych. Zobaczyli któregoś dnia na głównej drodze przecinającej rzekę w dolinie osiem ciężarówek wojskowych z gwiazdą Dawida; i przecierając oczy ze zdumienia, odczytali na naszywkach kierowców słowo znane dotychczas tylko z książek: Palestyna. Gromada nawróconych ruszyła na powitanie przybyszów. Żołnierze brygady palestyńskiej nie bardzo mogli zrozumieć o co chodzi, ale z chaotycznych opowiadań w obcym języku wyłowili w każdym razie słowo *conversione* i zawiadomili o wszystkim rabina wojskowego w Cosenzy. Wybrał się do San Dragone, gdzie powitano go pieśniami Boga Zastępów i Twierdzy Świątów. Wzruszony, obiecał swoje wstawiennictwo u rabina rzymskiego natychmiast po uwolnieniu stolicy Włoch. Latem 1946 wytrwałość nawróconych doczekała się nareszcie nagrody: z Rzymu przyjechał nowy rabin naczelny. Zachętyść przyjęcia nawróconych na łono Synagogi odbyła się tuż przed zachodem słońca nad brzegami Chiarivy.

Ale nowi Żydzi czuli się w San Dragone jak ich praszczury w Egipcie: musieli żyć na wygnaniu, między "poganami". W roku 1948 Scuro dowiedział się,

że w Izraelu utworzono państwo żydowskie; powziął więc myśl przeprowadzenia gromady do Ziemi Obiecanej i dopiął swego na początku następnego roku. Odpłynęli wszyscy statkiem z Neapolu, w Izraelu umieszczono ich razem w jednym osiedlu rolniczym /tam Grudger spisywał w roku 1949 ich świadectwa, pierwszy materiał do zaplanowanej w Londynie książki/.

Odpłynęli wszyscy, z wyjątkiem samego Scuro. Owdowiał krótko przed wyjazdem, zgon żony pogrzebił jego kalectwo, nie do zniesienia wydała mu się nagle myśl o rozstaniu z wsią rodzinną. Pozostawiono mu wnuka, syna drugiej córki, ośmioletniego chłopca imieniem Giosue, anemicznego, chorowitego, zagrożonego stopniową utratą wzroku.

Grudger cytuje list Scuro do rabina rzymskiego, datowany w trzy miesiące po wyjeździe Żydów z San Dragone do Izraela. Jest w nim przedsmak konfliktu, jeśli nie zerwania: "Ten kto zamyka niebios a mówi że nie ma Wizji, odrzucając Boga Wizji odrzuca także Mojżesza i Pięćksiąg Praw. Albowiem mówię Wam w imieniu mojego Stwórcy, który jest również Waszym Stwórcą, że jeśli chcemy pokonać Zło, musicie głosić Widzenie. Powinniście też założyć szkołę proroków. W ten sposób ani wy ani my nie będziemy błądzili po omacku. Nie uwierzycie na pewno w to co Wam powiedziałem, a przecież bez Widzenia pasterz jest ślepy. Gdyż nasz Bóg nie jest Bogiem umarłym, ale Bogiem Zastępów... Jeśli gardzicie moimi słowami, nie mną gardzicie lecz Bogiem Wizji, który wywołuje i zmienia Wiatr jak Mu się podoba. I nie ma nikogo, kto mógłby Go zapytać: Co czynisz?".

Począwszy od roku 1946 nie ma już właściwie potrzeby odwoływać się do książki Grudgera. W tym bowiem roku zmarł bardzo stary ksiądz Vitale, a na jego miejsce przyjechał młody ksiądz Sterpone, który w San Dragone spędził cztery lata. Grudger odwiedził go w Catanzaro w roku 1952: "Przyjął mnie w mieszkaniu swojej ciotki, zamknięty, nieskłonny do opowiadań, napięty, odpowiadający na pytania monosylabami, prawie nieuprzejmy. Ci, którym zawdzięczałem krótkie z nim spotkanie uprzedzili mnie, że po tragedii w 1950 roku opuścił za zgodą przełożonych San Dragone w stanie bliskim nerwowego załamania. Nie przemienęło widocznie bez śladów".

V

Chorobie przypisać należy charakter opowiadań księdza Sterpone podczas moich wizyt. Płynęły jakby skrzepami. Pewne epizody, wspomnienia, refleksje, uczucia zbijały się w zakrzepłe płaty, za jednym sędem po jakimś czasie drugi, potem następne, ale przecięte lub co najmniej nadszarpane wydawały się związki między nimi: każdy stanowił dość autonomiczną całość, luźno i mgliście zaczepioną o pozostałe, płynął nie dbając zanadto o chronologię wypadków i ich lokalizację, zamazując często a nawet myląc twarze osób. Stwarzało to wrażenie - nieraz męczące dla mnie jako słuchacza - historii odtwarzanej poza czasem i miejscem, oderwanej od jej konkretnych uczestników. Kto wie, może serce opowiadającego pękło w końcu nocą, gdy uderzył w nie w bezsennych i samotnych godzinach rozpamiętywał wszystkie połączone nagłe skrzepy.

Chorobie więc należy przypisać charakter opowiadań księdza Sterpone. Ale nie wyłącznie. Także wobec mnie, mimo ciągłego zacieśniania się naszej przyjaźni, musiały w jakiejś mierze działać opory, których ofiarą padł w sposób tak drastyczny autor *Ukrytego Boga*. Były proboszcz San Dragone do ostatka, jak sądzę, bronił się przed swoistą spowiedzią, ulegając równocześnie krok po kroku jej nieodpartej potrzebie.

Tak czy owak, cóż mogę zrobić innego poza wyznaczeniem mojemu pióru roli porządkującej, funkcji wyprucia ze zbitej i bezkształtnej masy paru dostatecznie wyraźnych żyłek?

VI

O starym księdzu Vitale mówiono, że umarł ze zgrzyoty po oficjalnym powstaniu Wspólnoty żydowskiej w San Dragone. Dla jego następcy apostazja pięćdziesięciu mieszkańców wsi była co prawda zaskoczeniem, lecz nie powodem do załamania rąk czy choćby zgorznienia. Przeciwnie, uważał ją w duchu za znak spotęgowanej obecności Boga w kraju, gdzie od dawna religia przybrała postać tradycji wydrążonej z wszelkiej prawie treści, lub ocierała się o mieszaninę zabobonu i magii. Usiłował zbliżyć się do członków Wspólnoty, pukać do ich drzwi jak pukać do drzwi swoich wiernych. Przyjmowali go chłodno. Gdy nie dał się zniechęcić, zaczęli go witać i żegnać zarazem jednakowym: "My modlimy się do prawdziwego Boga". Było oczywiste, że powtarzali te słowa za Scuro, u niego bowiem usłyszał je po raz pierwszy, stojąc w progu warsztatu stolarskiego, przywołany gniewnym spojrzeniem gospodarza. Z okna małego domu obok warsztatu przyglądała mu się w milczeniu, z zawstydzonym zdawało się uśmiechem, żona Scuro. Tułiła do piersi wnuka Giosue, który bladą twarzą i przymrużonymi oczami obracał ku słońcu.

Scuro trzymał mocno w garści Wspólnotę. Mieszkali w różnych częściach wsi, co piątek wieczorem jednak i co sobotę rano schodzili się do warsztatu zamienionego w dom modlitwy. W rogu stała szafka z Torą, przystaną z Rzymu. Do ściany przybita była szeroka wstęga popielatego płótna z wyhaftowanymi po hebrajsku literami /podobne do niej makatki wisiły w chałupach nad łózkami nawróconych, w miejscach zajmowanych dawniej przez krucyfiksy i obrazy Madonny/. Kapłanem był Scuro i on sam obmyślił liturgię: zważano chóralnie ułożoną przez niego modlitwę po włosku, wystuchiwano jego lekcji, po czym czytano wybrane fragmenty Starego Testamentu. Scuro zadbał też o wytyczenie i otoczenie kamiennym murkiem skrawka jałowej ziemi w pobliżu Torre Falconara, z myślą o przyszłych zmarłych członkach Wspólnoty. Pierwsza spoczęła na nowym cmentarzu Maria, żona Scuro, na krótko przed wyjazdem Żydów z San Dragone do Izraela.

Wies odnosiła się z początku obojętnie do swoich apostatów. Rzadkie były głosy potępienia. Częściej kręcono w zadumie głowami: "Któż potrafi dotrzeć do prawdy, kto zdoła ją przeniknąć? Robimy co nam przykazali księża". Wykopywana później stopniowo przepaść była głównie dziełem nawróconych. Odpychali księdza Sterpone słowami: "My modlimy się do prawdziwego Boga". Do jego wiernych mówili: "Wy modlicie się do fałszywego Boga". W San Dragone narodziła się Wspólnota "obcych". Budząc lęk raczej, niż wrogość.

Lęk - *timore*, a niekiedy nawet *timore religioso* - odgrywał dużą rolę w opowiadaniach księdza Sterpone z pierwszych dwóch lat jego pobytu w San Dragone. Czuł ten lęk w nagłym wybuchu pobożności, nieledwie żarliwości, wśród swoich wiernych: kościół był w niedziele pełny, modlono się głośno, jak gdyby z zamiarem przekrzywienia w sobie czegoś niejasnego i niepokojącego, spowiadano się i komunikowano tłumnie, przesiadywano w pogodną wieczory na kościelnych schodach, garnięto się do proboszcza z nadmierną aż ufnością. Poczuł ten lęk ostrzej jeszcze po roku, w równie nagłym opadnięciu ferworu: nie, nie opustoszały w niedziele kościół, nie przestano spowiadać się i komunikować, dalej przesiadywano w pogodną wieczory na kościelnych schodach, ale wszystko to w odrętwieniu, z trwożliwym przymusem; na nabożeństwach pośpieszny, bezgłośny ruch warg zastąpił supliki zanoszone głośno do Boga. Ksiądz Sterpone przeżywał wtedy /jak się wyraził/ "całkowitą samotność wśród ludzi". Pamiętam jego okrzyk: "Ach, jak bardzo Bóg potrzebuje ludzi, by nie być tylko imieniem!".

Zadawał sobie wciąż pytania jak do tego doszło, co się naprawdę stało

w San Dragone... Lubił myśli Pascala, użył ją przez Grudgera jako motto do jego książki; bywał, że zapominał w ogóle o mojej obecności i bezustannie, uporczywych nawrotach do "Boga odstąpionego" i "Boga ukrytego". Był bliski przekonania, że Bóg odstąpił się "w dwójnasób" dzięki nawróceniu i apostazji pięćdziesięciu mieszkańców wsi, aby potem ukryć się głębiej niż zwykle na widok rosnącego we wsi rozdracia. Teraz - twierdził - wszyscy w San Dragone poznawali już tylko własną nędzę ludzką, wszystkich ogarniała powoli ciemność. Apostatów zatruwała pycha jedynej prawdy; wiernych trawił podskórny lęk życia w fałszywej wierze.

Do późna w nocy śleczął nad swoimi książkami, sypiał mało i źle, wyczerpywały go przelotne napady gorączki, śledził przerażony jak do jego modlitw zakrada się bezduszna czczość. Całkowitej samotności wśród ludzi towarzyszyło zagubienie w obliczu Boga. Oczekiwał cudownego ocknięcia i z dnia na dzień tracił nadzieję by mogło nastąpić.

Któregoś popołudnia, w pustym kościele, zdrzemnął się w ławce przed ołtarzem. Było to styczniowe popołudnie 1949 roku, słoneczne, zimną pożyłą opryskiwało witraże w oknach. Tego dnia rano Żydzi z San Dragone pochowali żonę Scuro na nowym cmentarzu; za miesiąc mieli na zawsze opuścić rodzinną wieś. Z drzemki wytrącił go dziecinnie, piskliwy płacz. Zerwał się na równe nogi i szybko pobiegł tam skąd rozlegał się płacz, do pogrążonego w półmroku kąta koło drzwi. Zobaczył małego Giosue, skulonego pod ścianą, przebiegającego bezradnie rączkami, podobnego w swoim trzepocie do ryby w sieci. Otoczył go ramieniem, przycisnął do siebie i wyprowadził z kościoła. W pośrodku schodów stał Scuro wsparty na jednej tylko kuli i ciężko dyszał. Gdy ksiądz Sterpone popchnął ku niemu chłopca, Scuro oparł się lewą ręką na ramieniu wnuka, a prawą podniósł do góry swoją kulę gestem pogroźki. Ten gest długi przesładował proboszcza San Dragone.

VII

Szli spadzistymi uliczkami w dół, do dwóch autobusów na drodze w dolinie, objuczeni resztkami niesprzedanego dobytku. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Pochód widać było dobrze z okna plebanii. Prowadził go Scuro, w lewej ręce trzymając rączkę małego Giosue. Przed drzwiami domów stali "poganie". Odprowadzali wyjeżdżających tak, jak od wieków zwykło się w włoskich wsiach na południu obserwować bieg życia za murami własnych domów: wyblakłym, tępyym wzrokiem, bez słowa.

Ksiądz Sterpone osunął się na krzesło przy oknie; ogarnęło go ogromne znużenie, nie mógł w żaden sposób wydobyć z siebie modlitwy za odjeżdżających. Był wczesny poranek ostatniego dnia lutego, nad San Dragone zbierała się na burzę. Z drogi w dolinie dobiegły przytłumione krzyki i nawoływania, uciął je warkot motorów, po czym nastąpiła cisza.

Scuro wrócił z matym Giosue do domu nazajutrz wieczorem. Odtąd widywano go rzadko, raz na tydzień. Nie wiedziano z czego żyje, rzuciwszy stolarkę; żył chyba z tego, co mu przed wyjazdem zostawiła Wspólnota. Odmówił oddania Giosue do szkoły, chciał go sam uzyć i wychowywać w prawdziwej wierze. Wypytywano chłopca, ilekroć przychodził do sklepu, co robi całymi dniami dziadek. "Czyta, pisze i modli się do naszego Boga". Widywano go co sobotę, kiedy wyprawiał się z wnukiem na samotny grób żony. Szedł z wysiłkiem, przystawał co parę kroków, dusił się i chwycił za gardło w atakach kaszlu. Stary, schorowany kaleka w czarnym kapeluszu chłopów kalabryjskich i wąty małeć stąpający niepewnie, obmacujący ziemię pod nogami natężonym spojrzeniem chorych oczu.

Grudger przytacza pełen goryczy /żeby nie powiedzieć więcej/ list Scuro do rabina rzymskiego, datowany w trzy miesiące po wyjeździe Żydów z San

Dragone do Izraela. Wtedy właśnie, gdy wzywał w liście do głoszenia chwały "Boga Wizji" i założenia "szkoły proroków", zaczęto widywać go częściej z nieodstępnym Giosue. Z cementarza szli do Torre Falconara, tam odpoczywali na dużym kamieniu, na tym samym może kamieniu z którego w dzieciństwie Scuro czytał na smugi dymu wypetazające z ciennej pieczary. Wypetazły co pewien czas i dalej, nic się pod tym względem nie zmieniło z upływem lat; a raczej zmieniło się tyle tylko, że doszczętnie niemal wygasła we wsi pamięć o pochodzeniu nazwy San Dragone. I oto /według księdza Sterpone/ obraz "pasterza bez trzody" wpatrzonego w otwór pieczary, kapłana "obcych" przed progiem umarłej przeszłości, obudził w ludziach zawile i mroczne skojarzenia, rozniecił w popiele pamięci tłące się ledwie ogniki. Naraz w postaci Scuro ujrzano coś złowrogiego, odwracano się - a zdarzało się, że i żegnano ukradkiem - na jego widok.

Podejrzewam, że zwrot o "roznieceniu w popiele pamięci tłących się ledwie ogników" nie był dla księdza Sterpone tylko metaforą.

W listopadową noc spłonął warsztat Scuro, zamieniony niegdyś na bóżnię. Okoliczności pożaru pozostały na zawsze niewyjaśnione. Był aktem podpalenia, czy Scuro przed pójściem do domu zaproszył ogień zasypując popiołem niedopalone drzewo na palenisku? Ksiądz Sterpone plątał się tu w relacji, wydawał się wzburzony i zakłopotany, jak gdyby rzecz wydarzyła się wczoraj, a nie przed tylu laty. Nikt z sąsiadów nie pomógł w ugaszeniu pożaru, to było faktem. Scuro usiłował wdrzeć się do płonącej szopy, ale podmuch ognia oślepił go i gwałtownie odrzucił oparzonego pod mur po przeciwnej stronie ulicy. Przeniesiono go do domu, kobiety z sąsiedztwa obmyły mu poparzenia i rany i przewinęły je naoliwionymi szmatami; jęczał 1 maja. Czyż, wreszcie zapadł w konwulsyjny sen. Nie dał się od niego oderwać maty Giosue; dziecko było w stanie szoku. Taką sytuację zastał przebudzony dopiero o świcie ksiądz Sterpone. Udało mu się zabrać do siebie chłopca. Rannego zawieziono do szpitala w Nicastro.

Po tygodniu przyjechała do San Dragone zakonnica ze szpitala w Nicastro. Ranny był poza niebezpieczeństwem, leczenie jednak wymagało kilku miesięcy. Scuro domagał się wnuka, bez niego odmawiał przyjmowania pokarmów i lekarstw. Cóż było robić? Zakonnica przyjechała po małego Giosue.

"W ciągu moich czterech lat w San Dragone - mówił ksiądz Sterpone - nigdy nie byłem tak szczęśliwy, tak blisko Boga, jak opiekując się przez ten tydzień chłopcem, uczyszając w nim wspomnienie przeżytego wstrząsu. Myślałem wtedy często o jego niespodzianej ucieczce do kościoła, o jego płaczu w kącie koło drzwi. Był w tym jakiś znak? Bóg odstąpił się najpóźniej w usmarowanej łzami twarzy dziecka, w jego na wpół ociemniałych oczach?". I po chwili, z drżeniem w głosie: "Boże, jak bardzo kochałem małego Giosuel".

VIII

Pobyt Scuro w szpitalu trwał do marca 1950. Wiosna nadeszła w tym roku wcześniej, zazieleniły się szybko pastwiska, wyganiano stada owiec i kóz, fala ciepła ożywiła roboty w kamieniołomach.

Scuro przywlokł się na plebanię z matym Giosue, żeby podziękować księdzu Sterpone za opiekę nad wnukiem zaraz po pożarze. Wyglądał strasznie: szkielet obciążony skórą z plamami po oparzeniach. Ale straszniejsze jeszcze od jego wyglądu było uczucie rozmawiania z nieobecny. Wycharczał swoje podziękowanie, nie chciał przestąpić progu plebanii, oparł się o framugę drzwi i stał tak wzrok utkwiony w krucyfiksie na ścianie. Machinalnie głaskał głowę dziecka i bełkotał coś niezrozumiałego, kalecząc

słowa, nie słysząc co się do niego mówi, nie odpowiadając na pytania. Odszedł bez pożegnania. Na schodach kościoła chłopiec odwrócił się i krzyknął za obu: *Addio, Padre.*

Dziwny spokój zapanował w San Dragone z nastaniem wiosny: martwy spokój między burzą która minęła i burzą która nadciąga. Scuro zamknął się w domu; mały Giosue rzadko pojawiał się w sklepie. Któregoś rana, w pierwszych dniach kwietnia, ksiądz Sterpone zapukał do drzwi ich domu. Nie było odpowiedzi. Pukał mocniej i mocniej pewny nagle, pewnością podobną do uktucia w sercu, że nigdy więcej ich nie zobaczy.

Reszta należy do legendy. Rzeczywistością dotykalną było odkrycie pustego domu Scuro, oraz - w parę dni później, przez wezwaną policję - czarnego kapelusza i dziecinnego bucika na ścieżce wiodącej w górę, od kamienia koło Torre Falconara, do otworu pieczary. Legendą zrodzoną w wyobraźni mieszkańców San Dragone, albo ukrytą przed ludzkimi oczami prawdą, był Scuro który szlakiem smugi dymu wchodzi, ciągnąc w ofierze małego opierającego się Giosue, do podziemnej odchłani; do królestwa Świętego Smoka.

IX

Zacząłem spisywać zdarzenia związane z San Dragone w dniu pogrzebu księdza Sterpone, 29 października. Kończę pisanie dzisiaj, w słotny dzień listopadowy, po wieczornej wizycie u jego siostry pod pretekstem zwrotu książki Grudgera. Zależało mi bardzo, nie umiem powiedzieć dlaczego, na zajrzeniu jeszcze raz do pokoju zmarłego.

Pani domu zostawiła mnie w nim samego. Był nietknięty, na stoliku obok łóżka leżał nawet pod zapaloną lampą bloczek z przyczepionym doń ołówkiem i pękaty tom aktów sympozjum bolońskiego z lat siedemdziesiątych *Studi sulla religiosita vecchia e nuova*, z tekstem wystąpienia księdza Sterpone. "Słyszmy i czytamy, że ciągłym zmianom ulega wśród ludzi obraz Boga, że niby w ruchu wahałta to opada to wznaga się potrzeba wiary w Niego. Moim zdaniem zmienia się i przybiera wciąż inny wyraz twarz Szatana, w wiecznej przed nią ucieczce, bądź w wiecznym uleganiu jej fascynacji, bądź i kołuje, upada i podnosi się, pielgrzymujący wiecznie człowiek".

Przez szybę smaganą strugami deszczu spojrziałem na czarną zatokę. Wystarczyło zgasić lampę, aby w oknie ciemnego pokoju przejaśniła się od razu i pokryła ruchliwymi błyskami czerń nad zatoką.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Listopad 1984

KULTURA, marzec 1985

LEOPOLITA

"WŚRÓD PTAKÓW WIELKIE PORUSZENIE..."

Być może powinienem był napisać ten artykuł trzy lata temu. W rozmowach na temat emigracji biorę udział od stycznia 1982 roku i moi interlokutorzy będą mogli kiedyś poświadczyć, że - jeśli chodzi o meritum wywodu - spisuję dziś to, co nie raz powtarzałem w tamtych, periodycznie powracających dyskusjach. Nie wykraczałem dotychczas poza mówienie z kilku powodów, wśród których na pierwszym miejscu wymienić należy niechęć do pisania /eufemistyczne określenie lenistwa/ oraz przeświadczenie, że byłaby to czynność całkowicie bezskuteczna. Kilka wydarzeń z końca ubiegłego roku sprawiło, że z oporami sięgnąłem po słowo pisane. Nieważne, które to były wydarzenia - o jednym zresztą powiem później; ważne są racje. Piszę więc, z niewielką nadzieją, że coś uda mi się wyjaśnić, kilku ewentualnych czytelników przekonać.

Nie rozważam - jako oczywistej - tezy, że istnienie na Zachodzie polskiej emigracji politycznej jest z wielu względów potrzebne. Artykuł traktuje o czym innym.

Zacznijmy od spraw zdawałoby się abstrakcyjnych, a więc takich, które przeciętny człowiek skłonny jest traktować z góry nieufnie.

W płaszczyźnie prawnej problem emigracji-imigracji uwikłany jest w taką oto sprzeczność.

Uważa się - i słusznie - że do zasadniczych praw jednostki należy, czy też winno należeć, prawo do swobodnego wyboru miejsca pobytu. Znaczy to przede wszystkim, że żadne władze państwowe nie powinny swoim obywatelom ani uniemożliwiać wyjazdu za granicę, ani przymuszać ich do takiego. Przy czym zasada, wzbraniająca przymuszenia do wyjazdu na zawsze z ojczyzny winna być bezwyjątkowa, natomiast na prawo do wyjazdu mogą być nakładane nieliczne ograniczenia, jak na przykład orzeczona przez sąd kara pozbawienia wolności lub uznanie przez władze sądowe, że dana osoba jest ważnym świadkiem w procesie dotyczącym poważnego przestępstwa.

Mówiąc krótko, do fundamentalnych praw jednostki należy to, iż w żadnym wypadku nie może ona być przez państwo przymuszona do opuszczenia ojczyzny i że - poza bardzo wyjątkowymi okolicznościami - też władze państwowe nie mogą jej zabronić opuszczenia kraju, którego jest obywatelem.

Jak wiadomo, w państwach rządzonych przez komunistów zasady te nie są przestrzegane, a ich formalny zapis jest z reguły, by użyć żargonu prawniczego, gumowy. W PRL punkt 2 ustępu 2 artykułu 4 ustawy o paszportach, w brzmieniu z 1983 roku brzmi wręcz humorystycznie^x i pozwala "właściwemu

^x Rzeczony punkt stanowi, iż "właściwy organ" może odmówić wydania pasz-

organowi" na dowolne odmówienie wydania paszportu bez prawa zaskarżenia takiej decyzji do sądu. Jeśli chodzi o wyjazdy wymuszone, to w PRL praktyka ta była stosowana poza jakimkolwiek prawem, przy pomocy szantażu, gróźb, nagonki co najmniej dwukrotnie: w latach 1982/1983 w stosunku do niektórych mniej znanych działaczy "Solidarności", oraz w latach 1968/1969 w skali względnie masowej w stosunku do Żydów, przy raczej norymberskim traktowaniu pojęcia "Żyd". Dodatkowym aspektem tej bezprawnej banicji, bo tak należy nazwać owo wygnanie Żydów z Polski, jest to, że żądano od nich pisemnej rezygnacji z obywatelstwa polskiego i uznano to za wystarczające dla pozabawienia obywatelstwa. Tymczasem jedynym organem, który może podjąć decyzję w tej sprawie jest Rada Państwa, która - o ile wiadomo - nigdy sobie tą sprawą nie zaprzętała głowy... To państwo samo urządza kpiny z własnej konstytucji.

Wróćmy więc do spraw ogólnych.

Mówiąc krótko, faktyczny stan w państwach rządzonych przez komunistów wygląda tak, że wymienione uprzednio fundamentalne prawo jednostki stosowane jest wybiórczo, co czyni zeń pośmiewisko, choć bywa skądinąd źródłem wielu dramatów. Surrealistycznym wręcz przykładem tego, jak komuniści rozumieją owo prawo jednostki do opuszczenia kraju, są krzyki oburzenia pułkownika Mengistu w powodu ucieczki kilku tysięcy głodujących Żydów z przemyrającej głodem - na skałę setek tysięcy! - Etiopii. Ale pułkownik Mengistu jest konsekwentny: klątka ma być klątką i tylko jego świeżo upieczona partia komunistyczna może decydować o tym, komu wolno uniknąć śmierci głodowej. Toteż gwoli sprawiedliwości dodać tu należy, że w wielu innych krajach socjalistycznych sprawy wyjazdów i faktycznych banicji przedstawiają się gorzej niż w PRL. Proszę jednak nie traktować tego jako konsolacji; musiałyby to bowiem być pocieszenie typu sowieckiego, a od sowieckich pocieszeń włośy wypadają i działyta ropieją.

I tu wkracza sprawa zasadnicza. Biorąc pod uwagę te praktyki rządów komunistycznych, w tym peerelli, uważam, iż w naszych warunkach wszelka dyskusja na temat społecznych czy moralnych aspektów emigracji musi się zaczynać od zadeklarowanego uznania wymienionych uprzednio praw jednostki i potępienia komunistycznej praktyki zakazywania lub przymuszania do wyjazdu z kraju.

Ktoś, kto powiada - tak w ogóle, to "czerwony" jest zły, ale chwata mu za to, że prowadząc restryktywną politykę paszportową chroni narodową substancję; albo też - dobrze uczynili komuniści, organizując przy pomocy szantażu i nagonki wypędzenie ponad dwudziestu tysięcy "żydków" z Polski - musi się liczyć z tym, że - pomijając wszystko inne - poglądy te zwrócą się przeciw niemu. Kto pochwała wymuszoną emigrację "żydków", ten podpisuje zgodę na wymuszoną emigrację "polaczków".

Zauważmy przy okazji, że dyskusja o moralnych aspektach emigracji wyłączająca z obszaru rozważań komunistyczne ustawodawstwo i komunistyczną praktykę traci moralny polot. Ktoś, kto zostaje w kraju, bo nie dostał paszportu, nie dokonuje żadnego wyboru moralnego, a jest najzwyczajniej w świecie zamknięty w wielkim pudle z napisem "PRL" - a nie, jak by się to komuś mogło wydawać, "ojczyzna".

 portu, gdy przemawia za tym wzgląd na bezpieczeństwo państwa, obronność, tajemnicę państwową albo gdyby mogło to narazić gospodarkę narodową na znaczne straty lub spowodować poważne zakłócenia w jej funkcjonowaniu. Por. *Dziennik Ustaw* 1983, nr 66, poz. 298. Dowcip, jak w dowcipie, polega na tym, że ktoś, komu na tej podstawie odmówiono wydania paszportu nie ma żadnej możliwości dowiedzenia, iż "nie jest wielbłądem".

Wspominałem o sprzeczności, w jaką uwikłany jest - w sferze prawa - problem emigracji-immigracji.

Rzecz w tym, że oprócz uznawanego /jak gdzie/ prawa jednostki do dobrowolnej emigracji istnieje taki uznawany /wszędzie/ atrybut suwerenności państwa, jakim jest prawo do wyrażenia zgody na przyjęcie lub nieprzyjęcie imigranta. Zakres tego przyzwolenia wyznaczają tak zwane kwoty imigracyjne, to jest ilość nowych osiedleńców, jaką godzi się rząd danego kraju przyjąć w ciągu roku. Kwoty te z reguły nie obejmują uchodźców politycznych korzystających z prawa azylu. Tu jednak zaczynają się drzazgi. Rzecz w tym, że ludzie opuszczający kraje totalitarne, czy też rządzone despotycznie, czynią to nader często z pobudek mieszanych, których sami nie potrafią nazwać. Trudno przecież powiedzieć, czy młode małżeństwo, które chciałoby mieć wiele dzieci, a którego szanse na otrzymanie mieszkania w Polsce przed końcem XX wieku są mgliste, jest ofiarą polityki czy "jedyń"ie" z tej gospodarki realizowanej przez kolejne biuro polityczne. Spór o to, czy owe kolejne biura mogły czy nie mogły gospodarować lepiej /jako że "ta krowa po prostu nie daje mleka"/ nie jest tematem, który interesowałby urzędników imigracyjnych we Włoszech czy w Szwecji. Trudno wymagać od nich by rozumieli coś, czego sami często nie potrafimy dobrze wytłumaczyć.

Paradoksalność sytuacji polega między innymi na tym, że dotyczące tej samej osoby prawa emigranta oraz imigranta nie są zgodne. W przypadku braku pierwszych i restryktywnego traktowania drugich dochodzi może do sytuacji tragicznych, jak to się dzieje w przypadku wietnamskich *boat-people*.

Zacząłem od prawnych aspektów problematyki, bo wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy z ich istnienia. Ludzie wiedzą oczywiście, że coś tu nie gra i że wszystkim winien jest "czarwony". Nikt nie lubi być prześladowany i nakłaniany do wyjazdu przez dobronliwych urzędników od spraw wewnętrznych. Nikt też - poza bardzo młodymi ludźmi, - nie lubi jeździć "na saksy", a jeśli już musi, to wołałby sprawę uregulować od początku, mieć zapewnioną opiekę konsularną i prawo do powrotu bez szykan. Ludzie wiedzą, że tak nie jest. Takiej regulacji prawnej domagał się nawet Edmund Osmańczyk, człowiek nie tak już wiele rozumiejący. Mogłoby się wydawać, że na zdrowy rozum rzecz biorąc... No tak, ale gdzie komunizm, a gdzie zdrowy rozsądek... W dziewięciu przypadkach na dziesięć to, co z punktu widzenia przeciętnego mieszkańca PRL byłoby zdroworozsądkowym rozwiązaniem danego problemu, z punktu widzenia rządzących nami komunistów grozi ograniczeniem ich władzy, godzi w pragmatykę systemu lub jego ideologiczne podstawy.

Tyle powiedziawszy o prawie, powinniśmy zająć się z kolei statystyką. To znaczy powiedzieć, ilu naszych rodaków zostaje w ciągu roku za granicą; jak wyglądałaby krzywa tego procesu dla ostatnich lat dwudziestu; ilu wraca i po jakim czasie? Taki statystyczny kwestionariusz można by, rzecz jasna, rozbudować i - przepraszam za brzydkie słowo - uosocjologicznić. Statystyka rzadko czyni człowieka mądrzejszym, sprawić jednak może, iż lepiej orientuje się on w danym zagadnieniu. W przedmiocie, o którym mowa, pożytek byłby taki, że wiedzielibyśmy, jakie są ilościowe wyznaczniki zjawiska. Bo przypadki spektakularne, takie jak "ucieczki" z promu "Rogalin" pod koniec roku 1984 czy ze "Stefana Batorego" bodajże wiosną 1969 roku do poważnej refleksji źle się nadają. Przecież interesuje nas nie pytanie, "ilu ludzi może

skacząc z 'Batorego' dotrzeć wpław do brzegów Norwegii i jaki ich procent stanowić będą dobrzy katolicy?", lecz "jaki przeciętnie procent uczestników zbiorowych zagranicznych wycieczek nie wraca do kraju?". Nie dysponuję takimi danymi, co chyba czytelnika nie zaskakuje; moja wiedza o statystyce w ustroju socjalistycznym podpowiada mi, że danych takich nie gromadzi nikt. Wypada zatem przyjąć arbitralne założenie - bez którego artykuł ten nie miałby sensu - że różne formy emigracji czasowej i stałej obejmują na tyle znaczną ilość osób, iż tworzy to poważny problem społeczny.

IV

Spółeczny. A moralny, to już nie?

Moralny oczywiście też. Ale moralne oceny takiego zjawiska jak emigracja odnosić się muszą z natury rzeczy do jednostek. Pozostanie za granicą pana Iks może być moralnie usprawiedliwione, choć w świetle obowiązującego w PRL prawa nielegalne, zaś złożenie przez panią Ygrek wniosku o paszport emigracyjny, choć w pełni legalne, może być naganne. Ocena zależy od bardzo wielu okoliczności dodatkowych. Nie sądzę, by słuszne było zalecenie: ktokolwiek urodził się w Polsce /czy na przykład w Hiszpanii/, ten, wyjąwszy wakacje oraz okres nauki, winien całe życie spędzić w Polsce /*respectively* w Hiszpanii/; kto zaś postępuje inaczej winien być publicznie potępiony. Ktoś może się godnie zachowywać na emigracji, ktoś inny może być infamisem w kraju i trudno byłoby w przypadku pierwszym dorzucać minusy za wyjazd, zaś w drugim plusy za pozostanie.

V

Zapytajmy teraz, jakie to grupy społeczne obejmować może i *de facto* obejmuje emigracja /jako czynność opuszczenia kraju/?

Wydaje się, że nazwać można cztery takie grupy:

1. Pisarze, kompozytorzy, malarze i w ogóle tak zwani twórcy.
2. Naukowcy, a przede wszystkim młodzi, zaczynający karierę badacze.
3. Dzieńtaczki przed- i pogrudniowej "Solidarności".
4. Tak zwani zwykli ludzie, na ogół młodzi lub w sile wieku, wyjeżdżający z przyczyn zarobkowo-politycznych.

Powiem od razu - a do motywacji wrócę później - że za najpoważniejszy uważam problem wyjazdu ludzi, tworzących grupę wymienioną na końcu.

A teraz po kolei.

Nie sądzę, by ewentualny wyjazd na lata całe pisarza czy kompozytora, był sam przez się ważnym problemem społecznym, choć może być czymś bolesnym dla samego twórcy. Pisarz jako pisarz istnieje nie przez to gdzie mieszka, lecz przez to, co pisze. Jeśli polskiemu kompozytorowi tworzy się lepiej w Anchorage niż w Zielonej Górze, to niechaj dla dobra kultury - a kultury polskiej w szczególności - siedzi w tym Anchorage jak najdłużej. Bogactwo współczesnej literatury polskiej współtworzą na jednakich prawach "Transatlantyk" i "Powrót prokonsula", przy czym teoretycznie mogło się zdarzyć tak, że poezja Herberta powstała na emigracji, zaś proza Gombrowicza w kraju; ważne jest, że obie powstały w tej sferze wolności, do której komunizm nie potrafił - dzięki postawie artysty - dotrzeć. Ale sfery tej nie wyznaczają południki i równoleżniki.

Jeśli natomiast pisarz powiada: nie wracam do kraju, bo nie podoba mi

się ten ustrój, a pisze złe książki, to decyzja ta, prawdę mówiąc, niewiele mnie obchodzi. Chce mieszkać w Bergen lub w Salonikach - jego sprawa. Roman Bratny byłby złym pisarzem niezależnie od tego, czy zostałby po wojnie na Zachodzie, czy wrócił do kraju /co, jak wiemy, się stało/. Decyzja powrotu miała jedynie pozytywne znaczenie finansowe dla samego Bratnego i trudno, by się ktokolwiek tym przejmował. No, może urząd skarbowy.

VI

Z młodymi badaczami sprawa przedstawia się w sposób o wiele bardziej skomplikowany. Sporo tu problemów i społecznych i moralnych wynikających stąd, że wprawdzie nauka jest międzynarodowa, ale szkolnictwo już nie. Proszę tedy, by czytelnik - mając w pamięci poprzednie zdanie - wyobraził sobie następującą sytuację.

Jest mianowicie - on, czytelnik - profesorem biochemii i ma bardzo zdolnego ucznia /płeć obojętna/ w wieku lat 25-27. Młody człowiek /płeć nadal obojętna/ jest tak zdolny, iż zasadnie można zakładać, że zostanie znakomitym uczonym, kto wie, może noblistą. Ma też ów młody człowiek pewne zainteresowania społeczne. Nie żeby przesadne, bo naprawdę pochłania go pewien problem z zakresu jego specjalności, ale to gazetkę przyniesie, to na ćwiczeniach powie głośno coś, co lepiej by mówił po cichu /tak się składa, że proziekan to sk...syn i beztalencie/. To są jednak drobiazgi. Naprawdę poważny jest inny problem - przy obecnym stanie dewastacji nauki w Polsce, braku pieniędzy na aparaturę i najprostsze odczynniki, o komputerach nie mówiąc, przy miotanej tańcem św. Wita polityce przyznawania paszportów młody człowiek niczego tu nie dokona. Skończy jako zgorzkniały dydaktyk, przeświadczony o tym, że zmarował życie. O ile przedtem nie strzelił jakiegoś głupstwa i nie wylądował na pół roku w pudle. A w biochemii liczą się nie miesiące, a tygodnie. To nie matematyka - w celi niczego nie wymyślisz, a już na pewno nie sprawdzisz. Skądinąd może się zresztą okazać, że młodemu człowiekowi brak jednej śrubki, tej, która sprawla, że z pięciu rokujących wielkie nadzieje tylko jeden coś osiąga...

Co byś poradził swemu asystentowi, mój czytelniku-profesorze?

Byś mógł się leplej wczuć w sytuację, opowiem ci historię profesora Iks, jednego z nielicznych chemików polskich o prawdziwie światowym dorobku.

Odłóż w grudniu 1981 roku profesor Iks /lat około 40, żona, dwoje dzieci/ znajdował się wraz z rodziną w USA, gdzie miał kontrakt w jednym z najważniejszych ośrodków badawczych. Wiosną 1982 roku uczennica Iksa miała obronę pracy doktorskiej. Profesor uznał, że jako Nauczyciel winien być na tej imprezie obecny. Zjawił się w kraju przekonany, że do żony i dzieciatek /nie wiem, czy płowotłosych i niebieskokokich/ oraz do laboratorium wróci za kilkanaście dni. No, i osiadł w ojczyźnie, jak każdy z nas, z dowodem osobistym w kieszeni. Po miesiącach rozłąki dotoczyła doń żona z dziećmi. I zaczęto się: starania,, podania, odwołania, pisanki, obietkanki, cacanki, protekcje, obiekcje, kolekcje /zdjęć do paszportu/. Starał się nie tylko profesor. O profesora starała się a to Bazylea, a to jakiś concern, a to któryś ze światowej stawy uczonych. Iks zaś za każdym razem stawiał warunek: musi część roku akademickiego spędzić w Polsce, bo ma tu uczniów, wykłady i pracownię /ubożuchną, ale ojczystą/. Przez dwa lata wszystko, co Iks osiągnął streszcza się w powiedzeniu "dwie chaty...". Z niezrozumiałych względów profesor w tym czasie żadnych odkryć nie dokonał. Za to nauczył się postugiwać starą maszyną marki "Erica", co w naszym protektoracie bardzo jest przydatne w korespondencji z rektoratem. /To oczywiście zmyśliłem - nie wiem czy profesor Iks umie pisać na maszynie/. Wczesnym latem 1984 roku żona profesora wraz z dziećmi dostała paszport turystyczny, a niedługo potem jego samego wypuszczono do Holandii na jakiś kongres. Starania s-be-

cji i wydziału nauki KC o pozbycie się z kraju uczonego zostały uwieńczone sukcesem - nie wygląda na to, by profesor prędko zawitał do Polski. Miejmy nadzieję, że z pożytkiem dla nauki.

To wszystko ci, czytelniku, przekazawszy, zostawiam cię sam na sam z problemem emigracji młodych uczonych oraz uczonych *in spe*. Rozważ go sobie bez żadnej z mojej strony sugestii.

VII

Wszystko, czy też prawie wszystko, co w latach 1982-1984 napisano w prasie drugiego obiegu o emigracji /to jest o czynności emigrowania/ dotyczyło działaczy "Solidarności", a skutek - prawdę mówiąc - miało niewielki. Z czołowych przywódców "Solidarności" nie wyjechał prawie nikt, myślę jednak, że postępowali tak nie dlatego, że czytali wzniosłe wezwania i rozsądne uwagi /był na przykład taki rozsądny artykuł w *Mazowszu* bodaj wiosną 1984 roku/, lecz dlatego, że sami wiedzieli, co robić. Artykuły zawierały dwa zalecenia, nie zawsze wyraźnie rozdzielone. Pierwsze głosiło, że nie należy decyzji o wyjeździe podejmować w więzieniu czy internie. Drugie, że działacze "Solidarności" w ogóle nie powinni emigrować. Pierwszy wydaje mi się słuszny i roztropny. Drugi bez potrzeby opatrzony wielkim kwantyfikatorem "w ogóle". Autorzy tych artykułów nie zdawali sobie sprawy z cichego terroru, jakiemu poddawano na prowincji członków komisji zakładowych i ich rodziny. Obrzydano im życie na tuzin sposobów, szykanowania dzieci nie wyłączając.

Nie wiem, ilu działaczy "Solidarności" wyemigrowało. Jedni twierdzą, że kilkuset, inni, że około sześciu tysięcy. Myślę, że nie da się tego sprawdzić, przynajmniej dzisiaj. Założmy tedy, w sposób dowolny, że wyjechało około trzech tysięcy. Byłoby absurdem, gdybym globalnie potępił lub hurtem usprawiedliwił trudną decyzję kilku tysięcy nieznanych mi ludzi, decyzję podejmowaną w różnych, acz z reguły trudnych, okolicznościach. *A priori* krytycznie oceniłbym jedynie tych, którzy handlują martyrologią. O ile wiem, część tych emigrantów nadal działa na rzecz Związku, niekiedy z pożytkiem, niekiedy wręcz przeciwnie. Większość zapewne, siłą rzeczy, podjęta normalny los imigrantów: pracują lub starają się o pracę, uczą się obcego języka, poznają nowych ludzi, w tym przychylnych i nieprzychylnych, dobrych i złych. Wierzący chodzą do kościołów po to by się modlić, niewierzący nie chodzą do kościoła i sytuacja taka w sumie wydaje mi się przejrzystsza niż to, co ze zrozumiałych względów dzieje się w kraju. Ale przede wszystkim imigranci starają się stworzyć sobie nowe życie, co na pewno nie jest łatwe, a im kto starszy, tym na ogół trudniejsze. Znaczy to między innymi, że jedni dorabiają się, inni zaś biedują. Ten ostatni podział usiłuje wykorzystać komunistyczna propaganda. Jej *Schadenfreude* z tytułu tego, że części emigrantów źle się powodzi jest wręcz wmitogenna. Ta zła radość z cudzego niepowodzenia rozpisywana jest na głosy w prasie. O tych, którym się powiedziało prasa milczy, tu działa czerwona szeptanka: oczywiście, pojechali się dorobić, dorobkiewiczze, mają szmal, o to im tylko chodziło. Nie mam cienia wątpliwości, że oba typy tej perswazji oddziałują na część odbiorców w kraju, odwołują się bowiem - oba - do ludzkiej zawiści, która jest ważnym emocjonalnym składnikiem sowietyzacji. Toteż każdy zabierający głos w sprawach emigracji powinien uważać, by nie wdepnąć w błoto całej tej komunistycznej manipulacji zawiścią. Między innymi powinien uważać na język, jakim mówi o tych sprawach.

Jest rzeczą znamienną, że z grupy, o której mowa, do kraju wróciło bardzo niewiele, a tylko dwie osoby zgodziły się wystąpić w telewizji.

W sumie sprawę można uznać za zamkniętą, nawet przy założeniu, że jesz-

cze trzech członków KK i trzydziestu ośmiu członków komisji zakładowych złoży podania o paszporty emigracyjne. Jest ona smutna w zwykły, ludzki sposób, ale na pewno nie ma w niej nic gorszego. Tak się przecież dzieło po każdym nieudanym zrywie wolnościowym. Rozmawianie: nie podejmujemy prób wybicia się na wolność, bo są ryzykowne i mogą się zakończyć porażką, gdy zaś tak się zakończy, wówczas część ludzi wyemigruje z kraju - rozmawianie takie brzmi nawet logicznie, ale jest to logika paranoika.

W artykułach na temat wyjazdów, a szczególnie w rozmowach na temat emigracji, o których pisałem na samym początku, irytował mnie fakt, iż dyskutanci najczęściej redukowali problem do - mówiąc brutalnie - emigracji "Solidarności". Odbierałem to jako dowód zamknięcia się w swoistym getcie. Uważałem i uważam, że emigracja działaczy to jedynie część zagadnienia i nie najważniejsza. Byłe Związki były, a przywódcy zawsze się znajdują; w sytuacji koniunktury z reguły w nadmiarze. To, co podoba mi się w dzisiejszym ruchu oporu - a jak wiadomo, podoba mi się nie wszystko - to fakt, iż w ciężkich warunkach wciąż znajdują się chętni do podjęcia niewdzięcznej pracy, która żadnej stawy nie przynosi.

W kraju emigracja działaczy nie wyrządziła żadnych widocznych szkód. Przede wszystkim chyba dlatego, że wielu z tych, którzy wyjechali i tak robiłoby niewiele, bo by się do tego nie nadawali. Nie jest tak, by każdy dobry działacz z okresu legalności nadawał się do pracy w warunkach pół czy wręcz nielegalnych. I trudno kogoś za to winić, chyba, że na siłę pcha się do czegoś, po czemu wyraźnie brak mu danych. Na przyszły raz wybierając władze związku...

No dobrze, na przyszły raz i tak nikt nie będzie pamiętał o naszych doświadczeniach. Historia jest zapewne nauczycielką życia, ale wyraźnie brak jej talentów pedagogicznych. Czasem zresztą na szczęście.

VIII

Napisałem - zapewne ku oburzeniu niektórych czytelników - że nie uważam wyjazdów działaczy "Solidarności" za problem najważniejszy w splocie zagadnień społecznych i politycznych określanych skróto słowem "emigracja". Za najpoważniejszy - co napisałem na początku - uważam fakt, iż od długiego czasu kraj nasz rocznie opuszcza na różne sposoby kilka do kilkunastu tysięcy młodych przeważnie ludzi. Najczęściej są to technicy, inżynierowie, matematycy, architekci, ale i lekarze, i ludzie ze średnim ogólnym wykształceniem. Oczywiście są wśród nich niebieskie ptaki i zwerbowani przez s-becję czy tam kontrwywiad agencji, znajdzie się też zawsze kilku zagrożonych lub niedopieczonych dygnitarzy. Łudzi się jednak, kto myśli, że tworzą oni więcej niż wąski margines tego ubytku energii.

Jest to emigracja polityczno-zarobkowa. A polityczna dlatego, że - normalnych poszukiwaczy przygód wyłączając - zaplecze ludzkich decyzji o wyjeździe lub też o nie-powrocie jest w ogromnej większości przypadków ustrojowe. Ustrojowe w płaszczyźnie gospodarczej, politycznej, prawnej i - co uważam za najważniejsze! - psycho-społecznej. Ten ostatni typ motywacji najlepiej odaje poetycki skrót Urszuli Kozioł:

*może to się nadać na wiersz
może to się nadać na pieśń
ale wiecie-rozumiacie panie
żaskawy
na życie to się nijak nie nadaje^o.*

^x Cytuję bez zgody autorki za *Nowym Zapisem* nr 6. Wyrwane z kontekstu. Na litość boską, proszę nie zrozumieć tego tak. Że Urszula Kozioł namawia

Jak we wszystkich procesach socjalnych, tak i tu nie wolno utożsamiać społecznego, w danym przypadku ustrojowo-politycznego zaplecza zjawiska z indywidualną decyzją pana F., pani B. czy małżeństwa W. Poczuciem bezna-
dzielności ogarniętych może być - i jest, o czym za chwilę - setki tysięcy
ludzi, wyjeżdża zaś kilka, lub kilkanaście tysięcy.

Jeśli jednak błędem byłoby redukcjonowanie jednostkowych decyzji do ich spo-
łecznego zaplecza, to za równie błędne uważałbym wypreparowanie tych posta-
nowień z socjologicznego kontekstu, przedstawianie ich jako abstrakcyjnych
aktów moralnych. To ostatnie tworzyć by mogło fałszywą optykę i prowadzić
do wadliwego nazwania całego zjawiska.

Wspomniałem na samym początku, że do napisania tego artykułu skłoniły
mnie niektóre wydarzenia z końca ubiegłego roku. Chciałbym - zgodnie z za-
powiedzią - napisać o jednym z nich. Tym wydarzeniem, czy też faktem, było
opublikowanie przez krakowskie pismo pozacenzuralne *Bez dekretu* fragmentów
ankiety, przeprowadzonej w roku 1983 na terenie Krakowa.

Z opublikowanego tekstu wybieram sprawę w sposób najbardziej bezpośredni
odnoszącą się do tematu niniejszego artykułu i przytaczam obszerne fragmen-
ty konkluzji krakowskich socjologów.

"Technika badań, którą zastosowaliśmy, służy odpowiedzi na pytanie, czy
dana społeczność, rozpatrywana jako zbiór jednostek ma optymistyczną czy
pesymistyczną wizję przyszłości. /.../ Na ogół jest tak, że nawet w bardzo
biednych społeczeństwach ludzie żyją optymistyczną wizją przyszłości. Chcą
wierzyć i wierzą w pewną poprawę swych warunków. /.../

W Polsce, jak się wydaje, /.../ d o m i n u j e n i e p e w n o ś ć
j u t r a i p e s y m i z m. /.../ Wizję przyszłości - za 10 lat -
dwukrotnie częściej uznaje się za niewiadomą niż za 5 lat. A ta za 5 lat
przez blisko 60% określana jest jako gorsza. Naturalna więc tendencja do
optymistycznego widzenia dalszej perspektywy przyszłości została zastąpio-
na w świadomości Polaków przez demobilizujący stan niepewności i pesymizmu.
Optymistów, nawet w tej ginącej w sieni dali perspektywie dziesięciu lat
jest tylko /łącznie/ - 8,9%.

W wielu społeczeństwach prawidłowe jest zjawisko polegające na tym, że
ludzie widzą przyszłość całego społeczeństwa bardziej niepewnie i pesymis-
tycznie niż przyszłość własną, indywidualną. /.../

W naszym przypadku otrzymaliśmy rezultat bardzo odmienny i rzadki. Opi-
szony przeto to zjawisko: ludzie w większości spodziewają się dla siebie,
jako jednostek, z t e j p r z y s z t o ś c i, a dla społeczeństwa
jako całości - k a t a s t r o f y. /.../

Od 54% do 85% badanych widzi bliską i daleką przyszłość indywidualną
i zbiorową bądź jako stagnację obecnego złego stanu rzeczy, bądź jako małe
lub duże pogorszenie. Najbardziej pesymistycznie widziana jest zbiorowa
i bliska przyszłość - 85,5%^{x1}".

Już widzę pogardliwe machnięcie ręką: phi, socjologia! pod koniec lat
70-tych krakała i krakała, a co się okazało...

Nie komentuję cytowanej tu ankiety, choćby dlatego, że jest to fragment
fragmentu. Jednak na to ewentualne pogardliwe machnięcie ręką muszę odpo-
wiedzieć. Otóż zatrważające wyniki ankiet z końca lat 70-tych nie były nie-
prawdziwe. Nie uwzględniały natomiast tego, czego nie mogły uwzględnić: re-
generacyjnej siły społeczeństwa i wyjątkowego zbiegu okoliczności, który

ludzi do wyjazdu z kraju. Zresztą nie namawia ich też do pozostania, bo to
w ogóle nie jest sprawa poezji, zaś autorka cytowanego poematu j e s t
poetką.

x "Naród - 'Solidarność' - komunizm. Fragment ankiety". *Bez dekretu*
nr 1. Kraków, listopad 1984 r.

spowodował taki, a nie inny przebieg wydarzeń latem i jesienią 1980 roku. Można zatem bez popadania w sprzeczność założyć, że wyniki krakowskiej ankiety prawdziwie odzwierciedlają psycho-społeczny stan zbiorowości i że ta sama zbiorowość posiada znaczne siły regeneracyjne, które zapewne ujawnią się przy najbliższej nadarzającej się okazji.

Nas jednak interesują tu, w tym artykule, przytoczone konkluzje krakowskich socjologów wyłącznie w tym zakresie, w jakim odnoszą się do problemu emigracji.

IX

Wniosek, iż przedstawiona powyżej sytuacja psycho-społeczna sprzyja podejmowaniu decyzji o wyjeździe nie wymaga szczególnej bystrości umysłu, ani nadmiernie rozbudowanej wyobraźni socjologicznej. Nawet uznając wyniki uzyskane przez krakowskich badaczy za skrajne, przyjmując, że w całym kraju jest nieco lepiej, i tak można powiedzieć: jeśli ludzie w skali statystycznie doniosłej widzą najbliższą przyszłość własną i całego społeczeństwa tak pesymistycznie, wyjeżdża zaś tak mało osób - no, bo nawet kilkanaście tysięcy rocznie, to nie tak wiele - to nie jest źle i o czym tu mówić.

W istocie emigracja nie jest zjawiskiem groźnym i i o s c i o w o, lecz j a k o s c i o w o. W naszym przypadku - inaczej, niżby to mogło mieć miejsce w NRD, gdyby nie szczelnie zamknięta granica - nie o to chodzi, ile osób wyjeżdża, lecz k t o wyjeżdża. /Pomijam aspekt indywidualnego dramatu, bo tu wszyscy są równi, co nie znaczy, że każdy jednakowo przeżywa sprawę/.

Rzecz w tym, że w większości wypadków ludzie podejmują decyzję o wyjeździe, a często o pozostaniu na "Zachodzie" - który może być Australią lub Japonią - "na niepewne". Rozumiem przez to, że - choć może nie w pełni - jednak zdają sobie sprawę z ryzyka, praktycznie nieodwracalnego. Otóż podjęcie takiego ryzyka wymaga aktywnej postawy wobec życia, dużego zasobu energii, wiary we własne siły i własną dobrą gwiazdę, wyobraźni i przedsiębiorczości. I nie chodzi tu jedynie, a nawet nie przede wszystkim, o materialny aspekt decyzji, lecz o absolutną niewiadomą, jaką jest zdolność każdego z nas do adaptacji w obcym środowisku. Dotyczy to, choć nieco w mniejszym stopniu, nawet tych, którzy w RFN automatycznie uznawali się za obywateli niemieckich, i którzy dość często mają tam bliższą lub dalszą rodzinę.

Jeśli założyć, iż niemal każda jednostka posiada pewien zasób energii dającej się z pożytkiem dla innych uruchomić, to wśród emigrantów procent ludzi o dużych zasobach takiej energii jest znacznie wyższy niż w całym społeczeństwie. Współczesna emigracja zarobkowo-polityczna z Polski jest poważnym problemem społecznym przede wszystkim - choć nie jedynie - właśnie z uwagi na fakt, iż wyjeżdżają ludzie, co do których zasadnie wolno domniemywać, że z różnych względów byłiby dla społeczeństwa cenni. To prawda, że znaczna część zalet tych ludzi w pełni zrealizować się może w warunkach gospodarki rynkowej, że więc w PRL albo w ogóle by się nie urzeczywistniła, albo doszłaby do głosu w bardzo ograniczonym zakresie. Ale nawet biorąc pod uwagę tę poprawkę, uznać należy ów ubytek energii za poważną stratę.

Tu oburzony działacz podziemia lub naziemia powiedzieć może: jeśli są tacy aktywni, to niech zakładają tajne drukarnie, fabryczki powielaczy, struktury ponadzakładowe; niech organizują życie intelektualne w parafii, niech działają w przykościelnych komitetach pomocy pozbawionym wolności itp.

Ależ - odpowiem na to - oni to robią. To znaczy, część z nich. Gdyby nie cała nielegalna działalność "Solidarności", ilość emigrantów byłaby znacz-

nie większa. Toteż ci, którzy chętnie widzieliby rozwiązanie podziemia, motywując to troską o "substancję narodową", winni zdawać sobie sprawę z tego, że ewentualna realizacja ich koncepcji prowadzi do wzrostu ilości wyjeżdżających za granicę. Nie jest przecież tak, by wszyscy, którzy pracują w prasie i wydawnictwach drugiego obiegu nadawali się do pracy w parafli. I nie dlatego, że działa tu podział na wierzących i niewierzących, bo - jak wiadomo - przy parafiach działają również ludzie niewierzący.

Nie zapominajmy, że wcale nie błaża część ludzi zastanawiających się nad ewentualnym wyjazdem bierze pod uwagę taki argument, jak zapewnienie lepszej przyszłości dzieciom. Że podejmują ryzyko, o tym już pisałem. Ale oni są zdania, że zostając w kraju mają pewność: mianowicie że dzieci lepszej przyszłości nie zaznają. Otóż jakkolwiek dyskusyjnie może być to rozumowanie, nie sposób uznać takiej motywacji za dyskwalifikującą moralnie.

Jest tak, że bardzo wielu ludzi ma "tego wszystkiego" absolutnie dosyć. I że spośród nich na wyjazd z kraju decydują się tacy, którzy w innych warunkach bardzo by się krajowi mogli przydać. W innych i nie tylko w innych.

X

Jest więc źle. Mamy do czynienia z poważnym problemem społecznym, którego - obym był złym prorokiem - waga i czysto ilościowy zakres będą w najbliższych latach nie maleć, lecz narastać. Oczywiście, można sobie wyobrazić, że w pewnym momencie komuniści radykalnie - w stosunku do obecnych - ograniczą możliwości wyjazdu. Ale po pierwsze, jak się wydaje, nie mają oni nic przeciw temu, by ludzie psychicznie, osobowościowo aktywni, przedsiębiorczy, pomysłowi, a więc stanowiący dla nich potencjalne zagrożenie, opuścili kraj. Po drugie, szczelne zamknięcie granicy jest rozwiązaniem pozornym i spowodować musi zapełnienie więzień, a przy kolejnej "liberalizacji" - masowy *exodus*. Po trzecie wreszcie, z powodów zasadniczych jest to rozwiązanie dla demokratycznego ruchu oporu nie do przyjęcia.

Jeśli więc jest źle, a prawdopodobnie będzie gorzej, to powstaje pytanie, czy można temu procesowi ubytku energii społecznej jakoś przeciwdziałać?

Otóż obawiam się, że w niewielkim stopniu.

W warunkach biedy, zniechęcenia i braku nadziei na poprawę emigracja nie jest procesem, który można radykalnie ograniczyć przy pomocy nie pozbawionych racji moralnych apeli. Skądinąd za moralne należy uznać, iż w takiej sytuacji księża zwracają ludziom uwagę na fakt, iż brak nadziei nie jest zgodny z postawą chrześcijańską. Za błąd ruchu oporu uznałbym natomiast potępienie wszystkich wyjeżdżających *en masse*. W ogóle nie przepadam za potępieniami, a już szczególnie w przypadku tak skomplikowanych i trudnych decyzji, jak postanowienie wyjazdu z ojczyzny.

Cóż więc możemy uczynić my, w ten czy inny sposób działający w ruchu oporu i zdający sobie sprawę z niepożądanych skutków tego, co nazwałem ubytkiem energii?

Otóż myślę, że przede wszystkim winniśmy sobie uświadomić, o co chodzi. Jakie są przyczyny zjawiska, w miarę możliwości jaki jest jego faktyczny zakres? Sądzę, że mimo wszystkie trudności coś nie coś dałoby się tu ustalić, choćby prosząc o pomoc emigrację.

Po drugie, jestem pewien, że TKK winna wydać oświadczenie, czy też sygnować zamówione opracowanie. Wskazać na społeczne i polityczne przyczyny zjawiska, nazwać jego skutki, no i jeśli już kogoś potępić, to może nie wyjeżdżających, a tych, którzy ponoszą odpowiedzialność za ubóstwo, brak

perspektyw, poczucie beznadziejności. Tym, którzy rozważają ewentualność wyjazdu TKK powiedzieć może, że są nam potrzebni, że owszem, prosimy ich o poświęcenie.

Pewnie to i niewiele, ale chyba jest to nieodzowne minimum.

P.S. Tytuł artykułu jest cytatem z piosenki śpiewanej przez tucję Prus /i, bodaj, Skaldów/ do słów Agnieszki Osieckiej: "Wśród ptaków wielkie poruszenie, ci odlatują, ci zostają..."

LEOPOLITA

Lwówek, styczeń 1985

KULTURA, marzec 1985

SEAWOMIR MROŹEK

KOEGZYSTENCJA

Ksiądz proboszcz zastał w domu diabła. Ten miał na głowie czerwoną, dżokejską czapeczkę, siedział przy stole i patrzył na człowieka - księdza w tym wypadku - uważnie. Bowiem diabeł, w przeciwieństwie do człowieka, nie jest roztargniony. Niepodzielony między dobro i zło, a tylko całkowicie poświęcony złu, wolny jest od rozterki, co pozwala mu zachować pełną koncentrację w każdej sytuacji.

Działo się to o zmierzchu, kiedy ksiądz wrócił do domu po spełnieniu codziennych obowiązków parafialnych. Ujrawszy diabła, westchnął jak drwał, który przez cały dzień ścinał sosny w lesie, a wieczorem zobaczył, że w jego izbie wyrósł tymczasem dąb.

Wiedział jednak z doświadczenia i wykształcenia, że diabeł trwa, to znaczy nie podlega fluktuacjom, przypływowi i odpływowi, wzmaganii i zanikaniu, rytmowi pracy i odpoczynku, snu i jawy. Więc nie zdziwił się aż tak, jak by się zdziwił drwał, a tylko - i tu odpowiednie jest porównanie z drwalem - podwójnie odczuł zmęczenie.

- Czego? - zapytał krótko i niezbyt gościennie.

- Właściwie to niczego, po prostu jestem - odparł diabeł. Księdzu przyszyły do głowy wszystkie interpretacje diabelskości, wszystkie możliwe spekulacje na temat natury diabła, oraz egzorcyzmy. Odruchowo przymierzył do sytuacji ten, to znowu inny sposób na wypędzenie diabła. Było ich jednak tyle i po dniu pełnym czynności czuł się tak wyczerpany, że nie zdecydował się na żaden. Już chciał powiedzieć: "No to sobie bądź", ale powstrzymał się, bo taka zgoda na istnienie zła byłaby niewłaściwością.

- Rozumiem - powiedział diabeł. - Ale się nie obawiaj. Ja też dam spokój, nie będę cię ani kusił, ani motał żadnych intryg i podstępów. Posiedzę sobie, to wszystko.

- Oczywiście kłamie - pomyślał ksiądz. - Kłamstwo leży w jego naturze. Należałoby go przepędzić. Jeżeli chce sobie posiedzieć i nic więcej, to dlaczego akurat u mnie, dlaczego nie gdzie inziej? Ale niech najpierw

zdejmę buty i włożę pantofle. Gdybym był młodszy... Ale wiek robi swoje. Nie jestem już tak szybki jak dawniej.

Zdjął buty, włożył pantofle, zaparzył herbatę. Kątem oka obserwował diabła. Ale ten dotrzymywał obietnicy. Nie odzywał się, siedział skromnie, nie zdjął nawet czapki, co wskazywało na to, że nie zamierzał się rozgościć i w ogóle nie przejawiał żadnej z tych aktywności i przedsiębiorczości, z których był znany.

Wypiwszy herbatę ksiądz, nie tyle z chęci lektury, ile żeby zyskać na czasie, wziął do ręki książkę o treści nie-kontrolerskiej. Ale dzięki temu właśnie powieki, które z trudem utrzymywał nad źrenicami zaciążyły mu jeszcze bardziej, nie mógł ich utrzymać. Kiedy drzemka zamieniała się w pół-drzemkę widział diabła bez zmian, grzecznie siedzącego przy stole, ale jakby w oddaleniu. "Ciekawe, że mi jednak nie przeszkadza. Powinien przecież czegoś chcieć ode mnie, a nawet jeżeli niczego na razie nie chce, podejrzewam, że to tylko podstęp powinno mi nie dawać spokoju. Nigdy dosyć czujności wobec diabła. Zabiorę się do niego, ale nieco później, kiedy wypocznę".

- Jeszcze tu jesteś? - zapytał, kiedy ponownie ocknął się z drzemki. Diabeł potwierdził tylko skinieniem głowy. Był oczywiście i najwidoczniej, to nie wymagało aż słownego potwierdzenia. Siedział nadal skromnie, jak gdyby w poczekalni, to znaczy jak by nie miał żadnego interesu w tym pomieszczeniu, w którym się znajdował, nie zdjawszy nawet tej swojej czerwonej, groteskowej czapeczki. "Nie jest napastliwy" - pomyślał ponownie proboszcz, "a jeżeli coś knuje, zawsze będzie dość czasu, żeby temu zapobiec. A poza tym..." - i wtedy chciał proboszcz zażegnać pewne jednak wyrzuty sumienia - "Jeżeli nawet jest tutaj, to znaczy, że nie ma go gdzie indziej. Mnie on nie szkodzi, tu go mam na oku i dopóki tu jest nie może szkodzić innym nie będąc tam, gdzie go teraz nie ma. Ostatecznie lepiej tak, niż go przepędzić, czyli wysłać go dokąds, gdzie nie wiadomo jakie szkody by poczynił. Niech sobie więc siedzi, bo jeżeli ktoś na tym traci, to tylko on sam".

I ułożył się do snu już na dobre i spędził pierwszą noc z diabłem. Bo diabeł, kiedy ksiądz się obudził o świcie, siedział nadal przy stole, wciąż w tej błazeńskiej, czerwonej czapeczce na głowie, niezmiennie. Diabeł nie podlega zmęczeniu i nie potrzebuje wypoczynku. Ksiądz zdziwił się, że mimo obecności diabła spał jak zazwyczaj, głąboko i bez złych snów.

Kiedy ksiądz opuszczał domostwo, żeby odprawić mszę poranną, diabeł odprowadził go do drzwi spojrzeniem, nie ruszając się jednak z miejsca. Tym samym spojrzeniem powitał go wieczorem gdy ksiądz powrócił do domu. Zachowywał się jak wierny, dobrze wychowany pies, z tą tylko różnicą na swoją korzyść w porównaniu z psem, że nie potrzebował żadnego starania i opieki. Ksiądz przypomniał sobie o wczorajszym postanowieniu, żeby diabła przepędzić, ale jednocześnie przypomniał sobie argumenty, które sprawiły, że nie przepędził go wczoraj. "On mi nic nie robi, to i ja mu nic nie robię. U mnie jest nieszkodliwy. Kiedy już musi być, to niech chociaż będzie bezczynny. Lepiej, żeby siedział tu, gdzie mi nie szkodzi, niż żeby stąd poszedł i szkodził ludziom. A niech-no tylko ze mną spróbuje, pokaże ja mu wtedy egzorcyzmy!".

Lecz diabeł nie próbował. Wystrzegał się jakiegokolwiek, najmniejszego bodaj konfliktu ze swoim gospodarzem. Wszystko, czego potrzebował, to tylko miejsce przy stole.

Kiedy nie był pytany nie odzywał się, a ksiądz nie pytał go o nic. Spokój za spokój. Może wydać się dziwne, że proboszcz nie korzystał z okazji, aby dowiedzieć się czegoś o przeciwniku w bezpośredniej i niejako towarzyskiej rozmowie. Czy nie chciał wdawać się w żadne z nim dyskusje pamiętając, że z diabłem dyskutować nie należy? Zapewne. Wiedział, że diabeł tylko na to czeka. Przecież dlatego właśnie chciał go wyrzucić na początku, obawiał się,

że diabeł tylko po to przyszedł, żeby go wciągnąć w rozmowę. I później pozwolił mu zostać tylko dlatego, że diabeł się nie odzywał. Miał się więc na baczności, żeby nie zacząć tego, czego nie zaczynał diabeł. Ale też - ksiądz nie był już człowiekiem młodym i niedostateczna była już jego ciekawość. Zwłaszcza w porównaniu z wysiłkiem, jakiego by musiał dokonać, żeby ją zaspokoić. Nie podjąłby tego wysiłku nawet wtedy, gdyby zasadnicze względy nie wchodziły w grę. Wracał do domu zmęczony, znajdował diabła na swoim miejscu, nie odzywali się do siebie. Ksiądz szedł spać, diabeł czuwał. I tak się między nimi utożyło.

Pewnego razu odwiedził parafię biskup. Znalazł kościół w doskonałym stanie, duszpasterstwo wzorowe. Nie darmo proboszcz trudził się od świtu do nocy, dlatego przecież wracał do domu tak zmęczony, że nie zwracał uwagi na diabła.

- Chętnie byśmy obejrzeni jeszcze i plebanię - powiedział biskup na zakończenie.

Proboszcz przypomniał sobie jakiegoś domownika biskup u niego zobaczy i przeraził się. Ale odmówić nie mógł. Przekonany, że oto koniec wszystkiego, pewny nieuniknionego skandalu, bezgranicznej kompromitacji i nieobliczalnego nieszczęścia, przeklinając w myśli diabła i swoją własną lekkomyślność, dlaczego nie wyrzucił go z domu już pierwszego dnia, dlaczego zwlekał, na co czekał - otworzył drzwi. Więc jakież było jego zaskoczenie i ulga, kiedy mieszkanie okazało się puste. Diabeł zniknął. Proboszcz nie mógł się oprzeć uczuciu wdzięczności dla diabła, choć zdawał sobie sprawę, że uczucie to było w najwyższym stopniu niewskazane, poniżające i niegodne. Diabeł bo diabeł, ale kiedy trzeba umie zachować się przyzwoicie i po koleżeńsku.

Biskup rozejrzał się i już miał pochwalić skromne, samotnicze gospodarstwo, gdy dostrzegł czerwoną, dżokejską czapeczkę, którą diabeł pozostawił na stole. Z niemym zapytaniem przeniósł wzrok na proboszcza, bo wydało mu się dziwne, aby czcigodny opiekun parafii używał tak niepoważnego, tak ośmieszającego stan duchowny nakrycia głowy. Dziwne i niestosowne.

- To... to mój siostrzeniec. Odwiedza mnie czasami - skłamał proboszcz. Gdyby powiedział, że czapeczka należy do niego, byłoby to również kłamstwo.

Biskup pokiwał głową ze zrozumieniem i wyraził swoje ogólne zadowolenie z całokształtu. Następnie odjechał, w dalszym ciągu bardzo zadowolony. Kiedy proboszcz został sam w mieszkaniu, diabeł wyszedł z szafy, w której się był ukrył. Zbliżył się do proboszcza i ohydny uśmiech tryumfu wykrzywił jego paszczę.

- Wujku! - zawołał radośnie i otworzył szeroko ramiona.

Sławomir MROZEK

KULTURA, maj 1985

PIOTR PAWEŁ URSYN

NIE ZAPOMNIEĆ - PRZEMYŚLEĆ I PRZEBACZYĆ

W Niemczech mieszkam od niedawna, zaledwie kilka miesięcy. Nowy kraj i jego mieszkańców obserwuję jeszcze ostrym spojrzeniem przybysza. Czuję jednak, że proces asymilacyjny już się rozpoczął: coraz mniej dziwią mnie odrębności obyczajowe, coraz naturalniejszy wydaje mi się tutejszy stopień cywilizacji i dobrobytu, z którego przecież w jakimś stopniu też korzystam. Zapewne niedługo nie będę już widział Niemców jako jednolitej całości, a raczej jako Westfalczyków, Szwabów i Bawarczyków, zwolenników chrześcijańskiej demokracji, socjalistów i zielonych. Podobnie jak oni widzą siebie samych. Wzrost znajomości Niemiec i Niemców od wewnątrz będzie się nieuchronnie wiązał z zatarciem punktu widzenia Polaka, który musi przecież ustalić swój stosunek do potężnego sąsiedniego narodu właśnie jako do całości i dla którego jego podziały wewnętrzne są sprawą drugorzędną, a często wręcz egzotyczną. Najwyższy więc czas na możliwie szerokie przemyslenie stosunków polsko-niemieckich z nadzieją znalezienia w ten sposób wskazówek pożytecznych dla siebie, a może i dla innych. Nie sądzę, by moje poniższe rozważania były szczególnie oryginalne. Być może zajmuję się wręcz wywalaniem drzwi dawno otwartych - nie miałem czasu ani możliwości systematycznego śledzenia publicystyki na temat spraw polsko-niemieckich, choćby tej, tak cennej, zajmującej sporo miejsca na łamach *Kultury*, czy też wystąpienia Władysława Bartoszewskiego, Stefana Kisielewskiego i Jana Józefa Lipskiego. Do zabrania głosu skłania mnie zawodowy nawyk formułowania myśli, a także przekonanie o znaczeniu dla współczesności bagażu historii nawet tak odległej, sprzed wielu setek lat, często zapomnianej lub też nadużywanej i fałszywie interpretowanej.

Pierwszym wrażeniem, które odniosłem po przyjeździe do Republiki Federalnej - i które z czasem jeszcze się wzmochniło - była niezwykła życzliwość, z jaką spotykałem się i spotykam na każdym kroku. Życzliwość pełna praktycznej rzeczowości, odmienna może od wylewnej przyjaźni Włochów, ale nie mająca nic wspólnego z arogancją Francuzów czy chłodną wyższością Anglików. Życzliwość, której towarzyszy o wiele większe zaangażowanie i o wiele lepsza znajomość spraw polskich niż w innych znanych mi krajach. Było to dla mnie prawdziwym odkryciem, choć jechałem tu bez negatywnych uprzedzeń, a w każdym razie bez uprzedzeń, które przez wiele lat starała się we mnie wyrobić peerelowska propaganda. Ciśnienie antyniemieckiej propagandy jest ogromne. Posługując się montażem prawd, półprawd i zupełnych kłamstw buduje ona jednolicie czarny obraz zachodniego sąsiada, który był, jest i musi nadal być wrogiem Polaków; jedyny i karkołomnie uzasadniony wyjątek czyni dla oficjalnie kochających nas czerwonych Prus. Wywody różnych panów Męciwskich i Kolliatów są proste i pozornie logiczne. Oto od tysiąca lat zmagamy się z germańskim niebezpieczeństwem. Na samym początku była Wanda, co to nie chciała Niemca. Zaraz potem - najazdy Sasów na państwo pierwszych Piastów, które znalazły bezpośrednią kontynuację w ekspansji krzyżackiej. Krzyżacy w naturalny sposób przekazali pałeczkę państwu pruskiemu, a stamtąd prosta już droga do rozbiorów, Bismarcka i Hakaty,

Hitlera i Oświęcimia, wreszcie do czyhającego na nasze ziemie zachodnie Adenauera /ostatnio jakoś zaniedbanego/ i dzisiejszych straszaków w postaci śląskich ziomków o dziwnie nie niemieckich nazwiskach. Skuteczności tej propagandy nie można nie doceniać, pomimo całego jej prymitywizmu. Ma przecież do swej dyspozycji wiele prawdziwych argumentów, ze straszliwymi doświadczeniami ostatniej wojny na czele. Poprzez idiotyczne, ale wciągające produkcje w rodzaju przygód kapitana Klossa czy "Czterech pancernych" potrafi ona być przy tym **p i e r w s z y m** czynnikiem, kształtującym stosunek do obcych najmłodsze pokolenie. Miałem doskonały na to dowód; gdy mój sześciolatek wówczas Maciek po obejrzeniu kolejnego odcinka "Pancernych" /nie było sposobu, żeby go od tego odwieść/, na moje pytanie, co należy robić z małymi chłopcami niemieckimi /pojawił się jeden z nich na filmie ku zażenowaniu pozytywnych bohaterów, przyzwyczajonych do bezpardonowego gromienia Germańca/ - odpowiedział bez wahania, że należy ich zabijać. A Maciek jest z natury dzieckiem bardzo łagodnym.

Nie pociąga mnie dalsze konfrontowanie moich niemieckich spostrzeżeń z propagandą w stylu kapitana Klossa. Na rozpatrzenie zasługują natomiast prawdy, a nawet półprawdy na temat historycznych konfliktów polsko-niemieckich. Wandą zajmować się nie będziemy - pomimo całego szacunku, jaki żywię dla legend. Zaczniemy zatem od Sasów. Nie ulega wątpliwości, że początki państwowości polskiej wykuwały się w walkach z sąsiednimi margrafami, a także z kolejnymi cesarzami, od Ottona II po Henryka V. Nie ulega też wątpliwości, że stroną nacierającą byli Niemcy. Czy jednak całą sprawę można ujmować w kategoriach jednoznacznie czarno-białych? W odległych czasach wczesnego średniowiecza wojna stanowiła nie po clausewitzowsku specyficzny, ale główny środek prowadzenia polityki. Wobec słabości czy wręcz braku dyplomacji i opinii międzynarodowej, a często wręcz i elementarnych wiadomości o przeciwniku, najazd i starcie zbrojne były jedynym sposobem ustalenia proporcji sił jako podstawy do dalszej rozgrywki politycznej. Powszechna praktyka brania łupów sprawiła przy tym, że wojna przeradzała się często w szczególnie gałąź działalności gospodarczej. Nie lepiej i nie gorzej niż w wielkopolskich i śląskich puszczech zachowywali się margrabiowie i cesarze przy okazji swych sporów wewnętrznych czy też wypraw w innych kierunkach, choćby po korony longobardzką i cesarską. A kierunek wschodni nęcił swą niższością cywilizacyjną i pustką polityczną w znaczeniu chrześcijańskiej Europy, obiecując zdobycie bogactw i suwerennej pozycji. Niemiecka ekspansja w kierunku wschodnim była więc zwykłą prawidłowością historyczną i ocenianie jej w kategoriach moralnych jest takim samym błędem, jak na przykład użalanie się nad polityczno-etnicznymi następstwami wędrówek ludów /w odróżnieniu oczywiście od optakanych skutków cywilizacyjnych i kulturowych ciemnych wieków pierwszego tysiąclecia/. Drugi zasadniczy błąd, to wywodzący się ze "Starej baśni" sielsko-siermiężny obraz naszych przadziadów, przykładnie zajmujących się rolnictwem i bartnictwem, a potrzebę agresji wyładowujących co najwyżej w ramach łowów na dzikiego zwierza. Nic bardziej fałszywego. Jakkolwiek Słowianom rzeczywiście brakło wrodzonej, a właściwie zrodzonej przez warunki, wojowniczości Skandynawów czy azjatyckich koczowników, to przecież Mieszko i kolejni Bolesławowie odparli jakos powtarzające się ataki, a w chwilach wytchnienia sami chętnie wyciągali rękę po cudze, nawiedzając zbrojnie a to braci Czechów i Rusów, a to Węgrów, nie mówiąc już o wyjątkowo antypatycznych Pomorzanach, którzy ani rusz nie chcieli zrozumieć, że ich przeznaczeniem jest życie w ramach państwa polskiego. Nie wiemy nic na temat trybu jednoczenia rdzennych dziś ziem polskich i nie ma żadnych powodów do przypuszczeń, że miałyby się ono odbyć wbrew ogólnoeuropejskiej prawidłowości - zupełnie bezkruwawo, na zasadzie zrozumienia historycznych konieczności przez nowych poddanych Piastów. Poza tym, w rozsądnej ocenie całej sprawy ważną rolę powinny odegrać skutki. Za pierwszych Piastów Polska w zasadzie utrzymała swój stan posiadania na zachodzie, nie mogła skarżyć się na zabory i eksterminację. Jeszcze ważniejszy może jest czynnik czasu. Pojęcia takie jak Cydzyna, Niemcza,

Głogów czy Psie Pole nabrały barw dopiero po ostatniej wojnie, w bardzo określonej sytuacji politycznej i psychologicznej. A przecież nie można zapominać, że mamy tu do czynienia z wydarzeniami sprzed tysiąca lat. Czy boczny się dziś na Litwinów, Węgrów, Szwedów czy Turków za ich równie groźne, a o wiele późniejsze najazdy? I wreszcie kropka nad i: wyprawa - nieudana zresztą - cesarza Henryka V w roku 1109 była o s t a t n i m atakiem z zachodu aż do czasu niezbyt krwawych operacji rozbiorowych, a na dobrą sprawę aż do 1 września 1939. Paradoxem: o którym często zapominamy jest fakt, że stałe cofająca się granica zachodnia w sensie wojennym była przez 700 lat granicą najbezpieczniejszą.

Teraz przeskok ku Krzyżakom, malowanym w naszej kulturze niezmiennie czarnymi barwami, przynajmniej od czasów "Konrada Wallenroda", nie mówiąc już o "Grunwaldzie" Matejki i książce Sienkiewicza, z której większość społeczeństwa polskiego czerpie potoczną wiedzę na temat naszego średniowiecza. Czy ów jednolicie negatywny obraz Zakonu jest usprawiedliwiony? W pewnym sensie tak. Krzyżacy byli niewątpliwie wrogiem niebezpiecznym i nieustępliwym, działającym w oparciu o konsekwentny plan podboju. Stosowane przez nich metody wyróżniały się bezwzględnością nawet na tle praktyk owych czasów, co zresztą obróciło się przeciwko nim z chwilą, gdy urosło w siłę niemieckie mieszczaństwo pruskie poszukujące oparcia w Polsce, gwarantującej o wiele większe swobody i przywileje. Nie można ich natomiast obwiniać o sam fakt ekspansywności. Zakon został przecież sprowadzony przez polskiego księcia właśnie w celu podboju Prus, a raz uzyskawszy własne terytorium i suwerenność, w naturalny sposób dążył do ich umocnienia i poszerzenia kosztem sąsiadów, z których część była jeszcze poganami, a więc według ówczesnych pojęć nie zasługiwała na równoprawne traktowanie. Pozostaje tragiczna sprawa eksterminacji plemion pruskich. Wymaga ona przynajmniej dwóch uwag. Po pierwsze - współodpowiedzialność za wyniszczenie Prusów ponosi strona polska, jako inicjująca podbój i współpracująca na niektórych etapach w jego realizacji. /Trzeba tu dodać, że Prusowie, tak jak nieco później Litwini, byli sąsiadami bardzo uciążliwymi/. Po drugie - owej eksterminacji nie można rozumieć w sensie dostojnym. Niewątpliwie wielu Prusaków zginęło w walce, ale w ówczesnych warunkach nie mogło być mowy o wymordowaniu całego narodu. Byłoby to niemal niewykonalne, a także nieusprawiedliwione z punktu widzenia gospodarczego. Człowiek był zbyt cennym czynnikiem ekonomicznym w pustej jeszcze Europie. A Krzyżacy byli znakomitymi organizatorami życia gospodarczego, tworząc w swym państwie jeden z wielkich cudów ekonomicznych Średniowiecza. Tak więc, nie usprawiedliwiający bynajmniej metod postępowania zakonników z czarnym krzyżem na płaszczach, negatywna ocena ich działań, wynikających z samego faktu istnienia ich państwa, nie jest usprawiedliwiona historycznie. A poza tym historia kontaktów Polski z Zakonem zamknęła się w roku 1525 i gdyby nie to, że dawne terytorium krzyżackie stało się jedną z podstaw potęgi pruskiego zaborcy, rzecz uległaby dawno zapomnieniu. Przecież inflancki odłam Zakonu nie nosi w naszej historii znaku ujemnego, bo z nami nie walczył, a przeciwnie, przyłączył swe terytorium jako lenno do Rzeczypospolitej. A natura Krzyżaków w Prusach i Inflantach musiała być taka sama.

Zwróćmy teraz uwagę, że następny moment zapalny w dziejach stosunków polsko-niemieckich przyszedł dopiero w drugiej połowie XVII wieku. W trudnych dla Polski czasach wojen szwedzkich i kozackich z zachodu nie wyszedł żaden atak, a zbliżanie politycznego kapitału przez pruskich i brandenburskich Hohenzollernów było ich naturalnym prawem - w sensie dynastycznym wręcz obowiązkiem. Fryderyk II - król-filozof, poeta i muzyk - był oczywiście jednym z największych w historii gangsterów politycznych i wyrządził Polsce wielkie i niczym niezastąpione krzywdy. Trzeba jednak pamiętać, że podobnie postępował wobec innych sąsiadów. Rozbiory były wielką zbrodnią wobec Polski, a jak się z czasem okazało i wobec całej Europy, ze względu na wydatne przesunięcie ku zachodowi strefy wpływów rosyjskich. Włącznie

terytoriów polskich do organizmów państw zaborczych w najprzyzwoitszy sposób przebiegało właśnie w Prusach, gdzie system prawny był twardy, ale jednakowo obowiązywał wszystkich i gdzie wiele się można było nauczyć, jeżeli chodzi o sprawy cywilizacyjne i gospodarcze. Bardzo zmienny jest kierunek tamtejszego ruchu narodowego, rezygnujący z walki zbrojnej /powstanie roku 1848 jest drobnym epizodem w porównaniu z powstaniami listopadowym i styczniowym/ na rzecz pracy organicznej, dla której pruskie ustawodawstwo stwarzało odpowiednie warunki.

Sytuację zasadniczo pogorszył dopiero obłąd nacjonalistyczny II połowy XIX wieku, mający na celu tyleż niszczenie polskości, co dostarczenie Niemcom czynnika cementującego jedność narodową, budowaną bez entuzjazmu, a czasem i wbrew woli większości nie Prusaków. Nie ulega wątpliwości, że czasy *Kulturkampf'u* i Hakaty, czasy prześladowań Grzymały i dzieci z Wrześni były okresem walki o biologiczne przetrwanie żywiołu polskiego pod zaborem pruskim, czasami bezpośrednio antycypujące najtragiczniejsze wydarzenia drugiej wojny światowej. Wtedy właśnie powstał i utrwalił się stereotyp odwiecznej i nieprzezwyciężalnej wrogości pomiędzy obydwojma narodami, który zastosowano i do interpretacji dziejów dawniejszych.

Zło największe, o natężeniu wręcz niewyobrażalnym w poprzednich dziesięcioleciach i stuleciach, przyniósł okres drugiej wojny światowej. Powody i mechanizm całkowitego odrzucenia wszelkich pojęć moralnych i nie mającego w dziejach paraleli zezwierzenia znacznej części narodu o tak pięknych i wielkich tradycjach stanowi jedną z największych i najtragiczniejszych zagadek historii europejskiej. Niezależnie od wszelkich prób rozwiązań, nie ulega żadnej wątpliwości, że cała odpowiedzialność za wywołanie wojny i jej przebieg spada na niemieckie państwo i na niemiecki naród. Wszelkie polskie działania w tym czasie były tylko próbami obrony, a ich skutki w żadnym stopniu nie wyrównały straszliwych strat poniesionych przez naród polski.

Niemcy musieli zostać ukarani za swe zbrodnie, szaleństwa, zaślepienie czy choćby przyzwolenie. Ukarani też zostali bardzo ciężko przez miliony zabitych i rannych, przez zniszczenie całego kraju, przez podział swego państwa i poddanie części narodu obcej władzy, wreszcie przez utratę znacznych części terytorium przedwojennego. Ten ostatni aspekt bezpośrednio rzutuje na obecne stosunki polsko-niemieckie. Według oficjalnej peerełowskiej historii przesunięcie polskich granic nad Odrę, Nysę i Bałtyk stanowiło nasz udział w zwycięstwie, było aktem sprawiedliwości dziejowej i powrotem na historyczne, niegdyś siłą zagrabione ziemie. Ten punkt widzenia przyjętą się też szeroko w polskiej opinii, nawet tej najdalszej od popierania komunizmu. Na ogół przejawia się on w traktowaniu polskiej obecności na ziemiach zachodnich i północnych jako czegoś zupełnie naturalnego, czasami jednak przybiera formy przynajmniej wątpliwe, czego niedawnym przejawem było nazwanie przez biskupa chełmińskiego dziełem Opatrzności Bożej uzyskanie przez Polskę 500-kilometrowego wybrzeża Bałtyku. Oczywiście żaden polski rząd, ani komunistyczny, ani też przyszły, niekomunistyczny, nie może się zgodzić na rezygnację z ziem zachodnich. Jedno spojrzenie na mapę wystarczy do zorientowania się, czym byłby kraj zawarty pomiędzy granicą zachodnią z roku 1939 a linią Curzona. Konieczność obrony stanu posiadania, warunkującego przeżycie narodu, nie jest jednak równoznaczną z koniecznością daleko idącego fałszowania dawnej i nowej historii w celu przyznania sobie całej słuszności w sporze. Ziem zachodnich Polska nie zdobyła sobie w zwycięskiej walce. Otrzymała je kosztem wroga pokonanego od wroga zwycięskiego, ubierającego się w szaty sojusznika i opiekuna. Celem całej operacji było danie jej zadośćuczynienia za dokonany wcześniej rabunek jej własnego terytorium, a w jeszcze większym stopniu stworzenie nierozwiązywalnego problemu w stosunkach pomiędzy Polską a Niemcami, którego najwyższym arbitrem miały pozostać i pozostają Sowiety. Kłm wbity przez Stalina przed 40 laty do dziś niewiele stracił ze swej skuteczności. O konieczności utrzymania przy Polsce ziem nad Odrą i Bałtykiem decyduje więc po prostu brak jakiegokolwiek

innej alternatywy, nie zaś bardzo wątpliwe racje historyczne. Przede wszystkim, ziemie te nie stanowią żadnej jednolitej całości, a związki z Polską poszczególnych ich części przedstawiają się zupełnie rozbieżnie. Sprawiedliwość dziejowa, rozumiana jako niezbyt precyzyjne połączenie czynników historycznych i etnicznych wymagała dość znacznych przesunięć przedwojennych granic Polski na zachodzie. Otóż Polsce należał się niewątpliwie cały Górny Śląsk, pewne poprawki na jej korzyść w Wielkopolsce i na Pomorzu, wreszcie Gdańsk, etnicznie niemiecki, ale związany z Polską wiekowymi tradycjami i blokujący ujście jej największej rzeki. W Prusach Wschodnich, niezależnie od spornych terenów najbłyszczących, należało z przyczyn czysto strategicznych dążyć do likwidacji całej enklawy niemieckiej. Taki mniej więcej program terytorialny zgłaszały kolejne polskie rządy od początku niepodległości po koniec wojny. Otrzymaliśmy znacznie więcej. Na południu - cały Dolny Śląsk, związany wprawdzie z Polską wieloma niemi tradycjami, ale od dawna pozbawiony polskiej ludności. Wygranie przez Stalina sporu o geograficzną interpretację nazwy Nysa włączyło przy tym do Polski spory kawałek Łużyc, które należały do niej jedynie przez parę lat za czasów Chrobrego. Na dobrą sprawę taskawość Ojca Narodów mogła sięgnąć jeszcze dalej, po Budziszyn, w okolicach którego zachowała się przynajmniej ludność słowiańska oraz Drezno, gdzie w tamtejszej galerii rami obrazów opatrzone są herbami Polski i Litwy. Na północy sytuacja jest jeszcze bardziej złożona. Przy niewątpliwych związkach z Polską Pomorza wschodniego i Gdańska, rozsądna granica historycznej i etnicznej polskości nie sięga zbyt daleko na zachód. Szczecin pojawia się w polskiej historii tylko w odległych wiekach XI i XII, a i to głównie jako ośrodek zaciekłego oporu przeciwko ekspansji państwa piastowskiego. Inkorporacja Prus Wschodnich wiązała się głównie, jak już wspomniano, z potrzebami strategiczno-wojskowymi. Legitymista mógłby się wprawdzie powołać tu na układ Konrada Mazowieckiego z Krzyżakami, przewidujący oddawanie mu terenów zdobytych na Prusach, a także na hołd pruski z roku 1525, ale o tym, jak w Poczdamie traktowano argumenty historyczne świadczy włączenie do Sowietów północnej części Prus z Królewcem i to nie do zainteresowanej bezpośrednio Litwy, ale wprost do Federacji Rosyjskiej. Stalin żądał tego wówczas jako satysfakcji moralnej /a gdzie zasada pokoju bez aneksji?/ oraz tęgą na temat potrzeby uzyskania przez ZSSR niezamarzającego portu na Bałtyku. A Królewiec co roku zamarza.

Tak więc powtórzmy raz jeszcze, że w Poczdamie przyznano Polsce pewne terytoria słusznie się jej należące, ale również i takie, które w normalnych warunkach w jej skład wchodzić nie powinny, oraz że miało to być zadośćuczynieniem za jeszcze większe straty na wschodzie. Utrzymanie tych ziem stanowi dla Polski życiową konieczność, ale posuwanie się zbyt daleko w kłamliwym uzasadnianiu ich historycznej polskości jest niestudzne i jednoznaczne z moralną aprobatą utraty Lwowa i Wilna. Społeczeństwo polskie powinno się tu zdobyć na rozgraniczenie sfer polityki i moralności. Obrona stanu posiadania w oparciu o bieżące realia nie musi iść w parze z bezwzględny i historycznym negowaniem racji strony drugiej. Przecięż gdyby PRL posiadała chociaż cień niezależności, istniałyby w niej niewątpliwie potężne związki Lwowiaków, Wilnian czy Wołyniaków, rozwijające działalność analogiczną do tej, którą prowadzi w RFN Ślązacy z Czają i Hupką na czele. Historyczna obecność Niemców na dzisiejszych ziemiach odzyskanych posiada bowiem wiele analogii z obecnością polską nad Bugiem. Tylko niewielka część tych terenów została zasiedlona przez Niemców w wyniku klasycznego podboju /Prusy, część Pomorza/ i to podboju, który wcale nie odbył się kosztem ówczesnej Polski. Klasycznym przykładem są tu dzieje Śląska, który od Polski odpadł w wyniku rozbięcia dzielnicowego, następnie stopniowo dostał się pod panowanie czeskie, a wraz z Czechami pod habsburskie. Prusy zdobyły go dopiero w połowie XVIII wieku w wojnie z Austrią. Śląscy Niemcy mogą więc powołać się na tradycję sięgającą wieku XIII, a więc dłuższą niż polska tradycja na Rusi i Litwie. Posiadali oni takie samo prawo do zwalczania powstań śląskich jak Polacy do obrony

Lwowa i inkorporacji tzw. Litwy Środkowej. Uzurpowanie sobie monopolu słuszości kosztem wszystkich sąsiadów /a w ówczesnych warunkach niestety przeciwników/ jest zaślepieniem i stanowi rozumowanie na poziomie Kalego z "Pustyni i w puszczy", który problem dobra i zła ujmował na przykładzie prawa własności krowy, znak pozytywny i negatywny dodając w zależności od tego, czy ową krowę zdobywa się czy też traci. W sprawie kształtowania naszych granic decydowała niestety tylko siła, tak na początku istnienia II Rzeczypospolitej, jak w latach 1939 i 1945. Nie oznacza to jednak, byśmy podobny punkt widzenia, odrzucający wszelkie argumenty partnera, musieli przyjmować i dziś, a trwanie w tym samym przekonaniu w przyszłości w najlepszym razie może przyczynić się do utrwalenia stanu obecnego, nie zadołającego nikogo z wyjątkiem Sowietów, ale i do nowych komplikacji, a nawet tragedii.

Osobny problem, niezależny od politycznych i moralnych legitymacji naszego stanu posiadania na zachodzie i północy, stanowi obecny stan tych ziem, sposób w jaki w ciągu 40 lat Polacy traktowali swe nabytki. Jednym z klasycznych argumentów propagandowych na rzecz rzekomych korzyści płynących z przesunięcia granic było uzyskanie, w zamian za zacołane tereny wschodnie, ziem stojących o wiele wyżej pod względem cywilizacyjnym. Nie było to dalekie od prawdy. W skład powojennej Polski weszły terytoria wspaniałe pod względem krajobrazowym, posiadające doskonale postawione rolnictwo, w znacznej części przemysłowione. Prawdziwą perłą wśród nabytków był Śląsk, jedna z najpiękniejszych i najbogatszych prowincji całych Niemiec, łącząca w sobie wyjątkowe walory środowiska naturalnego z bogactwem tradycji historycznej oraz wysoko rozwiniętą gospodarką. Kolejna teza peerelowskiej propagandy dotyczy zagospodarowania i rozwoju ziem odzyskanych w okresie powojennym. W tym wypadku łgarstwo jest oczywiste. Ulubione przez komunistów bezwzględne wskaźniki produkcji rzeczywiście wzrosły, co jednak wcale nie świadczy o prawdziwym postępie. Wystarczy porównać choćby wizyta na terenach poniemieckich, by przekonać się o ich żałosnym, a niekiedy katastrofalnym wręcz stanie. Oczywiście, uzyskane przez Polskę ziemie były już poważnie zniszczone w końcowym okresie wojny i pierwszych miesiącach powojennych. Nie my zrównaliśmy z ziemią Gdańsk, Szczecin, Wrocław, Legnicę i dziesiątki mniejszych miejscowości. Wkraczająca na tereny wroga Armia Czerwona została zwolniona z wszelkich hamulców dyscyplinarnych, niszcząc i rabując do woli. Owemu prywatnemu rabunkowi towarzyszył rabunek zorganizowany, w ramach którego wyjeżdżały na wschód kompletne urzędnictwa zakładów przemysłowych. Posuwano się do demontażu całych linii elektrycznych. Od tego czasu minęło jednak 40 lat, powody daleko idącej dewastacji ziem odzyskanych tkwią głębiej, a odpowiedzialność za nią obciąża konto polskie. Polskim dziełem jest chaotyczna i niechlujna w ogromnej większości odbudowa zniszczonych miast oraz doprowadzenie do skrajny ruiny tych, które w czasie wojny nie ucierpiały. Polskim dziełem jest zadziwiająco wręcz zrujnowanie wspaniałej struktury śląskich i pomorskich wsi, jak gdyby zbyt obszernych dla potrzeb nowych mieszkańców. Towarzyszy temu katastrofalny stan wielkości spuścizny historycznej, wśród której znajduje się wiele zabytków o europejskim znaczeniu. Negatywne rezultaty przyniosły nawet te działania, które w normalnych warunkach powinny byłyby przynieść rozwój, czego najlepszym przykładem jest kłęska ekologiczna w śląskim zagłębiu miedziowym.

Dlaczego się tak stało? Odpowiedź powierzchowna, biorąca pod uwagę tylko skutki, dość rozpowszechniona wśród Niemców, wszystko kładzie na karb *polnische Wirtschaft*, niższości cywilizacyjnej Polaków i ich organicznej niezdolności do pracy konstruktywnej, która doprowadziła do zaprzepaszczenia wielkiego dorobku niemieckiego. Jest to jednak daleko idące uproszczenie. Przede wszystkim trzeba wziąć pod uwagę, kim byli ludzie, którzy przybyli na tereny poniemieckie, w jakich warunkach się tam znaleźli i w jakich warunkach przyszło im żyć i gospodarować. W ogromnej większości pochodzili z kresów wschodnich, z ziem rzeczywiście stojących nisko pod względem cywi-

lizacyjnym, nawet jak na stosunki polskie. Trzeba do tego dodać znaczną grupę deportowanych Ukraińców. Sam szok cywilizacyjny nie wyjaśnia jednak wszystkiego, a dzieje emigracji polskiej dowodzą umiejętności dostosowania się pozornie prymitywnych grup ludzkich do jeszcze większych zmian i przeskoków. O wiele ważniejsze było wyrwanie tych ludzi z ich naturalnego otoczenia, gwałtowne zniszczenie odwiecznych struktur społecznych i układów wartości, rodzące stany apatii i braku odpowiedzialności. Władze, powtarzające nieodmiennie slogany o nieodwracalności rozstrzygnięć powojennych, robiły niewiele lub zgoła nic dla wytworzenia prawdziwych więzów tej ludności z jej nowymi siedzibami. Najlepszym przykładem jest tu zwlekanie z właściwym uregulowaniem spraw własności nieruchomości. Poczuć tymczasowości wzmacniały stale zgłaszane pretensje niemieckie, zmierzające do rewizji postanowień poczdamskich. Jest niezwykle symptomatyczne, że indywidualne budownictwo mieszkaniowe na ziemiach zachodnich ruszyło na dobrą sprawę dopiero w latach siedemdziesiątych, po zawarciu układu z RFN i zwycięstwie Brandta w Warszawie. W takich warunkach niezwykle długo trwały wrastanie nowych świązków i Pomorzanie w teren, tworzenie się lokalnych wspólnot i lokalnych patriotyzmów, tak ważnych dla wszelkiej rozsądnej działalności społecznej i gospodarczej. W wielu wypadkach nie udało się to wcale. Miasta i miasteczka ziem zachodnich mają szczególnie wysoki procent lumpenproletariatu, marginesu społecznego, pogrążonego w alkoholizmie, utrzymującego się z różnej półlegalnej i nielegalnej działalności. Pamiętam, jak wstrząsające wrażenie zrobiło na mnie przed paru laty odwiedzenie kilkunastu mieszkań w Żabkowicach na Dolnym Śląsku, w związku z poszukiwaniem pewnego adresu. Istnienie tego zjawiska na tak szeroką skalę stanowi jeszcze jedną cenę, płaconą przez kolejne już pokolenie, za brutalność przemian społecznych stojących u początków PRL. Znacznie lepiej sytuacja przedstawia się przecież na terenach, gdzie zachowała się jeszcze ludność autochtoniczna. Tyle, że tych autochtonów jest coraz mniej. Potomkowie członków Rodła wypełniają w większości kontyngent emigrantów do RFN, których Andrzej Chłdecki w swych kronikach chyba nieco powierzchownie nazywa po prostu Niemcami. Czterdzieści lat polskiej władzy ludowej działo tu więcej niż wieki niewoli.

Jeżeli więc nowi mieszkańcy ziem zachodnich nie stanęli na wysokości zadania, za fakt ten ponoszą częściową tylko odpowiedzialność. Lwia jej część przypada państwu i wdrażanemu przez nie od lat 40 obłudnemu systemowi. Wina władz polega tu nie tylko na zaniechaniu działań koniecznych dla integracji nowej ludności. Ziemie zachodnie były i są poddawane tym samym destruktywnym operacjom co reszta kraju i to w stopniu może jeszcze intensywniejszym, ze względu na szczególnie wysoki tam procent gospodarki państwowej w rolnictwie. W pełnym niepewności okresie powojennym ziemie zachodnie były wręcz przedmiotem rabunku ekonomicznego i kulturalnego. Mało kto dziś pamięta, ile pociągów zabytkowej cełty rozbiórkowej przewieziono ze Śląska dla odbudowy Warszawy, a fakt przetrzymywania w Muzeum Narodowym w Warszawie czołowych dzieł sztuki Śląska i Pomorza stał się czymś już niemal naturalnym w wyniku wieloletniego zasiedzenia.

Na zakończenie tej części uwag nie mogę pominąć sprawy szczególnie bolesnej i wstydlivej. Na Śląsku, Pomorzu i w Prusach Wschodnich pozostały setki i tysiące świadectw historycznej obecności niemieckiej, w postaci kościołów, zamków i pałaców, pomników i nagrobków. Stan większości z nich nie jest dziś ani lepszy ani gorszy od stanu zabytków na rdzennych ziemiach polskich /choć nigdzie poza Śląskiem nie dopuszczono się świadomej dewastacji obiektów o klasie na przykład gigantycznego zamku w Kamieńcu Żabkowickim/. W jednej dziedzinie podjęto jednak systematyczną akcję destrukcyjną, w której komunistyczne władze znalazły, niestety, sojuszników wśród ludności oraz wśród kleru /nie chcę napisać o Kościele/. Chodzi tu o haniebne niszczenie śladów pamięci nie po niemieckiej władzy, ale po niemieckich mieszkańcach tych ziem, poprzez niszczenie nagrobków względnie przez usuwanie z nich niemieckich napisów. Istnieją przykłady traktowania w ten sposób

całych cmentarzy. Szczególny wstyd musi budzić jednak widok nagrobka ze świeżo skutym napisem w starannie odnowionym kościele, jak to ma miejsce na przykład w Jaworze. Znam wypadek odmowy przez proboszcza udziału w ratowaniu rodzinnej kaplicy grobowej, w której pochowany jest zamordowany przez hitlerowców uczestnik spisku lipcowego 1944 roku. Znam i znacznie gorszy, wręcz niepojęty w swym barbarzyństwie wypadek innej kaplicy, położonej w centrum miasta, w której przez całe lata leżały zwłoki wywleczone z rozbitych sarkofagów. Nikt nie czuł się za ten stan odpowiedzialny i zobowiązany do jego zmiany, ani władze miejskie, ani proboszcz. Zjawiska aż tak drastyczne są z pewnością rzadkie, niemniej istnieją i obciążają moralnie konto całego narodu, odbierając nam prawo do protestów przeciwko niszczeniu śladów polskości na kresach wschodnich.

W moich uwagach szczególnie wiele miejsca poświęciłem sprawom niezbyt może miłym dla polskiego ucha. To właśnie było moim zamiarem. Obiegowe opinie nie wymagają obrony i uzasadnień. Dobór materiału został przy tym mocno ograniczony przez charakter i rozmiary szkicu. Nie wspominałem nawet o ogromnych korzyściach cywilizacyjnych, jakie Polska wyniosła z wielowiekowych kontaktów z zachodnim sąsiadem, o życzliwym stosunku Niemców do polskich powstań w wleku XIX czy wreszcie o wewnętrznym zróżnicowaniu Niemiec. A ten ostatni fakt, niezależnie od wstępnego założenia traktowania narodu niemieckiego jako całości, ma niebagatelne znaczenie. Różnorodnego zła Polacy doznawali przede wszystkim od Niemców wschodnich - Sasów, a później Prusaków. Rozumieli to już pierwsi Piastowie, wojując zacięcie z pogranicznymi margrafami i utrzymując najlepsze stosunki z władcami znanu Renu.

Czy szkic ten ma na celu wezwanie do wstępowania do wskrzeszonego w RFN zakonu krzyżackiego, do pisania listów solidarnościowych do Hupki i Czaji, czy może wręcz do oddania ziem zachodnich? Przebóg nie! Racjonalny i uczciwy program ułożenia naszych stosunków z Niemcami musi jednak brać pod uwagę raczej strony drugiej, a także winy własne, choćby były one niewspółmierne do win partnera. Przyszłości nie można budować na nienawiści. Nie trzeba, a nawet nie wolno zapomnieć doznanych krzywd, natomiast trzeba zdobyć się na umiejętność ich wybaczenia. List polskich biskupów z roku 1966 był przejawem nie tylko chrześcijańskiego ducha pojednania i miłosierdzia, ale i dziełem wielkiej dalekowzroczności politycznej. /Warto zwrócić uwagę, że patrząc z dzisiejszej perspektywy powstał on dokładnie w połowie powojennej historii/. Furia, jaką wywołał u władz nie miała też nic wspólnego z oburzeniem moralnym, a wiązała się z faktem, iż równał się on zamachowi na jeden z koronnych argumentów, stanowiących legitymację komunistycznego panowania nad narodem. Bo złe, naznaczone nieufnością i kompleksami stosunki polsko-niemieckie przynoszą korzyść tylko czerwonemu żandarmowi Europy. Jak już wspomnieliśmy, nastawiony przez Stalina mechanizm działa do dziś. Podobne mechanizmy zostały zresztą wbudowane we wzajemne stosunki pomiędzy wszystkimi prawie - oficjalnie braćmi - narodami. Sowiety postępują się nimi z powodzeniem i poza granicami swego imperium, choćby kokietując Grecję rzekomo szczerym poparciem w jej zadawnionych sporach z Turcją, czy też zbrojąc i szczując Irak. Aby metodzie tej zapewnić skuteczność, konieczne jest zastąpienie autentycznego patriotyzmu prymitywnym nacjonalizmem. Do tego dążą wszystkie niemal rządy krajów komunistycznych, bez wahania podporządkowujące Moskwie najistotniejsze interesy swych narodów, a jednocześnie wrocie wobec wszelkich obcych w imię fałszywej interpretacji tychże interesów. Przykłady można by mnożyć prawie bez ograniczeń. Jedynym skutecznym lekarstwem na to tragiczne nierzadkie w skutkach wypaczenie pojęciowe jest prawdziwa demokracja /nie tak zwana ludowa/, prowadząca do naturalnego obumierania konfliktów narodowych. Współczesne przykłady terroryzmu irlandzkiego czy baskijskiego przeczą tej zasadzie tylko z pozoru. Naród niemiecki - a w każdym razie jego większość - od dwóch pokoleń żyje w warunkach demokratycznych i wiele ze swych problemów narodowo-terytorialnych potrafił rozwiązać w sposób, jak się wydaje, najlepszy. Nikt w RFN nie uprzedza się

dzisiaj o Alzację i Lotaryngię, spór o które tak fatalnie naznaczył w przeszłości stosunki niemiecko-francuskie. Względna ostrość i aktualność problemu polskich ziem zachodnich wynika z faktu, że zrodził się on i trwa w warunkach braku demokracji, odbijających się tak na całości zagadnienia, jak i na osobistych losach tysięcy, a może i milionów zainteresowanych. Naród polski dał już wielokrotnie i wciąż daje dowody, iż dążenie do demokracji stanowi jego główne pragnienie. Byłoby paradoksem i niewybaczalnym błędem, gdyby domena stosunków z Niemcami znalazła się poza nurtem owych dążeń i miała trwać w gorszej sytuacji niż w przeszłości. Niemcy są i pozostaną w przyszłości sąsiadem, od którego można się najwięcej nauczyć, mogą też stać się kiedyś pomostem ułatwiającym wejście Polski do demokratycznej i zjednoczonej Europy. Wiemy dobrze, że nie są w stanie pomóc nam w tym bezpośrednio, ale daleko idącą gotowość bezinteresownej pomocy humanitarnej udowodnili w ostatnich latach. W zmienionych kiedyś warunkach niemiecka pomoc - nie polegająca już oczywiście na wysyłaniu paczek - może zdecydować o przynależności Polski do cywilizowanego świata. Naszym podstawowym zadaniem dzisiaj jest usuwanie wszystkiego, co mogłoby tę przyszłą współpracę utrudnić, do czego konieczne jest nieszablonowe myślenie o przyszłości i teraźniejszości stosunków polsko-niemieckich.

Piotr Paweł URSYN

KULTURA, czerwiec 1985

WIKTORIA KRAŚNIEWSKA

MILOŚĆ^x

*tolko wyszytyj kisiet^o.
wzglada łaskowowo niet
tolko żałost^o, tolko trubka
tolko wyszytyj kisiet^o.*

Wyszywany woreczek na machorkę - to symbol obozowej miłości. Wańka czy kolka wyjmuję go ostrożnie z kieszeni, rozluźnia kolorowy sznureczek, chwytając palcami akurat tyle tytoniu, ile potrzeba na jedną bankrutkę i sypie go w nastawioną bumażkę kumpla, który pożera zazdrosnym okiem widomy znak szczęśliwego związku. Właściciel puszy się z zadowolenia i daje przyjrzeć się lepiej woreczkowi. A jest się czemu przyglądać. Na woreczku bywają kwiatki, gałązki misternie wywiedzione zieloną nitką, a czasem także wielkie serce i strzała, lub napis mówiący o wiecznej miłości, o wierności do końca dni. Z tą wiernością trochę gorzej, dochować jej trudno, nie pozwalają na to okoliczności, ale co szkodzi kilka pięknych słów, utrwalonych, by

^x Jest to rozdział ze wspomnień Wiktorii Kraśniewskiej, które pt. "Po wyzwoleniu... /1944-1956/" ukażą się w niedługim czasie w "Bibliotece Kultury".

im nadać więcej mocy, one pocieszają i napawają dumą. Niełatwo mieć dziewczynę w obozie, kobiet jest mało, a konkurencja ogromna, bo chętnych do obozowej żeniaczki wielu. Nie każdy więc ma szansę.

Herling-Grudziński dał obraz zbiorowego gwałtu w słowach plastycznych i przejmujących. Widzę więc natychmiast ten barak dość obszerny, piętrowe kojki, tępawe i obojętne twarze siedzących na nich zeków. Część z nich przygląda się scenie, część nie zwraca uwagi na fakt tak mało znaczący. Dziewczyna w pokornie strachliwym spojrzeniu i *blatnaczy* spuszczaający spodnie, zaspakajający żądze z naturalnością załatwiania najprostszego fizjologicznego potrzeby. To przecież przyroda - mówią Rosjanie. Czemu się dziwić. Zbędne tu są czułe słowa. *Kożys i dawaj* - wystarczy.

Lecz miłość w obozie ma różne oblicza. Obraz Grudzińskiego ukazał tylko jedno, może najbardziej drastyczne, mniej jednak nasycone dramatem, niż się to na pozór wydaje. Przypominam sobie inne sceny, inne twarze kobiet, które szczególnie silnie dotykał gułagowski los. Tylko kobieta bowiem ponosi tragiczne skutki nawet krótkiej chwili zapomnienia.

Bawiliśmy się kiedyś w obozie w układanie traktatu na temat miłości. Jak w każdym porządnym traktacie, należało zacząć od klasyfikacji. Trzy są więc jej rodzaje. Nazwanie ich jednak stwarza niemałe trudności. Język rosyjski poradził sobie co prawda z nią doskonale. Wiadomo było, że inna jest miłość *zakonnąją*, inna miłość uprawiana przez *ženatików*, a jeszcze inna ta, której oddają się *kobity*. Jak przetłumaczyć na polski język te lapidarne określenia? Jak przetłumaczyć słowa *ženatik*, albo *kobit*? Brak mi inwencji. Wielki traktat socjo-psycho-seksuologiczny na samym początku grozi nieadekwatnością. Chyba, że zostaną przy nazwach rosyjskich, a tym, którzy nigdy nie chcieli się nauczyć języka starszego brata, niech wystarczy, że mowa będzie o prawnych małżonkach, o tych, co żyją na kurzą łapę i o pederastrach, których także w obozie nia brakto.

Klasyfikacja gotowa, możemy przystąpić do określenia poszczególnych grup. Największa z nich to *ženatiki*. W Tu połowa naszych dam była z kimś związana. Z kim? Oczywiście tylko z mężczyzną, który mógł zapewnić odpowiednią obozową opiekę. Związek małżeński zawierano szybko na zasadzie dwustronnej zgody. Mężczyzna pytał: *chociesz drużyć?* Były to sakramentalne słowa. Kobieta odpowiadała: no tak, ale... I w tym miejscu zaczynał się mały przetarg na temat wzajemnych usług. Jeśli to był *nariadczyk*, *prorab*, komendant mógł obiecać wybrance lżejszą pracę: to propozycja nie do pogardzenia. Inni proponowali papierosy, coś z paczki, *kierzowije sapogi*, albo walonki pierwszego asortymentu, rzeczy cenne, warte rozpatrzenia. Kobieta zgadzała się prac, serować, zrobić na drutach szalik. O woreczku na tytoń nie było mowy. Rzecz ta do układu nigdy nie należała, będąc wyrazem wzruszonego miłością serca. O woreczku się marzy, na woreczek się czeka.

Układ zawarty, przystąpić należy do wykonywania małżeńskich obowiązków. Nie jest to łatwe, bo kochać się nie wolno. Za wszelkie intymne związki idzie się wprost do karceru. Trzeba więc oszukać nadzór. Trzeba wykorzystać wac pory, gdy wszyscy z nadzoru są zajęci. Spotkania muszą być siłą rzeczy krótkie. Nie marnuje się też ich na słowa. Patrzę, jak na parę minut przed *podjosem* nasze kobiety-*ženatiki* naciągają na koszule watowane spodnie i buszłaty, na bosc nogi walonki i po cichu wysuwają się z baraku. To dobra pora. Zaraz zadzwiczy dwon i nadzór zbierze się w swym biurze, żeby zdać raport o nocy naczelnikowi reżimu. Część nadzorców dyżuruje w stołówce, do której spieszą wychodzące na zonę do pracy brigady. *ženatiki* wślizgują się do kabinek, gdzie czeka mąż *prydunek*. Inne wprost do męskich baraków. Tam z górnych nar wystarczy spuścić trochę koca, by osłonić dolne przed wzrokiem gawiedzi i stworzyć intymny kącik. Czasem zresztą i na to czasu ani głowy nie ma, gdy się spieszyć trzeba, a jakaś mała przeskoda opóźniła przyście. Miłość kwitnie publicznie, bez specjalnej żenady. Pół godzinki, sprawa załatwiona. Dziewczyna leci prędko do baraku, trzeba bowiem ubrać

się, zjeść *batandę* i zdążyć na szóstą na *razwod* ¹.

Żenatiki korzystają z każdej nadarzającej się okazji i na ogół cieszą się dyskrecją kolegów. Nie wypada donosić o miłości. Dziś zresztą masz dziewczynę ty, jutro ja. Kobiety też są solidarne. Ostrzegają się przed niebezpieczeństwem, ułatwiają sobie wzajemnie przeżycie miłej półgodzinki. Naczelniczka krawieckiej pracowni wpuszcza stęsknioną parę do magazynu i zamyka drzwi na kłódkę. Po pół godzinie otworzy. Starszy taziębik po ci-chu wręcza klucze do nieczynnej o tej porze łożni. Miłość znajduje sobie miejsce wszędzie, w składzikach i w małej dyżurce doktora, w barakach i za stołem żelastwa w warsztacie, w piwnicy wśród kupy zwalanej kapusty i po prostu w ubikacji, co prawda niewygodnie na stojąco, ale co to dla pragnących siebie znaczy. Do Muzy, która zajmuje postanie obok mnie na kojce, Igor przychodzi zaraz po dzwonku na *razwod*. Oboje pracują w zonie, jest więc dla nich najlepsza pora. Mój stary, jeszcze ojcowski pled wisi między nami. Muza wyciąga prześcieradło i starannie zastania kojkę z pozostałych stron. Mało tam miejsca, więc Igor ściąga spodnie stojąc między narami i wślizguje się w ten prowizoryczny namiot. Halka - Rosjanka, która śpi nade mną, i ja czym prędzej uciekamy z baraku. Walce, która pracuje w kuchni na nocnej zmianie, nic igraszki Muzy nie przeszkadzają, choć się całę nary trzęsą. Śpi na górze pochrapując i tylko patrzeć, jak spadnie. Budzi to w nas serdeczny śmiech.

Żenatik musi być wierny. Obozowego męża zdradzać nie wolno. Kara może przyjść natychmiast i jest okrutna. *Urka* wpierv jednak udziela przestrogi. Dziewczyna stara się przewiązać sine podbite oko, trochę się wstydząc, a trochę pyszniąc uczuciem swojego Czumy. Bije, więc kocha. Czasem jednak przestroga nie odnosi skutku. Wówczas należy się spodziewać najgorszego: albo tramwaju, a więc zbiorowego gwałtu / *urka* rzuca niewierną na uciechę kumplom/, albo noża. Czasem się uda spod noża uratować, czasem ktoś powstrzyma od zadania ostatecznego ciosu. Dziewczyna wyliże się w szpitalu i wraca na *ożp* ². Nie na długo. Mogli już kochanka zabrać, mogli za próbę zabójstwa skazać go na nowy wyrok, lub, co częściej bywało, odesłać do kolonii karnej. Zostawali koledzy i ci zwykle mścili się jeszcze okrutniej na niewdzięcznicy.

Naprzeciwo mnie zajmuje kojkę dr Lidka K. Jest naszą obozową dentystką. Sympatyczna kobieta, fachowiec raczej marny, ale ząb wyrwać potrafi. W gruncie rzeczy na tym polegało leczenie. Kiedyś podobno była związana z jakimś lekarzem, zabrano go jednak na inny łagpunkt. Teraz żyje z inżynierem z biura planowania, dość przystojnym, sympatycznym mężczyzną, zajmującym wraz z kolegą w baraku "planowików" oddzielną kabinę. Doktor Lidka ma więc wszystkie wygody, nie musi zrywać się rano. Jej przyjaciel także pracuje w zonie, wystarczy zatem wyjść na chwilę w czasie roboczego dnia, spotkać się dyskretnie, najlepiej wówczas, gdy brygady wracają z pracy i nadzór zajęty jest ich przyjmowaniem. Sielanka trwa. Dr Lidka ma dużo rzeczy, więcej niż ktokolwiek z nas. Podobno poprzedni obozowy mąż otrzymywał duże paczki od rodziny, także z przeznaczeniem dla niej. Lidka ma porządne buty, nowe burki, chyba ze trzy sukienki i aż trzy swetry, ma własną bieliznę, rękawiczki, szaliki. Patrzę na nią zawsze z pewną zazdrością. Sztafirkuje się przed wyjściem do pracy, zawiązuje na szyi coraz to inną chusteczkę. Robi to jednak wszystko poważnie, bez kokieterii, jest bowiem osobą szanowaną, godną, zajmującą w hierarchii obozowej wysokie miejsce.

Piszę Lidka, a przecież nikt tak do niej w tym czasie nie mówił. Zwracano się zawsze per Lidia Daniłówna, skąd więc ta Lidka została mi w pamięci?

¹ Punkt zborny więźniów przed odejściem na robotę.
² Oddzielny łagierowy punkt.

Miałam wówczas nocną zmianę i spałam w dzień w baraku. Obudził mnie babski jazgot. Wszystkie kobiety znajdujące się w sekcji, chore i nie chore, próbowały coś wyperswadować niemłodemu już mężczyźnie, który wyrzucał z drewnianych walizek Lidii Daniłowny rzeczy na podłogę, przebiegał je i wpychał do przyniesionego worka. Kłął przy tym jak *urka*, wyrazy na "p" i "b" mieszały się w jego ustach ze zwykłym słowem: suka. To był ów doktor, były mąż. Przyjechał na nasz ośp z chorymi do szpitala i skorzystał z okazji, by niewierną przyuczyć. Ze skarbów lekarki wyciągał co najlepsze, a może i więcej. Zabierał jej wszystkie swe podarki. Ciężki worek zarzucił na plecy, i co dziwne, żadna z krzyżących bab nie próbowała mu go odebrać. Machnął więc tylko w ich kierunku ręką i odszedł. Odtąd właśnie Lidia zamieniła się w Lidkę, taką jak inne *ženatiki*, poddaną obozowym prawom. Cóż za różnica, czy mężem był lekarz czy *urka*?

Pytałam później tych jazgoczących kobiet, dlaczego poprzestały na krzyku, dlaczego pozwoliły mu zrabować cudze rzeczy. Nie mogły zrozumieć moich pretensji. Były przekonane, że miał prawo, zdradziła, więc jej się już więcej nic od niego nie należy. - Przecież te szmatki kiedyś jej podarował - upierałam się - darowanego nikt nie odbiera, to wbrew wszelkim zasadom współżycia. Rosjanki tylko wzruszały ramionami. Kiedy z nim żyła, to obsypywał ją podarkami. Żyje z innym, musi ponieść konsekwencje. On teraz ma pewno inną żonę, chce jej także coś dać. A skąd ma wziąć. - To po co krzycząście? - Tak sobie, taką pożałuje, może co zostawi, ale jak nie zostawił to trudno, jego prawo.

Takie to małżeństwo obozowe, taka to moralność. Odeszłaś - oddaj wszystko, choćbyś miała zostać w jednym porwanym buszłacie. Elegancja Lidki skończyła się. Zniknęły szaliki i sweterki, trzeba było na nowo zarabiać na gułagowskie skarby. A to niełatwo, nie każdy ma możliwości, nie każdy ma ochotę tak pieścić wybrankę. I bez tego się obejdzie. Wystarczy, gdy dostanie dodatkową pajkę chleba i czasem gęstszą zupę.

Dobrych kandydatów na mężów też nie tak wiele, choć mężczyzn dziesięć razy tyle co kobiet. Masa obozowa do miłości się nie nadaje. *Dochodtagi*³ to istoty bezpłciowe. Myślą tylko, co by tu zjeść. Seksualny głód dawno w nich zamarł. W ich wyblakłych oczach nie budzi się nawet najślabsza iskierka uczucia, najślabsza iskierka pożądania. Ciągną się szkielety do stółki w kłapiących za dużych i połatanych walonkach i żaden z nich nawet głowy nie odwróci w stronę przebiegającej dziewczyny. Tylko brygadier poprawi czapkę-uszankę i błyśnie zawiadacko oczyma, tylko on może pokazać zdrowe zęby w uśmiechu, tylko on rzuci żart, spróbuje zatrzymać biegającą, coś jej rzec, coś zaproponować. By kochać, trzeba być *prydukiem*⁴, *robotia-ga* nie jest już zdolny do niczego.

Obozowym mężem Marii Grigoriewny, ordynatorki z pierwszego oddziału naszego szpitala, jest sam naczelnik obozu. Jest to tajemnica poliszynela. Nikt nic przeciwko Marii Grigoriewnie nie powie. Jej władza jest ogromna. Kończy zresztą wyrok, niewielki, pięcioletni, i podobno ma zostać w szpitalu, pracując już jako wolna. Naczelnik przychodzi do niej tylko w nocy, na oddział, ostrożnie, by nikt go nie widział. Za związek z więźniem grozi wyrok do dziesięciu lat. Podobno latem, gdy są białe noce, unika tych spotkań. To raczej Maria Grigoriewna idzie do domu komendantury pod jakimiś tam pretekstami. Niektórzy twierdzą, że idzie tam spotkać się nie z komendantem, lecz z *operem*, że *stuka*⁴. Być może. Czymś miłość swoją musł opłacić. Miłość to zresztą intratna. Ze szpitalnej kuchni sanitariusz niesie w zakrytych kociołkach obiad dla Marii Grigoriewny. Jest tam i kawałek mięsa, i kasa gęsta, i zupa z samego dna, taka, że tyżka stoi. Maria Grigoriewna tego nawet nie potrzebuje. Mamy teraz w obozie sklepik, a w nim bywa świńska tu-

³ Pracownik administracji.

⁴ Donosi.

szonka, marmolada, czasem nawet masło, choć rzadkość to wielka. Są landrynki różnego rodzaju, kiedyś przywieziono chałwę. Maria Grigoriewna kupuje wszystko, co jej się zamarzy, bez kolejki. Przychodzi do sklepiku i każdy się na bok usuwa, robi miejsce, aby nie pobrudzić wysmoloną fufajką jej czystej, wyfasowanej z żołnierskich przydziałów szubki. Na usługę dzień dobry, prosimy, pozwólcie, ledwie odpowiada. Kiwa tylko głową taskawie lecz chłodno. To jeszcze dość młoda kobieta, koło czterdziestki i ładna. Niejeden *wrka* westchnie patrząc za nią: *Wot takuju by p.....ż*.

Nie lubimy tej baby i trochę się jej boimy. Za wiele może. Mam nocny dyżur, ktoś umiera mi na oddziale. Potrzebny jest tlen. Biegnę do apteki, ale nie chcą mi tlenu wydać. Za mało go. Potrzebny podpis dyżurnego lekarza, a dyżuruje właśnie Maria Grigoriewna. - Gdzie ją można znaleźć? - Chyba jest u siebie, w jedyńce. - Jedyńka zamknięta na cztery spusty. Stukam. Otwiera mi stary zaufany sanitariusz lekarki. Nie będę jej budzić - upiera się. Kłócimy się dobrą chwilę i widocznie podnoszę głos, bo nagle drzwi się otwierają i pokazuje się sama Maria Grigoriewna. Jest w białym fartuchu narzucenym na bieliznę. Z trudem hamuje gniew. Wyraźnie jestem intruzem. Nie dochodzi do niej, że ktoś umiera. Wreszcie podpisuje mi receptę. Uciekam jak najszybciej. Do apteki niedaleko, potem z workiem pełnym tlenu biegiem na mój oddział. Droga się wiję między wysokimi na niemal dwa metry zaspami śnieżnymi. To raczej wąska dróżka, z trudem przekopana przez zdrowszych chorych. Moja trójka leży na tej samej ścieżce co jedyńka. Zakręć i oto wpadam z rozpędu prosto w ramiona naczelnika. Mało się nie przewrócił. Rzucając śpieszne przepaszam i coś tam jeszcze na usprawiedliwienie i staram się szybciućko zniknąć mu z oczu. W sercu mam strach. Żeby tylko nie poznał, żeby tylko nie wiedział, kto to. Dopiero po chwili uświadomiam sobie, że on jest na pewno jeszcze bardziej przerażony. Kto bowiem widział, żeby naczelnik *ożpu* przechadzał się w zonie sam, bez asysty, bez nadzoru. Nadzorca zawsze chodził w dwóch, trzech, a to i kilku. Iść samemu między zeków - to czyste samobójstwo. Jeśli więc przyszedł, to dla arcyważnych powodów, by skryć swe odwiedzin w zonie przed innymi enkagebistami. Wystarczy, że rozpałę, iż go widziałam, a wyślą go do innego obozu, może nawet wdrożą śledztwo. Wystarczy, że się będzie bał mojej paplaniny, a wyśle mnie natychmiast gdzieś do *sztatnej* leśnej kolonii. Niedobrą mam noc, niedobry dzień pełen niepokoju.

Wieczorem w mojej dyżurce zjawia się nagle Maria Grigoriewna. Pyta o chorego, czy mu lepiej. Chce go nawet zobaczyć. Choremu jest rzeczywiście znacznie lepiej, może się go da uratować, to było serce, pewno zawał. Lekarka nachyla się nad nim, poprawia koc, wzdycha. Przegląda potem historię choroby, choć to nie jej oddział, a dzisiaj nie pełni nocnego dyżuru. Czekam aż coś powie, dostrzegam jak drżą jej wargi. Wreszcie się decyduje. - Spotkałaś kogoś wczoraj w nocy w zonie? /Mówi do mnie "ty", ja do niej "wy" - obozowa hierarchia. Nie boli mnie to specjalnie, bo jest ode mnie o te 15 lat starsza/. Odpowiadam bez namysłu: Tak, jakiś wojskowy, nie wiem czy żołnierz czy oficer, bo było bardzo ciemno. Mało go nie przewróciłam. Uciekłam, żeby mnie za niegrzeczność nie wsadził do karceru. Tylko niech pani o tym nikomu nie mówi. - Nie poznałaś, który to? - Skąd, w tym pośpiechu? Leciałam jak wariatka. Nawet nie wiem, czy nie był to czasem jakiś *wrka* w wojskowej czapce, ale to byłoby jeszcze gorzej. A czy pani coś słyszała? - Nie, nie - wycofuje się natychmiast - tak mi się tylko zdawało, że ktoś w nocy koło oddziału się kręcił. Maria Grigoriewna wyraźnie jest uspokojona, choć wszystko to brzmi nieprawdopodobnie. Zona jest oświetlona dostatecznie, aby poznać, kogo się spotyka na drodze. W walonkach chodzi się bezszelestnie, trudno usłyszeć kroki. Rozumiemy się jednak doskonale. Ona wie, że nic nie powiem, ja wiem, że i ona będzie milczała. Cichy układ został zawarty. Boże, jakże my w tym obozie nawzajem się siebie boimy!

Lepiej więc nie widzieć i nie wiedzieć, kto, z kim, kiedy, jak. Nie nasza sprawa. Miłość *ženatików* odbywa się niemal publicznie, a jednocześnie nikt

o niej nie mówi, jakby jej w ogóle nie było. Czasem się zdarza, że ktoś przez zazdrość doniesie, że nadzorcy złapią parę *in flagranti*. Oboje idą do karceru. Po karcerze etap. Reżim jest nieubłagany. Małżonkowie nie mają nawet możliwości się pożegnać. Rozdzieleni już na zawsze jadą w różne strony, kto wie, czy nie na zatracenie, do innych, cięższych obozów.

Miłość to ryzyko. A jednak tylu żeków podejmuje to ryzyko wciąż na nowo. Przygoda, mówią Rosjanie. Nie tylko. Kto by nie chciał mieć kogoś bliskiego, kogoś, kto by się uśmiechnął, powiedział coś czule, zatroszczył się, zaniepokoił. W tym człowieku wzajemnej obojętności cenne jest każde ciepłe słowo, każdy życzliwy uśmiech, a cóż dopiero miłość. Nawet ta krótka, brutalna ma swoje chwile radości, uspokojenia. Uciec więc od niej trudno.

Kiedyś, jeszcze na początku moich obozowych lat w tym szpitalu, w którym królował Michaił Daniłowicz, na parę dni przywieziono do naszego babskiego pokoiku więźniarkę. Siedziała już dziewięć lat. Pamiętam, że był to dla nas szok, że ktoś mógł przebywać w tym piekle tak długo. To była miła, inteligentna dziewczyna. Za co siedziała? Wystarczy policzyć. Czterdzieści sześć mniej, to dziewięć, to trzydzieści siedem. O szczegóły pytać już nie trzeba. Opowiadała nam pierwsze lata w obozie, te najgorsze, gdy panowała wszechwładnie pelagra. Gdzieś po dwóch latach dostała pierwszą paczkę. Była to, mała paczuszka, a w niej trochę rodzynków, wschodnich łakoci /rodzice stale mieszkali w Gruzji/, orzeszki, chałwa, skórkowe rękawiczki i para cienkich pończoch. Płakała nad tą paczką marząc o sucharach, cebuli i stoninie. Jakże ludziom na wolności brak wyobraźni.

Wieczorem pani Ł., Maritié i ja rozmawialiśmy z nią o miłości. I wy - powiedziała - znajdziecie sobie obozowych mężów, dziesięciu lat nie przeżyje się w cnocie. Pamiętam, jak oburzyły nas te słowa. My? Nigdy.

Trzeba tu przyznać Polkom, także Litwinkom, że się broniły, że były twarde. Rzadko która wzięta się przygodną miłością. Ale gdy się spotkało Polaka, swego chłopca, coś się w nas budziło. Paralizował tylko lęk: co zrobić w razie czego z dzieckiem. Zajście w ciążę uważaliśmy za tragedię, w przeciwieństwie do *urkaczek*, które tylko o tym marzyły. Gdy już bowiem ciąża wyjdzie na jaw, stosunek władz obozowych się zmienia. Kobieta zaczyna dostawać 200 gram mleka, przenoszą ją do łżejszej pracy, a potem czeka ją specjalny obóz dla matek, gdzie jest położony szpital, *dietdom* i leciutka praca, póki się karmi swe matkę. Pół roku takiego odpoczynku - to dużo. Warto postarać się o następną ciążę.

Urkaczki nie przejmowały się zbytnio tym, co się dalej z ich dzieckiem stanie. Miały zresztą prawo pisać od czasu do czasu do zarządu sierocińca, a nawet odebrać dziecko po wyjściu z więzienia. Nie wiem, czy to robiły. Listy pisały, to prawda. Nieraz do kilku różnych miejsc, widocznie miały już po kilkoro dzieci. Czy chciały się nimi zająć? Wątpię. Zbyt obojętnie reagowały na wiadomości. Tylko niektóre spoglądały wieczorem na fotografie małego chłopca czy dziewczynki trochę płacząc, wzdychając. Nie wiem, czy się bardziej rozczulały nad sobą, czy nad tymi maleństwami.

Dla politycznych, czy były nimi proste wiejskie dziewczęta czy inteligentki z Moskwy i Leningradu, rozstanie z dzieckiem było tragedią nie do zniesienia. Nie wiedziały, czy jeszcze zobaczą je, czy będzie miało opiekę. Sierocińce nie cieszyły się dobrą sławą. To tam właśnie powstawały watahy *bezprizornych*, zdemoralizowanych "małolatków", buszujących po całym terenie ZSSR i kończących swą karierę niechybnie wśród kryminalistów. Rodził się strach o przyszłość własnych dzieci, a więc i strach przed ciążą. Polki, Litwinki, Estonki na samą myśl o dziecku w rosyjskim *dietdomie* dostawały gęsiej skórki. Stąd nasza powściągliwość. Stąd też mnóstwo abortów w obozie, czasem kończących się tragicznie. Również wrażliwsze *urkaczki* niekiedy wahały przerwać ciążę. Niektóre się chwaliły, że są specjalistkami od tego zabiegu. Wystarczy zwykłe sztydanko - mówiły. Widziałam skutki tych sztydek,

gdy skrwawione, pozbawione niemal życia dziewczyny przywożono w ciężkim stanie do szpitala. Zakażenie, które zwykle takiemu abortowi towarzyszyło, torowało prostą drogę na tamten świat. Czasem jednak któreś się udawało. Niejedna z kobiet zyskiwała też cichą sławę dobrej akuszerki. Czasami usługi ginekologiczne pełnili lekarze. Dawało to lepsze gwarancje higieny. Pamiętamy jednak o tym, że zarówno lekarz jak i kobieta poddająca się zabiegowi mogli być natychmiast sądzeni. Prawo rosyjskie nie pozwalało na przewanie ciąży.

Specjalistą od zabiegów był nasz ftyzjatra, Zbyszek. Kiedy pracowałam na chirurgii, przygotowywałam mu instrumenty. Przychodził po nie późnym wieczorem, w godzinę potem oddawał. Komu robił, gdzie, czy na swoim oddziale czy w innym miejscu, nigdy nie pytałam. Musiał także udzielać pomocy *wol-niaszkom*, bo dostawał pieniądze. Trochę mi zawsze coś niecoś odpalił, co było niezmiernie dla mnie ważne. Był przecież wówczas w obozie sklepik. Zbyszek był ostrożny, dyskretny. Wiem, że czasem odmawiał, bał się prowokacji, bał się gadulstwa niektórych kobiet. Lecz, jak sam przyznawał, czynił to zawsze niechętnie. Współczuł bowiem zbyt silnie tym zdesperowanym, gotowym na wszystko kobietom, nawet na utratę zdrowia, więcej, życia, by tylko nie wydać na świat dziecka skazanego na sieroctwo.

W Zbyszku kochała się Marta. Śliczna czarnowłosa dziewczyna z pasmami swych włosów na skroni. Uważała się za Ukrainkę, choć ukończyła polskie gimnazjum we Lwowie, po polsku mówiła jak każda z nas, a po ukraińsku z fatalnym twardym akcentem. Pracowała jako siostra w dziewiątce razem z Olgą Hainówną. Nie wiedziałam, że jest w ciąży. Kryła się z tym, jak zresztą i inne kobiety. Skrobankę robił jej sam Zbyszek i czy to ze zdenerwowania, czy z przejęcia, czy z poczucia zbyt wielkiej odpowiedzialności zabieg sknocił. Marta dostała szalonej gorączki, zakażenia, choć instrumenty były wysterylizowane tak jak zawsze, z całą skrupulatnością. Trzeba było ją hospitalizować pod jakimś pozorem, dostać potrzebne leki. Położono ją więc z podejrzeniem na tyfus, bo tej choroby śmiertelnie się bało naczałstwo. Dawało to rękojmię, że nikt niepowołany do niej nie wejdzie, że można ją będzie odseparować również od innych chorych, a więc od domysłów i plotek. Były to dni krytyczne i ogromnie żałowałam ich obojga, zszarzałego z niepokoju Zbyszka i rozgorączkowanej, mało przytomnej Marty. Udało się ją uratować. Zaczęła już powoli wstawać, błada i chudziutka, kiedy nagle Zbyszka zabrano na etap powrotny do Polski. Był to dla niej grom z jasnego nieba. On jechał nie kryjąc swej radości, jechał do domu, coś może być cudowniejszego. Ona zostawała tu, słaba, bez zdrowia, na niewiadome, z wyrokiem dziesięciu lat, bez perspektywy powrotu. Próbowała się cieszyć razem z nim, kochała go naprawdę. Nie, zaiste, lepiej nie kochać, lepiej zachować chłód w sercu i nie przeżywać rozstania. Zekowi wydaje się, że miłość przynosi mu jaśniejszy promyczek w jego pochmurne dni. Gdy jednak ten promyczek gaśnie, noc robi się jeszcze zimniejsza i ciemniejsza.

Czyż nie wystarczy nam, że rozdzielono nas z bliskimi w chwili aresztu? Po co wchodzić w nowe związki, z konieczności nietrwałę? Zawsze bowiem grozi etap, zawsze grozi przymusowe rozstanie. *Urka* wie o tym i dlatego się nie przejmuje. Dziś ta, jutro będzie inna. I ta inna może wyszyje woreczek kolorowymi nićmi. *Urka* ma marynarskie usposobienie, w każdym porcie dziewczyna.

Staram się odwiedzać Martę jak najczęściej. Obie nosimy w sercu zmoreę. Po pracy późnym wieczorem nie chce mi się wracać do baraku. Siedzimy więc na ławeczce przed szpitalnym oddziałem nr 9 i patrzymy w kierunku zachodnim. Płot z tej strony jest daleko od nas, co najmniej 600 metrów, nie zaślania więc czubków drzew. Po tych czubkach toczy się ogromne fioletowawo-czerwone słońce. Toczy się powoli i wierzchołki świerków jak ręce wydają się przekazywać je sobie, nie pozwalając mu się zanurzyć w ciemniejszą zieleni. Gdzieś tam ku temu słońcu pojechał Zbyszek, gdzieś tam jest też mój

dom. Obok na ławeczce siedzi kilku rekonwalescentów. To *urki*. Śmieją się głośno, widocznie opowiadają anegdoty. I nagle zaczynają śpiewać głośnym chórem:

*Ot Suchumi do Batumi suariki kopała
jesliby mnie nie byłoby, s gołodu b propała.*

Brutalna prawda wyziera z tej błatniackiej pieśni. Nie ma co patrzeć na słońce. Mówimy chorym dobranoc i rozchodzimy się, każda w swoją stronę. Na wachcie dzielącej teren szpitala od ogólnej zony strażnik mnie pyta, dlaczego wracam tak późno. Miałam ciężki wypadek, operacja. Kiwa głową i przepuszcza mnie łaskawie. Zona jest cicha, pusta, dawno po *odboju*. Jest jasno jak w dzień, jeżeli ktoś w barakach nie śpi, widzi mnie z daleka. Idę szybko, z trwogą, bo ktoś może skorzystać z okazji, zaatakować, zaciągnąć w ciemny kąt. Niemal biegnę. Zdyszana otwieram furtkę w ogrodzeniu oddzielającym nasze kobiece baraki. Furtka powinna być zamykana na kłódkę, ale z reguły nikt tego nie robi. Za krzakiem dzikiego głogu, który jakimś cudem nie został wykarczowany, natykam się na leżącą na ziemi parę. Nie patrzę na nich, nic mnie to nie obchodzi. Otwieram ostrożnie drzwi od baraku i za chwilę już leżę na kojce. Jeżeli mnie ktoś zauważył, jest pewny, że wracam z miłośnego spotkania.

Muza powiedziała mi dziś, że jest w ciąży. O, Boże, Zbyszek wyjechał. Naprawdę nie wiem, jak jej pomóc. Siedzą razem z Igiorem obok mnie na kojce i płaczą. Co robić? Może by się zgodził wolny chirurg. Kręcę głową przeczącąco, on nigdy nie zaryzykuje, nie będzie chciał narazić się na ewentualne aresztowanie, a nawet tylko utratę pracy. Jest już chory, odsiedział swoje dziesięć lat. Inni lekarze nie mają żadnego doświadczenia w takich rzeczach. Jedna Maria Grigoriewna umiałaby zabieg zrobić, ale ona z zasady nie udziela takiej pomocy. Abort to przestępstwo. Zbyt jest praworządna. - W stosunku do innych - szepcze Muza, nie do siebie. Ma rację, niczego to jednak nie zmienia. Zwracać się do jakiejś babki, cichej akuszerki? Muza jest stąbowita, chuda, w razie krwotoku nie przetrzyma. Odradzam jej stanowczo, lepiej urodzić. Igor jest też tego zdania. Muza myśli inaczej. Wywołanie sztucznego poronienia to ryzyko, mówią, że lepiej poczekać do trzeciego miesiąca. Jeżeli weźmie mnie szlag, to razem z dzieckiem. Dziecko się męczyć nie będzie - to najważniejsze. Ktoś powie, że najlepiej było nie bawić się w miłość, nie byłoby kłopotu. No to niech spróbuje sam napełnić lodem swoje serce. Łodu mamy w bród tu na północy. Niech zawiąże oczy, pozbawi palce czucia, niech chodzi po tej zonie, jak przemarzły pień rachitycznej brzozy, nic nie czując, nikogo nie widząc. My jednak chcemy pozostać ludźmi, chcemy, żeby nie wygasto w nas życie, bronimy się przed śmiercią uczuciowego wyjątkowania. Chcemy o kims myśleć, o kogoś się bać, do kogoś się przytulić. Umoralniające nauki i chłodny rozsądek niech zatrzyma dla siebie. Miłość to ludzki zryw duszy w tym nieludzkim świecie. Nie można od niej uciec, choć zbyt wielkich żąda ofiar. Czas nadszedł. Igor tuli Muzę do siebie i po twarzy tego chłopaka, który ma nie więcej jak 25 lat, ciekną łzy.

Przychodzi mi do głowy szczęśliwa myśl. Muza otrzymuje paczki od matki. Należy do tych nielicznych Rosjanek, których rodzice nie wyrzekli się córki-przestępczyni. Paczki przychodzą regularnie, regularnie przychodzą też krótkie smutne listy. Znam je, bo mi je Muza czyta. Jej matka musi być kobietą wielkiej dobroci. Nigdy żadnego wyrzutu, tylko serdeczność i trochę nowin ze swego życia. Po areszcie Muzy zwolniono ją z pracy, męża zajmującego przedtem jakieś wysokie stanowisko przeniesiono do małego biura niewielkiej produkcyjnej spółdzielni. Wiążą z trudem koniec z końcem, paczki więc są skromniutkie, widać w nich jednak serce. Poczekał, mówię, nic nie rób, tylko otwarcie o wszystkim napisz do mamy. Mogę ci pomóc w przesłaniu listu za zo-

nę. Maryna Aleksandrowna na pewno go przez wachtę przeniesie. Może będą mogli zabrać dziecko i zaadoptować, póki nie wrócisz. Podobno jest to moż-
liwe. Igor się ożywia. Wstępuje w nas nadzieja, trzeba się tylko dowie-
dzieć, czy takie prawo istnieje. Igor też chce napisać list do swojej dale-
kiej ciotki staruszki, która czasem się z nim kontaktuje. Rodzice już dawno
się go wyrzekli. Jeszcze podczas śledztwa zorganizowano mu spotkanie z ni-
mi, oczywiście w obecności prowadzącego dochodzenie. Ojciec, partyjny dyg-
nitarz, uroczyście oznajmił, że nie chce znać syna zdrójcy komunizmu, i te
same słowa powtórzyła matka. Kiedy Igor opowiada o tym, cały drży z wściek-
łości. Jakiż kontrast między tymi dwiema matkami, tą daleką, odwracającą
wzrok od syna, i tą tu obok mnie, gotową nawet umrzeć, aby tylko dziecka
nie unieszczęśliwić.

Listy napisane. Czekamy odpowiedzi. Nieszczęścia chodzą zawsze parami,
lepiej by było powiedzieć - tabunami. Nowy nadzorca, gorliwiec nad gorliwi-
cami, nakrył Igora w naszym baraku. Muzę zabrano do izolatora, Igora jesz-
cze tego samego dnia wysłano do innego obozu. Nie mamy wiadomości, dokąd.
Gdzieś w Tu, ale w promieniu co najmniej dwustu kilometrów rozmaitych ąg-
punktów jest wiele. Mógł wylądować w kopalniach, na wyрубie lasu, na budow-
leń dróg. Koniec miłości. Po pięciu dniach Muza wraca chuda niemiłosiernie,
jakby te ostatnie dni wypompowały z niej resztę tłuszczu. Skóra i kości.
Kaszle. Skończy się na tym, że dostanie gruźlicę. Na szczęście nie zdjęto
jej z roboty, nadal zostaje w zonie. Teraz płacze nie tylko z powodu dzie-
cka, lecz także Igora. Mija trudny, smutny miesiąc i wreszcie przychodzi
list. Matka Muzy jest cudowna, chciałaby się ucałować tę panią. Już się do-
wiedziała, że ma prawo wziąć dziecko do siebie i uczyni to natychmiast, jak
tylko zostanie odłączone od piersi. Nie będzie w *dietdomu*, znajdzie kocha-
jącą babcie. Muza płacze tym razem z radości. Jej wyrok to siedem lat, od-
siedziała już trzy, jeszcze cztery i jakoś to się użyje. Byłe tylko Igor
przeżył, aby mogła się z nim kiedyś spotkać. Dni Muzy wypełnione są teraz
marzeniami. Dostaje już mleko, więc się trochę poprawia. Nadzieja pomaga
żyć, o ile ma się jeszcze nadzieję.

Jest rano. Noc spędziłam w operacyjnej. Mieliliśmy ciężki przypadek skrętu
kiszek. Całe jelito skręcone w wymyślny węzeł. Skutek obżarstwa po długo-
trwałym głodzie. Jak zawsze - paczka i brak powściągliwości. Chory śpi,
pewno z tego wyjdzie. Śpi i Michaił Daniłowicz, śpi Maritié. To mój dzień
dyżuru, więc musiałam się nakręcić po oddziale, a teraz siedzę na stopniach
szpitalnego budynku i patrzę na tajgę i coraz wyżej szubujące nad nią stońce.
Przez otwarte okna sąsiedniego budynku widać krzającącego się Andrasa,
myje obłożnie chorych. Czasem dobiega mnie jego głos, serdeczny, ciepły.
Andreas to ukochany Maritié, pracuje u nas jako sanitariusz. Śliczny wysoki
chłopak, prawdziwy Litwin z ogromnymi niebieskimi oczyma. Nagle zza płotu
słychać motor ciężarówki, rozmowy na wachcie, skrzypią drzwi *prachodnoj*
i już idzie ku mnie wysoki mężczyzna. Nie widzę, jakie ma oczy, ciemny czy
jasny zarost, widzę tylko jego koszulę, zwykłą męską koszulę, gładką, lekko
niebieskawą, której otwarty kołnierzyk prosi się o luźno zawiązany krawat.
Nie *gimnastiorka* przepasana pasem, nie rubacha ukraińska na wypusk, wyszy-
wana przy kołnierzu, które otaczają mnie tu na co dzień. Koszula, jakiej nie
oglądały moje oczy od trzech z górą lat. Europejska koszula. Jej właściciel
coś do mnie mówi, ja mu zmieszana odpowiadam, śmiejemy się. *Coup de foudre*.
Z powodu niebieskiej męskiej koszuli.

Miłość *ženatików* pociągała za sobą jeszcze inne konsekwencje - choroby
weneryczne. Rzeżączka była nagminna. Leczyło się ją kąpielami w kali-hiper-
manganicum, popularnie zwanym morgancówką, co efekty dawało problematyczne.

Petno też było syfilityków. Tym z kolei aplikowano bizmut i salwarsan, co niekiedy powstrzymywało chorobę. Sądząc jednak po zmianach w twarzy, charakterystycznych nosach, nie zawsze udawało się opanować destrukcyjny proces. Obawa przed krętkiem błędym stanowiła duży hamulec dla obu płci. Starano się dowiedzieć, jak się przedstawia stan zdrowia ewentualnego małżonka czy małżonki. Na ogół mieliśmy dobrą orientację, syfilitycy byli bowiem regularnie wzywani na comiesięczną komisję lekarską. Jednakże ów przepis regulaminu, którego przestrzegano dość pilnie w wielkich obozach, na małych łagunktach i koloniach stawał się pustą literą, choćby z braku odpowiedniego personelu medycznego. Zaraza więc szerzyła się zwykle na tych odległych *komandировках*, z których do naszego centralnego szpitala przywożono zeków nieraz w bardzo już zaawansowanym stadium choroby. Co gorsza, kiła jest zaraźliwa także przez przedmioty wspólnego użytku. A ileż razy tak bywało, że z braku białizny, najprostszymi okryć dwie kobiety lub dwóch mężczyzn dzieliło się jednym kocem, jednym nie zawsze czystym prześcieradłem, jednym ręcznikiem.

Przypominam sobie doskonale, jak trafiła do naszej czwartej sekcji młodzieńca, licząca zaledwie 17 czy 18 lat dziewczyna. Za co ją posądzono? Nie wiem. To była Rosjanka, a tyle w latach 47-48 wpadało z powodu małego flirtu z cudzoziemcem marynarzem, czy też nierozsądnie rzuconej krytycznej uwagi o jakimś sowieckim wyrobie. W pierwszym przypadku dawano szpiegostwo, w drugim - zniesławienie Ojczyzny i jej władz. Przyznanie, że amerykańska świńska tuszonka jest lepsza od sowieckiej mogło być natychmiast uznane za szerzenie szkodliwej dla interesów państwa propagandy. Takich artykułów było sporo w karnym kodeksie ZSSR. Okazały się one zresztą przydatne nie tylko w jurysdykcji Starszego Brata. Jeżeli komuś na tym zależało, mógł zawsze odpowiedni artykuł wynaleźć i spreparować na poczekaniu politycznego przestępcę nawet z Bogu ducha winnego baranka. Dziewczyna nie miała ze sobą nic, ani grzebień, ani jakiejś szmatki, jedynie wyfasowaną brudną po etapie koszulę, rwącą się pod pachami sukieneczną i zniszczone buty. Bogatsze z naszych kobiet próbowały jej dopomóc, tym bardziej, że miała iść na ogólne roboty. Ktoś dał ręcznik, ktoś lny mydło, a nawet szcztokę do zębów. Z magazynu obozowego wydano jej stary koc, żółtawe prześcieradło, burki i watówkę. To wszystko. Wyposażenie znakomite. Dziewczyna była jednak zapobiegliwa i staranna, powolutku wchodziła w obozowe życie. Komuś usłużyła, komuś coś przyniosła, wyprała, choć po pracy była zmęczona, i tak zdobyła gdzieś sweterek, spódnicę, czystą koszulę. Miała szczęście, że trafiła właśnie na nasz *ołp*, gdzie tyłu siedzieli ludzie ze starej rosyjskiej inteligencji. Udało się ją nawet zabrać z ogólnych prac. Od amorów stroniła, była jeszcze zbyt dziecinna, przyjaźniła się natomiast z inną Rosjanką, starszą już kobietą, bardzo pocziwą, mającą paczki, którymi się z nowoprzybytą dzieliła. I nagle po roku mała Taniuszka dziwnie zachorowała - podejrzana wysypka, powiększone gruczoły chłonne. Syfilis. Kto był winien? Ta stara kobieta? Trudno powiedzieć. Nie odnosiłam wrażenia, by była chora. Zresztą każda przez Tanię otrzymana rzecz mogła przynieść zarazę. Rozpacz Tani była straszna i mimo perswazji z młodzieńczą zapalczywością oskarżeniami obrzucała przyjaciółkę. Ta zaś, nie wiem, zdruzgotana wiadomością o chorobie czy napastliwości oskarżeń powtarzała tylko w kółko: *Nie poznaję, Taniusza, nie poznaję*. Taką ją zapamiętałam, tragiczną i przerażoną. Zrozumiałam wtedy, że dla tej kobiety Tania była jakby córką, przedmiotem macierzyńskiego uczucia, które wydawało się już wygasnąć. Trudno się jednak dziwić reakcji Tani. Jej wyrok opiewał na 25 lat, takie bowiem w tym czasie dawano wyroki. Jaką miała przed sobą perspektywę? Okresy zaleczenia, po których choroba wybuchnąć mogła z jeszcze większą siłą? To nie wolne życie, gdzie są antybiotyki i fachowa opieka. To oboz z surowo reglamentowanym bizmutem. A i to nie wiadomo, czy lekarz bizmut przepiszę.

Nic tedy dziwnego, żeśmy się bali jak ognia tej choroby, zbędnych kontaktów z rzeczami innych, choć w tych warunkach i w tym stanie higieny za-

chowanie ostrożności było niezmiernie trudne. Kobiety zresztą nieraz tę broń wykorzystywały we własnej obronie. *Urka* zaczepiał, napastował. Dziewczyna niby zmieszana godziła się na zaloty, dodając tylko, że ukryć nie może, powinna mu powiedzieć - że jest chora. Na ogół wybieg ten skutkował, *urka* puszczał całą litanię obrzydliwych wizwisk, okręcał się na pięcie i odchodził. Znam jednak i takie wypadki, kiedy niby chorą dziewczynę skazywano na śmierć, aby już nikogo nie mogła zarazić.

A mógł się i taki *blatniak* zdarzyć, który na wieść o chorobie rzucił stereotypowe powiedzonko: stare do nowego się nie czepia i bynajmniej nie zrezygnował z zalotów. I tak źle i tak niedobrze. Żaden z członów alternatywnej nie był zachęcający.

W *spectagu* przeżyć miłość było znacznie trudniej. Przez pierwsze pół roku, póki nie oddzielono nas od mężczyzn, kontakty nawiązywano tylko sporadycznie. Zamknięte na noc baraki uniemożliwiały spotkania po *odboju*. Nadzór był gęstszy, zresztą atmosfera nowego obozu, zwiększonego rygoru, bardzo ciężkich prac w ciężkim klimacie, szybko nasilający się głód wyjął wiało serce z wszelkich uczuć. Nie było już *blatnych*, intrygnych propozycji, znikły *ženatiki*. Teraz ze spotkaniem koło ambulatorium lub koło stołówki znajomym mężczyzną można było zamienić parę słów, podzielić się troską i nic więcej. A jednak i taki kontakt był potrzebny, gdy bowiem wzniesiono płot, który odseparował męską i żeńską zonę, kobiety zaczęły tęsknić, nawet do tych niewiele znanych, z którymi się tylko raz poznamiało. Byliśmy przecież na nowym łagpunkcie zebrani z różnych miejsc, jeszcze sobie całkiem obcy. Nie zdążyliśmy przez te pół roku nawiązać bliższych znajomości. Mimo to obfitość korespondencji przerzucanej wieczorami przez płot była nieprawdopodobna. Niemal każda chciała pisać, każda chciała mieć swego przyjaciela, który by jej przestał kilka słów pociechy. Dziewczęta, które nikogo nie znały, szukały kontaktów przez pośredników. Chłopcy także pisali: czy nie ma u was Litwinki z okolic Poniewieża, chciałyby z nią korespondować. No i Litwinka się znajdowała i kontakt zostawał nawiązany. Wieczorne wędrówki pod płot, wymagające wielkiej ostrożności, aby oszukać wężącego przestępstwo reżimowa Skorpiona, było rozrywką niestychaną. Dziele nie się wiadomościami zajmowało puste wieczory. Korespondencja nie urwała się nawet wówczas, gdy zamiast płotu zbudowałyśmy same wysoki *sumanny* mur i szeroką zabronowaną *zaprietkę*. Były specjalistki od przerzutu, wystarczy niewielki kamień.

Nastąpił więc czas miłości romantycznej, sentymentalnej, która mogła nie przeżyć jednego bezpośredniego spotkania. Wiem jednak, że niektóre kontakty przeżyły całe sześć lat obozu, rozstanie w zyscie, by wreszcie spełnić się w małżeństwie. Tylko wyjątki miały takie szczęście. Miłość korespondencyjna była raczej samooszukiwaniem się, stwarzaniem sobie i partnerowi iluzji, z którą lżej było żyć. Tak łatwo sobie wmówić, gdy tak bardzo chce się kochać.

Niekiedy zdarzało się, że jakiś śmiątek, szalony, przeskoczy płot i skryje się w żeńskim baraku. Były to sporadyczne wypadki, kończące się zazwyczaj długim okresem karceru. Skoczkiwie nie budził w nas sympatii, szukali zwykle byle kogo, aby dziewczyny, podczas gdy korespondenci woleli swych pań nie narażać na przykrości. Głód seksualny zaćmiewa umysł, prowadzi do nieobliczalnych czynów lub do zwyrodzenia. Miłość załatwiana gdzieś, byle jak, budziła w nas obrzydzenie. Kiedyś z Haliną wyszłyśmy z łaźni, koło której tuż o piętnaście metrów ciągnął się płot. Było lato, niedziela, gorący dzień. Wszyscy kryli się przed słońcem. Przed dziurą w płocie na ziemi siedziała jedna z pracownic szwalni. Nogi miała rozkrącone, zadarte w górę, całą swoją nagą pupę starała się wcisnąć w deski. Z drugiej ich strony słychać było ni to jęk, ni to prośbę mężczyzny: *daj posmotriet, zsyrie, zsyrie*. - Tfu, splunęłyśmy obie.

Jednocześnie kwitła zwykła prostytutka. Mogła mieć miejsce tylko za zo-

ną, podczas pracy, wszędzie tam, gdzie żeńskie brygady spotykały się z wolnymi. Wolni byli najczęściej szoferami, czasem inżynierami, majstrami itd. Niektóre z kobiet nie gardziły też stosunkiem z nacelnikiem konwoju lub nadzorcami. Patrzyłyśmy na te wyczyny na ogół z całkowitą obojętnością, starając się raczej o niczym nie wiedzieć. Najstarszy zawód świata zawsze, w każdych warunkach znajduje chętnych do jego wykonywania. Zmienia się tylko wysokość opłat. W obozie kawałek kiełbasy był dobrą zapłatą. Co ciekawe, prostytucję uprawiano także w obozie męskim, a klientkami były kobiety. Brygady zeków pracowały nieraz na dużych budowach całych mieszkalnych kwartałów albo wielkich zakładów fabrycznych. Zakamarków było tam pełno, nie do prześledzenia. Wolne kobiety zjawiały się wcześniej przed przybyciem brygad, chowały się starannie, by ich nie dostrzegli nadzorcy, kontrolujący zawsze rano całą roboczą zonę. Potem spotykały się z wybranymi. Odchodziły dopiero, gdy już nikogo nie było. Jak opowiadali mi koledzy, płaciły dobrze, przynosząc nie tylko żarcie, ale i rzeczy. Nie znajdowały jednak zbyt wielu chętnych, bano się choroby. Podobno były bardzo prymitywne i wulgarne. Co powodowało tymi kobietami, że mając wszystkie możliwości, jakich dostarcza wolne życie, ryzykowały dziesięć latami więzienia? Czy przyciągała je uroda ogolonych głów, czy miłość z dreszczykiem niebezpieczeństwa? A może dla tych rosyjskich dziewcząt zek, polityczny, na ogół grzeczny, "kulturalny", jak mówiono, był mimo okrywających go łachmanów czymś tak egzotycznym jak książę z bajki? Hipoteza nie jest nieuzasadniona. Kto to wie. Spotykałyśmy na różnych pracach przez te lata wielu wolnych mężczyzn. Iluż z nich cechowała chamska gruboskórność! Czy mogli jej nie mieć? Musieli przecież sobie radzić w tej sowieckiej rzeczywistości, gdzie aby coś zdobyć, aby żyć, trzeba mieć nie byle jaką "siłę przebiccia". Byt określa świadomość, jak nas uczył Marks.

Utрудnione kontakty z drugą płcią sprzyjały wynaturzeniu. Homoseksualizm i miłość lesbijska to osobny rozdział. Te pary określano dosadnym zwrotem: *kobły*. Wśród mężczyzn panowała swobodnie i cynicznie, na zasadzie trochę sportu, trochę zabawy, rzadko się łącząc z sentymentalnym uczuciem. U kobiet było inaczej. Zetknęłam się z tą miłością już w pierwszym moim obozie. Była tam młodzieńca Litwinka, Grażyna, miała wyraźne skłonności salfistyczne i nim się sprostregłyśmy, wciągnęła w wir swoich zabaw najmłodszą z naszych Polek. Przykra to była sprawa, staraliśmy się bowiem wszystkimi siłami przeciwdziałać zaraźliwym wpływom. Bezskutecznie.

W obozach koedukacyjnych problem homoseksualizmu zniknął, w każdym razie nie dostrzegano go niemal u kobiet. Wystarczyła jednak przymusowa separacja z mężczyznami, aby zaczynał dawać o sobie znać. Co ciekawe, dojrzałe kobiety, mężatki, nie były nań podatne i przymusowy celibat znosiły dość dobrze. Ulegały zazwyczaj młode dziewczyny, jeszcze niewinne, nie znające miłości. Koło pięćdziesiątego roku *specobozy* zaludniły się "dwudziestopięciolatkami". Na tyle lat opiewał wyrok. Duszone w ten sposób żywe i wciąż się odradzające ruchy nacjonalistyczne na Ukrainie, Litwie, w Estonii. Fala represji zagarniała przede wszystkim młodzież, która nie chciała uczestniczyć w komsomolach i gotowa była w każdej chwili do sabotażu, do walki wręcz, beznadziejnej co prawda, ale uporczywej i okrutnej. Wśród tej młodzieży było pełno dziewcząt mających po siedemnaście, osiemnaście lat. Pochodziły zazwyczaj ze wsi, z ukraińskich chutorów rozrzuconych po Podolu i Wołyniu, otoczonych sadami, bogatą lessową ziemią, którą teraz zabierano ich rodzicom na sowchozy i kołchozy. W dwadzieścia lat po kolektywizacji w ZSSR przyszła kolej na oczyszczanie polskiej i ukraińskiej ziemi ze wszystkich jej synów, którzy chcieli żyć wolni. Była to masówka, aresztowano i sądzono naprędce setki tysięcy ludzi. Tylu młodych, tyle dzieci! W naszym obozie budowano szyciutko nowe baraki. Sześć sekcji po sześćdziesięciu ludzi w każdej. To był pierwszy rzut. Za nim poszły inne. Żeński oboz, liczący początkowo około 500 kobiet, w niespełna dwa miesiące rozrósł się do dwóch tysięcy. Nowoprzybyłe prawie nie siedziały w więzieniu. Nie zdążyły więc

zmienić się w *dochodiagi*. Wiejskie zdrowe dziewczyny chciały jeść, pracowały dobrze, nawykły do ciężkiej pracy, i nie chciały patrzeć w przyszłość. Perspektywa spędzenia całej młodości w obozie była przerażająca. Właściwie odebrano im życie, i za co. Niektórym tylko za to, że podały swemu bratu, który się gdzieś ukrywał, kawałeczek chleba. Inne i takiej przewiny się nie dopuściły. Wystarczyło, że ojciec miał dom, pole, bydło. A nawet jeśli wiele z nich miało sympatie banderowskie, lub nawet brało udział w banderowskich oddziałach, to czy nie miały prawa iść z braćmi i ojcami, skoro wydawało im się, że właśnie ta droga prowadzi do wolności? Nigdy nie miałam sympatii do Ukraińców, ich okrutne czyny budziły wręcz nienawiść. Tam nagle, z daleka od naszych ziem dostrzegłam zagubiony, szczęśliwy naród, który miał w sobie coś ze stepowego sokoła. Był piękny, gdy szybował ciesząc się mocą swych skrzydeł, i straszliwy, gdy spadając jak kula wpijał pazury w ciało zdobywcy. Ten naród chciał być wolny, tylko nie wiedział, jak dążyć do wolności.

Niełatwo zatrzeć dawne bolesne urazy. Wspólne nieszczęście bynajmniej nie pomaga w torowaniu drogi do wzajemnego zrozumienia. Stare konflikty narodowościowe bardzo ostro wybuchają w obozie, przy różnych nawet drobnych okazjach. Ukraińcy wymyślali Rosjanom, Polakom, ci nie zostawiali dłużni. Gruzini nie cierpieli Moskali, darzyli sympatią Polaków. Chińczycy do wszystkich odnosili się z grzeczną rezerwą bez odrobiny sympatii. Ale wśród poszczególnych ludzi nawiązywały się kontakty, nawet jeśli pochodzili z wrogich sobie narodów. Miałam bardzo dobre stosunki z Ukrainkami. Lubiłam je. Były czyste, skrzętne, ładnie śpiewały i wyszywały, a ich zaciętość i nienawiść wobec ruskich nie pozwalała na żadne z nimi konszachty. Nie było wśród nich *stukaczek* 5.

Przykro więc było patrzeć, jak niektóre z tych najmłodszych zawiązywały nagle związki między sobą. Co prawda nie było ich wiele i przypuszczam, że nie zostawiły po sobie większego psychicznego spustoszenia, choć nasycone były niemal histeryczną żarliwością. Żarliwość ta budziła w nas niekiedy wesołość, częściej odrazę. Patrząc z dystansu mam wyrozumiałość dla tych dziewcząt, rozpaczliwie chwytających się namiastki miłości, byle tylko znaleźć zapomnienie i mieć poczucie bliskości z innym człowiekiem. Wówczas tej wyrozumiałości nie miałam i razem z innymi nieraz gęstą drwiną obsypywałam kochające się pary. Dla otoczenia były one nieznośne: szloch, spazmy, sceny zazdrości, rozpacz przy najmniejszym rozstaniu, nawet i do Innej brygady lub baraku. Reakcje gwałtowne, chorobliwe, jak cała ta miłość. Rzecz jest jednak dobrze znana, wielokrotnie opisywana, nie będę się na niej zatrzymywać dłużej. Pozwolę sobie tylko wspomnieć o jednej postaci, anegdotalycznej, dla niejedynej z nas wręcz śmiesznej i bardzo smutnej.

Spędziłam razem z Sergiejem Michajłowiczem w jednym obozie sześć dłuższych lat, wiązało nas coś w rodzaju zdystansowanej przyjaźni opartej na wzajemnym szacunku, choć niekiedy, przyznaję, jego zachowanie budziło we mnie wesołość. Starając się jednak tę wesołość hamować, nie ze strachu przed sporą wiązką *matów*, lecz ze współczucia. Należałam bowiem do nielicznych, którym opowiedział swoją historię.

Piszę: on, jego, a przecież była to zwykła kobieta, jej prawdziwe nazwisko brzmiało Sofia Michajłowna Afanasjewa. Lecz także w oficjalnym formularzu dodano: vel Siergiej Michajłowicz. A więc trawestyta. Zawsze ubrany po męsku. Nosił wojskowy frencz, wojskowe spodnie i archaiczne buty ze sztylpami. Jak je zachował, gdzie je zdobył, należało do jego tajemnic. Włosy miał ostrzyżone krótko po męsku, nie ogolone, choć zgodnie z reżimem, skoro chciał uchodzić za mężczyznę, powinien był być wygolony na czysto. Zarostu oczywiście nie miał, natomiast cechowało go wiele męskich zdolności. Umiał majsterkować i lubił to. Zawsze go wzywano, gdy coś się zepsuło, gdy trzeba

5 Donosicielek.

było naprawić jakieś drzwi, zamek, elektryczność i coś tam jeszcze. Niezmiernie był wówczas dumny, a usiłującym mu pomóc kobietom rzucił zwykle krótkie i wzgardliwe: Zostaw, to nie dla ciebie robota. Lekarze twierdzili, że pod względem anatomicznym był jak każda kobieta, podobno nawet kiedyś musiał rodzić, bądź miał poronienie. Niech no jednak która z nas weszła do łazienki, gdy się kąpał, podnosił krzyk pod niebiosa.

Siergiej Michajłowicz był tolerowany przez władzę. Raz tylko jeden z naczelników próbował go zabrać do męskiej zony. Wynikła z tego cała awantura, która zmusiła naczelnika do zamknięcia Siergieja w karczerze, ale do męskiej zony zabrać się go nie udało. Bał się zapewne nie tylko drwin prawdziwych mężczyzn, ale i czegoś gorszego. Tak więc żył między nami ten dziwny twór, stając się przedmiotem różnych opowieści, tym weselszych, że wiecznie był zakochany.

Jego najdłuższą, najtragiczniejszą miłością była Żenia. Inteligentna, kulturalna Rosjanka, Leningradka, przyjmowała hołdy z pobłażaniem, wyrozumiałością, a może nawet ze współczuciem. Siergiej nie był głupi, dużo wiedział, dużo czytał, choć nie miał właściwie żadnego porządnego wykształcenia. Rozmowa z nim odświeżała zwykle pod pozorną grubokórnością nieoczekiwaną subtelność, artystyczne wyczucie, refleksję drążącą gdzieś w głąb wydarzeń i rzeczy. Można z nim było dyskutować, można się było od niego wiele rzeczy dowiedzieć. Żenia więc z nim rozmawiała, tak jak rozmawiałam ja czy Maryjka. Może właśnie z powodu tych rozmów dzisiaj go wspominam. Był jednym z nielicznych w obozie ludzi, który się nie bał zapuszczać w analizy otaczającego nas systemu, ukazywać jego sprzeczności i paradoksy i sięgający korzeni fałsz. Nie miał złudzeń. Rosjanin z krwi i kości, na pewno przywiązany do swego narodu, umiał jednak oceniać go chłodno, nie szczędząc surowych ocen.

Nie jestem dziś w stanie powtórzyć jego wywodów ani argumentów. Nie wierzę też, aby ktokolwiek, po wielu latach, tego typu dyskusje i wynurzenia mógł odtworzyć z pamięci. Nigdy nie zapisywane, zacierały się stopniowo, pozostawiając po sobie tylko coś na kształt ogólnego wrażenia lub zarysu jednej czy dwóch ogólnych tez. W próbach odtworzenia zawsze brzmia fałsz. Interesujące rozmowy Wata w więzieniu sowieckim są znakomitymi dialogami z samym sobą. Rodzą się one z rewizji własnych poglądów, z potrzeby usprawiedliwienia zachwanej wiary. Są literackim kamufażem procesu zdejmowania łańcuchów z własnych oczu. Jest to zawsze proces fascynujący, godny najwyższej uwagi. Lecz ja nigdy takich łańcuchów nie miałam. Wychowana na samej granicy, w codziennym kontakcie z tymi, co uciekli z tamtej strony, błagającymi o prawo pozostania na każdych warunkach, aby tylko nie zostać odesłanymi znów do rajku, wiedziałam, że nie ze Wschodu należy oczekiwać szczęścia dla ludzkości. Siergiej jest wart wspomnienia dlatego, że również tych łańcuchów nie miał, a rzecz to była rzadka. Na ogół bowiem Rosjanie, nawet ci, którzy krytycznie odnosili się do nowego systemu /oczywiście w najgłębszej tajemnicy, z niestyczną ostrożnością formułując jakże nieśmiałe uwagi/, wierzyli, że może się zmienić na lepsze i przyjmie wreszcie idealne formy. Choćby cała rzeczywistość krzyczała przeciwko, człowiekowi jest ogromnie trudno pozbyć się myśli, do których się przyzwyczaił, którymi się nasycił i uznał w końcu za własne. Komunistyczna wiara jest jak rak, czasem i obozowa operacja nie zdoła usunąć przerzutów. Kto wie, czy chorobliwego procesu u niektórych nie przyspiesza. Tak mniej więcej mówił Siergiej. I dodawał: "Cierpią, wszystko straciły, ale niech no umrze Stalin, a będą płakać". I po śmierci Stalina: "A nie mówitem? Płaczą - Rosjanin nie ma oczu, jest ślepy, gorzej, nie umie myśleć sam, tylko według wskazówek, jak mu każą. Zanim zdanie wypowie, wpiery spyta, co na ten temat myśli Komitet Centralny". Trafność tych uwag uderzała mnie. Ileż razy pytałam o jakieś zdanie któregoś z kolegów Rosjan. Zawsze słyszałam odpowiedź, może nie zupełnie szczerą, ale niemal automatyczną: "Trudno powiedzieć, nic jeszcze w tej sprawie w *Prawdzie* nie pisano". Koniec, kropka. Nawet opinie literackie są kształt-

owane odgórnie. Mieć własny odrębny sąd - to odwaga ponad miarę. Ktoś ze śledczych powiedział mi kiedyś: Pani myśli w sposób niezależny, już tylko z tego powodu należy panią posadzić.

Siergiej często wdawał się w rozważania na temat rosyjskiej kultury. Tyłko w wielkim skrócie mogę oddać jego tezy. "Każdy Rosjanin - mówił - to barbarzyńca, który tak niedawno został uwolniony spod jarzma mongolskiego. Przepojony jest więc żądzą odwetu, naturalnym imperialistycznym pędem, którego nic teraz nie powstrzyma. Podbić świat, tak właśnie, jak to czynili Mongołowie, oto cel jego działania. Jak potem trzeba będzie tym światem rządzić, jakie mu nadać formy ustrojowe, to sprawa drugorzędna. Komunizm odpowiednio zmodyfikowany, odbiega daleko od teorii Marksowskich, atrakcyjność jego polega na niedookreśleniu, łatwości, z jaką każdy rząd a nawet człowiek może nagiąć jego tezy do potrzeb chwili. Okazał się skuteczniejszym orężem niż otwarta imperialistyczna polityka carów. Nie łudźmy się, stworzył takie możliwości, których nie miał Piotr Wielki. Piotr marzył o przebićiu okna na Zachód. Nasi władcy o panowaniu nad Zachodem, ba, nie tylko nad nim. Co się dzieje wewnątrz kraju, Rosjanina dziś nie obchodzi, jak i nie obchodziło go dawniej. Rosjanin może głodować, siedzieć w więzieniu, być prześladowany przez własne władze, pęka jednak z dumy, gdy zobaczy, że czerwony kolor rozlewa się po mapie na nowo zdobyte terytoria. Mongolia, Korea, całe południe, zaraz będzie Afganistan i Zatoka Perska, a z drugiej strony Inflanty, marzenie Piotra, kraje bałtyckie, Polska. Czyż pani nie widzi, że gdybyśmy tylko myśleli o sobie, jak każdy normalny naród, gdyby nie ten dziki irracjonalny pęd, który nas ogarnia, moglibyśmy żyć spokojnie w węższych granicach, ale bogaci, niemięniej bogaci jak Kanadyjczycy? Wszystko mamy, surowce, ludzi, i to zdolnych ludzi. Siły jednak, które ten kraj kryje, trwonimy na propagandę, zbrojenia, szerzenie dywersji tam gdzie tylko to możliwe. Po co? Komu to potrzebne? Przecież to postępowanie absurdałne. Gdzieś musi być tego postępowania przyczyna, gdzieś jest jego źródło. Proszę jednak pamiętać, że od czasów ruskiej wspólnoty indywidualum nic nigdy w Rosji nie znaczyło. Rosja nie zna liberalizmu, to był zawsze kraj panów i niewolników. Nawet tu, w obozie, Rosjanin albo chce panować, upokarzając innych, albo zmienia się w niewolniczą *sześciorkę*. Nie umie inaczej. To atawistyczny impuls, nie do pokonania".

Próbowałam oponować, bronić Rosjan przed nim samym. Ale on się nie dawał zbić z tropu. Podczas jednej z takich rozmów opowiedział mi o sobie. Mowa była o starej rosyjskiej arystokracji. Śmiał się z niej, z jej blichtru, zewnętrznosci, snobizmu - przykrywających gnuśność i wiarę w ten stary ruski ideał, że jeżeli los nie dał mi być bogatym, to najlepiej siedzieć na przyzbie i siemeczki gryźć. Sam z tego środowiska pochodził. Czasem o nim mówił z goryczą, niemal ze złością: Cóż z tego, że ojciec jeździł po różnych uniwersytetach świata. Trochę tych książek przywoził, które czytałem ukradkiem. Jego największą pasją było zawsze polowanie. Cierpiął nad tym, że się urodził dziewczyną. Zabraniał mi nosić sukienki. Ostrzygł mnie na chłtopaka i uczył konnej jazdy, fechtunku, strzelania. Chciał mieć syna. Przyzwyczaiłem się do bycia synem i to mnie uratowało. Jak przyszła rewolucja, zmiotła nasz dom, rodzinę, mnie jednemu udało się ukryć i uciec. W chłtopięcym przebraniu wśród żołnierzy, rozbestwionej gawiedzi mogłem się jakoś utrzymać przy życiu. Pracowałem, gdzie się dało, czasem fizycznie, czasem w naprędce organizowanych biurach wjejskich rad. Umiałem czytać, co się tej ciemnej masie wydawało czymś niezwykle cennym. Byłem więc nawet komisarzem w jakiejś tam małej mieścinie. I tak szło życie. Dobiłem się wreszcie lepszej pracy, zacząłem nawet chodzić do wieczorowej szkoły, aby uzupełnić wykształcenie, choć okazuje się, że książki w domu ojca dały mi więcej wiedzy niż ówczesny zakres dziesięcioletki. A gdy koledzy się śmiali, że nie mam kobie-

tę, to spróbowałem. I tak poszło, sam nie wiem jak.

Potem przyszła wojna. Zmobilizowano go, i rzecz się wydała. Chciano go postać na front jako sanitariuszkę, on chciał zachować swe męskie szatki, uchodzić za felczera. Nie potrafił już inaczej. Posądzono go wpięrow o próbę dezercji, potem o szpiegostwo, i znalazł się na dalekiej północy.

Jak każda lesbijka, Siergiej był sentymentalny. Przychodził do baraku żeni, siadał na taborecie i patrzył jej w oczy. Widocznie pewnego dnia miała już dość wzdychań i miłosnych spojrzeń. Nie chciała też przyjąć bułeczek, które gdzieś zdobył z za zony. Wrócił więc zdruzgotany do sekcji. Nie wiem, czy to była poza, czy rzeczywisty akt rozpacz, ale nagle jednym ruchem rozdarł na piersi poły frencza, aż się posypały wszystkie guziki. Potem położył się, kryjąc twarz w poduszce. Dziewczęta trochę się śmiejąc zebrały guziki, rzucony na ziemię frencz i zajęty się jego reperacją. Siergiej przeleżał, nie mówiąc do nikogo ani słowa, aż do *odboju*. Gdy jednak tylko barak zamknięto i dziewczęta zaczęły układać się spać, wyjął wzgardzone bułeczki i zaczął je zjadać jedną po drugiej. I tak go widzę, w męskiej gimnastycznej podkoszulce, bez stanika, z widocznym pod bielizną płaskimi długimi piersiami, ze zmierzwioną siwą czupryną zjadającego bułeczki. Dialektyczne pomieszanie mądrości i nierozumu, dramatu i śmieszności.

A miłość *zakonna*, czyli ta uznana przez prawo? Cóż o niej napisać można, skoro właśnie ona, ta zwykła, ta najgłębsza, była spod prawa wyjęta. Aresztowani razem małżonkowie, rodzice i dzieci, rodzeństwo, mogli być pewni, że zostaną rozrzućeni po najrozmaitszych obozach, jak najdalej położonych od siebie, aby się nigdy nawet przypadkiem nie spotkać. Nie będą o sobie nawet wiedzieli, gdzie są. Czasem przez kogoś na wolności, z kim się utrzymuje korespondencję, dojdzie niezauważona przez opera wiadomość, że mąż żyje, że się ma dobrze, że zdrow. Najczęściej jednak nieubłagana ręka cenzora wymaże te słowa lub cały list wyrzuci do kosza. I płyną dni, miesiące, lata, a żadna z nas nie wie, czy jest już wdową, czy jest sierotą, czy może umarło jej najdroższe dziecko. Do tej miłości lepiej się nie przyznawać. Służę ona bowiem jako szantaż w śledztwie, najstrasliwszy szantaż. Złośliwe oczy śledczego wpijają się z lubością w ofiarę, gdy mówi: *Niczego, molczy. Użę my twoje wo muza dostatočno prokatili, on usio skazał.*

I cierpie skóra od tych stów, od bezsilności i tylko jedna myśl się kołaczę, nie pokazę, że to aż tak boli.

Nie ma też większej radości jak krótka wieść. Radością tą dzielimy się wzajemnie. To jakby święto. Ci, co dostają listy regularnie, są szczęśliwi, zawsze coś zostanie przemyczone. Listy przychodzą zresztą też od tych kochanych, którzy zostali na wolności, są jakby promyczkiem ciepła, ogrzewają nasze zziębnięte serca. W *specobczach* jednak listy te przychodziły bardzo rzadko, nam zaś wolno było pisać tylko dwa razy w roku. Dwa razy i to krótko, bo znów oper lub cenzor nie zadadzą sobie trudu, wyją długi list przeczytać i ewentualnie tylko jakieś słowo skreślić. Nie, wrzuci list prosto do kosza. Więc trzeba pisać tak - oczywiście tylko po rosyjsku, inne języki nie są dozwolone - jestem zdrowa, nic mi nie brakuje. Trochę się niepokoję o Janka /Janek siedzi/. Całuję, myślę i podpis. List złożony w trójkącik, bo kopert nie ma, napisany na obskurnym papierze do pakowania, idzie w świat, jako ten jedyny ślad, że jeszcze żyjemy.

Litwinki, Ukrainki otrzymują listy. My Polki już prawie wcale, do Polski pisać nie wolno, z Polski także. Jeżeli jeszcze ktoś został po tej stronie, to stara się przejmować od wyjeżdżających repatriantów korespondencję. Każdy następny list jest podpisany przez nową nieznaną mi osobę, która mnie zawiadamia o wyjeździe poprzędniej. O rodzinie nic, albo wzmianka, że podobno wszystko dobrze. My Polacy jesteśmy zupełnie odcięci od świata. Niemcy piszą. Mają prawo przysyłać korespondencję przez Międzynarodowy Czerwony

Krzyż. Bodajby to być zwyciężonym. Rzekomi zwycięzcy skazani są na niepokój i nieustanną tęsknotę.

Jednakże nasz los jest pod pewnym względem lepszy aniżeli braci Rosjan. My jesteśmy pewni, że nasze rodziny o nas myślą, że się nas nigdy nie wyrzekną, przeciwnie, że są zdolne ponieść wszelkie ofiary, by nas ratować. Prawo wobec naszej miłości jest bezsilne. Może nas rozdzielić, ale nigdy nie zmusi do zapomnienia. U Rosjan jest inaczej. Ich miłość jest przeciwko prawu. Kochać zeka, to ściągnąć na siebie podejrzenia. Czują na ten fakt jest niemal wyjątkowo inteligencja. Prości kołchoźnicy i robotnicy piszą, widocznie nikt nie próbuje wobec nich nacisku, albo się dobrze przed nim bronią. Wystarczy jednak zajmować w hierarchii sowieckiej jakie takie stanowisko, a postawy ulegają radykalnej zmianie. Żona przysyła mężowi wiadomości, że się już z nim rozwiodła. Ojciec zawiadamia oficjalnie syna, że przekreślił wszystkie łącznie ich więzy. Czasem jako odpowiedź na szereg listów wysyłanych uparcie przez zeka przychodzi tylko notatka z sądu, że tow. taki i taki nie chce znać takiego a takiego i że nie uważa go za członka swej rodziny. Takie zawiadomienie zek czyta w kółko, pokazuje innym, nie może uwierzyć, nie chce uwierzyć, broni się przed tym faktem, bo nie wie, jak będzie mógł dalej żyć, jak przetrwać opuszczenie, potępienie tych najbliższych, których jeszcze nie wydarł z serca, a którzy tak bezwzględnie wydarli go ze swoich serc. Miłość rodzinna jest nicia łąączącą nas z wolnością, domem, normalnym życiem, czymś lepszym, czymś, dla czego trzeba przetrwać, trzeba znieść, żyć. Gdy nłc zostaje zerwana, życie traci cel. Wyjść z obozu, to znaczy wrócić. Zek nie mówi nigdy "pojadę do domu", lecz "wrócić". I nagle nie ma powodu, nie ma do kogo. Nie można zawołać w swych gorączkowych, pełnych tęsknoty nocnych majaczeniach: czekaj, wróć. Nikt już nie czeka.

Zmartałwiły z bólu zek jeszcze przez parę miesięcy będzie się tuził. Może tak powiedzieli dla niepoznaki, może ich zmuszono, może znajdują jakąś drogę, żeby mi powiedzieć, że to nieprawda. Gdy przynoszą listy biegnie i czeka, czy nie zostanie wywołany. Sprawdza gorączkowo listę adresatów paczek. Nigdzie jednak nie ma jego nazwiska. Powoli prawda dociera do wciąż broniącej się przed nią duszy. Za nią zaś skrada się apatia, pierwszy krok ku nieuniknionemu upadkowi. Zek przestaje wańczyć, skoro wszyscy go się wyrzekli! Milczący, nie protestujący przed nieubłaganym prawem silniejszego, na coraz gorszych pracach, na coraz gorszych *pajkach* staje się cieniem samego siebie. Iluż takich opuszczonych umiera. Tylko nieliczni swój gniew, swoje oburzenie przetapiają w siłę życia i przeżycia, z myślą o zemście. I ciśnie się na usta pytanie: Kto jest tu zbrodniarzem? Czy ten zek, choćby nawet popełnił przestępstwo wobec panującego sowieckiego prawa, czy ci co to prawo ustanowili, zmuszając jego rodziny do haniebnych czynów? Zbrodnia i kara, ulubiony temat rosyjskiej inteligencji. Czyż jeszcze nie zrozumiała, że zbrodnia jest tam na zewnątrz otaczających nas drutów, a kara przede wszystkim dla niej i nie w jednym wymiarze.

Na tym powinien skończyć ten traktat psycho-socjologiczny. Byłby on jednak niepełny. Zabrakło tu jeszcze jednego - miłości do zwierząt. Nie było ich w obozie. Od czasu więzienia, gdzie obserwowałam bawiące się koty, żądrego kota, psa nie widziały moje oczy, tylko ptaki gdzieś wysoko na gałęziach.

Nieprawda. Psy były, ale tylko te, które szły obok nas na smyczy, których lubić nie można było, które były dla nas dobitnym wytworem wynaturzonej rzeczywistości. Te psy dyszały nienawiścią, chęcią mordu. Były groźniejsze niż ich panowie. Gdyby zaś jakieś domowe zwierzę przedarło się przez ogrodzenie, zostałyby natychmiast zabite i pożarte. W Tu, gdzie tyle było głodomorów, opowiadano tylko po cichu o schwytanym psiaku lub kocie. Brr, pieczono nawet na ognisku szczyry. Głodny zek zje wszystko, co mu pod rękę popadnie. W K. jednak *blatnych* nie było, a po śmierci Stalina reżim jak gdyby nieco zelżał. I wtedy, pamiętam, zjawił się w cegielni bezpieczeństwa

pies, zwykły kundel. Został od razu przyhołubiony przez dziewczęta. Karmiły go jak mogły, same sobie odejmując od ust. Pies był miły, warczał na ludzi w szynieiach, miał mentalność naszą, bez zaufania dla obozowych władz i tylko nas się trzymał. Oswoił się tak bardzo, że nie chciał zostawać w cegielni sam. Wcisnął się w środek kolumny i naprawdę cudem przebiegał wachłę, szczęśliwy, że jest razem z nami w zonie. Radość nam sprawiał ogromną. Z kuchni dostawał najlepszą zupę. Jak tylko ktoś miał paczkę, zaraz go wołał, nie żałując najsmakowitszych kąsków. Ukrainki wołały na niego Rex, Rosjanki - Czurik, a on zdawał się rozumieć wszystkie nazwy i wszystkie języki.

Niestety, kiedyś rzucił się na jakiegoś oficera. Kazano go natychmiast wygnać z obozu. Dziewczęta go ukryły, a następnego ranka przemyciły w kolumnie za zonę i mądra psina biegła za nami w dostatecznie dużej odległości, aby konwój nie mógł do niej strzelić. Przyszedł do cegielni, przekradłszy się pod drutami i przez kilka dni byliśmy o niego spokojne. Ale niedziela była wolna i widocznie nudził się sam, lub był głodny, bo przyszedł nagle do obozu. Dostrzeżono go z wyszki i za chwilę cała wataha żołnierzy rozpoczęła obławę. Znalaziono go. Mimo próśb, mimo płaczu wyprowadzono go na rzemieniu poza druty i tylko usłyszałyśmy strzał. Nawet psa nie wolno nam było kochać.

Wiktoria KRAŚNIEWSKA

KULTURA, maj 1985

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

Neapol, 10 lutego 1985

Powinienem być w przeszłości zapisywać tematy, które co pewien czas pobudzały moją wyobraźnię, nie wychodząc poza stadium embrionalne. Po latach taki rejestr "poronień" byłby dość pouczający, może nawet w niektórych wypadkach skłoniłby mnie do prób wskrzeszenia pomysłów pozornie umarłych. Mam jednak zwyczaj, może i karygodny, wyrzucania do kosza /i wymazywania z pamięci/ notatek uznanych za niezdolne do odzycia i zaowocowania. Poprawię się teraz, z okazji świeżego "poronienia". Za namową R. zainteresowałem się historią księcia Venosy. Wiem już dziś, że nic z tego nie będzie, że znowu nie potrafię wyjść poza pomiary i opukiwanie tematu. Ale niech jego drobny bodaj ślad pozostanie w dzienniku.

Księżciem madrygalistą zajmowano się wielokrotnie. Dla historyków muzyki i muzykologów był przede wszystkim "odnowicielem gatunku" pod koniec XVI stulecia; z obowiązku napomykali, że był również mordercą. Autorzy smakujących w "historiach skandalicznych" na odwrót: ledwie wspominali o jego madrygatach, aby całą uwagę skupić na morderstwie. Istnieje więc Carlo Gesualdo, księżę Venosy, jako marmurowe popiersie w panoramie muzyki włoskiej. I Car-

Io Gesualdo, ksiązę Venosy, jako bohater szesnastowiecznej "czarnej kroniki", zabójca żony i jej kochanka. W *Les dames galantes* Brantôme'a występuje w rozdziale *Sur Les dames qui font l'amour et leurs maris eccus* /w roli rogowca naturalnie/. W Anglii wyszła o nim w latach dwudziestych naszego wieku książka *Musician and Murderer*, w której podobno granica między artystą i zbrodniarzem została świadomie zatarta. Nie udało mi się do niej dotrzeć, zresztą nie ma to już obecnie większego znaczenia.

Pochodził ze znakomitego rodu neapolitańskiego, tytułem książęcy związany z posiadłościami i zamkami w okolicach Venosy. Przez matkę był spokrewniony z papieżem Piusem IV i ze Świętym Karolem Boromeuszem. Ożenił się z Marią d'Avalos, z niemniej świętego rodu neapolitańskiego. Był trzecim mężem Marii. Dwóch poprzednich wyprawiła szybko na tamten świat, zasłużony na przydomek "pożeraczki mężczyzn". Uchodziła za najpiękniejszą kobietę w Neapolu; i za wcielenie zmysłowości. Miała dwadzieścia dwa lata, gdy posłubiła sławnego już madrygalistę; po raz pierwszy wyszła za mąż w wieku lat piętnastu.

Książę Venosy był od niej starszy. Miał dwie namiętności, muzykę i polowania. Ówczesni kronikarze podkreślają zwłaszcza pierwszą. Spędzał dnie i noce w swojej "pracowni muzycznej", w neapolitańskim pałacu koło San Domenico Maggiore. Wiele madrygałów skomponował do słów Torquato Tasso, poety z którym był zaprzyjaźniony. Zdaniem kronikarzy popełnił błąd, żeniąc się z kobietą tak piękną i pełną życia, skoro naprawdę był zdolny do jednej tylko miłości: do Muzyki. Bywało, że długimi okresami nie zaglądał nawet do małżeńskiej alkowy, gdy Maria - samotna i trawiona gniewem - słuchała dochodzących z "pracowni" dźwięków instrumentów i słów pieśni. Traktował ją jak narzędzie rzadkich "zachcianek" i dystrakcji seksualnych.

Za najpiękniejszą w Neapolu kobietę uważano Marię d'Avalos, za najpiękniejszego mężczyznę, "archanioła", Fabrycego Carafa, księcia Andrii. Ich romans zamienił się błyskawicznie w pasję pozbawioną wszelkich hamulców. Ilekroć książę madrygalista wyprawiał się na polowania, książę "archanioł" spędzał całe noce w sypialni Marii. Zdawali się oboje nie widzieć grozy sytuacji, szczególnie Maria. Trwało to długo, dopóki pogrążony w swoich madrygałach książę żył z zamkniętymi oczami. Otworzył je w październiku 1590. Upozorował wyprawę na polowanie, aby w kilka godzin po wyjeździe wrócić o północy do pałacu. Wtargnął z trzema pachotkami do sypialni Marii. Z zeznań świadków wynika, że po zamordowaniu obojga kochanków cofnął się jeszcze od progu do sypialni i z okrzykiem *Non credo esser morta!*, "Nie wierzę że jest umarła!", rozpiął zwłoki żony krótkim mieczem. Kronikarze piszą o podwójnej zapamiętałości. O zapamiętałości zdradzonego męża, który znęca się nad trupem żony. I o zapamiętałości obojga kochanków, którzy tej nocy wiedzieli ponoć z absolutną pewnością co ich czeka i na śmierć gotowali się "w uścisku miłosnym".

Sprawę szybko umorzono. Carlo Gesualdo uciekł z Neapolu do Venosy, w obawie przed zemstą rodziny d'Avalos i rodziny książąt Andrii. Po roku samotności w zamku warownym, roku wyjątkowo bogatym w twórczość kompozytorską, wyjechał na książęcy dwór d'Este w Ferrarze. Ożenił się tam powtórnie z Eleonorą d'Este, bogobojną i pokorną niewiastą, i zabrał ją do swojej Venosy. Umarł mu syn z pierwszego małżeństwa z Marią d'Avalos /są podejrzenia że był synem księcia Andrii/ i zaraz potem syn z drugiego małżeństwa z Eleonorą d'Este. Żył dalej, mimo powtórnego małżeństwa, samotnie ze swoją jedyną prawdziwą kochanką Muzyką, coraz płodniejszy jako madrygalista. Umarł w roku 1613. Eleonora, wkrótce po jego śmierci, wstąpiła do klasztoru.

13 lutego

Co tu ukrywać: o księciu Venosy myślałem jako wielebnie! *Kronik włoskich* Stendhala. Znał tę historię? Prawdopodobnie nie, bo gdyby ją był znał, jego pióro nie oparłoby się t a k i e j podniecie. Nie ze względu na postać księcia Venosy, która przemawia do mojej wyobraźni. Stendhal byłby zafascynowany Marią d'Avalos - zuchwałą, opętaną, nie liczącą się z niczym miłością kobiety; namiętnością która rzuca wyzwanie śmierci, a nawet rozkwita bujniej jeszcze w cieniu śmierci. Mniejsza o to, czy prawdziwy jest stary zapis kronikarski o parze kochanków oczekujących egzekucji "w uścisku miłosnym". Pewne jest jedno: to Fabrycy Carafa, "archanioł", miał instynktowny odruch cofnięcia się, gdy kochankowie uprzytomnili sobie, że książę Venosy wpadł na tropy ich związku; i to Maria d'Avalos oskarżyła go o "bojaźliwą przezorność", jakby upatrując w ryzyku właśnie zwielokrotnioną stymulację miłosną. Zrozumiałby ją, ba - zachwyciłby się nią, twórca Matyldy de la Mole, który /jeśli mnie pamięć nie myli/ napisał gdzieś, że "miłość jest wrogiem rozwagi". Vanina Vanini z cudownej noweli pod tym tytułem nie znosi myśli, że Ojczyzna jest jej rywaleką w sercu młodego karbonariusza. Księżna Campobasso z *San Francesco a Ripa* każe zabić swego rozważnego i "zbyt wyrachowanego" kochanka francuskiego /aby zresztą później zażywać w Rzymie czci jako "wzór wszelkich cnót"/. Stendhal, jak to potrafił tylko on, skierowałby w kilkunastu niezrównanie celnych zdaniach całe światło na "oszałałą" Marię d'Avalos, księcia madrygalistę sprowadzając do roli okrutnego i tępego rogowca, a księciu "archaniołowi" wyznaczając rolę kochanka z gatunku *povero diavolo*...

15 lutego

Manzoni, Manzoni, we wszystkich gazetach Manzoni w dwóchsetną rocznicę urodzin. "Największy powieściopisarz włoski", "autor arcydzieła" /*Promessi sposi*/ podziwianego przez Goethego, Stendhala, Hofmannsthała, analizowanego i komentowanego w niezliczonych książkach i szkicach przez włoskich historyków literatury i krytyków literackich, wkuwanego fragmentami na pamięć w szkołach włoskich. *Narzęczonych*, "historię mediolańską z XVII wieku", wydano po raz pierwszy w latach 1825-1826; w wersji przejrzanej i poprawionej przez autora w 1840.

Czytałem *Narzęczonych* dwukrotnie, po osiedleniu się we Włoszech i ostatnio. Na małą i trochę inną skalę przydarzyło mi się to, co w dziejach stosunku do powieści Manzonięgo ilustruje przykład Crocego.

W szkicu z roku 1921 Croce sformułował i ładnie uzasadnił sąd admiratora z "Ale". Pochwalił słusznie doskonałą harmonię opowiadania, zachwycającą rzeczywistość w prowadzeniu wątków i rysunku postaci ręką tak pewną, że na przestrzeni siedmiuset przeszło stron Manzoni wydaje się absolutnym władcą świata swej wyobraźni przeplatanej z rekonstrukcją wypadków historycznych w Mediolanie i okolicach na przełomie trzeciej i czwartej dekady XVII stulecia. Słusznie też ocenił bardzo wysoko mistrzostwo Manzonięgo w opisach dżumy, wojen, rozruchów, głodu; i jego świetny pędzel lombardzkiego pejzażysty. "Ale" dotyczyło supremacji katolickiego moralisty nad poetą. Croce nazwał *Narzęczonych* "dziełem oratoryjnym", przyjmując pogląd pierwszych krytyków powieści, których raziło jej "narracyjne sklepienie": nie "rozległy fundament nad wielokształtną ludzką egzystencją", lecz "kopuła świątyni nad wiernymi i ich ołtarzem".

W trzydzieści lat później Croce uderzył się w piersi i dopisał do tego szkicu krótką, jak to sam określił, "notatkę" - bo tylko miesiąc przed

śmiercią dojrzał "w katolickich uczuciach Manzonię moralną koncepcję życia w pełni do przyjęcia dla każdego wzniosłego, także nie katolickiego ducha". To raczej Kościół mógłby się odnosić - i odnosić się okresami - z rezerwą do powieści, w której mniszka z Monzy ulega grzesznym pokusom ciała, świątobliwy Fra Cristoforo ma na sumieniu popełnione w młodości zabójstwo, a wiejski proboszcz Don Abbondio jest chorobliwym tchórzem. *Narcecenti* są dziełem najwyższej poezji; obojętne, na takich wyżynach, czy Manzoni był wiernym synem Kościoła, czy katolikiem z ukrytymi skłonnościami do jansenizmu; był po prostu poetą o ogromnej wrażliwości moralnej; rzekoma "oratoryjność" powieści stanowiła poetycką istotę jego spojrzenia na świat, a nie ograniczenie "rozległego niebosktonu" do "kopuły świątyni".

Moje wrażenia po pierwszej lekturze *Narcecenti* były dokładnie takie same jak Crocego, z tym tylko że nie znając wtedy jego szkicu nazwałem na własny użytek powieść Manzonię "dziełem kaznodziejskim" a nie "oratoryjnym". I świeża lektura *Narcecenti* też popchnęła mnie do wyrecytowania *mea culpa*, choć nie tak daleko posuniętej jak u Crocego. Dziś jest to dla mnie znakomita i piękna powieść, mimo że element "kaznodziejski" czy "oratoryjny" obciąża jednak i krępuje jej poetycki rozmach. Tyle że uważam obecnie to obciążenie i skrępowanie za źródło swoistej dramatyczności *Narcecenti*. Manzoni miał niezmiernie ostre poczucie zła w świecie i ocalenia przed nim, rozpaczliwej ucieczki od niego, szukał pod "kopułą świątyni". Nigdy chyba, przed powtórną i pogłębioną lekturą powieści Manzonię, nie zetknąłem się w literaturze światowej z tak szczerym, autentycznym i namiętnym oddaniem się pisarza w ręce Boga. Nigdy nie słyszałem w utworze literackim modlitwy tak bezpośredniej, kazania wygłaszanego z takim przejęciem i z taką mocą.

Maisons-Laffitte, 10 marca

A więc cud /a wierzę w cudy/: cud francuskiego zmartwychwstania *Innego Świata* w trzydzieści pięć lat od daty napisania książki. Jego punktem kulminacyjnym był przedwczoraj telewizyjny program *Apostrophes* Bernarda Pivoty. Ponieważ nie mówię po francusku, reprezentował mnie /świecnie! / Kot Jeleński. Ale wiedziałem, że będę mógł zabrać krótko głos po polsku. Sprowadziło się to do odpowiedzi na pytania Pivoty, z Kolem w roli tłumacza. Miałem natomiast w głowie przygotowaną zawczasu wypowiedź, wartą może utrwalenia na pamiątkę przynajmniej w dzienniku: "Nadzieжда Mandelsztam, wdowa po zamęczonym poecie Osipie i autorka wspomnianych *Wspomnień*, nazwała system sowieckiej cywilizacją więzienną, *tuwensmaja ciwilizacja*. Po ukazaniu się mojej książki we Włoszech znany włoski krytyk literacki Paolo Milano określił ją niemiecką definicją *Bildungsroman*. Chciałbym, aby kiedyś w przyszłości czytano *Imy Świat* jako *Bildungsroman* z odległej i zamkniętej epoki sowieckiej cywilizacji więziennej". Wierzę także w ten przyszły cud, chociaż wiem, że go już nie zobaczę...

Telewizyjny program *Apostrophes* wzruszył mnie z jednego jeszcze względu, ubocznego lecz po jakimś wymownego. Pivot wybrał pięć książek i nadał całości tytuł *Historie wygnanców*. Jedną z wybranych książek, powieść Rogera Grenier *Il te faudra quitter Florence*, posłużyła za coś w rodzaju motta. *Il te faudra quitter Florence*, czyli początek słynnego fragmentu XVII pieśni *Raju* Dantego: *Ti conviene partir di Fiorenza*. Dalsze tercyny są motywem przewodnim mojego opowiadania *Książę Niezłomny* z roku 1956: "Porzucisz każdą rzecz którą kochałeś /najbardziej; i to jest owa strzała którą łuk wygnania pierwszą wypuszcza. / Spróbujesz jak gorzki ma smak / cudzy chleb i jak ciężko jest / schodzić i wchodzić po cudzych schodach...".

12 marca

Zaczyna się na Zachodzie kolejna zabawa w "liberalnego gołębia" kremłowskię. W wypadku Andropowa wystarczyły dwa atuty, przekreślające z punktu piętnaście lat u steru KGB: znał podobno nieźle angielski i nad wódkę przekładał *whisky* /która mu w końcu zaszkodziła/. Gołębi repertuar Gorbaczowa jest znacznie bogatszy: szeroki uśmiech /w przeciwieństwie do lisiego uśmiechu Andropowa/, dobrze skrojone ubranie, młodość wolna od "reliktyw" stalinizmu, umysł "technokratyczny", towarzyska ogłada, no i, no i /karta prawdziwie atutowa/ przystojna i dość elegancka żona wagi lekkiej, jeśli nie wręcz piórkowej, na tle damskiej tuszy w wysokich rejonach Nomenklatury. Pani Thatcher wpadła w ciełęcy zachwyty, gdy Gorbaczow zacytował w Londynie zdanie Palmerstona, że w polityce liczą się interesy, a nie idee; nie tylko z uwagi na bliski angielskiemu sercu sens tego zdania, dlatego również, że na czerwonym Kremlu - *my God, my God* - znają Palmerstona. Wybitny włoski historyk literatury Francesco Flora stał się po wojnie entuzjastą ZSSR, i później senatorem z listy komunistycznej, odkrywwszy w moskiewskiej bibliotece swoje wielotomowe dzieło. Wobec "dzikiego supermocarstwa" obowiązuje na Zachodzie taryfa specjalna *ubi leones*, podszyta w głębi ducha pogardliwą rewerencją, należną silnym barbarzyńcom.

Trzy miesiące temu, podczas mojego poprzedniego pobytu w Paryżu, odwiedziłem Maksimowa. Prasa zachodnia pełna już była wtedy westchnień do "nud-chodzącej ery oświeconej Gorbaczowa". Maksimow mówił o nim "Miszka Gorbaczow" z taką naturalnością, jakby młody delfin był z dawnych czasów jego koleżką "od bitki i wypitki". Okazało się, że rzeczywiście był. Wspinał się po szczeblach kariery w Komsomole, gdy Maksimow pracował w piśmie komsomolskim. "Chytry i cyniczny", scharakteryzował go zwięźle Maksimow. W dzisiejszym *Corriere della Sera* Maksimow rozszerza charakterystykę z okazji świeżej intronizacji: człowiek niepozabawiony uroku, przystępny, wcale niegłupi; ale za czarusia w osobistych kontaktach uchodził również Stalin. "Liczy się maszyna systemu, maszyniści nie mają już na nią żadnego wpływu. Maszynista może być filozof albo małpa, wyjdzie na jedno". Z Maksimowem zgadzają się całkowicie w *Corriere* Etkind i Siniawski, rzecz rzadka w rosyjskim Paryżu dysydenckim. Pewne nadzieje w nowym *gensieku* "reformiście" pokładają za to "naukowci znawcy" ustroju: Roy Miedwiediew i Zinowiew. Ku ucieście, ma się rozumieć, zachodnich "mężów stanu" i "sowietologów".

Kiedy żegnałem się z Maksimowem po mojej wizycie u niego w grudniu, opowiedział mi o swoim pożegnaniu w Moskwie z bardzo bliskim przyjacielem przed wyjazdem do Paryża. *Dzieło w tom /pokiwał smętnie głową przyjacielem/, czto my Sowietiskij Sojuz obreczeny na pobiedu.* Oczywiście "skazani na zwycięstwo" przez zachodnich "mężów stanu" i "sowietologów".

19 marca

Wieczorami czytam "wypisy więzienne" Adama Michnika z *dziejów honoru w Polsce*. Książka niezwykła, mądra /nie do wiary prawie, że napisana w więzieniu!/, dobrze przemyślana i doskonale skomponowana, porządkująca i objaśniająca rzeczy znane dotychczas na wrywki, jak części rozbitego obrazu. Będzie czytana i tu i w Kraju, jestem tego pewien. Odegra wielką rolę w bilansach minionego czterdziestolecia. I wreszcie: nie myślę się chyba, uważając ją za odwrotną /i o ileż prawdziwszą/ stronę *Zniewolonego umysłu*. Kuła, Elzenberg, Malewska, Szczepański, Herbert /i obecny ciągle w tle sam Miłosz/ mówią o Polsce w kleszczach Przodującego Ustroju bez porównania więcej i głębiej, niż Ketman i Kurci-Sing, niż Alfa, Beta, Gamma i Delta.

Co nie znaczy, że we wszystkim się z Michnikiem zgadzam. Różnią mnie od niego dwie rzeczy. Po pierwsze, mam idiosynkrazję na punkcie rzekomej roli "ideolo" /"ukąszenia heglowskiego"/ w podboju komunistycznym. Po drugie, gdy on twierdzi jakby z żalem że "czas totalizmu nie sprzyja sądom wyważonym" i popycha do "jednostronności", ja widzę duże niebezpieczeństwo w owych na pozór szacownych "sądach wyważonych" i analizach "wielostronnych", bo często bywają wstępnym /i podstępnym/ narzędziem totalitarnej deprawacji.

Postuję się przykładem literatury i to nie polskiej, skoro Michnik na ten temat bezpośrednio ze mną polemizuje. Chodzi o literaturę włoską pod rządami faszyzmu. Zanim odpowiem na jego pytania, przytoczę za nim fragment rozważań Malewskiej z lipca 1956: "Można sądzić, że przede wszystkim niedostatek *pisarstwa* przyniósł klęskę tyłu pisarzom, czy raczej literatom. Mogą być pierwszorzędni literaci i drugorzędni pisarze. Z różnych powodów jakiś pisarz nie daje pełnej swej miary, lub ma tę miarę skromną i ograniczoną - niemniej jest *pisarzem*, jeśli ta miara stanowi jedno z jego życiem, jeśli nie chce on i nie potrafi rozszepić się na dwóch ludzi, z których jeden urząda sobie życie, a drugi pisze. W przeciwnym razie jest literatem, zdolnym czasem pisać umiejętnie, i to nie tylko pod dyktando, bez przekonania, lecz również z przekonaniem, które administrator wewnętrzny wyrobił sobie pod wpływem okoliczności i stara się nim natchnąć swoje pióro". Nie znałem szkicu Malewskiej, poznałem go z ogromną satysfakcją teraz dopiero dzięki "wypisom więziennym" Michnika. Od bardzo dawna powtarzam z uporem manłaka dokładnie to samo: co innego pisarz, a co innego literat. Przed wielu laty, na kolacji u Janka Lebensteina, byłem świadkiem słownego pojedynku polskiego pisarza /Herberta/ z polskim literatem /Andrzejewskim/...

Wróćmy jednak do faszystowskich Włoch. Faszyzm włoski był różną wodą w porównaniu z komunizmem i hitleryzmem, ale stara tradycja literata /dworskiego/ jest w tym kraju wyjątkowo mocno zakodowana. Wykorzystano ją z powodzeniem w cieniu "różg liktorskich". Michnik pisze: "Herling-Grudziński zna włoską literaturę świetnie, ale czy przypadek na przykład Malapartego w pełni mieści się w jego kryteriach? A na przykład w Niemczech, czy *casus* Gottfrieda Benna nie maći czystego obrazu? Słowem: czy pospolity strach przed pałką jest ostatecznym kluczem do zrozumienia korzeni i mechanizmów ideologicznych obłądów naszego stulecia?". Odpowiadam: tak, przypadek Malapartego w pełni mieści się w moich kryteriach /Malaparte występuje, pod nazwiskiem Malatesta, w moim opowiadaniu *Książę Niezłomny*/; nie, *casus* Gottfrieda Benna nie maći czystego obrazu /zająłem się nim ostatnio nieco szerzej w moim dzienniku/. "Pospolity strach przed pałką" jest istotnie, według mnie, kluczem do zrozumienia "ideologicznych obłądów naszego stulecia".

Nie jedynym, co prawda. Niekiedy, w obrębie łagodnej stosunkowo odmiany totalitaryzmu, wystarczy korupcja. Od mojego przyjaciela Paolo Milano, włoskiego krytyka literackiego, słyszałem śliczną historyjkę z tej dziedziny. Po wprowadzeniu "ustaw rasowych" we Włoszech zdecydował się wyjechać do Stanów i któregoś dnia przechodził ulicą koło Minculpo /*Ministero della Cultura Popolare*/. Z ministerstwa wyszedł właśnie sławny poeta Vincenzo Cardarelli i gorączkowo, nie oglądając się na boki, otwierał kopertę z czeikiem /ministerstwo wyptaćo "subwencje twórce" zastużonym luminarzom literatury włoskiej/. Stanąwszy niespodzianie oko w oko ze swoim dawnym przyjacielem, pomachał czeikiem w powietrzu i krzyknął: "Widzisz, Paolo, do czego nas zmuszają!". Był to, trzeba mu oddać sprawiedliwość, literat dowcipny w królestwie "czarnych koszul".

24 marca

W mojej wypowiedzi na wieczorze poświęconym Czapskiemu wspominałem *Orła Białego*. Jerzy Giedroyc, główny inspirator *Orła*, dał mi dziś do przejrzania dwa roczniki pisma z lat 1943 i 1944.

Irak, Palestyna, Włochy - to był okres świetności *Orła*. Pamiętam z jaką niecierpliwością oczekiwano każdego nowego numeru w oddziałach, jak podawało go sobie w namiotach z rąk do rąk, dyskutując ważniejsze artykuły. Tygodnik był żywy, wojowniczy, niezależny. Długa lista publicystów: Pistrzyński, Racięski, Józef Poniatowski, Szułdrzyński, Adolf Bocheński, Gierat, Strzetelski, Ulatowski. Reporterzy Wańkowicz, Bielatowicz, Mieroszewski /tak, wtedy reporter!/, Domański. Czapski o malarstwie. Poeci Olechowski, Broncel, Obertyńska, Broniewski, Kobrzyński, Międzyrzecki. 30 maja 1943 ukazał się artykuł *Sprawa Michałłowicza* z białymi plamami: po raz pierwszy dała o sobie znać angielska cenzura wojskowa. Odtąd białe plamy zadomowiły się w *Orle* na dobre, z nadrukiem "skonfiskowano". Konfiskowano, rzecz jasna, wszelkie uwagi krytyczne o "potężnym sojuszniku", łącznie z artykułem o dzieciach ewakuowanych z ZSSR, którym niedawno Jan i Irena Grossowie poświęcili ciekawą książkę.

Po wojnie postanowiono *Orła* utrzymać, najpierw krótko w Brukseli, potem - aż do świeżego zgonu - w Londynie. Decyzja była lekkomyślna, żywy niedługo tygodnik dogorywał czterdzieści blisko lat pod tlenowym namiotem. Są pisma niezdołne do przeżycia albo zamkniętego okresu historycznego, albo śmierci swego założyciela i redaktora. *Orzeł* przestał być dawnym *Orłem* po demobilizacji wojska, jak *Wiadomości* przestały być dawnymi *Wiadomościami* po odejściu Grydzewskiego.

W roku 1945, po ukończeniu kampanii włoskiej, posłano mnie z oddziału liniowego do Rzymu na stanowisko kierownika działu literackiego w *Orle*. Pamięć podsuwa mi szereg znamienych i godnych odnotowania epizodów z czasów urzędowania w mundurze za biurkiem w zarekwirowanym przez wojsko gmachu *Banca Nazionale del Lavoro*. Mój pierwszy konflikt /były i następne/ z redaktorem Pistrzyńskim dotyczył Józefa Mackiewicza. Przyniosłem do redakcji wstrząsającą relację Mackiewicza *Ponary-"Baba"*, ale Pistrzyński bez czytania odmachnął się od niej stanowczo, przerażony "nazwiskiem autora"; stanęło, krakowskim targiem, na druku pod inicjałami J.M. Z Niemiec odezwał się Tadeusz Borowski, proponując współpracę; niebawem jednak wrócił do Warszawy. Z Niemiec też przysłał kilka wierszy Gałczyńskiego, z montecassinią *Pieśnią o fladze* na czele. Były drukowane. Spalił natomiast na panewce jego ambitny plan pisarsko-finansowy: przysłał mianowicie pierwszy rozdział zaskrojonej na epicką skalę powieści *999 niesłubnych dzieci*; miało tych rozdziałów być tyle, ile niesłubnych dzieci, skończyło się niestety na pierwszym /niedrukowanym zresztą, w oczekiwaniu na kilka choćby kolejnych/. Zjawił się Sergiusz Piasecki z opowiadaniem *Lom* /drukowanym/. Wańkowicz i Bielatowicz przyprowadzili odkrytą właśnie młodą poetkę Zofię Górską /późniejszą Romanowiczową/. Regularnie, jak wzorowy urzędnik bankowy, przychodził do redakcji ze swoimi tekstami Gustaw Morcinek, sztywny i starannie ubrany, z teczuszką pod pachą: Któregoś dnia nie przyszedł o oznaczonej godzinie: wrócił do Polski.

Ten ostatni epizod miał swój dalszy ciąg. Po latach, w okresie "odwilży", spotkałem Morcinka w Wiedniu. Był człowiekiem złamanym. W PRL zrobiono go posłem ze Śląska i wypchnięto na trybunę sejmową z "prośbą ludu śląskiego" o przemianowanie Katowic na Stałinogród. W Wiedniu zamęczał mnie prośbami o spisanie okoliczności tego wymuszonego na nim wniosku poselskiego, w imię "przekazania prawdy przyszłym pokoleniom". Przypomniał mi się Łwów pod oku-

pacją sowiecką. Znany był tam wówczas pewien nauczyciel polski ze Stanisławowa, którego podpisano bez jego wiedzy pod ogłoszoną w *Czerwonym Sztandarze* petycję "mas robotniczych i włościańskich oraz inteligencji pracującej. Zachodniej Ukrainy" do władz najwyższych ZSSR w sprawie niezwtócznego powrotu tego rejonu na łono "ojczyzny proletariatu światowego". Błagał ze łzami w oczach swoich lwowskich znajomych, by poświadczyli podpisami jego datowany akt zaprzeczenia, który w zakopanej głęboko butelce miał czekać na dejścia lepszych czasów...

Neapol, 3 kwietnia

Korespondent z Warszawy, który czytał w moim dzienniku aluzyjną lecz dość przejrzystą notę o zamordowaniu Matteottiego napisaną po odnalezieniu zwłok księdza Popiełuszki, chciałby wiedzieć jak daleko sięgają analogie i czy można z nich wyciągnąć większą naukę o działaniu obu systemów.

Tak się złożyło, że wpadł mi do rąk tekst referatu Denisa Mack Smitha, oxfordzkiego historyka współczesnych Włoch, *The Murder of Matteotti* na amerykańskim sympozjum *Mussolini and Italian Fascism* w roku 1982. Mack Smith podważa tezę o pośredniej tylko odpowiedzialności Mussoliniego za porwanie i zabójstwo posta socjalistycznego, tezę która głosi że Mussoliniego wolno obwiniać wyłącznie za stworzenie "klimatu moralnego" sprzyjającego zbrodni. W rzeczywistości Mussolini oparł od razu, u samego zarania faszystów, swoje rządy na terrorze selektywnym. Zanim doszło do zamordowania Matteottiego i śmiertelnego pobicia posta liberalnego Amendoli, ofiarą lżejszych agresji /"nauczek"/ padło około pięćdziesięciu postów opozycji parlamentarnej. 1 czerwca 1924 Mussolini ogłosił w swoim *Popolo d'Italia* artykuł niedwuznacznie wzywający do "uciszenia" Matteottiego. 6 czerwca otwarcie powiedział w parlamencie, że faszystom dojrzało do "naśladowania komunistów rosyjskich, którzy swoich przeciwników likwidują ciosem w plecy". I po zwykłej u niego pauzie oratorskiej dla wzmocnienia efektu dorzucił, skandując słowa: "Nie zawahamy się tego zrobić, przekonacie się wkrótce". 10 czerwca został porwany Matteotti.

Szef "faszystowskiej CzeKa" Dumini /włoski kapitan Piotrowski/ był w stałym kontakcie z Mussolinim, wprost lub poprzez najbliższe otoczenie Wodza. "Ekstremistą" i "narzędziem niecnej prowokacji" stał się dopiero wtedy, gdy wyszło na jaw jego profesjonalne partactwo. W terrorze selektywnym nieodzowna jest czysta robota, bez śladów i świadków. Portier kamienicy nad Tybrem, w której mieszkał Matteotti, odznaczał się dobrą pamięcią: zapamiętał numer tabliczki rejestracyjnej samochodu, parkowanego od pewnego czasu codziennie /z czterema osobami w środku/ po drugiej stronie ulicy. I spalił Duminię z jego "faszystowską CzeKa", jak szofer Chrostowski spalił kapitana Piotrowskiego i jego dwóch pomocników. To są te przystawki "kamyczki", o które na równej i gładkiej drodze w dolinie zdarza się potykać terrorowi selektywnemu, zaplanowanemu skrupulatnie na szczytach władzy.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

KULTURA, lipiec-sierpień 1985

ENDRE BOJTAR

WSCHODNIOEUROPEJCZYK - PRECYZYJNIEJ

Zajmują się Europą Wschodnią. To chętliwie stwierdzenie brzmi co najmniej tak samo, jak gdyby ryba w pordezwiątej, poobijanej wannie, skazana na niemotę z wyjątkiem wigilii, rzekła: zajmuję się wanną. Dodatkowo optywający nas brudek nie ma żadnego swojskiego, rodzimego charakteru: woda jest lodowata i wciąż, bez przerwy, musimy omijać okręty wojenne naturalnej wielkości.

Tutaj ludzie są czujni i ciekawi. W rzadkich chwilach spokoju, kiedy nie są zmuszeni ćwiczyć się w przechodzeniu na oddychanie skrzelami, kiedy jarrzące się smugi idei nie zbierają ich w roje, gdy spokoju nie zakłóca żaden wybuch miny, wyskakują z wody i dysząc ciężko pod ciężarem, pełni odpowiedzialności, próbują zanalizować doświadczenia przebytej drogi: co może zrobić człowiek? co musi zrobić żeby nie potknąć haczyka?

Historyk literatury to też człowiek. Oczywiście jego sytuacja jest trudniejsza niż pisarza. I to nie tylko dlatego, że ma mniej talentu - właśnie dlatego został historykiem literatury - lecz z tej przyczyny, że musi odpowiedzieć na pytanie: "Co może i powinna robić literatura?", a także na inne: "Co winien robić historyk literatury?"

Może najbardziej charakterystyczną cechą literatur wschodnioeuropejskich jest nierozzerwalna jedność życia i sztuki. Z książek bije zapach życia, znajdujący zastosowanie w modelu działania, który pisarz proponuje swoim czytelnikom. Dlatego dokonując przeglądu galerii typów ludzkich, jakie rzeczywistość wschodnioeuropejska ukształtowała, otrzymujemy również i pewien obraz literatury:

CZŁOWIEK EKSPORTOWY w różnych wariantach: KOB!ETA wschodnioeuropejska - przedmiot i towar dający rozkosz, ognista Węgierka, wyposażona we wszystkie fortele swej ptci śliczna Polka, masywna, lubieżna Czeszka; odziany w strój ludowy, grywający u pańskich stołów MUZYK LUDOWY; kobziarz czeski, Cygan węgierski, ukraiński bandurzysta;

pracujący za głodową stawkę, łamistrajk, syfilityk, gotowy na wszystko za pieniądze, szamotający się na obczyźnie i tam zdychający EMIGRANT ZAROBKOWY, NAJEMNIK;

począwszy od plemion na Ukrainie Zakarpackiej w erze kamienia łupanego, wszędzie znajdujący się wśród najzamożniejszej i najbardziej wpływowej górnej pięćdziesiątki ŻYDZI, których każdemu systemowi i ustrojowi wystarczy do pogromu, którzy są raz na wozie, raz pod wozem, a ich niepewną sytuację najpełniej charakteryzuje powitanie: - wymyślone? naprawdę wypowiedziane?, które tak się rozpoczynało: "Witam gorąco w naszym gronie wszystkich obecnych śmierdzących towarzyszy Żydów!";

nieskończona liczba naukowców, artystów, ogólnie biorąc STAWNYCH LUDZI, wśród których postacią najwymowniejszą jest goszczący u nas kilka lat temu

rodak z ojczyzny, co to w błyskawiczny sposób ściąga zegarki z przegubów ochotników, kradnie im papierosnice i portfele i właśnie dlatego słusznie szczyty się dobrze brzmiącym tytułem - "król złodziei", zdobywając i szerząc tym w świecie sławę ducha węgierskiego;

WŁÓCZĘGA, także w dwóch wariantach, prosty robotnik, chłop próbujący swego szczęścia, gatunek rozsiany od Oceanu Spokojnego aż po Atlantyk, także inteligent obieżyświat, w końcu nie znajdujący swego miejsca;

najczęściej rewolucjonista, wygnany na emigrację, walczący tam o Ideę, pogrążony w iluzjach, beznadziei, oszukujący samego siebie EMIGRANT POLITYCZNY;

opuszczający swój mały naród, wystugujący się ze wszystkich sił nowemu i potężnemu gospodarzowi ZDRAJCA, również w dwu wersjach: mały zdrajca, goryl przyboczny, kapo, kiber, ci Litwini, Łotysze i Ukraińcy, co to w obozach koncentracyjnych wykonywali brudną robotę, na którą Niemcy kręcili nosem, no i wielki zdrajca, wydający rozkazy tysiącom małym zdrajcom;

z rzadka i od święta wdziewający narodowo zmienny strój suto szamerowany, na co dzień zaś chodzący po prostu w łachmanach, brzydki, twardy, ocieźżały umysłowo, pódzający genuszny, tajemniczy i z otwartym sercem, którego życie to jedno pasmo udręk, CHŁOP;

brutalny MISTRZ OKRUCIENSTWA, wynalazca maczugi do miażdżenia ludzkich kości, przechowywanej w sofijskim Muzeum Ruchu Robotniczego, na którego rozkaz spożywano palone ciało Dozsy; ustasze zbierający do worka oczy ludzkie, białogwardziści żywcem przepiłtujący złapanych bolszewików;

BOHATER niedokończonych, urwanych w połowie rewolucji, ginący za lud, rewolucjonista, świadek krwi, po śmierci wyniesiony na piedestał czytane szkolnych jako wzór bohatera pozytywnego.

Bardzo długo można kontynuować. Ale i na podstawie przedstawionej tu galerii można zauważyć, że skala rzeczywistości wschodnioeuropejskiej jest dość szeroka. Jak powiedział jeden z filozofów czeskich, z jednej strony "jest to cudowny konglomerat biurokratyzmu i bizantyjskości, zwyrodniała symbioza państwa i pogańskiego kościoła, hipokryzji i fanatyzmu, szarżyny biurokratyzmu i masowej hysterii", z drugiej nieograniczony talent, siła zdolna "ruszyć bryłę z posad świata", zdolna do najwyższych poświęceń tęsknota za wolnością, uparta chęć życia.

Literatury wschodnioeuropejskie "wnoszą" wszystkie wymienione i całą resztę nie wymienionych typów ludzkich. Same wyprodukowały natomiast tylko jeden jedyny przykład, w którym zawarł się jakby w zagęszczeniu cały sens życia wschodnioeuropejskiego - wszystkie jego możliwości - stając się inspirowanym wzorem, takim typem łosu człowieka i nieśmiertelnym modelem zachowania ludzkiego jak Odyseusz, Don Juan, lub Faust. Mowa o Szwajku. Tak, to dałiśmy światu, szwejkostwo, sztukę przeżycia, oczekiwania Historii, zdolność przystosowania się ryby do życia nawet w wannie. Należy to dobrze rozumieć, jest to jedyny typ wschodnioeuropejski, który - o przepiękny nasz wieku! - stał się powszechnie uznany. Szwajk jest naszym Odysem wschodnioeuropejskim, postacią która robiąc dumnia z samego siebie i ze wszystkich innych, wrzaszkiem oznajmia o odkryciu nowego lądu: Na Belgrad! Na Belgrad! On jest naszym Don Juanem, który spełnia sześć życzeń porzuconej dziewczki; oficera, on naszym Faustem, który w momencie spokoju darowanym mu przez zwierzchników mówi: "Chwilo, trwaj!"

Pytam ponownie: co może i co musi zrobić historyk literatury w takich okolicznościach? Tylko jedno. Ale to koniecznie. Musi dokładnie przedstawić tę sytuację, musi dokonać właściwej oceny naszych literatur razem i osobno. Trzeźwa dokładność to nie za wiele, ale też i nie za mało. Niewiele, jeśli weźmiemy pod uwagę, ilu już okrzyknęło naszą wannę przepiękną, otwartą mo-

rzem, ilu na nowo strugało, lakierowało, gniotło, tłukło, okładało, starając się odwrócić naszą uwagę od poszukiwania odpływu; ale niemało, jeśli zaskoczeni zauważymy, ile uprzedzeń wyrosło w tej małej ilości wody, jak mało znamy ludzi nawet o poglądach podobnych naszym.

Zadanie jest wytyczone. Musimy skończyć z gadaniem wzmacnianym przez megafony, z głośnymi kłamstwami, w które i tak nikt poza nami nie wierzy. Otwarcie, mądrze musimy przyznać się do siebie, do Wschodniej Europy. Musimy stać się Wschodnioeuropejczykami, abyśmy mogli stać się kiedyś Europejczykami, a może później i ludźmi.

Endre BOJTAR

/Przekład z węgierskiego/

/In: Egy kelet-europeer az irodalemeleletfen. Budapest, 1983. Szepirodalmi./

KULTURA, lipiec-sierpień 1985

KRZYSZTOF KRUK

KARLI REALIZM

"Ludzie bowiem wierzą, że ich własny rozum rządzi słowami, lecz zdarza się tak, iż słowa swoją siłę odwracają i oddziałują na rozum" - napisał Franciszek Bacon prawie cztery wieki temu¹.

Kiedy słowa "odwracają swoją siłę", mamy do czynienia z propagandą. Propaganda osiągnęła szczyt w systemach totalitarnych XX wieku: nie tylko stara się skutecznie "działać na rozum" ludzi, ale przede wszystkim usiłuje stworzyć w ich umysłach nową rzeczywistość. Jest to rzeczywistość fałszywa i całkowicie sprzeczna z tą, w której ludzie naprawdę żyją i działają. Stworzenie fałszywej rzeczywistości nie jest zabiegiem bezpłodnym - socjologowie dawno już zauważyli, iż społeczną rzeczywistość określa i tworzy między innymi /a może nawet - przede wszystkim/ właśnie to, co ludzie o niej sądzą.

W Polsce po drugiej wojnie światowej kolejne ekipy rządzące stosują różne metody propagandowe. /Byłoby zresztą rzeczą niezmiernie ciekawą i pouczającą opisanie tych ekip w świetle tworzonych przez nie różnych, fałszywych rzeczywistości, ale to oczywiście inny temat/. Mimo różnych metod i technik propagandowych, kolejne ekipy traktują tak samo podległe sobie środki masowego przekazu. To znaczy traktują je jako narzędzie, służące wyłącznie do pacyfikacji społeczeństwa i manipulowania jego postawami.

Obecna sytuacja różni się jednak zasadniczo od poprzednich. W okresie rządów ekipy gen. Jaruzelskiego zmieniły się zarówno sama koncepcja propagandy, jak i jej metody. Te ostatnie opierają się coraz bardziej na odkryciach socjotechniki i psychologii społecznej, co niezmiernie zwiększa skuteczność propagandy. Koncepcja zaś wyzbywa się starych schematów, do dziś

¹ Novum Organum, Ks. I.

stosowanych w Związku Sowieckim i innych krajach tak zwanej demokracji ludowej. Nowością jest fakt, że sterowanej przez Jerzego Urbana propagandzie absolutnie nie zależy na przekonywaniu Polaków o zaletach najlepszego ustroju na świecie, ani na wykazywaniu wyższości komunistycznej ideologii /po raz pierwszy od 40 lat w massmediach coraz rzadziej używane bywa nawet samo słowo "socjalizm" i jego pochodne/. Osią urbanowskiej propagandy jest coś, co nazwałbym *ponurym, karłim realizmem*, co polega na nieustannym pokazywaniu Polakom ich beznadziejnego położenia i czynienia zeń cnoty. W położeniu tak strasznym jedyną możliwością jest wybór *między złem i złem*, a wobec tego należy wybierać zło mniejsze. Co zaś jest złem mniejszym - określa władza /dalej omówię tę koncepcję szerzej/. W każdym razie koncepcja "mniejszego zła" i ochrony narodu przed złem większym stała się półoficjalną legitymacją rządów gen. Jaruzelskiego.

Głównym zaś celem obecnej indoktrynacji jest kompletna zmiana wyznawanych dotąd przez Polaków wartości. Różnymi metodami przekonuje się ludzi, iż jedynymi liczącymi się wartościami są siła, władza i korzyść osobista /w bardzo zawężonym, czysto materialnym znaczeniu/. Oczywiście nie mówi się tego otwarcie, gdyż wtedy łatwiej byłoby się bronić, ale wiele różnych elementów, a najważniejsze - **s a m o p o l s k i e ż y c i e**, jego organizacja, praktyka społeczna ma sugerować, iż tak właśnie jest. Chodzi o to bowiem, żeby w Polsce:

"Walka i obrona choćby najślusniejszycy i najbardziej szlachetnych racji moralnych jawiła się nam jako groteskowy i żałosny wysiłek w zderzeniu z życiowymi realiami" /socjolog X w PRL/.

Jest tak, jak jest - mówią Polakom władze i ich propagandyści - żyjemy w tak zwanych określonych warunkach, w takiej to a takiej sytuacji geopolitycznej i nie zmienimy tego. Więc pozostaje tak się urządzić, by przeżyć, jak się da najlepiej, nie próbując załatwiać tego, czego nigdy załatwić się nie da.

Powtórzę raz jeszcze, co wydaje się najważniejsze: koncepcja beznadziejności, bezsilności i odrzucenia "śmiesznych, szlachetnych wartości" narzucona jest nie tylko przez określone działania propagandowe. Ma ona wynikać z samej praktyki społecznej, ma do niej przymuszać po prostu nasze zbiorowe życie w PRL. Dlatego mówiąc o urbanowskiej propagandzie, opowiada się o czymś znacznie szerszym; chodzi tu bowiem o ogólną praktykę społeczną, o pewien określony styl życia i działania w PRL, o coś, co można by nazwać "urbanowszczyzną".

Niezależnie od konkretnej taktyki, strategiczny cel "organizowania świadomości społecznej" w PRL pozostaje zawsze taki sam. Celem tym jest ostateczne pozbawienie społeczeństwa PODMIOTOWOŚCI, całkowite obezwładnienie go, odebranie ludziom woli działania /inaczej można określić to słowem "sowietyzacja"/.

W każdym razie chodzi o to, by ludzie poczuli się bezwładnymi przedmiotami, zależnymi od "ojcowskiej" władzy, która ma wyłączność decydowania o tym, co jest dobre, a co szkodliwe dla społeczeństwa, narodu i państwa polskiego.

Najowocniejszym sposobem odbierania podmiotowości jest niszczenie wszelkich więzi społecznych, zrywanie rzeczywistych związków między jednostkami i między jednostkami a zbiorowością, wreszcie między zbiorowościami różnych kategorii. /Można twierdzić, iż w gruncie rzeczy to nie "Solidarność" była - czy jest - główną groźbą dla systemu. Prawdziwą groźbą jest po prostu solidarność między ludźmi. Dlatego to władza po przewrocie natychmiast przystąpiła do rozbijania więzi środowiskowych, niszczenia autentycznych stowarzyszeń społecznych wszelkiego szczebla i rodzaju/.

Niszczenie więzi społecznych odbywa się różnymi metodami. Wymienię kilka najważniejszych.

1. *Pozbawianie ludzi tak zwanych atrybutów identyfikacyjnych.* Chodzi tu o wszelkie wartości i ich materialne lub inne symbole, które przypominają przeżycia i idee związane z "bezkrwawą rewolucją" polską lat 1980-1981, a także z przełomami lat 1956, 1970, 1976 i z różnymi innymi, autentycznymi tradycjami Polaków. Symbole tego rodzaju pozwalają Polakom identyfikować się z pewnymi wartościami groźnymi dla systemu, jednoczą ich i dają siłę oporu.

Pozbawianie owych atrybutów odbywa się wprost przez ich policyjne tępienie. Na przykład bicie na ulicach ludzi noszących znaczki "Solidarności", wizerunki Matki Boskiej czy tak zwane oporniki, zaciekle wymazywanie napisów na murach czy rysunków-symboli nie jest tylko wynikiem złości i nerwowości aparatu ścigania. Pewną nowością natomiast jest stosowane na wielką skalę ZAWŁASZCZANIE pewnych symboli, elementów tradycji, określonych wartości, a nawet pojęć - tych, których nie da się wyznaczyć ze świadomości społecznej lub po prostu zniszczyć fizycznie.

Przykładem takiego zawłaszczania jest wprowadzenie w Kompanii Honorowej Wojska Polskiego rogatywek, tradycyjnego niegdyś nakrycia głowy polskich żołnierzy. W czasach ekipy Gierka czyniono wiele, by przejąć pewne wielkie tradycje historyczne, na przykład tradycje harcerstwa polskiego, albo tradycje tępionej niegdyś najzacieklej Armii Krajowej czy Powstania Warszawskiego. Dziś z kolei organizuje się oficjalne "czczenie" ofiar, jak się to w Polsce określa - ofiar czerwca 1956 roku w Poznaniu, grudnia 1970 roku w Gdańsku czy ofiar rozruchów w Radomiu i Ursusie w 1976 roku. Pomników ofiar /ofiar tego samego przecież systemu! / nie sposób już zniszczyć. Wobec tego oficjalne delegacje składają przed nimi kwiaty, ale ludzi, którzy się tam znajdują z własnej woli, rozpędza się, bije i karze za "zakłócanie porządku publicznego".

Kiedy Jan Paweł II mówi o podmiotowości pracy, o wolności i godności ludzkiej, o prawie do zrzeszania się i do wolności słowa, ekipa rządząca daje nam do zrozumienia, że Papież popiera "politykę generała", który przecież właśnie te wartości realizuje.

Przykłady można by mnożyć, ale przechodzę do metody kolejnej, którą jest:

2. *'Tworzenie' w życiu społecznym i umysłowym rozgałęzionego systemu pozorów.* Jest to klasyczny sposób tworzenia "fałszywej rzeczywistości". Po zniszczeniu wszelkich stowarzyszeń i grup zorganizowanych, które rzeczywiście wyrażały opinie zrzeszonych w nich obywateli, władze przystąpiły do formowania nowych stowarzyszeń, całkowicie już sobie podległych. Te parawanowe organizacje /ich wykitem jest PRON, czyli Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego/ reprezentują wyłącznie niewielkie grupy ludzi związanych z obecnym reżymem i zależnych od niego, wobec tego nie mogą w żadnym wypadku reprezentować różnych środowisk społecznych wobec władzy. Nie stanowią żadnego "mostu" pomiędzy społeczeństwem a władzą i dlatego nie mogą służyć porozumieniu. W tej sytuacji główne hasło obecnej propagandy, hasło "porozumienia narodowego", staje się również fikcją i pozorem. Władza tak chętnie wspierająca się zdobyczami socjotechniki, zdaje się zapominać, że *zasadniczą rolę w restaurowaniu napięć i w nawiązywaniu porozumienia odgrywają struktury średniego rzędu.* Tylko one bowiem mogą pośredniczyć między władzą, państwem, całością a różnymi grupami społecznymi, a także pomiędzy owymi grupami /czyli "w pionie" i "w poziomie"/. Wyrazem najgorszej patologii życia społecznego jest brak w strukturach społeczeństwa tego rodzaju "ośrodków porozumienia" - i zarazem przekazników.

Obecnie centrum władzy oddzielone jest od społeczeństwa swoistym "parawanem pozorów". Nieautentyczność "struktur średniego rzędu", ich separacja od głębi społecznej tworzy kolejny, groźny pozór komunikacji między "górami" i "dołami". Rodzi to nowe napięcia i zwykle w końcu prowadzi do konfrontacji, której część ekipy chciałyby rzeczywiście uniknąć. Z drugiej strony

"system parawanowy" zmusza do stałego zwiększania udziału SIŁY w stosunkach między rządzącymi a rządzonymi.

W system pozorów włączone są także tak zwane konsultacje społeczne, tak często oczarowujące zachodnich obserwatorów. Na przykład tak zwane konsultacje w sprawie podwyżek cen polegały na tym, że przedstawiono ludziom 3 warianty podwyżek - najniższą, średnią i najwyższą. Jest oczywiste, że przeciętny człowiek wybierze wariant najkorzystniejszy dla siebie, to jest podwyżki najmniejsze. Jest oczywiste, że gdyby nawet ktośkolwiek, kierując się dobrem /nieco abstrakcyjnym/ gospodarki, zechciał wybrać wariant gorszy dla siebie, nie jest w stanie i tak ocenić, w jaki sposób i dlaczego jego samobójczy wybór ma tę gospodarkę poprawić /bo informacji na ten temat brak/. Jest więc jasne, że bez "konsultacji" rząd doskonale wie, jaki wariant zostanie wybrany, wie także, że owa "konsultacja" nie ma żadnej wartości informacyjnej. Zarazem wszyscy - i władze, i społeczeństwo - doskonale wiedzą², że od samego początku do realizacji został wytypowany wariant najniższy; odrzucone warianty pozostałe miały tylko służyć pokazaniu, iż "władze liczą się z opinią społeczną".

Podobny, jeszcze groźniejszy "parawan pozorów" tworzą wszelkie badania opinii społecznej, które z różnych przyczyn odtwarzają i potwierdzają "rzeczywistość fałszywą". Jeśli zaś jakikolwiek raport o jakiegokolwiek sferze życia w PRL przedstawia stan rzeczywisty, zostaje uznany w najlepszym wypadku za "nieprawdowy", a w najgorszym za świadome, kłamliwe czarnowidztwo. Dobrym przykładem jest ostatni /1985 r./ raport Komitetu "Polska - 2000" Polskiej Akademii Nauk. Rzeczowa prognoza pod tytułem: "Społeczeństwo polskie na przełomie XX i XXI wieku" uznana została za "nienaukową" i ostro skrytykowana, ponieważ przedstawia "zbyt fatalny" obraz przyszłości. Pomijając już fakt, że władze nie rozumieją w ogóle istoty raportów prognostycznych, odrzucenie tego rodzaju materiałów nie pozwala im na prawidłowe rozpoznanie sytuacji obecnej i zatem na ewentualne przeciwdziałanie procesom opisanym w prognozie.

System pozornych dyskusji, pozornej publicystyki i nawet pozornej literatury, a w bliskiej przyszłości, niestety, również pozornej nauki - zadamawia się w Polsce coraz wyraźniej. Skutki tego nie dadzą na siebie długo czekać.

3. *Manipulacja informacją* - jest w gruncie rzeczy najstarszą i najprostszą metodą każdej propagandy. Wszakże propaganda urbanowska wprowadza system ulepszony. Postępuje się mianowicie znacznie rzadziej niż ekipy poprzednie jawnym kłamstwem, operując przede wszystkim niepełną prawdą /półprawdą/ lub tak zwaną formalną prawdą.

Jest, na przykład, taką "formalną prawdą", że w Polsce znajduje się bardzo mało więźniów politycznych. W istocie, większość osób prześladowanych za działalność polityczną skazywana jest za przestępstwa kryminalne /to znaczy czyny o charakterze politycznym "podciąga się" pod przestępstwa kryminalne/.

"Formalną prawdą" jest również twierdzenie, że w PRL istnieje pełna praworządność. W istocie tak jest - jeśli przez "praworządność" rozumieć postępowanie zgodne z przepisami. Ale właśnie owe przepisy, właściwie wszelkie ostatnie ustawy /całe prawo/ są dostosowywane do systematycznej totalizacji życia społecznego.

O ile w okresach poprzednich walka z prawdą polegała przede wszystkim na ograniczaniu informacji, eliminowaniu niewygodnych, o tyle dziś przeciwnie - otwiera się szeroko dostęp do informacji. Propaganda urbanowska nie ukrywa na ogół faktów niewygodnych - ale wyrывa je zawsze z szerszego kontekstu /przez co nieraz całkowicie zmieniają wywołanie/, albo też bardzo zrećcznie sta-

² Udawał, że tego nie wie wyłącznie K.T. Toeplitz, krytykując w istocie idiotyczną formę konsultacji. Ale na tym polega odwaga KTT.

ra się zatrzeć różnicę między faktem a jego interpretacją.

Oto przykład ulubionego chwytu rzecznika rządu PRL. Na jednej z konferencji prasowych w 1984 roku Jerzy Urban stwierdza, iż nieprawdą jest, jak kłamliwie podały agencje zachodnie, jakoby 3 maja milicja zablokowała przejazd między Nową Hutą a Krakowem. Prawdą jest, że tylko przez pewien czas główna ulica była wtedy zamknięta, ponieważ trzeba było dokonać niezbędnych napraw jezdni. Najdziwniejsze, że tego rodzaju wyjaśnienia korespondentom zachodnim na ogół wystarczą.

Jak wiadomo, "najprzemysłniejsze kłamstwa hodowane są z ziaren prawdy" /stare powiedzenie/, zaś siła manipulacji prawdą leży w tym, co przemilczane.

Wreszcie ostatnią z metod propagandy urbanowskiej są:

4. Manipulacje na żywym języku

Socjologowie dawno już zauważyli, że potoczną, powszechną wyobraźnię ludzi /i zatem ich postawy/ określa zrozumienie przez nich różnych obiegowych pojęć, słów, terminów. Jeśli się więc chce wpływać na społeczną świadomość, należy różnymi sposobami zacierać lub zmieniać treść dotychczas oczywistych pojęć. Takich jak na przykład postęp, prawo, praworządność, równość, sprawiedliwość, wolność, demokracja, patriotyzm, socjalizm, państwo, obywatel itd.

Już wiele lat temu spostrzegła Simone Weil, że w naszych czasach pojawił się nowy typ łotrostwa: złodziejstwo słów. Pozbawienie pojęć ich właściwej treści, nadawanie słowom chytkiem, po cichu, innych treści, czy "wywłaszczanie słów, używanie ich w sposób przeniwielczy, by wypełnić umyślnie martwą miązgą" /cytat z tajnej prasy krajowej/ - oto wielkie niebezpieczeństwo, grożące Polakom ze strony urbanowskich środków masowego przekazu.

Porównanie znaczeń różnych pojęć, utrwalonych w kulturze Zachodu - ze znaczeniami, jakie nadaje im Jerzy Urban i jego publicyści, zajęłoby zbyt dużo miejsca. Więc tylko przykłady: pojęcie "patriota" używane jest w tym języku zawsze w znaczeniu eliminującym ludzi kochających ojczyznę z pozycji innych niż "aktualnie słuszne"; "państwo" jest po prostu organizacją administracyjną, w której nie są ważne ani tradycje, ani uznawane przez obywateli tego państwa wartości, ani tożsamość kultury, nie mówiąc już o suwerenności, ani kwestia, jak owo państwo organizuje życie społeczne i gospodarkę; "prawo" - jest po prostu systemem represji, mającym utrwalać istniejący ustroj, "obywatel" staje się synonimem bezkrytycznego posłuszeństwa itd., itd.

W każdym razie głównym celem "nowomowy" jest - jak to już kiedyś zauważył Orwell - zawężanie zasięgu myślenia. I to się, niestety, w pewnym /niewielkim wprawdzie/ stopniu udaje. Oddziaływanie "kiczu językowego" trwa w Polsce już zbyt długo. Konkretne przykłady "kiczu językowego", zalewającego środki masowego przekazu w PRL i stające się po prostu językiem aparatu biurokratyczno-partyjnego są niestety tak liczne, iż ograniczę się do jednego zdania: "Na obecnym etapie realizowania zadań socjalno-bytowych został stworzony klimat na miarę historii aktualnie zaliczanych faktów"...

Spróbuję teraz wyliczyć niektóre specyficzne *konceptcje propagandy urbanowskiej*.

1. *Konceptcja MNIEJSZEGO ZŁA*

Zwykle dla kamuflażu nazywa się te konceptcje "realizmem politycznym" i jest to bodaj najczęściej stosowany chwyt propagandowy. Jest ona czymś

więcej: legalizacją uprawnień władzy, uprawomocnieniem wszelkich posunięć.

Już sam początek, 13 grudnia 1981 roku, miał być mniejszym złem, ponieważ uchronił Polaków przed inwazją sowiecką. Tak już w Polsce przywykliśmy do podobnych racjonalizacji, że nie dostrzegamy bodaj najbardziej niezwyklego paradoksu naszych osobliwych czasów: oto gwarantem suwerenności naszego państwa jest sojusznik, który za tę gwarancję wymaga tylko... wyzbycia się suwerenności, zaś strach przed interwencją gwaranta suwerenności Polski i najlepszego jej sojusznika ma usprawiedliwiać niepopularne ale konieczne posunięcia obecnej władzy. Nie to jest niezwykle, że tak jest naprawdę, ale to, że obecna ekipa bez żenady /choć nieoficjalnie/ tłumaczy tą właśnie sytuacją swe działania. Ekipa ta zresztą chroni Polaków stale przed większym złem: jeśli nie przed interwencją przyjaciół, to przed wojną domową, przed "rozpadnięciem się struktur państwowych", szczególnie zaś - przed rodzimą "czarną sotnią", to znaczy przed skrajnie konserwatywnymi grupami typu stalinowskiego lub półfaszystowskiego. Rządy wojskowe mają więc stanowić zapórę przed rządami policyjnymi i trzeba przyznać, iż jest to rachunek prosty i trafiający wielu ludziom do przekonania. W istocie bowiem lepiej jest popierać pseudoliberalne grupy reprezentowane na przykład przez tygodnik *Polityka* niż przypominającą najlepsze stalinowskie czasy grupę skupioną wokół pisma *Rzeczywistość* lub stowarzyszenia "Grunwald". Lepiej zdać się na gen. Jaruzelskiego i "liberała" Rakowskiego, niż na twardegołowych w rodzaju tow. Olszowskiego czy tow. Kociołka.

Wszakże podsumowując ten rachunek często zapomina się o tym, że to właśnie obecna ekipa sama na swoim łonie hoduje ową groźną "konserwę", umacnia grupy nazywane w Polsce "betonem", stale rozbudowuje siły policyjne /które zresztą prędkiej czy później zwrócą się przeciw niej/ i wcale nie szuka w społeczeństwie sojuszników do walki z zalewem "betonu". Z "betonem" bowiem w ogóle się nie walczy - jest on po prostu niezmiernie potrzebny po to, by było przed kim chronić naród. A także, by oficjalni urbanowscy publicyści w rodzaju Daniela Passenta czy Krzysztofa T. Toeplitza mieli kogo podszczypywać, pełniąc wobec Zachodu rolę tak zwanych oświeconych racjonalistów /bo w kraju nikt ich za takich już dawno nie uważa/. Nawiasem mówiąc rola tych właśnie publicystów jest szczególnie żąłosna, ale to już inna historia...

Koncepcja "mniejszego zła" jest stosowana we wszystkich obszarach życia społecznego i gospodarczego w Polsce, ponieważ jest koncepcją niesłychanie wygodną.

Z "mniejszym złem" związana jest:

2. Koncepcja OCHRONY PAŃSTWA

Najważniejszą formą istnienia i trwania narodu jest państwo, mówią nam urbanowscy myśliciele, i wobec tego jest ono naszym wspólnym dobrem, które należy chronić za wszelką cenę. Jest to teza teoretycznie słuszna, jednakże kluczem do niej jest właśnie ściśle określenie pojęcia "suwerenne państwo". Inaczej mówiąc, trzeba spytać: jakie państwo? W jaki sposób owo państwo ma wyrażać i realizować wolę narodu i zwłaszcza umożliwiać temu narodowi rozwój? Otóż bez odpowiedzi na takie pytanie mówienie o bezwzględnej konieczności umacniania państwa jest pustostawem lub oszustwem. Ale nie o to nawet chodzi. Istotą omawianej koncepcji jest teza, że wszelkie działania, które z jakichkolwiek powodów nie podobają się władzy /są bowiem krytyką konkretnych wynaturzeń lub nieudolności/ - podważają najwyższe dobro, osłabiają państwo i są działaniami niepatriotycznymi.

Nie zawsze jest to łatwy do wykrycia zabieg myślowy: że mianowicie dobro państwa polskiego staje się w razie potrzeby tożsamy z dobrem konkretnej ekipy rządzącej i jej celami. Państwo staje się tożsamy z aparatem władzy, z tzw. *establishment*'em.

3. Koncepcja WINY NARODU

Oto - wmawiają nam od lat "urbanowcy" - Polacy pozbawieni są "instynktu państwowego", kultury politycznej i etosu pracy, obciążeni są niestawną przeszłością, kiedy to przez anarchię i warcholstwo zgubili sami siebie. Polacy są narodem, który nie rozumie własnej racji stanu ani swojej sytuacji geopolitycznej. Na szczęście znaleźli się dalekowzroczni przywódcy, którzy podejmują niewdzięczną rolę obrońców racji stanu. W gruncie rzeczy zatem są obecną sytuację, ów rzeczywistości tragiczny kryzys, naród polski zawdzięcza sam sobie. Jest to teza chętnie przyjmowana również na Zachodzie. Podobnie jak przekonanie o niezdolności Polaków do rzetelnej pracy; nieudolność ta spowodowała przecież kryzys gospodarczy...

Rzecz w tym, że Polacy w kraju rzeczywistości źle pracują. Nie ma miejsca, by wyliczyć przyczyny tego stanu rzeczy, łatwo jednak udowodnić, że owa zła praca jest wynikiem immanentnej nieefektywności całego systemu społeczno-gospodarczego. Propaganda urbanowska stara się przekonać samą siebie, że to właśnie zła praca nieudolnego narodu jest przyczyną załamania się systemu.

4. Koncepcja KOMPROMITACJI ZWYCIĘŻONEGO

Wedle tej koncepcji każdy nurt społeczny zatrzymany siłą jest tym samym skompromitowany i pozbawiony historycznej racji. Każde działanie, które zostanie zatrzymane kontrdziałaniem było właśnie dlatego bezsensowne.

Powiadają nam dziś "z całym liberalizmem", że na przykład ruch społeczny "Solidarności" może i miał jakieś słuszne racje, może stały za nim jakieś wartości moralne, ale ruch ten został całkowicie zdyskwalifikowany przez sam fakt przegranej. Ważne są bowiem nie racje, popularność idei, nawet prawda - ważna jest siła przeblcia i wobec tego racja jest po stronie zwycięzcy. Inaczej mówiąc - rację daje zwycięstwo, legitymację władzy daje wygrana. I *vice versa*: obecna ekipa zwyciężyła dlatego właśnie, iż racja historyczna była po jej stronie...

Koncepcja powyższa i tworzony wokół niej ogólny klimat społeczny w PRL mają zmusić "inaczej myślących", by stosowali wobec siebie takie właśnie kryteria skuteczności działania, czyli - żeby zawsze ustępowali przed siłą i przymusem.

Jakby "odpryskiem" tezy, iż "zwyciężeni nie mają racji" jest urbanowska:

5. Koncepcja ZOBYDZANIA

Rzecz polega na zobydzeniu w oczach społeczeństwa wszystkiego tego, co społeczeństwo uznaje za wartościowe, godne zaufania, z różnych powodów - istotne. Chodzi zarówno o osoby obdarzone rzeczywistym autorytetem, jak i o instytucje, idee, wartości, tradycje /oczywiście - te idee i te tradycje, których system uznać "za swoje" nie jest w stanie/.

Koncepcja "zobydzenia" legła u źródeł niestychanej swego czasu kampanii oszczerstw wobec Lecha Wałęsy /środku masowego przekazu opublikowały spreprowane taśmy z jego rozmowy z bratem w miejscu internowania; Wałęsa miałby się tam wyrażać najplugawszymi słowami o Janie Pawle II, prezentować się jako złodziej pieniędzy "Solidarności" itp./. Podobne metody stosuje się wobec niepokornych księży /na przykład hardego biskupa przemyskiego, Tokarczuka, pomawia się publicznie o współpracę z... gestapo w czasie okupacji niemieckiej - jest to tylko jeden przykład spośród wielu/, wobec nieuległych intelektualistów, odmawiających pójścia na współpracę naukowców, pisarzy, dziennikarzy. Sam rzecznik rządu specjalizuje się w obrzucaniu błotem /trudno

inaczej nazwać jego felietony o osobach, które nie mogą się bronić na łamach pism, gdzie je zaatakowano/ Stefana Bratkowskiego /prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w latach 1980-1981/ i swych byłych kolegów - dzienni-
karzy.

Ale kampania "zohydzenia" ma wymiary szersze. W pewnym okresie - po zabójstwie w niewyjaśnionych oficjalnie okolicznościach Grzegorza Przyemka - środki masowego przekazu rozpięły kampanię oszczerstw przeciw instytucji Pogotowia Ratunkowego i w ogóle przeciw środowisku lekarskiemu. Chodziło o to, by stworzyć sprzyjającą atmosferę do oskarżenia o zabójstwo Przyemka sanitariuszy Pogotowia; efekt ogólny jest taki, że w istocie mniej uświadomiona część społeczeństwa zaczęła uważać służbę zdrowia za zdegenerowane środowisko złodziei, łapówkarzy i nieuków.

W szerzeniu nienawiści przewodzi grupa skupiona wokół pisma *Rzeczywistość*, grupa - co ciekawsze - wroga samemu Urbanowi. Występuje tu jedyny w swym rodzaju i częsty w krajach "obozu socjalistycznego" splot antysemityzmu ze stalinizmem. W oczach *Rzeczywistości* wszyscy opozycjoniści, czy nawet w ogóle ludzie o krytycznym wobec systemu spojrzeniu, reprezentują stanowisko "obce polskości", w podtekście dość jawnym - są Żydami. Można żywić zasadne przekonanie, że w razie zastąpienia obecnej ekipy przez kolejną - wedle wszelkiego prawdopodobieństwa bardziej "policyjną" i supernacjonalistyczną - rzuci się hasło, iż dotąd główną przeszkodę w porozumieniu narodowym stanowili Żydzi, skupieni wokół Urbana i "kryci" przez wicepremiera Rakowskiego. Ale to inna kwestia, dla nas w kraju już tylko śmieszna i żałosna.

Prowadzona wspólnie przez ekspozytury J. Urbana i wrogię mu *Rzeczywistości* kampania nienawiści rozbudza najgorsze instynkty najgorszych ludzi. Pewni ludzie stają się wtedy zdolni do wszystkiego - czego zresztą mieliśmy /i boję się, że będziemy mieli/ różne straszne przykłady. Jednocześnie kampanie tego rodzaju wykruszają powoli nawet te resztki autorytetu społecznego i moralnego, jakie niektóre instytucje zachowały do dziś /na przykład właśnie pewne służby społeczne, nauczyciele, Polska Akademia Nauk, nauka jako taka, wyższe uczelnie itd./. W ten sposób "urbanowszczyzna" rozkrusza ostatnie filary tego państwa, którego obrona ma być jej głównym powołaniem.

Konsekwencją "kampanii nienawiści" jest sprytniejsza i trudniejsza do rozszyfrowania:

6. Koncepcja ROZBIJANIA ELIT

Jak już wspominałem, pierwszym dokonaniem ekipy po 13 grudnia 1981 roku było rozbicie wszelkich organizacji, reprezentujących polskie społeczeństwo i jego różne środowiska. Obecnie propaganda urbanowska przystąpiła do wojny ze wszystkimi elitami społecznymi. Jak wiadomo, badania socjologiczne wyraźnie wykazują, iż ogólny poziom, postawy i idące za tym zachowania danego środowiska /czy to urzędników, czy naukowców, dziennikarzy, czy kolejarzy lub nauczycieli/ zależą w dużej mierze od istnienia i zachowania jego elity. W tym sensie elity pełnią rolę "wzorotwórcze" - i one też na ogół prowokują wszelki postęp. Otóż propaganda usiłuje wywołać w świadomości ludzi trwałe skojarzenia samego pojęcia "elity" z niesprawiedliwością społeczną, nierównością obywatelską, nieprawie zdobytym bogactwem itp. "Elitą" mają być zatem na przykład właściciele prywatnych szklarni ogrodniczych, agenci prowadzący sklepy lub restauracje na własnym rozrachunku, "elita" byli nawet zdeprawowani funkcjonariusze aparatu rządzącego z czasów Gierka. "Elita" jest więc złem społecznym i powinna być niszczone.

W pamięci społecznej zaciera się ślad tego, że na przykład w XIX wieku elita społeczną byli wychowankowie działającej tylko przez siedem lat w zaborze rosyjskim Szkoły Główniej - polskiej wyższej uczelni. Szkoła Główna,

swoisty fenomen "produkcji elit", wychowała tyłu ludzi znaczących w naszej kulturze i nauce, że im to właśnie w dużej mierze polska kultura zawdzięcza przetrwanie. Elitę naszej młodzieży były w czasie okupacji niemieckiej "Szare Szeregi", szturmowy oddział polskiego harcerstwa. Przykłady można znowu mnożyć, chodzi jednak o to, iż rzecz ma wymiar poważny: propagowanie "urawniówki" i egalitaryzmu w połączeniu z instynktowną już i utrwalaną stale nieufnością do *każdej* elity równa społeczeństwo "w dół", nie pozwala przebić się talentom i energii, podważa motywy dobrej pracy i niszczy autorytety wzorotwórcze. I o to właśnie chodzi.

Sprzeczną z poprzednią może wydawać się koncepcja referowana poniżej. Jest to jednak sprzeczność pozorna, bowiem nie chodzi tu o elitę w znaczeniu moralnym, zawodowym, a o to, że naprawdę liczą się ludzie związani z władzą, z aparatem dysponującym siłą. Jest to:

7. Koncepcja LILIPUTA

Chodzi tu o stworzenie sytuacji, w której liczy się wyłącznie właśnie siła, władza, szczebel urzędowej drabiny, miejsce w *establishmencie*. Zwyczaj "człowiek pracy", przeciętny obywatel musi być zawsze petentem, proszącym o załatwienie każdej sprawy /które to załatwienie skądinąd prawnie mu się należy/. W dodatku ów petent musi mieć poczucie, iż swoją sprawą wręcz przeszkadza w sprawnej pracy państwowych urzędów. Zawsze i we wszystkim musimy w Polsce zależeć od urzędu, władzy, państwa. I naród jako całość, i każdy obywatel staje się Liliputem w świecie Guliwerów.

Jak to kiedyś sformułował wybitny socjolog polski, Stanisław Ossowski: "Idzie tu o poczucie bezsilności poza kręgiem spraw osobistych, o przekonanie, że nad naszymi głowami Liliputów ścierają się Guliwery tak potężne, że my nie możemy mieć wpływu na bieg wydarzeń w szerszej skali. Jest pod tym względem nawet obojętne, czy owe Guliwery są złe, czy dobrotliwe".

8. Koncepcja PREZENTU I PSA GRYZĄCEGO RĘKĘ

Wszystko, co potrzebne jest do życia i rozwoju, Polacy otrzymują od państwa, od swojej władzy - w charakterze daru. Wszystko, co władza czyni, jest prezentem łaskawie ofiarowanym społeczeństwu.

Powyższa mistyfikacja bardzo już opanowała nasze myślenie; wielu ludzi różne normalne w wielu krajach świadczenia³ /na przykład możliwość kształcenia się, uzyskania mieszkania, lecznictwo, emerytura/ traktuje jako dar, który może im zostać zabrany. Społeczeństwo jakby powoli zapomina, że wszystko, co ma, uzyskane zostało dzięki jego własnej pracy, za jego pieniądze, za /na ogół trwonione/ bogactwa naturalne jego własnego, niegdyś bogatego kraju.

Chodzi o stworzenie powszechnego przekonania, że skoro wszystko, co mamy i co możemy uzyskać, zawdzięczamy albo państwu, albo utożsamianej z nim władzy, dającej nam "ze swojego", to sprzeciwianie się temu dobroczyńcy jest nielojalne, jest niewdzięcznością. Taki niewdzięcznik stawia się w sytuacji psa gryzącego karmiącą go rękę.

Taki zabieg myślowy często stosuje Jan Rem /Jerzy Urban/ w swoich felietonach. Oto ktoś - pisze ukryty pod pseudonimem rzecznik rządu /a jego felietony drukowane są przymusowo przez całą polską prasę i stanowią niejako wykładnię aktualnej polityki i taktyki władz/ - krytykuje rząd albo, na przykład, odrzucił łaskawie mu przyznane nagrody lub zaszczyty. Tymczasem ów ktoś, pracując na państwowej posadzie, utrzymywany jest przez państwo, w dodatku jeszcze odbywa podróże /naukowe, artystyczne, inne/ za granicę

³ W krajach, które nie nazywają siebie "socjalistycznymi".

/na przykład jako członek Polskiej Akademii Nauk, były kombatant, itd./.
Jest to - powiada J. Urban - niemoralne, właściwie zbrodnicze i powinno się kogoś takiego pozbawić posady, wyrzucić z różnych rad, organizacji społecznych, odsunąć od nauczania, nie dawać paszportu, nie wydawać książki itp. Byłoby to może śmieszne, gdyby taki sposób rozprawy z opornymi intelektualistami /bo ich to przeważnie dotyczy/ nie miał rzeczywście różnych konkretnych przykrych konsekwencji.

9. *Koncepcja PORZĄDKU ZA CENĘ WOLNOŚCI I WOLNOŚCI ZA CENĘ ANARCHII*

Chodzi tu o narzucenie społeczeństwu przekonania, że "porządek społeczny", ład organizacyjny, bezpieczeństwo obywatela są w swej istocie sprzeczne z wolnością obywatelską i różnymi demokratycznymi swobodami. Zaś właśnie demokracja /w sensie używanym na Zachodzie/, wszelkie swobody obywatelskie i w ogóle wolność - muszą z natury rzeczy prowadzić do anarchii, samowoli, niepokoju społecznego i wręcz do rozrostu przestępczości.

Mamy tu do czynienia z nierzucającym się w oczy, ale uporczywym i niebezpiecznym utożsamieniem dobrze znanej z historii każdemu Polakowi tak zwanej złotej wolności szlacheckiej /której symbolem było *liberum veto* i chaos w okresie panowania królów z dynastii saskiej w początkach XVIII wieku/ z wolnością człowieka w ogóle i z systemem normalnych w demokracji swobód obywatelskich. Urbanowskim propagandystom chodzi o to, by w umyśle przeciętnego Polaka trwale skojarzyć taki właśnie układ przeciwstawię; żeby swoboda i demokracja łączyły się podświadomie z brakiem odpowiedzialności obywatelskiej i były sprzeczne z pojęciem ładu społecznego.

10. *Koncepcja POZORNEJ PERSONIFIKACJI ZŁA, NIEUDAWANIA SIĘ I SZCZEGÓŁU*

Chodzi o głoszenie, iż nasza /to jest rządzącej ekipy/ idea jest słuszna, tylko źle ją realizują źli wykonawcy. Nasz system - poucza się Polaków - jest doskonały, tylko rozkładają go biurokraci, niedouczzone kadry kierownicze, zaś w ogóle społeczeństwo nie chce pracować. Jeśli istnieje jakieś głupie zarządzenie czy przepisy, to są one tworem głupich urzędników.

Najlepszym sposobem na te wszystkie "niedopatrzienia" są dobre regulaminy, kontrola ich przestrzegania, wysokie kary za nieróbstwo lub niewykonanie poleceń - reminiscencje "wojskowej świadomości"... W takim systemie receptą na zmianę niezadowolającego stanu rzeczy jest zmiana personalna, receptą na poprawę - kara. Toteż zwykle cała prasa triumfalnie ogłasza "pokontrolne" kary i zmiany personalne na podrzędnych stanowiskach. Naturalnie, następcy usuniętych "wchodzą" w ten sam system układów, przepisów, uwarunkowań, niemożności, braków, itd. - i muszą postępować tak samo /rzadkie wyjątki potwierdzają regułę/. Mimo obecności stosowanych licznych kontroli i surowych kar, mimo pewnych "wojskowych" prób zdyscyplinowania biurokracji administracyjnej - nadal w Polsce nie ma odpowiedzialnych za nieudolność w skali państwowej lub za torpedowanie nieśmiały prób reform. Można łatwo dowieść, że kwintesencją systemu panującego w Polsce jest zniszczenie odpowiedzialności kogokolwiek za cokolwiek. Dlatego w istocie rzeczy nawet personifikacja zła jest pozorna. Czasem zresztą mówi się ogólniej o "nieudawaniu się" - to znaczy nasz system jest dobry, postępujemy zgodnie z zasadami, wskazówkami sformułowanymi przez klasyków, budując "sprawiedliwość społeczną"⁴, czasem

⁴ Koncepcja "nieudawania się", "szczegótu" i "personifikacji zła" jest wprawdzie sprzeczna z koncepcją "mniejszego zła", ale spójność nie jest potrzebna tej propagandzie.

tylko coś "nie wychodzi". Nie wychodzi zaś, ponieważ przeszkadza opozycja i różne inne czynniki wewnętrzne i zewnętrzne. Zarazem niezmiernie śmieszna i głęboko tragiczna jest - nieujawniana wprost, ale łatwa do odczytania - istota samousprawiedliwiania się "urbanowszczyzny": w realizacji dłuższych celów główną przeszkodą są pospółtu - naród polski i... Stany Zjednoczone. No, a jeszcze ta "sytuacja geopolityczna"... , ze Związkiem Radzieckim u boku.

Należy jeszcze wspomnieć o koncepcji szczegółu, również mającej kamuflować wady strukturalne systemu. Oto, poucza się nas, zdarzają się oczywiście pewne niefunkcjonalności, głupie przepisy, czasem nawet pozostałe z przeszłości absurdy. Dotyczą one jednak poszczególnych trybików sprawnie funkcjonującego mechanizmu. Rzecz więc w tym, by naprawić trybiki, lokalne niedomagania - i będzie dobrze.

Jeden tylko przykład. Jest to fragment zaleceń⁵ pana Adama Dunalewicz, dyrektora Biura Prasowego Rządu /czyli swego "Ministerstwa Propagandy" Jerzego Urbana/. Przypominam czytelnikom, iż rzecz dzieje się w kraju objętym niespotykanym w historii kryzysem gospodarczym, w kraju, w którym rozpada się dostojnie cała infrastruktura cywilizacyjna. Otóż w tej sytuacji pan Dunalewicz zaleca środkom masowego przekazu: "/.../ prasa powinna jednak częściej, niż to robi obecnie, nie tylko pokazywać czy krytykować określone zjawiska, ale także formułować propozycje zmian na lepsze. Ot, niedawno, z inicjatywy *Kuriera* podjęto prace nad zmianą konstrukcji i technologii wytwarzania elementów grzejnych w żelazkach i wielu innych wyrobach związanych z grzejnictwem. Problem może wycinkowy, ale przecież niemały /.../".

Można przypuszczać, że po zmianie elementów grzejnych w żelazkach społeczeństwo polskie odetchnęło z ulgą.

11. Koncepcja WROGA SPOŁECZNEGO

Spółeczeństwo polskie bardzo niewiele wie o społecznych uwarunkowaniach różnych dewiacji /alkoholizm, narkomania/ i ogólnej przestępczości, nie zna wcale problemów resocjalizacji. /Nie wie też nic o tym, co naprawdę dzieje się w polskich więzieniach/. W poprzednich okresach mówiło się i pisało o tym niewiele, ponieważ były to zjawiska charakterystyczne dla "wyrodniającego kapitalizmu", jednocześnie zaś - marginesowe w kraju "budującym socjalizm". Dziś przeciwnie - urbanowska propaganda świadomie przesadza w ocenie rozmiarów przestępczości, starając się stworzyć atmosferę zagrożenia i niepewności.

Używane stale w środkach masowego przekazu określenia-slogany w rodzaju "walka z przestępczością", "likwidacja pasożytnictwa społecznego", "zwalczanie alkoholizmu", "spekulant - wróg społeczny" itp. mają w świadomości ludzi utrwać stereotyp: przestępca, spekulant, człowiek niepracujący, czyli "pasożyt społeczny" są WROGAMI, których trzeba LIKWIDOWAĆ. W tej sytuacji przestają być ważne, ani nawet znane, społeczne i gospodarcze źródła wszelkich takich dewiacji, a walka z "pasożytnictwem" odwraca uwagę od deorganizacji życia zbiorowego, rodzącej owo pasożytnictwo. Gdyby zaczęto poszukiwać przyczyn rzeczywiście rosnącej przestępczości i zwłaszcza alkoholizmu i spekulantwa, należałoby krytycznie analizować społeczno-ekonomiczną politykę państwa, to zaś byłoby nader niewygodne.

Szerzy się poglądy, jakoby "uchwały organów politycznych i państwowych" /chodzi o uchwały potępiające negatywne zjawiska i nawołujące do walki z nimi, lub zarządzające wzmocnienie karalności/ miały "rozwijać poczucie

⁵ *Życie Warszawy* z 15 października 1984.

bezpieczeństwa obywateli /.../ i wznagać negacje postaw przestępczych¹⁶.
 Twierdzi się, że solidarna atmosfera antyprzestępcza zapobiega przestępczości.

Odpowiednie badania wyraźnie wskażą, że ani "uchwały", ani "potępiająca atmosfera" nie wpływają na zmniejszenie przestępczości.

12. Koncepcja NADOPIEKI

Nasze państwo - mówią nam - jest nadmiernie "opiekuńcze", ma ogromnie rozbudowany system opieki społecznej i wszelkich świadczeń /zwłaszcza dotacji państwowych na rzecz różnych usług, komunikacji, służby zdrowia, oświaty, kultury itd./. Świadczenia i "opieka" obciążają straszliwie gospodarkę narodową i należy we wszystkich ocenach brać ten fakt pod uwagę.

Otóż, po pierwsze, państwo jest u nas praktycznie jedynym właścicielem środków produkcji, a zatem dysponentem majątku i dochodu narodowego. W tej sytuacji ma ono oczywisty obowiązek troszczenia się o tak zwaną opiekę społeczną¹⁷. Po drugie i ważniejsze, pogląd o "nadopiece" jest po prostu mitem. Oto słowa byłego ministra Płacy i Płac, prof. dr. Antoniego Rajkiewicza /*Dziennik Polski* z 18 listopada 1983/: "Trudno się zgodzić z opinią o nadmiarze rozbudowanej, socjalnej funkcji państwa. Badania nad tak zwanym minimum socjalnym ukazały dość znaczne obszary niedostatku w naszym kraju".

Rzeczywiście, trudno dostrzec ową "nadopiekę" w sytuacji, kiedy stan polskiej oświaty, służby zdrowia, bezpieczeństwa pracy, ochrony środowiska naturalnego, itd. można uznać bez przesady za naprawę tragiczną. Zarazem ogromna liczba ludzi starych i niepełnosprawnych otrzymuje emerytury i renty pozwalające wegetować, ale nie żyć normalnie.

W Polsce doskonale rozumiemy, że tej tragicznej sytuacji nie da się łatwo poprawić - poprawa będzie wymagała wielu lat i wielu jeszcze wysiłków i wyznań. Jednakże wmawianie nam, że gospodarka nie może dostatecznie rozwinać skrzydeł z powodu obciążeń świadczeniami społecznymi jest żalosnym kłamstwem.



Propaganda urbanowska, stosująca swoiste metody "prania mózgów", różni się czymś jeszcze od propagandy okresów poprzednich. W czasach "gierkowski" ekipa bardzo chciała zdobyć sobie popularność, sympatię i w różny sposób starała się "kupować" społeczeństwo. Dziś nie chodzi już o żadne sympatie, o zjednywanie poparcia. Stawia się na coś innego: na zniechęcenie ludzi, a nawet na wzbudzenie w nich niechęci i odrzy. Jeśli nawet nie zważają sobie z tego sprawy ci, którzy wykorzystują Urbana, on sam doskonale wie, iż arogancki styl jego wypowiedzi, cyniczny sposób argumentacji wyjątkowo drażni społeczeństwo, wywołuje właśnie gniew, obrzydzenie, pogardę.

Ow drażniący styl "urbanowszczyzny" /przejęty przez niektórych dostojników/ jest wprowadzany świadomie. Wiele tego typu posunięć, działań /bo nie chodzi tu tylko o słowa/ oraz publikacji i wypowiedzi ma na celu wywołanie upokorzenia i gniewu. Jest to oczywiście skuteczniejsze i groźniejsze niż absurdalna "propaganda sukcesu". Znow powołam się na ustalenia socjotechniki: upokarzanie ludzi, wywoływanie bezsilnego gniewu rodzi poczucie rezygnacji i beznadziejności położenia, wywołuje psychiczne zmęczenie, "mzătate-

¹⁶ Cytaty pochodzą z pracy prof. J. Bafii *Problemy Kryminologii*, Wydawnictwo Prawnicze, 1978.

¹⁷ "Państwo" zabiera plony naszej pracy, nie pytając nas w ogóle o to, jak je wykorzystywać i dzielić. Nie mówiąc już o tym, iż owa "opieka społeczna" jest jednym z kanonów socjalizmu.

wuje" możliwość konstruktywnego działania i utrudnia krytyczne i realistyczne myślenie. O to właśnie chodzi...



Najogólniej można powiedzieć, iż "urbanowszczyzna" poczyniła już wiele szkód w polskiej świadomości społecznej i czyni te szkody nadal. Wszakże idealnym odbiorcą tej nowej formy propagandy byłby umysł, nazywany przez psychologię społeczną "umyślem zamkniętym"¹⁸, to jest niezdołnym do wyciągnięcia wniosków z doświadczeń i ostrzegania "rzeczywistości prawdziwej" pod przykrywką "fałszywej". W Polsce "posolidarnościowej" takich umysłów jest nadal bardzo mało. Propaganda urbanowska jest tylko jednym z wielu kanałów dopływu informacji, wcale nie najszerszym. Wedle oficjalnych badań Ośrodka Prasoznawczego w Krakowie, w 1983 roku tylko około jednej trzeciej polskiego społeczeństwa korzystało z informacji podawanych przez źródła oficjalne - reszta uzupełniała je z "obiegu nieszacowanego". Stąd wywodzi się coraz większy strach przed dostępem ludzi do informacji niekontrolowanych. Stąd znamienne stwierdzenie oficjalnego propagandyisty *Tribuny Ludu*, Daniela Lulińskiego /cytuje za *Życiem Wareszawy* z 29 listopada 1984 roku - wypowiedź na spotkaniu z dziennikarzami zagranicznymi w Jabłonce pod Warszawą/. Oto, pisze *Życie*: "Daniel Luliński zwrócił uwagę na rozliczne niebezpieczeństwa, kryjące się w upowszechnianiu telewizji satelitarnej. Przenikanie informacji ponad granicami nie cieszy się uznaniem opinii publicznej". Chodzi oczywiście o opinię polską, w której imieniu przemawiał pan Luliński.



Wypada na koniec dodać, iż pozycja twórcy "kariego realizmu" w systemie władzy w PRL nie jest pozycją zwykłego rzecznika prasowego rządu. Jerzy Urban, człowiek niewątpliwie bardzo inteligentny i bardzo cyniczny, całkowicie wolny od wszelkich uprzedzeń /bo pogardza na równi społeczeństwem, które poucza, jak swymi młocodawcami/, jest w obecnej ekipie ministrem propagandy i znaczącym doradcą w wielu ważnych sprawach.

Dlatego jego cechy osobowości i stan umysłu mają większe niżby można było myśleć znaczenie. Przewidywam, że do tego zdolnego cynika pasuje dobrze powiedzenie Machiavellego z 1521 roku /w liście do Guicciardiniego/: "Od dawna już nie mówię tego, co myślę i nie wierzę w to, co mówię". /Choć porównanie z Machiavellem jest dla J. Urbana jednak zaszczytnym niezastępowalnym/.

8
 Tędyż podane sobie przyrzeczenie doskonałego przywódcy urbanowskiego Jerzego Urbana: "Wierzę w to, co mówię i nie myślę tego, co mówię".
 "Zgłaszam wolny wniosek na Krajową Konferencję Delegatów. Uznaję przemodnią, kierowniczą, organizatorską, ideologiczno-wychowawczą, oświatowo-kulturalną, prawno-ustrojową, gospodarczo-społeczną rolę PZPR we wszystkich sferach i dziedzinach działalności /.../. Swoje wyższe wykształcenie, najwyższe kwalifikacje pragnę całkowicie oddać partii, służyć Sejmowi PRL, rządowi i socjalistycznej władzy terenowej. Ukończyłem Wrocławski Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu, byłem członkiem ZNP, OHP, LGK, ZSMP, SZSP. Jestem członkiem Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Radzieckiej Od kwietnia 1983 roku jestem członkiem nowym, socjalistycznych Związków Zawodowych Pracowników Ochrony Zerowia. Wnoszę jako kandydat, w głębokiej trosce o dobro partii i zaufanie i wiarygodność PZPR, o większe dopuszczenie do zarządzenia ludzi szczerzyjących takich jak ja, pracujących aktywnie, godnych zaufania - dla dobra socjalizmu" - mgr Jan B., Wrocław.

"Zgłaszam wolny wniosek na Krajową Konferencję Delegatów. Uznaję przemodnią, kierowniczą, organizatorską, ideologiczno-wychowawczą, oświatowo-kulturalną, prawno-ustrojową, gospodarczo-społeczną rolę PZPR we wszystkich sferach i dziedzinach działalności /.../. Swoje wyższe wykształcenie, najwyższe kwalifikacje pragnę całkowicie oddać partii, służyć Sejmowi PRL, rządowi i socjalistycznej władzy terenowej. Ukończyłem Wrocławski Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu, byłem członkiem ZNP, OHP, LGK, ZSMP, SZSP. Jestem członkiem Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Radzieckiej Od kwietnia 1983 roku jestem członkiem nowym, socjalistycznych Związków Zawodowych Pracowników Ochrony Zerowia. Wnoszę jako kandydat, w głębokiej trosce o dobro partii i zaufanie i wiarygodność PZPR, o większe dopuszczenie do zarządzenia ludzi szczerzyjących takich jak ja, pracujących aktywnie, godnych zaufania - dla dobra socjalizmu" - mgr Jan B., Wrocław.

Dziennikarzy, którzy mogliby to samo powiedzieć o sobie, jest dziś w kraju sporo. I w tym też zawiera się kolejna różnica wobec "czasów minionych". Były bowiem dawniej czasy, kiedy ekipom rządzącym zależało na tym, by dziennikarze wierzyli w to, co piszą.

Krzysztof KRUK

KULTURA, lipiec-sierpień 1985

SEAWOMIR MROŻEK

BABA

*"Siedzi baba na cmentarzu
Trzyma nogi w kałamarzu"*

Wyrząłem przez okno. To gromadka dzieci na podwórku recytowała wrzaski - wie ten absurd.

Zdenerwowałem się. Co wyrośnie z pokolenia, które od dziecka przywykło do absurdu. Nie takich obywateli potrzebujemy.

Nic tak nie uspakaja jak kontakt z rzeczywistością, więc poszedłem na cmentarz. Wśród nagrobków spostrzegłem sylwetkę baby, a zbliżywszy się ujrzałem, że jej odnóża spoczywają w kałamarzu.

Przeprowadziłem krótki wywiad z babą. Skarzyła się przede wszystkim na trudności wynikające z dysproporcji między objętością jej stóp, a pojemnością kałamarza.

- Jak by pan mógł załatwić choć miednicę, to wdzięczna bede - powiedziały.

Poruszony do głębi obiecałem interwencję. Mieliśmy do czynienia z jaskrawym wypadkiem naruszania Praw Baby.

Wróciwszy na podwórko, przystąpiłem do pertraktacji z dziecinną gromadką. W żywych barwach odmalowałem dolę baby i zaapelowałem do sumień. Dzieci naradziły się między sobą, po czym wytoniły przedstawiciela.

- Zgoda na miednicę, ale musi być guma do żucia - oświadczył przedstawiciel.

Ubolewając nad brakiem bezinteresowności wśród młodzieży, wyasygnowałem odpowiednią kwotę na zakup gumy do żucia. Dzieci wygłosiły ochoczo:

*"Siedzi baba na śmietniku
Trzyma nogi w pojemniku"*

Na zwróconą im uwagę, że nastąpiła nieprzewidziana umową zmiana w lokalizacji baby, dzieci odpowiedziały, że taka zmiana była konieczna ze względów wersyfikacyjnych.

Celem skontrolowania wyników w nowozaistniałej sytuacji udałem się na śmietnik, gdzie istotnie stwierdziłem obecność baby. Przeniesiona z cmentarza

skarżyła się na pogorszenie środowiska naturalnego, natomiast trzymanie nóg w pojemniku zamiast w kałamarnicy przyjęła jako poprawę warunków bytowych.

Żeby tylko tak nie śmierdziało i może by jaki dach nad głową... - sformułowała dezzyderaty.

Nieżwłocznie wróciłem na podwórko i zażądałem dla baby godziwego miejsca w cywilizacji. Poniósłszy kosztą piętnastu porcji lodów, doprowadziłem do porozumienia. Dzieci zadeklamowały:

*"Siedzi baba w kamienicy
Trzyma nogi w jajeczniczy"*

Rozwiązanie to nie zadowoliło mnie ze względu na niehigieniczny charakter drugiej linijki. W konfrontacji z babą okazało się jednak, że była zupełnie zadowolona. Druga linijka pozwalała jej nawet na rozwiązywanie trudności aprowizacyjnych.

- Nic, tylko się schylić - mówiła.

Ja jednak nie mogłem jej tak pozostawić. Baba powinna być zadowolona, owszem, ale nie absurdalnie. Z absurdem należy zerwać, z absurdem należy skończyć, z absurdu musimy wydobyć babę raz na zawsze. Nie ufając już młodzi, sam sporządziłem ostateczną wersję. Była to wersja realistyczna, uwzględniająca zarówno potrzeby baby jak i społeczeństwa.

*"Stoi baba przy stanowisku wydajnej pracy,
Nie przeszkadzają jej w tym wrogowie ani tacy, ani tacy.
To stanowisko pracy jest w pięknej kamienicy,
Za swą pracę baba nakupi sobie jajeczniczy"*

Pozostaje mi tylko przekonać dzieci, aby przyswoiły sobie tę pozytywną, naukowo opracowaną wersję, zamiast szkodliwych nonsensów. Niestety, biorąc pod uwagę antyrealistyczne nastroje panujące wśród młodzieży oraz działalność sił antyrealistycznych, przewiduję poważne trudności.

Sławomir MROŻEK

KULTURA, wrzesień 1985

ADAM MICHNIK

WYBORY DO SEJMU PRL

/ Fragment większej całości /

Wypowiadając się na temat zgłoszonego projektu ordynacji wyborczej, prof. Stanisław Stomma zauważył:

"Sądzę, że przepisy ordynacji wyborczej, które przedstawione zostały do dyskusji, należy ocenić w kontekście naszej rzeczywistości społeczno-politycznej, a nie same w sobie. Musimy je rozważać uwzględniając warunki, w ja-

kich żyjemy, dlatego moje uwagi czy propozycje nie zacierają do tego, czego byśmy chcieli, ale do tego co jest możliwe i słuszne. Chciałbym doprecyzować wyraz słuszne. Słuszne to znaczy najlepsze z możliwych".

Słowa znakomitego publicyisty, także znanego uczonego i polityka, wprowadzają nas w centrum ważnego sporu. Sporu o potrzebę porozumień matych i cząstkowych, zawieranych w sytuacji, gdy "wielkie porozumienie" - między rządem a "Solidarnością" - nie jest możliwe. Otóż teza, że "małe" porozumienia są potrzebne, kryć może w sobie zarówno realistyczny program działania na rzecz ewolucyjnych przeobrażeń, jak i postulat wpisania się w totalitarny system instytucji politycznych oraz rezygnację z oporu.

Rozważmy: współistnienie Polaków z systemem totalitarnym jest realnym faktem. Tego nikt nie jest w stanie ani zadekretować, ani przekreślić. Kompromis z totalitarnymi realiami jest udziałem każdego, kto chce jako tako normalnie żyć. Jest - w większym jeszcze stopniu - udziałem legalnych instytucji: Kościoła i towarzystw naukowych, klubów inteligencji katolickiej i związków twórczych, redakcji, samorządów pracowniczych, senatów uniwersyteckich. Instytucja która chce funkcjonować, musi zawierać swe "małe" porozumienia.

To przyjmujemy za oczywistość. Pytamy jednak o płaconą cenę i rozważmy, czy skórka jest warta wyprawki.

Jeśli na przykład demokratycznie wybrany senat wyższej uczelni ma nakaz relegowania wskazanych przez aparat bezpieczeństwa niepokornych studentów, to twierdzimy, że takiej ceny płać się nie godzi. Dla zachowania norm moralnych środowiska akademickiego, lepiej doprowadzić do sytuacji, w której poczynania takie będzie przeprowadzać rektor komisaryczny. Jednak strefa manewru jest dość szeroka, zaś małe kompromisy są trwałym elementem funkcjonowania samorządowego uniwersytetu. Podobnie jest wszędzie tam, gdzie można mówić o istnieniu autentycznej samorządności. Rzecz w tym wszakże, iż żaden z tych codziennych kompromisów nie zastępuje - i zastąpić nie może - realnego porozumienia między władzą a społeczeństwem.

A przecież na tym polega idea naszych generatów. W ich ujęciu, te drobne ustępstwa na rzecz społecznych aspiracji mają służyć uwiarygodnieniu totalitarnych pseudo-instytucji życia publicznego /PRON, neozwiązki/, których afirmacja będzie zwolna stawać się warunkiem jakichkolwiek ustępstw. Bowiemy generatowie nie mają wątpliwości co do realiów: "to, że organizmy te są bojokowane, to oczywiste" - słusznie napisał /w kwietniu 1985 roku/ partyjny publicysta.

Chwila jest jednak szczególna: idzie o złamanie blokady międzynarodowej i narzucenie normalizacji na własnych warunkach; idzie też o złamanie społecznego oporu. W takiej chwili generatom zależy na zachowaniu pozorów. Nie jest przeto wykluczone, że zastanowią się nad niedawnymi /z kwietnia 1985 roku/ uwagami prof. Reykowskiego, który stwierdził, że znaczna część inteligencji nie akceptuje obecnych rozwiązań instytucjonalnych /PRON etc./ i postulował szukanie nowych, trafiających "do politycznej wyobraźni". Zarazem prof. Reykowski odrzucił - jako nierealistyczne - postulaty pluralizmu politycznego. Twierdził on, że obecny "niepluralizm" nie jest kaprysem rządzących, lecz wynikiem stosowania rozwiązań, które "są wyrazem przystosowania do wymagań, jakie wynikają z potrzeb reprezentowanych przez nich warstw i klas i do okoliczności historycznych".

Ostatnie z tych sformułowań jest bez wątpienia prawdziwe. Nigdy w historii likwidacja pluralizmu politycznego nie była kaprysem rządzącej elity. Zawsze był to wyraz "przystosowania" do wymagań "klasowych" i do "okoliczności historycznych". Tak było w faszystowskich Włoszech i w hitlerowskich Niemczech, w bolszewickiej Rosji i frankistowskiej Hiszpanii, w pinochetowskim Chile i na castrowskiej Kubie. Rozwijając ten temat byłoby powtarzaniem oczywistości.

Wszelako warto zastanowić się - szkoda, że prof. Reykowski z tego zrezygnował - nad okolicznościami, w których znów: niezależnie od kaprysu rządzących, a zależnie od wymagań warstw społecznych i okoliczności historycznych, pluralizm powraca na scenę życia publicznego jako tego życia niezbywalna reguła. Otóż ryzykuję opinię - równie mało odkrywczą, jak stwierdzenie prof. Reykowskiego - że pluralizm zastępuje totalitarne dyktatury wtedy, gdy w obozie władzy dochodzi do rozłamu i zwaiczające się grupy szukają oparcia w społeczeństwie. Inaczej może on być wywalczony jedynie naciskiem sił zewnętrznych w stosunku do totalitarnych struktur. Dodam jeszcze, że "Solidarność" - wychodząc z tych założeń - buduje w totalitarnym państwie pluralistyczne społeczeństwo i pragnie tą drogą wywalczyć porozumienie, którego istotą byłoby uznanie instytucjonalne tego pluralizmu.

Strategia taka nie wyklucza wszakże porozumień cząstkowych. Przeciwnie: zakłada działania w różnych sferach i nie odrzuca totalnie żadnej z form dialogu z władzą. Kiedy jednak zastanawiamy się nad propozycją taktyki "małych kroków", musimy zawsze pytać: ku czemu te "małe kroki" mają zmierzać?

Nie zadowolili nas odpowiedzi, że ku "normalizacji" czy ku "wyjściu z kryzysu" bądź też "ku ratowaniu Polski". Są to ogólniki, z których niewiele wynika. Twierdzimy bowiem: totalitarna koncepcja normalizacji ma za swój cel wymuszenie rezygnacji narodu z dążenia do podmiotowości. Uważamy tę koncepcję za przeciwną polskim aspiracjom i będziemy demaskować jej antynarodowe ostrze. Jesteśmy zdania, że totalitarny system sprawowania władzy dawno już wyczerpał w Polsce swe możliwości rozwojowe. Generałowie, restaurując ten system, nie przezwyciężą kryzysu, lecz uczynią go permanentnym.

Korzenie kryzysu tkwią w relacjach między aparatem władzy a społeczeństwem. Nie chodzi tedy o "rozwiązania, które trafią do wybraźni", lecz o rozwiązania gwarantujące autentyczną podmiotowość. Nie jest to rozróżnienie o charakterze formalnym. Mówiąc o "rozwiązaniach, które trafią do wybraźni" informuję rządzących i rządzonych, iż kierunek dokonujących się przeobrażeń jest prawidłowy, zaś ulepszenia wymagają tylko pewne socjotechniki realizowania celów aparatu władzy. Otóż nie. Właśnie kierunek polityki generałów - wyznaczony przez konsekwentną destrukcję podmiotowości i postępujący odwrót od demokratycznych reform - przesądza o istnieniu nieusuwalnych napięć społecznych.

Zgadzam się z prof. Reykowskim, że "okoliczności historyczne" /jeśli tym eufemizmem określa się stan uzależnienia od sowieckich towarzyszy/ przekreślają nadzieję na natychmiastowe przekształcenie Polski w kraj parlamentarnej demokracji. Powtarzam jednak: walka toczy się teraz o kierunek zmian, a nie o ich tempo.

Totalitarny aparat nie chce zmian w kierunku poszerzenia - choćby stopniowego - zakresu swobód obywatelskich, podmiotowości i pluralizmu. Nasi generałowie wciąż zdają się wierzyć, że przyszłość świata ludzkiego należy do totalitarnego komunizmu. Dlatego perswazjami demokracji osiągnąć niepodobna - trzeba ją wywalczyć.

Nie jest to postulat księżycowy. Wierząc w swoje totalitarne miraży, komuniści - kiedy muszą - bywają jednak realistami. Dowody tego nie raz dawali sowieccy przywódcy w pertraktacjach z Amerykanami, gdy porzucali internacjonalistyczne frazesy na rzecz pragmatycznego kompromisu. Dowody realizmu dała też - przypominajmy - ekipa Jaruzelskiego, rezygnując - choć nigdy ostatecznie i doktrynalnie - z prób terroru typu stalinowskiego. Dlatego też - nie wyrzekając się działań na rzecz budowy podmiotowego i pluralistycznego społeczeństwa - nie odrzucamy żadnych rozwiązań i dróg pośrednich. Były tylko były to autentyczne drogi wiodące do autentycznych porozumień.

W obecnej sytuacji nie sposób wskazać wszystkim działaczom związkowym jednej drogi i jednej postawy. Fakt, że umieli oni podjąć działania tak róż-

narodne świadczy o dużej dojrzałości Związku. Droga cząstkowych porozumień może być jedną z form działania związkowego, pod tym wszakże warunkiem, że będą to działania "Solidarności" wpisane w plan szerszej strategii, a nie poczynania osób i grup skierowane faktycznie przeciw podziemnym strukturom Związku.

Posłużmy się przykładem wyborów do Sejmu. Ordynacja wyborcza nie różni się niczym od poprzedniej, tylekroć wyszydzanej i krytykowanej. Jej istotą jest redukcja obywatela do bezmyślnego przedmiotu wrzucającego kartkę do skrzynki. Nie są to więc żadne wybory, lecz - jak słusznie poprawiał mnie zawsze Bogdan Borusiewicz - głosowanie. Udział w takiej komedii ułatwca godnośći rozumnego człowieka i oczywiście nie zostanie zaaprobowany przez "Solidarność". Generałowie mogą naturalnie sfałszować wyniki głosowania - jak to jest w ich zwyczaju - ale postępując w ten sposób nie uzyskają przecież społecznego mandatu. Czy jest jakieś wyjście z tej sytuacji?

Powtórzmy: zgodzić się wypada z prof. Reykowskim, że postulat wolnych, demokratycznych, pięcioprzymiotnikowych wyborów do Sejmu nie jest dziś w Polsce realny. Jeśli "Solidarność" wciąż formułuje ten postulat, to nie z naiwności to wynika, lecz z przeświadczenia, że prawdy banalne - by banalnymi pozostały - muszą być wciąż na nowo artykułowane i powtarzane. Jesteśmy jednak w pełni świadomi, że w ramach totalitarnych reguł gry nie są możliwe takie wybory do Sejmu, które z pewnością dowiodłyby, iż komuniści nie dysponują poparciem społeczeństwa. Żadna totalitarna dyktatura nie oddała władzy dlatego, że przegrała wybory - o tym też pamiętamy. Nie formułujemy tedy postulatu, by komunistów odsunąć od władzy, bowiem byłoby to hasło do totalnej konfrontacji, a nie płaszczyzna kompromisu. Mówiąc nawiasem: nie da się wykluczyć - realistycznie rzecz biorąc - że w zmienionej sytuacji i takie żądanie zostanie przez naród sformułowane. Komuniści nie mają żadnego boskiego mandatu na to, by rządzić Polakami do końca świata.

Dzisiaj wszelako postulat taki mógłby oznaczać konfrontację z militarną potęgą Wielkiego Brata. Czy tedy w cieniu tej potęgi jest miejsce na antytotalitarne, choć cząstkowe kompromisy? Odpowiadamy na to pytanie twierdząco. Także w kontekście wyborów do Sejmu.

Jak było dotąd? Tradycyjnym sposobem komunistów na uzyskiwanie wiarygodności jest wpisywanie na jedną listę do głosowania również pewnych osób obdarzonych publicznym szacunkiem i zaufaniem. Zapewne i dziś mają oni takie pomysły, co dowodzi jedynie beznadziejnej anachroniczności ich rozumowania. Jednak droga do kompromisu nie musi być na zawsze zamknięta. Wyjściem mogłoby być rozwiązanie umożliwiające społeczeństwu autentyczny wybór do Sejmu choćby 30% spośród deputowanych. Jednak tych samych 30% wpisanych na jedną listę obok Siwaka i Urbana spowodować może tylko tyle, że osoby te utracą swój dotychczasowy autorytet.

Inaczej mówiąc: realną drogą do kompromisu jest poszerzenie sfer podmiotowości, a nie kupowanie głosów i nazwisk za cenę kilku czy kilkunastu mandatów. Tak brzmi mój komentarz do cytowanych na wstępie uwag prof. Stanisława Stommy. Komuniści lubią przypominać styczeń 1957 roku. Wtedy to naród polski zaakceptował zasadę jednej listy; wtedy świeżo uwolniony z Komańczy Kardynał Wyszyński z ambony, a Czesław Miłosz z emigracji wezwali do udziału w głosowaniu i do udzielenia poparcia Władysławowi Gomułce. Jednak wtedy unosiły się nad Polską dymy płonącego Budapesztu, zaś Gomułka był symbolem nadziei na reformy wolnościowe. Można zastanawiać się, czy Kardynał i Miłosz postąpili słusznie, ale nie wolno abstrahować od sytuacji, która podyktowała im takie właśnie kroki.

Dziś jest inaczej. Gdyby nawet Prymas Polski i Czesław Miłosz - co jest skądinąd nader mało prawdopodobne - wezwali do udziału w głosowaniu, to można wątpić, by Polacy ich usłuchali.

Prezentowany bywa wszakże i inny punkt widzenia. Zwolennikami "małych porozumień" są także pewni ludzie, którzy w okresie 1980-1981 deklarowali swe poparcie dla "Solidarności". Redakcja *Krytyki* określiła ich skrótowo mianem "nowych realistów".

"Nowi realisci" są zdania, że "Solidarność" przegrała ostatecznie i na zawsze, a wraz z nią szansa na "wielkie porozumienie" i realną podmiotowość. Są tedy gotowi przyjąć płaszczyzną proponowaną przez generałów i wejść do Sejmu na zasadzie odgórnej nominacji. Powiadają: trzeba być wszędzie obecnym i ratować to, co jest możliwe do uratowania. Uważają taki wybór za "służny, to znaczy najlepszy z możliwych".

Choć nie podzielam tego punktu widzenia, najdalszy jestem od przypisywania "nowym realistom" działania z niskich pobudek. Jeśli rozum nakazuje mi określić ich stanowisko jako kolaborancką ofertę pod adresem generałów, to przecież pamięć wciąż odtwarza inne scenariusze. Pamięć przywodzi na myśl wystąpienia posłów w Sejmie - poprzednich i obecnych kadencji - wystąpienia, które odegrały ważną i zdecydowanie pozytywną rolę.

Sprawa jest złożona. Dość wspomnieć interpelację poselską "Znaku" z marca 1968 roku czy - stosunkowo świeżej daty - wystąpienie posłów w sprawie więźniów politycznych /na zawsze zachowamy w pamięci piękną i szlachetną mowę posła Romualda Bukowskiego/, w sprawie cenzury czy przeciw delegalizacji "Solidarności", by zdać sobie sprawę, jak trudno tu o jednoznaczny osąd.

Bowiem z szacunku dla postawy dla niektórych posłów nie może wynikać aprobata dla ich decyzji z początku 1980 roku, gdy z rąk Gierka i Babiucha przyjmowali poselskie nominacje. Jednak o ich godnym postowaniu wciąż pamiętać należy, gdyż - być może - ten właśnie model obecności w Sejmie mają na celu "nowi realisci".

Życie jest bogatsze od politycznych doktryn i spekulacji. Z perspektywy "Solidarności" udział w Sejmie na warunkach generalskich jest nie do przyjęcia. Także historia Koła Poselskiego "Znak" jest wymownym dowodem, że zawieranie paktów na totalitarnej płaszczyźnie jest wkróceniem na drogę wiodącą od kompromisów do kompromitacji. "Solidarność" odrzuca przeto atrapę porozumienia. Jej istotą jest formuła Jaruzelskiego: "nie pytamy nikogo, skąd przychodzi". Drugi człon tej formuły: "jeśli chce przyjąć nasze totalitarne reguły gry" - generał pozostawił inteligencji słychać.

Nie negujemy, że w tej materii generał Jaruzelski dba o pluralizm: każdy może go publicznie wychwalać. Mogą to czynić "prawdziwi komuniści" w rodzaju Siwaka i faszyci spod znaku Poręby, miłośnicy Piłsudskiego i wielbicieli Dmowskiego, konserwatyści katoliccy /jak Aleksander Bocheński/ i katolicycy moralisci /jak na przykład prof. Andrzej Grzegorzczyk/, wierzący i niewierzący, partyjni i bezpartyjni, harcerze i komsomolcy, panny i rozwódki, kolaboranci wszystkich profesji i wyznań. Generałowie chętnie rozszerzyliby tę listę o prof. Stomnę, o Andrzeja Micewskiego, a może i o świeżo nawróconego na "nowy realizm" Marcina Króla. Wierzymy, że jest to zupełnie niemożliwe.

Nie odmawiamy dobrej woli nikomu, kto sądzi inaczej. Tych, którzy zdecydują się przyjąć generalską nominację i zająć miejsce na poselskich ławach, będziemy sprawiedliwie i rzetelnie osądzać na podstawie ich słów i uczynków.

Jeśli wszakże nam, ludziom "Solidarności", zaproponują w tym ogrodzie zoologicznym własną klatkę czy osobny wybieg, to odpowiemy ze spokojnym przekonaniem: bawcie się sami.



I to już koniec tych uwag o kompromisie politycznym i polityce kompromisu. Chwilowo okoliczności odwołują mnie do innych zajęć... Jutro zaczyna się proces. Komu ławy poselskie, komu ławy oskarżonych...

Wolę wszakże dzielić ławę oskarżonych z Bogdanem Lisem i Władkiem Frasiukiem, niż ławę poselską z Rakowskim i Siwakiem.

Takie czasy...

Pisałem w więzieniu śledczym
Gdańsk, ul. Kurkowa 12

Adam MICHNIK

KULTURA, wrzesień 1985

JAN LITYŃSKI

NOWY RACJONALIZM CZY STARE ZŁUDZENIA

Z różnych stron dobiega wołanie o myślenie polityczne. Żądają go najbardziej radykalne kręgi podziemia, mówią o nim publicyści wywodzący się z grup programowo umiarkowanych. Te zasadniczo różne sposoby widzenia rzeczywistości łączy coś więcej niż czysto werbalne podobieństwo. Wspólne jest im mianowicie przekonanie, że trzeba przestać się łudzić. Solidarność to sprawa przebrzmiała - zdają się mówić - trzeba się pozbyć wiązanych z nią nadziei. Szanse wyjścia z impasu stworzy jedynie nowa, oparta o realistyczną analizę faktów, bezemocjonalna myśl polityczna. Realistyczne polityczne myślenie ma więc stać się zarówno punktem wyjścia, jak i drogą rozwiązywania problemów.

Dla radykałów porażka 13 grudnia 1981 roku jest wynikiem niepodjęcia zasadniczej walki z komunistami, dla umiarkowanych przeciwnie - dowodem na to, że ruch Solidarności poszedł w swych dążeniach za daleko. Diametralnie różne wnioski wyciągane z podobnych założeń metodologicznych podważają realistyczne podejście jednych, nie stając się bynajmniej dowodem na realizm drugich.

Reprezentanci koncepcji radykalnej wzywają do walki o niepodległość, przynajmniej zaś do podjęcia przygotowań i czujności w obliczu zbliżającej się decydującej rozgrywki. Wszelkie kontakty z władzą komunistyczną graniczą ich zdaniem ze zdradą narodową, wysiłki mające na celu poprawę codziennego bytu są działaniami pozornymi, jeżeli nie wręcz szkodliwymi, odwracającymi uwagę od celu zasadniczego. Związek Sowiecki jawi się tu jako niezdołny do obrony swych interesów "papierowy tygrys".

Neorealistów koncepcja kompromisu

Dla zwolenników działań umiarkowanych rozumowanie takie jest "świadectwem ucieczki od historii i rezygnacją z myślenia", dyskusja zaś z postawą radykalną "staje się na gruncie racjonalnym niemożliwa" /Andrzej Celiński, "Wokół czego dialog?" - *Krytyka* nr 18, str. 182, dataj A.C./ . Realizm umiarkowanych zasadza się na przekonaniu, że istniejący obecnie układ międzynarodowy jest na tyle trwały, iż myślenie o jego zmianie staje się czystą utopią. Władza komunistyczna, choć narzucona, jest koniecznością. Rozwiązań szukać należy więc w "nowym samookreśleniu partnerów postulowanej umowy społecznej. Przede

wszystkim - w odejściu od stereotypu, który wyobcowaną władzę przeciwstawia zjednoczonemu na zasadzie negacji społeczeństwu" /Grupa Publicystów Politycznych, Wystąpienie pierwsze, j.w., str. 165, dalej GPP/. Spotyka się też, choć rzadko, próby potężenia myślenia radykalnego z postulatem ugody narodowej. I tak ogłoszony w 1983 roku Program Bieżący *Głosu* po określeniu własnych zasad polityki polskiej jako jedynej konsekwentnie narodowej i niepodległościowej, wysuwa program sojuszu z Wojskiem, wspartym o siłę Kościoła, zapominając mimochodem, że Kościół nie będzie nigdy odgrywał roli politycznego taranu, zaś dowództwo armii swe rozumienie interesu narodowego określiło już dostatecznie precyzyjnie 13 grudnia 1981.

Podkreślić trzeba, że cytowane już wystąpienia Grupy Publicystów Politycznych, jak również artykuł A. Celińskiego wolne są od tego typu dziwołagów. Przeciwnie, uderza w nich powaga, nieobecność intelektualnego kuglarstwa, jasne wykładnie racji, a w przypadku GPP dodatkowo próba ustawienia się ponad istniejącymi podziałami. Publicyści polityczni pragną ponadto odciąć się od sporów o przeszłość i tworzyć pozaideologiczny program na dzień dzisiejszy. "Trzeba abstrahując od wszelkich podziałów i antagonizmów, rozważyć na chłodno, ale ze świadomością dramatycznego stanu kraju, możliwości i warunki zmiany" stwierdzają w piątym w marcu 1984 roku Wystąpieniu pierwszym. Dwa następne powstały w odstępach miesięcznych. Wszystkie zostały złożone w redakcji *Tygodnika Powszechnego*. Wyjście z dramatycznej sytuacji, w jakiej znalazła się Polska jest, według nich, możliwe jedynie poprzez porozumienie polityczne z władzami. Wystąpienia GPP poświęcone są głównie badaniom warunków tego porozumienia. Umiar społeczeństwa, pokojowy charakter ruchu obywatelskiego umożliwił "miękkie przyjęcie ciosu", osłabił brutalność rozwiązania siłowego, jakim było wprowadzenie stanu wojennego. Jest też nadzieją na przyszłość. Podziemie przejęto bowiem pokojowe nastawienie ruchu, społeczeństwo zaś, choć - co autorzy tekstów podkreślają wielokrotnie - zróżnicowane i różnorodne, "jest w stanie wnieść się ponad uprzedzenia i jakże zrozumiałe urazy" /GPP-3, str. 174/ i przyjąć rozwiązania kompromisowe. Jako dodatkowy argument przywołują autorzy wystąpień postawy z pierwszych lat powojennych, kiedy zdecydowana większość społeczeństwa była gotowa do "realistycznej oceny politycznych wyników ostatniej wojny" /GPP-3, str. 171/. Mamy więc do czynienia z jasną koncepcją kompromisu uwzględniającego interes wszystkich odłamów polskiego społeczeństwa.

Propozycja dla władzy

Brak jednak jasności w kwestii kto wie czy nie najistotniejszej - jaki musiałby być mechanizm zmiany obecnego konfliktu w przyszłą współpracę. Ponieważ ze strony społeczeństwa warunki konieczne zostały już spełnione, dla GPP jest oczywiste, że ruch należy do władzy. Ona to winna zainicjować ugodę: "Pierwszy krok w kierunku przełamania dzisiejszego impasu jest obowiązkiem czynnika rządzącego. Bez wiarygodnych posunięć rządowych nie ma mowy o przełamaniu nieufności społecznej" /GPP-3, str. 174/. Władza winna więc uświadomić sobie, że pluralizm społeczny stał się faktem, zrezygnować z doktrynalnych dążeń do reprezentowania całości narodowego interesu, z utożsamiania się z państwem. Poprawa stosunków gospodarczych i politycznych wiąże się więc ściśle z dobrą wolą czynnika rządzącego.

Warto tu zauważyć, że publicyści polityczni nie przypadkiem unikają takich określeń, jak "komuniści", "PZPR" czy "władza komunistyczna", zastępując je neutralnie i łagodnie brzmiącymi: "warstwa rządząca", "czynnik rządzący". Dyplomatyczne te sformułowania są wyrazem gotowości do porozumienia, jak również próbą odideologizowania konfliktu, sprowadzenia go do gry różnorodnych interesów. Jakże daleko odeszliśmy od czasów, w których komuniści dumnie obnosili swoje miano.

Propozycja GPP jest skierowana do dwiema stron konfliktu. Społeczeństwo

bowiem, w zamian za umiarkowanie i rozsądek rządzących, nie może kwestionować ich panowania. "Trzeba myśleć - postuluje GPP - nie o władzy innej, lecz o władzy inaczej sprawowanej" /GPP-2, str. 168/. Punktem wyjścia ma być praca koncepcyjna, opis "warunków i możliwości zmian". Nawet wbrew władzy, lecz zgodnie z interesami narodowymi należy stworzyć "miejsce, gdzie krystalizują się nowe idee, miejsce dyskusji o sprawach Polski i świata" /GPP-1, str. 166/.

Tkwi w tym istotna słabość propozycji. Doceniając rolę działalności intelektualnej i ideotwórczej, nie sposób nie zauważyć, jak mało praktyczny może się okazać tak tworzony program zmian. Zbyt duży jest czynnik nieprzewidywalności, zbyt silny opór rzeczywistości, aby możliwa była realizacja propozycji opracowanych przez najtęższe nawet głowy. I to w sytuacji, gdy rządzący - co słusznie zauważają autorzy - "odrzucają, jak na razie, jakiegokolwiek próby kompromisu, który by przekraczał granice zwyczajnego postuśszerszeństwa" /GPP-1, str. 164/, zaś nadrzędnymi interesami narodowymi manipulują, używając ich jako szantażu wobec społeczeństwa /por. GPP-3, str. 172/.

Złudzenia mimo braku złudzeń

Wiara, że władza zmieni metodę rządzenia nie jest niczym uzasadniona. Rozwiązanie sitowe odniosło sukces, pozwoliło komunistom odzyskać poczucie "bezpieczeństwa politycznego i bezwładu. Jediną reakcją na informacje niepomysłne jest wzmacnianie działań represyjnych i powoływanie coraz to nowych instytucji kontrolnych. Wystarczy przeczytać kolejne oceny sytuacji gospodarczej, czy to opracowane przez instytucje rządowe, czy też przez usłużnych publicystów, by dostrzec, że rządzący są z siebie zadowoleni. Winę ponoszą zawsze czynniki zewnętrzne - może to być Reagan i CIA, antysocjalistyczna opozycja, pasożyty, rozleniwione społeczeństwo, nieuczciwi urzędnicy - wszyscy i każdy, tylko nie czyniący nieustanne wysiłki rząd i mająca zawsze historyczną rację partia.

Z tych faktów publiczności polityczni zdają sobie sprawę. Nie proponują więc negocjacji, mówią wręcz o "porzuceniu złudzenia wspólnego stołu", proponując w zamian jednostronne naciski w celu wywalczenia "płaszczyny minimum" /GPP-2, str. 168/. Niestety nie pokazują, w jaki sposób wywierać presję, jakie warunki muszą być spełnione, by była ona skuteczna. Pozostajemy w sferze słów.

Żeby przewać będnę kożo

Zamysłem GPP jest poszukiwanie "nowej racjonalności": "Po 1944 roku człowiek, który chciał uczestniczyć w życiu publicznym, miał - oprócz postawy czysto serwilistycznej - kilka racjonalnych dróg do wyboru. Często były one trudne, ryzykowne, a szanse powodzenia nikłe, lecz były to wyjścia racjonalne". W słowach tych kryje się tęsknota do czasów, kiedy to w uspiołym społeczeństwie cenna była każda samodzielna inicjatywa. Była to jednak samodzielność skazana na łaskę i niełaskę władz. Ówczesny racjonalizm, z perspektywy katastrofy gospodarczej, przed którą nie uchronił pozorny spokój społeczny, nie jest już dziś przekonywujący. Wiara, że kredyt warunkowego zaufania, udzielany kolejnym ekipom, zaowocuje gotowością władz do uwzględnienia postulatów społecznych i częściowym choćby dopuszczeniem przedstawicieli różnych grup do wpływu na decyzje, załamana się zarówno po 1956 roku, jak i po roku 1970.

Mówiąc o całkowitym anachronizmie metod sprawowania władzy, publiczności polityczni zauważają, że obecnie "czynnik rządzący koncentruje się na obronie swej funkcji rządzenia". Czyż kiedykolwiek było inaczej? Zmieniała się co prawda taktyka działania, przychodziły nowe ekipy nieodmiennie obiecują-

ce, że tym razem zło się nie powtórzy. Cel strategiczny pozostawał ten sam - komunistą nigdy nie zrezygnowali z dążenia do nieograniczonego panowania.

Nie znaczy to, że rządzący powodowali się zawsze złą wola i całkowitym brakiem zainteresowania dla sytuacji rządzących, lecz dobre chęci były zawsze marginesem komunistycznych pragnień, zaś mechanizm stworzonego przez nich systemu nie pozwala na eksperyment w postaci trwałej akceptacji niezależnych społecznych reprezentacji.

Mówienie o anachronicznych rządach jest jedynie łagodnym eufemizmem. Mamy do czynienia z czystym absurdem i reakcja Stefana Kisielewskiego /por. *Tygodnik Powszechny* nr 51/84/, który po przeczytaniu niewinnej z pozoru informacji w gazecie rządowej zaczyna wyć i gryźć zdaje się być jedyną możliwą dla człowieka o zdrowych zmysłach. Nie jest to oczywiście reakcja racjonalna. Natomiast reakcją racjonalną była zmiana stanu świadomości społecznej w roku 1980 i wynikająca z niej po roku 1981 masowa odmowa współpracy z władzą, której absurdalna doktryna z cykliczną regularnością doprowadza kraj do krawędzi upadku.

Autorzy wystąpień pragną przekonać rządzących o konieczności zmiany obecnego układu, usiłując ich jednocześnie zapewnić, iż nie grozi to ich pozycji. Chcą też uświadomić obu stronom, że twardziej głąboko, sądząc, "że czynnik rządzący przetrzyma opór społeczeństwa, lub przeciwnie - że społeczeństwo przetrzyma mimo braku przemian w gospodarce" /GPP-2, str. 169/. Twierdzenie, jakże słuszne: - "Jeśli przetrzymamy, to jako naród skarłały, naród wyrzucony poza nawias Europy, naród w chronicznie chorym państwie" - może być niewątpliwie ostrzeżeniem dla społeczeństwa. Lecz nadzieja, że stanie się dzwoniem alarmowym dla tych, którzy "jakoś się wyżywią" wydaje się pozbawiona podstaw. Paradoksalnie, pewne szanse istniały jeszcze po 13 grudnia, kiedy to komunisty, dławiąc ruch społeczny, udowodnili, że posiadają dostateczną siłę, aby samodzielnie, choć w cieniu czołgów sowieckich, rozbić zbyt przekonaną o własnej mocy "Solidarność". Nadzieję na rozsądek władz wyrażały między innymi kompromisowe propozycje Rady Prymasowskiej. Odpowiedzią było całkowite milczenie, a najpoważniejszą, choć jakże względną korzyścią, stało się powszechne niemal przekonanie o bezskuteczności działań na rzecz porozumienia.

"Nowa racjonalność" jest dramatycznym wołaniem o przerwanie błędnego koła. Warunkiem wyjściowym ma być "uwzględnienie dwóch zasadniczych faktów naszej rzeczywistości politycznej: - nie jesteśmy państwem suwerennym; - nie jesteśmy i być nie możemy w realnej perspektywie państwem demokratycznym" /GPP-2, str. 167/. Zgoda społeczeństwa na trwałość tego układu ma być czynnikiem, który zabezpieczając interesy rządzących doprowadzi do powstania między rządzącymi a rządzonymi podstawowej "sfery zgody", obejmującej prawo, administrację i gospodarkę. Inne dziedziny pozostaną w "sferze sporu", której istnienie nie może i nie będzie, jak zapewnia GPP, naruszać podstawowych interesów warstwy rządzącej. Dalej już rozwiązanie rysuje się samo. Prawo będzie przestrzegane, administracja znacznie sprawniej zarządzać, gospodarka ruszy wreszcie z martwego punktu, wzmocni się pozycja Polski na arenie międzynarodowej, przy czym - podkreślają publicyści - zmiany te nie powinny budzić niepokoju ZSSR. Fakt bowiem, że warstwa rządząca będzie "w znacznym stopniu autonomiczna w swych decyzjach", zaś inne warstwy społeczne będą miały możliwość artykulacji swych dążeń, "nie jest w żadnym sensie sprzeczny z interesem Związku Sowieckiego" /GPP-1, str. 166/. Więcej nawet, usamodzielnienie czynnika rządzącego, pozostającego zarazem gwarantem sojuszu z ZSSR, czyni ów sojusz autentycznym i akceptowanym przez znaczną część społeczeństwa.

Analogia pierwsza: "Solidarność", PSL

Nasuują się tu analogie historyczne. Oto kolejna próba rozwiązania dyktanda, wobec którego okazało się bezradne zarówno PSL ze Stanisławem Mikołajczykiem, jak i "Solidarność" z Lechem Wałęsą - żeby odwołać się do tych wysiłków, które nie pozostały na papierze, lecz doczekały się prób realizacji. Oba przedsięwzięcia - jedno zapoczątkowane przez moskiewską umowę w roku 1945, drugie przez Porozumienia Gdańskie z roku 1980 - noszą wszelkie znamiona działań na rzecz owych "sfer zgody", czy "ptaszczyny minimum", których powstanie postulują dziś autorzy opracowań. W obu przypadkach rząd podpisywał porozumienia, zmuszony czy to sytuacją międzynarodową, czy też wewnętrzną. I tamta je od początku, przygotowując uderzenie ostateczne. PSL i "Solidarność" w swej jawnej postaci istniały dokładnie tyle czasu, ile potrzebowały władze na rozbięcie społecznego oporu.

Zarówno w połowie lat 40-tych, jak i w roku 1981 nieusprawiedliwiona okazała się też wiara w koncyliacyjną postawę ZSSR. "Żle byłoby - stwierdzał publicysta PSL - gdyby dobro tych stosunków /Polski i ZSSR - J.L./ zależało wyłącznie od tej części społeczeństwa, które reprezentuje PPR. Żle byłoby, gdyby Rosja w to wierzyła" /*Gazeta Ludowa*, 15/45/. ZSSR nie pragnął jednak sojuszu z polskim społeczeństwem. Polska w rozumieniu Stalina i jego następców może być komunistyczna lub żadna. Oni grają w zupełnie inną grę, żeby odwołać się do znanego powiedzenia Antoniego Stojanowskiego. *Prawda*, TASS i inne mass-media obozu sowieckiego nie dlatego atakowały "Solidarność", że była ona antysowiecka, lecz dlatego, że samo istnienie niezależnego związku zawodowego było sprzeczne z ich pojmowaniem świata.

A jednak można uznać założenia polityczne PSL i "Solidarności" za realistyczne: "Jeśli /.../ za realistę uznać tego, który działa nie pod wpływem doraźnych i przemijających impulsów, który nie zamierza prowadzić swej działalności w oparciu o wąski krąg elity politycznej, lecz stara się zrozumieć i wyczuć nastroje i pragnienia szerokich rzesz społecznych, który szuka możliwości działania w najgorszych nawet warunkach i działania tego się nie lęka - to Mikołajczyk był realistą przez całe niemal swoje aktywne życie publiczne" - pisze biograf Mikołajczyka Jakub Andrzejewski /"Stanisław Mikołajczyk czyli dramat realisty", *Krytyka* nr 10-11, str. 136/.

Analogia druga - ZNAK

Propozycja GPP zaś sprowadza się co najwyżej do próby stworzenia nowej umiarkowanej i lojalnej opozycji typu koła poselskiego Znak. Koło to powstało po Październiku 56, kiedy to nadzieje na ewolucję komunizmu były powszechne, samych zaś postów można było uznać za symbolicznych reprezentantów znacznej części społeczeństwa. Dwadzieścia niemal lat działalności koła zakończyło wstrzymanie się od głosu samotnego postać Stompy przy wprowadzeniu do konstytucji PZPR i ZSSR. Można z całą pewnością mówić o politycznej porażce koncepcji Znak. Było to jednak wartościowe doświadczenie, zmuszające do poszukiwania innych dróg. Koncepcja Znak broni się zresztą nie swoją aktywnością sejmową, której wpływ na politykę władz był niezauważalny, lecz szeregiem przedsięwzięć wydawniczych i kulturotwórczych. W latach 50-tych czy 60-tych wydawanie pism czy książek poza cenzurą nie było w Polsce możliwe. Przedsięwzięcie takie uznane byłoby za szaleństwo, co zresztą nie byłoby najgorsze, gdyby udało się coś wydrukować i rozpowszechnić.

W późnych latach 70-tych, nie mówiąc już o chwili obecnej, nie trzeba już za rzeczywistą i owocną działalność kulturo-twórczą ptąć pozornym udziałem w życiu politycznym. Publicyści polityczni zdają się udawać, że problem ten

nie istnieje. Fetyszyzując "politykę", gubią to, co najistotniejsze - duchowy wymiar posierpniowych przemian. W jednej z najciekawszych analiz sytuacji pogrudniowej Rada Programowa KIK-u zauważa: "wysitek /.../ jest konieczny dla refleksji i samokontroli, dla obrony przed triumfalizmem światopoglądowym czy narodowym. Przede wszystkim jest konieczny po to, by szukać właściwych i pogłębionych odpowiedzi na dręczące ludzi pytanie: jaki jest stosunek między nadzieją, którą niesie chrześcijaństwo i którą przeżywa się zawsze, także w czasie klęski, a nadzieją, której pragniemy w wymiarze historii, między nadzieją eschatologiczną a nadzieją polityczną; między zwycięstwem moralnym a zwycięstwem historycznym, czym jest woźność wewnętrzna człowieka i jakie znaczenie ma jej zachowanie dla wolności politycznej narodu" /Spotkania nr 27-28/84/.

Ten wysitek jest niewidoczny w propozycji GPP. Wręcz przeciwnie, publicyści polityczni pragną "zagłaskać" świadomość społeczną, cofnąć ją do stanu sprzed sierpnia 1981.

Analogia trzecia - DiP

Charakter wystąpień GPP narzuca też inne porównanie. Przed sierpniem 1980 roku powstało konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość" - ośrodek myśli politycznej opozycyjny wobec praktyk władzy, lecz też akceptujący system czy to jako nieuchronność geopolityczną, czy też jako zło konieczne. Był to więc rodzaj załączka dla postulowanego przez publicystów politycznych porozumienia "ludzi, którym nie wystarcza anachroniczny system gospodarczy i społeczny, którym w tym tragicznym dla kraju okresie gotowi są porzucić stereotypowe formuły i stereotypowe metody rozwiązywania problemów /.../. Swoisty parlament nowoczesności" /GPP-1, str. 166/. Pozostawił też DiP ciekawe i istotne analizy, bogatsze pod względem merytorycznym niż opracowania o stanie gospodarki sporządzone przez ludzi z grupowań pozostających w jawnej opozycji do systemu.

Jednak realizm DiP-u załamał się w najbardziej chyba istotnym dla DiP-owego myślenia punkcie - szukania sojuszników dla swych tez w aparacie władzy i wśród prominentnych działaczy gospodarczych. Z partyjnej elity jedynym odzewem były szykany. Zaś opracowania zespołu stały się znane dzięki wydawnictwom poza cenzurą, a więc dzięki ludziom, z którymi filozofia polityczna DiP-u wchodziła w spór. Oni właśnie byli chętnymi czytelnikami analiz DiP i starali się je wykorzystać w swym działaniu. Postulowany zaś adresat prac konwersatorium nie chciał i nie umiał wyciągnąć z nich żadnych wniosków. Animator DiP-u Stefan Bratkowski, po bezowocnych próbach mediacji w roku 1981, został wyrzucony z PZPR-u. Dziś jest autorem jednej z ciekawszych inicjatyw podziemnych, jednoosobowym wydawcą *Gazety Dźwiękowej*. Jego realizm sprowadza się do formuły wygłaszanej na początku każdej kasety, że rzecz sporządzona została do własnego użytku i dla własnej przyjemności. W porozumieniu zdaje się nie wierzyć, choć być może marzy o chwili, gdy władza opamięta się. Jak zresztą większość z nas. Dzieje publicznej działalności Bratkowskiego, typowego człowieka środka, entuzjasty umiarkowania, są też jakby odpowiedzią na zaskakujące wywody A. Celińskiego: "swoiście paradoksalnym faktem jest, że wtedy gdy władza skłonna była bardziej niż kiedykolwiek przedtem do stworzenia jakiejś płaszczyzny współpracy ze społeczeństwem /.../, część środowisk opiniotwórczych utwardzała swoje stanowisko, zbliżając się ku myśleniu w kategoriach 'wszystko albo nic' " /A.C., str. 189/.

Neorealizm w polityce międzynarodowej, czyli pytania o détente

Dotychczasowe doświadczenia zdają się wskazywać, na jak wątych podstawach oparta jest "nowa racjonalność". Jeano Kirkpatrick w wywiadzie dla

george'a Urbana tak podsumowuje inną próbę realizmu, tym razem w skali międzynarodowej: "Pogląd, że *détente* odniesie sukces, nie był wykazany empirycznie absurdem. T e r a z utrzymywanie tego poglądu j e s t absurdem - wykazany empirycznie. /.../ Teraz mamy nie tylko przekonujące teoretyczne podstawy do sądu, że teoria *détente* była błędna, lecz także niezbite, namacalne, świeże dowody. Dlatego utrzymywanie przy życiu poglądu, którego błędność została wykazana tak bogatymi doświadczeniami, jest nieracjonalne" /*Encounter* 11, 83; polski przedruk *Poglądy* 8, 84/. Dokładnie w ten sam sposób nieracjonalne są propozycje GPP.

Problem, z którym borykają się dziś Polacy jest częścią problemu światowego. Nie jest przypadkiem, że dotykając polityki ogólnoswiatowej, publicyści polityczni udzielają ostrożnego poparcia polityce *détente* "nie jest nam przydatna 'zimna wojna' w żadnej formie. Potrzebujemy odprężenia" /GPP-3, str. 172/. Podobnie argumentuje A. Celiński: "Warto jednak pamiętać, że zastrzeżenie się sytuacji międzynarodowej nie przynosi nam korzyści /.../; że nie jest to problem wyścigu teoretyczny, przekonaliśmy się w 1981 roku, kiedy pytanie, czy celem 'Solidarności' jest walka o pełniejszy kształt naszej suwerenności, o poprawę losu Polaków i Polski przez efektywniejsze wykorzystanie wewnętrznych czynników zmiany, czy też walka z międzynarodowym komunizmem, bywało pytaniem o ówczasie dokonywane wybory". Otóż właśnie to pytanie, z którym dość łatwo chcą się autorzy uporać, nie pozwala na prostą odpowiedź. Cięży nad nim widmo "zimnej wojny", a więc okresu stalinowskiego, czasów tragicznych dla narodów bloku sowieckiego. Zmierzch stalinizmu to jednocześnie początek odprężenia.

"Zimna wojna" była częścią polityki stalinizacji, odcięciem podbitych społeczeństw od reszty świata w celu poddania ich fizycznej i ideologicznej obróbce. Nie ma natomiast dowodów na tezę, że samo odprężenie międzynarodowe łączy się z poprawą losów ludów imperium. Wywózki AK-owców na wschód i proces 16-tych w Moskwie odbywały się w czasie idyllicznych wręcz stosunków między aliantami, po Jaltcie a przed Poczdamem. Sowiecka interwencja na Węgrzech nastąpiła niemal równocześnie ze złagodzeniem napięć międzynarodowych, zaś interwencje w Czechosłowacji i Afganistanie odbyły się w czasie względnie poprawnych stosunków Wschód-Zachód. Postępem polityki odprężenia towarzyszyło rozbijanie ruchów dysydenckich w ZSSR, aresztowanie działaczy Karty'77 w Czechosłowacji, w NRD zaś w okresie świetnych stosunków gospodarczych z RFN wprowadzono przepisy, ograniczające kontakty obywateli tego państwa z cudzoziemcami. Drastyczny jest też przykład Rumunii, gdzie filirt z Zachodem idzie w parze z przerażającym terrorem wewnętrznym. Można te przykłady mnożyć, można też podać takie, które świadczą będą z tezą przeciwną. Dlatego na pytanie o odprężenie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Bo też jest ono źle postawione.

Jeżeli żądamy - a żądać mamy prawo - polityki opartej o zasady moralne, to musimy się liczyć z konsekwencjami. Obrona praw człowieka jako integralna część polityki międzynarodowej musi prowadzić do napięć. Jeżeli więc "nie leży w naszym interesie ucieczka od Europy, izolacja i utrata więzi z naszymi duchowymi i politycznymi korzeniami" /GPP-3, str. 173/, to w naszym interesie nie leży też Europa zniewolona, słaba, ustępująca krok po kroku. Czyli pytanie o odprężenie musi być pytaniem o sens tego procesu, o rodzaj wzajemnych ustępstw dwóch przeciwnych systemów. Nie chodzi tu o utożsamianie się z polityką amerykańską, czy o rozumowanie "im gorzej, tym lepiej". Chodzi o tożsamość Europy. Jej utrata byłaby dla Polaków klęską nieodwracalną.

Aktualność sporu o Porozumienie Warszawskie

Rozważania A. Celińskiego zdają się iść podobną drogą co wystąpienia Grupy Publicystów Politycznych. Najciekawszą częścią są tu uwagi dotyczące okresu

1980-1981, jako że autor był jednym z bardziej wpływowych działaczy w Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Jako osobisty sekretarz Lecha Wałęsy i sekretarz KKP aż do wyborów, prowadząc wiele zebrań związkowych, biorąc udział w rozmowach z władzami, miał możliwość poznania kulisów wydarzeń. Uczestniczył na przykład w zakończonych porozumieniem warszawskim i odwołaniem strajku generalnego negocjacjach podczas kryzysu bydgoskiego. Dziś broni zarówno zasad tego porozumienia, jak i konieczności rezygnacji ze strajku, krytykując równocześnie ówczesnych zwolenników innych rozwiązań. Pisze więc: "Mówi się także, że trzeba było podjąć walkę w marcu 1981 roku, kiedy stosunek sił był najwyraźniej dla władzy niekorzystny. Odrzucam ten i podobne jemu poglądy. Jeśli by nawet wprowadzenie stanu wojennego w kwietniu 1981 roku nie przyniosło spodziewanego przez władzę skutku - umiędzynarodowienie konfliktu stałoby się faktem" /A.C., str. 190/.

Jesteśmy tu w samym centrum ówczesnego sporu - sporu o strajk generalny. Porozumienie warszawskie podzieliło "Solidarność" na dwie równe niemal grupy. Opowiadanie się dziś, po czterech niemal latach, za którąkolwiek z nich byłoby co najmniej spóźnione. Stusznie jednak zwraca Celiński uwagę, że u podstaw porozumienia leżała obawa. Strach przed interwencją paraliżował siłę negocjacyjną ekipy "Solidarności", której członkowie, przekonani o nieuchronności interwencji, znaleźli się między historycznymi szeptami Rakowskiego a gotowością załóg do strajku. Oczywiście nie należy czynić negocjatorom z "Solidarności" zarzutu, że podpisali porozumienie. Trudno wymagać od kilku ludzi, aby zrywali rozmowy ze świadomością, że skazują kraj na z góry przegraną wojnę. Lecz wbrew temu, co twierdzi Celiński, nie wiemy, czy argument interwencji nie był jedynie manewrem ekipy rządowej. Nieznajomość podstawowych danych nie pozwala na rzeczową analizę, a jedynie na wyrażenie swoich emocji i głębokich przekonań. Tak było wówczas. Tak też czyni autor opracowania. Natomiast nie bierze pod uwagę faktu, że sposób rozwiązania, a właściwie zakłajstrowania konfliktu był ciosem dla "Solidarności" jako ruchu społecznego. I to nie dlatego, że wyniki porozumienia były iluzoryczne, bo i tak z perspektywy 13 grudnia wszystkie kompromisy, zwycięstwa i porażki okazały się iluzoryczne, lecz dlatego, że stawiając związkowców w stan pełnej gotowości, a następnie odwołując strajk generalny, władze "Solidarności" odebrały im wiarę w możliwość zorganizowania takiego strajku. Ludzkie wysiłki zostały przekreślone. Zniknęła obawa, lecz osłabła też nadzieja. Stało się oczywiste, że "Solidarność" w imię odpowiedzialności za losy narodu zawsze, w przypadku uderzenia władzy, cofnie się. Ruch stał się bezbronny, otworzyła się droga do stanu wojennego. Będem był więc nie kompromis przy warszawskim stole negocjacyjnym, a kompromis zawarty na posiedzeniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Można było do strajku nie wzywać, lecz jeśli już do niego wezwano, to należało go zrobić. Wybrano wyjście pośrednie. Spór o porozumienie warszawskie nie jest więc sporem, jak chciałby Celiński, między rozemocjonowanymi radykałami a rozsądnymi, znającymi się na rzeczy politykami. Jest sporem o konsekwencje, o nieodpowiedzialność za podejmowane decyzje.

O kompromisach "Solidarności"

Spojrzenie Andrzeja Celińskiego wynika wprost z jego wizji świadomości społecznej: "Społeczeństwo pozbawione możliwości poznania samego siebie, nie informowane o zagrożeniach, o współczesnych bądź potencjalnych konfliktach, nie może rozumnie kierować swoim losem. /.../ Urazowo-rewindykacyjne myślenie wielu działaczy 'Solidarności', uzasadnione z pewnością ich doświadczeniem, było też w wielu przypadkach świadectwem politycznej niedojrzałości" /A.C., str. 175/. Niebanalne, lecz też i odległe od prawdy słowa.

Dałeki jestem od idealizowania działaczy "Solidarności", od negowania błędów popełnianych przez nich na różnych szczeblach - zakładowych, regio-

nalnych, krajowych. Wystarczyło jednak pójść na kilka zebrań w fabrykach, by zobaczyć, do jak rozsądnych kompromisów byli skłonni, jak mało było u nich myślenia urazowego, jak wiele podejmowali wysiłków dla rozwiązań konstruktywnych. Do pewnego momentu dalecy byli od nastrojów konfrontacyjnych. Świadczy o tym chociażby głosowanie na Zjeździe, odrzucające ogromną większością głosów poprawkę, wypowiadającą porozumienie gdańskie w części dotyczącej uznania kierowniczej roli PZPR w państwie.

Autor "Wokół czego dialog?" dobrze wie, że wszelkie próby kompromisów rozbijały się o nieugiętą odmowę władz, które równie chętnie negocjowały, jak nie wykonywały podjętych zobowiązań. To było oczywiste od początku, ale nie chcieliśmy przyjąć tego do wiadomości, wierząc, że władzy też zależy na poprawie sytuacji.

Także kryzys rejestracyjny nie był, jak chce Celiński, wynikiem wzajemnej nieufności, lecz częścią strategicznego planu rozbicia Związku. Dlatego poważnym błędem była już sama próba rejestracji "Solidarności". Z dzisiejszej perspektywy /a trzeba przyznać, że wówczas bynajmniej nie było to oczywiste/ widać, że z rejestracji należało zrezygnować. Zwiększyłoby to oczywiście trudności Związku /konta bankowe, lokale, wyjazdy zagraniczne, negocjacje/, oddawałoby jednak znacznie lepiej sytuację gry z nieuczciwym partnerem.

Jak słusznie zauważył Piotr Łukasiewicz w artykule "Wojna światów", piśnianym - co warto podkreślić - na kilka miesięcy przed grudniem 1981: "Styższy się pogląd, że obecna 'odnowa' jest jakościowo inna, bowiem powstały instytucjonalne przesłanki zatrzymania jej zdołbyczy. Z twierdzenia tego wzyiera naiwny w naszym systemie światopogląd legalistyczny. Ustawy dopuszczające działalność wolnych związków zawodowych i limitujące cenzurę mają stanowić zapórę dla totalitarnych zapędów władzy. Reguły prawne nie mają jednak w Polsce żadnego znaczenia. /.../ Nie wystarczy powstanie i istnienie 'Solidarności' oraz wielu innych stowarzyszeń i komitetów, muszą one na co dzień być ożywione aktywnością wszystkich zrzeszonych w nich członków. Nie społeczeństwo zorganizowane, lecz społeczeństwo aktywne będzie jedynie zdolne do efektywnej kontroli władz" /Krytyka nr 8/81/.

Gdyby Solidarność działała bez rejestracji, do Związku przystąpiłoby mniej karierowiczów, którzy pojawili się po 10 listopada 1980 roku /a więc po oficjalnym uznaniu Związku/. Zmniejszyłby się też, co najważniejsze, psychiczny szok, jaki nastąpił po rozwiązaniu dwa lata później. Bez rejestracji "Solidarność" mogła się czuć formalnie niezależna od władz państwowych, od decyzji podległego sądu. Formalnie, bo oczywiście faktycznie i tak decydująca była siła militarna. Lecz ważna jest różnica w świadomości, czy "Solidarność" istnieje, bo ma za sobą prawo ludzkie i międzynarodowe, a przede wszystkim wolę swych członków, czy też dlatego, że postowie w pewnym momencie podnoszą ręce, a sędzia wykonuje odpowiednie zalecenia. Dodatkowo rejestracja stała się kpiną z jednego z najważniejszych postulatów Związku - niezawisłości sędziowskiej.

Nieporozumienia z apolitycznością

Nie przekonuje również opis Celińskiego ideowych założeń działań "Solidarności". Pisze on: "Formuła apolityczności, którą daliśmy sobie narzucić, uniemożliwiła określenie stosunku, w pierwszym rządzie 'Solidarności', do realnych zagrożeń dla zapoczątkowanego latem 1980 roku procesu sanacji państwa i polskiej gospodarki" /A.C., str. 182/. W rzeczywistości Związek nigdy nie uznał formuły apolityczności, dość mętnej, rodem z nowo-mowy pojęcia, którym postępuje się też GPP, wzywając do wyrzeczenia się "fikcji apolityczności" /GPP-1, str. 165/. Związek zgodził się natomiast na uzgodnioną w Porozumieniach Gdańskich formułę, że nie będzie pełnił roli partii poli-

tycznej i niewątpliwie nigdy do tej roli nie pretendował.

Niemal od początku istnienia Związku dla jego działaczy i członków było oczywiste, że muszą zajmować się problemami ogólnospołecznymi, a nie działać w wąskich ramach narzucanych im przez władze. Było tylko kwestią czasu /dość zresztą krótkiego/, aby większość zrozumiała, że chodzi tu o politykę - politykę związku zawodowego, będącego - jak to już wówczas określano - ruchem społecznym. Wystarczy przecież przeczytać program "Solidarności", by zobaczyć trzeźwy i rzeczowy stosunek do zachodzących zmian, do procesu, który autor opracowania nazywa procesem sanacji państwa i polskiej gospodarki. Program ten był wynikiem praktyki, podsumowaniem niejako pracy wielu tysięcy ludzi biorących czynny udział w życiu publicznym, działaczy "Solidarności" na różnych szczeblach, z których wielu żadnych formalnych funkcji związkowych nie pełniło.

Błędem władz związkowych było zbyt nikłe poparcie dla tego typu wysiłków, brak uwagi dla tworzących się nowych pól działania, jak chociażby spraw samorządu lokalnego czy spółdzielczości. Osłabienie ruchu widoczne jesienią 1981 roku wynikało z wielu czynników: ze zmęczenia wywołanego katastrofalną sytuacją rynkową, ze sprytnie przechwyconej przez władze obawy przed nadchodzącą zimą. Wynikało także, może nawet przede wszystkim, z powszechnego oczekiwania na rozwiązania centralne, czyli ze zbyt dużego upolitycznienia, a zbyt małego uspołecznienia działań ruchu. W nastawionej na negocjacje ciężkiej machinie związkowej nie starczało miejsca dla działalności obejmującej różnorodne obszary życia społecznego.

Magiczne myślenie o władzy

Błędem okazała się również powszechna wiara w możliwość reformy władzy i poddania jej społecznej kontroli. Pisze o tym A. Celiński: "Rzeczywistość polityczna kilku posierpniowych miesięcy wykazała bezpodstawność przyjętych poprzednio założeń". Dodaje jednak natychmiast: "Nie uzasadnia to jednak przekonania, że przyjęcie ich było błędem". Zadziwiająco to rozumowanie. Można bowiem mówić, że błąd był nie do uniknięcia, można próbować usprawiedliwiać go okolicznościami, co więcej można starać się udowodnić, że błąd zrobiony został w trakcie realizacji, samo zaś założenie było zasadne, lecz nie wolno twierdzić, że przyjęcie bezzasadnych założeń było przejawem rozsądku. W dwóch sprzecznych zdaniach próbuje autor bronić tezy o konieczności "historycznego kompromisu" z władzą komunistyczną. Otwierają mu one pole do szerokich rozważań.

A przecież między bezpodstawną wiarą w dobrą wolę władz naczelnych, co wyraża się w pragnieniu uświadomienia im wspólnego interesu, a bezrefleksyjnym parciem na konfrontację /przy całej niejasności tego pojęcia/ istnieje cały zestaw rozwiązań pośrednich. Prawda, że trudnych, i w opracowaniu, i w realizacji, wymagających wielu poświęceń z niepowodzeniami prób.

Pewien niepokój budzi również podtrzymywanie przez Celińskiego tez o prowokacji czy to w sprawie Narożniaka, czy też w sprawie bydgoskiej. Lansowanie ich wówczas było wyrazem przekonania, że władze centralne pragną porozumienia, któremu przeciwstawia się aparat. Dziś powinno być jasne, że dokument prokuratora Czubińskiego nie był żadną prowokacją, lecz po prostu roboczym materiałem, wprowadzonym w życie w 1982 roku, obowiązującym do chwili obecnej. W sprawie bydgoskiej zaś nie jest jasne, kto miał prowokować i jaki był cel prowokacji. Teorie o spiskach i prowokacjach mają tendencję do samouzasadniania i dlatego warto zachować wobec nich pewną ostrożność.

Zgadzam się, że "dziś można dyskutować, czy potrafiłszy jako społeczeństwo i jako poszczególne jednostki skutecznie wykorzystać czas, jakim dysponowaliśmy", i że "na to pytanie odpowiedzi z pewnością będą rozbieżne".

/A.C., str. 183-184/. Co więcej, wydaje mi się, że sposoby odpowiedzi wyznaczają w jakiś sposób myślenie o chwili obecnej. Odrzucanie gry na porozumienie nie musi oznaczać przyjęcia stawki na narodowe powstanie. Może jednak i powinno wyznaczać cele ruchu społecznego, zarówno podziemia, jak i ludzi działających na powierzchni. Organizowanie narodowego powstania to nie innego niż tworzenie, matej zresztą, armii sfrustrowanych i niewyżytych działaczy. Z drugiej jednak strony nie wolno stawiać porozumienia jako celu naczelnego, uzależniając w ten sposób cały ruch społeczny od każdego niemal posunięcia władz, kierując całą jego uwagę na incydentalne w końcu wahania bieżącej polityki.

Solidarność - potrzeba refleksji społecznej

Ruch "Solidarności" musi być w pewnym sensie samowystarczalny, umieć działać obok władz państwowych, wbrew represjom, niezależnie od mało prawdopodobnych porozumień. Ruch taki może oczywiście iść na różnorakie ustępstwa, godzić się na kompromisy, nawet współpracować na różnych szczeblach z administracją, tworząc owe "sfery zgody" /co jest przecież zasadniczym sposobem działania związku zawodowego/. Lecz nie może pozwolić sobie na rezygnację ze swych celów, zapomnienie o tym, czym jest i dlaczego powstał.

Sądząc z dotychczasowej praktyki, dziś groźba ta jest odległa, co nie oznacza, że "Solidarność" znalazła już najsukcesywniejsze metody działania.

W swym widzeniu kompromisu zbliżam się chwilami w sposób istotny do krytykowanych autorów. Lecz wydaje mi się, że próbuję to zrobić z trochę innej strony. Uważam bowiem, że odrzucenie niepodległości państwa i suwerenności społeczeństwa jako perspektywicznych celów ruchu zawęża go w sposób istotny. Lecz zasadnicza chyba różnica kryje się w moim przekonaniu, że "Solidarność", ów skomplikowany i niewolny od sprzeczności twór istnieje, a jego istnienie jest nadzieją na przyszłość.

Propozycje GPP i A. Cełińskiego są niewątpliwie reakcją na niedostateczną skuteczność dotychczasowych form działania, przede wszystkim zaś na brak widocznych sukcesów "Solidarności". Publicyści polityczni, uznając moralne i edukacyjne funkcje podziemia, podkreślają jednoznacznie: "Nie może /podziemie - J.L./ jednak siłą rzeczy - znaleźć skutecznych narzędzi pozytywnej, bieżącej działalności politycznej" /GPP-1, str. 165/. Twierdzenie to wynika, jak się wydaje, z wąskiego rozumienia polityki jako gry na najwyższych szczeblach.

Potrzeba tworzenia "swoistego parlamentu nowoczesności" jest niewątpliwa. Aby jednak spełnił on swoją rolę, jego propozycje muszą być kierowane do jedynej siły mogącej stworzyć warunki, na których władza zgodzi się na "płatyczną minimum" - do "Solidarności" w szerokim rozumieniu tego ruchu. Nie znaczy to, że ma to być działalność usługowa. Nie chodzi przecież o łatwe pokrzepienie i schlebienie społeczeństwu, o wyszukiwanie argumentów na rzecz nieomyślności przywódców ruchu. Lecz aby gorzkie nawet słowa weszły w społeczny obieg, muszą się one znaleźć w podziemnych wydawnictwach. Sytuacja, w której czytelnik może czytać obok *Tygodnika Powszechnego* także *Tygodnik Mazowsze*, kiedy może wzbogacać swą wiedzę o teksty w *Znaku, Więzi i Krytyce*, zaś miejscem działania może być KIK, lecz też i TKZ "Solidarności", jest właśnie "pozytywną, bieżącą działalnością" zarówno polityczną jak i społeczną.

Na koniec uwaga optymistyczna. Charakterystyczna jest obecnie u autorów obu opracowań obawa przed niewłaściwym zrozumieniem ich wystąpień. Publicyści polityczni wyrażają ją pisząc: "jedna strona /to jest społeczeństwo - J.L./ musi porzucić przeświadczenie, że wszelka praca dla jego /to jest minimum wspólnego interesu państwowego - J.L./ realizacją jest formą moralne-

go odstępstwa" /GPP-2, str. 167/, zaś A. Celiński mówi w tym samym duchu: "kolaboracja - pojęcie adekwatne w stosunku do tych, co po zduszeniu przez władzę społeczną próby zreformowania instytucji publicznych w zgodzie z oczekiwaniami przeważającej części społeczeństwa i potrzebami kraju, podjęli współpracę z władzą na warunkach przez nią określonych - nie może obejmować postawy gotowości do porozumienia uwzględniającego interesy obu stron konfliktu: władzy i społeczeństwa /A.C., str. 190/. Te obawy mogą być źródłem optymizmu. I oczywiście każdy uważny czytelnik omawianych tekstów musi uznać, że posądzenie autorów omawianych tekstów o kolaborację byłoby bezzasadne. Mamy przecież do czynienia z głosami jasno wyrażającymi swe stanowisko, głosami inspirowanymi troską o polski byt narodowy. Fakt, że nawołujący do porozumienia nie przemawiają językiem ezopowym, lecz jasno wykładają swoje racje, że próbują odnaleźć drogę kompromisu, nie rezygnując przy tym z własnego oblicza politycznego, oznacza, że dobrze zdają sobie sprawę z granic, których przekroczyć nie można. Jak pisze Celiński, "kompromis kończy się tam, gdzie rezygnuje się z zasad".

Po poprzednich zmianach politycznych ludzie skłonni byli do zacierania pamięci - zapomniany został PSL i jego heroiczna walka, dość łatwo zatarty się w pamięci nadzieje, jakie wiązano z przemianami w roku 1956, stłumiono w sobie pamięć o zamordowanych w grudniu 1970 roku. Dziś pamięć wydaje się być trwała.

Wnioski wyciągane z przeszłości mogą być różnorakie. Pluralizm społeczny wyraża się właśnie w mnogości propozycji, w tworzeniu się różnorodnych grup, z których jedne proponują bezwzględną walkę, inne zaś dążenie do kompromisu. Nieuchronne są konflikty, potrzebne są polemiki i dyskusje. Lecz stała obecność w naszym życiu idei, które umożliwiły powstanie "Solidarności" jest gwarancją, że społeczeństwo polskie nie podda się, nie zrezygnuje z bycia świadomym podmiotem wydarzeń.

Jan LITYŃSKI

KULTURA, październik 1985

JĘDRZEJ KRAKOWSKI

CZY PRL POWINNA ZOSTAĆ CZŁONKIEM MFW?

O d r e d a k c j i

Artykuł prof. J. Krakowskiego, który zamieszczamy poniżej, jest napisany z pełną znajomością przedmiotu, którego dotyczy i z rzetelną troską o los gospodarki kraju i narodu. *Kultura*, która drukowała artykuły przeciwne poglądom prof. Krakowskiego - który na tytułowe pytanie daje odpowiedź twierdzącą - nie rości sobie pretensji do posiadania słusznzych poglądów na wszystko i zamieszczając artykuł prof. Krakowskiego, chętnie otworzy swe łamy dla dalszej dyskusji na ten temat. Ale - jakkolwiek od opublikowania artykułu prof. Krakowskiego w *Kulturze* do ewentualnego przyjęcia PRL do Funduszu droga jest daleka, a od przyjęcia do udzielenia znaczącej pomocy dolarowej jeszcze dalsza - już dziś należy postawić pewne pytania, aby sprawa została należycie oświetlona ze wszystkich stron.

A więc czy rzeczywiście zastrzyk kapitału zagranicznego potrzebny jest gospodarce PRL na restrukturyzację? - jak pisze prof. Krakowski. Wątpliwości w tej sprawie wynikają stąd, że rząd PRL mógłby taką restrukturyzację przeprowadzić w dużym stopniu przy pomocy krajowych środków, co zresztą obiecuje od pięciu lat. Zamiast tego jednak lokuje podstawową część środków inwestycyjnych w kontynuowanie inwestycji z okresu gierkowskiego, przez co blokuje wszelkie głębsze przemiany strukturalne, czekając, żeby zostały one sfinansowane przez pożyczki zagraniczne. To jednak wydaje się mało możliwe, jeżeli będzie kontynuowany program reprodukcji dotychczasowej struktury gospodarki. Przy obecnej polityce gospodarczej w Polsce występuje bowiem deficyt siły roboczej, w niektórych branżach tak ostry, że to brak ludzi a nie brak surowców stanowi często najwęższe gardło w produkcji i powoduje, że istniejące maszyny i urządzenia pracują tylko na jedną zmianę. Z kim ma więc pracować zagraniczny kapitał w postaci surowców i maszyn, jeśli nie ma wolnej siły roboczej, jeśli wszyscy, którzy mogli być zatrudnieni, pracują przy kontynuowaniu produkcji o dotychczasowej strukturze, a reforma gospodarcza, która miała spowodować zwolnienie nadwyżek siły roboczej nie dała wyników? Napływowi kapitału zagranicznego w tym stanie rzeczy grozi, że znów ugrzęźnie w konsumpcji lub niedokończonych inwestycjach i zamiast poprawić naszą sytuację, jeszcze ją pogorszy.

Pytanie drugie. Czy prof. Krakowski rzeczywiście sądzi, że gospodarka typu PRL może kiedykolwiek spełnić warunek drugi - wymienniealność waluty i warunek trzeci - stosowanie jednolitego kursu? Z istoty centralnego planowania wynika, że jest to niemożliwe ani teraz, ani nigdy, i zapewnienia władz PRL w tej sprawie nie zastępują na to, by je brać poważnie. Zresztą gdy MFW przyjmował Węgry i Rumunię do swej instytucji, również nie mógł tych warunków traktować na serio - jeżeli jego dyrekcja cokolwiek rozumiała z gospodarki centralnie planowanej. Należy zatem powiedzieć, że Fundusz musi po prostu odstąpić od tych warunków i nie robić tutaj czytelnikom /i Funduszowi/ żadnych nadziei.

I trzecia sprawa. Czy rzeczywiście trzeba się godzić /to znaczy, czy MFW powinien się godzić - jak to twierdzi prof. Krakowski/ na utrzymanie kontroli cen i rozdzielnictwa surowców? Autor uważa, że przeszkodą w niezwłocznym uruchomieniu mechanizmu rynkowego jest głębokie nierównoważenie gospodarki i że wobec tego MFW powinien żądać tylko ograniczenia do niezbędnego minimum rządowych programów operacyjnych i rozdzielnictwa surowców. Ale przecież takie stanowisko pokrywa się całkowicie z uzasadnieniami rządu PRL jego obecnej polityki i prowadzi do utrzymania *status quo*. Przecież rządowe programy operacyjne i centralne rozdzielnictwo surowców /a także dewiz/ zawsze było ograniczane do niezbędnego minimum. Poza tym argument, iż nie można wprowadzić mechanizmu rynkowego z powodu nierównoważenia gospodarki jest niesłuszny ekonomicznie. Właśnie dla zrównoważenia gospodarki trzeba wprowadzić mechanizm rynkowy, który natychmiast zapewni równowagę.

Wreszcie ostatni problem, który wymaga wyjaśnienia. Prof. Krakowski domaga się w imieniu Funduszu wprowadzenia "przejrzystych zasad zakupu dewiz". Wprowadza to czytelnika /a może i Fundusz/ w błąd, sugerując mianowicie, jakoby w Polsce istniał zakup dewiz, a jedynie jego zasady były nieprzejrzyste. Tymczasem prawda jest taka, że w PRL w ogóle nie ma żadnego zakupu /i sprzedaży/ dewiz, tylko są przydziały importérom /na podstawie centralnego planu importu/ i rekwizycja od eksporterów. Trzeba więc wprowadzić nie przejrzystość zasad, ale sam obrót dewizami.

A teraz zapraszamy Czytelnika do zapoznania się z artykułem.



Sprawa przyjęcia PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego wzbudza zrozumiałe zainteresowanie. Jest ona jednak powodem licznych nieporozumień, wynikających - jak się zdaje - głównie z nieznamomości funkcjonowania tej instytucji. Chodzi o nowe kredyty. Gospodarce polskiej są one bardzo potrzebne. MFW może ich udzielić. Obawa, że zostaną one zmarnowane przez władze PRL jest w pełni uzasadniona, lecz w członkostwie MFW kryją się także pewne szanse na uzdrowienie gospodarki polskiej.

Dlaczego Polsce niezbędne są nowe kredyty?

Według oficjalnych danych zadłużenie PRL w walutach wymienialnych wyniosło pod koniec 1984 roku 26,8 mld dolarów. Wartość eksportu na Zachód w tym samym roku wynosiła 5,7 mld dolarów, a importu z Zachodu 4,34 mld dolarów. W roku 1983 bilans płatniczy PRL wykazał nadwyżkę około 1,5 mld dolarów, a w 1984 prawdopodobnie około 1.8 mld. To grubo za mało, by powstrzymać wzrost zadłużenia. Przy obecnej wysokości długu same odsetki od niego sięgają przypuszczalnie 2,8-3 mld dolarów. A zatem by powstrzymać wzrost zadłużenia, trzeba by mieć nadwyżkę bilansu płatniczego w wysokości co najmniej o potęgę wyższą niż w ubiegłym roku.

Jeśli byśmy założyli, że eksport wołnodewizowy będzie wzrastał o 10%, a import tylko o 5%, to nadwyżkę pozwalającą na powstrzymanie wzrostu zadłużenia gospodarka PRL osiągnęłaby za mniej więcej 4-5 lat. Byłoby całkiem nieźle, gdyby to było możliwe. Takie lub podobne założenie jest jednak obecnie zupełnie nierealne.

Już w 1984 roku import z Zachodu do PRL wzrósł bardziej /bo o 13,2%/ niż eksport na Zachód, który wzrósł o 12,4%. Ten wzrost importu przyczynił się znacznie do pięcioprocentowego w 1984 roku, pierwszego od 1978 roku wzrostu produkcji przemysłowej. Cały wzrost importu był przy tym przeznaczony na zaspokojenie potrzeb przemysłu. W latach 1982-1984 zbiory w rolnictwie były wy-

jątkowo dobre. Trzeba więc brać pod uwagę, że spadek produkcji zbóż na skutek wystąpienia mniej sprzyjających warunków atmosferycznych nieuchronnie spowoduje nacisk na zwiększenie importu. Małe są więc szanse na utrzymanie niskiego tempa wzrostu importu, tym bardziej, że import jest wciąż jeszcze około 40% niższy niż w 1979 roku, a zależność wzrostu produkcji od importu - jak wskazują dane z ubiegłego roku - jest bardzo wysoka. Co więcej, niski poziom wzrostu importu praktycznie wyklucza konieczną ekspansję eksportową. Na skutek ograniczenia importu inwestycyjnego gwałtownie wzrasta dekapitalizacja majątku produkcyjnego i pogłębia się zacofanie technologiczne gospodarki polskiej. Wzrost eksportu w latach 1983-1984 był przede wszystkim wynikiem zwiększenia eksportu surowców, a głównie węgla /w 1984 roku eksport węgla wzrósł o 23%, co umożliwił między innymi strajk górników brytyjskich/. Przemysł wydobywczy w Polsce jest jednak na granicy swoich możliwości produkcyjnych i technicznych, a nawet je przekracza, stosując gospodarkę rabunkową. Również prognozy nie wskazują na wzrost popytu na surowce na rynkach światowych. Samo utrzymanie obecnego poziomu eksportu surowców będzie więc trudne. W tej sytuacji utrzymanie wysokiego tempa wzrostu eksportu jest praktycznie niemożliwe, gdyż ze względu na pogarszającą się jakość spada w eksporcie udział maszyn i urządzeń.

Jeśli więc nie nastąpią zasadnicze zmiany w gospodarce, nie przeprowadzi się proeksportowej restrukturyzacji, równocześnie obniżając importochłonność produkcji, a do obu tych celów potrzebny jest mocny zastrzyk zagranicznego kapitału, to zadłużenie będzie rosnąć. Jeśli zaś nowe kredyty przestaną być udzielane, a stare trzeba będzie spłacać, to dojdzie w najbliższym czasie do ponownego zablokowania rozwoju, a może nawet do gwałtownego spadku produkcji, większego jeszcze niż w latach 1979-1982.

Co wtedy? Wybuch gniewu społecznego? Czyli, jak pisze "Obserwator" w nr. 4 *Kultury* naród rozerwie i odrzuci ramy polityczno-ustrojowe, które czynią sytuację gospodarczą Polski nierozwiązalną? Strajki takie jak w Sierpniu? Liczenie na to w najbliższym czasie wzbudzać musi poważne wątpliwości. Nawet gdyby społeczeństwo gotowe było do masowego protestu, to ryzyko krwawej rozprawy z narodem jest dziś zbyt duże. Jaruzelski ma już na rękach krew górników z "Wujka". Wybuch pewnie zmiotłby jego ekipę, tylko kto by sprawował władzę po niej?

Należy więc szukać innego rozwiązania, które może powstrzymać degrengoladę cywilizacyjną Polski. Jeśli bowiem będzie się ona pogłębiać, skutki tego mogą być dla narodu tragiczne. Integracja społeczna stoczy się na najniższy poziom, to znaczy do rodziny zabiegającej o swój elementarny byt biologiczny. Wtedy procesowi sowietyzacji naszego narodu nie będą już w stanie zapobiec poświęcenia w kraju ani gesty za granicą. Jeśli dziś nie można obalić komunistów, to jednak gospodarkę polską trzeba ratować - nawet wtedy, gdyby oznaczało to wzmocnienie ekipy Jaruzelskiego. Jeśli gospodarka będzie rządzona sprawniej nawet przez komunistów, to nie należy się tego obawiać. Politycznie są oni i tak przegrani i mają w sobie życia na tyle tylko, na ile działają aparaty transfuzyjne ze wschodniej strony. Kiedyś przestaną. Chodzi jednak o to, byśmy wtedy sami nie byli chlerławi. Jeśli więc istnieje szansa wymuszenia na nich lepszego rządzenia w wymiarze ekonomiczno-cywilizacyjnym, to trzeba to zrobić. Członkostwo MFW może być dla tego celu wyjątkowo przydatne, a dla ratowania gospodarki polskiej niezbędne. Pod jednym wszakże warunkiem. A mianowicie, że będzie to jedyne możliwe źródło uzyskania przez PRL poważnych kredytów.

Moje rozumowanie opiera się na następujących przesłankach. Ekipa Jaruzelskiego niewątpliwie dobrze orientuje się w sytuacji gospodarczej PRL. Nawet widmo masowych wystąpień jest przez nią brane pod uwagę. Mówił o tym wyraźnie jeden z wicepremierów na konferencji partyjnej w Katowicach na początku tego roku. Muszą oni też zdawać sobie sprawę z tego, że w warunkach pogarszania się poziomu i jakości życia bierny opór społeczeństwa a także demora-

lizacja będą narastały, a ludzie zmęczeni i pozbawieni nadziei będą pracowali coraz gorzej. Wiedzą też dobrze, że w wyniku powtórnego zablokowania procesów rozwojowych, co może nastąpić już w najbliższym czasie, ich ekipa straci także władzę.

Czy sama świadomość tych zagrożeń może skłonić obecne władze PRL do podjęcia rzeczywistych reform i konsekwentnej polityki gospodarczej, wyprowadzającej kraj z kryzysu? Pesymizm w tym względzie jest całkowiec uzasadniony. Władze komunistyczne w Polsce, politycznie zawsze słabe, obawiały się reform gospodarczych, bo oznaczały one rozszerzenie kręgu władzy poza w pełni dyspozycyjny aparat partyjny. Po wydarzeniach lat 1980-1981 początkowe zamierzenia reformatorskie ekipy Jaruzelskiego, dysponującej wyjątkowo wąską bazą społeczną, paraliżowane są perspektywą powszechnego odrodzenia się w wyniku reformy różnych niekontrolowanych przez władze form życia społecznego, które z czasem przerastałyby działania ściśle gospodarcze i wywierałyby nacisk polityczny, którego aparat partyjno-administracyjny nie potrafiłby kontrolować. Ten aparat jest przecież zintegrowany wyłącznie przez obronę swoich interesów grupowych i intelektualnie nie stać go na realizację na niższych szczeblach władzy jakiegokolwiek pozytywnego działania. Posunięcia gospodarcze władz PRL w ostatnim okresie wyraźnie wskazują na odchodzenie od i tak już okrojonej reformy gospodarczej. Propaganda demagogicznie oskarża spekulantów, firmy polonijne a przede wszystkim Zachód i na zapas już nawet MFV za niepowodzenia w polityce gospodarczej.

Ekipa Jaruzelskiego chciałyby ominąć polityczne ryzyko reform, ale to byłoby możliwe tylko w warunkach ustabilizowania gospodarki, powstrzymania spadku stopy życiowej społeczeństwa i uzyskania zdolności do spłacania zagranicznego zadłużenia.

PRL nie otrzymała od państw bloku pomocy w spodziewanej skali. Potrzebne są więc jej nowe kredyty z Zachodu. Bez nich nie da się nawet, jak wskazuje, podtrzymać produkcji na obecnym poziomie. Stąd też zabiegi władz PRL o nowe pożyczki u państw zachodnich, szczególnie zachodnioeuropejskich. Te ostatnie, w niewielkim co prawda zakresie, ale pomocy kredytowej udzielają. W rezultacie zadłużenie PRL wciąż rośnie i szans na jego zahamowanie, a przede wszystkim na zahamowanie degradacji gospodarki polskiej nie widać. Udzielane pożyczki nie są bowiem wystarczające dla strukturalnej przebudowy gospodarki polskiej, a poza tym nie zawierają praktycznie żadnych warunków co do sposobu ich wykorzystania.

Kontynuowanie tego rodzaju polityki nie przyniesie żadnych pozytywnych rezultatów. Dług PRL będzie rósł, a szanse na to, że zachodnie rządy i bankierzy otrzymają z powrotem swoje pieniądze będą maleć. Jeśli zadłużenie PRL będzie wzrastało bez podjęcia w najbliższym czasie zdecydowanych działań uzdrawiających gospodarkę polską, to społeczny koszt zahamowania zadłużenia, który rośnie wraz z wielkością długów, może okazać się nadmierny dla wytrzymałości polskiego społeczeństwa. Wtedy należy się liczyć z tym, że używając przenośni cytowanego już "Obserwatora" - wewnętrzne ciśnienie społeczne będzie w PRL narastać i "jeśli trzeba będzie, to zerwie i odrzuci owe ramy, które czynią życie Polaków nierozwiązalną kwadraturą koła".

Nie wolno jednak lekceważyć poglądu, że konsekwencje takiego wybuchu mogą być dla nas Polaków tragiczne. Dla Zachodu byłoby one politycznie bardzo kosztowne. Jeśli więc państwa zachodnie chcą ominąć tego rodzaju perspektywę, a równocześnie odzyskać pożyczone pieniądze, to powinny kategorycznie odmówić rządowi PRL dalszych wątpliwych pożyczek, ale równocześnie spowodować, by MFV mógł zaferować pomoc w wystarczającej skali, aby dobrze zaprojektowana i wyekskwowana polityka zdrowienia gospodarki przyniosła trwałą poprawę. Wtedy ekipa Jaruzelskiego, mając do wyboru polityczne samobójstwo w wyniku nowej wielkiej fali kryzysu gospodarczego lub utrzymanie się przy władzy dzięki kredytom MFV, może zaakceptować postawione warunki udzielenia tych kredytów. Doświadczenie uczy nas wszakże - i znalazło to swój mocny wyraz

w postulatach wobec MFW formułowanych w kraju - że kontrola nad wykorzystaniem pomocy Zachodu musi być pełna. Inaczej umocni ona tylko aktualną ekipę władzy - chociażby tylko na krótko - a społeczeństwu pożytku nie przyniesie żadnego. Czy MFW może zapewnić sobie gwarancje dobrego wykorzystania swojej pomocy? Odpowiedź na to pytanie rozstrzyga kwestię tytułową.

Funkcjonowanie MFW

Przystępując do MFW, państwo zobowiązuje się do: 1. udzielania Funduszowi najważniejszych informacji o jego gospodarce, 2. znoszenia ograniczeń płatniczych czyli wprowadzania wymieniałości swojej waluty w zakresie transakcji bieżących, 3. stosowania jednolitego kursu walutowego, 4. unikania dwustronnych umów płatniczych.

Trzy ostatnie wymogi mogą być osiąmane stopniowo. Dwa ostatnie oznaczają zobowiązanie do niedyskryminacyjnego traktowania innych członków Funduszu. Pominęliśmy kilka innych zobowiązań, które z punktu widzenia celu tego artykułu są mniej istotne.

Decyzja o przyznaniu członkostwa nie zawiera żadnych warunków wstępnych. przyjmuje się po prostu, że państwo przystępujące do Funduszu będzie wypełniało zobowiązania zawarte w Umowie o MFW. Decyzje te określają natomiast wysokość udziału członkowskiego od którego zależy ilość grosów jakimi członkowie dysponować będzie w Funduszu oraz wysokość pomocy finansowej, jakiej może się od Funduszu spodziewać. Część tego udziału, określana jako transza rezerwowa, wpłacana jest w walutach wymiennalnych /obecnie około 20% udziału/ a reszta w walucie własnej.

Rolą Funduszu jest między innymi nadzorowanie wypełniania przez członków ich zobowiązań oraz ułatwianie przystosowania ich gospodarki do wymogów MFW. Temu właśnie służy mechanizm pomocy finansowej, jaką Fundusz może udzielać państwom członkowskim. Celem tej pomocy jest umożliwienie poprawy sytuacji płatniczej bez uciekania się do wprowadzania ograniczeń płatniczych. Pomoc finansowa Funduszu może być też przeznaczona na wsparcie polityki znoszenia praktyk restrykcyjnych. Technicznie pomoc polega na tym, że Fundusz sprzedaje państwu członkowskiemu potrzebne mu waluty obce za jego własną walutę. Po pewnym czasie waluta własna członka podlega odkupowi. Jest to więc rodzaj kredytu.

Pomoc finansową MFW można podzielić na: bezwarunkową, słabo uwarunkowaną i silnie uwarunkowaną.

Pomoc bezwarunkowa to właśnie wspomniana wyżej transza rezerwowa, którą można podjąć z Funduszu nawet natychmiast po jej wpłaceniu. Wystarczy stwierdzenie potrzeby ze względów płatniczych. Użycie tej transzy jest bezpłatne. Do pomocy bezwarunkowej należy też zaliczyć otrzymywane od MFW tak zwane Specjalne Prawa Ciągnięcia /SDR-y/, przydzielane członkom, gdy Fundusz uzna, że wskazane jest globalne uzupełnienie rezerw walutowych.

Pomoc słabo uwarunkowana to tak zwana pierwsza transza kredytowa, czyli zakup w Funduszu za walutę własną walut wymiennalnych innych państw do wysokości 25% udziału członkowskiego, oraz dwa inne udogodnienia finansowe - uruchamiane, gdy trudności płatnicze członka powstały na skutek przyczyn od niego niezależnych. Łącznie, w ramach tego rodzaju pomocy, można uzyskać w Funduszu dewizy obce w wysokości równej 175% udziału członkowskiego. Obecnie opłata za korzystanie z tych udogodnień i pierwszej transzy kredytowej wynosi 7% rocznie. Uruchamiając środki w ramach pomocy słabo uwarunkowanej Fundusz może postawić pewne warunki wstępne, lecz w zasadzie wystarczy tylko udokumentowanie potrzeby i wyjaśnienie przyczyn wystąpienia trudności płatniczych oraz zobowiązanie podjęcia kroków przywracających równowagę płatniczą.

Pomoc silnie uwarunkowana może być bardzo znaczna, bo obecnie aż do wysokości równej 450% udziału członkowskiego, nie licząc wykorzystanych udogodnień słabo uwarunkowanych. Terminy jej spłat są dogodne, bo rozłożone na okres rozpoczynający się w trzy lata lub cztery i pół roku po dokonaniu zakupów walut obcych w Funduszu i trwający od 7 do 10 lat. Część tej pomocy udzielana jest ze środków pożyczanych przez Fundusz. Dlatego jest ona droższa niż pomoc słabo uwarunkowana, ale wciąż jej koszty są zdecydowanie niższe niż koszt pożyczek na rynkach prywatnych. Przy rzeczywiste dużych sumach zakupów obcych dewiz w Funduszu może to mieć istotne znaczenie.

Pomoc w ramach udogodnień silnie uwarunkowanych udzielana jest wyłącznie jako poparcie finansowe konkretnego programu uzdrowienia gospodarki. Tylko po przedstawieniu takiego programu, bardzo szczegółowo negocjowanego z Funduszem, wniosek o przyznanie pomocy jest przez Fundusz rozpatrywany. Decyzja Funduszu o udzieleniu pomocy zawierać musi nie tylko warunki jej udzielenia, ale także terminy kolejnych rat pomocy oraz kryteria realizacyjne */performance criteria/* zastosowanej polityki gospodarczej, czyli przedstawionego przez zainteresowany rząd programu uzdrowienia gospodarki. Kryteria realizacyjne są w praktyce raczej "warunkami ograniczającymi" stosowanej polityki gospodarczej niż miernikami jej sukcesu. Miernikiem takim jest z reguły poprawa sytuacji płatniczej. Każda następna rata pomocy uruchamiana jest wyłącznie wtedy, gdy Fundusz uzna na podstawie wcześniej uzgodnionych i zawartych w decyzji o przyznaniu pomocy kryteriów, że program uzdrawiania gospodarki jest rzeczywiście realizowany.

Przed uwarunkowaniem każdego w zasadzie rodzaju pomocy dla państwa członkowskiego MFW może uzależnić ją od stopnia wypełniania przez to państwo ogólnych zobowiązań członkowskich, które wyżej wymieniliśmy, a więc także od sposobu zarządzania gospodarką w zakresie, jaki podlega jurysdykcji Funduszu.

Uwarunkowanie pomocy finansowej */conditionality/* Funduszu można zatem zdefiniować jako sposób powiązania tej pomocy z realizacją zobowiązań członkowskich i celów MFW.

Zasady przyznawania pomocy przez MFW wskazują więc na to, że Fundusz posiada szerokie możliwości kontroli wykorzystania udzielonej członkom pomocy finansowej. Czy jednak pomoc ta może być wystarczająca, a kontrola skuteczna w odniesieniu do państw, których system ekonomiczny jest notorycznie niesprawny i całkowicie niespójny z wymogami MFW?

Rumunia w MFW

Chodzi tu oczywiście o gospodarki kierowane w oparciu o scentralizowany system planowania nakazowo-rozdziałczego. System taki nie pozwala na wypełnianie podstawowych zobowiązań członkowskich MFW. Ceny i kursy w tym systemie są sztuczne, dyskryminacja handlowa i płatnicza jest powszechna, a jej stopnia nie da się nawet zmierzyć. Do tego jakość publikowanych materiałów statystycznych marna, a tajność informacji ekonomicznej nadmierna.

W 1972 roku przyjęto jednak do MFW Rumunię, której system ekonomiczny był w tym czasie - i, jak się okaże, pozostał - typowym stalinowskim systemem centralnego planowania.

Fundusz stoi jednak na stanowisku uniwersalizmu i można przypuszczać, że motywem przyjmowania państw o gospodarce nakazowo-rozdziałczej jest między innymi właśnie opcja, jaką stwarza członkostwo Funduszu, który może poprzeć reformy swoimi zasobami.

W stosunku do Rumunii to założenie okazało się złudne. Do 1980 roku Rumunia nie publikowała nawet wymaganych informacji ekonomicznych. Udzielała

ich poufnie Funduszowi, ale w rzetelność tych informacji można wątpić. Zmiany w systemie zarządzania rumuńską gospodarką w latach 1972-1979 były mało istotne, a nawet tylko pozorne. W końcu lat 70-tych ujawnił się krach gospodarki rumuńskiej - nie mniejszy niż gospodarki PRL i spowodowany podobnymi przyczynami.

Dopiero w krytycznej sytuacji w 1981 roku - kiedy to Rumunia nie była w stanie spłacać swego zadłużenia - przedstawiła Funduszowi skorygowaną wersję planu na lata 1981-1985 wraz z zamierzoną reformą cen i kursów jako program, na podstawie którego uzyskała zgodę MFN na pomoc w wysokości 1.100 mln SDR, czyli 300% swego ówczesnego udziału.

W następnych latach władze rumuńskie drastycznie ograniczyły konsumpcję, środkami administracyjnymi zmniejszyły import, wyłączyły z produkcji wiele gałęzi, produkcja poważnie spadła, lecz wyduszono nadwyżki płatnicze, pozwalające terminowo spłacać zagraniczne długi. Wtedy władze rumuńskie wycofały się z reform. W związku z tym nie wykorzystaty też ostatniej raty pomocy przewidzianej decyzją MFN na 1984 rok /288 mln SDR/. Na ostatnim zjeździe partyjnym podkreślono, że nie należy spodziewać się żadnej "decentralizacji" gospodarki rumuńskiej, gdyż spowodowałoby to tylko chaos ekonomiczny. Być może jest to słuszna opinia w obecnej gospodarczej sytuacji tego kraju. Ale co będzie później?

Z punktu widzenia samego MFN pomoc finansowa MFN dla Rumunii okazała się nie całkiem zmarnowana, gdyż niewątpliwie pomogła ona Rumunii zlikwidować zaległości w spłaceniu kredytów. Fundusz jako strażnik międzynarodowych stosunków walutowych i finansowych musi dbać także o sprawne funkcjonowanie międzynarodowego systemu kredytowego.

Jednak z punktu widzenia, który nas tu przede wszystkim interesuje - a mianowicie wpływu Funduszu na przebudowę struktury gospodarczej i zreformowanie systemu zarządzania gospodarką w PRL po uzyskaniu członkostwa - ocena skutków pomocy MFN dla Rumunii nie jest zachęcająca. Oczywiście naiwnością byłoby sądzić, że decyzje kredytowe MFN nie są motywowane politycznie. Na decyzje te mają największy wpływ te państwa, których waluty są przez Fundusz udostępniane innym, czyli przede wszystkim Stany Zjednoczone i ich najważniejsi sojusznicy. Otwarte zażalenie się gospodarki rumuńskiej mogło na przykład zdaniem tych państw zmienić zagraniczną politykę państwa "socjalizmu w jednej rodzinie", stąd też i warunki pomocy Funduszu dla Rumunii mogły być mniej kategoryczne jeśli chodzi o system zarządzania niż te, jakie Fundusz może i powinien stawiać PRL.

Władze PRL nie są - jak się wydaje - w stanie sięgnąć po "rozwiązanie" rumuńskie, czyli zwiększone jeszcze represje i dalszą pauperyzację społeczeństwa. Zadłużenie PRL jest trzykrotnie wyższe niż Rumunii i pomoc finansowa umożliwiająca tylko spłatę zobowiązań zagranicznych w najbliższych latach nie przyniesie żadnego trwałego rozwiązania problemu długów PRL. Zagrożenie bankrutem /to znaczy niewypłacalnością/ PRL, ze wszystkimi groźnymi skutkami tego także dla międzynarodowego systemu kredytowego, zostanie, bez uruchomienia procesów rozwojowych w Polsce, przesunięte w czasie, ale nie zlikwidowane. Warunki udzielenia pomocy ze strony MFN muszą więc być oparte na tych przesłankach.

PRL w MFN

Przypuszczalny udział członkowski PRL w MFN wyniesie około 1,2 mld SDR. Praktycznie oznacza to, że PRL będzie mogła uzyskać w Funduszu pomoc słabo uwarunkowaną, w przybliżeniu w wysokości 300 mln dolarów, a w przypadku wydarzeń pogarszających bilans płatniczy lecz niezależnych od władz PRL /jak na przykład wyższość cen importowanego zboża lub obniżenie eksportu na skutek

powodzi itp./, jeszcze dodatkowo - w ramach tak zwanych udogodnień kompensacyjnych - sumę zbliżoną do poniesionych strat.

Pomoc silnie uwarunkowana teoretycznie, przy wyżej wymienionym udziale członkowskim, mogłaby osiągnąć kwotę 5,4 mld SDR czyli obecnie mniej więcej tyle samo w dolarach amerykańskich. Środki w ramach tej pomocy - jak już wiemy - byłyby udostępniane w ratach w ciągu 3 lat. Przy czym każda kolejna rata uruchomiana byłaby tylko po stwierdzeniu przez MFV, że przedstawiony program uzdrowienia gospodarki jest realizowany. Spłata tej pomocy następowałaby w okresie 7 do 10 lat rozpoczynającym się w 3 lub 4 i pół lat po jej otrzymaniu.

Fundusz nie określił, jak dotąd, swej polityki wobec państw członkowskich o gospodarce centralnie kierowanej. Można więc - znając ogólne zasady udzielania przez Fundusz pomocy oraz swoistą sytuację gospodarki polskiej - sformułować z pewną swobodą sugestie dotyczące warunków udzielania przez Fundusz pomocy finansowej dla PRL.

Po przystąpieniu do MFV i po wpłacie udziału członkowskiego PRL należy się spodziewać niemal natychmiastowego wykorzystania transzy rezerwowej. To nie jest jednak faktycznie pomoc Funduszu, gdyż chodzi tu o kwotę w walutach wymiennalnych wpłaconą przez członka w tych walutach. Niewątpliwie PRL chciałaby też uzyskać jak najszybciej pomoc w ramach pierwszej transzy kredytowej, czyli pomoc słabo uwarunkowaną. W tym przypadku Fundusz powinien jednak swoją pozytywną decyzję wstępnie uzależnić od wypełnienia przez PRL jednego z podstawowych ogólnych obowiązków członkowskich, a mianowicie przekazania Funduszowi informacji wymaganych przepisami Umowy o MFV.

Należy przypuszczać, że MFV negocjując przystąpienie PRL do MFV zażądał szczegółowych danych dotyczących sytuacji płatniczej, struktury handlu zagranicznego oraz opisu systemu planowania i zarządzania w szczególności w sferze stosunków ekonomicznych z zagranicą. Te właśnie informacje winny być Funduszowi udostępnione na podstawie art. VIII dział 5 Umowy o MFV. Bez publikowania takich informacji międzynarodowa współpraca finansowa nie jest w ogóle możliwa. Bez takich informacji Fundusz nie może przeprowadzić rzetelnej analizy sytuacji gospodarczej państwa członkowskiego, zwracającego się o pomoc, ani ustalić właściwych warunków tej pomocy. By uniknąć nieporozumień, musimy od razu zwrócić uwagę, że państwo członkowskie nie jest zobowiązane do udzielania MFV informacji dotyczących poszczególnych przedsięwzięć, to znaczy na przykład opłacalności ich produkcji, zamierzeń rozwojowych itp. MFV bez upoważnienia państwa członkowskiego nie może też publikować udostępnionych mu materiałów, dotyczących zamierzonych zasadniczych zmian strukturalnych w gospodarce członka, chociaż oczywiście musi być o nich informowany.

Z różnych wypowiedzi nieoficjalnych wynika, że sprawa udostępnienia przez PRL Funduszowi odpowiednich informacji jest w dalszym ciągu przedmiotem negocjacji. Otóż PRL publikuje od 1981 roku bilans płatniczy, lecz nie publikuje danych dotyczących rezerw walutowych, struktury zadłużenia, wysokości należnego oprocentowania za otrzymane i refinansowane kredyty. Te informacje powinny być ujawnione. Ze względu na niejednołitość cen i rozliczeń władze PRL powinny też publikować odrębnie bilans płatniczy w walutach wymiennalnych, w walutach niewymiennalnych i w złotych. Nie można oczywiście liczyć na to, że PRL udostępni szczegółowe dane dotyczące stosunków z ZSSR i innymi krajami bloku. To powodować będzie utrudnienia w analizowaniu zmian zachodzących w gospodarce. Niemniej i bez tych informacji, na podstawie danych dotyczących produkcji i wymiany z Zachodem, można stosunkowo dobrze oszacować efekty stosowanej polityki gospodarczej, którą MFV poprzez swoimi zasobami.

Zła jakość lub niekompletność danych statystycznych nie wyczerpuje jednak sprawy informacji o gospodarce PRL, jakie MFV powinien otrzymać. Równie

ważny jest pełny opis istniejącego systemu zarządzania gospodarką oraz wszystkich wprowadzanych do niego zmian. Najważniejsze z punktu widzenia przepisów MFW jest tu stwierdzenie zakresu i sposobu subwencjonowania eksportu i importu oraz faktycznego różnicowania kursu walutowego. Stosowanie bowiem tego rodzaju praktyk powoduje dyskryminację płatniczą innych członków MFW, co jest sprzeczne ze zobowiązaniami członkowskimi Funduszu.

Należy więc postulować, aby jeśli już nie przed przyjęciem PRL do MFW, to na pewno przed zgodą Funduszu na podjęcie operacji na rzecz PRL - Fundusz dysponował wystarczającymi informacjami dla opublikowania specjalnego raportu wszechstronnie przedstawiającego gospodarkę PRL. Jest precedens tego postulat. Otóż MFW opublikował szczegółowy raport dotyczący gospodarki węgierskiej tuż przed przyjęciem Węgier do Funduszu /P. de Fontnay i in., *Hungary: An Economic Survey, IMF occasional Paper* Nr 15, IMF, 1982/.

Dopiero po uzyskaniu opinii na temat tego raportu od niezależnych ekonomistów polskich oraz po jego ewentualnym uzupełnieniu Fundusz mógłby przyznać PRL prawo do ubiegania się o pomoc słabo uwarunkowaną.

Przejdźmy teraz do zasad udzielania pomocy silnie uwarunkowanej. To jest sprawa kluczowa, gdyż z jej uruchomieniem wiążemy nadzieje na podjęcie reform oraz strukturalnych przekształceń w gospodarce polskiej.

Podniesione muszą być tu dwie kwestie. Pierwsza dotyczy wstępnych warunków uruchomienia takiej pomocy, druga - konstrukcji kryteriów oceny polityki gospodarczej, którymi Fundusz powinien posługiwać się udzielając PRL dużej pomocy finansowej. Zarówno wstępne warunki udzielenia pomocy silnie uwarunkowanej jak i kryteria realizacyjne powinny być oparte na następującej przesłance: tak zwane częściowe reformy systemu nakazowo-rozdzielczego, to jest wprowadzanie nowych elementów zarządzania przy utrzymaniu centralnego nakazowego charakteru planowania, są nieskuteczne, to znaczy nie prowadzą do trwałego przekształcenia systemu zarządzania gospodarką w sposób przybliżający ten system do wymogów wynikających z Umowy o MFW.

Reforma skuteczna z tego punktu widzenia musi mieć odpowiednią "masę krytyczną", a konkretnie jej podstawą musi być obalenie nakazowego centralnego planowania i w konsekwencji tego uruchomienie mechanizmów rynkowych.

Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę obecne realia gospodarki polskiej, to natychmiastowe uruchomienie mechanizmu rynkowego w pełnej skali /choć bez rynku kapitałowego/ nie wydaje się możliwe. Przeszkodą są: głębokie nierównoważenie gospodarki, nadmierna koncentracja produkcji, wysoki stopień monopolizacji oraz słabość sektora eksportowego, co ogranicza możliwość wykorzystania importu konkurencyjnego dla oddziaływania na kształtowanie się cen krajowych i poprawę struktury produkcji.

Trzeba więc założyć konieczność utrzymania w pewnym okresie kontroli niektórych cen, a nawet częściowego rozdzielnictwa surowców i materiałów, na przykład dla utrzymania produkcji ważnej ze względów społecznych. Uwzględniając wszystkie te okoliczności, wstępnym warunkiem przynajmniej przez MFW dużej pomocy PRL powinno być przeprowadzenie następujących zmian w systemie zarządzania:

- ograniczenie do niezbędnego minimum tak zwanych rządowych programów operacyjnych i związanego z nimi rozdzielnictwa surowców i materiałów, gdyż stanowi to ukrytą formę nakazowego planowania oraz deformuje ceny,
- ograniczenie do niezbędnego minimum kontroli cen i szerokie powiązanie ich za pomocą jednolitego kursu z cenami wolnodelewizowymi handlu zagranicznego /na przykład według zasad węgierskich/,
- określenie przejrzystych zasad zakupu dewiz,
- wprowadzenie przejrzystych i zgodnych z wymogami GATT i MFW reguł subwencjonowania eksportu i importu.

Dopiero po spełnieniu tych warunków Fundusz powinien negocjować z PRL kształt programu gospodarczego, który mógłby być poparty dużą pomocą Funduszu.

Nim przejdziemy do przedstawienia zarysu takiego programu, musimy jeszcze zauważyć, że wymienione warunki wstępne udzielenia pomocy nie wyczerpują kwestii systemowych, jakie powinny być zawarte w decyzji Funduszu o uruchomieniu dużej pomocy dla PRL.

Jeśli bowiem założyliśmy konieczność utrzymania na okres przejściowy pewnego zakresu centralnej bezpośredniej regulacji, to pozostaje sprawa jej znoszenia. Kwestie dotyczące sfery regulacyjnej powinny zatem znaleźć się także wśród kryteriów realizacyjnych, od których wypełnienia zależeć będzie uruchamianie kolejnych rat pomocy Funduszu. Należałoby przyjąć co najmniej dwa takie kryteria:

- likwidację programów operacyjnych,
- znoszenie kontroli cen.

Pomoc jest rozkładana na trzy lata. Wypełnianie zaproponowanych kryteriów realizacyjnych mogłoby być warunkiem uruchomienia pomocy w drugim i trzecim roku.

Dla uzyskania dużej pomocy finansowej z Funduszu nie wystarczy przedstawienie samych tylko zmian systemowych. Pomoc musi być uzasadniona programem uzdrowienia sfery realnej w gospodarce. Należy zatem sformułować cel takiego programu oraz wskazać, jakie kryteria realizacyjne dotyczące sfery realnej w gospodarce powinien Fundusz przyjąć w swojej decyzji o udzieleniu pomocy dla PRL na podstawie tego programu.

Zasadniczym celem programu uzdrowienia gospodarki polskiej powinna być poprawa pozycji płatniczej, przede wszystkim przez uruchomienie trwałego procesu wzrostu eksportu. Celami komplementarnymi, umożliwiającymi realizację celu głównego, powinny być: obniżenie materiałochłonności i energochłonności produkcji, obniżenie kapitałochłonności wzrostu gospodarczego oraz uzyskanie równowagi gospodarczej - szczególnie na rynku konsumpcyjnym, co pozwoli na uruchomienie silnego systemu motywacyjnego. Osiągnięcie tych wszystkich celów możliwe będzie tylko wówczas, gdy nastąpią zasadnicze przekształcenia strukturalne w gospodarce polskiej. W obecnych warunkach polskich, jak uczy doświadczenie, daleko idące przekształcenia strukturalne można uruchomić gdy rozdziiał zasobów produkcyjnych dokonywać się będzie w decydującym stopniu na rynku. Tylko wtedy zasoby trafią do tych producentów, którzy potrafią je najefektywniej spożytkować. Stąd też w sferze realnej za kryterium realizacyjne w kolejnych latach uzgodnionego programu Fundusz przyjąć powinien górny pułap wydatków inwestycyjnych budżetu centralnego. I równocześnie określić górny pułap ekspansji kredytowej banków. Takie kryteria mogą spowodować, że inwestycje nie będą nadmierne, a ich struktura powinna zdecydowanie się polepszać. Nadwyżka bilansu handlowego, a ta przez wiele lat będzie w Polsce konieczna, jest inflacjogenna. Równocześnie dla pobudzenia wzrostu wydajności pracy potrzebny jest wzrost dochodów. Tworzenie dobrego rynku, silny wzrost produkcji i usług konsumpcyjnych staje się więc koniecznością. By wyegzekwować zmiany strukturalne umożliwiające równowagę na rynku konsumpcyjnym, Fundusz powinien przyjąć dodatkowo *specjalnie w tym celu skonstruowane kryteria realizacyjne.*

Duże możliwości poprawy sytuacji płatniczej PRL kryją się w zwiększeniu produkcji rolniczej. Polska powinna stać się eksporterem netto żywności i uzyskiwać z tego tytułu spore nadwyżki. Negocjując program gospodarczy z PRL, Fundusz może więc uzależnić przyznanie pomocy także od odpowiednio dużego udziału nakładów na rolnictwo i produkcji związanej z rolnictwem w całości nakładów. I w tym właśnie sensie, pośrednio, MFW może wpływać na skierowanie części swojej pomocy dla potrzeb rolniczych PRL na rolnictwo i produkcję

miejscu trzeba też zauważyć, że członkostwo MFW umożliwia przystąpienie do Banku Światowego. Bank ten finansuje konkretne projekty inwestycyjne. Można się spodziewać, że w przypadku Polski Bank Światowy mógłby partycypować właśnie w inwestycjach rolniczych. Spraw związanych z uczestnictwem w Banku Światowym nie będziemy jednak rozwijać ze względu na i tak już zbyt duże rozmiary tego artykułu.

Ostatnią kwestią jest faktyczna wielkość pomocy, jaką PRL mogłaby otrzymać z MFW. Potrzeby uzdrowienia gospodarki PRL wymagają wielkich środków, ale wielkie są także obawy co do woli i zdolności właściwego wykorzystania pomocy Funduszu przez władze PRL. Dlatego też należałoby postulować aby - w przypadku zgody władz PRL na przyjęcie zbliżonych do przedstawionych wyżej zasad i warunków udzielenia pomocy - Fundusz podjął decyzję gotowości udzielenia pomocy PRL w wysokości współmiernej do potrzeb, ale zarazem umożliwiającej sprawowanie skutecznej kontroli nad sposobem spożytkowania tej pomocy. Początkowo mogłaby być to kwota na przykład 2 mld SDR rozłożona na roczne raty. Gdyby zaś realizacja przyjętych celów była sprawna i kryteria realizacyjne spełniane, to już w drugim czy w trzecim roku obowiązującego programu Fundusz mógłby zgodzić się na negocjacje następnej pomocy. Wówczas już łącznie do wysokości górnego limitu, czyli przypuszczalnie 5,4 mld SDR.



Propozycje zawarte w tym artykule nie wyczerpują oczywiście wszystkich problemów związanych z negocjowaniem pomocy MFW dla gospodarki polskiej, by była ona skuteczna i korzystna dla polskiego społeczeństwa. Jednak zarówno przedstawiony mechanizm udzielania pomocy przez MFW jak i zaproponowany w oparciu o jego znajomość zarys możliwych do postawienia warunków pomocy Funduszu dla gospodarki polskiej wyraźnie wskazują, że Fundusz jest w stanie zagwarantować właściwe wykorzystanie udzielonej pomocy. Przyznanie członkostwa PRL należy zatem poprzeć. Tym bardziej, że samo jego uzyskanie nie daje władzom PRL jeszcze żadnego atutu, tworzy natomiast potencjalne szanse rozwiązania spraw, które dzisiaj należy uznać za najważniejsze. Oczywiście tylko wtedy, gdy polityka MFW wobec PRL będzie oparta o przesłanki zbliżone do tych, jakie tu postulujemy.

Nie można jednak wykluczyć, że MFW potraktuje sprawę pomocy dla Polski głównie jako potrzebę doraźnych interwencji utratujących spłacanie choćby tylko części wcześniej zaciągniętych przez władze PRL kredytów. Takie stanowisko będzie prawdopodobne, gdyby niewywiązywanie się z zaciągniętych zobowiązań groziło poważniejszymi zaburzeniami międzynarodowego systemu bankowego lub mogło spowodować niechciane przez Zachód napięcia polityczne.

Złudzeniem może się też okazać nadzieja na to, że obecne władze PRL są zdolne do przeprowadzenia koniecznych reform gospodarczych i wykażą wolę ratowania polskiej gospodarki, czyli przyszłości polskiego narodu.

Jędrzej KRAKOWSKI

Canberra, czerwiec 1985

Artykuł drukujemy bez wiedzy i zgody Autora i w wersji skróconej -
R e d a k c j a.

KULTURA, grudzień 1985

N.N. z Warszawy

Z REFLEKSJI O NACJONALIZMIE

Myślę, że to nasze zapatrzenie w Polskę, "chorowanie na Polskę", niemożność oderwania od polskiej historii, "sprawy polskiej", polskiego losu - to jednak nie jest "nacjonalizm", przynajmniej w sensie, o który może chodzić w tych rozważaniach.

Nasza дума z "państwa bez stosów", "Mesjasza narodów", "za naszą wolność i waszą", z "nie lękajcie się" Polskiego Papieża i z prostujących się pod białoczerwonym sztandarem litererek-ludzików "Solidarności" - cała ta niekiedy aż bolesna autofascynacja szczególnym polskim istnieniem między narodami, polskim protestem i oporem stawianym światu - wszystko to nie jest "nacjonalizm", ani zgubny, ani zbawienny.

Nacjonalizm - to projekcja własnego zła poza obręb tego co swoje, stworzenie na zewnątrz własnej wspólnoty trwałego stereotypu obcości, w którym materializuje się demoniczny pierwiastek bytu.

Kiedy zacna kobieta, która w życiu muchy nie skrzywdziła, na wiadomość o mordercach spod Torunia, z oczyma pełnymi łez, broni się przed uwierzeniem: to niemożliwe, przecież to Polacy, Polacy nie są zdolni do takiej zbrodni - to jest wariant naiwny, nawet jakoś tam sympatyczny.

Kiedy działacz "Solidarności", jesienią 1981 roku, występując na wiecu twierdzi, ku osłupieniu życzliwych i satysfakcji niezyczliwych obserwatorów, że ci z rządu to nie Polacy, tylko sami Żydzi - to jest w tym rozpaczliwa próba wytłumaczenia sobie, dlaczego nie można się z nimi dogadać "jak Polak z Polakiem", dlaczego brak wspólnego języka czyli wspólnej miary dobra i zła, sensu i nonsensu w sytuacji rozdzierającego kraj Wielkiego Konfliktu.

Tłumaczenie jest opaczne i prymitywne, ale zawiera przecież pierwiastek autentyczny: poczucie, że tamci są obcy, wszystko "nas" z "nimi" dzieli, że możliwość porozumienia była krótkotrwałą iluzją, w o j n a t r w a .

Obcość najłatwiej przeżywać w kategoriach narodowych czy wyznaniowych, sprzyja temu długa tradycja, w dodatku kategorie "klasowe" zostały beznadziejnie skompromitowane przez komunistyczne szalbierstwo.

Oto jednak znakomity adwokat, precyzyjny umysł prawniczy, mówiąc o zbrodni, która wstrząsnęła Polską, formułuje tezę już nie tylko emocjonalną, jak tamta pani, lecz operującą kategorią "korzyści": nie ma w tym kraju takiego odłamu społeczeństwa - powiada - nie ma orientacji politycznej, która mogłaby upatrywać dla siebie korzyść w popełnionym morderstwie. Głosi to po tym, jak przez salę sądową dzień po dniu przewijali się liczni reprezentanci owe-

Odpowiedź na Ankietę "Arki", wydrukowaną w numerze 11 z 1985 roku.

go odłam, owej orientacji, młodzi i starsi, mrukliwi i elokwentni, ale wszyscy do cna załgani, amoralni, drapieżni, prezentujący specyficzną postawę l u d z i p e w n e g o ś w i a t a , o własnych celach, prawach, sprężynach, świata istniejącego w Polsce /na tej sali należą do niego i prokurator, i sędzia, i większość świadków, i oskarżeni/, mocno w niej zakorzenionego i rozrostłego, czemu nie przeczy, oraz - tu mecenas ma świętą rację - "służącego obcym interesom", ale wszak i swoim zarazem, w pewnym najtrywialniejszym sensie - przede wszystkim swoim. Otóż wszyscy ci ludzie jakby nie liczyli się, nie istnieli sami przez się, nie wcielali własnego zła, byli jedynie bezbarwnymi, neutralnymi przewodnikami zła cudzoziemskiego. To, co się stało - stało się w tej wersji jakby poza Polakami, poza Polską, nie naruszając substancji duchowej tego kraju, tego narodu.

Nawiasem mówiąc, zdanie o obcych interesach mogło się bez przeszkód ukazać w kontrolowanych środkach przekazu, ponieważ w swojej ogólności jest doskonale dwuznaczne. O n i też ciągle prawili o obcych interesach, agenturach, działalności "antypolskiej" i o polskiej racji stanu jednoczącej rodaków. Tylko że w skonstruowanej z tych pojęć wizji, od lat /niekiedy nie bez skutku/ narzucanej społeczeństwu, oni właśnie są dobrymi Polakami, ich racja - racją stanu, wystąpienie przeciw nim - antypolską prowokacją, wskazanie zaś na obce interesy dotyczy zgoła innej strony świata niż miał na myśli autor przytoczonego zdania.

Opuśćmy teraz na moment grunt rodzimy i zauważmy, że wcale nie jesteśmy osamotnieni w tym naiwnym lub wyrafinowanym ekspulsowaniu szatana poza obręb własnego bytu. Rosjanie, przez wielu Polaków traktowani jako niemal wyłączni nosiciele zła historycznego w tym miejscu globu, a w szczególności - zła naszego wieku pod tytułem komunizm, nie tylko - co naturalne - nie poczuwają się do takiego garbu, ale wolą, zupełnie jak my, uznać, że nie mają z tym nic wspólnego, że wszystko zostało im narzucone. Narzucone - przez kogo? W publicystyce rosyjskich emigrantów i dysydentów, bardzo dzielnych ludzi, zasłużonych w walce z molochem, zdarzało się, że wyliczano wodzów rewolucji bolszewickiej pod kątem ich "nierosyjskości": Żyd Trocki, Polak Dzierżyński, rozmaici totysze i Osetyni... Mieszaniec Lenin przyjechał robić przewrót w niemieckim zapombowanym wagonie. Takiego wytykania bodajże w końcu poniechano, ale teza, że ZSSR - to nie Rosja, że rok 1917 przerwał ciągłość historyczną i to, co się odąd dzieje na dawnych terenach Imperium nie należy do historii narodu rosyjskiego, toczy się p o z a n a r o d o w ą h i s t o r i ą , ta teza w wydawanych na emigracji książkach i czasopismach zapanowała niemal powszechnie. Towarzyszy jej krzepiąca wiara w odrzucenie systemu przez przytłaczającą większość podbitego narodu; nie wiadomo tylko, kto go podbił, w czym interesie, gdzie znajduje się ta centrala, której okrutne rozkazy wykonywane są przez namiestników; pod tym względem my, Polacy /a także Czesi, Litwini i jeszcze parę narodów/ jesteśmy w lepszej sytuacji - umiemy podać adres centrali.

Nawiasem mówiąc, u źródeł ostracyzmu, któremu w pewnych kręgach swoich rodaków podlega Aleksander Zinowiew, leży, prócz niemiłego, przekornego charakteru tego pisarza, emokowany w jego twórczości obraz społeczeństwa rosyjskiego jako akceptującego sowiecką formę i wypełniającego ją treścią swojej naturalnej egzystencji - ba, ciągnącego określone korzyści z takich właśnie form bytu historycznego Rosjan, jak stalinizm i jego zmodyfikowana, poststalinowska odmiana. Jakkolwiek przejawskrawiony, oparty na hiperboli i paradoksie, pesymistyczny model Zinowiewa wydaje się owocniejszy poznawczo i przydatniejszy praktycznie w świecie sowieckiej dominacji niż sentymentalny model jego oponentów. Rosjan jednak, zwłaszcza eks-więźniów i banitów systemu, można zrozumieć; zdumiewa zgorszenie także nierosyjskich badaczy ZSSR na myśl, że prócz niewinnego ludu i garstki obcych mu władców-ideologów istnieje może w komunizmie potężna warstwa ludzi utożsamiających się z tym co jest, zainteresowanych stabilnością, umocnieniem, przetrwaniem tego, co innym zdaje się nie do zniesienia.

Niestety! historia nie zna przerw, a narody doświadczone historią nie wychodzą z niej niezbrukane. Pierwiastek szatański nie tylko istnieje w dziejach każdego narodu, lecz odciska swe piętno na specyfice ich przebiegu. Albo trochę inaczej: w dziejach różnych narodów /i warstw narodu/ kształtują się i twardnieją matryce pewnych zachowań sytuacyjnych, motywacji, wyborów. Na przykład dla Polski matrycą wystąpienia grupy /warstwa/ uprzywilejowanej przeciw aspiracjom wolnościowym większości jest Targowica. Targowiczanie to też Polacy - gdyby nimi nie byli, wpojone w nas od dziecka pojęcie Targowicy jako synonimu zdrady narodowej nie miałyby sensu - i Targowica, chcemy tego czy nie, należy do historii Polski, nie da się z niej wydrzeć, wszystkie zaś kolejne "Targowice", tych najświeższej daty nie wyłączaając, posłusznie realizują i aktualizują rodzimą matrycę historyczną. "Pruski dryl" - to matryca niemiecka, NRD powieliła ją bez trudności. "Oprycznina", "arackzejewszczyzna" - to matryce /nie jedyne/ despotyzmu rosyjskiego, tak jak ukształtowali je carowie, ich siepacze i wielkorządcy - i nie trzeba się dziwić, że sięgnęła po nie rewolucja, która nie przerwała bynajmniej historii tego kraju, mimo że miała może takie ambicje /oraz złudzenia/ i że odegrali w niej znaczną rolę obcoplemienni wolontariusze, również ulegający iluzjom i nie przeczuwający, że w miarę rozwoju wydarzeń zostaną zmiecieni przez rdzennych arywistów nowego ładu.

Nacjonalizmy nie przyjmują do wiadomości, że w narodowej historii żyją i funkcjonują rozmaite wzorce, wzniosłe i haniebne, świetlane i ciemne, arackzejewszczyzna obok, powiedzmy, dekabryzmu, Targowica przy Trzecim Maju, że historia wciąż na nowo, także naszymi rękami, dokonuje wyboru matryc, miesza je i zderza ze sobą, nie dowolnie, lecz w związku z istnieniem w społeczeństwie różnych warstw i grup, interesów i poglądów, układów i postaw; że niektórymi z tych matryc posługuje się notorycznie pierwiastek zła, destrukcji, fałszu diabelskiego, od którego niewolna jest egzystencja żadnego narodu; że werbalne usunięcie całego zła poza obręb tego co swoje i przypisanie go z ulgą "obcym" nie tylko niczego nie zafatwia, nie rozwiązuje, ale gmatwa i zaciemnia sytuację, unieemożliwia rozpoznanie realnych frontów w toczącej się nieustannie w niejednym kraju - przede wszystkim zaś w ustrojach totalitarnych, w społeczeństwach "porozumienia i jedności" - wojnie domowej.

Taka wojna, o bardziej lub mniej zakamuflowanych objawach, toczy się przecież zarówno w suwerennym mocarstwie Gułagu, jak w wasalnych "demokracjach ludowych" - i tu, i tam stawką jest zniewolenie ciała i umysłów większości przez "przodujący oddział": monopartię, policję polityczną, nomenklaturę. Przez dziesięciolecia panowania "przodujący oddział" rozmnożył się i spęczniał: drogą werbunku, dziedziczenia, kształcenia, a także spontanicznego przyciągania określonych charakterów, ambicji, postaw etycznych, drogą selekcji zatem, której mechanizmy niechybnie zostaną kiedyś dokładniej zbadane. W swojej totalnej wojnie z resztą społeczeństwa wywodząca się z niego warstwa panująca nie ma, oczywiście, skrupułów: dlaczego morderstwo ma być większym ewenementem niż fałszywe oskarżenie i wyrok, pobicie dziecka, oszkaibowanie, szantaż, tortura?

Dawno zostały również odrzucone skrupuły doktrynalne. "Nacjonalizm" brzmi nieładnie i chętnie się go wytyka stronie przeciwnej - ale nie widać przeszkód w posłużeniu się nim, bez użycia nazwy, dla własnych celów strategicznych czy taktycznych. W suwerennym państwie komunistycznym chodzi o coś ważniejszego niż ideologia: o ekspansję, o podbój. "Nie może być wolny naród, który uciska inne narody" - w ślad za Marksem nauczał Lenin /'0 dumie narodowej Wielkorosów", 1914/. Otóż w tej słusznej konstatacji wynika dla Kremla dyrektywa praktyczna: po to, żeby nie mógł być wojny, naród rosyjski ma uciskać inne narody. Rozszerzanie granic "ojczyzny światowego proletariatu", "historyczna misja" Moskwy w skali globalnej, różne "bratnie pomoce", ekspedycje karne i dawanie nauczek niewdzięcznym sąsiadom czy nie sąsiadom - cała ta

rzadko zwalniająca obroty machina militarnej, politycznej i gospodarczej ekspansji wraz z akompaniamentem oficjalnej lub szeptanej ideologii nacjonalistycznej - poza /niepewną skądinąd/ optymalnością kolonialnego wyzysku, ostatecznie służy oplątaniu, ogłupieniu, zniewoleniu tłumu poddanych, utrwaleniu bezpieczeństwa władzy, rozbrojeniu społeczeństwa przez uczynienie zeń współnika władzy /ale takiego współnika, który w zgoła mizernym stopniu uczestniczyć będzie w podziale łupów i w jeszcze mizerniejszym skorzysta z ulg i przywilejów obywatelskich/, s ł u ż y w o j n i e d o m o w e j . Oczywiście, z tą manipulacją nacjonalistyczną ze strony totalnego państwa niewiele ma wspólnego kompleks niektórych emigrantów i dysydentów rosyjskich, o którym była mowa - ale przeszkadza on ogarnięciu istoty rzeczy, skierowaniu całej czujnej uwagi nie na doktrynera obcej krwi /jeśli kiedyś istniejącego, to dawno złożonego do grobu/, lecz na grupę, warstwę jak najbardziej rdzenną, swojską, ojczystą, krew z krwi, kość z kości, na miliony Iwanów Iwanowiczów zjednoczonych wspólnym interesem, układami, systemem powiązań i koligacji, tworzących s t r u k t u r ę " r e a l n e - g o s o c j a l i z m u " , przekazujących jej elementy potomstwu, w jej obronie bezwzględnych i agresywnych. Zdemaskowanie ideologii, którą nie od dziś traktują instrumentalnie, a w gruncie rzeczy indyferentnie, jest tysiąc razy łatwiejsze niż podważenie struktury.

I u nas, w kraju niesuwerennym - mimo że istnienie i rola zagranicznej centrali jest oczywistością - nacjonalistyczne stereotypy stanowią śmiertelne niebezpieczeństwo, ponieważ potrafią odebrać siły i rozum. Czyż to nie one uspiły nas rzuconym cynicznie przez władzę "jak Polak z Polakiem" /ledwie zastygł na kliszach uścisk dłoni nad stołem negocjacyjnym, już szły w teren instrukcje Żabińskich, Czubińskich e *tutti quanti*, jak nas deprawować i niszczyć/. Oczekiwaliśmy interwencji z zewnątrz i pocieszaliśmy się: cały naród powstanie, wojsko będzie z nami, nawet milicja. A także: oni wiedzą, że cały naród, że wojsko, i dlatego nie ruszą. Zabawialiśmy się karykaturami niedźwiedzia w zakładowych gazetkach i nie chcieliśmy dostrzec, że tu, wewnątrz, współmieszka z nami wieprz o obnażonych kłach i to on nas zaatakuje. I coś z tego, że w sojuszu z niedźwiedziem, z jego błogostawieństwa, kiedy z własną mściwą gorliwością, z własnym asortymentem środków obezwładniających fizycznie i moralnie /nie bez udziału paru sędziów "nacjonalistów"/, z własną tedy - niedostępną obcym - skutecznością. Ale nawet po tym wszystkim, po rozjechaniu Polski przez rodzimy walec interwencyjny, po spacyfikowaniu kochanej Ojczyzny przez milion Jaśków i Maćków, polskich żołnierzy, nadzorców, znalazło się podziemne ugrupowanie, które w obszernym programie politycznym wysunęło hasło trójprzymierza "Solidarności", Kościół a i... wojska. O, potęgo kochającego serce schematu!...

N.N. z Warszawy

Archiwum polityczne

KULTURA, styczeń-luty 1985

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

PRZYSZŁOŚĆ JAŁTY

Jałta jest sprawą niezakończoną, o dłuższej przeszłości i być może groźniejszej przyszłości, niż się na ogół sądzi. U progu czterdziestolecia brzemennego w skutki spotkania na Krymie Wielkiej Trójki sprzymierzonych mocarstw drugiej wojny światowej, między 4 a 11 lutego 1945, znaczna część naszych niepokojów i wątpliwości związanych z Jałtą dotyczy raczej jej interpretacji mitycznej niż jej znaczenia w perspektywie historycznej.

Mitem jest sąd, że Zachód zgodził się w Jałcie na podział Europy. Faktem jest, że Roosevelt i Churchill w praktyce oddali Wschodnią Europę Stalinowi już na Konferencji w Teheranie /listopad-grudzień 1943/, w Jałcie natomiast przywódcy brytyjski i amerykański poniewczasie się w tej sprawie zawahali. Zdobyli się w ostatniej chwili na bezskuteczny wysiłek, by osiągnąć przynajmniej minimalne warunki woiności dla Europy Wschodniej, zgodnie z brytyjsko-amerykańskim pragnieniem zapewnienia demokracji na całym kontynencie europejskim. Zachodni mężowie stanu nie potrafili jednak należycie ocenić bezwzględności rozwoju powojennej potęgi sowieckiej i w starciu między stalinowską siłą i ich naiwnością zwyciężyła siła.

Znaczenie Jałty w perspektywie historycznej polega na tym, że wykazała i potwierdziła trwałość ambicji Rosji w stosunku do całej Europy. Jałta była ostatnim ogniem ostrożnie wyważonej sowieckiej dyplomacji w celu osiągnięcia brytyjsko-amerykańskiej zgody na decydującą rolę Sowietów w całej Europie. W Jałcie Zachód nie tylko nieśmiało zakwestionował decyzje w sprawie Wschodniej Europy, lecz równie ogólnikowo i bojaźliwie sprzeciwił się sowieckim aspiracjom do dominującej pozycji na zachodnim krańcu eurazjatyckiego kontynentu.

Wielkie znaczenie geopolityczne Jałty polega na tym, że stanowi ona symbol niezakończonych walki o przyszłość Europy. Czterdzieści lat po Jałcie walka ta nadal obejmuje Amerykę i Rosję, ale powinniśmy sobie dziś uświadomić, że nie można załatwić tej sprawy w sposób historycznie konstruktywny, jeśli nie odegra w niej czynniejszej roli sam przedmiot sporu - Europa.

Tłem Jałty była obezwładniona Europa. Ów ośrodek globalnie dominującej cywilizacji popełnił historyczne samobójstwo na skutek dwu niszczycielskich wojen toczonych w ramach jednego ćwierćwiecza. Gdy przywódcy brytyjskiej i amerykańskiej demokracji spotkali się z gruzińskim tyranem Wielkiego Socjalistycznego Imperium, aby zdecydować o przyszłości Europy, brak było w tych obradach Europy kontynentalnej. Tymczasem sprawa przyszłości Europy rozgrywała się w znacznej mierze na jej ziemiach między dwiema wielkimi armiami spoza Europy, pracującymi ze Wschodu i z Zachodu do Niemiec - serca Europy.

Do chwili Jałty główną sprawą mącąca wojenne przymierze była Polska, klucz do kontroli nad Wschodnią Europą. Od Jałty zaś stawką tą stawały się w coraz większej mierze Niemcy, klucz do kontroli nad Europą Zachodnią. Polska stanowiła dla Moskwy bramę wiodącą na Zachód, stąd bezkompromisowe stanowisko wojennej dyplomacji Kremla w sprawie jej przyszłości. Mimo że Churchill określił później w swych pamiętnikach sprawę polską jako "pierwszą ważną przyczynę spośród tych które doprowadziły do zerwania Wielkiego Przymierza", ani on, ani jego atlantycki partner, prezydent Roosevelt, nie potrafili zrozumieć zasadniczej strategicznej wagi polskiej sprawy; nie byli zresztą, ani jeden ani drugi, skłonni do wykorzystania słabości Rosji w pierwszej fazie wojny, by doprowadzić do zadowalającego rozwiązania polsko-sowieckiego sporu, spowodowanego sowieckim zaborem niemal połowy Polski w roku 1939, na skutek układu między Mołotowem i Ribbentropem.

Stalin natomiast bystro potraktował terytorialny spór jako okazję do przemiany niepodległej Polski w podległy Moskwie kraj. Zdali sobie z tego sprawę Polacy. Przed spotkaniem w Teheranie polski premier rozpaczliwie przestrzegał Churchilla /zanotował to Sir William Strong 9 września 1943/, "że rozgrywka między Polską i Rosją to nie tylko sprawa granic, ale ich wzajemnych stosunków, a w gruncie rzeczy sprawa istnienia Polski jako niepodległego państwa"¹. Miesiąc później minister spraw zagranicznych Anthony Eden poinformował brytyjski gabinet wojenny, że polski premier oświadczył 6 października: "Postawa Stalina wobec Polski, wobec Niemiec i Ruchu Wolnych Niemiec, wobec spraw dotyczących innych okupowanych krajów, a wreszcie jego życiorys i mentalność wskazują na ambicje idące o wiele dalej niż sprawa kresów wschodnich Polski, strategicznie ważna dla Polski, ale pozbawiona decydującego znaczenia dla Rosji". Wreszcie 22 listopada, w przeddzień konferencji w Teheranie, Eden podał do wiadomości gabinetu wojennego, że zdaniem Polaków "Rosja na długą metę dąży do osadzenia w Warszawie rządu marionetek i obrócenia Polski w sowiecką republikę".

Brytyjczycy oceniali zamiary Stalina pobłażliwie. Eden zapewnił Polaków, że "wnioskując z brytyjskiego doświadczenia, Stalin jest o wiele mniej nieprzejednany...". Z jego wewnętrznego memorandum dotyczącego przygotowań do konferencji w Teheranie wynika natomiast jasno, że Wielka Brytania już była gotowa zaspokoić terytorialne żądania Stalina w nadziei, że doprowadzi to do dopuszczalnego układu politycznego. Amerykanie byli zaś jeszcze bardziej skłonni do zadowolenia apetytów Stalina; pod koniec listopada i z początkiem grudnia 1943 Churchill i Roosevelt zgodzili się na przesunięcie polskich gra-

1. Ten dokument i dalsze tu cytowane zawarte są w wartościowym zbiorze tekstów pod redakcją A. Polonskyego "Wielkie mocarstwa i sprawa polska" /*The Great Powers and the Polish Question*/, Londyn, L.S.E., 1976. Korzystałem tu również z pracy V. Mastnego "Droga Rosji ku zimnej wojnie" /*Russia's Road to the Cold War*/, Nowy Jork, Columbia University Press 1979 i miło mi tu pokwitować ten dług.

nic bez dalszego porozumienia z Polakami, a w dodatku przyznali Moskwie przeważającą rolę na Bałkanach.

Co gorzej, wywierając nacisk na Polaków, by dokonali terytorialnych koncesji na rzecz Moskwy, w nadziei że to zaspokoi rosyjskie żądze, Brytyjczycy i Amerykanie nie chcieli dać Polakom żadnych gwarancji dotyczących kompensaty na Zachodzie. Stojąc na stanowisku, że ze zmianami granic niemieckich trzeba zaczekać na koniec wojny, sprawili, że sytuacja polska stała się jeszcze bardziej rozpaczliwa. W rezultacie większość Polaków odrzuciła jakikolwiek kompromis twierdząc, że przepoławiona Polska nie może się ostać jako państwo niepodległe, pozostali zaś, wstrząśnięci i zgorzkniali, coraz bardziej byli skłonni do widzenia w Moskwie jedyne go poplecznika zdobycia dla Polski istotnych koncesji terytorialnych od Niemiec jako kompensaty ziem oddanych Rosji. Ceną była jednak nieunikniona zależność Polski od Rosji, a przez to samo dominacja sowiecka nad Europą Wschodnią.

Gdy nadszedł czas Jałty, Polska nie tylko była już okupowana przez Armię Czerwoną, ale zainstalowano w Warszawie rząd narzucony przez Stalina. W Jałcie Zachód wymógł na Sowieciach zapewnienie, że zainstalowany przez nich rząd zostanie rozszerzony i przeprowadzi wolne wybory, po czym dopiero zostanie uznany przez Zachód, ale zachodni przywódcy zgodzili się, by żadne wiążące zobowiązania dotyczące wyborów nie figurowały we wspólnym komunikacie końcowym Konferencji Jałtańskiej. W rezultacie sposób przeprowadzenia wyborów stał się wyłącznie sowiecką prerogatywą, co sprządziło o ich wyniku. /I rzeczywiście, zachodnie mocarstwa uznały rząd warszawski w połowie roku 1945, mimo że - wbrew postanowieniom jałtańskim - do wyborów jeszcze nie doszło/.

III

Przesądżając sprawę polską na korzyść Rosji, Jałta dała początek walce o przyszłość Niemiec. Polska Wschodnia została włączona do Związku Sowieckiego, ale Zachód nadal opierał się na znaczniejszej ekspansji Polski kosztem Niemiec. Rosjanie wahali się zrazu, do jakiego stopnia mają poprzeć polskie żądania, ale na konferencji w Poczdamie, w lipcu 1945 roku, po ostatecznym upadku Niemiec, Stalin doszedł do wniosku, że mając swe wojska silnie obsadzone w samym środku Niemiec, może sobie pozwolić na zaspokojenie polskich potrzeb /utrwalając przez to samo zależność Polski od Rosji/, nie zaprzestając przy tym walki o przeważającą rolę w Zachodniej Europie.

Waika ta była dla Stalina główną stawką jego wojennego przymierza z Zachodem. W końcu roku 1943, w przeddzień konferencji w Teheranie, Stalin, którego wojska walczyły jeszcze wówczas na ziemiach rosyjskich, potrafił uzyskać zgodę zachodnich aliantów na znaczny wpływ Rosji w powojennych Niemczech i Włoszech i na unicestwienie polsko-czechosłowackich planów środkowo-europejskiej konferencji, która mogła utrudnić sowiecką dominację nad tym rejonem.

Konferencja w Teheranie podnieciła harde nadzieje Stalina, że Brytyjczycy nie będą w stanie, zaś Amerykanie nie zechcą przeciwstawić się jego daleko sięgającym zamiarom, które ujawniał ostrożnie, raz po raz sprawdzając intencje i wolę swych brytyjskich i amerykańskich rozmówców. Przez cały czas Stalin i jego podwładni zrezygnowali z wykorzystania antyimperialistycznych nastrojów Amerykanów dla osłabienia brytyjskiej pozycji w powojennym układzie, oraz rywalizację Wielkiej Brytanii z Francją, aby nie dopuścić do ukształtowania skutecznego ośrodka sił w powojennej Zachodniej Europie. W sowieckiej interpretacji skłonność Roosevelta do mówienia o "czterech zandarmach świata" miała jednoznaczne geopolityczne znaczenie: Ameryka czynna głównie na zachodniej półkuli, słabe Chiny zajęte własnymi problemami, zbankrutowana Wielka Brytania wplątana w sieci swych trosk imperialnych, zaś większa część

Eurazji pozostawiona pieczonego żandarma.

Sprawdzając zachodnie reakcje na swoje zamiary, Stalin stosował na przyjętą dwa nieco odmienne plany, dotyczące Europy. Choć nie dowiemy się nigdy do jakiego stopnia chodziło o scenariusze wymienne czy pomysły współzawodniczące, oba plany przewidywały znaczną rolę sowiecką w całej Europie. Obie propozycje zostały omówione 31 sierpnia 1943 na spotkaniu Edena z Majskim, sowieckim ambasadorem w Londynie. Oto jak streszcza je Eden: "...Majski oświadczył, że byłoby dwa możliwe sposoby zorganizowania Europy po wojnie. Moglibyśmy się zgodzić na dwie strefy wpływów, dla Rosjan na Wschodzie, dla nas i Amerykanów na Zachodzie. On sam nie myśli, że to dobry plan, ale w razie jego przyjęcia moglibyśmy wykluczyć Rosjan ze spraw francuskich, śródziemnomorskich itd. Rosjanie zaś mieliby podobnie wolną rękę na Wschodzie. Gdybyśmy się natomiast zgodzili obaj, a również Stany Zjednoczone, że należy scalić Europę, wówczas każda ze stron musiałaby uznać prawo drugiej do zainteresowania wszystkimi jej częściami. Gdyby nam chodziło o Czechosłowację i Polskę, a Stanom Zjednoczonym o państwa bałtyckie, wówczas musielibyśmy uznać troszkę Rosjan o Francję i Morze Śródziemne..."

Ten drugi wariant był, jak się wydaje, popierany przynajmniej do czasu Jałty przez Maksyma Litwinowa, byłego komisarza spraw zagranicznych i byłego ambasadora sowieckiego w Waszyngtonie. Oparty na niedopowiedzianym założeniu, że Ameryka wycofa się militarnie z Europy i że pozorna przynajmniej zgoda między Związkiem Sowieckim i jego głównymi wojennymi aliantami przetrwa wojnę, biorący pod uwagę tradycyjnie idealistyczną niechęć Amerykanów do podziału na strefy wpływów, plan ten przewidywał nie tylko rozciągnięcie sowieckiej roli na całość okupowanych Niemiec, lecz również ledwo zakamuflowany układ dotyczący Europy pod pośrednią dominacją Związku Sowieckiego, jedynej skutecznej siły w tym rejonie. Wpływ brytyjski byłby ograniczony do kilku wąskich nadmorskich przyczółków. Francja miała grać rolę nieznaczną, zaś trwałe porozumienie sowiecko-amerykańskie byłoby oparte na cichym założeniu, że Amerykanie nie będą się mieszać do spraw europejskich. Sowiety niewątpliwie brali na serio kilkakrotnie ponawiane uwagi Roosevelta w Teheranie i nawet później w Jałcie, dające do zrozumienia, że Stany Zjednoczone nie będą wojskowo obecne w powojennej Europie. Ich ideologiczna formacja sprawiła również zapewne, że poczuli się zachęceni skłonnością Roosevelta do wygadywania, w prywatnych rozmowach ze Stalinem, na Brytyjczyków i Francuzów, co stanowiło potwierdzenie ich teorii o "wewnętrznych sprzecznościach kapitalizmu".

Alternatywa tej strategii panowania za pomocą biernej zgody Zachodu związana jest z głównym rywalem Litwinowa i jego następcą u steru polityki zagranicznej Władysławem Mołotowem. Zakłada ona, że prędzej czy później dojdzie do starcia amerykańsko-sowieckiego, zapewne po wycofaniu się Stanów Zjednoczonych z Europy i w kontekście zaostrożonych konfliktów w ramach kapitalizmu, stąd jej nacisk na bezpośrednie podporządkowanie Wschodniej Europy i jak największych połaci Europy Środkowej przy niezmiennych żądaniach znacznego wpływu na Zachodzie i przywileju weta sprawowanego na równi ze Stanami Zjednoczonymi. Jeśli chodzi o bardziej szczegółowe dyskusje dotyczące powojennych Niemiec, Stalin ostrożnie starał się zachować swobodę ruchów. Raz wyrażał się zwolennikiem centralnego rządu niemieckiego, raz wypowiadał się za rozbiorem Niemiec na poszczególne państewka. I w jednym i w drugim wypadku jednak zaznaczał, że Związek Sowiecki obchodzi Niemcy w całości, a zarazem dokładał wszelkich starań, by nie dopuścić do rekonstrukcji jakiegokolwiek mocarstwa zachodnioeuropejskiego.

W miarę jak wojska sowieckie posuwały się na zachód, terytorialne i polityczne żądania Stalina stawały się coraz wyraźniejsze. Zachowując wszystko, co Stalin zagarnął podczas swej kolaboracji z Hitlerem, Związek Sowiecki na przełomie lat 1944 i 1945 wysunął terytorialne żądania dotyczące Norwegii /Wyspa Niedźwiedzia i Spitzberg/, Dalekiego Wschodu /południowy Sachalin,

Wyspy Kurylskie, dominująca rola w Mandżurii i Mongolii Zewnętrznej/, udziału w kontroli nad Tangerem i częścią włościskich kolonii śródziemnomorskich, a w dodatku zaproponował wspólną akcję przeciw Hiszpanii Franco i wywierał polityczny nacisk na kraje neutralne - Szwajcarię i Szwecję. Nieco później przyszła kolej na żądanie koncesji terytorialnych od Turcji. Ponadto Sowiety konsekwentnie przedstawiały Francję jako całkowicie zdemoralizowaną i bezwartościową, podkreślając przez to swą tezę, że Europa jest polityczną próżnią.

Anglo-amerykańskie zaskoczenie i długotrwała ślepota wobec znaczenia sowieckich ambicji są tym bardziej zadziwiające, że aspiracje Stalina w znacznej mierze odzwierciedlały tradycyjne dążenia rosyjskiej polityki. Cele, jakie stawiał sobie Stalin, pokrywały się do tego stopnia z celami carskiej polityki okresu pierwszej wojny światowej, że nasuwa się podejrzenie że na użytek Stalina i Mołotowa wygrzebano z archiwów stare rosyjskie dokumenty strategiczne. Trzydzieści lat wcześniej, pod koniec roku 1914, rosyjska Rada Ministrów podobnie brała pod uwagę związek między sprawą polską i powojennym układem sił w interesie Rosji. Plan wysunięty przez większość tej Rady przewidywał wskrzeszenie Królestwa Polskiego, podległego wpływowi carskiej Rosji, jako główny cel powojennego układu. Plan mniejszości, zredukowany przez bardziej reakcyjnych ministrów, szedł dalej i o wiele ambitniej określał rosyjskie cele wojenne.

Ogólne dążenia rosyjskie miały obejmować "wzmocnienie samej Rosji pod względem etnicznym, gospodarczym i strategicznym" oraz związane z tym "osłabienie Niemiec jako głównego dziś wroga Słowiańszczyzny i Rosji" i "uwolnienie innych słowiańskich narodów spod władzy Niemiec i Austro-Węgier /w wypadkach w których to uwolnienie nie będzie sprzeczne z bezpośrednimi interesami Rosji!". Aby tego dokonać, Rosja miała osiągnąć następujące poszczególne cele, wymienione według kolejności ich wagi:

1. Doprowadzenie do końca historycznej misji zjednoczenia wszystkich części składowych rosyjskiego narodu poprzez przyłączenie wschodniej Galicji, północnej Bukowiny i Rusi Podkarpackiej.
2. Urzeczywistnienie historycznego zadania Rosji na Morzu Czarnym poprzez aneksję Carogrodu/Konstantynopola/ i cieśnin tureckich.
3. Rektyfikacja granic rosyjskiego państwa kosztem Prus Wschodnich, a także w azjatyckiej Turcji.
4. Osłabienie wewnętrzne Niemiec wszelkimi środkami poprzez ich terytorialną rekonstrukcję na nowych zasadach, łącznie z możliwym okrojeniem Prus na rzecz Francji, Belgii, Luksemburga, Danii, a również pomniejszych państw niemieckich, a także, być może, wskrzeszenie Królestwa Hanowerskiego, Hesji-Nassau itd.
5. Zjednoczenie i uwolnienie Polski w możliwie najszerszych granicach, lecz w każdym razie etnicznych a nie historycznych /co byłoby sprzeczne z podstawowymi interesami i całą historią Rosji/.
6. Uwolnienie pozostałych Słowian spod władzy austriackiej².

Te cele wojenne, opracowane przez bardziej nacjonalistycznych i reakcyjnych członków Rady Ministrów, są identyczne z celami sowieckimi z okresu drugiej wojny światowej, określonymi przez Stalina i Mołotowa. Każdy z tych celów stał się celem Stalina: inkorporacja części polskiej Galicji, która nigdy nie była w rosyjskim posiadaniu i czechosłowackiego Podkarpacia odpo-

². Gifford D. Malone, cytaty z *Rusko-polskie otnoszenija w pteriod mirovoj wojny* /Moskwa 1926/, w jego pracy "Rosyjska dyplomacja i wschodnia Europa, 1914-1917"/*Russian Diplomacy and Eastern Europe, 1914-1917*. Nowy Jork, King's Crown, 1963, str. 20-21, 139-140.

wiada pierwszemu z celów z roku 1914; drugiego celu Sowiety nie osiągnęły, ale wysuwały go w rozmowach z zachodnimi aliantami /pamiętając zapewne, że wiosną 1915 Francja i Wielka Brytania zgodziły się na to ustępstwo na rzecz carskiej Rosji/; trzeci cel został spełniony w Prusach Wschodnich /a było to niespodzianką dla Zachodu/, zaś w sprawie terytorialnych koncesji od Turcji wywierały Sowiety bezskuteczny nacisk w roku 1945; cel czwarty został osiągnięty w Niemczech w odmiennej formie; piąty przesunął Polskę dalej na zachód niż wydawało się możliwe w roku 1915, ale z tym samym rezultatem - stworzenie Polski uzależnionej od Rosji swym terytorialnym położeniem.

Sowieckie cele wojenne można zatem podzielić na trzy kategorie: po pierwsze, odzyskanie terytorialnego *status quo ante* z czerwca 1941; po drugie, zapewnienie sobie politycznie uległych reżimów w Europie środkowo-wschodniej; po trzecie, uzyskanie decydującego głosu w sprawie politycznej organizacji reszty Europy. Sowiety były całkowicie nieustępliwe i szczerze jeśli chodzi o pierwszy cel, gotowe natomiast zakamuflować drugi, gdyby to miało ułatwić im osiągnięcie trzeciego. Łatwo dziś zapomnieć, jak bardzo niepewna była wówczas jakakolwiek rola Ameryki w powojennej Europie, a niechęć Amerykanów podczas wojny do wzięcia konkretnie pod uwagę problemów powojennych wzmacniała oczekiwania, że Stany Zjednoczone powrócą do dawnego odosobnienia. W miarę jak Armia Czerwona parła na zachód, nacisk sowiecki na osiągnięcie drugiego celu stawał się bardziej bezczelny, a przybrał brutalną wprost formę, gdy Sowiety zaczęły podejrzewać, że Amerykanie mogą się nie zgodzić na spełnienie ich trzeciego celu. Stalin i jego podwładni zdali sobie z tego w pełni sprawę po Jałcie.

IV

Jeśli zatem można powiedzieć, że powojenna walka o Europę zaczęła się w Jałcie, to Zachód powitał wówczas wynik konferencji jako niezaprzeczalny triumf dyplomatyczny, zapowiadający okres trwałego porozumienia między Wschodem i Zachodem. Czterdziestci lat później ta sama Jałta wywołuje emocjonalne odruchy równie opróżzone - ale przeciwstawne. Stała się dziś synonimem zdrady. Wówczas jednak twierdzono /jak choćby w artykule wstępnym *New York Times'a* z 13 lutego 1945/, że powzięte postanowienia "usprawiedliwiają i przekraczają nadzieje związane z tym brzemmiennym w znaczenie spotkaniem... wskazują one drogę do szybkiego zwycięstwa w Europie, do trwałego pokoju i ku lepszemu światu".

Sumner Wellsa można posądzać o stronniczość, gdy oświadczał /*The Washington Post* z 28 lutego 1945/, że: "...Deklaracja Jałtańska, cokolwiek nam przyszłość przyniesie, pozostanie olbrzymim krokiem naprzód w kierunku ostatecznego ustanowienia świata pokoju i porządku". Lecz nawet tak doświadczony obserwator jak Walter Lippman idzie tu z nim w zawody. W *The New York Herald Tribune* /15 luty 1945/ Lippman stwierdza, że Churchill, Stalin i Roosevelt "wstrzymali i odwrócili normalny bieg rzeczy, który sprawia, że zwycięska koalicja rozluźnia się w miarę jak zbliża się kres wojny... wojskowe zwycięstwo tym razem dowiodło, że nie jest przejściowym zjawiskiem w obliczu wroga, lecz doprawdy sednem i sercem nowego porządku międzynarodowego".

Rzadkie były głosy sceptyczne. *The Wall Street Journal* ostrzegał 16 lutego 1945, że układ jałtański dotyczący środkowej Europy "musi się rzeczy prowadzić do coraz bardziej niezadowalających stosunków między Stanami Zjednoczonymi i Rosją", zaś bystry Francuz, André Visson /w artykule pod tytułem "Wielkie mocarstwa i małe narody", *The Washington Post* z 18 lutego 1945/ stwierdzał, że Stany Zjednoczone nareszcie stają się odpowiedzialne za przyszłość Europy i okazują pewne przejawy woli przeciwstawienia się sowieckiej dominacji nad Wschodnią Europą - w przeciwieństwie do Teheranu, gdzie wydały się niezainteresowane powojennym układem się i gotowe zgodzić się na "podział Europy na dwie strefy wpływów".

W istocie Jałta była ostatnim wysiłkiem aliantów wojennych, by wspólnie zbudować powojenny świat. Podczas gdy w Teheranie Churchill był jeszcze oczywiście równym partnerem Roosevelta, w Jałcie kierownictwo przejęli Amerykanie, zapowiadając już kształtujący się podział świata na dwie części. Prawdziwa konferencja w Jałcie miała miejsce między w najlepszych intencjach ogólnikowym podejściem Roosevelta do powojennej przyszłości Europy i chytrze ogólnikowym podejściem Stalina do zamiaru Rosji, by zapanować nad tą przyszłością. Roosevelt rozpaczliwie pragnął zawierzyć powojennej współpracy, podczas gdy Stalin z całą świadomością wykorzystywał tę wiarę, by uzyskać zgodę na sowieckie żądania dotyczące Zachodu i Dalekiego Wschodu eurazjatyckiego kontynentu.

W rezultacie deklaracje jałtańskie nosiły piętno oczywistego eskapizmu. Paragrafy dotyczące wolnych wyborów w Polsce były nie więcej jak przezroczystym listkiem figowym, mającym ostonić zwykłą przemoc sowiecką, zaś retoryczne deklaracje na temat przyszłego pokoju zacieraty narzucające się i całkiem zasadnicze różnice zdań między dwoma wielkimi mocarstwami.

Retoryka ta jeszcze silniej wprowadzała w błąd zachodnią opinię publiczną co do prawdziwych intencji Rosji, co utrudniało zachodnim demokratom skuteczne podejście do nadchodzącej konfrontacji Wschód-Zachód.

Nie potrafiwszy zbudować zgodnie ustalonego świata, Jałta, choć w istocie potwierdzała tylko ustępstwa dokonane już w Teheranie, stała się później symbolem podziału Europy. Uzupełniające spotkanie w Poczdamie nie wykraczało poza konkurencję w wykrajaniu rozdzielonych już tępów. W Jałcie zachodnie mocarstwa spostrzegły się z opóźnieniem, że ustępstwa dokonane w Europie Wschodniej na rzecz sowieckiej przemocy mogą stać się początkiem walki o środkową i Zachodnią Europę; Stalin zrozumiał, że Zachód zaczyna stawiać opór dalekosyżnym celom sowieckiej polityki i że zapowiada to walkę trudniejszą, niż się zrazu wydawało. Odtąd wypędzenie Stanów Zjednoczonych z Eurazji w coraz większej mierze stawało się głównym i jawnym zamiarem sowieckiej polityki.

V

Zamiar ten przetrwał przez następnych 40 lat i po dziś dzień jest głównym motorem sowieckiej polityki zagranicznej. Stąd jej stanowcza decyzja, by nie dopuścić do utworzenia samodzielnej Europy o wspólnej woli politycznej. Z ostatnich czterech dekad wynika jednak również wielkiej wagi lekcja polityczna: że to, co się uważa dziś za spadek Jałty - a mianowicie podział Europy - można usunąć tylko bądź na korzyść Sowietów, w myśl subtelного planu Litwinowa, by osiągnąć dominację za pomocą uległości, bądź na korzyść Europy poprzez nadanie jej prawdziwie europejskiego charakteru o historycznej wadze, co by przyciągało kraje Wschodniej Europy i mogło doprowadzić do rozluźnienia nad nią sowieckiej kontroli. Ameryka bowiem nie jest dość silna i nie posiada dość silnej woli, by zasadniczo zmienić sytuację w Europie Wschodniej, zaś prymitywne i niezręczne wysiłki Sowietów, by zastraszyć Europę Zachodnią dają przeciwny wynik dalszego utwierdzenia atlantyckiego przymierza.

Spśród obu przeciwnych stron sowiecka dołożyła o wiele więcej wysiłków od amerykańskiej, by doprowadzić do geopolitycznego rozwiązania decydującego dla przyszłości Eurazji. Jałta podnieciła niepokój Sowietów, że Ameryka nie wycofa się całkowiec z Europy; Poczdam go zaostrzył, zaś ogłoszenie Planu Marshalla potwierdziło najgorsze obawy Moskwy: wbrew nadziejom i oczekiwaniom Stalina, Ameryka zakorzeniła się na europejskim kontynencie, stawiając faktyczny opór sowieckiej ekspansji.

Dalszy rozwój historii naznaczyły coraz bardziej stwarte i bezpośrednie wysiłki sowieckie, by frontalnie zaatakować ten stan rzeczy nie zaprzesta-

jąc przy tym stałych starych, by go podminować. Kampania polityczna przeciw Pianowi Marshalla, oficjalna decyzja Stalina, by wykluczyć z niego Czechosłowację i Polskę, były wynikiem strategicznego wniosku, że Ameryka nie tylko pozostanie zaangażowana w sprawy europejskie, lecz że długotrwały konflikt polityczny staje się odąd nieunikniony. Kryzys berliński, który nastąpił wkrótce potem, był ważną próbą woli, wyzwaniem rzuconym nagłej decyzji Stanów Zjednoczonych, by zachować ważną polityczną rolę w okrojonych Niemczech.

Należy tu jasno podkreślić: stawką blokady Berlina przez Stajina i dziecięć lat później berlińskiego kryzysu, wywołanego przez Chruszczowa, nie był sam Berlin. W obu wypadkach stawką było zapewnienie przez Amerykę bezpieczeństwa Zachodniej Europie. Oto dlaczego Stalin i Chruszczow podjęli ryzyko okresu wysokiego - niebezpiecznie wysokiego - napięcia stosunków z Ameryką, czego sam Berlin nie był wart. Gdyby Sowiety wzięty wówczas górę, Niemcy by uległy panice, zaś amerykańska gwarancja obrony Europy byłaby obeszła. Geopolitycznym skutkiem sowieckiego sukcesu w Berlinie byłoby ustanowienie sowieckiej przewagi w Europie Zachodniej.

Oba kryzysy berlińskie były najbardziej oczywistą wskazówką sowieckiej decyzji, by zerwać więzy bezpieczeństwa łączące Amerykę z Europą. Ale dyplomacja sowiecka przez cały okres powojenny dokładała również wszelkich starań, by nie dopuścić do utworzenia geopolitycznie sprawnej Europy jako współzawodnika czy choćby sąsiada. Sowiecka polityka zagraniczna wywierała stały, silny nacisk dyplomatyczny i wykorzystywała swe tajne i jawne narzędzia /zachodnioeuropejskie partie komunistyczne, miliony swych towarzyszków podróży/, by przeciwdziałać planom takim jak Europejska Wspólnota Obronna, a nade wszystko zapobiec rozwojowi Wspólnego Rynku w kierunku wspólnoty politycznej. Jeśli Europy nie można odciąć od Stanów Zjednoczonych, niech pozostaje przynajmniej podzielona i słaba.

Postanowienie wyrzucenia Ameryki z Europy nie ostatecznie na Kremlu. Inspiruje ono dzisiejszych sowieckich przywódców, w istocie bardziej stalinowskich niż jacykolwiek inni od roku 1953. Ich wysiłki zmierzające do wykorzystania europejskich "ruchów pokojowych", zażenowanej reakcji na antysowiecką retorykę administracji Reagana, związane są z decyzją, by w kwestii INF /*intermediate nuclear forces* - nuklearnych sił średniego zasięgu/ uczynić nowy "test" woli Zachodu, którego ostateczną stawką jest znów atlantycki system bezpieczeństwa. Sowiecka decyzja odmowy negocjacji ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie kontroli brzojeń, jeśli Stany Zjednoczone nie rozbiorą i usuną swych pocisków raketowych Pershing II i nadziemnych wyrzutni pocisków Cruise była próbą narzucenia Ameryce publicznego upokorzenia o dalekosiężnych konsekwencjach strategicznych. Był to faktyczny ekwiwalent kryzysów berlińskich.

Ale sowieccy przywódcy znów się przeliczyli. Ich niezręczna taktyka przyczyniła się do porażki neutralistycznej Partii Socjaldemokratycznej w Niemczech, do skompromitowania zwolenników jednostronnego rozbrojenia w tonie brytyjskiej Partii Pracy i do silnej manifestacji solidarności Europy z Ameryką w tej sprawie /nawiasem mówiąc, kierownictwo sowieckie niemal jednocześnie doprowadziło do najsilniejszego od drugiej wojny światowej natężenia antysowieckich uczuć w Japonii/. Stało się tak dlatego, że w Moskwie przezeńcono się nastrojów neutralistycznych i wagę przywiązywaną przez Europę Zachodnią, a zwłaszcza Niemców do odprężenia między Wschodem i Zachodem. Przeniesiono może również wrażenie, jakie na zachodnioeuropejskiej opinii wywarł znaczny wzrost sowieckich sił strategicznych, zwłaszcza w porównaniu z berlińskimi kryzysami z późnych lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Sowietcy przywódcy liczyli zapewne na to, że kombinacja specyficznie zachodnioeuropejskiego zainteresowania odprężeniem i rosnącego strachu przed zbrojną siłą sowiecką /zwłaszcza po masowej instalacji SS-20 wycelowanych w Zachodnią Europę/ skłoni Europejczyków - jeśli nie Amerykanów - do przyjęcia w popo-

chu jednostronnej ugody. Zbytńio polegali na zwykłym politycznym zastraszeniu.

Tym niemniej wszystko to świadczy o upartym zamiarze Sowietów podporządkowania sobie Zachodniej Europy i nie powinniśmy czuć się zabezpieczeni ostatnią sowiecką porażką, gdyż jest ona bardziej wynikiem prostactwa sowieckiej taktyki niż odporności Zachodniej Europy. Faktem jest, że Zachodnia Europa nie ukształtowała się politycznie i w tym względzie Sowiety osiągnęły przynajmniej to, co chciały uzyskać w Jafcie. Od tego zaś czasu podział Europy wywołuje rosnącą urazę nie tylko wobec sowieckiej przemocy nad Europą Wschodnią, ale również wobec roli jaką w Europie odgrywiają Amerykanie; jest to sytuacja, którą zręczniejsza dyplomacja sowiecka mogłaby z czasem umiejętnie wyzyskać.

Rzeczywistość polityczna to fakt, że Ameryka nie może usunąć podziału Europy, zaś podział ten wznaga amerykańsko-sowiecką rywalizację, co z kolei cementuje sam podział. Choć Ameryka starała się niejednokrotnie rozluźnić więzy podporządkujące Wschodnią Europę Moskwie, w krytycznych momentach unikała bezpośredniej konfrontacji z sowiecką przemocą. Polityka amerykańska ostrożnie zachęca do pokojowej ewolucji w kierunku bardziej pluralistycznej Europy Wschodniej, ale jest to proces długotrwały, który od czasu do czasu może być odwrócony siłą, jak przez ogłoszenie stanu wojennego w Polsce w roku 1981. Tym niemniej, gdy reżim wschodniemiecki załamał się w roku 1953, gdy wybuchło powstanie węgierskie w roku 1956, gdy pokojowa emancypacja Czechosłowacji w roku 1968 skończyła się inwazją wojsk sowieckich, Stany Zjednoczone zachowały bierną postawę, pod maską antysowieckiej retoryki. Czy mogły zrobić więcej, to kwestia sporna, pewne jest natomiast, że zrobiły niewiele.

Vi

Ostrożność amerykańska to jedna z przyczyn, dla których Europejczycy czują, że Ameryka nie może zlikwidować podziału Europy. Druga przyczyna jest bardziej podstawowa: Ameryka nie może skończyć z podziałem Europy, nie zadając jednocześnie klęski Rosji. A temu Rosjanie muszą i będą się opierać całą swą siłą - podobnie jak wykluczenie Ameryki z Zachodniej Europy stanowiłoby dla niej klęskę, do której nie może dopuścić. W dodatku podział Niemiec w kontekście podziału Europy sprawia, że stawką są tu oba te podziały. Rezultatem jest trwała waika polityczna o przyszłość Niemiec, a przez to samo o przyszłość Europy, waika wiążąca Amerykę i Rosję w strategicznie centralnym konflikcie, którego stawki są tak wysokie, że żadna ze stron nie mogłaby znieść ostatecznej klęski. Podział Niemiec zatem stanowi stały bodziec do zmiany, co sprawia, że przyszłość Europy pozostaje sprawą otwartą, mimo czterdziestoletniego już impasu.

Sytuacja wyglądałaby zgoła inaczej, gdyby podział Europy nie spowodował jednocześnie podziału Niemiec. Gdyby miast na Elbie geopolityczna granica amerykańsko-sowiecka została ustałona na Renie lub Odrze-Nysie, podział Europy na dwie strefy wpływów byłby bardziej zrozumiały i politycznie łatwiejszy do utrzymania. Gdyby linią podziału był Ren, zachodnioeuropejska część czułaby się tak zagrożona sowiecką siłą, wspartą sowieckimi Niemcami, że troszczyłaby się jedynie o zachowanie jak najściślejszych związków z Ameryką, zapominając całkowicie o losie Środkowo-Wschodniej Europy pod dominacją sowiecką. Gdyby natomiast sowiecka przemoc sięgała tylko do Odry-Nysy, Polacy i Czesi tak by się obawiali powrotu Niemiec wspartych Ameryką do tradycyjnej polityki *Drang nach Osten*, że podział Europy stałby się dla nich troską drugorzędną.

Tymczasem długotrwały impas budzi rosnącą urazę Europejczyków. Niemy - wołni już od poczucia winy za przeszłość, mniej zafascynowani modelem amery-

kańskim, rozczarowani niepowodzeniem Europy jako alternatywy rywalizujących ze sobą nacjonalizmów - skłaniają się naturalnie do rosnącej troski o swych braci żyjących pod obcym systemem. Myśli, że los zjednoczonych Niemiec zależy od bliższego porozumienia z Rosją, to żadna nowość w niemieckiej tradycji politycznej. Niecierpliwość spowodowana podziałem narodu sprawia, że staje się ona znów na czasie.

W dodatku - zwłaszcza dla Niemiec, lecz również dla reszty Zachodniej Europy - Wschód jest atrakcyjny gospodarczo, stanowiąc tradycyjny rynek zbytu dla europejskich wyrobów przemysłowych. W miarę jak Zachodnia Europa odkrywa, że na skutek rozwiniętych ekonomii Ameryki i Japonii, wizja szczególnych związków gospodarczych ze Wschodem staje się coraz bardziej pociągająca. Obawa, że Ameryka odwraca się od Atlantyku ku Pacyfikowi gra tu rolę samospełniająca: usprawiedliwia bliższe porozumienie gospodarcze, a potencjalnie nawet polityczne, między przemysłowo zacofaną Zachodnią Europą i jeszcze bardziej zacofanym sowieckim blokiem, przez to samo idealnym klientem dla tego, co Zachodnia Europa może produkować.

Pośród wszystkich Europejczyków, ci ze wschodu, wyzbyci iluzji wyzwolenia przez Amerykanów, najbardziej tęsknią do scalonej Europy, która by ich wyzwoliła spod sowieckiego jarzma. Ta tęsknota tłumaczy trwający po dziś dzień wielki prestiż de Gaulle'a po prostu za to, że pierwszy rzucił hasło "Europy do Uralu". Tłumaczy ona również uczucia - nie tylko Polaków - do Papieża, którego wizja duchowej jedności Europy ma oczywistą polityczną wymowę. Lecz wschodni Europejczycy zgodzą się na pół kromki chleba z braku całej. Mając do wyboru wyjątkową przemoc sowiecką, której od czasu do czasu opiera się tylko polityka amerykańska, lub stopniowe przynajmniej związki z Zachodnią Europą, choćby ostabioną politycznie, wschodni Europejczycy wybiorą oczywiście to drugie.

Nie wynika z tego wszystkiego, że Europa ześliznie się sama w kierunku osobnego porozumienia ze Związkiem Sowieckim, które by spełniło dawne sowieckie ambicje. Należy jednak zdać sobie sprawę, że zachodni Europejczycy mogliby łatwiej przyjąć politykę sowiecką odwołującą się bardziej do teorii Litwinowa niż do polityki Stalina. Polityka sowiecka subtelniej wykorzystująca coraz silniej dający się odczuwać brak zjednoczonej Europy, wzrastającą irytację Amerykanów niskim poziomem europejskiego wysiłku obronnego oraz nieuniknioną atrakcyjność idealistycznego podejścia do zamrożenia zbrojeń nuklearnych i tym podobnych wersji eskapizmu mogłaby mieć znaczny wpływ na opinię amerykańską i europejską. W pewnych okolicznościach nie można wykluczyć spontanicznej skłonności Amerykanów do wycofania się z Europy, z tym że konserwatyści nawoływaliby do tego ze złości na niedostateczny wkład europejski do wspólnej obrony, liberałowie zaś - zgodnie z ich obecną tendencją do traktowania trudnych spraw, związanych z bezpieczeństwem - udawaliby, że ich nie ma. W każdym zaś razie deficyt Stanów Zjednoczonych skłoniłby Kongres do bardziej krytycznego spojrzenia na koszt amerykańskiego zaangażowania w atlantyckie przymierze.

W samej Europie tego typu subtelniejsza polityka sowiecka, wzorowana na Litwinowie, nie dążyłaby do likwidacji NATO, lecz do pozbawienia tej organizacji wszelkiej politycznej i wojskowej substancji. Wykorzystując dwuznaczność nastrojów niemieckich i zbliżenie między Bonn i Wschodnim Berlinem, starałaby się uczynić z Niemiec neutralnego niemal, choć nadal nominalnego członka NATO, co zaniepokoiłoby i osłabiło Zachodnią Europę. Zamiast dążyć do zadanania Ameryce oczywistej klęski w Europie, grałaby na niechęci Europy do identyfikacji z Ameryką w jej globalnej i ideologicznej rywalizacji z Rosją, aby w ten sposób osiągnąć zgodę Europy na jej własną podrzędną rangę w stosunkach z Moskwą.

Stwierdzenie, że Europa zależna wojskowo, rozczłonkowana politycznie

i zacofana ekonomicznie pozostanie wrażliwa na tego rodzaju przynęty nie jest samospełniającym się pesymizmem. Jednym słowem, trwata sowiecka ofensywa pokojowa grozi oderwaniem Europy od Ameryki. Gdyby się to Moskwie udało, na skutek historycznego wyczerpania Europy, można by uważać jej "jałtyzację" za fakt dokonany.

VII

Słowa Prezydenta Mitterranda sprzed dwóch lat: *"tout ce qui permettra de sortir de Yalta sera bon"*. Ale jak wyjść z Jałty? Po czterdziestu latach musi istnieć dla Europy i Ameryki alternatywa lepsza od rozczłonkowanej i zmęczonej Europy wieczniejącej konflikt amerykańsko-sowiecki, lepsza również od skłóconej Europy oderwanej od Ameryki, ulegającej stopniowo sowieckiej przemocy nad Eurazją. Otóż trzecia możliwość istnieje: pojawienie się Europy żywniejszej, mniej zależnej wojskowo od Stanów Zjednoczonych, wreszcie zdolnej, z pomocą samej Ameryki, do wizji na miarę historii i dążącej do zasadniczej zmiany stosunków z Europą Wschodnią i Rosją.

Ów wybór wymaga strategii na daleką metę, której Zachód nigdy nie potrafił wytonić w związku z trwałym postjałtańskim dylematem europejskim. Punktem wyjściowym takiej dalekosiężnej strategii musi być wspólne wyciągnięcie wniosku z doświadczenia ostatnich dziesiątków lat: *historyczna równowaga w Europie może przechylić się stopniowo na korzyść Zachodu pod warunkiem, że Rosja natknie się na zachód od Elby na mniejszą obecność Ameryki, a większą obecność Europy.*

Rozsądni Europejczycy zdają sobie sprawę, że przyszłość Europy związana jest z przyszłością Niemiec i Polski. Bez przerwania mostu, w sposób gwarantujący bezpieczeństwo, poprzez granicę dzielącą Niemcy, prawdziwa Europa nie może zaistnieć. Kontrola rosyjska nad Niemcami Wschodnimi jest zaś geopolitycznie uwarunkowana trwałą dominacją Rosji nad Polską. Aby umożliwić utworzenie "większej Europy", należy zatem pokojowymi środkami zmienić stosunki między Rosją z jednej, Niemcami i Polską z drugiej strony.

Zarówno Amerykanie jak Europejczycy muszą nareszcie przyjąć do wiadomości, że podział Europy jest nie tylko sztucznym wynikiem jej zburzenia w ciągu dwóch wojen światowych; na dalszą metę podział ten wytwarza chwiejną i potencjalnie niebezpieczną sytuację: doprowadzi prawdopodobnie do nowych wybuchów w Europie Wschodniej, a może również doprowadzić do destabilizującej reorientacji w Europie Zachodniej, gdyż dla wielu Europejczyków oba przymierza, po każdej linii podziału przecinającej Europę na dwoje, są po prostu przedłużeniem wysiłków obu światowych mocarstw w celu ustalenia *status quo*.

W tej konfiguracji ograniczenie się do ściśle wojskowego wymiaru problemu Wschód-Zachód, a również wysiłki zachęcające zachodnich Europejczyków do pójsjcia za każdą linią polityki amerykańskiej na Środkowym Wschodzie czy w Ameryce Środkowej nie prowadzą wcale do zachowania jedności Zachodu. Ameryka musi się utożsamić ze sprawą mającą głębokie, emocjonalne znaczenie dla większości Europejczyków. Położenie końca podziałowi Europy, tak konieczne dla jej duchowej i moralnej odnowy, jest zaiste sprawą godną zachodnich demokracji, zdolną do wyrzesania ich wspólnego poczucia historycznej misji.

Ale ten cel, tak niezbędny do wskrzeszenia Europy, nie może być osiągnięty za pomocą zwycięstwa Ameryki nad Rosją. Nie można go również urzeczywistnić poprzez uzyskanie oficjalnej rosyjskiej zgody - drogą układów zmierzających do uwoinienia wschodniej Europy spod rosyjskiego jarzma. Moskwa dobrowolnie niczego nie odda. Szersza Europa może zatem zaistnieć tylko na skutek świadomego, choć subtelnie wprowadzanego w życie procesu przemian, za sprawą - że tak powiemy - historycznej przebiegłości, której nie można by ani szybko przejrzeć, ani łatwo przeciwdziałać.

Zachód musi nadać temu procesowi kształt i historyczny kierunek. Jako punkt wyjścia do tego wspólnego celu można by zastanowić się nad strategią zawierającą pięć przedsięwzięć natury politycznej, gospodarczej i wojskowej. Niektóre z nich dotyczą względnie prostych posunięć - można je streścić pokrótce; inne, odwołujące się do bardziej złożonych procesów przemiany, mogą wydać się sporne, wymagają zatem dłuższego wykładu.

Po pierwsze, w wymiarze symbolicznym, byłoby stosowne by głowy państw demokratycznego Zachodu wyjaśniły wspólnie w uroczystej deklaracji - 4 lutego 1985, jeśli można - stosunek Zachodu do historycznego dziedzictwa Jałty. Publicznie odcinając się od tego spadku - rozbioru Europy - Zachód winien podkreślić swe zobowiązanie w stosunku do wskrzeszonej Europy, wolnej od zewnętrznej kontroli; wyrazić przekonanie, że istnieje dziś autentyczna polityczna tożsamość europejska, będąca dziedzicem europejskiej cywilizacji i uprawniona do swobodnego wyrazu. Winien dalej potwierdzić prawo każdego europejskiego narodu do wolnego wyboru systemu socjopolitycznego zgodnie ze swą historią i tradycją, oraz wyraźnie odrzucić i potępić narzucenie przez Moskwę tyłu Europejczykom systemu tak im obcego kulturalnie i politycznie. Wreszcie, powołując się na pozytywne doświadczenie neutralnej Austrii i Finlandii, Zachód winien zobowiązać się, że utworzenie bardziej autentycznej Europy nie pociągnie za sobą rozciągnięcia amerykańskiej strefy wpływów do europejskich granic Związku Sowieckiego.

Po drugie, w bezpośrednim związku z odrzuceniem dziedzictwa Jałty, Zachód winien potwierdzić swe związanie Końcowym Aktem Konferencji Helsińskiej. Jest to konieczność zasadnicza, gdyż w przeciwnym razie odrzucenie Jałty mogłoby dać Sowietom wygodny dla nich argument, że terytorialna całość Polski i Czechosłowacji jest w ten sposób na nowo zagrożona. Układy z Helsinek zatwierdziły trwałość istniejących granic w Europie Środkowej i Wschodniej; należy usunąć obawy krajów objętych tą gwarancją. Układy te uznały również prawa człowieka za obowiązujące międzynarodowo, a przez to samo uprawnity Zachód do wglądu w wewnętrzne ich przestrzeganie przez rządy wschodnioeuropejskie. Odrzucenie historycznej spuścizny Jałty winno zatem zawierać potwierdzenie zobowiązania Zachodu do przestrzegania pokojowych stosunków ze Wschodem, utrzymania obecnego terytorialnego *status quo* i jednolitej w skali międzynarodowej interpretacji wiążących pojęć wolności i praw człowieka.

Co więcej, potwierdzenie zobowiązania Zachodu do przestrzegania Końcowego Aktu Konferencji Helsińskiej pomogłoby do usunięcia niebezpiecznej ambivalencji europejskiej w stosunku do Niemiec. Faktem jest, że Europejczycy źle znoszą narzucony im rozbiór, obawiając się skądinąd zjednoczenia Niemiec. Dlatego też rozbratowi ze spadkiem Jałty - rozbiorem Europy - winno towarzyszyć zobowiązanie, znów oparte na potwierdzeniu układu z Helsinek, że celem zespojenia podziału Wschód-Zachód w Europie nie jest likwidacja jakiegokolwiek z istniejących państw, lecz przywrócenie każdemu europejskiemu narodowi udziału w szerszej, wszech europejskiej współpracy. W tym kontekście nie chodziłoby więc o położenie końca podziałowi Niemiec poprzez formalne zjednoczenie, lecz przez stopniowe wyłonienie o wiele mniej groźnej, luźnej konfederacji między dwoma istniejącymi państwami.

Po trzecie, w duchu tych symbolicznych posunięć, Zachodnia Europa winna starać się stworzyć jak najwięcej okazji do współuczestnictwa wschodnich Europejczyków w różnych wszech europejskich organizacjach. Wiele jest dziś tego rodzaju instytucji publicznych i prywatnych. Należy zachęcać wschodnich Europejczyków, spokojnie lecz systematycznie, do coraz większego udziału - choćby początkowo w charakterze obserwatorów - w takich ciałach jak Parlament Europejski, a również w licznych organizacjach o węższej specjalizacji, technicznych i innych. Krzewienie europejskiego ducha wśród wschodnich Europejczyków, przekonanie ich że Europa przedstawia o wiele więcej, niż by się mogło pozornie wydawać - to zadanie bez wątpienia leżące w interesie całej

Europy. Lecz trzeba w to włożyć dużo nowego wysiłku.

Innym pociągnięciem stosownym dla większych krajów Zachodniej Europy wraz z Ameryką byłoby zorganizowanie - z okazji rocznicy Jałty w roku 1985, pod patronatem publicznym czy prywatnym - serii seminariów i konferencji poświęconych przyszłości Europy "pojałtańskiej". Należałoby na nie zaprosić jak najwięcej wschodnich Europejczyków, w najdogodniejszej dla nich formie, aby uczestniczyli w dyskusjach mających na celu wyłonienie szerokiej, wspólnej platformy dotyczącej najdogodniejszych dróg do pokojowej likwidacji spuścizny Jałty.

Wreszcie Zachodnia Europa powinna nawrócić do inicjatywy już poprzednio podjętej, lecz ostatnio zaniedbanej, nawiązywania bliższych kontaktów i w miarę możliwości współpracy między Wspólnym Rynkiem i Wschodnią Europą. Niemcy Wschodnie i Jugostawia już dziś utrzymują - każde na swój sposób - pragmatyczne stosunki z tym ważnym zachodnioeuropejskim ciałem. Wznowiona inicjatywa w tej dziedzinie ze strony Wspólnego Rynku jest dziś tym bardziej potrzebna, że obecne władze sowieckie położyły nowy nacisk na integrację Wschodniej Europy w ramach Komekonu, chcąc jeszcze ściślej ją związać z gospodarką sowiecką. Gdyby nawet wschodni Europejczycy mieli - pod naciskiem sowieckim - odrzucić teraz zachodnie propozycje bliższych kontaktów wymiany, informacji, współpracy przy pewnych ściśle określonych projektach, zachodnia inicjatywa w tej dziedzinie miałaby wpływ pozytywny. Zaobserwowana ostatnio wschodniemiecka skłonność rozszerzania więzów wszechniemieckich, nawet kosztem narażenia się Sowietom, jest przejawem ogólnej w Europie Wschodniej chęci - i gospodarczej potrzeby - nawiązania bliższych stosunków z resztą Europy. Przeciągająca się stagnacja ekonomii typu sowieckiego sprawia, że wzmoczenie zachodnich inicjatyw w tej dziedzinie byłoby jak najbardziej na czasie.

Po czwarte, i należy z miejsca stwierdzić, że nie byłoby to wcale sprzeczne z poprzednimi uwagami, Europa winna wzmocnić swe poparcie tych wschodnich Europejczyków, którzy czynnie walczą o polityczną emancypację wschodniej Europy. Walka ta jest nieuniknionym składnikiem i częścią przynajmniej przyczyną ewolucyjnych przemian we wschodniej Europie. Zbyt często się zdarza, że zachodni Europejczycy - zwolennicy bardziej niezależnej Wschodniej Europy - patrzą z ukosa na swych wschodnich współpracowników, którzy podejmują czynniejsze formy walki. Podczas gdy utrzymywanie towarzyskich stosunków z urzędnikami krajów Wschodniej Europy należy w pewnych kołach zachodnich do dobrego tonu, okazanie rzetelnej pomocy tym, którzy stawiają opór totalizmowi, niejednym tu niestety "pachnie zimną wojną".

A przecież podział ról między Ameryką i Europą, w myśl którego pierwsza pomagałaby sama dysydenckiej "subwersji", drugiej zaś przypadłoby wyłącznie oficjalne ceregiele, mijają się z celem. Zachodni Europejczycy winni wziąć na siebie część tych czynności, które Ameryka, w interesie Europy jak i swoim własnym, brała na swoje barki przez trzydzieści z górą lat. Francuzi okazali wiele szczerzej polskiej Solidarności /uczestniczyli w niej również inne kraje europejskie/. Radio France Internationale zyskuje coraz więcej słuchaczy we Wschodniej Europie. Ale należy robić o wiele więcej. Niemcy na przykład, gdzie kanclerz Schmidt właściwie zaaprobował stan wojenny Jaruzelskiego, ograniczyły się do humanitarnej filantropii prywatnej, ale nie zrobiły tyle ile by mogły, żeby podtrzymać różne formy akcji politycznej we Wschodniej Europie, mające na celu skłonienie rządzących reżimów do ewolucji.

W sposób subtelny, ale wytrwale Zachodnia Europa mogłaby pomóc wschodnim Europejczykom w tych wysiłkach, gdyż w naszym wieku transzystorów i masowych środków przekazu totalitarna kontrola nie może być szczelna, z czego niemają korzyści polityczna. Zachodnia Europa musi przecież być pełnym uczestnikiem walki o przyszłość Europy. Szczerze wyposażona inicjatywa francusko-brytyjsko-niemiecko-włoska /Fundacja dla spraw Europy pojałtańskiej/, mająca za

zadanie pomoc wschodnim Europejczykom w pokojowej emancypacji, mogłaby się do tego przyczynić walnie, byle by nie poniewczasie.

Po piąte, czas przemyśleć na nowo i od sedna stosunek między bezpieczeństwem Zachodu i polityczną przemianą w całej Europie. Zachód może się do tego przystosować, Ameryka zaś - skoro przypada jej główna rola wojskowa - winna tym pokierować. Ameryka potrzebna jest w Europie, by odstraszyć Rosję nie tylko od wojskowej agresji, lecz od politycznego nacisku. To sprawa oczywista i usprawiedliwienie NATO, wraz z wojskową obecnością Ameryki na kontynencie. Lecz wojskowa obecność amerykańska zwalniająca Europejczyków od wysiłku politycznego zjednoczenia, skądinąd zaś zmuszająca Sowiety do zachowania wojsk w Europie Środkowej i Wschodniej, wyżyta jest wszelkiej subtelniejszej kalkulacji polityczno-historycznej. Należy szukać bardziej przemysłanego równania polityczno-wojskowego, by móc zarazem chronić Europę Zachodnią i działać na korzyść przemiany stosunków Wschód-Zachód.

Jeśli Europa ma zaistnieć politycznie, musi przyczynić się bezpośrednio do swej obrony. Europa prawdziwie uczestnicząca w swej obronie pozwoli na zmniejszenie /lub na nową koncepcję/ amerykańskiej obecności wojskowej. Europa zdolna w większej mierze obronić się sama staje się bardziej żywotna politycznie, a zarazem mniej groźna dla Związku Sowieckiego w perspektywie wojskowej niż jest nią Europa goszcząca w samym sercu wielką amerykańską siłę wojskową. Taka Europa byłaby zatem zdolniejsza do zaspokojenia pragnienia bliższych z nią więzów, jakie żywi Europa Wschodnia, gdyż więzy te nie byłyby wówczas równoznaczne z klęską zadaną Rosji przez Amerykę.

Europie należy jednak dać bodziec w tym kierunku. Pozostawiona sama sobie, jej hedonizm i skłonność do politycznej autosatisfakcji sprawia, że nie stanie się nic. Przecież nawet skromne podwyższenie o trzy procent w roku 1978 udziału finansowego w budżecie wojskowym NATO nie zostało dotrzymane przez większość europejskich krajów. Ameryka winna zatem przygotować dłuższą akcję, zmierzającą do stopniowej zmiany rozmiarów i składu swej wojskowej obecności w Europie, wyjaśniając przy tym Europejczykom, że zmiana ta nie jest odruchem gniewu ani groźbą /w rodzaju rezolucji wniesionej przez senatora Mansfielda/, lecz wynikiem przemyślanej strategii zmierzającej do przywrócenia jedności Europy i jej historycznego znaczenia.

W ostatniej fazie Stany Zjednoczone byłyby w ramach NATO przeciwstawą strategicznej potęgi sowieckiej, gwarancją przeciw sowieckiej agresji czy nuklearnemu szantażowi. W terenie natomiast odpowiedzialność za obronę Europy spadałaby w ciągu następných dziesięciu lat w coraz większej mierze na barki Europejczyków. Konieczny proces stopniowego, lecz nie całkowitego /a w żadnym razie w Berlinie/ zastąpienia amerykańskich sił lądowych w terenie można by może przyspieszyć, gdyby - poprzez negocjacje w dziedzinie wzajemnych i zrównoważonych ograniczeń zbrojeń - Związek Sowiecki zgodził się na równoczesne wycofanie swych własnych sił lądowych. W każdym jednak wypadku procesowi temu musiałyby towarzyszyć przejęcie przez Europejczyków większej odpowiedzialności za obronę Europy, nie tylko w ramach sił poszczególnych państw, lecz również poprzez wzmocnienie europejskiej koordynacji obrony.

Stany Zjednoczone winny szczególnie popierać wzrost współpracy wojskowej francusko-niemieckiej i na dłuższą metę integrację sił obu państw. Francja ma szczególną świadomość historyczną swej europejskiej tożsamości, Niemcy zaś cierpią na skutek podziału Europy. Francusko-niemiecka armia miałyby ludzki, materialny, bojowy potencjał potrzebny do zapewnienia luk spowodowanych stopniowym wycofaniem lądowych jednostek amerykańskich. Późniejsze zaś zjednoczenie obu sił narodowych we wspólnie wojsko stanowiłoby olbrzymi krok naprzód w kierunku Europy bardziej żywotnej politycznie, a przecież zmniejszające naprężenie ze Związkiem Sowieckim wywołane obecnością wielkiej armii amerykańskiej, a również Europy mniej dla wschodnich Europejczyków groźnej od Europy o silnej armii niemieckiej. Stopniowe wycofanie ame-

rykańskich jednostek lądowych umożliwiłoby presję obecnych reżimów wschodnioeuropejskich o równoważne wycofanie wojsk sowieckich, co by z kolei prowadziło do odprężenia sytuacji politycznej.

Aby poruszyć Europę w tym kierunku, Stany Zjednoczone muszą wziąć na siebie, w razie potrzeby jednostronnie, inicjatywę dziesięcioletniego programu rocznych redukcji poziomu lądowych sił amerykańskich w Europie. Inicjatywa ta musi być powzięta w ramach z góry ustalonej strategii, konstruktywnej politycznie i wojskowo. Jej polityczny cel winien być jasno ogłoszony: stworzenie warunków do wskrzeszenia Europy, a przez to samo dla uzdrowienia stosunków między Wschodem i Zachodem. Trzeba będzie z góry zapowiedzieć, że pewna ilość amerykańskich sił lądowych pozostanie w Europie, podobnie jak pozostały w Korei w celu zapewnienia natychmiastowego zaangażowania amerykańskiego w razie działań wojennych. Co więcej, amerykański parasol strategiczny nad Europą nie powinien pozostać ograniczony do ewentualnego użycia broni nuklearnych. Należy go z czasem, wraz z technologicznym rozwojem, uzupełnić bronią strategiczną. W miarę rozwoju strategicznych sił obronnych Ameryki Stany Zjednoczone winny dążyć do częściowego przekazania tej obrony Europie.

Tego rodzaju podział ról w ramach NATO przygotowałby grunt do wzięcia pod uwagę, w pięćdziesiątą rocznicę Jałty, inicjatyw które się nam dziś wydają przedczesne, pozbawione realizmu lub zbyt niebezpieczne dla Ameryki bądź dla Rosji. Do nich należą strefy bądź całkowicie, bądź w dziedzinie nuklearnej zdemilitaryzowane, a również rozszerzenie neutralności typu austriackiego na inne kraje, z luźną konfederacją niemiecką włącznie.

Tak wyglądałby proces ewolucyjny pozwalający na stopniowe wyhurzenie jawnych i ukrytych dążeń wschodnio- i zachodnioeuropejskich ku odrodzeniu Europy. Odrodzona Europa miałaby ważną rolę do spełnienia na kontynencie eurazjatyckim obok Związku Sowieckiego, Chin i Indii, zapewniając - dzięki swym więzom z Ameryką - że żadna pojedyncza potęga nie zawładnie tym geopolitycznie kluczowym kontynentem.

VIII

Od pięćdziesiątej rocznicy Jałty dzieli nas tylko dziesięć lat. Niech będzie naszym wspólnym celem, by do tego czasu doprowadzić do polityczno-wojskowych układów, które zamiast utrwalać podział Europy, a może nawet prowadzić do rozkładu Europy Zachodniej, stworzyłyby warunki do pokojowego usunięcia skutków Jałty. Zachodnia Europa zasadniczo samowystarczalna w sprawach obrony, nadal korzystająca z ochrony amerykańskiego systemu nuklearnego odstraszania, a z czasem również z amerykańskiej obrony strategicznej, mogłaby sobie pozwolić na pozytywną politykę wschodnią nie obawiając się moskiewskiego zagrożenia. W ostatecznym rachunku jedynie Europa może odrodzić Europę; tego nie zrobi za nią nikt inny.

Moskwa przeciwstawi się oczywiście odrodzonej woli Europejczyków. Żadne imperium nie rozwiązało się dobrowolnie - przynajmniej aż do chwili usłabnięcia, że stopniowe rozwiązanie jest korzystniejsze od rosnącej wciąż ceny zachowania imperialnego systemu. Stanie się to z kolei losem sowieckiego imperium. Moskwa będzie gwałtownie protestować przeciw odrzuceniu jałtańskiej spuścizny przez Zachód, oskarżając go o narażanie na szwank stosunków ze Wschodem; tego się nie uniknie. Lecz otwarte i głośne odrzucenie tej spuścizny jest niezbędnym punktem wyjścia ku przemyślanym wysiłkom wszystkich Europejczyków, by stopniowo usunąć podział ich kontynentu. Gdy raz podejmą to historyczne zobowiązanie, dalsze wysiłki, określone powyżej, nie muszą być prowadzone w sposób agresywny, ani nawet w pierwszej fazie jasno sformułowane. Z czasem, w miarę utwierdzenia organicznego wzrostu szerszej Europy, coraz trudniej będzie Moskwie oprzeć się procesowi nabierającemu cech histo-

rycznej konieczności. Nadejście może nawet chwila, gdy Sowiety same uznają potrzebę układów prowadzących do neutralizacji obszaru w Europie Środkowej, do redukcji i wreszcie wycofania swych sił okupacyjnych.

Nie należy nigdy zapominać w tym kontekście o zdolności przystosowywania się Moskwy, gdy uzna to za potrzebne. Nawet bezlitosnego Stalina zmusiła rzeczywistość do uznania istnienia niepodległego Kościoła w Polsce; Chruszczowa do przyjęcia polskiego chłopstwa wolnego od kolektywizacji i osobnej polityki zagranicznej Rumunii; Breżniewa do zgody na "gulaszowy komunizm" na Węgrzech i wojskową władzę w Polsce. Dlaczego więc nie miałyby następne pokolenie sowieckiego kierownictwa pogodzić się z faktem, że nawet sowieckie społeczeństwo osiągnęłoby większe korzyści z mniej beznadziejnej i zgnębioj Europie Środkowo-Wschodniej mającej dostęp do awantazy wszech-europejskiej kooperacji?

Z wejściem Europy w piąte dziesięciolecie Jałty powtórzmy raz jeszcze, że odrzucenie jej dziedzictwa nie dojdzie do skutku za pomocą sztywnego schematu czy jednorazowej dramatycznej inicjatywy. Kształtu przyszłości nie można zredukować do schludnego obrysu o ścisłym kalendarzu i szczegółowym przebiegu. Wymaga on raczej wyraźnego zobowiązania i strategicznej orientacji procesu ewolucyjnego, który musi wytworzyć własną dynamikę. Dla Ameryki wyłonienie bardziej żywotnej Europy będzie w każdym razie rezultatem pozytywnym, gdyż w ostatecznym rachunku pluralistyczny świat leży w jej interesie. Ewolucja w tym kierunku zapobiegłaby grożącemu nam niebezpieczeństwu, że w braku świadomie - choć pokojowo - przeprowadzonej likwidacji spuścizny Jałty na Wschodzie, stanie się ona z kolei udziałem Zachodu. Innymi słowy, trzeba Jałtę przekazać przeszłości Europy, jeśli nie chcemy, by się stała jej przyszłością.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

/Tłumaczenie: K. A. Jeleński/

Zbigniew BRZEZIŃSKI był asystentem prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw bezpieczeństwa narodowego w latach 1977-1981. Obecnie jest profesorem rządzenia /*Government*/ na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku i doradcą /*Senior Advisor*/ Ośrodka Studiów Strategicznych i Międzynarodowych przy Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. Ostatnią jego książką jest "Władza i zasady" /*Power and Principle*/.

KULTURA, styczeń-luty 1985

LEOPOLD UNGER

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

Szlabany się podniosły, dreszcze obrzydzenia opadły, na Zachodzie jest coraz ciszej nad polskimi trumnami. Wystarczyły niecałe trzy lata i 91 ofiar stanu wojennego, morderstwo jednego księdza, wyduszenie wszelkich energii samorządnych oraz jednej wielkiej nadziei, aby spora część politycznego *establishment*'u na Zachodzie uznała, że ludzie w mundurach i w cywilu u władzy w Warszawie są znowu *salonfähig*.

"Bankructwo zachodniej polityki dyskryminacji wobec Polski" - oznajmił rzecznik rządu w Warszawie; powtórzyli to za nim niektórzy korespondenci prasy zachodniej. Pierwsi złamali kwarantannę przedstawiciele krajów neutralnych, Austrii i Finlandii, ale taka ich dola i rola. Za nimi ruszyli orszak tuzów: Papandreu, Vogel, Rifkind /będzie o nich wszystkich i o każdym z osobna nieco dalej/. W chwili pisania tych słów odpadł nagle Genscher, ale ma jeszcze zjawić się nad Wisłą włoski Andreotti, nie licząc pomniejszych jeszcze no i naturalnie zalewu bankierów i kupców.

Satysfakcja władz warszawskich jest zrozumiała i uzasadniona. Reakcja zachodnich rządów na pucz z 13 grudnia sprowadzała się właściwie, poza okrzykami oburzenia, do fałszywego zaskoczenia i dwóch zbiorowych sankcji. Po pierwsze, zamrożenie kontaktów na wysokim szczeblu z Warszawą. Po drugie, zablokowanie linii kredytów gwarantowanych przez rządy /dług! wyłącznie prywatne, to inna sprawa/.

"Po pierwsze" już leży: kontakty na wysokim szczeblu są nawiązane. Sprawa podróży do Warszawy była dyskutowana na rozmaitych szczeblach europejskiej drabiny w Brukseli. Francuzi pozostali tej idei niechętni. Amerykanie, którzy mają z Europą zachodnią konflikty na bardzo rozmaite tematy /handel, rakiety/, znacznie, ich zdaniem, ważniejsze niż los Polaków, wobec pielgrzymek do Warszawy zachowali się neutralnie: nie poparli, ale nie zakazali.

"Po drugie" na razie jeszcze trwa. Niektórzy twierdzą, że odblokowanie kredytów to tylko kwestia czasu. Pytanie, jak długiego. Dla Reagana, a to on decyduje, to chyba więcej niż kwestia czasu. Dla niego /na razie/ proces nobilitacji władzy wyłonionej z nocy 13 grudnia nie jest zakończony. Jest to prawdopodobnie w większym stopniu sprawa stosunków Wschód-Zachód, USA-ZSSR w ogóle i stosunków wewnętrznych w USA /Polonia/ w szczególności, niż jakiegos wyjątkowo moralnie wrażliwego stosunku do cierpień Polaków. Z punktu widzenia moralnego straszny los chłopów w Gwatemali czy śmierć dzieci z głodu w marksistowskiej Etiopii są większą tragedią i bardziej działają na wrażliwość zachodniego płatnika niż śmierć bezbronnego księdza, do którego nawet prymas miał pretensje.

Podróże kształcą, to prawda, ale nie tylko gości, ale także i gospodarzy. Jeżeli założyć, że gospodarzem Papandreu, Vogla, Rifkinda itd. był nie tylko rząd z Warszawy ale także, w pewnym przynajmniej stopniu, naród polski, to pytanie brzmi, jak się podróż udała, jakie wnioski należy wysnuć z pobytu zachodnich dygnitarzy w PRL.

Dwie będą opowieści z tej ewangelii. Pierwsza, z serii byt określa świadomość, dotyczy powodów, dla których blokada Polski wojskowej została złamana. Druga, z serii świadomość określa byt, dotyczy powodów, dla których Polska cywilna powinna już wiedzieć, kto to są przyjaciele Polaków i jak ich rozróżniać.

Odpowiedź na pierwszą nie nastęrcza większych trudności. Wszyscy albo prawie wszyscy dżentelmeni z Zachodu przyjeżdżają do Warszawy nie w imię interesu Polaków, a w imię własnych interesów. Nie ma w tym nic zaskakującego, tak było zawsze. Rzadko jednak hipokryzja była tak obrzydliwa. Argument główny składa się z dwóch części: a/ zbyt duża izolacja jest kontrproduktywna i pozbawia Zachód wpływu na bieg wydarzeń w Polsce; b/ zbyt długi bojkot wepchnie Polskę jeszcze głębiej w ramiona Moskwy. Brednia. Polakom nie trzeba tłumaczyć dlaczego. W rzeczywistości Papandreu przyjechał, żeby zrobić na złość Amerykanom i swym kolegom z EWG, z uwagi na ich stosunek do Turcji. Andreotti prawdopodobnie stara się poprzez swe wybryki zagraniczne /niedawno zaatakował RFN za pangermanizm i wyraził radość z istnienia dwóch państw niemieckich/ zatrzeć ślady swych związków z mafią sycylijską. Genscher i Vogel przynajmniej mają rzeczywiste polityczne powody. Genscher chciał pojechać do Warszawy, bo Honecker i Żiwkow nie "mogli" przyjechać do Bonn. Los 21 milionów Niemców za murem stanowi

bowiem element zasadniczy wewnętrznej polityki zachodniemieckiej, Ost-polityka nigdy nie wyszła z mody ani dla chadeków, ani dla socjalistów.

Druga opowieść jest bardziej skomplikowana. Wymaga dłuższego wywodu i opisu trzech podróży współczesnych Sindbadów.

Podróż pierwsza, czyli kogo Zeus chce zabić, temu rozum odbiera

Pan Andreas Papandreu jeszcze jest premierem, ale już wszedł do historii. Jest to pierwszy szef rządu państwa należącego do EWG i do NATO, który odwiedził osoby sprawujące władzę w Polsce po 13 grudnia 1981 roku. Tak naprawdę, to nie jest to nawet niespodzianka. Jeszcze zanim przyjechał do Warszawy w październiku 1984 roku, pan Papandreu dał się poznać jako przyjaciel generała. Kiedy tuż po puczu w Polsce Europa Zachodnia jeszcze wrzała z oburzenia, Papandreu odmówił przyłączenia się do sankcji przeciw Polsce i Rosji, wyrzucił na bruk swego wiceministra spraw zagranicznych, który nieopatrznie wyłożył podpis pod rezolucją EWG, potępiającą noc polskich generałów. Mimo własnych i całego narodu doświadczeń z własnymi generałami, Papandreu zapamiętał natchmiastową sympatią do gen. Jaruzelskiego. Był jedynym przedstawicielem rządów zachodnich, który ostentacyjnie uściśnął dłoń generała z Warszawy w czasie pogrzebu Breżniewa w Moskwie. Papandreu odmówił także potępienia zestrzelenia przez Moskwę południowokoreańskiego Boeinga nad Sachalinem. Twierdząc, zgodnie z tym co napisała *Prawda*, że samolot był w misji szpiegowskiej.

To nie wszystko. Oryginalność pana Papandreu sięga znacznie dalej. Socjalistyczny premier Grecji popiera ruchy pacyfistyczne, zwłaszcza te najbardziej kontrolowane przez Moskwę. Popiera także tak zwany niezależny pomysł utworzenia strefy bezaatomowej na Bałkanach, gdzie, jak na razie, jedyną rakietę jakie można by już zdemontować należą *ausgerechnet* do... Amerykanów. Kiedy delegacja parlamentu greckiego odwiedziła Berlin zachodni, Papandreu zabronił jej odwiedzić... mur, żeby nie urazić NRD.

Choć brzmiało to niewiarygodnie, nie odrzuciłem informacji, że Papandreu wyraził zgodę na propozycję Warszawy "przyjęcia" banitów politycznych z KOR-u czy Solidarności. Chodzić mogło o jedną z wysp, na których inni generałowie osadzali nieco wcześniej politycznych przyjaciół premiera Papandreu. W atmosferze tak szczerej i bezinteresownej przyjaźni nic dziwnego, że pan Papandreu obiecał swemu kumpłowi z Warszawy przedstawić na europejskim szczycie w grudniu w Dublinie propozycję zniesienia wobec generała Jaruzelskiego ostatnich śladów zachodniego niezadowolenia z grudniowego puczu.

Byłem niedawno w Grecji, widziałem polityków z rządu i opozycji, starałem się zrozumieć postępowanie premiera Papandreu.

Chodzi głównie o kompleks antyturecki. Trudno to wytłumaczyć, jest to połączenie uczuć jakie Polacy żywią wobec Sowieców i Niemców równocześnie. Grecy nie widzą dla siebie żadnego zagrożenia ani z zewnątrz ani od wewnątrz poza zagrożeniem tureckim. Jest to paradoks polityczny, jako że Turcja jest członkiem nie Paktu Warszawskiego, a Paktu Atlantycznego, a więc tego samego co Grecja, chodzi więc o sojuszników, no, ale Polakom znowu nie trzeba tego tłumaczyć: my też jesteśmy w tym samym pakcie co ZSSR i NRD, to też są nasi sojusznicy. Otóż Grecy uważają, że Amerykanie, kiedy należy wybierać i kiedy mogą wybierać, zawsze stają po stronie Turcji. Kissinger, który nieostrożnie kiedyś próbował wytłumaczyć, że wyboru często nie ma i to nie z winy Turków, jest najbardziej znieawidzoną postacią pod Olimpem.

Analiza kompleksu antytureckiego, jak zresztą każdego kompleksu, wymaga umiejętnego połączenia psychiatrii i dyplomacji.

Zapytany o reakcję Zachodu na wydarzenia w Polsce, Papandreu zachnął się i odpowiedział: "Chciałbym dostrzec wrażliwość na Zachodzie wobec wydarzeń w Turcji". Spytany o atlantyckie sankcje wobec Polski, Papandreu odpowiedział: "Jak można krytykować kraj Europy wschodniej a nie Turcję, członka naszego własnego sojuszu?". *Passons en*, litania byłaby długa, w skrócie mówiąc, Papandreu uważa, że Zachód nie powinien się gniewać na Polskę, albowiem powinien zajmować się wyłącznie Turcją.

Papandreu jest premierem, stol na czele partii, rządu i wojska. Wyrządza wiele złego. A przecież nawet najbardziej antyturecki Grek nie powinien zapominać, że dostał w kość od własnych generałów i nie powinien doradzać Polakom, aby polubili swoich wojskowych. Jeszcze tak niedawno Papandreu, siedząc za drutami, bardzo oczekiwał zachodniej interwencji przeciwko greckim pułkownikom, a teraz należy do najbardziej zdecydowanych przeciwników zachodniej - jak mówi wraz z Jaruzelskim - "ingerencji" w sprawy polskie. Jeszcze niedawno Papandreu uważał, że Solidarność to najbardziej rewolucyjny ruch od 1917 roku, a teraz uważa, iż Solidarność poszła za szybko i za daleko i "przekształciła się wtedy - jak wszystkie ruchy progresywne - w ruch niebezpiecznie negatywny". Grecy mają rzec jasna prawo do wolnych wyborów /Namińczycy i Chlijczycy również/, ale Polacy to awanturnicy. Rząd pułkowników greckich był paskudny i krwiożerczy, ale "rząd generała Jaruzelskiego zmierza do normalizacji w tym zakresie, w jakim można zastosować to określenie wobec kraju leżącego w Europie wschodniej". Generał Papadopoulos to był faszystowski zbir, ale generał Jaruzelski to "patriota, który pragnie zmian w historycznych granicach dzisiejszej Polski" i który "w jego kontekście historycznym dojdzie powoli do tego celu, jeżeli nie będzie sabotowany przez siły z rozmaitych stron".

Historyczna i dziejowa misja generała Jaruzelskiego ujawniona 13 grudnia 1981 jest tym bardziej godna zrozumienia, a nawet wdzięczności, że "Polska przechodziła wówczas bardzo krytyczny proces historyczny, który - gdyby nie został w porę zatrzymany - mógł spowodować groźny wybuch, nie tylko w Europie, ale w świecie".

Nic dziwnego, że z takim przekonaniem Papandreu nie musiał słych poglądów na sytuację w Polsce weryfikować i że został w Polsce uznany za uczonego w polityce międzynarodowej i ruchach społecznych. Udał się więc do Krakowa po dyplom doktora *honoris causa* /M'Bow z UNESCO i Perez de Cuellar z ONZ też dostali - biedna ta gwałcona ciągła Alma Mater - kolej na Kadafigo/, ale nie pojechał do Gdańska, aby spotkać też doktora HC, ale z Harvardu, no i jednego żyjącego i dostępnego na Wschodzie laureata pokojowej nagrody Nobla.

Podróż socjalistycznego premiera Grecji do Gdańska była tym bardziej niepotrzebna, że wcale mu nie chodziło ani o ruch związkowy, ani nawet o Polskę. Premier atlantyckiej Grecji odkrył mianowicie i ujawnił to w Warszawie, że stosunek USA do Polski - "najstabszego ognia bloku wschodniego" - stanowi część "świadomego, precyzyjnego planu w szczególności Stanów Zjednoczonych, ale podzielanego przez niektóre inne państwa zachodnie /nie zawsze i nie w całości/ zmierzającego do destabilizacji struktur politycznych Europy wschodniej".

Chciałbym w tym miejscu uczynić trzy skromne uwagi pod adresem i na użytek premiera Papandreu.

Po pierwsze, dokładnie taką samą hipotezę źródeł wydarzeń w Polsce wyłansowała propaganda sowiecka, *Pravda*, *Izwestia* oraz KGB i ich odpowiednie przedstawicielstwa w Polsce.

Po drugie, nie rozumiem niechęci premiera Papandreu, demokracji i socjaldemokracji, do idei destabilizacji dyktatur. Czyżby uważał że Zachód powinien pomagać w ich stabilizacji? Jeżeli tak, to dlaczego domaga się destabiliza-

cji przez Zachód dyktatury tureckiej, chilijskiej i innych?

Po trzecie, *hélas*, amerykańskiego planu destabilizacji struktur wschodnich niestety nie ma. A szkoda, na tym bowiem polega cały problem. Zachód nie chce, ale przede wszystkim nie wie jak mógłby destabilizować dyktatury na wschodzie, nie jest w stanie uczestniczyć w rozwiązywaniu kryzysów tego, co Papandreu nazywa "strukturami na wschodzie", a co sprowadza się do narzucenia przez Moskwę lat temu czterdzięci modelu okupacji kilku państw Europy wschodniej i środkowej.

Talent dyplomatyczny Papandreu ujawnił się nie tylko w kontekście polskim. Jest to szkodnik w skali międzynarodowej. Właśnie wpuścił w maliny prezydenta Mitterranda, którego namówił na schadzkę z pułkownikiem Kadafim. Spotkanie odbyło się na Krecie, wyspie, która ma wątpliwe tradycje intelektualne. Kadafi, demant i rozbójnik, ośmieszył Mitterranda. Mniejsza o szczegóły w sprawie państwa Czad, które właściwie nie istnieje i nigdy nie istniało, groźniej rysuje się przyszłość. Papandreu, według Pytyjskich źródeł, stara się mlanowicie pośredniczyć w zorganizowaniu ważniejszego *rendez-vous*: Reagana z Czernienką. Boże, chroń Prezydenta!

Po tej kropce pomyślałem sobie, że dość już o Papandreu i pora przejść do innych, przewidzianych na dzisiaj osób. Ale przypadek sprawił, że musiałem przy nim i jego kompleksie pozostać. Mianowicie zostałem zaproszony przez przyjaciół Papandreu do udziału w dyskusji socjalistów brukselskich. Już temat wydał mi się ówznaczny: "Zachodnia lewica a Europa wschodnia". Zacząłem więc od tłumaczenia, że w istocie rzeczy nie istnieje Europa wschodnia, a istnieje grupa krajów bardzo się różniących pod każdym względem, i że nie istnieje także lewica zachodnia, że patrząc na przykład z Warszawy, zachodnioniemiecka SPD jest bliższa francuskiej partii komunistycznej niż socjalizm Mitterranda. Na nic, albowiem jak tylko chciałem wytłumaczyć, że zachodzą różnice między sprawą Namibii a Polski, Gwatemali i Węgier, moi dyskutanci wyciągali Turcję.

Musiałem więc w tej materii uczynić dalsze cztery skromne uwagi pod adresem i na użytek zachodniej lewicy.

Po pierwsze, w chwili puczu w Turcji ginęło dziennie 50 osób od strzałów terrorystów z lewa i z prawa. W Polsce pierwsze ofiary terroryzmu padły 13 grudnia 1981.

Po drugie, za politycznym projektem generałów tureckich nie stoi żadna megatonowa potęga. Turcja już kilka razy przechodziła z rąk generałów w ręce cywilów, bez ingerencji z zewnątrz i destabilizacji Europy. W Polsce, głównym źródłem legitymizmu władzy generalskiej jest niebezpieczeństwo inwazji sowieckiej.

Po trzecie, generałowie, którzy objęli władzę w Turcji nie uczynili tego w imię szczęścia ludzkości ani hasła mających zastosowanie uniwersalne i poparcie totalitarnego oręża. W Polsce wszystko się odbyło w imię socjalizmu, ideologii mającej przynieść rozwiązanie problemów całego świata, Polski, Turcji no i Grecji, która się ledwo, ledwo od tego szczęścia uchroniła. Następnym razem może być gorzej.

Po czwarte, rzut oka na historię współczesną wykaże iż Grecja, Hiszpania, Portugalia, Turcja /kilka razy/, a nawet Argentyna, Urugwaj, częściowo Brazylia, już wyszły, czy właśnie wychodzą z nocy prawicowej dyktatury wojskowej i mniej lub bardziej miękko lądują w demokracji. Ani jeden kraj w którym zapanował sowiecki socjalizm nie powrócił albo nie doszedł do demokracji czy choćby socjaldemokracji takiej jak u pana Papandreu.

Podróż druga: "Oh, welche Wonne, ein Esel zu sein!"

Hans Jochem Vogel to prawdziwy Niemiec z Wagnera. Urodził się nie pod Olimpem, a w Monachium. Miasto to nie ma dobrej opinii w historii, ani polskiej, ani w ogóle. Wspomnienia, że tak powiem, są bogate, choć mało urozmaicone. Wystarczy przypomnieć zwłoki Czechosłowacji i *Le lâche soulagement* Zachodu w 1938 roku. Kiedy szukałem polskiego odpowiednika tego trafnego sformułowania francuskiego, Broński mi przypomniał /on wszystko pamięta/, że najlepiej byłoby użyć znakomitego sformułowania Chručila, tylko że już raz go użyłem. Nie szkodzi, dobrego nigdy za dużo. Otóż Churchill powiedział wówczas pod adresem monarchijczyków: "Wybrałście hańbę, aby uniknąć wojny. Będziecie mieli i hańbę, i wojnę". I mieli.

Hans Jochem Vogel opinii Monachium nie poprawi. Był burmistrzem Monachium i Berlina Zachodniego, zanim został ministrem w rządzie Brandta, a potem Schmidta i w końcu aktualnym przewodniczącym SPD, socjalistycznej partii zachodniemieckiej, i szefem opozycji w RFN.

W tym ostatnim charakterze pojechał niedawno do Warszawy, zaproszony przez - jak to określił - "grupę parlamentarną polskiej partii komunistycznej, to znaczy jako gość rządu". Ani jedno słowo w tym zdaniu nie odpowiada prawdzie ani logice. Nie ma grupy, nie ma parlamentu, nie ma polskiej partii komunistycznej, no i nie wiadomo dlaczego gość partii ma być gościem rządu. Analiza logiczno-semantyczna jest w tym wypadku ważna, bowiem to właśnie w oparciu o to zdanie Vogel skonstruował całą teorię swego zachowania w Warszawie. Został przyjęty i uściśnięt dłoń generała Jaruzelskiego oraz kilku innych dygnitarzy. Nie uściśnięt dłoń polskich robotników ani laureata Nobla, przewodniczącego najbardziej autentycznie robotniczego i masowego ruchu związkowego w Europie, ani żadnego z jego doradców. Nie udał się też na grób ks. Popiełuszki, męczennika sprawy robotniczej.

Nie jest to właściwie zaskoczeniem. Przyjazd pana Vogla poprzedzony był głosami prasy niemieckiej, która nie pozwalała na złudzenia. Według DPA na przykład, pan Vogel pojechał do Warszawy, aby kontynuować tradycję pana Wehnera, pierwszego polityka zachodniego, który odwiedził Polskę właśnie budzącą się z koszmarnej nocy 13 grudnia 1981 roku. *Die Welt* uprzedzała, że pan Vogel zapewnił władze warszawskie, iż nie zamierza swą osobą i postępowaniem sprawić żadnych kłopotów. Nic dziwnego, dodaje DPA, pan Vogel w całej swej karierze zawsze kierował się rozsądkiem i wymogami politycznej etykiety, a nigdy uczuciami.

Pan Vogel nie zawiódł władz warszawskich i jest z tego bardzo zadowolony. Oto schemat jego rozmowania w oparciu o oryginalne cytaty:

- a/ sytuacja wewnętrzna w Polsce rozwija się w kierunku, jakiego my, SPD, sobie życzymy,
- b/ nie chciałem zwiększać trudności i kiedy to podkreślał, mam na myśli nie tylko rząd polski,
- c/ smutek /*a propos* Popiełuszki/ wyraziłem wobec przedstawiciela episkopatu, a głębia mojego ubolewania nie zależy od miejsca gdzie je wyrażam,
- d/ SPD utrzymuje kontakty z tymi, którzy uważają, że są w Polsce w opozycji i nie ma zamiaru tych kontaktów zrywać, ale nie wszystko jest możliwe w tym samym czasie i w tym samym miejscu.

Nic dziwnego, że Vogel odebrał, jak o tym poinformował prasę po powrocie, "sygnały, iż moje zachowanie się - nie spektakularne, ale za to rozsądne - zostało ocenione z wdzięcznością". Nic też dziwnego, że w związku z tak serdeczną atmosferą pan Vogel "nie jest pozbawiony optymizmu" po wizycie w War-

szawie i że w wywiadzie dla pewnego dziennika z Warszawy poważnie ocenią decyzję "powołania wspólnej grupy roboczej dla omówienia środków budowy zaufania". Zaufanie MSW Vogel już ma, potrzebne byłoby mu jeszcze tylko zaufanie narodu polskiego. Na razie poczeka.

Aby krótko ocenić podróż pana Vogla do Warszawy, trzeba sparafrazować formułę Churchilla. Wybierając polityczną etykietę, a nie uczucie, pan Vogel wybrał wstyd, aby uniknąć skandalu, a ma obecnie i wstyd, i skandal. Podobnie jak z wizyty Papandreu, tak i ze sprawy "Vogel a Polska" należy wysnuć dwa wnioski.

Po pierwsze, wizyta Vogla, szefa opozycji, była tylko pozornie mniej ważna niż wizyta Papandreu, szefa rządu państwa EWG i NATO. W istocie sprawa ma się odwrotnie. Stosunki między narodami Polski i Grecji nie zmieniają się od uścisków i szampana Papandreu i Jaruzelskiego. Vogel natomiast wymazał z pamięci Polaków obraz Brandta na kolanach w getcie. Albo inaczej: Żydzi Brandtowi nie zapomną jego wizyty w getcie, Polacy Vogelowi także nie zapomną nieobecności u grobu Popiełuszki. To wielka szkoda dla klimatu stosunków nie między SPD a PZPR, a stosunków między Niemcami i Polakami. A to jest zupełnie inny, nie grecki, wymiar.

Po drugie, bawili w Polsce, w bardzo dla niej trudnym okresie, dwaj wybitni socjaliści z krajów bloku zachodniego. Jeden był szefem rządu, drugi szefem opozycji, a zachowali się tak samo, to znaczy po świńsku. Odwrócili się tyłem do narodu. I tak już zostanie. Rachunek wystawi historia.

Podróż trzecia: That is the question!

Malcolm Rifkind zanim został wiceministrem spraw zagranicznych, odpowiedzialnym za sprawy europejskie w rządzie Mrs. Thatcher, był rzecznikiem partii konserwatywnej do spraw Szkocji, gdzie się urodził, wykształcił i wyrobił. I gdzie został gentlemanem. Gentlemanem do tego stopnia, że kiedy był w Polsce i odwiedził osoby sprawujące czasowo władzę w tym kraju, postanowił także spotkać się z przedstawicielami kół opozycyjnych oraz poznać prawdziwe uczucia narodu, a nie jak Vogel, tylko etykietę polityczną.

Zgodnie z takim podejściem, pan Rifkind spotkał się naturalnie ze swoim formalnym gospodarzem, wiceministrem spraw zagranicznych PRL, dwoma wicepremierami oraz innymi przedstawicielami administracji wojskowej, po czym odbył rozmowę z arcybiskupem Dąbrowskim i - oddzielnie - z doradcami Solidarności Geremkiem, Mazowieckim, Śliwińskim i Onyszkiewiczem /wszyscy, w przeciwieństwie do przedstawicieli władz, władają językiem pana Rifkinda/ oraz złożył w imieniu rządu Jej Królewskiej Mości wieniec na grobie księdza Popiełuszki, dając przy tym - w tym właśnie miejscu - wyraz swemu ubolewaniu i nadziei, że idee, którym był wierny i za które zginął ksiądz Popiełuszko kiedyś w Polsce zatriumfują zgodnie z pragnieniami narodu polskiego.

Niby nic wielkiego, ale wywołało to poważne niezadowolenie kół rządowych PRL. Rzecznik rządowy ostro zaprotestował przeciwko postępowaniu pana Rifkinda, który "zachował się tak, jakby odwiedzał kolonię brytyjską". Pan Rifkind, według pisma *Rzecznypospolita*, "po kryjomu" spotkał się z "nielegalnymi strukturami", lub formując to inaczej - "z reprezentantami grup antyrządowych", ponieważ chciał te struktury "dowartościować i nadać im rangę pełnopodmiotowych partnerów do rozmów międzynarodowych, w jaskrawej niezgodzie z zasadami przyjętymi w stosunkach międzynarodowych". Rzecznik rządowy znalazł dla tego skandalu dyplomatycznego obrazową analogię: Rifkind ze strukturami to tak jakby polski minister spotkał się z IRA, aby poznać sytuację w Irlandii. Rzecznik powiedział, że nam - to znaczy im - nikt lekcji udzielać nie będzie, a przede wszystkim uprzedził, że "nie będziemy się godzić na spotkania z nielegalnymi strukturami", co jest "nieprzewidziane zwyczajami międzynarodowymi".

Już tylko nawiasem należy wspomnieć, iż dzięki pryncypialnej postawie rzecznika minister Genscher anulował w ostatniej chwili swoją wizytę w Warszawie. Trudno o bardziej krótkowzroczną dyplomację: rząd polski, jak mówią Anglicy, strzelił we własną nogę, albo po polsku, przeziębił się мамie na złość. Pożytek wynikający dla reżimu w Warszawie z przyjazdu Genschera był oczywisty. Wizyty Papandreu, Vogla czy Rifkinda nawet razem wzięte nie miały takiego znaczenia dla proklamowania końca izolacji /nie mówię już o interesach/ rządu generała Jaruzelskiego, jak jedna wizyta Genschera. Ale aspekty wewnętrzne przeważyły, Genschera ostrzeżono, że do grobu Popiełuszki go nie dopuszczą, zbesztano za zamiar złożenia wleńca na grobach żołnierzy niemieckich, uprzedzono, że o "nielegalnych strukturach" nie ma mowy, a na dobitkę odmówiono wizyty dziennikarzowi z *Die Welt*, którego prozy rzecznik nie ceni. Reżim triumfuje: nie będzie Niemiec kładł nam wleńców w twarz.

Rifkind się bardzo zdziwił tej gwałtownej reakcji rzecznika. Dowiedział się o niej i przeczytał odpowiednie teksty niestety już po wyjeździe z Polski. W czasie warszawskich spotkań z ministrami i przedstawicielami władz nikt ani słowem nie dał mu do zrozumienia, że popełnia nietakt. Rifkind wyjechał przekonany, że głównym tematem wszystkich jego rozmów były nie "nielegalne struktury", a wyłącznie propozycje rządu generała Jaruzelskiego dotyczące maksymalnego zwiększenia dostaw polskiego węgla, aby zaprzyjaźniony rząd pani Thatcher mógł łatwiej złamać strajk angielskich górników.

Co do reszty, sprawa jest niestety prosta. Pan Rifkind nie miał wrażenia, że odwiedzał byłą kolonię brytyjską, natomiast teraz - po wypowiedziach rzecznika - ma pewność, że odwiedził kolonię sowiecką. Kilka uwag oburzonej Warszawy warty jest komentarza.

a/ W Anglii nikt się nie dziwi, kiedy oficjalni goście z krajów komunistycznych spotykają się również z przedstawicielami opozycji, wszystko jedno jakiej, na zmianę, labourzystowskiej czy konserwatywnej, a nawet z Komunistyczną Partią Anglii, której mimo tego nie udało się jeszcze ani razu nadać "rangi pełnopodmiotowych partnerów do rozmów międzynarodowych".

b/ Rifkind nie spotkał się z żadną "nielegalną strukturą", a z czterema obywatelami najzupełniej legalnie i otwarcie reprezentującymi określone poglądy sporej części polskiego społeczeństwa. To, że ta "część" - faktycznie ogromna większość społeczeństwa - uznana jest przez rzecznika za "nielegalną", nie zmienia celowości poznania przez brytyjskiego polityka poglądów także nie rządowych rzeczników.

c/ Porównanie z IRA jest w ustach rzecznika ryzykowną przenośnią. IRA jest organizacją terrorystyczną mordującą niewinnych ludzi, w tym kobiety i dzieci, głównie dlatego, że mają inne poglądy religijne i polityczne. Żaden z jego rozmówców w Warszawie, jak zauważył sam Rifkind, nie zwrócił mu uwagi na terrorystyczny charakter Solidarność ani na zbrodnie na niewinnych ludziach, jakich dopuścili się Mazowiecki lub Gieremek. Natomiast - ale tego już Rifkind oficjalnie nie powiedział - odwiedził grób ofiary terroryzmu w Polsce, poległej właśnie z rąk policji państwowej za wyznawanie innych poglądów religijnych i politycznych niż mordercy.

d/ Co do spotkania "po kryjomu" ze strukturami, to pan Rifkind bardzo się temu określeniu sprzeciwia. Struktury były oficjalnie zaproszone do rezydencji ambasadora brytyjskiego na *cup of tea*. Zaproszenie zostało z wdzięcznością przyjęte, a przybyciu struktur na potajemną herbatkę przyglądało się kilkunastu funkcjonariuszy organów, którzy ani na herbatkę /ani na drinka podanego nieco później/ istotnie nie zostali zaproszeni. Może to więc być zwyczajna zazdrość...

Wniosek po Rifkindzie już tylko jeden, bez związku z rzecznikami.

Było w Polsce jesienią 1984 dwóch socjalistycznych dygnitarzy i mężów /pożal się Boże/ stanu. Obaj z najzupełniej obrzydliwych politykierskich po-

wodów postanowili przypodobać się władzy, a zlekceważyć naród. Tylko brytyjski urzędnik konserwatywny znalazł się jak należało i udzielił lekcji dyplomacji i moralności. Jak powiedział Malraux, "polityki nie robi się moralnością, ale bez moralności nie jest wcale łatwiej robić politykę". Węgiel i tak Polska sprzedaje, a korona królowej i tak nie spada. "Misja spełniona", napisał *Times* na temat wizyty Rifkinda. Słusznie.

Podróż czwartą: po rozum do głowy

Niezdolność czy niechęć zachodniej lewicy do zrozumienia zjawisk politycznych zachodzących na wschodzie nie jest niczym nowym. Przeczytajcie "L'aveuglement", książkę Christiana Jelena, dziennikarza z francuskiego *Express*, na temat obłąkania socjalistów; odrzucających prawdę o rewolucji bolszewickiej i pierwszych latach terroru w ZSSR. W innej skali powtórzyło się to przy okazji Solidarności i to we wszystkich jej fazach. Zachodnia lewica nie była w stanie rozumieć ani zjawiska, jakim była pierwsza bezkrowna rewolucja robotnicza prawdziwie i przede wszystkim antymarksistowska, ani charakteru pierwszego w dziejach komunizmu masowego, niezależnego związku zawodowego, ani charakteru zamachu stanu z 13 grudnia, ani istoty obecnego reżimu.

Nieufność do Solidarności rozmaite nosiła nazwy. Klerikalizm, antysowiecki nacjonalizm, antykomunizm, hurra-rewolucjonizm, anarchizm... Zarzucano jej wszystko, aby tylko ukryć swe "lewicowe" przekładanie małych wyborczych i partyjnych interesów ponad szacunek dla hasła własnej ideologii.

Lewica, prawica, śmieszne, małe, anachroniczne, XIX-wieczne gierki. Dawid Warszawski, publicysta prasy podziemnej, trafnie to ujął, tłumacząc zachodniej lewicy, że te pojęcia nie mają zastosowania w Polsce, gdzie walka się toczy nie między lewicą a prawicą, a o to aby prawica i lewica mogły po prostu istnieć. Prawdziwy podział przebiega między tymi, którzy są za i tymi, którzy są przeciw totalitaryzmowi we wszelkich jej postaciach, cywilnych i wojskowych, czerwonych i czarnych.

Jak powiedział Bukowski, kiedy go wymieniono na komunistę chilijskiego Corvalana i wywieziono na Zachód, gdzie lewica zaczęła go krytykować za jego prawicowe /w socjalistycznym słowniku/ poglądy: "Ja nie jestem ani z obozu lewicy, ani z obozu prawicy, a z obozu koncentracyjnego!". Czy trzeba koniecznie być w środku, aby to zrozumieć?

Leopold UNGER

Pisane w Brukseli 9 grudnia 1984

KULTURA, kwiecień 1985

DOMINIK MORAWSKI

KORESPONDENCJA Z RZYMU

Z deszczu pod rynnę?

Gdyby teolodzy wyzwolenia ograniczyli się do dyskusowania swych nowatorskich tez we własnym gronie, prawdopodobnie Kongregacja Nauki Wiary nie uz-

nałaby za konieczne wydawanie specjalnej "Instrukcji". Rzecz jednak w tym, że "nowa teologia" znalazła się w centrum akcji duszpasterskiej w niektórych krajach Ameryki tacińskiej /zwłaszcza w Brazylii i Peru/, szerząc "dezorientację i zamęt" w umysłach wiernych. I stąd interwencja Stolicy Apostolskiej.

Niewiele dokumentów watykańskich wywołało tyle nieporozumień i ostrych, polemicznych reakcji. Jak się jednak okazało, liczni "glossatorzy" i polemici nie czytali samego tekstu "Instrukcji o niektórych aspektach teologii wyzwolenia", podpisanej przez kardynała Ratzingera, prefekta Kongregacji Nauki Wiary /dawne Święte Oficjum/, aprobowanej przez Papieża i ogłoszonej 3 września 1984 roku. Nie potępia ona bynajmniej "teologii wyzwolenia", pojmowanej jako aspiracja niedorozwiniętych społeczeństw do położenia kresu nędzy i "skandalowi rażących nierówności pomiędzy bogatymi i ubogimi". Przeciwnie, ta aspiracja jest jak najbardziej uprawniona, ponieważ Ewangelia nie głosi jedynie wyzwolenia duchowego. Instrukcja uznaje również prawo do wyzwolenia od zła zewnętrznego, materialnego, tkwiącego w niesprawiedliwych strukturach społecznych. Papież w czasie swej ostatniej podróży do Ameryki tacińskiej podniósł ponownie "preferencyjną opcję na rzecz ubogich", a więc obowiązek chrześcijan, działających w sferze społeczno-gospodarczej i politycznej pokojowego przekształcenia tych struktur. Dokument watykański odrzuca natomiast te warianty "teologii wyzwolenia", nader sugestywne i radykalne, które wpadają w zależność od marksizmu i posługują się analizą marksistowską dla opisu rzeczywistości społecznej. Instrukcja kwestionuje "naukowość" tej krytycznej analizy, a zwłaszcza zapożyczenia z teorii walki klas. W gruncie rzeczy dokument stanowi przestrożę przed rzekomą postępowością wywodzącą się z rewolucyjnych haseł, która w Ameryce Południowej i Środkowej próbuje podbić umysły, bo nie znają tam gorzkich doświadczeń marksizmu aplikowanego w praktyce społecznej i politycznej. Jest to więc przestroga, by wypaczenia ideologiczne, zdradzające sprawę ubogich, nie zaprowadziły społeczeństw, rządzonych przez dyktatury wojskowe /z których *nota bene* stopniowo się uwalniają/ czy reżimy autorytarne do obrania drogi systemów totalitarnych. Inaczej mówiąc, by nie wpadły z deszczu pod rynek.

Z nieposkromioną iluzją wypływającą z ideologii rewolucyjnej rozprawia się Leszek Kołakowski w wywiadzie dla katolickiego miesięcznika "30 Giorni". Instrukcja, która - jego zdaniem - jest jednym z najlepszych dokumentów doktrynalnych Kościoła, słusznie odrzuca "naukowe" pretensje marksizmu. Na zarzut zaś niektórych polemistów, że jest "eurocentryczna", a więc rzekomo nieprzydatna dla "specyfiki" Ameryki tacińskiej, replikuje z ironią: oznacza to *implicito*, że Bóg w Europie jest "transcendentny", podczas kiedy w Meksyku "immanentny", zabić kogoś w Anglii jest grzechem, ale niekoniecznie w Brazylii itp. Tym zaś co śnią o ochrzczeniu marksizmu, czyli są gotowi "stać się nawozem tyranii", Kołakowski przypomina "dialog pomiędzy kijem i dupą", jak mówi polski przysłowie.

Oczywiście dokument watykański nie dostarcza wskazówek dla rozwiązania problemów niedorozwoju, czyli potwornych dysproporcji i plagł niedożywienia w Ameryce tacińskiej. Nie było to jego celem. Z Kołakowskim zgadza się Lucio Colletti, wybitny filozof włoski, też "lex" /komunista, marksista, rewizjonista/, który, mówiąc o tragicznym paradoksie, polegającym na chęci wyzwolenia upośledzonych mas według wzorca "socjalizmu realnego", precyzuje: "paradoks ten nie byłby możliwy w Ameryce tacińskiej bez straszliwych błędów i ślepoty politycznej Stanów Zjednoczonych /eksploatacja tych krajów przez kapitał amerykański, nastawiony na maksymalizację zysków, co Papież stanowczo potępia/. Byłoby dobrze, by katolicy zwolennicy teologii wyzwolenia zdali sobie z tego sprawę, podobnie jak z doświadczeń krajów Europy Wschodniej".

Większe niebezpieczeństwo dla Kościoła, aniżeli skażenie czystości doktrynalnej, stanowi aspekt eklezjologiczny odchylen zawartych w pewnych interpretacjach "teologii wyzwolenia". Jej nurty rewolucyjne przeciwstawiają bowiem Kościołowi hierarchicznemu tak zwany Kościół ludowy /*Iglesia popular*/, co wykorzystują *nota bene* rozmaite sekty protestanckie /adwentyści,

mormoni, świadkowie Jehowy/, finansowane przez centrale w USA i Kanadzie. W czasie swej ostatniej podróży Jan Paweł II określił je mianem "fałszywych profetów" /liczne organy prasy międzynarodowej podawały błędnie, że Papież miał jakoby na myśli teologów wyzwolenia/. Tezy niektórych teologów kwestionują wymiar wertykalny Kościoła, to znaczy podważają piramidę hierarchiczną Kościoła, wykluczając interwencję "rzymskiej centrali" i posłusznej jej hierarchii w dziedzinie pastoralnej. Niezwykły rozkwit tak zwanych wspólnot podstawowych, zwłaszcza w Brazylii /około 150 tys./, z którymi sympatyzuje *nota bene* duża część biskupów i duchowieństwa, zagrozi konkretnie jedności hierarchii. Te fermenty prowadzą niewątpliwie do rozbitcia jedności Kościoła, pojmowanego jako wspólnota wiernych i dlatego stanowią poważną groźbę.

Choć kardynał Ratzinger i jego doradcy mają zapewne słuszność, kiedy stwierdzają, że "Instrukcja" nie stanowi aktu politycznego, bo główna troska ma charakter doktrynalny i eklezjologiczny, trudno przyjąć, by Papież i Kongregacja Nauki Wiary nie uwzględnili jej oddziaływania doczesnego, czyli ogromnej i praktycznie sprawdzalnej wymowy politycznej. Musieli przecież brać pod uwagę negatywne reakcje w bloku sowieckim, na Kubie i w Nikaragui, czyli w wielu krajach względnie środowiskach na terenie Ameryki Południowej, Azji i Afryki. Trzeba tu co prawda przypomnieć, że komunizm był gorzej jeszcze potraktowany w encyklice *Divini Redemptoris* Piusa XI z 1933 roku. Fakt jednak, że te czy inne racje dyplomatyczne i obawy o polityczny użytek dokumentu, zarówno w Ameryce łacińskiej, jak i w Europie Wschodniej, nie przeszkodziły jego publikacji, potwierdza, iż w Watykanie oceniono szerszenie się wypaczeń "teologii wyzwolenia" jako śmiertelne zagrożenie dla Kościoła Powszechnego. Na to niebezpieczeństwo zwraca uwagę w sposób niezwykle klarowny sam Jan Paweł II w swych przemówieniach na audiencjach w październiku ubiegłego roku dla episkopatów Ekwadoru i Peru. W obu przypadkach wystąpił z zaleceniami o "unikanie za wszelką cenę niebezpieczeństwa przeciwstawiania 'Kościoła ludowego' Kościołowi instytucjonalnemu". Wzywał do czujności i zachęcał do tego, by wspólnoty podstawowe nie izolowały się od istniejących struktur kościelnych czyli od parafii i od hierarchii. Papież potwierdził swoje stanowisko, przeciwne zarówno kapitalizmowi etatystycznemu /totalitarny komunizm/, jak i kapitalizmowi liberalnemu, wypowiadając się przeciwko systemom opartym na "czystym utylitarystycznym ekonomicznym z korzyścią dla grup uprzywilejowanych". Tym bardziej "zwodniczo", jego zdaniem, mogą wyglądać "opcje ideologiczne uciekające się do walki klas, przemocy i które nie przestrzegają praw człowieka". Papieżowi należy zawdzięczać, że po pierwotnych wahaniach, a nawet rozdarciach, zarówno w Peru, jak i w Brazylii, doszło do akceptacji watykańskiej "Instrukcji".

Wydaje się, że początkowe trudności w jej pełnej akceptacji polegały w dużej mierze na braku uprzedniej konsultacji z zainteresowanymi episkopatami latynoamerykańskimi. Nie bez znaczenia był też fakt, że Kongregacja Nauki Wiary odwróciła porządek logiczny: najpierw ogłoszono dokument o negatywnych aspektach teologii wyzwolenia, przesuwając na później dokument o "wolności chrześcijańskiej i wyzwoleniu" o charakterze pozytywnym. Kardynał Casaroli, Sekretarz Stanu oświadczył /z wyraźnym zamiarem rozładowania atmosfery/, że "byłoby na pewno lepiej, gdyby było można przedstawić stanowisko Stolicy Apostolskiej na temat teologii wyzwolenia kompleksowo, zaczynając od części pozytywnej, na co tak bardzo kładzie nacisk Ojciec Święty". Pilność zagadnienia, to znaczy otwarcia oczu na niebezpieczną tendencję, wymagała jednak opublikowania najpierw dokumentu "negatywnego". Polemiki wokół Instrukcji potwierdzają zdarzające się nieraz zjawisko: słuszność czyjegoś stanowiska bywa zamazana i nie odnosi pożądanego skutku, a nawet prowokuje efekt wręcz odwrotny od zakładanego, kiedy geneza jego powstania jest negatywnie obciążona, a sposób zaprezentowania jest niezręczny lub niedostatecznie przemyślany czy też niedomówiony. Niedomagania formalne odbijają się wówczas na treści, a więc na recepcji danego stanowiska.

Sprawa Instrukcji jest klasycznym przykładem tego rodzaju słusznych racji, osłabionych niestety niedociągnięciami organizacyjnymi i formalnymi. Świadczą o tym nie tylko braki w zakresie konsultacji zewnętrznej - co wywołało niepotrzebne kwasy wśród zainteresowanych episkopatów i kleru. Wyszły na jaw również niedociągnięcia koordynacyjne w tonie samej Kurii Rzymskiej. Dokument o tak wielkiej wadze powinien być konsultowany z Radą d/s Publicznych Kościoła, zwaną potocznie watykańskim ministerstwem spraw zagranicznych. Dzieje się tak zazwyczaj w przypadkach, kiedy dany dokument posiada implikacje wykraczające poza obręb jednego resortu czy sfery merytorycznej. Konsultacji tego typu zabrakło i dlatego wywołało to skargi o *sconfiamento*, czyli przekroczenie granic przez Kongregację Nauki Wiary; ściślej mówiąc: ponieważ aspekt doktrynalny zahacza w Instrukcji o delikatną materię polityczno-dyplomatyczną. Kongregacja ta powinna była przed zatwierdzeniem skoordynować jej tekst w niektórych drażliwych punktach. Tak się jednak nie stało, czego nie mógł ukryć kardynał Casaroli, Sekretarz Stanu czyli naczelny Koordynator. Prasa tutejsza przytoczyła jego wypowiedź, w której dał wyraźnie do zrozumienia, że nie brał udziału w posiedzeniu na którym zatwierdzono ostateczne brzmienie tej Instrukcji.

Być może ma jednak nieco racji brazylijski kapłan Leonardo Boff - jeden z protagonistów teologii wyzwolenia - kiedy, broniąc się przed oskarżeniem o orientację marksistowską, mówi: "patrzycie na nas w Europie jak z okien pałacu. Marksizm nas nie interesuje. Sedno rzeczy tkwi w ucisku i nędzy mas oraz w sposobie ich zniesienia". Obaj, kardynał Ratzinger, 'wielki inkwizytor' /faktycznie dobrotliwy uczony/ i franciszkanin Boff, w jednej sprawie są zgodni: Kościołowi w Europie zachodniej grozi rozkład, przyszłość Kościoła jest w Trzecim Świecie, a w pierwszym rzędzie w Ameryce tacińskiej.

Dominik MORAWSKI

Pisane 12 marca 1985

KULTURA, maj 1985

KAMILA CHYLIŃSKA

O ZIELONYCH - NIE NA CZARNO ANI BIAŁO

W chwilę po zaproponowaniu redaktorowi Giedroyciowi artykułu o Zielonych prawie się przeraziłam własnej propozycji. że jest to partia bez spójnego programu /a może raczej ruch? - nawet na takie wstępne określenie trudno się zdecydować/, że chaos i spory wewnętrzne należą do jej codziennego obrazu - o tym wie się powszechnie. Gorzej, że poza ryzykiem chwywania spraw "w biegu", każdy kto porywa się na najprostszą analizę Zielonych, podejmuje ryzyko dodatkowe. W dyskusjach wewnętrznych, jak i we wzajemnych polemikach z przeciwnikami, uruchamia się mianowicie tak wiele emocji - czasem aż do hysterii włącznie - że wyłuskiwanie potem faktów z ich uczuciowej otoczki stwarza poważne kłopoty.

A jednak sądzę, że z ryzykiem czy bez, artykuł powinien zostać napisany. Nie tylko dlatego, że do względnie trwałej konstelacji politycznej w RFN wdarł się nowy instrument nacisku, który miesza atuty w grze o większości parlamentarnej. Ale przede wszystkim po to, by czytelników polskich zapoznać nieco bliżej z problematyką pełną sprzeczności, lecz zbyt często włączaną

w czarno-białe sceniemy.

"Solidarność" i wszystkie wschodnioeuropejskie ruchy w obronie praw ludzkich uważały za *pendant* do naszej tu działalności" - mówi mi kandydatka Zielonych do *Landtag* w Płn. Nadrenii-Westfalii. "Jakże więc to pogodzić - pytam - z waszymi poglądami na bezpieczeństwo, z waszym żądaniem wystąpienia Republiki Federalnej z NATO"? I tu początek kontrowersji - o czym jednak później.

Jako partia o zasięgu ogólnokrajowym Zieloni ukonstytuowali się z końcem 1979 roku. Wcześniej już wchodzili do organów przedstawicielskich na różnych szczeblach, od gmin aż po niektóre parlamenty *Land*ów. W wyborach do *Bundestag* w 1983 roku zdobyli szturmem 5,6% głosów - przeszło 2 miliony - dzięki czemu stanowią dziś czwartą frakcję poselską^x. Dalszy wzrost Zielonych wykazały kolejne wybory regionalne w Bremie, Hesji i Badenii-Wirtembergii. Natomiast w ostatnich wyborach do dwóch *Landtag*ów - 10 marca - Zieloni stracili nieco w Saarze, uzyskując 2,5% głosów w stosunku do 2,9% w roku 1980, a wzrosli w Berlinie otrzymując 10,6% głosów w stosunku do 7,2% w roku 1981. W pierwszym przypadku pozostali nadal poza parlamentem, w drugim nadal w nim uczestniczą, powiększając wprawdzie liczbę mandatów, ale nie w przewidywanym stopniu /niektórzy liczyli się z ich podwojeniem/. Wreszcie w wyborach komunalnych w Hesji, przeprowadzonych tego samego dnia, Zieloni zarejestrowali lekki wzrost głosów. Można zatem ostrożnie wywnioskować, że owa marcowa niedziela - uważana tu skądinąd słusznie czy niestosownie za rodzaj testu dla przyszłych wyborów do *Bundestag* w - potwierdziła na ogół stabilizację Zielonych na obecnym poziomie, lecz zahamowała nieprzerwaną uprzednio dynamikę ich wzrostu. Czy tendencja ta istotnie się utrzyma, czy jeszcze zaostrzy, wykaże powinny wybory do *Landtag* w Płn. Nadrenii-Westfalii 12 maja /a więc już po wydrukowaniu niniejszego tekstu/.

Zarówno doraźne analizy, jak i głębiej pomyślane badania wykazują, że najszerzym rezonansem cieszy się partia Zielonych wśród młodzieży. Dla ilustracji jedna tylko liczba: jeśli w przekroju ludnościowym RFN młodzież kształcząca się z ukończonym 18 rokiem życia stanowi 9% ogółu ludności - to udział tej grupy wśród wyborców Zielonych sięga 36%. Nie sprawdza się natomiast zakorzeniona uparcie opinia o niskiej wśród owych wyborców proporcji pracowników. Udział robotników oraz różnych kategorii urzędników prywatnych i państwowych odpowiada mniej więcej rozmiarom tych grup w ogólnym przekroju ludnościowym. Nie należy jednak mylić grup wyborczych z szerokim rezerwuarem sympatyków, gdzie przeważa istotnie młodzież z warstw średnich, często szkolna lub uniwersytecka.

Partia Zielonych brała swe początki z drobnych grup miejscowych, zwanymi w doraźnym, określonym celu /tzw. *Bürgerinitiativen*/. Ochrona skrawka zieleni miejskiej, ocalenie wiejskiej łąki, protest przeciw wdarciu się zbyt blisko nowego odcinka autostrady - podobne akcje nie są niemiecką specjalnością. Znamienna jednak wydaje się ich tutejsza liczebność, nie mająca chyba równej sobie w innych krajach zachodnich. Wraz z wzrostem liczbowym wzmagają się nacisk takich inicjatyw, a równocześnie rozszerzał się ich zakres. Nie tylko o wiejską łąkę już chodziło, nie tylko o sanitarną przebudowę dzielnicy, ale o zamieranie lasów, o lotnisko, o trujące gazy i radioaktywne odpady, potem już szybko o siłownie nuklearne, a w konkluzji o zderzenie wielkiej produkcji przemysłowej z ochroną zdrowia ludności.

Obserwując w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych ściśle wtedy zlokalizowane akcje, trudno było przewidzieć, że w takim tempie przerodzą się w ostrą konfrontację ekologii z ekonomią. Żadna z działających w RFN partii

^x Tutejsza ordynacja wyborcza ustanawia próg 5% ogólnej liczby głosów jako warunek reprezentacji parlamentarnej partii.

nie dostrzegła w porę, że ochrona środowiska tak błyskawicznie przekroczy granice niewinnej idylli, by wtargnąć na teren polityki. W niespodziewaną, zlekceważoną lukę wskakiwali Zieloni. Etapy ich scalania się można by wykrywać jedynie lokalnie, a nie globalnie, ważniejsze, że towarzyszyła już temu raptownemu rozwojowi uwaga całego społeczeństwa. Zieloni potrafili chwycić wiatr w żagle, zgrać inicjatywy miejscowe z ogólnymi już nastrojami, uruchomić sieć ekspertów, skierować cały ów strumień żądań i protestów we wspólne łożysko - i przedstawić się opinii społecznej jako partia świadomości ekologicznej.

Zakotwiczenie lokalne zdecydowało o organizacyjnych formach działalności. Zieloni głoszą zasady "demokracji oddolnej" z silnymi akcentami egalitarnymi. Mnogość i rozmaitość miejscowych inicjatyw uważają za równie niezbędne dla siebie i oparcie, jak reprezentację parlamentarną. Parlament, jak twierdzą, to dla nich coś podobnego do dawnego *forum*, przedstawiają tam publicznie swe poglądy i żądania. Jednak właściwe decyzje dojrzejają na niższych poziomach. Funkcje poselskie sprawują Zieloni w myśl tak zwanego "mandatu imperatywnego", to znaczy na podstawie ciągłych konsultacji z "bazą". Właśnie "oddolnym" rozstrzygnięciom większościowym /przy silnym zaakcentowaniu praw mniejszości/ przypisują istotne znaczenie, nie chcąc poświęcić specyfiki *r u c h u* na rzecz *p a r t i i*, która już jako mechanizm kryje według nich ciągłe niebezpieczeństwo oddalania się od "bazy". Przestrzegają rotacji posłów co dwa lata. W sumie więc uprawiają jakiś rodzaj demokracji plebiscytowej, kombinowanej z parlamentarną. Oszczędzają sobie tutaj rozważań historycznych o zasadzkach, jakie czyhają na podobne odmiany demokracji. Wymieniają tylko przyziemne przeszkody, z jakimi zderzają się owe plebiscytowe ideały Zielonych, gdy "sięgają bruku": niezłiczone maratony dyskusyjne, biurokratyzacja od dołu w postaci zalewu rezolucji i antyrezolucji, poprawek i antypoprawek, a przede wszystkim niebezpieczeństwo stałych napięć we własnych szeregach. Rotacja posłów rozdziela odchodzącymi a przychodzącymi stosunki konkurencyjne i frustracje. Osoby obdarzone talentem politycznym bez przerwy nakładają sobie tłumik, by uniknąć posądzeń o "wyróżnianie się kosztem drugih". Prawda, że wewnętrznych swarów Zieloni nie przykrywają dla fasonu sztandarem jedności. Czy jednak ta partia, mieniąca się chętnie antypartią, rozdzierana ciągłymi konfliktami, niejednołita, amorficzna i nerwowa, nie nosi w sobie zarodków samozniszczenia - pokaże dopiero przyszłość.

Wracając do źródeł, ekologia stanowiła oczywiście w rodowodzie Zielonych tylko jeden z nurtów. Na drodze do spontanicznych początków do szkiców programowych wchłaniali dziedzictwo ruchów młodzieżowych i protestacyjnych z różnych okresów i o różnej orientacji. W ich buncie przeciw społeczeństwu epoki przemysłowej znaleździemy więc pogłosy tak zwanej parlamentarnej opozycji i "nowej lewicy", echa rewolt studenckich, nowy wariant protestu wobec przeciw pozornym aspektom równouprawnienia, rozbudzoną uwagę wobec spraw "trzeciego świata", wrażliwość na problemy dyskryminowanych mniejszości, a włączenie cudzoziemców czy homoseksualistów. Przetwarzając po swojemu te starsze i nowsze treści, Zieloni zaakceptowali zarazem jako równoprawne formy nowe style i modele życia codziennego, wspólnoty mieszkaniowe w miastach i po wsiach, nietradycyjne sposoby zarabkowania itd. Nie odgradzają się wreszcie od różnych młodzieżowych *sub-kultur*, a zatem od całego strumienia obyczajowego, jaki napływał tu w ostatnim ćwierćwieczu z Ameryki i z Anglii, z Holandii czy Skandynawii.

Tu jednak słowo o niemieckich odrębnościach. Owa znana powszechnie młodzieżowa kontr-obyczajowość, kontr-kultura wzorów i aspiracji budzi tu - po obu stronach granic pokoleniowych - ostrzejsze niż gdzie indziej uczucia. Oczywiście również i tu wchodzi w dorosłe życie nie tyle już "młodzi gniewni", ile "młodzi sceptycyjni", którzy zamiast burzyć i niszczyć postanowili raczej urządzić się po swojemu. Ale wciąż jeszcze stają oni przed murem tradycyjnych norm obyczajowych, bardziej niż gdzie indziej zakreślonych,

hierarchicznych, pedantycznie uporządkowanych. I tu zależność od rodziców trwa dziś dłużej, częściej z konieczności niż z predylekcji. I tutaj kontrast między zdobytą już sferą wolności osobistych, a trudnościami materialnej emancypacji w obliczu bezrobocia powoduje zmienność nastrojów, od napięcia do apatii. Ale pretensje o niewydolność społecznych instytucji i gwarancji nakładają się tu dodatkowo na nieufność do poprzednich generacji, odpowiedzialnych za czasy pogardy. Prawda, konflikt często tylko drzemał, a nie wybuchał, nie został przetrwony do końca, ale też - wbrew! Licznym poglądom - nie wygasł. Ostały spory - nie ustała niechęć. Styszałam kiedyś uwagę, iż niemieckich Zielonych nie można porównywać z żadnymi ekologicznymi grupami gdzie indziej, gdyż sięgnęli do tradycji niemieckiego romantyzmu. Sądzę, że chodzi częściej o dzisiejszy rezonans protestu przeciw hitleryzmowi niż o romantyzm /choć istotnie abstrakcyjne myślenie ma tu upartą tradycję/. Na przekór argumentom o upływie czasu, długo jeszcze konsekwencje hitleryzmu odzywać się będą pośrednio w układach i konfliktach współczesnych Niemiec. To on jest źródłem silniejszej tu pobudliwości i podejrzliwości moralnej wśród młodzieży. Także więc na tej pożywiec nerwowego wyczerlenia rosną tutejsi Zieloni. A młode "pokolenie sceptyczne", w większej części niezaangażowane w bieżącą politykę, chętnie złożyły w ich ręce całą ładunek swojej podejrzliwości wobec społeczeństwa dorosłych.

Wiadomo, że w rodowód Zielonych wpłynął trzeci nurt: potężny strumień protestu antyatomowego i pacyfistycznego. W tej dziedzinie - w porównaniu na przykład z platformą ruchu pokoju sprzed kilku lat - coś drgnęło. Ponieważ nie chodzi tu o jeden z punktów, lecz o sprawę centralną, a zarazem o jaskrawą ilustrację wewnętrznej sprzeczności w postawach Zielonych, więc wolę przedstawić ten problem dopiero na tle ich działań w innych zakresach. Raz jeszcze proszę Czytelników o cierpliwość.

W dziedzictwie, zasygnalizowanym poprzednio w sposób raczej wywoławczy, tkwiły także elementy radykalnego ekstremizmu - do terroru włącznie. Należy zatem spytać o udział tych wątków w programowaniu Zielonych. Otóż odcinają się oni od terroru, traktując go jako "niedopuszczalną metodę walki politycznej". Chociaż w ich formułach brzmią nierządsko pogłosy marksizmu, utożsamianie ich z komunistami po prostu się nie zgadza.

"Nie porusza nami już głód jedzenia - czytamy w jednym z tekstów, przytoczonych przez Waltera Hollsteina w książce o alternatywnym społeczeństwie /"Die Gegengesellschaft"/ - porusza nami głód wolności, miłości, czułości, odmiennych form pracy i kontaktów..."

W programie zatem proklamują Zieloni przemianę społeczną za pomocą łagodnych środków. Równocześnie jednak wprowadzają bliżej nieokreślone pojęcie "prawa do oporu" czy "cywilnego nieposłuszeństwa", co w praktyce nie przyczynia się do jasności. Zgoda, terror potępili jednoznacznie - ale dawali się pociągać, nie raz i nie drugi, przez inne grupy w demonstracjach i w blokadach, które przechodziły w potyczki lub prawie w bitwy z policją. Wydaje się, że ostatnio Zieloni jak gdyby przemyśleli sprawę i stronią od podobnych ekscesów.

Ich alternatywna wizja gospodarczej organizacji społeczeństwa tonie we mgle i abstrakcji, jest przykładem doktrynerstwa bez doktryny. Główny kierunek uderzenia to ześrodkowanie gospodarczego przy priorytecie ochrony środowiska i rezygnacji z energii nuklearnej. Alternatywne modele produkcji, oparte na małych jednostkach wytwórczych lub usługowych - pomyślane w perspektywie jako powszechna norma działań gospodarczych - nie mają służyć powiększaniu zysku, lecz gwarantować jakościowy rozwój form życia codziennego wśród harmonijnego współistnienia produkcji z przyrodą. Powinny oszczędzać surowce i energię, stosować technologię likwidującą stressy, wytwarzać wysokogatunkowe, nie niszczące artykuły codziennego użytku. Jak zawsze przy powstawaniu nowych ruchów czy partii, sąsiadują tu ze sobą różne teorie. Jak wynika z moich rozmów, wielu

członków, a nawet przedstawiciele Zielonych wyczuwa tę niedorzeczność. Rewolucja mikro-elektronowa naciera wielkimi krokami, paradoks chce, że i ona kieruje produkcję w stronę mniejszych jednostek. Tylko, że idzie o jednostki inne, sterowane wysoką technologią i dążeniem do maksymalnej rentowności. A zatem te partie polityczne, które działają w obronie starszych warstw społecznych, muszą - przy milionach bezrobotnych już dzisiaj - szukać całkowicie nowych metod kompromisu w racjonalizacji, w podziale pracy, płac i zysków. Co na to Zieloni? Oczywiście przejmują klasyczne dziś postulaty skrócenia czasu pracy, współuczestnictwa pracowników w zarządzaniu przedsiębiorstwami, sprzeciwiają się ograniczaniu ochrony społecznej. Ale udaremniają też szanse proklamując odwrót od wielkoprzemysłowej produkcji. Lekceważą mechanizmy gospodarcze i siłę rynkowego myślenia. Nle bez słuszności powiedział tu niedawno jeden z wybitnych działaczy gospodarczych, że "Zieloni chcą zlikwidować społeczeństwo przemysłowe... przy pełnym wyrównaniu płac".

Mimo to wszystko nie wolno kwestionować zasługi Zielonych w wyniesieniu ekologii do dzisiejszej rangi. Wyłącznie dzięki nim ani koalicja rządowa ani opozycja nie może sobie pozwolić na ekologiczną beztroškę. Ekologia, włączana w projekty gospodarcze, wysunęta się na czoło regionalnych i federalnych programów politycznych, stała się jednym z głównych przedmiotów współzawodnictwa między partiami, a także motywem ogólnospołecznej dyskusji. A zatem nacisk, wpływ - tak, globalny kontr-projekt, do jakiego Zieloni aspirują - nie. Na naglącą potrzebę łączenia modernizacji przemysłowej z nową organizacją pracy Zieloni odpowiadają raczej bezradnością niż jakimś twórczym rzutem fantazji.

Wśród młodzieży uchodzą Zieloni za narzędzie nacisku moralnego. Że ich domeną jest głównie protest? głównie negacja? - "Właśnie dlatego ich potrzebujemy! - znajomi studenci odpiierają w rozmowie powszechnie wysuwany zarzut. - Nie są zaplątani w żadne taktyczne układy, mogą kontrolować, przyglądając fakty. Niech zostaną partią protestu i impulsów. Społeczeństwo wyżyma się na ogół w konsumpcji - oni są głosem sumienia".

Istotnie, w ataku na korupcję nie można im odmówić konsekwencji. Bez ich udziału na przykład afera korupcyjna Flicka /idzie o dotacje tego koncernu dla różnych partii politycznych w zamian za ulgi podatkowe/ i jej rozgałęzienia nie doczekałyby się na pewno obecnego stopnia jawności. Także w dyskusji na temat granic w Polsce - by sięgnąć do całkiem innej dziedziny - od początku do końca, w ciągu długich debat, zajmowali stanowisko jednoznaczne, nie dając się zbić z tropu przez tak zwane argumenty prawne, wytyczane z szowinistycznego krańca społeczeństwa i parlamentu. Przykłady podobnych funkcji naprawczych można by mnożyć.

Lecz i tu zaczęły pękać struny. Głosy sumienia zabrzmiały fałszywie, gdy motywacja moralna zmieniła się w żądanie moralnego monopolu. W dowodzenie Zielonych wkłada się coraz częściej nowomowa strażników prawdy, sprawujących sądy nad innącej myślącymi i badając nad samym państwem. Sami wpędzają się w izolację i podkopują wiarygodność całej wersji o "przebudowie społecznej za pomocą łagodnych środków".

W tej chwili rozdziera partię Zielonych spór o sojusze polityczne. Rysował się niemal od początku, lecz nasilił się dodatkowo, gdy regionalne wyniki wyborcze wykazały stagnację we wzroście głosów. Pozostać przy funkcji nacisku czy też wchodzić do władzy w koalicji z socjaldemokracją - oto problem przeciwstawiający *fundamentalistów realistów*. "Przejmując odpowiedzialność, odeniemy sobie możliwość nacisku, a w końcu poćnie nas SPD" - mówią *fundamentalisci*. "Uchylając się od odpowiedzialności, znajdziemy się w pustce, coraz dalej od sił społecznych, potrzebnych do urzeczywistnienia naszych celów" - twierdzą *realisci*. Dotąd, tam nawet gdzie ich udział mógłby zdecydować o większości, Zieloni trzymają się z dala od władzy, stosując co najwyżej metodę "tolerowania" wobec rządu mniejszościowego, jak na przykład w Hesji^x. Obecnie wiążą się

x "Tolerowanie" oznacza np. głosowanie na premiera *Lanätag* u, na proponowa-

już z socjaldemokracją w niższych organach lokalnych i po raz pierwszy, w Hesji właśnie, wypowiedzieli się /choć stąbą większością/ za koalicją z SPD we władzach *Land*² u. Czy dojdzie to do skutku, zależy jeszcze od zatwierdzenia propozycji przez niższe szczeble, a przede wszystkim od stanowiska SPD.

Wbrew pozorom w tej wewnętrznej polemice Zielonych nie chodzi o taktykę, lecz o dobrze znany z historii socjaldemokracji dylemat: wspierać państwo czy je zwalczać? Naprawić system czy go odrzucać? Nie na darmo tujejsi obserwatorzy przypominają stary spór Bernsteina z Kautskym. Doktrynerstwo *fundamentalistów* narzuca l dalsze analogie. Trudno nie spostrzec podobieństw między zaciekłością dzisiejszych *fundamentalistów* a kampanią nienawiści, jaką rozpętałi niegdyś przeciw Republice Weimarskiej niektórzy przedstawiciele lewicy intelektualnej, podkopując w ogóle zaufanie do weimarskiej demokracji.

Analogie to nie znaki równania, o powtórzeniu Weimaru nie może dziś być mowy. Tujejszy *establishment* jak gdyby się sprzysiągł w zarzucaniu Zielonym, że uchylają się od rządowych odpowiedzialności. Oczywiście z chceniem /w CDU czy w SPD/ bez przesady, raczej głoś rozsądku szepcze: jeśli już ci Zieloni muszą być, to lepiej włączyć ich w system władzy, poskromić ich nieobliczalność. W spotkaniu oko w oko z twardymi koniecznościami wietrzeją abstrakcje.

Póki się tak nie stanie - a czy się stanie, wcale nie wiadomo - pojawiły się w grze nowe karty. Trudno dziś przewidzieć, w jakiej mierze groźba sojuszu Zielonych z SPD wzmacni w wyborach do *Land*²ów partię obecnej koalicji rządowej. Zależy to od środkowych obszarów obu wielkich bloków wyborczych: czy się Zielonych i ich wpływu na SPD przestraszą, czy też na przykład zechcą powierzyć im rolę korektywy ekologicznej, ryzykując właśnie wmontowanie ich we władzę. W każdym razie istnienie Zielonych nie stawia obecnej koalicji rządowej przed potrzebą zmian w strategii. Wprowadza jedynie do jej propagandy tak zwane tutaj "czerwono-zielone przymierze" jako stały motyw, mający odstraszać wyborców.

Inaczej z SPD. W toku wzrostu organizacyjnego partii Zielonych zmieniał się kurs socjaldemokracji. Chodziło jej przede wszystkim o zatrzymanie odpywającej od niej do Zielonych młodzieży. Ustępstwo przed ofensywą młodzieżowego pacyfizmu przejawiało się najwyraźniej w odejściu SPD od aprobowanej przez nich poprzednio decyzji NATO w sprawie stacjonowania w RFN rakiet amerykańskich. Wprawdzie socjaldemokracja ani nie żąda wyjścia RFN z NATO, ani nie toleruje antyprzemysłowych pomysłów, ale jej równoczesna kokieteria wobec pacyfistycznych kierunków niepokoi nie tylko jej wyborców, lecz i członków. Przeciwnicy zwycięskiego obecnie kursu odnoszą się nieufnie do jakichkolwiek form współpracy SPD z Zielonymi, uważają, iż zagraża ona zarówno spistości sojuszu atlantyckiego, jak i socjaldemokratycznym wpływom w tych odłamach warstw średnich, które gósujał zmiennie, raz na SPD, raz znów na CDU lub FDP. Toteż wbrew jedności demonstrowanej na zewnątrz, draży tę partię gęboki spór wewnętrzny. Dla socjaldemokracji wstąpienie Zielonych na arenę polityczną miało więc w sumie skutki obosieczne: z jednej strony skłoniło ją do nowych przemysleń w zaniebdywanej przez lata dziedzinie ekologicznej, ale z drugiej strony odbierało jej do tej pory głośy, pogębiano i pogębiano wewnętrzne rozdzarcie, a w dziedzinie bezpieczeństwa wojskowego utrwała lawirowanie.

I tak docieram do stanowiska Zielonych wobec spraw bezpieczeństwa i wobec bloków. W stosunku do platformy ruchu pokoju, skierowanej wyłącznie przeciw zbrojeniom Zachodu, coś wśród Zielonych drgnęło.

Na pytanie dziennikarza *Spiegla*, czy Zieloni żądają wyjścia RFN z NATO, Petra Kelly, jedna z ich czołowych działaczek, odpowiada:

/Chodzi o/ ... "rozwiązanie obu bloków, nie jednego... o politykę, która zakłada u wszystkich pewne początkowe ustępstwa. Musiałby się rozpocząć wysiłek rozbrojenia..."

ny przez premiera budżet itd. - bez udziału w rządzie.

I dalej:

"Nie jesteśmy ruchem przeciw rakietom, lecz ruchem na rzecz demilitaryzacji, mającej przekraczać granice bloków, ruchem solidarności z wysiłkami, jakie podejmuje się od dołu na Wschodzie i na Zachodzie, by doprowadzić do rozbrojenia".

Kandydatka do *Landtag*'u Płn. Nadrenii-Westfalii, o której pisałam na początku, uzupełnia:

"Ponieważ technologia amerykańska góruje nad sowiecką, sugerujemy Zachodowi pewne gesty wstępne. Ale zasady dwustronności konsekwentnie przestrzegamy. Odmawiamy udziału w jakichkolwiek demonstracjach, jeśli zwracają się tylko /jak chcą grupy komunistyczne, prosowieckie i inne/ przeciw zbrojeniom zachodnim".

W jednej z broszur znajduję zapowiedź dyskusji nad książką o realnym socjalizmie. Cytat z wstępu do książki:

"Nasz wysiłek ogarnięcia w całości istoty realnego socjalizmu miał na celu poddanie krytycznej uwadze owego nowego, zatrważającego systemu, po to, aby rozwiać wszelkie złudzenia na temat jego rzeczywistej istoty. Przystwojenie sobie w całości tego przedmiotu wymaga niewątpliwie bezwzględnej krytyki naszych własnych złudzeń w przeszłości".

"Realny socjalizm w bloku wschodnim czy w Chinach, na Kubie czy w Algierii opiera się na zniewoleniu, tyranii, brutalności, wyobcowaniu, technokracji" - czytamy w innym tekście.

Pytam o stosunek do "Solidarności":

"Przed stanem wojennym organizowaliśmy różne akcje w ramach "Solidarności z Solidarnością" - potem braliśmy udział w kolejnych demonstracjach protestacyjnych w rocznicę 13 grudnia".

I zdanie, które na wstępie przytoczyłam:

"'Solidarność' i inne ruchy na Wschodzie to dla nas *pendant* do tego, co robimy tutaj...".

Znów lektura:

"Popieramy dążenia demokratyczne w Polsce. Żądamy zniesienia stanu wojennego, zwolnienia wszystkich aresztowanych".

W innym tekście zupełna dezorientacja. Wprawdzie... "Ręce precz od Polski!", ale zarazem wniosek, że po to, by pomóc "Solidarności":

"... trzeba zaprzestać po tej stronie antykomunistycznej gadaniny, walczyć z tutejszą niesprawiedliwością aż do strajku generalnego włącznie".

W swojej książce-pamiętniku Antje Vollmer /do obecnej rotacji przewodnicząca frakcji Zielonych w *Bundestag*'u/ wyraża kilkakrotnie głęboką sympatię dla Polaków. Duchowna protestancka wysoko ceni rolę Kościoła katolickiego w krajach uciskanych i powołuje się na historyczne przykłady Irlandii, Polski, Nikaragui, Płd. Afryki. Protestancy boownicy oporu - twierdzi - pozostają w swojej walce najczęściej samotni. Natomiast bojownik katolicki - Ernesto Cardenal czy Lech Wałęsa - jest częścią powstania narodowego.

Ale tuż obok najstuszej uwagi, że *granice bloków trzeba przekraczać przede wszystkim w myśleniu* - autorka pyta:

"Jakie znaczenie w ogóle ma dla ruchu na rzecz pokoju los poszczególnych państw narodowych?... I co z Polską? Czy świadomość narodowa jest tam postępem czy zacofaniem? Czy ruch taki jak 'Solidarność' przyczynia się do zniesienia bloków, czy też wzmaga wewnątrz-polityczny ucisk w ich obrębie?".

Wybrałam te przykłady pewnego ocknienia - przemieszanego z niezajomością spraw - by wykazać mimo wszystko, że Zieloni próbują korygować jednostronność

w postawach wobec zbrojeń i bloków, że nadszedł moment jakiejś refleksji. Są to próby wątte, trudne do wysłedzenia w powodzi odwrotnych przykładów. Jednak są. Więc może zamiast te symptomy ignorować, trzeba raczej wziąć je poważnie - krytykując tym ostrzej niedostatek zmian.

Gdyż po pierwsze symetria protestu przeciw spirali zbrojeniowej - zwróconego na Wschód i na Zachód - wygląda dotąd na figurę retoryczną. Zdobi transparenty, ale w rzeczywistości impet emocjonalny całego ruchu kieruje się nadal tylko przeciw Zachodowi, tylko przeciw Ameryce. Po drugie wszelkie nawoływania do "posunięć przekraczających granice bloków" i wszelkie nadzieje na przeciwzbrojeniowe wysiłki od dołu w bloku wschodnim nie wyjdą poza abstrakcję, dopóki młodzież zachodnia nie zrozumie, że to na niej spoczywa główny ciężar protestu przeciw wschodnim zbrojeniom. Skoro bowiem na Alexanderplatz w Berlinie Wschodnim wystarczy dziesięć osób z jednym transparentem, by po chwili wszelki ślad po nich zaginął - to podział pracy w protestowaniu *in Ost und West* tchnie fałszem. Po trzecie "myślenie przekraczające granice bloków" odzywa się nader niesmiato, wciąż jeszcze tłumione przez dogmatyczną czkawkę. Rozważania na temat "postępowego" czy "wstecznego" charakteru "Solidarności" są na to przykładem typowym /choć wcale nie jedynym/. Jak długo przeświadczenie o ekspansywnej i opresyjnej istocie systemu sowieckiego zamknie się w książkach, a nie przeniknie do odczuć codziennych - tak długo właśnie sprawy tamtego bloku tonąć będą w abstrakcyjnych spekulacjach.

Czy więc warto z Zielonymi mówić? Podpisuję się tu - oburącz - pod artykułem Kazimierza Garnysza w niemieckim numerze *Kultury*¹. Nie wiadomo czy Zieloni przetrwają jako partia, lecz przetrwa na pewno ujęty lub nieujęty organizacyjny nie potencjał niezadowolenia i protestu wśród tutejszej młodzieży. Opisanie go na straty byłoby najgorszą metodą. Artykuł Garnysza pokazuje, że każdemu z tutejszych wielkich niepokojów - od trosk o ekologię po lęk przed wojną - odpowiada w Polsce i w ogóle po tamtej stronie niepokój podobny, tyle że w nieporównanie cięższych warunkach. Jeśli stosować zasadę *pendant*, to właśnie tak: nie każdy na własnym podwórku, lecz wnikając wzajemnie we wzajemne zagrożenia.

Trzeba chyba spojrzeć i na siebie. Mamy pretensję do tutejszych zbuntowanych, że nie chcą widzieć spraw i mechanizmów po tamtej stronie - a sami zamykamy oczy na ich motywy, bo tak nam jest wygodniej. Zarzucamy im, że tkwią tylko w swoim świecie, a sami poprzestajemy na gniewie i naganach, uciekamy w rezygnację - "oni i tak niczego nie rozumieją" - i brniemy w argumenty bez sensu. Ponieważ w Polsce nie ma lekarstw, i to najprostszych - wpadamy w złość na całą tutejszą ekologię, zmartwienie, jak się nam wydaje, luksusowe. Ponieważ w Rosji czy w Czechosłowacji demonstracja pokojowa naraża na szpital psychiatryczny - skłótni jesteśmy traktować z ironią, jako zwykłe urojenia, trudności i lęki zachodniej młodzieży. Najchętniej - jak przypomniał Garnysz - wystalibyśmy ją t a m na kurację. Tymczasem nigdzie na świecie ludzie nie żyją porównaniami, żyją sytuacją własną, głodnemu Hindusowi nie jest lepiej od tego, że w Etiopii głoduje się jeszcze bardziej. Oba głosy są faktem społecznym, jeden nie unieważnia drugiego. Podobnie my: nie potrafimy zbliżyć ludzi na Zachodzie do codziennych trosk ludzkich po tamtej stronie, jeśli z kolei troski tutejsze będziemy unieważniać, zamiast je włączać we własne oceny i rachuby.

A więc rozmawiać, nie spisywać na straty - to mi zostało z moich spotkań z Zielonymi.

Kamila CHYLINSKA

 x Kazimierz Garnysz: *An die Deutschen - aus einem anderen Blickwinkel, Kultura, Paris, Herbst 1984, Sondernummer deutsch-polnischen Beziehungen gewidmet.*

KULTURA, czerwiec 1985

MACIEJ FELDHUZEN

AMERYKA ŁACIŃSKA

Geograficznym określeniem Ameryki łacińskiej objęte są gigantyczne obszary trzynastu państw Ameryki Południowej, sześciu krajów Ameryki Środkowej, archipelagu wysp basenu morza Karaibskiego oraz Meksyku, należącego do Ameryki Północnej. Te tereny liczą łącznie około 20 milionów kilometrów kwadratowych, czyli są czterokrotnie większe od Europy i są zaludnione przez ponad 400 milionów mieszkańców. Losy tego super-kontynentu są na ogół niezrozumiałe dla ludzi mało znających tę część świata i specyficzną mentalność tutejszych ludzi, straszliwie biednych i dziko dumnych. O Latynosach mówi się na ogół z pobłażliwością albo z domieszką pogardy jako o ludziach absolutnie niezdolnych do zorganizowania swych krajów, bo wiecznie trawionych sprzecznosciami ideologicznymi. Rzeczywistość jest inna i mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że źródłem wszelkiego zła jest powszechna nędza i krzycząca niesprawiedliwość społeczna. Krzyżują się tu najrozmaitsze prawdy i "prawdy", utrudniające wyciąganie wniosków absolutnych. Konflikty są wielorakie: Propaganda komunistyczna, natrafiająca na podatny grunt rozgoryczenia, teologia wyzwolenia, niezgodna z tezami Watykanu, aie z pewnością humanitarna w swych założeniach; produkcja i handel kokainą; niesprawiedliwość społeczna, jako źródło nienawiści; głód, nędza i bezrobocie - oto są chyba najważniejsze rozsadniki buntu upośledzonych i opuszczonych, liczących setki milionów ludzi. Trudno więc te wszystkie zjawiska podsumować jako konflikty ideologiczne. Są to raczej sprzeczności społeczne, gospodarcze, religijne czy etniczne, bo nawet niezliczone zamachy stanu przeprowadzane przez wojsko - przy przychylnym poparciu, a czasem przy bezpośredniej pomocy czynników zagranicznych - używają formułek i hasel ideologicznych jedynie jako przykrywkę dla przejęcia władzy, a w rzeczywistości służą wzbogacaniu się skorumpowanych przywódców, w zamian za obronę ich potężnych protektorów ze świata wielkiego businessu.

Rasowa mieszanina Latynosów

Właściwie czysta rasa Latynosów nie istnieje. Mieszkańcy Ameryki Południowej i Środkowej składają się z Indian i ich potomków, z wnuków czarnych afrykańskich niewolników, z hiszpańskich kolonizatorów i z kolorowej mieszaniny, sformowanej przez tych kolonizatorów, a więc Mulatów, Kreolów i Metyśów. Poza tym od kilkudziesięciu lat w całej Ameryce łacińskiej istnieje silna imigracja Arabów, Japończyków, Włochów, Portugalczyków, Niemców, Polaków i Ukraińców. Wszyscy są dokładnie zasymilowani i uważają się za pełnych Latynosów. Brazylia jest jedynym krajem skolonizowanym przez Portugalczyków. Ponieważ nie wolno im było przywozić rodzin, żyli z czarnymi niewolnikami, tworząc piękną rasę Mulatów. Dziel potomkowie starych rodów, tak zwani "Czteryścieletni" mają jakąś domieszkę swego pochodzenia, kolor "kawy z mlekiem". Dlatego chętnie poprawiają swoją genealogię, przyznając się do pochodzenia od sefardyjskich Żydów, którzy zdołali uratować się od Inkwizycji

cji i znaleźć schronienie w Brazylii.

Kraje Ameryki tacińskiej obfitują we wszystkie bogactwa mineralne, posiadają miliony hektarów uprawnej ziemi, hodowlę zwierząt, miliony ryb, wielką sieć rzeczną - wszystkie zatem warunki rozwojowe. Zapewne na przyszłości stoi parzące słońce tropiku, odbierające ludziom energię i chęć do wysiłku. Lenistwo jest tu cnotą.

W Buenos Aires mówi się żartobliwie: Argentyna posiada wszystkie elementy dobrobytu. Ma nadwyżki zboża, nadwyżki mięsa, nadwyżki nafty. Ale Pan Bóg w swej niezmiernej mądrości chciał zachować równowagę i sprawiedliwość i dlatego zaludnił ten kraj Argentyńczykami.

Ameryka Łacińska to wielki rynek

Prawdopodobnie wielkie bogactwa naturalne z jednej strony, a nieudolność czy lenistwo mieszkańców z drugiej sprawiły, że mimo pobłażliwości czy pogardy, moiżni tego świata są głęboko zainteresowani krajami Ameryki tacińskiej.

Weźmy dla przykładu Brazylię, która liczy dziś 130 milionów mieszkańców. Ma ona około miliona prawdziwych miliardrów i około 4 milionów ludzi bogatych. Ma też około 35 milionów przedstawicieli klasy średniej, 50 milionów niezamożnych i biednych i 40 milionów żyjących w stanie absolutnej nędzy, poniżej minimalnych warunków przeżycia. Otóż te pierwsze trzy kategorie, bardzo bogatych, bogatych i średnio zamożnych, tworzą 40 milionów potencjalnych konsumentów. Ile jest na świecie krajów, które posiadają 40 milionów ludzi zdolnych do kupowania samolotów, jachtów, samochodów, telewizorów, ale również mydła, wody kolońskiej czy rannych pantofli? Ile jest krajów posiadających klientów dla turystyki, kin, teatrów czy restauracji w tak wielkiej ilości? Te wszystkie dobra czy usługi mają zapewniony rynek nie tylko w Brazylii, ale w Argentynie, w Wenezueli, w Chile, w Kolumbii czy na Kostaryce. Ale w tym miejscu otwiera się straszliwy rozdział niesprawiedliwości, gdyż normalne życie jest dostępne jedynie dla ograniczonej ilości mieszkańców, a większość ich - ogromna większość - żyje w upodieniu nędzy. Luksus obok nędzy.

Weźmy raz jeszcze przykład Brazylii, która zajmuje połowę całego obszaru Ameryki Południowej, druga połowa należy do dwunastu innych państw. Po Rosji, Chinach i Kanadzie Brazylia jest największym krajem świata. Obejmuje 8,5 milionów kilometrów kwadratowych, z których ponad 40% stanowi basen dżungli amazońskiej. Brazylię trudno jest zaliczyć do typowych krajów Trzeciego Świata. W południowych i centralnych stanach ludzie żyją w pełnym rozwoju przemysłowym i kulturalnym. Osiem fabryk samochodów, dwie fabryki samolotów, trzy fabryki broni. Ogromny przemysł chemiczny i metalurgiczny, rozwinięta sieć banków, wspaniała architektura, sztuka, teatry, muzyka, muzea. Wytworne hotele, elitarne kluby, kosztowne lokale nocne. A na północnym wschodzie kraju mieszka 40 milionów ludzi w wieloletniej już suszy, przymierających głodem, przy 18% śmiertelności dzieci w pierwszym roku życia - z niedożywienia. Te bezrolne rodziny nędzarzy posiadają po ośmioro, dziesięcioro dzieci, które w wieku kilku lat idą w świat, wążęając się w poszukiwaniu jedzenia. Znajdują je w żebraniu, kradzieży, napadach.

Mimo wszystko zainteresowanie Ameryką tacińską jest ogromne. Amerykański, japoński i zachodnioeuropejski przemysł inwestycyjny tkwi głęboko zarówno w Ameryce Południowej jak i w Środkowej. Dziś cały ten kontynent znajduje się w trudnościach finansowych, jest łącznie winien 350 miliardów dolarów, czego nigdy nie zdoła zapłacić. Ale skąd pochodzą te wielomiliardowe zobowiązania? Dyktatury, rządzące przez dziesiątki lat w większości krajów tacińskich, chciały się "wykazać" rozwojem, postępem, rozmachem. Ale dokarmianie dzieci, leczenie chorych czy budowanie wiejskich szkół nie da-

wało odpowiedniego rozgłosu. Stawiano więc supernowoczesne wieżowce, gmachy ministerialne, pałace rządowe. Podpisywano międzynarodowe kontrakty na miliardowe dostawy, zakupywano okręty i statki, sprowadzano nowoczesną broń, biorąc przy tym wielkie łapówki. Brazylia podpisała kontrakt z Niemcami na budowę osmiu stacji energii atomowej. W Argentynie wykryto, że z 48 miliardów dolarów zagranicznych długów, członkowie junty wojskowej ukradli 9 miliardów dolarów oraz zabrali cały dochód osiągnięty z olimpiady w roku 1978, a generałowie boliwijscy w ogóle nie księgowali dochodów osiągniętych z eksportu kokainy.

Nigdy nie istniały jakiegokolwiek trudności z otrzymywaniem pożyczek zagranicznych. Bankierzy wierzyli, że mocne autorytatywne rządy są dostatecznymi gwarantami bezpieczeństwa ich pieniędzy. Toteż nie należy się dziś zbytnio rozczulać nad losem biednych bankierów międzynarodowych. Bankierzy są też kupcami, którzy sprzedają swój towar, którym jest pieniądz. I jak wszyscy inni kupcy, chcą sprzedać swój towar po najlepszych cenach. Nie ma na pieniądze lepszych cen niż w krajach Ameryki łacińskiej, bo poza normalnym oprocentowaniem bankierzy pobierają dodatkową stawkę ryzyka, tak zwany *spread*, który zależnie od sytuacji kraju wynosi od 1,5% do 2,5% rocznie. Tak więc dług Argentyny, wynoszący 48 miliardów dolarów, przynosi tym bankierom - poza normalnym oprocentowaniem - jeszcze około 720 milionów rocznie, a astronomiczny dług Brazylii, wynoszący 100 miliardów dolarów, jest dodatkowo obciążony stawką ryzyka w sumie 1,75 miliardów dolarów. Zresztą trzeba wiedzieć, że żadnemu bankowi nie zależy na spłacie kapitału. Bo co by zrobili, gdyby na przykład Brazylia spłaciła jutro 100 miliardów? Włożyliby te pieniądze do kas bankowych? Musieliby natychmiast szukać nowych nabywców pieniądza, bo naczelną zasadą bankową jest, że pieniądz nie może leżeć bezczynnie, a nikt nie może zagwarantować, że następny klient byłby lepszy od poprzedniego. Wiadomo więc, że żaden bank nawet nie porusza sprawy spłaty kapitału, a chodzi wyłącznie o regularne spłaty procentów. I tu leży cały dramat, ponieważ kraje zadłużone nie są w tej chwili zdolne do spłacania miliardowych opłat procentowych, bez odpowiednich nadwyżek eksportowych. Ale amerykańscy eksporterzy i ich banki domagają się punktualności w spłatach procentów, podczas gdy amerykańscy importerzy, w obawie przed zagraniczną konkurencją, starają się, poprzez swe wpływy w administracji państwowej, obciążyć barierami celnymi towary importowane do Stanów Zjednoczonych. Kraje dłużnicze, nie mogąc wydatnie zwiększyć swego eksportu muszą szukać budżetowych nadwyżek w ograniczaniu importu, co prowokować musi dalszy zastój, wzrost bezrobocia i inflacji. W tej chwili jedynie Meksyk potrafił spłacić zaległe raty procentów, a wszystkie inne kraje starają się w bezpośrednich naradach znaleźć jakieś praktyczne wyjście. Takim wyjściem, w mniemaniu krajów dłużniczych, byłoby przejęcie rękawań z wierzytelniami przez zainteresowane rządy, które wzięłyby pod uwagę niebezpieczeństwo nowych konfliktów społecznych, gdyby zaspokojenie żądań bankierskich miało oznaczać gwałtowne ścinanie budżetów rządowych, redukcję pracowników i niemożność podwyżek zarobków, niezbędnych przy zalegającej wszędzie inflacji.

Amerykofobia

Oto jeden z głównych powodów zjawiska znanego pod nazwą Amerykofobia, istniejącej w Ameryce łacińskiej. Stany Zjednoczone są tu ironicznie nazywane "Centralą" a kraje dłużnicze filiami tej Centrali.

Początek wszystkiemu dał prezydent Teodor Roosevelt, który wymyślił teorię *big stick*, zakładając w sposób raczej cyniczny, że o wiele lepiej i tańiej jest skorumpować jednego generała-dyktatora, niż udzielać pomocy całemu narodowi. Tak się to zaczęło i przez wiele dziesiątków lat - aż do późnych lat sześćdziesiątych - istniały jedynie trzy czy cztery państwa tego kontynentu, żyjące w ustroju demokratycznym, podczas gdy dziesiątki krajów

Ameryki Południowej i Środkowej pozostawały we władzy generałów. Waszyngton był zadowolony, bo wszędzie był zaprowadzony "porzudek". Choć dzisiaj jedynie pięciu dyktatorów rządzi nadal w Chile, w Paragwaju, na Kubie, w Haiti i w Surinamie /dawna Gujana holenderska/, to nic się już nie zmieniło w mentalności Latynosów i lepiej albo gorzej skrywana nienawiść do Stanów Zjednoczonych nadal kwitnie.

Jakie są powody takiej nienawiści? Najlepiej charakteryzuje ją ten stary przykład amerykańskiego dziennikarza, który zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej pracował w Paryżu. Zapytał kiedyś francuskiego taksjara dlaczego Francuzi tak nienawidzą Amerykanów. Z całym spokojem taksjarz odpowiedział: "Dlatego, że wy nam dajecie pieniądze". Ta odpowiedź nie powinna nikogo dziwić, tak było zawsze zarówno odnośnie narodów jak i prywatnych ludzi. Na ogół nikt nie lubi własnych dobroczyńców i czuje antypatię do bogatych krewnych; choć wypada okazywać im wdzięczność, to jednak po otrzymaniu pomocy czuje się do nich niechęć, wynikającą oczywiście z kompleksu krajów biednych i ludzi biednych.

Opinia publiczna w Ameryce łacińskiej jest w tej chwili skoncentrowana na sytuacji w Nikaraguy i w El Salvadorze. Gra prowadzona na linii Ronald Reagan - Daniel Ortega jest przedmiotem wysokiego napięcia i bezustannych dyskusji, zajmując naczelnie miejsca w prasie. To już nie tylko depesze i wiadomości agencji prasowych i sieci telewizyjnych, lecz codzienne wleńolokolumnowe komentarze i artykuły wstępne, naświetlające obecną sytuację i jej dalszy rozwój i rozważające prawdziwe przyczyny dramatu, snując najróżniejsze przypuszczenia na przyszłość. Ta prasa - niekoniecznie lewicowa, ale i demokratyczna, liberalna czy konserwatywna - stoi na pozycjach nacjonalistycznych /w Brazylii nawet komuniści nazywają siebie nacjonalistami, gdyż pomaga im to w propagandzie antyamerykańskiej/ i jest raczej jednoznaczna w swych krytykach obecnej polityki Waszyngtonu w Ameryce Środkowej. Tego rodzaju zgodność opinii wcale nie oznacza obrony marksizmu sandynistów czy działalności kubańskich komunistów, natomiast stwierdza, że metody Stanów Zjednoczonych są katastrofalne, bo w jedynym możliwym wyniku mogą doprowadzić do zombardowania Managuy i inwazji Nikaraguy. Dla opinii amerykańskiej byłby to nowy tragiczny Wietnam.

Bratem udział w sympozjum brazylijskich pisarzy politycznych, zorganizowanym przez związek dziennikarzy. Sympozjum było poświęcone sytuacji w Ameryce Środkowej. Specjalny wystąnnik tygodnika *Isto E*, który powrócił z Managuy, opowiadał o działalności tajemniczej postaci nazywanej "Kapitanem Śmierci", popularnej w obozach wojskowych w Hondurasie. Jest to amerykański major rezerwy, którego misja polega na rozpętywaniu akcji dywersyjnej na tak wielką skalę, aby nie było już od niej odwrotu. Upřednio stworzona organizacja bojowa pod nazwą "La Tripartita", w składzie: Stany Zjednoczone jako projektodawca i finansista, Argentyna, jako centrum wyszkolenia i Honduras ze swym terenem, nie przyniosła spodziewanych wyników. Argentyńscy instruktorzy, pełni okrucieństwa nabytego w czasach ludobójstwa w ich kraju, rozpoczęli walki uliczne w nadgranicznych miasteczkach, a Amerykanie byli zaniepokojeni negatywnym obrazem antysandynistów, czyli "Centras", których cały świat rozpoznawał jako ultra-prawicowych członków zbrodniczej gwardii narodowej generała Somozy. Wtedy tajemniczy "Kapitan Śmierci", na wyraźny rozkaz dyrektora CIA Williama Caseya stworzył nową jednostkę elitarną pod nazwą "Latino", złożoną z ochotników z Boliwii, Peru i Ekwadoru. Ta nowa organizacja przeprowadziła napady na składy nafty w Corinto i w Puerto Sandino i pomagała Amerykanom w zaminowaniu tych portów. Z wleńogodzinnego seminarium w Rio de Janeiro można było wyciągnąć następujące wnioski: Sekretarz Stanu George Shultz uświadnie stawia coraz wzrastające wymagania, co utrudnia jakikolwiek pokojowe rozwiązania. Prezydent Reagan zażądał wyrzucenia z kraju wszystkich asesorów sowieckich i kubańskich oraz zredukowania stanów armii. Wreszcie Reagan postawił kropkę nad "!"

i wyraźnie zaznaczył, że jego celem jest obalenie rządu Ortegi, chyba że przyjmie wszystkie warunki Waszyngtonu. Daniel Ortega, z którym rozmawiałem w Rio de Janeiro, jest człowiekiem niesympatycznym, ale raczej sprytnym politykiem. Mówiąc o żądaniu Reagana obniżenia stanów wojska, Ortega ironicznie zapytał czy to żądanie miałoby oznaczać że Stany Zjednoczone obawiają się inwazji Nikaraguy.

Nikt poważnie myślący nie przeczy, że Nikaragua i El Salvador pozostają pod silnymi wpływami komunizmu. Nikt nie próbuje lekceważyć polityki eksportu komunizmu i wszyscy rozumieją, że bazy wojskowe Związku Sowieckiego tuż pod bokiem Stanów Zjednoczonych stanowią niebezpieczeństwo, z jakim Waszyngton musi walczyć. Natomiast w zgodnej opinii politologów, publicystów i polityków łacińskich uważa się, że rząd prezydenta Reagana nie odróżnia przyczyn od skutków i że wbrew uświęconej zasadzie nieinterwencji i samostanowienia narodów, nie ma prawa doprowadzać do akcji zbrojnej, utożsamiając się z sowiecką inwazją Afganistanu. Czy należy zwalczać komunizm? Oczywiście należy, ale w pierwszym rzędzie należy sobie uświadomić skąd się ten komunizm bierze w Ameryce Środkowej i dlaczego mógł się tam rozrastać. Trzeba się było zastanowić nad faktem, że żołnierze-sandyńscy oraz powstańcy w El Salvadorze nic nie rozumieją, nie mają najmniejszego pojęcia co to jest komunizm i że biorą udział, walczą i giną od kul jedynie dlatego, że dotąd ginęli z głodu. Że nigdy w życiu nie mieli butów, że są okragłymi analfabetami i bezrobotnymi od urodzenia. Od dziesiątków lat i oni i ich ojcowie żyli jak niewolnicy pod rządami generałów Gwatemali, Hondurasu, El Salvadoru czy Nikaraguy, w absolutnej, skrajnej nędzy i bez żadnych praw do samoobrony. Żołnierze i policjanci rabowali ich nędzne mienie i gwałcili ich żony i córki. Dziś ofiaruje się im fasolę, buty i battledressy i mówi się: Brońcie się! Czy mogli nie wierzyć?

Nikt w Ameryce łacińskiej nie ma wątpliwości, że komunizm jest zjawiskiem niebezpiecznym i że należy go zwalczać. Ale nie zbrojeniem dawnych gwardystów generała Anastasia Somozy, jednego z najokrutniejszych dyktatorów na tym kontynencie, nie niszczeniem urządzeń portowych, nie odmawianiem pomocy finansowej - ale przysyłaniem nauczycieli, lekarzy, socjologów, instruktorów rolnych. Zmniejszenie bezrobocia, eliminacja głodu, rozłoczenie opieki nad umierającymi dziećmi, sieć lecznic, zwalczających szalejące epidemie - to są sposoby wytrącające broń z rąk komunistów, rozbrajające ich propagandowe argumenty o niesprawiedliwości społecznej, o dzikim kapitalizmie, o wyzysku biedoty, o ofiarach śmierci głodowej. Ta amerykańska tragedia nadal czeka na rozwiązanie.

Teologia Wyzwolenia powstała w Brazylii

Brazylia jest liczebnie największym krajem katolickim na świecie. Mało jednak zrozumiiałym zjawiskiem jest równoległe istnienie wielu sekt religijnych i rozmaitych odmian spirytyzmu oraz kultów niegdyś przywiezionych przez afrykańskich niewolników z Nigerii i z Dahomeyu. Należą do nich miliony adeptów, którzy oficjalnie są zarejestrowani jako rzymscy-katolicy i którym chodzenie do kościołów na niedzielne msze w niczym nie przeszkadza w praktykowaniu tajnych rytuałów, zabobonów i zaklęć. Te rytuały w Rio de Janeiro i w centralnych częściach kraju nazywają się "Umbanda", a na północnym wschodzie noszą nazwę "Candoble". Wykazują one duże podobieństwo do "Voudou", praktykowanego w Haiti i do czarodziejskich praktyk w innych krajach Ameryki Środkowej. "Umbanda" czy "Candoble" to religia wierząca w ducha umartych, które można pozyskać dla swego dobra za pomocą modlitw, tańca, śpiewu i ofiar składanych w rytuale zwanym "Macumba". Ich bogiem jest Oxala, największa świętość. Kiedy Jan Paweł II przybył do Salvadoru, stolicy stanu Bahia i stolicy "Candoble" - miasta o 365 kościołach, brymas Brazylii skreślił z programu papieskiej wizyty odwiedzenie kościoła Bonfim, pod pre-

tekstem że modlą się w nim adępci "Candoble". W tym dniu zerwała się gwałtowna burza i spadł ulewny tropikalny deszcz. Wyznawcy "Candoble" nie mieli wątpliwości: Urażony bóg Oxalá zesał burzę, jako karę za ominięcie jego kościoła.

Wszystko to sprawiło, że biskopat brazylijski musiał przyjąć jakąś postawę i zdecydował się na najbardziej rozumne rozwiązanie, a mianowicie zastosował tak zwany synkretyzm religijny, czyli jakby dyskretne przymrużenie oka na przejawy "Umbandy" i "Candoble". Ta religia przestała być wiarą czarnego proletariatu i dziś wśród oddanych adeptów znajdują się intelektualści, artyści, pisarze, a nawet dyrektorzy banków. 87-letnia "Panieczka z Gantois", prawniczka afrykańskich kreolów, jest otaczana ogólnym uwielbieniem i posiada nieoficjalnie tytuł prymasa "Candoble". W ostatnim spisie ludności podała jednak jako swoją religię wyznanie rzymsko-katolickie.

Kościół katolicki w Brazylii jest silny i bardzo wpływowy. Episkopat jest zgrupowany w Naczelnej Radzie Biskupów Brazylijskich i składa się z sześciu kardynałów i 360 arcybiskupów i biskupów. Kościół odczuwa jednak brak księży i dlatego wśród 35 tysięcy księży świeckich i zakonnych prawie trzecią część stanowią cudzoziemcy: Holendrzy, Niemcy, Włosi, Hiszpanie, Irlandczycy, Portugalczycy, Francuzi i 250 księży polskich, Chrystusowców i Misjonarzy. Naczelna Rada jest doktrynalnie podzielona na konserwatywów, umiarkowanych i postępowych. Kapłani postępowi stanowią większość i są czynnie zaangażowani w Teologię Wyzwolenia. W okresie młnionej dyktatury, postępowi biskupi, w nieustannym konflikcie z rządem ostro występowali przeciw systematycznym torturom więźniów politycznych, a potem w obronie liberalizacji politycznej. Dziś nadal otwarcie występują w obronie nędzarzy, walcząc z niesprawiedliwością społeczną i stając nieugięście po stronie głodnych i pokrzywdzonych.

Konflikt dzielący duchowieństwo jest poważny, ale aby móc go zrozumieć, należy, w pierwszym rzędzie, zająć się osobą Jana Pawła II, który odegrał wielką rolę w dziele zjednoczenia tego duchowieństwa. W czasie swej brazylijskiej pielgrzymki w roku 1980, na inauguracyjnym zebraniu Dziesiątego Kongresu Eucharystycznego, papież wyznaczył zebranych kardynałom i biskupom drogę, jakimi mają kroczyć w dalszych pracach misyjnych Kościoła w Brazylii. Była to wyraźna opcja opieki nad biednymi i pokrzywdzonymi i nieustający protest przeciw niesprawiedliwości. "Każdy człowiek ma prawo domagać się, aby szanowano jego godność - mówił papież - a tymczasem miliony ludzi żyją w zagrożeniu głodu, bez pracy, bez zdrowia, bez prawa do protestu. Nie jest to wezwanie do walki klas, bo walka klas właśnie niesie zagładę. Jest to apel do stworzenia systemu powszechnej sprawiedliwości". I w dalszym ciągu papież nauczał: "Z całą siłą odrzucam możliwość, aby partia komunistyczna miała prawo widzieć w akcji Kościoła wspólność celów. Odrzucam chęć komunistów stworzenia z Kościoła odskoczni dla swych programów. Komuniści mają prawo do wypowiedzenia swych poglądów, ale niech mają cywilną odwagę propagowania swych marksistowskich praktyk. Kościół walczy o prawa człowieka, poprzez Ewangelię, poprzez miłość, poprzez solidarność, a nigdy przez gwałt". W ten sposób postępową grupą episkopatu otrzymała pełne poparcie. Ale równocześnie, ku widocznej satysfakcji konserwatystów, papież ograniczył działalność Kościoła do środków chrześcijańskich, ewangelicznych, zabraniając wszelkiego udziału w życiu politycznym, w interwencjach i naciskach na rząd we współpracy z partiami politycznymi. I tu zarysował się konflikt. Po rozpatrzeniu wszystkich kazań papieża, wszystkich aktów i odruchów, stało się jasne, że Ojciec Święty wysuwał tezę pluralizmu w akcji kościelnej, zróżnicowania metod działania, podkreślając jednak nieustannie swą walkę z deptaniem ludzkiej godności, z głodem i z nędzą. W ten sposób stał się w oczach Brazylijczyków oskarżycielem popełnianych krzywd i obrońcą uciśnionych. Robotników na plantacjach trzciny cukrowej, których zarobki wynoszą 350 dolarów rocznie, nawoływał, aby nie dali sobą ponieierać. W stolicy Amazonii miał dramatyczne spotkanie z 60 kacykami indiańskimi, którzy oskarżali rząd brazylijski o ludobójstwo i o niszczenie Ich rezerwatów. Indianie skarżyli się białemu papieżowi na białego

Boga, który jest niemiłosierny dla czerwonoskórych. Biały Papież płakał. A w stolicy stanu Bahia nastąpiło wstrząsające spotkanie z nędzarami z dzielnicy Alagados. Papież przyniósł słowa pociechy i wyraził swą bolesną solidarność wobec nieopisanego tragedii 150 tysięcy tych, którzy w warunkach podludzkich żyją na samym dnie nędzy, w blaszanych budach, postawionych na palach nad stojącą, cuchnącą, zakażoną wodą. Na stadionie sportowym w Sao Paulo 160 tysięcy robotników i robotnic słuchało w skupieniu papieża, który w ulewym deszczu stał samotnie pośrodku stadionu i przez dwie godziny mówił im, że fałszywy rozdział dóbr opiera się na gromadzeniu zysków, kopiąc coraz większą przepaść między bogatą mniejszością i olbrzymią większością ludzi biednych.

Z każdym dniem rósł entuzjazm tłumów. Ten entuzjazm przemienił się w adorację, w uwielbienie, graniczące ze zbiorową histerią. Ludzie śpiewali na cześć papieża pieśń, w której nazywali go Janem Bożym; dzieci szkolne krzyczały: Król, nasz król, a robotnicy w Sao Paulo nadali mu tytuł brata, towarzysza pracy, robotnika chrystusowego i kolegi.

Równocześnie konflikt rozrastał się. Niższe duchowieństwo, proboszczowie i wikariusze w dalekich parafiach i w proletariackich dzielnicach wielkich miast, wspierani przez postępowych biskupów i przez dwóch kardynałów, poczuli się zagubieni w powstałym zamęciu. Jak to? Ojciec Święty przyjął opcję opieki nad biednymi, a przecież to właśnie Teologia Wyzwolenia rozacza nad nimi taką opiekę?

Ojciec Święty zabronił uprawiania polityki, ale czy można nazywać polityką organizowanie Komórek Kościelnych, powstałych na plebaniach, gdzie ludzie z jednej wsi, z jednej osady, z jednej ulicy lub z jednego domu, zbierają się co tydzień, aby wspólnie przedyskutować męczące ich bolączki, szukać praktycznych rozwiązań lokalnych problemów, starać się o pomoc dla najbiedniejszych, naradzać się nad możliwościami poprawy ich bytu i bytu ich dzieci? W tej chwili istnieje już 90 tysięcy Komórek Kościelnych, we wszystkich częściach kraju. Stworzono system wzajemnej pomocy, zwany "Mutirao" co oznacza wspólny wysiłek. Ludzie w soboty wolne od pracy naprawiają dziurę w dachu sąsiadów, wymieniają rury kanalizacyjne, wprawiają stłuczone szyby - zawsze solidarnie, dla dobra ogółu. Nauczycielki wygłaszają pogadanki dla dzieci, wikariusze uczą śpiewu, grono kobiet postanawia przygotować wyprawkę dla jakiegoś noworodka. Wspólnymi siłami stara się załatwić drobne lokalne sprawy, poprawić, ulepszyć. To nie jest walka klas, to nie jest polityka, to nie jest marksizm - protestują księża - to jest prawdziwa Solidarność. Jan Paweł II jest wiernym sługą Kościoła - mówią wyznawcy Teologii Wyzwolenia, ale obowiązkiem Kościoła jest nie tylko dbałość o czystość dogmatów, ale również walka o prawo do życia w ludzkich warunkach. Brazylijski jezuita, ksiądz Carlos Alberto Libanio Christo, jeden z głównych bojowników o Teologię Wyzwolenia, oświadczył publicznie: "Przyjeżdżają do nas różni wystawnicy Watykanu i pytają o nasze zdanie w sprawie dogmatu Niepokalanego Poczęcia, konfliktu otwartego przez szwajcarskiego teologa Hansa Klunga. Odpowiadamy im, że nam przede wszystkim leży na sercu nędza ludzka, a nie teoretyczne rozważania teologiczne". Toteż 10-dniowy nadzwyczajny kongres biskupów brazylijskich z udziałem pięciu kardynałów i około trzystu biskupów, odrzucił potężną większością głosów wniosek o potępienie Hansa Klunga.

Co niesie przyszłość? Kiedy po okresie ponurej dyktatury Brazylia wchodzi w erę pełnej demokracji, ogromnej wagi nabrano oświadczenie Konferencji Biskupów Brazylijskich, postanawiające, że w ręce nowego demokratycznego rządu przekaże swą walkę o prawa ludzkie i obronę uciskanych w nędzy i głodzie. Jest to oświadczenie, które należy odczytać jako w pewnym stopniu zakończenie Teologii Wyzwolenia, stanowiącej główny punkt konfliktu z Watykanem. Tyle tylko, że ta Teologia przestała być monopolem Brazylia i przeniosła się na kraje Ameryki Środkowej. Dalszy ciąg jest nadal nieznanym.

Przemiany

Prezydent Boliwii, Hernan Siles Buazo, przeprowadził strajk głodowy, aby zaprotestować przeciw podejrzeniom wyrażonym przez parlament, że brał czynny udział w handlu narkotykami. Życie polityczne tego kraju zakrawa na karykaturę wszystkich zagadnień, istniejących w innych krajach tego kontynentu. W ciągu 155 lat swej niepodległości Boliwia miała już 201 rządów, regularnie obalanych przez kolejne zamachy stanu. Chyba największym dramatem Boliwii jest kokaina, bo wszystkie wysiłki zmierzające do zwalczania handlu narkotykami nigdy nie będą uwieńczzone pełnym skutkiem. Nie wystarczy zwalczanie mafii, bo to jedynie ona sprzedaje i rozprowadza kokainę. Bez uprzedniego zlikwidowania produkcji kokainy walka jest beznadziejna, a produkcja nie da się zlikwidować. Przede wszystkim dlatego, że przynosi ona dziennie miliony dolarów zysku - nie dla kraju, a dla rządzących nim generałów. Wpływy ze sprzedaży kokainy nie wpływają do kas państwowych, lecz do kieszeni ministrów, którzy wojskowymi samolotami przewożą ten towar do Kolumbii i Brazylii, a potem dalej do Zachodniej Europy i do Stanów Zjednoczonych. Z drugiej strony żucie liści koki służy wynędzniałej ludności do zabicia nieustannie odczuwanego głodu. Kraj jest w zupełnej ruinie, inflacja osiągnęła już 2.700%. Władze utraciły jakąkolwiek kontrolę i wszystko zaczęło się ostatecznie walić w gruzy. Większość banków przestała pracować ze względu na zupełny brak środków płatniczych, a artykuły spożywcze doszły do nieznanych wyżyn ciągle rosnących cen. Banknot o najwyższej wartości stu tysięcy pesos ma wartość mniejszą od jednego dolara, więc noszenie waliz i worków pełnych pieniędzy stało się koniecznością. Kiedy do banku Boliviano-Americano w La Paz wszedł woźny jaklejs firmy handlowej, niosąc na plecach worek i prosząc o przyjęcie depozytu 32 milionów pesos, kasjer bez słowa przyjął worek i wydał odpowiednie pokwitowanie. "Nie liczymy więcej wkładów, objaśnij, dodając z humorem, że bank wierzy na słowo swym klientom".

Chile było krajem o tradycji największego rozwoju politycznego, dopóki nie utonęło w utopijnych szaleństwach rządu prezydenta Allende; w następstwie zostało zmiążdżone krwawą dyktaturą prezydenta Pinocheta. Dziś Chile, kiedyś kolebka kultury Ameryki łacińskiej, żyje wśród wrogich manifestacji całego społeczeństwa, wśród strajków, zamachów bombowych oraz brutalnych represji karabinierów. I nie widać dotąd końca tego dramatu.

W Peru, wbrew wysiłkom "Zjednoczonej Lewicy" łączącej komunistów i socjalistów i mimo gróźb pro-chińskich terrorystów, znanych jako "Sendero Luminozo", czyli "światła ścieżka", wybory wygrał 35-letni Alan Garcia, адвокат i przywódca stronnictwa "Apra" o linii socjal-demokratycznej stylu zachodnioeuropejskiego. Ludność żyjąca w straszliwej nędzy i w nieustannym niebezpieczeństwie starc zbrojnych między pravicową armią i fantastycznymi obietnicami skrajnego marksizmu terrorystów, chciała mieć jedynie możliwość spokojnego życia. Wtedy ukazał się Alan Garcia, porywając tłumy swym programem demokratycznego socjalizmu potężonego z nacjonalistycznym entuzjazmem. Uwierzyli mu i chcą w nim widzieć lepszą przyszłość i dlatego śpiewają dziś hymn "Apry", na melodię francuskiej Marsylianki ze słowami potępiającymi imperializm.

W Kolumbii co najmniej od trzydziestu lat działa terror. Pięć tamtejszych organizacji terrorystycznych walczy nie tylko z rządem i z wojskiem, ale też wzajemnie się zwalczą. Ich przynależność do trockizmu, komunizmu czy anarchizmu nie dozwala na stworzenie wspólnego frontu.

Piętnaście organizacji terrorystycznych działa dziś w El Salvadorze, w Gwatemali i w Hondurasie. Wszystkie są absolutnie przekonane, że po dziesiętkach lat wojskowej dyktatury jedynie siłą można rozwiązać wszystkie palące

ce zagadnienia gospodarcze i społeczne. Ich ideologia opiera się na wzorach sowieckich albo kubańskich. Republika Dominikańska nigdy dotąd nie zapomniała amerykańskiej inwazji, a Nikaragua pamięta, że dopiero w ostatniej chwili i to bardzo niechętnie Stany Zjednoczone przestały popierać pół-amerykańskiego dyktatora Anastazja Somozę. Dziś Nikaragua jest chyba zagadnieniem najgroźniejszym - nie tylko dla Ameryki tacińskiej, ale dla całego świata.

Paragwaj od trzydziestu lat znajduje się w stanie obłączenia. Kiedy mówi się o ustrojach autorytarnych na tym kontynencie, mało kto zwraca uwagę na Paragwaj. Pewnego rodzaju wytłumaczeniem jest teoria, że Paragwaj nie jest państwem pozostającym pod absolutną władzą generała Alfreda Stroessnera, ale prywatną jego własnością, jego majątkiem ziemskim, którym rządzi jak prawowity dziedzic. Stroessner, syn niemieckiego dentysty, czuje się niezwykle dumny ze swej "pokojoyej rewolucji", choć ta pokojowość opiera się właśnie na nieprzerwanym od trzydziestu lat stanie obłączenia, przekreślającym wszystkie prawa polityczne i obywatelskie ludności. Ta ludność, bardzo biedna, żyjąca głównie z rolnictwa jest pochodzenia indiańskiego i w większości nie zna języka hiszpańskiego, porozumiewając się w narzeczu Guarani. Ci biedni chłopi nie są prześladowani, ale żyjąc poza nawiasem polityki i rozwoju kraju, nie posiadając żadnych ambicji, nie interesując się żadnym zagadnieniem ogólnym, nie są elementem niebezpiecznym dla rządu. Wiedza polityczna Stroessnera polegała na umiejętności ofiarowania Departamentowi Stanu obrazu Paragwaju jako bazy do walki z komunizmem na tym kontynencie. W zamian za to Departament Stanu obśypał go przywilejami. Posypały się dolary, pożyczki, finansowanie projektów przemysłowych. Wdzięczny generał całkowicie podporządkował się regulaminom Międzynarodowego Funduszu Walutowego, który kieruje całą polityką finansową Paragwaju. Stroessner otworzył granice dla wszelkiego rodzaju uciekinierów z rozbitego Reichu. Masowo osiedlili się tam byli oficerowie SS, członkowie wojskowej mafii "Odessa", zbrodniarze wojenni, poszukiwani przez sądy w Europie. Najstydniejszym jest doktor Józef Mengele, kat Oświęcimia, otoczony przez Stroessnera, z jemu tylko wiadomych powodów, czując opieką i pełną siatką bezpieczeństwa. Trzeba przyznać, że Paragwaj spełca skrupulatnie i punktualnie wszystkie przyjęte zobowiązania i dlatego na listach międzynarodowych banków figuruje jako wzorowy dłużnik, korzystający z niższych stawek oprocentowania, a także z Trzech Gwiazdek, jakie w rejestrach bankowych oznaczają minimalne ryzyko dla wierzycieli.

Znany kiedyś jako Szwajcaria Ameryki Południowej Urugwaj był rządzony przez całkowicie ustabilizowany ustrój pełnej demokracji i żył dostatnio, głównie z eksportu mięsa i wełny oraz ze wszystkich przywilejów, jakie daje zaufanie światowych banków. Wojna partyzancka anarchistycznych terrorystów spod znaku Tupamaros zdołała w szybkim tempie doprowadzić kraj do zupełnej ruiny. Przez następnych jedenaście lat rządziło wojsko. Był to ponury okres represji i tortur. Więźniów nie bito, torturowano ich psychicznie, doprowadzając do rozpacz. Wizyty rodzin dozwolone były dwa razy w roku i odbywały się przez szybę. Kiedy więzień siedział nieruchomo w celi, wbiegał strażnik się potrząsając nim wrzeszczał: "Tu nie wolno myśleć, twoje myśli są złe". W listopadzie wojsko zeszło z placu. Wybory wygrał 48-letni adwokat koalicji wszystkich stronnictw demokratycznych. Pierwszym jego zarządzeniem było ogłoszenie pełnej amnestii, na zasadzie której 500 więźniów politycznych odzyskało wolność po jedenastu latach systemu uznanego za najbardziej okrutny. Czterdzieści tysięcy Urugwajczyków powróciło z wygnania, głównie z Brazylii i z Argentyny.

Prezydent Argentyny Raul Alfonsin jest niewątpliwie najwybitniejszym politykiem Ameryki Południowej. Radykalizm w nazwie jego stronnictwa nie przerażał nikogo, gdyż był rozumiany w wersji francuskiej, gdzie partia radykalna zawsze należała do umiarkowanego centrolewu, dużo na prawo do so-

cialistów.

Podobno jedyną jego wadą jest to, że nie umie tańczyć tanga, co w Argentynie jest grzechem niewybaczalnym. Ale za to osiągnął wielkie i podwójne zwycięstwo, rozbijając juntę wojskową i partię peronistów. Rozgrywka z generałami nie była łatwa. Nic podobnego nie zdarzyło się dotąd na tym kontynencie. Proces dziewięciu generałów, członków trzech kolejnych junt wojskowych, rozpoczął się przy wielkich manifestacjach w Buenos Aires, domagających się surowego ukarania winnych ludobójstwa. Po szesnastu miesiącach śledztwa, w czasie którego oskarżeni starali się uniknąć procesu w sądach federalnych, żądając dla siebie trybunałów wojskowych, prezes sądu apelacyjnego otworzył przewód sądowy, odrzucając wniosek 22 adwokatów obrony, domagających się odczytania 30.000 stron aktów, co miało na celu opóźnienie trwania procesu, i tak już przewidzianego na co najmniej pięć miesięcy. Strategia obrony opiera się na tezie, że trzy junty wojskowe wykonywały swój obowiązek walki z siłami wyrotowymi. Prokurator natomiast opiera oskarżenie na podstawie 709 dokonanych zbrodni, wybranych spośród udowodnionych 8.961 wypadków, w jakich już zidentyfikowano zwłoki zamordowanych. Natomiast Komitet Badania Ofiar oblicza ilość zamordowanych i "zaginionych bez śladu" na 20.000-25.000 osób. Oskarżonym grozi degradacja, pozbawienie praw obywatelskich i dożywotnie więzienie, a w najlepszym wypadku wyrok 25 lat. Równoległe do tego procesu izba kontroli państwa prowadzi śledztwo w sprawie 716 dotychczas udowodnionych nadużyć, kradzieży i przekupstwa. Przewodniczący tej komisji nazywa ich złodziejami w białych rękawiczkach. Odkryto, że z długu zagranicznego Argentyny, wynoszącego 48 miliardów dolarów, dziewięć miliardów nigdy nie wpłynęło do kas państwowych i dotąd nie wiadomo co się z tymi pieniędzmi stało, choć najprawdopodobniej są już dawno umieszczone na numerowanych kontach w bankach szwajcarskich. Odkryto również, że fundusz przeznaczony na organizację olimpiady piłki nożnej w Buenos Aires w roku 1978 znikł bez śladu. Wśród najbardziej podejrzanych figuruje były prezydent, generał Videla i minister skarbu Martines de Hoz.

Ten najbogatszy i najbardziej kulturalny kraj Ameryki Południowej, kraj bez analfabetów, posiada wszystkie elementy rozwojowe. Ma nadwyżki ropy, zboża i mięsa, ma nowoczesny przemysł i handel. Ale przez czterdzieści lat panował tu niepodzielnie peronizm, o wybitnym charakterze faszyzmu. Peron objął rządy w roku 1945, właśnie w czasie kiedy ten faszyzm już zamierał na świecie. Nie biorąc udziału w drugiej wojnie światowej Argentyna była opóźniona w rozumieniu nowych czasów, które wszędzie przybierały kierunki bardziej liberalne. Rządy peronistów zdeorganizowały gospodarkę do tego stopnia, że doprowadziły do radykalizacji mas. Wtedy wpływy wojska zaczęły rosnąć. W odróżnieniu od armii brazylijskiej, która jest pochodzenia plebejskiego - gdyż niezamożne rodziny kierowały swych synów na księdza albo na oficera, dwie najłatwiejsze i najtańsze kariery - dzisiejsi generałowie brazylijscy są synami lub wnukami drobnych rolników, kupców czy robotników, podczas gdy oficerowie argentyńscy od wielu pokoleń należeli do kasty uprzywilejowanych i przez swą przynależność do arystokracji czy ziemiaństwa byli nawykli do traktowania społeczeństwa przez pryzmat swej wyższości.

Taki stan nie mógł trwać wiecznie, musiał wywołać konflikt ze społeczeństwem. Do walki z uprzywilejowanymi oficerami stanęli Montonerzy i partyzanci z Ludowej Armii Rewolucyjnej, łączący swój marksizm z zesławieńczym anarchizmem. Rozpoczął się terror. Partyzanci napadali na banki, porywali ludzi, rabowali i zabijali. Wtedy zaczęła się tragedia. Dowody zebrane przez prokuraturę są wystarczające jeśli idzie o przeraźliwe okrucieństwo wojsk zbrojnych walczących z terrorystami, a na dalszym etapie wymyślnych tortur stosowanych także w stosunku do niewinnych ofiar zemsty swych nieprzyjaciół, donosów sąsiadów z którymi nie żyli w zgodzie albo osobistych porachunków na tle finansowym czy erotycznym.

Opinia publiczna popiera prezydenta Alfonsina, a organizacje obrony praw

ludzkich i grupa matek ludzi zaginionych domagają się sprawiedliwości. Ale trzeba też wziąć pod uwagę, że w tych ciężkich latach gwałtownego kryzysu gospodarczego, w jakim żyje społeczeństwo walcząc o byt codzienny, przy szalejącej inflacji wynoszącej w kwietniu 30%, przy nieustannie rosnących cenach żywności, uwaga ludzka koncentruje się bardziej na problemach codziennego życia, niż na chęci zemsty. Można też wyraźnie odkryć uczucia młodych oficerów. Porucznicy, kapitanowie czy majorowie nagle zrozumieli, że wybierając zawód wojskowy popełnili największy błąd swego życia. Jako podchorążowie byli zapatrzeni w blask kariery wojskowej swych ojców i dziadków, w potęgę jaką reprezentowali, w przywileje jakie ich otaczały, w szacunek jakim się cieszyli. Dziś z przerażeniem widzą, że to były tylko sny i że najwyżsi dostojnicy wojskowi, byli prezydenci republiki, udekorowani generałowie i admirałowie, mogą być jutro poniżeni, sądzeni, zdegradowani i skazani na wieloletnie więzienie. Za wcześniej jeszcze mówić o istnieniu spisku młodych oficerów, ale jest oczywisty ich bunt w obronie "sponiewieranego majestatu munduru". I coraz wyraźniejsze są szeptki o tworzącej się konspiracji czy nawet zamachu stanu. Niewyraźna jest również sytuacja wśród peronistów. Wprawdzie głośno deklarują swą walkę z dyktaturą wojska, ale nie mogą zapomnieć o klęsce, jaką im zadał Alfonsin. Toteż kiedy prezydent zarządził wielką koncentrację w Buenos Aires, prosząc, aby milion ludzi poparł jego walkę z dyktaturą i kryzysem gospodarczym, na Placu Majowym można było naliczyć zaledwie dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Związki zawodowe zawiodły i prawdopodobnie w jakiś, jeszcze nie rozeznanym, sposób próbują grać na dwóch stołkach, popierając proces generałom ale i przy okazji próbując uderzyć w Alfonsina. Raz jeszcze sprawdza się, że ideologia w polityce jest zwykłym mitem. Do partii peronistycznej należeli zarówno działacze prawicowi jak i politycy ze skrajnej lewicy. Łączyła ich magnetyczna siła uwodzenia ludzi, jaką odznaczał się Juan Domingo Peron. Peronizm urosł do granic uwielbienia o podłożu religijnym. Istniała nawet tendencja ogłoszenia Perona bogiem ludowym, a po jego śmierci cały splendor spłynął na Izabelitę. Zrobiła ona najbardziej błyskotliwą karierę. Z fortancerki w nocnym lokalu w Panamie, gdzie ją przypadkowo spotkał Peron, została żoną dyktatora, a potem prezydentką Argentyny. Po pięciu latach aresztu domowego z wyroku junty pozwolono jej opuścić kraj. Dziś Izabelita ma 54 lata, jest nadal bardzo przystojną i wytworną panią, posiadającą w bankach zawrotne sumy dolarów i żyjącą w luksusie w Madrycie. Przeżywa tam może już ostatni romans z towarzyszącym jej nieodstępnie Milo Božitićem, dawnym jugosłowiańskim członkiem jej ochrony pałacowej.

Argentyna znajduje się dziś na niebezpiecznym zakręcie. Powinna żyć terazniejszością i myślać o przyszłości, ale Argentynczycy upierają się przy nawrotach do przeszłości. Może się okazać, że narasta nowy koszmar, z jakiego Argentyna się wyzwoli - o ile się wyzwoli - już jako kraj osłabiony, okaleczony i nieszczęśliwy.



Szał radości ogarnął Brazylijczyków, kiedy 15 stycznia Tancredo de Almeida Neves został przytłaczającą większością głosów wybrany prezydentem Brazylii. Data 15 marca była wyznaczona na jego zaprzysiężenie. Program przewidywał akt przysięgi w kongresie, akt objęcia władzy przez nowy rząd, przyjęcie dla 96 delegacji zagranicznych oraz wielki bal jako wyraz entuzjazmu i radości, że po 21 latach autorytarnych rządów wojskowych władzę obejmuje cywilny prezydent, demokracja, polityk roztropny, umiarkowany i obdarzony wielką inteligencją. Tancredo przygotował skład swego rządu, składającego się z polityków liberalnych i z przedstawicieli umiarkowanych stronnictw centrolewu. Zły los zrządził inaczej. W nocy poprzedzającej uroczystości, na kilka godzin przed złożeniem przysięgi, prezydent musiał być nagle operowany na zapalenie dolnego jelita. Nieoczekiwanie operacja okazała się poważna. Cały kraj zamarł,

a politycy zaczęli gorączkowo szukać legalnego rozwiązania na wypadek śmierci prezydenta. Uznano, że w zgodzie z konstytucją jedynym wyjściem byłoby zaprzysiężenie wybranego wiceprezydenta, jako tymczasowego prezydenta republiki. Ale ustępujący prezydent, generał Figueiredo, odmówił przekazania szarfy - symbolu władzy prezydenta - wiceprezydentowi, gdyż miałby on zastępować prezydenta jeszcze w danej chwili nie zaprzysiężonego. Sześciu najwybitniejszych profesorów prawa uznało, na godzinę przed rozpoczęciem uroczystości w kongresie, kiedy na sali plenarnej znajdowali się delegaci zagraniczni, a wśród nich wiceprezydent Stanów Zjednoczonych George Bush, prezydent Argentyny Raul Alfonsín, prezydent Nikaraguy Daniel Ortega oraz pięć innych głów państw i dziewięciu premierów, że wybrany wiceprezydent Jose Sarney nie jest wiceprezydentem prezydenta Nevesa, lecz wiceprezydentem republiki. Zdecydowano pominąć akt przekazania szarfy, jako czynności symbolicznej a nie aktu prawnego, i wszystko odbyło się według przewidzianego programu. Wiceprezydent złożył przysięgę i stał się tymczasowym prezydentem kraju. Tłumy zgromadzone przed kongresem w Brasilií skorzystały z okazji, aby wygwizdać wchodzącego prezydenta Paragwaju, generała Stroessnera, oddały burzliwymi oklaskami Daniela Ortegę i w grobowej ciszy witać Busha. Tymczasem w szpitalu leżał bezsilny prezydent Neves, płacząc na swój zły los. Zła taktyka lekarzy, którzy chcąc uspokoić opinię zaczęli wydawać optymistyczne komunikaty zaczęła przynosić wyniki negatywne. Fala plotek objęła cały kraj a nastrojów nerwowego napięcia zamienił się w szok, który po czterech dniach uspokajających biuletynów lekarskich, okazało się konieczne przeprowadzenie nowej operacji nadal sparaliżowanych jelit. A potem już dramat stał się nie do wytrzymania. Nastąpiła infekcja, a potem silny krwotok i w ciągu następnych 25 dni prezydent był poddany pięciu nowym operacjom. Zaczęto mówić, że złe czary, że został otruty, że go postrzelono. Sytuacja pogarszała się dalej i prezydenta poddano siódmej kolejnej operacji. Ale ten 75-letni człowiek był już zaatakowany infekcją płuc, nerek, wątroby i pogarszającego się z godziny na godzinę stanu serca. Po 38 dniach choroby zmarł. Od dziesiątków lat żaden polityk brazylijski nie cieszył się taką popularnością jak twórca nowego ustroju, któremu zły los nie pozwolił wziąć udziału w tej odzyskanej wolności. W całym kraju ludzie modlili się na intencję jego szybkiego powrotu do zdrowia. W hallu szpitalnym w Sao Paulo modlił się kardynał Arns, arcybiskup Sao Paulo, największej na świecie archidiecezji, liczącej 14 milionów wiernych, a tuż obok grupa rabinów wznosiła modły do Jehowy. Nieopodal stali przedstawiciele sekt spirytystycznych oraz kapłani i kapłanki afrykańskich rytuałów. Radość życia Brazylijczyków zawsze się opierała na ich przeświadczeniu, że wszystko zawsze musi się dobrze skończyć, bo Bóg jest Brazylijczykiem. Ale tym razem dobry Bóg nie wysłuchał modlitw ludzi, którzy bez względu na ich wiarę i przynależność wyznaniową, z przerażeniem patrzyli co się stać może po śmierci prezydenta, który chciał zmienić bieg historii, uwalniając Brazylię od ponurej dyktatury wojskowej. Zgodnie z konstytucją wiceprezydent Jose Sarney został prezydentem kraju. 55-letni doktor praw, pochodzący z północno-wschodniego stanu Maranhao, był senatorem i przez wiele lat członkiem a potem przewodniczącym partii, na której opierała się dyktatura. Kiedy dyktatura zaczęła się chylić do upadku, wstrząsana wieloma skandalami finansowymi, korupcją i nadużyciami swych dygnitarzy, Sarney nie czekał na zatoniecie statku i wraz z 80 innymi senatorami i posłami wystąpił z partii prorządowej i stworzył z nimi nowe stronnictwo liberalne. Zmarły prezydent Neves oparł swój rząd ma centrolewie i na tym właśnie stronnictwie liberalnym, które w zamian za 80 swych głosów zastrzegło sobie wybór Sarneya na stanowisko wiceprezydenta. Ale w ustrojach rządów prezydenckich osoba wiceprezydenta ma charakter raczej dekoracyjny, bez żadnych funkcji wykonawczych. Wiceprezydent jest jakby zapasowym graczem, który wbiega na boisko, kiedy trzeba zastąpić kontuzjowanego zawodnika tytularnego. Toteż Sarney doznał prawdziwego wstrząsu, kiedy nieoczekiwanie musiał objąć urząd prezydenta kraju. Jose Sarney jest przede wszystkim pisarzem i poetą, mającym w dorobku 12 dobrych książek. Czuje się lepiej w zło-

tem wyszywanym zielonym fraku nieśmiertelnego członka Brazylijskiej Akademii Literatury niż na burzliwych sesjach kongresu. Jest mało znanym politykiem i nie posiada popularności w społeczeństwie. Obejmując władzę nagle ujrzał, że rząd, na czele którego stanął, składa się z ludzi nie przez niego dobranych. Nie widząc innego wyjścia, naród zrozumiał, że musi mu ofiarować poparcie, jakim darzył prezydenta Nevesa - zapewne w obawie przed niebezpieczeństwem rozbitcia "Nowej Republiki" czy może nawet jakichś nowych prób zamachowych. W swej pierwszej mowie do narodu, prezydent Sarney powiedział, że program zmarłego prezydenta będzie jego programem, którego naczelnym obowiązkiem będzie opieka nad biednymi, bo nikt nie może być szczęśliwy w kraju, w którym miliony ludzi nie mają prawa do szczęścia.

Nowa Republika - symbol odnowy

Gigantyczne obszary pełne naturalnych bogactw są zamieszkane przez setki milionów biedaków. Po raz pierwszy zaczynają oni wierzyć w nadchodzące przemiany. W Ameryce Południowej pozostał jeszcze na placu tragiczny generał Pinochet, a Stany Zjednoczone zaczynają odczuwać żenujące zakłopotanie, że przez tyle lat go popierały. W Brazylii skończyło się panowanie wszechwładnej służby bezpieczeństwa, która skazała na banicję 80 polityków, a 4.877 innych ukarała pozbawieniem praw obywatelskich, bez prawa do apelacji od wyroków wydawanych przez oficerów. Około dziesięciu tysięcy ludzi uciekło za granicę, a 339 "zaginęło bez śladu". Jest to raczej skromna cyfra w porównaniu z 30 tysiącami "zaginionych" Argentczyków. W okrucieństwie stosowanych tortur przodował Urugwaj ze swymi dźwiękoszczelnymi celami i piwnicami grobowej ciszy, gdzie zamykano więźniów na długie miesiące.

Wojskowe dyktatury we wszystkich bez wyjątku krajach doprowadziły gospodarkę do kompletnej ruiny, a ich pseudo-ideowe hasła okazały się zastoną dla uprawianej korupcji.

Teologia wyzwolenia, wprawdzie zwalczana przez Watykan, pracuje, pomaga, wydatnie wspiera biednych i nie chce żadną miarą zrozumieć oporu ze strony Ojca Świętego.

W krajach Ameryki Środkowej nie widać światła. W pojęciu wszystkich demokratycznych rządów łacińskich winę ponosi tragicznie błędna polityka prezydenta Reagana, z coraz bardziej realną groźbą przemiany walk podjazdowych w otwartą wojnę. Nikaragua idealnie nadaje się na poligon gier wojennych obu Super-Potę. Natomiast coraz bliższa wydaje się zmiana w stosunku do Kuby. Oddalając się od Moskwy Fidel Castro chciałby zbliżyć się do Waszyngtonu. Pierwszy krok wyjdzie z Brazylii, która w najbliższym czasie ma nawiązać stosunki dyplomatyczne z Kubą. Jest tu już nawet znane nazwisko przyszłego ambasadora brazylijskiego w Hawanie.

Cały kontynent żyje w nieustającym kryzysie gospodarczym i finansowym. Wszędzie rosną konflikty społeczne, bezrobocie i inflacja. Rosnie rozpacz ludności, niebezpieczna pożywka dla komunistycznej propagandy.

Trzeba wierzyć, że Argentyna, jeden z trzech członków Trójkąta, nie zawiedzie nadziei milionów ludzi i że ten kontynent nie będzie na nowo wepchnięty w czarną noc przemocy.

Maciej FELDHUZEN

Rio de Janeiro w kwietniu 1985

KULTURA, lipiec-sierpień 1965

ZBIGNIEW BYRSKI

AFRYKA POŁUDNIOWA

Zaogniona sytuacja w Republice Południowo-Afrykańskiej zmusiła rząd waszyngtoński do zastosowania sankcji gospodarczych wobec tego kraju. Stało się to głównie pod naciskiem senatorów demokratycznych, amerykańskich środków przekazu i potężnych murzyńskich *lobbies*, wspieranych przez rozmaite ugrupowania liberalnej lewicy. Administracja amerykańska jest obecnie w nieśtychaniu trudnym położeniu: uprawia politykę lawirowania, która nie wróży niczego dobrego. *Apartheid* stosowany w RPA jest potępiany przez wszystkich, włączając w to Republikanów. Ponadto wszystko, co nosi cechy rasizmu uznawane jest przez liberalną opinię USA za zjawisko, którego nie leczy się reformami, ale które trzeba natychmiast zlikwidować bez względu na skutki. W rocznicę wielkiej masakry Czarnych w Sharpeville doszło w wielu miastach RPA do zaburzeń, w rezultacie których 19 osób zostało zastrzelonych przez policję. Pogrzeb ofiar wywołał nowe demonstracje i dalsze liczne ofiary.

Omawiając sytuację w Republice Południowo-Afrykańskiej na konferencji prasowej w połowie marca br., prezydent Reagan uznał, że *apartheid* jest polityką odrażającą, ale że istnieją na świecie siły, które nie chcą dopuścić do usunięcia dyskryminacji rasowej w RPA w trybie reform, ale dążą do konfrontacji ulicznych i do rozsadzenia tego państwa. Oświadczenie Reagana wywołało lawinę ataków na niego jako obrońcę *apartheidu*. Między innymi biskup Pretorii, czarny duchowny Desmond Tutu, laureat nagrody pokoju Nobla, i wielu polityków murzyńskich nazwało go rasistą, zaś dwaj senatorowie Weicker i Kennedy - nie klasyfikując go w ten sposób - zażądali wprowadzenia prawa, zakazującego firmom amerykańskim wszelkich inwestycji w RPA. Tenże biskup Tutu - co świadczy o jego braku realizmu lub krańcowej naiwności - wyraził przekonanie, że po likwidacji *apartheidu* RPA stanie się spichlerzem Afryki i dostawcą najpotrzebniejszych towarów dla zafowanych czarnych krajów.

Czy jednak tak by się stało? Jak wiadomo RPA jest producentem około 30% towarów wytwarzanych przez całą arabską i czarną Afrykę. Jeśli w ciągu kilku tygodni czy nawet miesięcy doszłoby do obalenia istniejącego, niesprawiedliwego układu stosunków społeczno-rasowych, proces miałby charakter niekontrolowanej eskalacji, doprowadzając do gwałtownych starć, a być może wojny rasowej, w toku której biała ludność walczyłaby prawdopodobnie do upadłego, bo stawką byłoby już nie jej panowanie, ale fizyczne istnienie. Żadne stopniowe przemiany nie wchodziłyby już w rachubę. W tych warunkach nie tylko załamałaby się dotychczasowa struktura władzy w Republice, ale doszłoby do zniszczenia państwa. Nawet jeśli założymy optymistycznie, że okres anarchii trwałby niezbyt długo i RPA zostałaby odbudowana w nowej formie, poziom produkcji przemysłowej i rolniczej obniżyłby się i to bardzo drastycznie. Wraz z nim spadłoby wydobycie surowców. Albowiem realia są takie, że wysoka produktywność i wydobycie surowców w tym kraju są związane z istniejącą społeczną i rasową strukturą, ugruntowaną w ciągu wieków. Że tak właśnie jest, wskazuje niski poziom wydajności przemysłowo-rolniczej niepodległych państw Czarnej Afryki. Wywołanie tych krajów spod kolonialnej władzy Białych

i usunięcie dyskryminacji czarnych nie wyzwoliło sił produkcyjnych w nowych państwach.

W rozważaniach tego typu trzeba zresztą wyjść poza ramy problematyki rasowej. We współczesnym świecie rasizm stanowi tylko jeden z instrumentów upodlenia człowieka. Prawdopodobnie dla czarnej ludności RPA - najważniejszy i aktualnie jedyny. Obecnie żyjący czarni mieszkańcy tego kraju nie zaznali innych rodzajów tyranii i mogą wierzyć, że wszelkie zło pochodzi z *apartheidu* i że usunięcie go otworzy im drogę do promiennej przyszłości i dobrobytu. Wiemy, że tak nie jest.

Dlatego we wszystkich tego typu problemach i konfliktach należy brać pod uwagę przynajmniej kilka czynników: - po pierwsze, kto i w imię jakich celów domaga się usunięcia istniejącego, niesprawiedliwego porządku; po drugie, jaka jest alternatywa i czy nie jest ona brzemienne w inne, groźniejsze dla społeczeństwa klęski; po trzecie, czy jest to jedyna droga do osiągnięcia zmiany i usunięcia zła.

Żeby udzielić odpowiedzi na pierwsze i na drugie pytanie, które możemy traktować łącznie, należy odwołać się do historii ostatnich kilkunastu lat. Ta daje nam obfity materiał, bogaty w cenne i bolesne doświadczenia. Wiemy na przykład, że reżym szacha Iranu był okrutny i barbarzyński, ale wiemy i to, że w rozumieniu naszej chrześcijańskiej moralności, upragniona przez większość Irańczyków alternatywa jest jeszcze bardziej barbarzyńska. Dostrzegło to już wielu Persów, którzy bardzo szybko zrozumieli, że obecny klerykałno-szycki reżim jest krwawy i nieludzki i odwróciło się od ayatolli. To co z tego? - może ktoś zapytać. Co z tego, że ayatolia prowadzi z uporem wojnę z Irakiem, której zresztą nie zaczął? Co z tego, że kobiety w Iranie są izolowane i traktowane bez porównania gorzej, niż były traktowane w krajach należących do naszej cywilizacji kilkadziesiąt lat temu - skoro one same to akceptują? Co z tego, że organy bezpieczeństwa teokratycznej Republiki Islamu są okrutniejsze od służby bezpieczeństwa szacha? Dlaczego mamy rozdierać szaty nad losem milionów Irańczyków i dziesiątków tysięcy, które giną w bezsensownej wojnie z muzułmańskim sąsiadem - skoro oni sami sobie tego życzą, a mężczyźni i dzieci idą na śmierć z "kluczami do raj" zawieszonymi u szyi? W konkluzji wypadałoby postawić pytanie: dlaczego mamy oceniać moralność lub amoralność wszelkich systemów według naszych chrześcijańskich kryteriów? Czy nie powinna to być sprawa, o której decydować winna sama ludność suwerennego kraju? Odpowiadamy: w wielu wypadkach tak, ale nie zawsze i nie wszędzie. Hitler doszedł do władzy i dźwizył ją przez kilka dobrych lat przy absolutnym poparciu większości Niemców. Ale cenę demokratycznego wyboru Hitlera przez większość narodu zapłacił cały świat. Dlaczego wola narodu nie zawsze może i powinna być probierzem tego co dobre i złe. Z tej prostej przyczyny, że żaden naród nie tkwi w izolowanym miejscu - choćby nie wiem jak bardzo chciał się izolować. A przeważnie nie chce, jak pokazuje przykład hitlerowskich Niemiec w przeszłości, a obecnie Iran i Libia¹.

Dominująca rola białych w RPA może być usunięta i kto wie, czy to nie nastąpi bardzo rychło w wyniku dramatycznych i gwałtownych przemian w tym kraju. Ze swej strony nie możemy decydować za czarnych obywateli RPA, co jest dla nich gorsze, a co lepsze, i straszyć ich wysoką ceną, jaką będą musieli zapłacić za rozbięcie obecnego systemu - jeśli ta ewentualność okaże się nieuchronna. Sami muszą poznać gorzki smak wolności. Tymczasem obecna sytuacja RPA przypomina obłąkaną twierdzę, w której zbuntowało się ponad 2/3 załogi. Sowietkie Politbiuro niewątpliwie uważnie przygląda się temu zakątkowi świata, który strategicznie stanowiłby dla nich niestychanie łakomy kąsek.

¹ Sowietów nie wymieniam z tej przyczyny, że starałem się dawać przykłady tych krajów, w których władza istnieje przy aprobacie większości. Tak sprawy przedstawiają się tylko w Persji - przynajmniej w chwili, kiedy piszę ten artykuł. Z mniejszą pewnością oceniam sytuację w Libii pod władzą Kaddaffiego.

RPA jest izolowana politycznie i w dużym stopniu - militarnie. Podczas gdy dla liberalnej opinii świata jest ona obiektem aspiracji wyzwoleniczych, dla Sowietów jest po prostu potencjalnym łupem. Z tej przyczyny nie można wykluczyć inicjatywy sowieckiej, polegającej na zorganizowaniu "armii wyzwoleniczej", złożonej z czarnych Kubańczyków i Angolanów, którzy operując z terenów Angoli poprzez Namibię będą starali się destabilizować obecny reżim, przekreślając możliwość reform. Trzeba zaznaczyć, że tego rodzaju inicjatywa Sowietów nie miałaby w sobie obecnie nic awanturniczego. Politbiuro mogłoby działać bez żadnego ryzyka, ponieważ świat jest zaszantażowany "wyzwoleniem" RPA i nie bardzo dba o to, kto by ją wyzwalał i w jakim celu. Zresztą każdy odruch protestu przeciw Sowietom byłby od razu potraktowany jako próba obrony obmierzwionych rasistów.

Przy okazji obalenia rasistowskich rządów RPA doszłoby prawdopodobnie do całkowitego rozbitcia struktury państwowej i długotrwałej anarchii. Jednocześnie nastąpiłby kompletny paraliż społeczeństwa, które składałoby się z ludzi wolnych i głodnych. Czy wolnych w ogóle - tego nie jestem pewien.

Żeby uniknąć katastrofy, konieczne są reformy i to realizowane szybko. Oczywiście odejście RPA od *apartheidu* - fundamentu, na którym opierało się istnienie państwa Boerów, a później współczesnych Afrikanerów - musiałyby być operacją więcej niż wstrząsową. Biali i czarni obywatele tego kraju musieliby zacząć myśleć i patrzeć na siebie zupełnie inaczej. Czy ewentualność taka mieści się w realiach polityczno-historycznych uwzględniając doświadczenia, które uczą, że "człowiek bywa człowiekowi wilkiem", zwłaszcza gdy różni się kolorem skóry, nie mówiąc już o innych, mniej zewnętrznych różnicach? Nie wiem. Ale wiem, że trzeba próbować, bo alternatywa jest katastrofa, której ofiarą padną wszyscy. Ta myśl powinna zmusić obydwie strony do maksymalnego wysiłku adaptacyjnego. Czarni, o ile zdobędą większość w parlamencie RPA², jeśli będą jej nadużywać dla rewindykowania swych krzywd bez miary lub po prostu z zemsty, niewątpliwie zniszczą to, co z RPA dałoby się utrzymać po ewentualnym wprowadzeniu reform. Ponieważ, jak dotychczas, są tylko słabe sygnały politycznego oprzytomnienia białej mniejszości, historyczne doświadczenie uzasadnia tu głęboki pesymizm. Nikomu nie udało się dotąd stworzyć amortyzatora krzywd, które gdziekolwiek i kiedykolwiek narastały w toku wielowiekowego współżycia dwóch ras czy dwóch grup etnicznych. Więcej - w okresie antagonistycznego współistnienia krzywdy te bywały mniej jątrzące niż oglądane z perspektywy czasu. Ani RPA, ani jej poprzedniczka Unia Południowo-Afrykańska nigdy nie były wspólnym domem dla swoich mieszkańców. Były domem i własnością białych. Czarni pełnili rolę siły roboczej - izolowanej i dyskryminowanej. Cóż więc skłaniać ma ich do tego, by starali się o utrzymanie państwa, które przez wieki było dla nich domem niewoli? Najbliższe porównanie /dzieję chłtopów feudalnych mają wiele odmiennych implikacji/ nasuwa się z dziejami i aktualną postawą czarnych oby-

2. Rządząca Narodowa Partia Piotra Bothy wydała ostatnio książkę, która deklaruje, że polityka *apartheidu* jest obecnie niemożliwa do utrzymania. Innymi słowy ogłasza jej fiasko. Nie proponuje jednak zasady: "jeden wyborca - jeden głos", która dałaby czarnym automatyczną większość w parlamencie, a to jest właśnie istotą żądań czarnej większości. Książka, której autorem jest działacz rządzącej partii, dr Stofel van der Merwe, podtrzymuje rządy białej większości, jej bezpieczeństwo i bezpieczeństwo kolorowych, postulując zachowanie w RPA zachodnich wartości. Ostatni punkt jest nieco niejasny, ponieważ autor najwyraźniej włącza do dekalogu "zachodnich wartości" odmienne traktowanie ras. Ta niezmiernie konfliktowa sprawa świadczy zarazem o bardzo kompromisowych próbach rozwiązania nabrzmiałej sytuacji przez premiera Bothę. Jak zwykle w takich sytuacjach, uniki Bothy nie zadowolają ani czarnych, ani białych. Ze strony tych ostatnich rośnie opozycja, której wyrazicielem jest b. minister Andries Treurnicht, broniący *apartheidu* jako fundamentalnej zasady RPA.

wateli Stanów Zjednoczonych. Przy usunięciu resztek dyskryminacji rasowej i stworzeniu im optymalnie sprzyjających warunków w amerykańskim społeczeństwie, ich instynkt więzi patriotycznej i poczucie wspólnoty z resztą społeczeństwa wydają się niezmiernie wątte; z reguły ustępują one solidarności rasowej. W porównaniu z tą solidarnością amerykański patriotyzm wydaje się czystą abstrakcją i pustym sloganem. Jeśli więc tak jest, jeśli w świetle naszych rozważań możliwość zorganizowania nowej RPA - której zrzębów wciąż jeszcze nie widać - jest tak mała, to po co w ogóle próbować? Przede wszystkim dlatego, że losy RPA rzutują na losy świata. Z tej racji, jeśli nawet szanse ratowania RPA są znikome, należy je wykorzystać i nie odpisywać przedwcześnie tego kraju na straty.

Przy całym wielce pesymistycznym obrazie przyszłości RPA należy stwierdzić, że istnieje jeden, dość poważny, czynnik, którego nie uwzględniłem w moich rachubach, a który podaję jako argument końcowy, łagodzący mój sceptycyzm co do losów tego kraju. W każdym nowotworzącym się, lub powstającym ze starego, organizmie państwowym istnieje grupa ludzi zainteresowana w dojściu do władzy z okazji wyłaniania się nowych kształtów społeczności i tworzenia neo-biurokracji. Zjawiska te, które socjologzy klasyfikują jako dysfunkcję instytucji państwa, w kontekście niebezpieczeństw czyhających na RPA, mogą się w tym wypadku okazać wysoce pożyteczne. Ścisiej, mogą się przyczynić do scementowania państwa zagrożonego rozpadem. Podobne zjawiska cementującego działania nowych biurokracji można było zaobserwować we wszystkich krajach Czarnej Afryki. Chodzi tu oczywiście o spoiwo czysto administracyjne, które jest ważne z braku innego, gdyż świadomość narodowa nie ukształtowała się i pewno długo się jeszcze nie ukształtuje w plemiennych państwach Czarnej Afryki.

Czarni działacze RPA, którzy w tej chwili gotowi są uczynić wszystko, by zburzyć władzę białych w aparacie państwowym i w różnych gałęziach prywatnej gospodarki, będą chcieli za każdą cenę instytucje te zachować. Innymi słowy groźba rozpadu dawnej struktury tak długo jest dla nich atutem w walce, póki nie utoruje im drogi do władzy lub do kuszących stanowisk w przemyśle lub administracji, w tej chwili dla nich niedostępnych. Wśród czarnych polityków RPA, których hasła brzmią obecnie dla świata bezkompromisowo, jest dość liczna grupa ludzi ambitnych, doskonale rozumiejących piętrzące się trudności oraz to, że czarni długo jeszcze /a może nigdy/ nie będą mogli zastąpić białych na wszystkich stanowiskach. Posiadają zmysł realizmu, który po przejęciu masy spadkowej RPA nakazuje im utemperować euforie czarnych współplemieńców. Wśród tych ostatnich zresztą - podobnie jak w Zimbabwie - występują ostre antagonizmy międzyplemienne. Niektórym bardziej nawet dogadza panowanie białych, niż dojście do władzy przedstawicieli plemienia, którzy potrafią się obejść z nimi nierównie okrutniej, niż przedstawiciele istniejącego obecnie reżimu. Tak więc taran czarnych mieszkańców RPA grożący panowaniu białych nie jest bynajmniej monolitem, co w pewnej mierze osłabia jego siłę uderzeniową. Wszelako najważniejszym czynnikiem są potencjalni kandydaci do władzy. Stany Zjednoczone winny zatem rozpoznać i wesprzeć tę grupę, która może być gwarantem przejęcia RPA przy minimalnych stratach, jeśli chodzi o potencjał przemysłowo-surowcowy tego kraju. Zidentyfikowanie tych środowisk należy do służb wywiadowczych i dyplomatycznych Ameryki, które powinny nawiązać z nimi możliwe wcześniej kontakty, nie żałować pieniędzy na jak najściślejsze związanie ich ze sobą. Jeśli Stany Zjednoczone tego nie zrobią, ktoś inny sygnie złotem, ale wspomóż nie tych, którzy będą rzecznikami zachowania RPA w odmienionej szacie, lecz zwolenników chaosu i anarchii.

W konkluzji, Stany Zjednoczone powinny jak najspieszniej umocnić finansowe i militarne więzy z RPA, czyli uczynić akurat odwrotnie niż to, czego domagają się krzykliwi przeciwnicy *apartheidu* na Zachodzie, postulujący bojkot Afrykańskiej Republiki. Pod warunkiem jednak, by rząd Piotra Bothy, przetamując konserwatywną opozycję białych, zaczął dopuszczać do stopniowe-

go udziału w rządach grupę tych czarnych działaczy, o których wspominałem, a którzy są zainteresowani w zachowaniu państwa. Władze wykonawcze Stanów, nie oglądając się na Kongres - bo sprawa leży w gestii administracji - winny użyć wszelkich środków, by wymusić na RPA wszczęcie niezwłocznej reformy. Może być ona rozłożona na 2 lub 3 lata, ale jej efekty muszą być widoczne już w ciągu najbliższych miesięcy. Pomoc amerykańska potrzebna będzie i później. Nawet jeśli okres przejściowy odbywać się będzie bez nadmiernych wstrząsów, w żadnym razie nie obejdzie się bez zakłóceń i okresowego paraliżu w wielu dziedzinach, których rozmiary trudno przewidzieć. W tej sytuacji Stany Zjednoczone muszą spełniać rolę pogotowia finansowego, gwarantującego ciągłość produkcyjno-surowcową RPA. Mimo wysokich kosztów będą one niższe od alternatywy - utraty RPA. W tym szczególnym wypadku doraźne interesy amerykańskich biznesmenów, których handlowe spojrzenie pozbawia spojrzenia perspektywicznego, mogą znaleźć się w całkowitej harmonii z dalekowzroczną polityką blokowania ekspansjonizmu sowieckiego.

Jeśli jednak ta szansa zawiedzie, będzie to dowodem, że są na świecie społeczeństwa wysoko produkcyjne oparte na fundamencie deklarowanej jawnie niesprawiedliwości, których nie da się zmienić - zmienić czy zreformować - i które wobec tego trzeba pozostawić takimi, jakimi są lub zezwolić na ich zniszczenie.

Moje uwagi dotyczące wizji RPA wolnej od *apartheidu* mogą mieć tylko charakter ogólny. Nawet gdybym dysponował szczegółowym materiałem /którym nie dysponuję/ dotyczącym obecnego stanu wzajemnych stosunków we wszystkich dziedzinach życia RPA, to i tak na nic by się to nie zdało w opisie przyszłego scenariusza republiki wolnej od rasowego ucisku. Liczba czynników determinujących wszelkie możliwe sytuacje, będących następstwem i przyczyną nowych spięć i antagonizmów, przekracza granice mojej wyobraźni i, jak przypuszczam, również i wyobraźni tych, którzy uchodzą za ekspertów od problematyki RPA.

Reasumując uważam, że reformy, o których piszę, należy jak najszybciej realizować, w przeciwnym bowiem razie wydarzenia wymkną się spod kontroli. Aktywna rola Stanów Zjednoczonych w tym rejonie będzie jedynym hamulcem, który powstrzyma Sowiety od zakotwiczenia się na dobre w tej części świata. Biała mniejszość RPA ma już niewiele szans na utrzymanie swojej supremacji, a w grożącej konfrontacji może ulec fizycznemu unicestwieniu. Prawa do wyboru tej alternatywy nie można jej odmówić.

Dotychczasowa bierność Ameryki wobec procesów drażniących RPA nasuwa niewesołe analogie ze świeżo minioną przeszłością, choć materia historycznych przemian jest tu zasadniczo inna. Właśnie w Ameryce tacińskiej i Iranie Stany Zjednoczone bardzo długo ignorowały procesy, które z wolna ale nieuchronnie rozsadzały rzeczywistość tych krajów. Ta długotrwała ślepotą pociągała w konsekwencji następny tragiczny błąd. W momencie gdy dyktatorom, a w szczególnym wypadku szachowi³, grunt zaczął palić się pod nogami, Waszyngton pozostawił swojego wieloletniego sprzymierzeńca i przyjaciela własnemu losowi. Więcej, zmuszał go, jak w wypadku Somozy, do kapitulacji wobec sił, w których bez trudu można było rozpoznać zaangażowany udział sowieckiego totalitaryzmu. Zjawiska tego można było dostrzec w wypadku dojścia do władzy Fidela Castro, ponieważ pierwsza faza rewolucji kubańskiej miała zupełnie inny profil, zanim - w późniejszym okresie - doszło do pełnej sowietywizacji tego kraju. Jak się jed-

3. Wypadek Iranu i obalenie szacha jest przykładem bardzo nietypowym, ilustrującym bezwład i polityczną ślepotę Waszyngtonu. Nie było tu prób podniecania kleru szyckiego ze strony sowieckiej. Rewolucja cofająca historię Persji wstecz miała charakter populistyczny. Tym niemniej kompletny brak rozeznania sytuacji przez ludzi kierujących polityką zagraniczną Stanów /dotyczy to obydwóch amerykańskich partii/ był identyczny jak w odniesieniu do krajów Ameryki tacińskiej. Ani w Iranie, ani na swoim geograficznym zapleczu nie dostrzeżono niczego przez wiele lat.

nak okazało, doświadczenie kubańskie niczego polityków waszyngtońskich nie nauczyło. Dlatego obawiam się, że w wypadku RPA powtórzy się scenariusz, jakiego świadkami byliśmy już niejednokrotnie. Lawirowanie Waszyngtonu między władzą białej mniejszości w RPA, przy oficjalnych deklaracjach potępiających, będzie trwało do za pięć dwunasta. W chwili, gdy system tego państwa zacznie się walić, a Sowiety znajdą tam dobrze ubezpieczony przyrządek, waszyngtońska administracja nie tylko odmówi poparcia rządowi Pretorii, ale domagać się będzie jego niezwłocznego ustąpienia. Historia Nikaraguy i Somozy w wydaniu czarno-białym powtórzy się bez zmian. Jeśli na południowym cyplu Afryki ugruntują się wpływy sowieckie, będzie to groźne memento dla amerykańskich sojuszników w Europie Zachodniej. Ciążący zaś nad Polską i Europą Wschodnią stan apatii i beznadziejności zaciągnąłby się wówczas jeszcze ciemniejszą chmurą.

Nowy Jork, 16 kwietnia 1985

Zbigniew BYRSKI

KULTURA, wrzesień 1985

LEOPOLD UNGER

JIMMY REAGAN?

Ateny, piątek, 14 czerwca 1985, 9-ta rano czasu miejscowego. Boeing 727 linii amerykańskich TWA lot nr 847 z Kairu do Rzymu startuje w dalszą drogę po międzylądowaniu w Atenach z 143 pasażerami i 8 osobami załogi na pokładzie. 10 minut po starcie, dwóch młodych pasażerów o wyglądzie "środkiemnomorskim" /tak się mówi w prasie zachodniej o Arabach aby nie narazić się na zarzut rasizmu/, opuściło swoje miejsca i z walizeczkami typu *attache case* udało się do toalet. Po chwili wyszli już bez walizeczek, ale za to z naganem 9 mm i dwoma granatami w rękach. "Ręce na kark, głowa w dół, ani słowa" wrzasnęli wyraźnie rozhisteryzowani dżentelmeni, przystawiając rewolwer do skroni stewardessy i wymachując granatami przed kapitanem Johnem Testrake, 58 lat, weteranem, który po tym właśnie locie miał odejść na emeryturę i zacząć się winnicą w stanie Missouri.

Zamiast do Missouri obleciał w sześciu etapach morze Śródziemne.

1/ Palermo na Sycylii. Bez problemów. Włosi natychmiast napełnili zbiorniki aby tylko pozbycić się porywaczy i zakładników, choć był to wygodny moment aby unieruchomić samolot i zaatakować piratów.

2/ Bejrut. Zaczynają się problemy. Porywacze przedstawiają się. "Należymy do szyickiej bojówki samobójczej Al Hussein. Domagamy się natychmiastowego zwolnienia wszystkich Arabów przetrzymywanych w więzieniach izraelskich, wycofania sił izraelskich z południowego Libanu, potępienia polityki amerykańskiej w całym świecie arabskim. Jeżeli nie, to wysadzimy wszystko w powietrze". Na razie odlecieli z Bejrutu, a na znak ich szlachetnych intencji zwolnili 19 kobiet i dzieci.

3/ Algier. Tu znowu jest okazja aby zaatakować porywaczy. Ale w Algierze to niemożliwe, nie będą strzelać do swoich. To wszak bracia w Islamie. Napętnili więc zbiorniki i powiedzieli "z Bogiem".

4/ Bejrut na nowo. Po drodze sprawcy zaczynają się precyzować. Stewardessa Ula Derickson została wezwana do zebrania wszystkich paszportów i dokonania selekcji wśród pasażerów: chodziło o odseparowanie osób o nazwiskach brzmiących z żydowska.

Nie była to jedyna selekcja: w drugiej odseparowano czterech pasażerów podejrzanych o przynależenie do armii amerykańskiej. Po wylądowaniu Boeinga w Bejrucie, świat się dowiedział o co chodzi. Siedmiu podejrzanych o nie-dobre pochodzenie żydowskie zostało pod osłoną nocy zabranych z pokładu i wywiezionych w niewiadomym kierunku. Jeden z czterech podejrzanych o związek z armią USA, Robert Stethen, amerykański nurek z Grecji, został bestialsko pobity, a potem zabity kulą w kark /skąd u Arabów ten sposób z Katynia?/ i nieżywy wyrzucony na beton lotniska. "Na pokaz i na postrach!", powiedzieli. Porywacze byli nerwowo i fizycznie wyczerpani, na pokład weszli więc ich koledzy dla pomocy i rotacji. I odlecieli.

5/ Algier na nowo. Tu porywacze dowiedzieli się, że ich współnik został aresztowany w Atenach. "Jeżeli Ali Atwa /znaczy się współnik/ nie będzie natychmiast wyślany do Algieru, zabijemy ośmiu pasażerów greckich". Został wysłany specjalnym samolotem Olympic Air, nie zabili ani jednego. Odwrotnie, wszystkich Greków zwolnili, w tym śpiewaka rock Denisa Russosa. Papandreu odetchnął, a wraz z nim 50 innych rodzin, tyłuż bowiem pasażerów zwolnili porywacze w Algierze. No i odlecieli.

6/ Bejrut, na nowo. I na dobre. Porywacze byli nareszcie u siebie. Lotnisko Khalde położone jest na południowym przedmieściu Bejrutu, całkowicie kontrolowanym przez bojówki szyickiego ugrupowania Amal. Szyici, tacy trockiści Islamu - według wyrażenia Brońskiego - jedna z dwóch głównych sekt mużulmańskich, zamieszkujących głównie Iran, stanowią najliczniejszą z wielu wspólnot religijnych w Libanie, ale byli zawsze najbiedniejsi, pozbawieni praw i wpływu na władzę, żyli na marginesie Libanu, oazy kultury i dobrobytu na Bliskim Wschodzie, kontrolowanym przez maronickich chrześcijan i sunnickich mużulmanów. Wojny religijne między sunitami a szyitami, między Druzami a chrześcijanami, ale także między każdym oddzielnie i wszystkimi razem z Palestyńczykami Arafata, najazdy Syrii i Izraela, zniszczyły Liban.

W koszmarnym kołowrotku historii Libanu ostatnich 15 lat, szyici postanowili wywalczyć należne im prawa. Zaczęli więc, tak jak inni, zabijać swoich i cudzych. Dziś jest to ruch reprezentowany w Libanie przez organizację wojskowo-polityczną Amal, co znaczy - żeby nie było wątpliwości - "Nadzieja". Kiedyś sfrustrowani i bezradni, dziś szyici kontrolują całe południe Bejrutu i Libanu, w tym lotnisko. Jak każdy ruch religijny, Amal ma swoich sfanatyzowanych ekstremistów, zwą się Hezbollah, szaleńcy Boży, i działają pod wpływem i za pieniądze zwariowanych mollahów o ajatollów z Teheranu.

W domu

Kiedy więc, w 60 godzin po starciu z Aten, Boeing TWA wylądował po raz drugi w Bejrucie, porywacze znaleźli się po prostu w domu. Ich bojówki otoczyły samolot, Amal dał firmę, Amal, a zwłaszcza jego szef Nabih Berri. Postać, owszem, niebanalna: minister nieistniejącej "sprawiedliwości" w nieistniejącym rządzie nieistniejącej "jedności narodowej" nieistniejącego Libanu i nieistniejącego prezydenta Gamajela. Adwokat, pierwsza żona Amerykanka /ma z nią 6 dzieci i sieć stacji obsługi w USA/, Berri, 47 lat, ubierający się wyłącznie po cywilnemu, nie podnoszący głosu, nic z fanatyka, wystarczająco sprytny aby przejąć i utrzymać od 10 lat przywództwo Amalu, natychmiast zrozumiał, że sfanatyzowani Hezbollahowie podali mu na tacy kolosalną

szansę polityczną. I że on musi tę szansę wykorzystać. No i wykorzystał.

Przejął kierownictwo operacji. Przede wszystkim dla "zapewnienia bezpieczeństwa" zakładnikom w obliczu groźby akcji komandosów... izraelskich, wycofał pasażerów z Boeinga i rozrzucił ich po mieście, każdego oddzielnie, bez bicia ni krzyku, tak aby nikt poza nim nie mógł ich odnaleźć. I zaczął rozmawiać jak równy z równym z rządem USA, przede wszystkim za pośrednictwem amerykańskiej telewizji, która zainstalowała studio u niego w domu. Miał także bezpośredni kontakt z Białym Domem. Pan McFarlane, następca Kissingera i Brzezińskiego na stanowisku doradcy prezydenta, osobiście z nim rozmawiał przez telefon i uznał, że pan Berri to osoba "zdolna do położenia kresu niedoli zakładników".

I rzeczywiście. Pan Berri wskazał drogę postępowania, udając się kilka razy do stolicy Syrii, Damaszku, na "konsultacje" z prezydentem Assadem. Prezydent Assad wskazał dalszą drogę udając się akurat w czasie porwania na "konsultacje" do Moskwy. Prezydent Reagan zrozumiał, że jest szansa uratowania twarzy i zakładników. Bardzo podziękował panu Berri za zajęcie się zakładnikami, prezydentowi Assadowi za pomoc w ratowaniu zakładników, Czernomemu Krzyżowi za gotowość przeprowadzenia akcji zwalniania więźniów w Izraelu, no i wystąpił wiceprezydenta Busha do Frankfurtu, gdzie ostatecznie odzyskali wolność byli zakładnicy pochodzenia aryjskiego i żydowskiego.

W ten sposób super-potęga amerykańska nadała szefowi bojówek terrorystycznych rangę męża stanu, wycofała Syrię z listy państw terrorystycznych, którą sam Reagan ustalił, chociaż kraj ten patronował wielu zamachom - między innymi na Amerykanów, a kontrolowane przez niego bojówki przetrzymują nadal kilku Amerykanów porwanych w Bejrucie. Byli zakładnicy spożyli dwie pożegnalne kolacje, na deser był tort z napisem "Happy return" w lukrze. Tylko Bob Stethen, 23-letni, krótko ostrzyżony jak *marines* /to wystarczy, aby zginąć w Bejrucie/ wrócił oddzielnie. W trumnie.

Banał i rutyna...

Całość zakończyła się więc wesołym oberkiem, na czym można by historię porwania Boeinga 727 linii TWA spokojnie zamknąć. Na pozór bowiem rzeczywiście nie było w tej historii niczego oryginalnego. Ot, banał i rutyna drugiej połowy dwudziestego wieku.

Nie był to wszak pierwszy Amerykanin zamordowany na zimno strzałem w głowę. Mjr Nicholson, oficer biura łącznikowego armii USA w NRD został zastrzelony jak kaczką przez sowieckiego strażnika, bo się nieopatrznie zbliżył do czegoś, co ów obrócał pokojowo i socjalizm uważał za obiekt wojskowy. No, ale skoro poszedł w niepamięć południowo-koreański Boeing 747 i jego 269 pasażerów-szpiegów, w tym kilkudziesięciu obywateli USA, to oczywiście nie wypada nawet wspominać o jakimś majorze na ziemi niemieckiej czy nurku na libańskiej. Zresztą w samym Libanie poniosło śmierć w kilku zamachach innych sztyckich szaleńców około 200 amerykańskich żołnierzy, których śmierć o tyle nie poszła na marne, że natychmiast potem cały kontyngent wycofano. Jak z Wietnamu - *toute proportion gardée*. W samym tylko 1984 roku terroryści uderzyli w 77 obiektów amerykańskich poza granicami USA, zabijając 61 osób, raniąc 144 i wyrządzając szkody na 24 miliony dolarów.

Nie był to także odosobniony wypadek gangsterstwa lotniczego. Kilka dni zanim /żeby się już bardziej nie cofać/ Boeing TWA zamiast do Rzymu poleciał do Bejrutu, jordański Boeing został porwany i wysadzony w powietrze na tym samym lotnisku w Bejrucie. Kilka dni potem wybuchła bomba na lotnisku we Frankfurcie, zabijając trzy osoby. 23 czerwca eksplodował w powietrzu w wybrzeży irlandzkich Boeing 747 Air India, grzebiąc na dnie oceanu 329 pasażerów z załogą. Tego samego dnia, ale na lotnisku w Tokio, wybuchła bomba ukryta w bagażu w nie wyładowanym kanadyjskiego 747. To Sikhowie pogniewani

na pana Gandhi postanowili urządzić sobie taki festiwal powletrzny. Można sobie wyobrazić, co by się działo gdyby rzeczywiście szaleńcy w turbanach na głowie byli "dobrze" nastawili mechanizm zegarowy i bomba wybuchła, tak jak na Air India, w powietrzu. Tym razem byłoby 450 ofiar.

Jeżeli chodzi o terroryzm w ogóle, to są już statystyki i to naukowe. *Time* informuje nas, w powołaniu na instytucję o niedwuznaczonej nazwie "Risk Inc.", że liczba aktów terrorku na świecie wzrosła z 293 w 1970 roku do 3,500 w 1984 roku, co daje średnią 10 zamachów dziennie! Bilans ogólny w tak zwanym aspekcie ludzkich wynosi około 40.000 zabitych.

Terroryzm wszedł już dawno, żeby to tak powiedzieć, w życie, a raczej w śmierć codzienną i Amerykanie mogli i mieli czas się do tego zjawiska przyzwyczaić. A jednak porwanie Boeinga TWA zrobiło w USA kolosalne wrażenie. Prezydent Reagan wykrzyknął "Terroryści wypowiedzieli wojnę Ameryce", Kongres się naradzał, Departament Stanu zagroził, że im pokaże, nawet w pierwszej chwili /długo to nie trwało/, prasa amerykańska zapomniała, że powinna być przeciw prezydentowi niezależnie od sytuacji. Co się stało?

...ale nie w USA

Kilka zjawisk nałożyło się na siebie. Terroryzm był dla USA właściwie kategorią nieznaną, a w każdym razie odległą. Wszystko, jak wiadomo, jest względne, nawet w terrorze. W ciągu ostatnich 5 lat FBI zarejestrowało w całym Stanach Zjednoczonych "tylko" 166 ataków typu terrorku politycznego, co dało "tylko" 15 zabitych. W tym samym czasie z rąk, że tak powiem, normalnych bandytów padło w USA... 100.000 ofiar. Polityczny mord nie figuruwał więc na liście prawdziwego zagrożenia *American way of Life*. Wbrew pozorom, filmem i "Dallas", nie cała policja amerykańska jest skorumpowana, a niektórzy szeryfowie działają skutecznie. FBI odkryła na czas kandydatów na morderców Gandhiego w czasie jego wizyty w USA i zdemontowała także bandę zamierzającą zamordować prezydenta Hondurasu pana Suazo Cordova. Mord miał być dokonany z pobudek naturalnie Ideowo-postępowych, ale FBI nakryła wraz z bojówką "rewolucjonistów", 8 przemytników i 3 samoloty z kokainą. Wartość handlowa - 10 milionów dolarów.

Wszystkie ekstremizmy polityczne są właściwie w USA *under control*: neo-naziści, partiości portorykańscy, nawet makabeusze z Ligą Żydowskiej, mającej, bez zabijania ludzi, zatruć, pod hasłem "*Let my people go*", życie dyplomatom sowieckim w USA.

To przy okazji samolotu TWA i zamordowania na zimno i bezkarnie obywatela USA, Amerykanie po raz pierwszy zrozumieli, że terror puka do ich drzwi, że zwyczajni cywile z dolarami w ręku mogą jak inni stać się przedmiotem politycznego szantażu, że paszport z napisem USA nie zapewnia bezpieczeństwa, że dziś, w dobie odrzutowców, turystyki i sły ich waluty, Amerykanie, i to nie żołąnierze a cywile, kobiety i dzieci są zakładnikami, a mogą nawet płacić życiem za nlezrozumiałe dla nich problemy polityczne odległych rejonów. I że cała super-potęga ich kraju, za którą płacą setkami miliardów dolarów rocznie, na nic się w takiej sytuacji nie przydaje.

Stany Zjednoczone nie wchodziły nawet do poważnych statystyk. Uniwersytet w Tel Awiwie zbadał /poza Libanem i Afganistanem - to są *Dinge an sich*/ 412 poważnych aktów terrorku. Otóż, bardzo ciekawe dało to wyniki: 40% zamachów miało miejsce w Europie Zachodniej, 20% na Bliskim Wschodzie, reszta w Ameryce tacińskiej i na Dalekim Wschodzie. W USA - prawie zero. Tel Awiw doliczył się około 40 grup terrorystycznych, ale 14 z nich odpowiedzialnych jest za ponad połowę zamachów i ofiar. Szyccy podpisali - poza Libanem - około 11% zamachów, Palestyńczycy - tylko 9% i to w większości zabijając siebie nawzajem.

Otóż samolotem TWA Amerykanie wlecieli w epokę politycznego terrorku uświa-

domionego. Zdali sobie przy tym sprawę ze swoich własnych poważnych słabości strukturalnych. Jak można - w wypadku naprawdę poważnej ofensywy zawodowych terrorystów - ustrzec kraj, którego cała południowa granica jest właściwie nie strzeżona. Przez granicę z Meksykiem przenika do USA około miliona nielegalnych emigrantów rocznie. Jak ustrzec 90 elektrowni atomowych i 670 wojskowych obiektów z urządzeniami nuklearnymi, nie mówiąc już o bezbrzoznych ludziach, przed wariatami, którzy strzelają w kark 23-letniego faceta i gotowi są do samobójstwa byle tylko ukarać białych i bogatych innowierców, lub po prostu innych! Biały Dom jest na pewno najlepiej strzeżonym obiektem w USA. A jednak pan Robert Lata, choć to człowiek cokolwiek "nie po kolej" jeżeli chodzi o umysł i charakter, wszedł wraz z orkiestrą marynarki do Białego Domu i został odkryty dopiero po 14 /stównie czternastu/ minutach. W ciągu 14 minut, wyszkolone komando jakiś Che Guewarów czy Husseinów, może spowodować dość poważne szkody w materiale i ludziach.

Hamlet czy nie Hamlet?

Kiedy kpt. Testrake, 14 czerwca około 10-tej rano, nacisnął u siebie w kabinie specjalny guzik alarmowy oznaczający porwanie, w Waszyngtonie, gdzie zaledwie świtało, odezwały się dzwonki alarmowe: gdzieś nad Morzem Śródziemnym samolot amerykański jest w niebezpieczeństwie. Ponieważ jest to rejon delikatny, obudzono pana Mc Farlana, doradcę prezydenta. Kiedy już znane były polityczne okoliczności porwania, postanowiono obudzić prezydenta. Prezydent bardzo nie lubi być budzonym, zwłaszcza kiedy - jak to właśnie było - spędza *weekend* w słynnej daczce w Camp David. Ale zrozumiał, sprawa była ważna, kazał się informować na bieżąco.

Wszyscy wszak pamiętali jak się skończyło dla Jimmy Cartera porwanie i przetrzymanie zakładników amerykańskich w Teheranie. To się powtórzyć nie może. Reagan jest Ronald a nie Jimmy. Sekretarz stanu Shultz ostrzegł, że "nie może tak być aby każdy akt terroru powodował w tym kraju nieustające dyskusje w formie *happening*'u, żeby jak Hamlet marnować czas zastanawiając się czy uderzyć, a jeżeli uderzyć, to gdzie, kiedy i jak". Doradca prezydenta, sekretarz stanu i Prezydent postanowili więc podjąć energiczne i zdecydowane kroki anty-terrorystyczne. I podjęli...

Po pierwsze, postawiono na nogi specjalny sztab anty-kryzysowy i anty-terrorystyczny. W biurze obok gabinetu Shultza rozwieszono kilka gigantycznych map, na których zapalały się światełka śledzące kolejne etapy przygody Boeinga. Na czele komórk! stanął znany specjalista od terroryzmu, doradca Shultza, Robert Oakley, miał on bezpośrednie połączenia z Białym Domem i Pentagonem, a właściwie z całym światem. Tylko nie z kapitanem Testrake...

Po drugie, zarządono pokaz siły na miejscu. Do kilkudziesięciu tysięcy głowic atomowych postanowiono dodać lotniskowiec "Mimitz", który w towarzyszywie krążownika "Południowa Karolina" i porte-helikoptera /razem kilka tysięcy bomb i kilka tysięcy *marines*'ów/, zjawił się na redzie Bejrutu.

Po trzecie, zarządono pokaz siły na odległość. Specjalna jednostka "Delta" została postawiona w stan alarmu. Powstała ona po klęsce w Iranie w 1979 roku, kiedy to wyprawa mająca wyzwoić zakładników w Teheranie skończyła się w Oazie Tabas ogromną klęską i kompromitacją i była jednym z czynników klęski wyborczej Cartera. "Delta" ma bazę w Fort Bragg, w Karolinie północnej, liczy 2.000 nadzwyczajnie wyszkolonych komandosów, dysponuje własnymi środkami transportu, helikopterami, a nawet dwiema łodziami podwodnymi, zdolnymi do przetrzucania ludzi "Delty" w największej dyskrecji w każde miejsce na świecie. "Delta" ma nadzwyczajną opinię, mimo że - jak dotąd - jedyna jej operacja w terenie, przed inwazją Grenady, zakończyła się raczej niepomyślnie: 35 skoczków "Delty" wylądowało w nocy, aby opanować lotnisko w Port Salinas, ale dali się nakryć przez "doredców" Kubańczyków, którzy zabili lub

ranili 22 komandosów. Uratował ich dopiero rano desant ich kolegów z morza.

Przy sprawie Bejrutu "Deita" została w domu. Operacja za trudna, powiedziano, tak jakby "Delta" była potrzebna do operacji łatwych. Ryzyko za wielkie, powiedzieli, tak jakby zawodowcy z "Delty" przygotowani zostali do operacji bez ryzyka.

"Delta" stacjonuje w środku USA, o 15.000 km od najbardziej prawdopodobnych i najbardziej gorących punktów ewentualnych terrorystycznych akcji anty-amerykańskich. O tym, żeby poszczególne komanda "Delty" stacjonowały w kilku punktach świata i zdolne były interweniować od razu, trudno chyba mówić, jakie państwo zgodziłoby się na to? Moskwa nie musiała pytać o zgodę Bułgarii na międzyładowanie a nawet stacjonowanie swych spadochroniarzy, kiedy trzeba było straszyć interwencją na Bliskim Wschodzie lub ratować Nassera czy Sadata w 1973 roku. Stanom Zjednoczonym odmówiono w Europie Zachodniej, no i naturalnie w Grecji, prawa tankowania ich samolotów wiozących części zamienne do izraelskich Fantomów. Co dopiero powiedzieliby przy propozycji zainstalowania "Delty"?

Po czwarte, Biały Dom gotów był ponieść ryzyko i zasugerował uderzenie na Boeinga już w czasie pierwszego lądowania w Algierze. Ale rząd republiki algierskiej naturalnie odmówił: nie będziemy strzelać do naszych braci-piratów. A poza tym, powiedzieli, nie wiadomo do kogo strzelaliby nasi algierscy żołnierze, gdyby dowiedzieli się, że na pokładzie są Amerykanie.

Po piąte - tak jak tego domagali się porywacze - nawiązano dyskretne kontakty w sprawie zwolnienia syzyckich więźniów w Izraelu. Ujawniła się tu bardzo ciekawa koncepcja dyplomatyczna. Izrael mianowicie już dawno, na długo przed porwaniem Boeinga 727 TWA, zapowiedział, iż ma zamiar zwolnić ponad 700 szczytów. Teraz rząd w Jerozolimie oświadczył, że szczytów natychmiast zwolni, bo życie amerykańskich obywateli jest najcenniejsze, ale tylko jeżeli Amerykanie go o to poproszą. Z własnej inicjatywy - powiedzieli - tego jednak teraz akurat nie zrobią, bo to oznaczałoby kapitulację wobec porywaczy, a Izrael na to sobie pozwolić nie może. Ale Waszyngton także sobie na to pozwolić nie chciał. Jimmy Shultz czy Jimmy Reagan, czy Ronald Hamiet... mniejsza o nazwisko, równie dyskretnie zwrócono się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża aby zajął się pośrednictwem w tej sprawie.

Po szóste, nadano tytuły szlacheckie panu Nabih Berri, który kierował operacją i zamiast być traktowany jak zwyczajny opryszek, tyle że w krawacie a nie w drellichu, zaawansował z łaski Białego Domu do rangi wielkiego przywódcy politycznego. Pozwoli mu to naturalnie wybić jeszcze większą liczbę swych palestyńskich, chrześcijańskich czy izraelskich wrogów i poprowadzić rokowania przy okazji następnego porwania amerykańskiego samolotu. Po czym, znowu z łaski USA, zostanie już nie tylko ministrem sprawiedliwości, ale i transportu powietrznego, a nawet - czemu nie - premierem.

Po siódme, nawiązano kontakt roboczy z prezydentem Assadem, który kieruje dziś Syrią, Libanem, szyitami, Palestyńczykami, Nabihem Berri, oraz wielkością anty-amerykańskich akcji terrorystycznych na Bliskim Wschodzie i w innych okolicach prawdopodobnie też. Z nadania prezydenta USA, prezydent Syrii został wprowadzony do kategorii normalnych mężów stanu, a jego kraj zniknął - z opracowanej przez tego samego prezydenta USA - listy krajów uprawiających czy finansujących międzynarodowe operacje terrorystyczne, na której Syria dumnie figurowała obok Libii, Iranu, Północnej Korei czy Kuby.

Całość operacji, jak wspominałem, zakończyła się nadzwyczajnie pomyślnym wynikiem. Ze starcia z bandą gangsterów, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wyszły zwycięsko, ratując 39 załadników podczas gdy straty własne wyniosły tylko jednego nurka US Navy i kilka twarzy znanych z oficjalnych portretów i zdjęć prasowych. Nawet jeżeli - o czym na razie nic nie wiadomo - rząd amerykański zagroził użyciem siły czy sankcjami /jakimi?/, to w każdym razie postępowanie amerykańskiej super-potęgi zasługuje na krótką ana-

lizę. Najpierw więc, co mógł rząd USA zrobić, jakie miał modele do wyboru.

Do wyboru

Po pierwsze, model włoski, ten z Palermo: było się pozbyć i uszy po sobie, nie nadawał się do użycia. To był samolot i obywatele amerykańscy i Waszyngton nie mógł udać, że go to nic nie obchodzi.

Po drugie, model grecki: natychmiastowa kapitulacja przed terrorystami. Papandreu stawia się tylko Reaganowi, bo w tym starciu nie ponosi żadnego ryzyka. A poza tym terroryści mogą przecież działać z pobudek ideologiczno-postępowych, anti-imperialistycznych, więc nie należy ich zważać. Śpiewak rock Russos śpiewa postępowe teksty, więc jego wolność ważniejsza. Ten model też się dla USA nie nadawał. Opinia publiczna w USA tego by nie zniósła i partia republikańska tego by nie przeżyła. W przyszłych wyborach, naturalnie.

Po trzecie, model sowiecki: kara śmierci nie za porwanie, a za zamiar porwania, strzelanie na pokładzie lub na lotnisku przez KGB-istów, przebywających stale wśród pasażerów. W Gruzji, liberał o ujmującym uśmiechu nazwiskiem Szewardnadze, obecny minister spraw zagranicznych ZSSR, a poprzednio car Tyflisu, nakazał strzelać do porwanego samolotu /12 ofiar/, a potem skazał na śmierć jeszcze dodatkowo czterech porywaczy, dzieci gruzińskiej nomenklatury. Kuzniecow i Dymyszcz, dziś szczęśliwie na Zachodzie, dostali wyroki śmierci w Leningradzie nie za nieudane porwanie, a za nieudany /i naiwny/ zamiar porwania samolotu. A jak to zawodzi, to jeszcze jest Finlandia, zmuszona do wydawania tych, którym porwanie się udało. Teraz trzeba lecieć dalej, a to nie zawsze możliwe, nawet jeżeli się przeżyje pierwszą salwę KGB.

W KDL-ach jest podobnie. W Bułgarii złapali jakiegoś faceta, który podkładał bomby w stacjach zimowych sportów, ale nie zabił nikogo. Może nie lubił nart, a może żał mu było gór poprzecinanych wyciągami? Może to był taki ekologiczny terrorysta? Nikt się nie dowie, już mu ścięli głowę.

Po czwarte, model francuski: dużo krzyku, mało akcji. Francuska super-potęga nie jest w stanie wyostać swych czterech, Bogu ducha winnych obywateli, porwanych w Bejrucie w imię świętej sprawy szyickiej. Parlament uchwalił, rząd przemówił, prasa nie ustaje, nawet sam prezydent stanął na pierwszej linii i przyjął żony porwanych. Ale zakładników nie odzyskał. Polityka Francji wobec trzeciego świata i kompleksy pokolonialnej winy francuskich socjalistów wykluczają jakąkolwiek ostrą presję, nie mówiąc już o czynach wobec zwyczajnych gangsterów.

Po piąte, model izraelski: jest to jak na razie jedyny model skuteczny i to w kilku wariantach.

a/ wersja Entebbe, najbardziej ryzykowna, ale i najbardziej optymalna. Ratuje się zakładników, daje dobrą lekcję porywaczom i tym, którzy im pomagają. Nie każdego naturalnie na to stać, ale nie należy tego modelu lekceważyć.

b/ EL AL, latająca forteca. Każdy wie, że są agenci na pokładzie, porywacze wiedzą, że nie wyjdą żywo, ich mocodawcy wiedzą, że nie będzie negocjacji. Odprawa na lotnisku w Tel Awiwie trwa dwie godziny, młody człowiek przeprowadzający rewizję bagażu zadaje kilkaset na pozór głupich pytań, ale potrafi sprawdzić przez komputer czy rzeczywiście spałeś tam gdzie mówisz i z kim. Na lotniskach zagranicznych EL AL ma specjalne wyjście i parkuje daleko od dworca, ma własną służbę sprawdzającą bagaże. Można tego wszystkiego nie lubić, ale EL AL to najbezpieczniejsza linia świata.

c/ Ostra, a czasem krwawa ripesta, każdy akt terrorystyczny spotyka się

z natychmiastowym aktem kontr-terrorystycznym. Możemy się moralnie krzywić na zasadę burzenia buldożerami lub wysadzania domów terrorystów w Cisjordanii, możemy nie lubić bombardowania osiedli w libańskiej dolinie Bekaa, gdzie pod syryjskim parasolem i opieką zaprzyjaźnionego z Reaganem prezydentem Assada ułokowane są sztaby operacyjne wszystkich terrorystycznych ugrupowań z Bliskiego Wschodu, ale można sobie wyobrazić, co by się działo w Izraelu, gdyby takiej riposty nie było. Niech ten rzuci kamieniem...

Paraliż postępu

Było więc modeli do wyboru i do koloru. A jaki to model Amerykanie wybrali w sprawie Boeinga TWA? Ja wiem, że "Delta" to nie Cahal, że Bejrut to nie Entebbe, że Berri i Assad to nie Amin Dada. Ryzyko operacji przy użyciu siły było rzeczywiście ogromne. Za ogromne jak na Stany Zjednoczone sparaliżowane ich własną potęgą wojskową i potęgą prasy amerykańskiej. Prasa, a zwłaszcza trzy główne sieci telewizji amerykańskiej, odegrały w sprawie zakładników w Bejrucie rolę zastępującą na bardzo troskliwie i zrównoważone zbadanie. Była to rola decydująca w najbardziej negatywnym sensie tego słowa, działała ona jak kolosalne *lobby* obezwładniające, pod pretekstem służby informacyjnej, wolę działania władzy i urabiające opinię publiczną w sensie kapitulacji za wszelką cenę. W skrócie, telewizja, pod pretekstem świętej informacji, oddała się w służbę terrorystom.

Żaden model Stanom więc nie odpowiadał. Powtarzam, że nie wiem, czy istnieje jakaś możliwa amerykańska wersja obrony przed terroryzmem. Ale wiem, że jednym z elementem walki z terroryzmem jest zrozumienie istoty tego zjawiska. Amerykanie go nie rozumieją.

Nie rozumieją więc, że:

1/ Terroryzm uważa gwałt i zabójstwo nie za środek do celu, a za cel sam w sobie. Jego źródłem jest nie tylko leninowska czy trockistowska apologia gwałtu, ale również filozofia Nietzschego a zwłaszcza jej uproszczona - żeby nie powiedzieć prostacka - wersja w wykonaniu Sartre'a. To Franz Fanon, jeden z "najlepszych" uczniów Sartre'a, doprowadził rozumowanie mistrza do kulminacji w książce "Les Damnés de la Terre", do której mistrz osobiście napisał przedmowę. Jego formuła "gwałtu zorganizowanego i kierowanego" stanowi podstawę nowoczesnego terroryzmu politycznego. To on sformułował zasadę, że "gwałt jest siłą oczyszczającą jednostkę. Gwałt uwalnia jednostkę z jej wszystkich kompleksów niższości". To właśnie ta linia rozumowania, prowadząca do wniosku, że terroryzm jest działaniem twórczym, wyprowadzającym jednostkę z bezwładu i rozpaczy, stanowiła podstawowy argument Hitlera.

2/ Terroryzm niszczy instynkt moralny człowieka, jego szacunek dla procesu politycznego jako sposobu rozwiązywania konfliktów społecznych. Terroryści odrzucają ideę "umowy społecznej", tak jak ją widział Hobbes czy Locke, dla których proces polityczny jest zasadniczym mechanizmem cywilizacji. Dla terrorystów, gwałt ma zastąpić wszelką procedurę demokratyczną. Terroryści arabscy, Baader-Meinhoff, IRA, ETA, Czerwone Brygady japońskie, nigdy nie okazali gotowości włączenia się w jakikolwiek proces demokratyczny i legalny. Wiedzą, że zostaliby zmieceni ze sceny politycznej.

3/ Terroryzm wykorzystuje wolność jaką akcja politycznej zapewnia system demokratyczny. Wykorzystuje on podstawową słabość demokracji, polegającą na sprzeczności między koniecznością zwalczania niebezpieczeństwa terroryzmu, a środkami do jakich w tym celu państwo demokratyczne musiałyby sięgnąć, a które mogłyby okazać się niezgodne z hasłami... demokracji właśnie, przynajmniej w najbardziej konwencjonalnym sensie. Prowadzi to do ogromnego niebezpieczeństwa jakim jest powolne osłabianie woli walki społeczeństw demokratycznych z terroryzmem we wszelkiej postaci.

4/ Terroryzm osłabia państwa demokratyczne. Są rządy, jak widzieliśmy, które jak Grecja kapitulują przed terrorystami nawet bez próby oporu, są inne, które negocjują przed kapitulacją, choć nie wiadomo co gorsze, bo nadają w ten sposób gangsterom statut równorzędnych partnerów, są inne które udzielają schronienia i azylu politycznego terrorystom, pod pretekstem, że chodzi tu o bojowników o postęp. Czyż nie było tak we Francji z terrorystami z baskijskiej ETA, lub z włoskich Czerwonych Brygad? Są państwa, które odmawiają solidarności, kiedy jakiś inny rząd stara się coś uczynić. Jedną z rzadkich prób konkretnej akcji po porwaniu Boeinga TWA był zamiar ogłoszenia przez Reagana blokady lotniska w Bejrucie, centrum światowego ruchu piratów powietrznych. Jeszcze Reagan nie skończył mówić, a już Francja i inne kraje ogłosiły, że się nie zgadzają, bo jak można karać naród libański za zbrodnie terrorystów. Jaki naród libański: szyicki, sunnicki, chrześcijański, palestyński? Terroryści, mówiąc w skrócie, chcieliby doprowadzić demokrację do samobójstwa. Są miejsca gdzie się im to udaje.

5/ Terroryzm nie jest zjawiskiem strategicznym, ale stanowi groźbę w całym rozwoju. Jego światowa infrastruktura jest coraz lepiej zorganizowana, opiera się o sieci kryte przez paszporty dyplomatyczne państw uznanych przez ONZ, zasiadających w Radzie Bezpieczeństwa, będących członkami Komisji Praw Człowieka ONZ. Rząd libijski wysyła bojówki na całą Europę Zachodnią w celu mordowania przeciwników Kadaffiego i choć przy tej okazji padają też niewinne ofiary, na przykład młoda policjantka angielska, to nikt nie domaga się usunięcia Libii na przykład z UNESCO. Odwrotnie, sama UNESCO finansuje organizacje i programy kryjące nieraz działalność terrorystyczną. W czasie najeżdzu na Liban w 1982 roku, wojska izraelskie znalazły archiwa pełne dokumentów OLP, z których wynika, że ONZ-owska agencja pomocy Palestyńczykom w obozach, UNWRA, kryła bazy i arsenały terrorystyczne w przedszkolach i ambulatoriach, wynika także, że spora część funduszy na terroryzm pochodzi z Arabii Saudyjskiej i krajów zatoki perskiej, to znaczy z naszych dolarów płynących za naftę.

6/ Terroryzm może więc zniszczyć państwo demokratyczne, ale nie może i nie chce zniszczyć państwa totalitarnego. Odwrotnie, terroryzm przyczynia się do rozszerzenia bazy totalitarnej na świecie, w zamian za co państwa totalitarne udzielają mu pomocy i azylu, baz treningowych i broni, pieniędzy i poparcia dyplomatycznego. Z wyjątkiem epizodu między-arabskiego z Abu Daudem nieskutecznie postrzelonym w warszawskim hotelu i porachunków przy pomocy bomb w samochodach między "studentami" arabskimi w Bukareszcie, żaden kraj komunistyczny, ze Związkiem Sowieckim na czele, nie był nigdy celem ataku międzynarodowego terroryzmu.

Cui prodest?

I to powinien być zasadniczy wniosek dla USA. Międzynarodowy terroryzm nie jest zjawiskiem osobnionym, samym w sobie, ale wchodzi w ogólny bilans równowagi sił na świecie, w sensie niekorzystnym dla Zachodu i demokracji. Międzynarodowy terroryzm osłabia demokracje w starciu z komunizmem.

Mimo leninowskiej szkoły terrorystycznego myślenia i działania, mimo sieci szkoleniowych obozów terrorystycznych od Karłowych War, poprzez Warnę, Bala-ton, Hawanę, aż po Symferopol, Odessę i Taszkient, mimo obecności "instruktorów" sowieckich, KRD-owskich czy północnokoreańskich w Nikaragui, Mozambiku, no i przede wszystkim w bazach palestyńskich w Libanie, nikt rozumny nie twierdzi, że wszystkie szaleństwa terrorystów na świecie są inspirowane i zorganizowane przez bolszewików z nożem w zębach. To zresztą - nawiasem mówiąc - szkoda, że tak nie jest, wtedy bowiem wiadomo by było z kim rozmawiać i z kim w razie czego się rozliczać. W terroryzmie jak w pacyfizmie najgorsi nie są ci, którzy to robią za sowieckie pieniądze lub z ideologii prosowie-

kiej, ale ci którzy to robią z przekonania i fanatyzmu pokojowego, jak w pacyfizmie, lub gwałtownego jak w terroryzmie.

Fanacy Islamu czy Baskowie nie czekali na Lenina aby zabijać przeciwników, Irlandczycy strzelają do Anglików już 400 lat. Ale były to wtedy zjawiska lokalne. Dziś, jakkolwiek byłby albo nie udział ZSSR w organizowaniu ataków na bazy amerykańskie w RFN, bóżnicę w Paryżu, na Papieża w Rzymie, na samoloty TWA, jest faktem, że to ZSSR nauczył i uzbroił terrorystów, to ZSSR stanowi ich główną tarczę w świecie dyplomatycznym, to ZSSR nawołuje do demontażu demokracji, która jest wyjątkowym celem ataków terrorystycznych, to ZSSR jest głównym beneficjentem światowego terroryzmu. Wszystkie kraje wymienione przez Reagana jako "sponsorz" międzynarodowego terroryzmu: Libia, Kuba, Nikaragua, tak zwana demokratyczna republika Jemenu, północna Korea, oraz wymieniana przedtem, ale już wymazana, Syria, to kraje pozostające pod parasolem sowieckim, związane z Moskwą mniej lub bardziej widocznymi nićmi. Reagan oficjalnie oskarżył te kraje o odpowiedzialność za akty międzynarodowego terroru. No a gdzie riposta? Dlaczego nie uczynił najmniejszej aluzji do głównego patrona? Reagan zapowiedział, że mordercy Roberta Stethena zostaną odnalezieni i ukarani. No i co? Jeżeli terroryzm międzynarodowy ma zostać przyhamowany, a potem wytopiony, takie oskarżenia i takie zapowiedzi nie mogą pozostać bez skutków, muszą być dotrzymane.

8 sierpnia 1985 roku wybuchła bomba w głównej europejskiej bazie amerykańskiego lotnictwa pod Frankfurt. Zginęło trzech Amerykanów, rannych było około 20, szkody ogromne. Do odpowiedzialności za bombę przyznali się dwie grupy terrorystyczne: niemiecka Rote Armee i francuska Action Directe. Był to pierwszy wypadek wspólnego rewindykowania zamachu przez te dwie bandy o bogatej przeszłości "zawodowej". Ale nie była to niespodzianka. 15 stycznia 1985 roku obie te grupy uprzedziły opinię i rządy i to w dwóch językach, żeby nie było problemu z tłumaczeniem, że "podejmują wspólną akcję w Europie Zachodniej przeciwko strategii imperialistycznej i jej najbardziej wysuniętej strukturze, Paktowi Atlantyckiemu".

Nie rzucili słów na darmo. W styczniu zastrzelony został generał Audran, francuski specjalista od uzbrojenia, w lutym Ernst Zimmerman, patron AEG w Monachium, w czerwcu bomba wybuchła w tej samej bazie w Frankfurcie /3 ofiary/, inne miesiące wypełniła seria wybuchów podpisanych CCC "Cellules Communistes Combattantes", która wstrząsnęła kilku budynkami w Belgii, związanymi blisko czy daleko z Sojuszem Atlantyckim. /Upprzedzam krytyków, że o terroryzmie łaćniańsko-amerykańskim nie wspominam, bo to zupełnie oddzielny temat/.

Otóż, co powinno zainteresować specjalistów od terroryzmu w Białym Domu /jeżeli rzeczywiście tacy istnieją/, to fakt, iż pierwszy pisany dokument za-powiadający nową jakościowo formułę i fałg euro-terroryzmu, podpisany został "Komando George Jackson". Kto to jest George Jackson? To ofiara "amerykańskiego imperializmu" właśnie.

Ów Jackson, Murzyn, został aresztowany kiedy miał 18 lat, za udział w napa-dzie na stację obsługi. Kup wynosił 70 dolarów, ale Jackson, jak to bywa w USA, już z więzienia żywy nie wyszedł. Najpierw brat George'a, Jonathan, został zastrzelony /miał 17 lat/ przez policję, kiedy brat zakładników, aby uwolnić swych kumpi /z więzienia. Sam George przebywał już w więzieniu w San Quentin /to nie sanatorium/, gdzie został przeniesiony po tym kiedy, nie wiadomo czy słusznie, został oskarżony o zamordowanie strażnika więziennego /białego/ przy próbie ucieczki w poprzednim więzieniu Soledad, w styczniu 1971 roku. Otóż George Jackson został zastrzelony kulą w plecy w sierpniu 1971, podczas nowej próby ucieczki. Byłaby to historia niestety prawie banal-na w USA, gdyby nie książka - wybór listów napisanych między 1964-1970 rokiem, wspólnie, przez George'a Jacksona i dwóch innych "braci" /tak się nazy-wają ci Czarni, którzy uważają się za rewolucjonistów w USA/, więźniów San Quentin, wydaną w 1970 roku pod tytułem "Bracia z Soledad".

Można się więc założyć, że następne dwa zamachy euro-terrorystyczne w Frankfurcie lub w innej bazie USA, będą podpisane kolejno przez "brata" John Clutchette i "brata" Fleeta Drumgo, współautorów książki. Czy Waszyngton *aluzju* *poniaź*, czy trzeba jeszcze innych podpisów?

Sześć dni, które nie wstrząsnęły nikim

Konkluzja jest prosta. Terroryzm międzynarodowy nie jest dla świata demokratycznego problemem marginesowym, zjawiskiem, które można utrzymać w ryzach i pod kontrolą, ów jakiego się można przyzwyczaić. Z terroryzmem nie można żyć. Terroryzm stanowi rosnącą groźbę dla pokoju, stabilności świata w ogóle, a demokracji w szczególności. Na terroryzm nie ma formuły magicznej, nie da go się zlikwidować bez rozpoznania zjawiska i wspólnej, solidarnej i zdecydowanej akcji zaradczej.

Podstawowym elementem takiej akcji mogą być tylko: autorytet, rozważa, znajomość przeciwnika, wola walki no i przede wszystkim siła Stanów Zjednoczonych.

Kiedy po Carterze obejmował owalny salon Białego Domu Reagan, oświadczył on, iż "sprawa zakładników w Teheranie nie powinna być trwać nawet sześciu dni. Był to wstyd i upokorzenie USA!". Znacznie prostsza sprawa TWA w Bejrucie trwała 17 dni. Czy teraz USA nie są zawstyżone i upokorzone? Reagan oświadczył: "Terroryzm wydał wojnę Stanom Zjednoczonym!". To prawda. Stany Zjednoczone powinny więc walczyć. Inaczej tę wojnę przegrają. A my z nimi.

Leopold UNGER

Pisane 14 sierpnia 1985

KULTURA, październik 1985

O NOWEJ POLITYCE WOJSKOWEJ USA

Rozmowa z Richardem N. Perle

Richard Perle, od marca 1981 asystent i prawa ręka Sekretarza Obrony Stanów Zjednoczonych Caspara Weinberga d/s bezpieczeństwa międzynarodowego - uważany jest za czołowego "jastrzębia" Waszyngtonu. Po ustąpieniu Jeane Kirkpatrick ze stanowiska ambasadora amerykańskiego przy ONZ jest on praktycznie ostatnim członkiem administracji Reagana reprezentującym zdecydowanie twardą linię polityczną w stosunkach z Sowietami. Perle z ramienia Pentagonu zajmuje się formułowaniem polityki amerykańskiej w rozmowach rozbrojeniowych.

Poniższego wywiadu Richard Perle udzielił specjalnie dla redakcji *Kultury*.

Robert KOSTRZEWA: - *Wielu badaczy stosunków Wschód-Zachód uważa, że właściwie od roku 1945 państwa zachodnie i Związek Sowiecki toczą ze sobą wojnę, w której Zachód albo ulega naciskom sowieckim, albo przegrywa walkowerem. Na ile, Pana zdaniem, zmieniła się sytuacja w okresie rządów Ronalda Reagana?*

Richard PERLE: - Obecny rząd wprowadził wiele zmian zarówno ideologicznych, jak praktycznych. Jednym z oczywistych tego przykładów jest interwencja Stanów Zjednoczonych w Grenadzie. Udało się tu zmienić utarty scenariusz całkowitej uległości wobec Związku Sowieckiego i zezwalania mu na zmiany rządów in-

nych państw drogą dywersji albo interwencji jego podwładnych, na przykład Ku-
bańczyków. Innym przykładem nowej postawy obecnego rządu USA, zdecydowanego
odpowiadać siłą na siłę, jest zmiana polityki wobec Ameryki Środkowej. Nasza
przewaga polega na tym, że komunizm właściwie wszędzie na świecie ostatnio
bardzo stracił na popularności - choć oczywiście ciągle znajdują się przywódcy
polityczni czy pojedynczy ludzie, których osobiste kariery i fortuny moż-
liwe są wyłączenie dzięki sowieckiemu poparci. Sądzę jednak, że pogłębiające
się rozczarowanie do komunizmu i niestąbnąca atrakcyjność systemów demokra-
tycznych i gospodarki wolnorynkowej, a także nasze niewątpliwe sukcesy w róż-
nych dziedzinach życia stanowią olbrzymi kapitał Zachodu. Aby skutecznie
przeciwdziałać sowieckiej dywersji, musimy jednak częściej wykorzystywać na-
sze mocne strony. Jest to jedna z tendencji, widocznych w polityce Reagana od
początku jego urzędowania. Zmiana polega na ponownym podjęciu wojny ideolo-
gicznej ze Związkiem Sowieckim oraz ciągłym podkreśnianiu różnic między demo-
kratycznym a totalitarnym systemem wartości. Liczy się nie tylko nasze stano-
wisko w Grenadzie czy Ameryce Środkowej, ale także nasza argumentacja i to,
co sami o sobie myślimy. Nie znaczy to, aby koncepcja Reagana odniosła pełny
sukces. Wciąż jeszcze istnieje - szczególnie w Kongresie - dość duża opozycja
wobec takiej linii politycznej. Chociaż z drugiej strony pewne ostatnie uchwa-
ły Kongresu, na przykład uchylene przeprowadzonej kiedyś przez senatora Clar-
ka poprawki ustawodawczej, zabraniającej Stanom Zjednoczonym popierania angol-
skiej Unity, są oznaką pewnej zasadniczej zmiany.

R.K.: - *Łatwo zrozumieć przywiązanie społeczeństw Zachodu do nadziei na ko-
rzyści płynące z rokowań i umów rozbrojeniowych. Dążenie za wszelką cenę do
zmięszczenia napięć, jakie zawsze towarzyszą okresom konfrontacji z ZSSR,
sprawia jednak, że racjonalne podejście do problemu rozbrojenia na Zachodzie
jest niezwykle trudne. Tymczasem Związek Sowiecki podpisuje pakt rozbrojienio-
we tylko wtedy, kiedy prowadzi one do umocnienia sowieckiej dominacji i wpły-
wów/przewagi kosztem Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników/. Czy podpisane
z Sowietami umowy o ograniczeniu zbrojeń, to znaczy pakt o ograniczeniu syste-
mów przeciwrakietowych /ABM/ oraz układy o ograniczeniu broni strategicznej
/SALT I i SALT II/ przyczyniły się w jakimkolwiek stopniu do zwiększenia ob-
ronności Zachodu przed atakiem sowieckim?*

R.P.: - Nie. W przypadku umowy SALT I o broni strategicznej było to oczywiste
już w roku 1972, kiedy pakt ten podpisano. Było to również jasne w 1979 roku,
kiedy z kolei podpisywaliśmy układ SALT II, a staje się coraz bardziej widocz-
ne w przypadku umowy ABM, z którą specjaliści od rozbrojenia wzięli wiele -
jak się okazało złudnych - nadziei, a której postanowienia łamane są przez
Związek Sowiecki ustawicznie. Retoryczny umiar towarzyszący okresowi *détente*
obliczony był na uspokojenie Zachodu i zamaskowanie niebywałego wzrostu
sowieckiej potęgi wojskowej. Myślę, że zachodni sceptycyzm co do sowieckich
pokojowych zamiarów jest dzisiaj nieporównanie większy, niż na początku lat
siedemdziesiątych. Przypuszczam, że trzeba było przejść przez doświadczenia
détente, aby w końcu dojść do wniosku, że Sowietom przyswiecają w rokowaniach
rozbrojeniowych zupełnie inne cele niż nam. Nauczyliliśmy się też, że Związek
Sowiecki zupełnie inaczej prowadzi negocjacje. Strona amerykańska przedkłada
stronie sowieckiej mniej wlicząc zbilansowane propozycje, które biorą pod uwagę
sowieckie potrzeby obronne. Propozycje Związku Sowieckiego natomiast są bez
wyjątku jednostronne i w ogóle nie liczą się z potrzebami amerykańskimi. Sowie-
ci mają nadzieję, że w trakcie rozmów uda im się zredukować różnice w stanowis-
kach obu stron i uzgodnić umowę, która - jeśli nawet są w niej jakieś punkty
styczne między zrównoważonym stanowiskiem amerykańskim a jednostronnym stano-
wiskiem sowieckim - okazuje się w 80% korzystna dla Związku Sowieckiego. Nato-
miast w tych nielicznych przypadkach, kiedy układy SALT I i SALT II mogły mieć
pewien marginalny wpływ na wstrzymanie rozwoju sowieckiego potencjału wojsko-
wego, Związek Sowiecki najwyraźniej nie dotrzymywał postanowień. Zgadzam się
zatem z Panem, że potrzeba wychnienia od walki ze Związkiem Sowieckim, postrze-
ganej przez społeczeństwa zachodnie jako kosztowna i niekończąca się, prowadzi

do nierealistycznych i naiwnych oczekiwań, że rokowania rozbrojeniowe przyniosą jakieś korzyści. Dlatego też kolejny układ byłby w dużym stopniu zabiegami kosmetycznym i pozwoliłby Sowietom na kontynuowanie ekspansji militarnej. Rząd Reagana taką ewentualność odrzucił - choć inne ekipy w podobnych sytuacjach ulegały.

R.K.: - *Czy mógłby Pan wymienić przypadki łamania przez Związek Sowiecki obowiązujących dziś układów rozbrojeniowych?*

R.P.: - Dzielią się one na dwa rodzaje. Do pierwszego zaliczyłbym pogwałcenia - nazwijmy to - ducha porozumień: stronie sowieckiej udaje się narzucić taką interpretację danej umowy, która pozwala dowolnie odczytywać poszczególne jej punkty. Oto jeden z wielu przykładów: porozumienie o broni ofensywnej z 1972 roku zabrania przebudowy wyrzutni raketowych przystosowanych do lekkich balistycznych rakiet międzykontynentalnych na wyrzutnie do rakiet ciężkich. Umowa jednak niezbyt jasno określa, która rakietą należy jeszcze do kategorii lekkich, a która jest już rakieta ciężką. Natychmiast po podpisaniu układu Związek Sowiecki rozpoczął próby z raketami balistycznymi, które niby nie należą do kategorii ciężkich. ZSSR czekał dostojnie do ostatniej chwili, a kiedy umowa była już podpisana, mógł - dzięki nieprecyzyjności niektórych jej sformułowań - spokojnie rozpocząć próby z rakieta, która miała trzykrotnie większą siłę niszczącą niż zastąpiona przez nią rakietą lekka. Inny przykład: zgodnie z porozumieniem ABM obie strony zgodziły się, że pewnego typu radary rozmieszczane będą tylko w obrębie określonych układem stref doświadczalnych. W trakcie rokowań ustalono, że amerykańskimi strefami doświadczalnymi będą White Sands w stanie Nowy Meksyk oraz atol Kwajalein na Oceanie Spokojnym, a sowiecką strefą będzie Sary Szagan. Dwa czy trzy lata później Związek Sowiecki rozpoczął budowę radaru na Kamczatce. Zwróciliśmy się wtedy do Sowietów z pytaniem, dlaczego tam go budują, skoro umowa przewiduje rozmieszczanie tego typu radarów w strefach doświadczalnych. Sowietci na to: - Kamczatka jest strefą doświadczalną. My: - W trakcie rozmów ustaliliśmy przecież, gdzie znajdować się będą strefy doświadczalne i z pewnością nie było tam mowy o Kamczatce. Odpowiedź sowiecka: - Mogliście sobie to ustalać, my natomiast nigdy nie powiedzieliśmy, że Kamczatka nie jest strefą doświadczalną. Pogwałceń tego typu jest bardzo wiele - częściowo na skutek tego, że Zachód i Stany Zjednoczone nie dość stanowczo reagowały na tendencyjne interpretacje tego czy innego postanowienia. Budowa radaru w Krasnojarsku jest bezsprzecznym złamaniem układu ABM i zwiastuje zakrojony na szeroką skalę rozwój sowieckiego systemu obrony, opartej na użyciu rakiet balistycznych. Związek Sowiecki utrzymuje, że radar ten przeznaczony jest do monitorowania przestrzeni kosmicznej. Radary przeznaczone do tego rodzaju zadań zwrócone są jednak w kierunku nieba, czyli poziomo, zaś radar w Krasnojarsku skierowany jest pionowo w kierunku horyzontu. Sowietci mają zresztą inne radary, przystosowane do badania kosmosu; radar krasnojarski w ogóle się do tego nie nadaje.

Zgodnie z układem SALT II Związek Sowiecki miał prawo zbudować jeden nowy typ międzykontynentalnych rakiet balistycznych /ICBM/. W chwili obecnej Sowietci mają już dwa nowe typy, a z biegiem czasu zainstalują niewątpliwie rakietę trzeciego, a prawdopodobnie i czwartego typu. Reasumując, amerykańscy specjaliści od rozbrojenia stwierdzili niedawno, że Związek Sowiecki dopuścił się jak dotąd pogwałcenia siedemnastu postanowień różnych umów zawartych ze Stanami Zjednoczonymi.

R.K.: - *Czy zawieranie umów o ograniczeniu zbrojeń traktować można jako cel sam w sobie, czy też należy je uzależnić od szerszej rozumianego zachowania się Sowietów na świecie, włączywszy w to pogwałcenia praw człowieka w Związku Sowieckim czy też politykę sowiecką wobec narodów wschodniej Europy?*

R.P.: - Pana pytanie wydaje mi się bezprzedmiotową abstrakcją. Naturalnie, że powiązanie sprawy rozbrojenia z innymi aspektami stosunków między Wschodem

a Zachodem czy też między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim jest absolutnie niezbędne. Stosunki ze Związkiem Sowieckim zależą nie tylko od tego, jak Sowieci traktują Zachód, ale też od tego, jak odnoszą się do swoich sąsiadów, a nawet jak traktują własne społeczeństwo. Powiązanie tych spraw jest nie tylko niezbędne, ale i słuszne. Nie wyobrażam sobie, jak można zawierać umowy w próżni.

R.K.: - *Zgadzaam się z Panem, nie jest to jednak bezprzedmiotowa abstrakcja chociażby dlatego, że licznym rzeszom Amerykanów /w tym wielu wpływowym politykom/ wydaje się ciągle, że warto prowadzić rokowania i układać się ze Związkiem Sowieckim nawet w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości.*

R.P.: - Oddzielenie sprawy rozbrojenia od szerszej pojętych stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Sowietami jest karygodnym błędem. Tylko gdyby były jakiegokolwiek podstawy do przypuszczenia, że stosunki między nami mogą się stać mniej wrogie - to znaczy gdyby Sowiety zgodziły się politykę międzynarodową - można by myśleć o zawieraniu umów rozbrojeniowych. Chociaż nawet i wtedy powinniśmy zachować wielką ostrożność. Sytuacja w Związku Sowieckim może ulegać raptownym zmianom. Nie powinno być zatem w ogóle mowy o rozbrojeniu w oderwaniu od szerszego kontekstu. Sowieci chcieliby oczywiście traktować sprawę ograniczenia zbrojeń jako cel sam w sobie, głównie dlatego, że nie mają zamiaru wyzbyć się swych ekspansjonistycznych ambicji czy zgodzić totalitarnego systemu władzy. Powiązanie rozbrojenia z innymi aspektami polityki sowieckiej wymaga więcej sceptycyzmu i wyczekiwania ze strony Zachodu. Jest to bardzo niewygodne dla Sowietów, przyzwyczajonych w przeszłości do łatwych sukcesów.

R.K.: - *Od trzynastu lat, czyli od chwili podpisania układu o ograniczeniu systemów przeciwrakietowych /ABM/, oficjalna polityka Stanów Zjednoczonych wystawiała właściwie społeczeństwo amerykańskie na sowiecki atak nuklearny. W przemówieniu z 23 marca 1983 Ronald Reagan zaproponował Amerykanom nową strategię, mianowicie stworzenie systemu obrony kosmicznej, zwanego Inicjatywą Obrony Strategicznej /SDI/, a popularnie "wojną gwiazdną". Jakie są podstawowe przesłanki polityczne i wojskowe tego planu?*

R.P.: - Należy sobie przede wszystkim zdać sprawę, że układ ABM nie oznaczał - jak wielu ludzi sądziło - że Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki zgodziły się na wzajemne wystawienie się na atak nuklearny /sowiecki system masowej obrony przeciwlotniczej nie świadczy przecież o tym, że Związek Sowiecki zamierzał utworzyć swe terytorium amerykańskim bombowcom/. Sowiety rozwinęły i stopniowo udoskonaliły system obrony przeciwlotniczej w obrębie Moskwy, rozbudowały system broni do zwalczania łodzi podwodnych, a co najważniejsze masowo produkowały broń ofensywną, wierząc w skuteczny atak i jednocześnie zniszczenie amerykańskich sił /jest to jedyne wytłumaczenie rozwoju i rodzaju sowieckich sił ofensywnych/. Ponadto pracują od lat 60-tych nad własnym systemem obrony kosmicznej, a od podpisania układu ABM robią to ze wzmoczoną energią. Sowieci podpisali układ ABM tylko dlatego, że w 1972 roku nie byli jeszcze w stanie zainstalować skutecznego systemu obrony przeciwrakietowej. Chodziło im o wstrzymanie badań i prób amerykańskich i wykorzystanie czasu od momentu podpisania umowy na dogonienie Ameryki. Udało im się to zresztą w tych wszystkich dziedzinach, w których Stany Zjednoczone miały w 1972 roku niewątpliwą przewagę, to znaczy w budowie radarów oraz sterowanych pocisków przechwytyjących, które mogą być używane w przeciwrakietowym systemie obrony typu ziemia-powietrze. Sowieci przystąpili też ze zdwojoną energią do pracy nad bardziej egzotycznymi technologiami, z radością wykorzystując sytuację, w której Amerykanie stanęli w miejscu a oni prowadzili dalekie badania i produkcję. Trwało to do marca 1983 roku, kiedy Reagan doszedł do wniosku, że rozwój cywilnych technologii w Stanach Zjednoczonych - takich jak przetwarzanie danych, przetwarzanie sygnałów dźwiękowych i świetlnych, technologii sensorów oraz wyzwalań i przenoszenia energii - stawia nas w niezwykle dogod-

nej sytuacji, w której wykorzystać możemy zaplecze cywilnej techniki do budowy systemu obrony strategicznej. Nic więc dziwnego, że Sowietci - kontynuując własne badania - próbują dziś za wszelką cenę zatrzymać podobne doświadczenia w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście uważam, że możliwe jest zbudowanie systemu skutecznej obrony strategicznej. Sowietci prześcignęli wprawdzie Amerykę w badaniach nad technologiami przekazywania energii oraz bronią laserową, ale nie tylko nie są w stanie jej wyprodukować, lecz nie znają też koniecznej do instalacji tego systemu obrony technologii przetwarzania danych. Związek Sowiecki próbuje więc ponownie, tak jak w 72 roku, zmniejszyć różnicę między własnym i amerykańskim poziomem rozwoju technicznego. Nie potrafi jednak stworzyć szerokiej bazy technicznej, koniecznej do przystosowania zdobyczy nauki do sprawnego systemu wojskowego. Przyczyną tego, jak łatwo się domyślić, jest fiasko sowieckiej gospodarki.

R.K.: - *Sprzymierzeńcy Stanów Zjednoczonych niechętnie zrzekliby się udziału w pracach nad systemami obrony kosmicznej, głównie dlatego, że amerykańskie inwestycje w nowe technologie umożliwiają im dość znaczne zyski. W oświadczeniach oficjalnych kraje zaprzyjaźnione z Ameryką opowiadają się jednak ciągle za polityką odstraszania, której podstawową zasadą jest tak zwana równowaga strachu /MAD/. Jak Pan sądzi, dlaczego Japonia i kraje zachodnioeuropejskie, a nawet Watykan, nie wierzą w plan budowy systemu obrony strategicznej?*

R.P.: - Wielu ludzi wypowiada się na temat technologii, niewiele z tego rozumiejąc. Naukowcy, przesądzający o możliwości systemu obrony strategicznej, nie mają zielonego pojęcia, na jakim etapie znajdują się badania programu SDI. Ich wiedza techniczna i kompetencje dotyczą innych dziedzin, a co więcej nie mają oni dostępu do kluczowych informacji. Środowisko naukowe w Stanach Zjednoczonych i w wielu innych krajach wykazało w tym względzie zadziwiająco ignorancję, wyciągając wnioski na temat obrony strategicznej bez elementarnej nawet wiedzy na ten temat. Naukowcy zachowują zwykle umiar nawet w kwestiach, dotyczących ich własnych specjalności, w tym jednak przypadku ferują gotowe wyroki, nie znając podstawowych danych i nie mając przeprowadzić doświadczeń ani prób. Myślę jednak, że z biegiem czasu obecny postęp techniczny stanie się oczywisty i należy się spodziewać, że wielu naukowców zmieni stanowisko co do programu SDI. Jeżeli chodzi o rządy zachodnie, które zdają się nadal wierzyć w zasadę tak zwanej równowagi strachu, to postawę tę należy w znacznej mierze przypisać głębokiej niewiedzy co do skali sowieckich zbrojeń ofensywnych i defensywnych /przy jednoczesnym braku zachodniego systemu obrony/. Postawa ta jednak również się zmienia. Jest w gruncie rzeczy dziwne, że rządy zachodnioeuropejskie - których bezpieczeństwo zależy w dużej mierze od gotowości Ameryki do użycia w obronie Europy broni nuklearnej - uważają, że Stany Zjednoczone powinny powstrzymać się od jej użycia nawet w krytycznym momencie ataku sowieckiego na Anglię, Francję czy Niemcy. Sądzę, że wielu Europejczyków nie przemyślało tej sprawy dość wnikliwie. Z perspektywy ostatnich kilkunastu miesięcy jestem jednak przekonany, że większość naszych sojuszników w taki czy inny sposób weźmie udział w programie SDI. W miarę rozwoju wypadków rządy państw zaprzyjaźnionych ze Stanami Zjednoczonymi dojdą do wniosku, że zasada równowagi strachu nie jest najlepszą drogą do utrzymania równowagi sił między obu wielkimi mocarstwami.

R.K.: - *Czy mógłby Pan wymienić najistotniejsze osiągnięcia techniczne, które doprowadzić mogą do skutecznego systemu obrony strategicznej?*

R.P.: - Program SDI jest szeroko zakrojonym eksperymentem nad zastosowaniem różnych technologii - w tym wielu tak zwanych cywilnych - do obrony strategicznej. Jedną z najważniejszych kwestii jest przetwarzanie danych. Niszczenie sowieckich rakiet i pocisków rakietowych wymaga niezwykle szybkiego przetwarzania olbrzymiej ilości informacji o tysiącach obiektów, wystrzelonych z naziemnych wyrzutni rakietowych, poruszających się potem w przes-

trzeni kosmicznej i wracających potem do atmosfery ziemskiej. Niezbędna jest też technologia sensorów /radarów/, konieczna do wykrywania i śledzenia toru rakiet oraz nakierowywania na nie pocisków niszczycielskich. Podam Panu przykład niebywałego wprost tempa rozwoju tej akurat dziedziny techniki. Sygnały przekazywane przez radary ostrzegawcze przetwarzane są przez bardzo nowoczesne komputery. Do obsługi dużego radaru ostrzegawczego potrzebny jest obecnie pokój pełen komputerów. W końcu lat osiemdziesiątych wyposażenie konieczne do przetworzenia tej ilości danych można będzie zmniejszyć do wielkości klocka dla dzieci. Kłoczek taki będzie wykonywał około 40 milionów operacji na sekundę, podczas gdy zastąpione przez niego centrum komputerowe może wykonać jedynie 4 miliony operacji na sekundę. Bardzo ważne badania prowadzone są też w dziedzinie laserów oraz technik przekazywania energii. Ostatnie doświadczenia wykazały, że można kontrolować wpływ tłumienia atmosferycznego na siłę wiązki laserowej.

Dzisiejsze badania koncentrują się zatem wokół technologii przetwarzania danych oraz technologii sensorów i wykrywania poruszających się z olbrzymią szybkością obiektów. Wielu ludzi błędnie uważa, że program SDI ma na celu zbudowanie nad Stanami Zjednoczonymi kopuły, uniemożliwiającej przedarcie się sowieckich rakiet nad terytorium Ameryki. W istocie chodzi raczej o zbudowanie kopuły nad Związkiem Sowieckim, aby uniemożliwić rakietom z ładunkiem nuklearnym opuszczenie terytorium sowieckiego. Różnica to dość istotna. Najbardziej interesujące pomysły programu SDI polegają na niszczeniu sowieckich rakiet zaraz po ich wystrzeleniu, czyli w momencie, kiedy znajdują się one jeszcze w atmosferze ziemskiej. Jest to całkiem prawdopodobne, jako że duża rakietą wydziela olbrzymie ilości ciepła, a wykrywanie tego ciepła z pewnością leży w granicach naszych możliwości. Rakiety takie zaraz po wystrzeleniu stają się łatwym łupem dla czułych na ciepło urządzeń niszczących. Problem polega tylko na błyskawicznym przetworzeniu danych przekazanych przez sensory i na nakierowaniu na dany cel obiektu niszczącego. Bardzo obiecująco wyglądają też eksperymenty w dziedzinie wytyczania toru lotu poruszających się z olbrzymią szybkością obiektów, wystrzeliwanych w kierunku rakiet balistycznych w momencie, kiedy znajdują się one jeszcze w przestrzeni kosmicznej albo kiedy powracają do atmosfery ziemskiej. Jeżeli udałoby się strącić taką raketę jeszcze w fazie wznoszenia się, nim odłączy się od niej liczne głowice bojowe - mielibyśmy o wiele mniej celów do zniszczenia. Sowieckie rakiet balistyczne uzbrojone są przeważnie w dziesięć głowic bojowych. O wiele łatwiej strącić jedną raketę niż dziesięć głowic. Postęp w tej dziedzinie jest tak gwałtowny, że rok czy dwa lata temu nie śniło się to nawet najbardziej żarliwym zwolennikom programu SDI.

R.K.: - *Co według Pana powinno być naczelną dewizą rządu Stanów Zjednoczonych w trakcie rokowań sowiecko-amerykańskich w Genewie oraz podczas zbliżającego się spotkania na szczycie między Reaganem a Gorbaczowem?*

R.P.: - Są to właściwie dwa oddzielne pytania, jako że program spotkania Reagan - Gorbaczow będzie z pewnością dużo szerszy niż sprawa rozbrojenia. W rozmowach o ograniczeniu zbrojeń naczelną dewizą amerykańską jest oczywiście poważne zmniejszenie ilości broni ofensywnej. Sowieci mają dziś o osiem tysięcy strategicznych głowic bojowych więcej niż w listopadzie 1969 roku, kiedy delegacja sowiecka i amerykańska spotkały się po raz pierwszy w Heilbronnach. Od momentu podpisania umowy SALT II w 1979 roku Związek Sowiecki zwiększył swój arsenał o cztery tysiące głowic strategicznych. Kolejne cztery tysiące dodane będą zgodnie z paktem SALT II. SALT I jak i SALT II pozwoliły więc na masową produkcję broni. Sowieci skorzystali z obydwu tych układów, licząc na bezczynność Ameryki i rozbudowując jednocześnie swój arsenał ilościowo i jakościowo. Naszym celem musi być zatem próba odwrócenia tej tendencji. Potoczne wyobrażenie o ograniczeniu zbrojeń zakłada stopniowe zmniejszanie się światowych arsenałów. Mało komu przychodzi do głowy rzecz

dla laika zupełnie niezrozumiała, że mianowicie umowy takie przewidują dalszą produkcję różnego rodzaju broni. Zakładanie, że dzięki porozumieniom o ograniczeniu zbrojeń zmniejszą się arsenały wojskowe jest wielkim nieporozumieniem. Nie stało się to wynikiem żadnej z dotychczas podpisanych umów, przeciwnie - usankcjonowały one tylko dalszą produkcję. Celem naszym powinna być zatem znaczna redukcja wszystkich rodzajów broni. Zachód jest w stanie stawić czoła Sowietom gospodarczo, ideologicznie czy kulturowo, ale nie w produkcji ofensywnej strategicznej broni nuklearnej. Dalsza rozbudowa arsenału ofensywnego w żaden sposób nie może doprowadzić do równowagi sił.

Jeśli chodzi o program spotkania Reagan - Gorbaczow, to z pewnością obejmuje on dyskusję nad różnymi konfliktami lokalnymi czy też kwestię poszanowania praw człowieka. Nie wyobrażam sobie, jak można nie poruszyć w trakcie takiego spotkania sprawy Afganistanu. Sądzę, że spotkanie to, w dużo większym stopniu niż podobne w przeszłości, pozwoli Stanom Zjednoczonym lepiej poznać nowych przywódców sowieckich. Nie myślę też, aby można było w chwili obecnej dojść do jakiegoś istotnego porozumienia. Nie ma do tego właściwie żadnych podstaw. Dodatkową przeszkodą jest prawie zupełny brak współdziałania Sowietów w Genewie. Nie sądzę jednak, aby spotkanie na szczycie należało uznać za rozczarowanie tylko dlatego, że nie można zawrzeć umowy o ograniczeniu zbrojeń. Jeżeli jedynym możliwym w obecnej chwili porozumieniem rozbrojeniowym jest wariant proponowany przez ZSSR, czyli układ, który zezwalałby na dalszą produkcję ofensywnej broni strategicznej, lepiej będzie, jeśli nie podpiszemy żadnego układu.

/Rozmowa miała miejsce 12 lipca 1985 roku w Waszyngtonie. Wywiad przeprowadził i przetłumaczył z angielskiego Robert KOSTRZEWA/.

KULTURA, październik 1985

DOMINIK MORAWSKI

KORESPONDENCJA Z RZYMU

Kryzys pontyfikatu czy historycznej koncepcji?

Upływający siódmy rok pontyfikatu skłania do zajęcia się krytyką różnych jego aspektów, która uległa znacznemu natężeniu w porównaniu z poprzednimi latami. Głośnie i mniej głośnie wypowiedzi prasy międzynarodowej w związku z podróżami apostołskimi Jana Pawła II i jego rzekomym dążeniem do "restauracji" doprowadziły do nieporozumień i dezorientacji, a to z kolei może sugerować, że mamy do czynienia z kryzysem pontyfikatu.

Trzeba najpierw stwierdzić, że krytyka tych czy innych zjawisk pontyfikatu niekoniecznie musi oznaczać "atak na Papieża". Wszystko zależy od tego, z jakiej pozycji wychodzi, czy w dobrej wierze, jakimi argumentami się posługuje. Zupełnie przeciw inną miarę należy przykładać do krytycznych wystąpień w zgodzie z *sensus catholicus* lub z dystansem zawodowym, jakim odznaczają się nieraz wypowiedzi krytyczne czynione przez publicystów liberalnych na łamach prasy laickiej. Te ostatnie - rzecz znamienna - przewyższają niewątpliwie jakością i talentem bezkrytyczne peany pochwalne na łamach prasy

prawicowej i ortodoksyjnie katolickiej. A tym samym są bardziej skuteczne i przynoszą większą korzyść pontyfikatowi. Co innego zaś frontalne napaści polegające na wynajdowaniu braków /prawdziwych, przesadzonych i zmyślnych/, jakie znamionują niektórych watykanistów, którzy uprawiają bojową publicystykę, opartą na własnej wizji Kościoła, zaprawionej osobistymi urazami /na przykład kapłani zredukowani do stanu świeckiego/. Sporą liczbę krytycznych wypowiedzi prasowych charakteryzuje typowe *parti pris*, to znaczy opinie oparte na uprzedzeniu.

Z drugiej strony obrońcy Papieża bez przerwy wpadają w nadgorliwość, co wywołuje skutek odwrotny od zamierzonego, bo hagiografia nie interesuje przeciętnego czytelnika prasy codziennej. I jest ponadto irytująca. Także, skądinąd zanni, teologowie czy publicyści katolicycy wytykali nieraz małą skuteczność papieskiego wędrującego apostołatu, co nie wzbudzało zgorznienia w Kurii Rzymskiej. Nawet i w jej tonie niektóre przejawy podróży papieskich są przedmiotem krytycznych, dość nieraz drastycznych uwag. W czasie nia tak dawnej rozmowy, pewien dygnitarz watykański narodowości włoskiej - kiedy była mowa o wyidealizowanym, wypaczonym, a więc niewiarygodnym obrazie katolicyzmu polskiego w odbiorze Zachodu - zauważył: /nie wystarczają oceaniczne zgromadzenia tłumów/ */non bastano oceaniche radunate/*. Odniosłem wrażenie, że miał na myśli nie tylko tłumy w czasie pielgrzymek papieskich do Polski, ale również i do innych krajów. Masowa obecność i owacje nie świadczą bowiem automatycznie o wysokim stopniu samoświadomości katolickiej i o panującym *consensus*, czyli o prawidłowej recepcji papieskiego nauczania.

Sędno rzeczy polega na tym, że Papież, aczkolwiek zdaje sobie doskonale sprawę, iż krytyczne głosy zawierają pewną dozę prawdy, nie zamierza bynajmniej zrezygnować z dalszych planowanych peregrynacji po świecie. Nie ulega zniechęceniu. Kilka dni przed odlotem do Wenezueli i Peru oświadczył, że w tych podróżach chodzi mu o zachętę, umocnienie wiary i o spotkanie wszystkich ludzi dobrej woli, od których zależą losy danego społeczeństwa. Jest świadom "ciężaru, jaki na nim spoczywa, w służbie sprawiedliwości i solidarności". Podróżuje - trzeba zaznaczyć, co przeciwnicy i krytycy kierujący się uprzedzeniem ignorują - bo domagają się tego lokalne Kościoły i wspólnoty, a poszczególne Konferencje Episkopatów nieraz natarczywie nalegają na jego przyjazd. Sam Papież patrzy nader realistycznie na efekty tych podróży. W drodze powrotnej z ostatniej podróży do Ameryki łacińskiej na pytanie, co myśli o ich skuteczności, przyznał, iż jest ona "trudna do oszacowania, ponieważ podróże te są jak siew Ewangelii. Rzadko kiedy osiąga się 100% plonu, czasem tylko 15%, ale warto kontynuować ten siew". Dodał: "wiem, że są osoby, którym te podróże nie podobają się i właśnie ta okoliczność utwierdza mnie, że należy je odbywać".

Rzecz w tym, że nowe formy działania na rzecz nawracania błądzących i przyciągania obojętnych, czyli podróże papieskie, niosą z sobą ryzyko zastrzeżeń. Nie powinno to wywołać skandali. Ci, którzy znają z autopsji przebieg dotychczasowych podróży, a nie są uprzedzeni, twierdzą, że organizacja ich powinna ulec zmianie w kierunku większego wyartykułowania tak, by dopuścić do częstszych spotkań z kwalifikowanymi przedstawicielami lokalnych wspólnot. Z tego punktu widzenia podróż do Holandii i Belgii otworzyła nowy etap. Jak się okazało, tak trudna i odmienna od wszystkich poprzednich, bo bez wiatujących tłumów, podróż do Holandii przyniosła pożytek. Można było to sprawdzić w okresie następującym po odejściu Papieża. Wzbudziła szacunek dla jego odwagi i zmianę postawy wielu tych, którzy tę podróż kontestowali i z nieufnością lub wręcz wrogością odnosili się do "centralizmu rzymskiego". Byli tacy, także w Kurii, którzy w związku z podróżą do Holandii twierdzili, że żaden z poprzedników Jana Pawła II nie zaryzykowałby zapłacenienia tak wysokiej ceny w kategoriach prestiżu i autorytetu. W jego wizji jednak podjęcie trudnych i niewdzięcznych starań o rekonyliację umysłów wymagało przejścia do porządku dziennego nad tego rodzaju obawami i zastrzeżeniami. W podróży do

Holandii i Belgii doszło do szczytowego dialogu Papieża z laikatem - rzecz nie do pomyślenia w poprzednich pontyfikatach, w których funkcja Papieża była zawsze spełniana w sposób autorytarny. Wprawdzie nie ucichły krytyczne głosy inteligentkich "progresistów" - były one jednak z kolei kontestowane /w Belgii/ przez większość zgromadzonych. Papież widzi te podziały wśród katolików, ale nie reagował na nie w duchu autorytarnym, uznając że przewyciężenie różnic, a więc osiągnięcie jedności, zależy od biskupów, którzy powinni "maszerować przed trzodą, a nie w ślad za nią, tak jakby musieli się bronić i pozłolić, by im przewodzono".

Ostatnia podróż do Afryki stała się sukcesem w odbiorze mass-mediów. Dotyczy to szczególnie nacisku Papieża na "akulturację", czyli przystosowanie nauczania Ewangelii do kultur rodzimych, potępienia *apartheid*u oraz apelu do wyznawców Islamu o sojusz przeciw wojującemu ateizmowi. Żaden z jego poprzedników w akcji kaznodziejskiej nie potrafił osiągnąć tak wielkiego stopnia przystępności słów wobec tych, dla których były przeznaczone. Jeden z watykanistów włoskich nazwał "hazardem" papieskie wystąpienie w Casablanca. Było to bowiem wyzwanie, którego konsekwencje nie mogły być wykalkulowane, a śmiałość tego przedsięwzięcia każe zastanowić się politykom, którzy stoją wobec widma wojen religijnych. Niepoprawni, uprzedzeni krytycy także i tym razem wynajdowali dziurę w całym, twierdząc, że papieski apel do młodych muzułmanów był "dyplomatyczną nieostrożnością".

Wzmogły się w ostatnim czasie narzekania na nieprzystępność papieskiej katechezy. Wymaga ona w rzeczy samej osobistego wysiłku, a nie oczekiwania, że wszystko będzie wyłożone w sposób tradycyjnie przystępny. Środowe audyencje generalne, na których Papież prowadzi kolejne cykle swej katechezy, których treść nie jest łatwa, są przeznaczone dla zmieniających się, w dużej mierze roztargnionych pielgrzymów, którzy od kwietnia do października gromadzą się na placu św. Piotra, gdzie dochodzi zgiełk ruchu ulicznego, krążą turyści popijający coca-cola i gwarząca młodzież różnych nacji. "*Sagra popolare*", czyli festyn ludowy - jak twierdzi wielu rzymian /także kurialistów/ - a nie okazja dla religijnego skupienia. "Byłoby może bardziej stosowne, gdyby Wasza Świątobliwość podejmował w czasie audyencji generalnych wątki bardziej przystępne i zamykające się w obrębie jednego przemówienia" - z tymi słowami kardynał Felici zwrócił się do Papieża, który go prosił o wyrażenie opinii o spotkaniach z wiernymi. "Znajdą się zawsze tacy, którzy zrozumieją" - zareplikował Papież, mając nadzieję, że jego katecheza, daleka od katechezy poprzedników, może być jednak właściwie odebrana /epizod ten przytacza znany watykanista B. Lai, cieszący się dobrą reputacją w Kurii Rzymskiej/. W zakończonym, trwającym z górą trzy lata, cyklu nauczania Papież prowadził wykład o antropologii małżeństwa, od niedawna zaś zaczął nowy cykl na temat wiedzy o Bogu. Są to przemówienia skoordynowane, połączone wspólną myślą przewodnią, wykładane co tydzień, a czasem - kiedy Papież jest w podróży - przerwa wynosi dwa lub trzy tygodnie. Jak twierdzą krytycy, postępujący się spokojną, racjonalną argumentacją, uniemożliwia to korelację tych wystąpień i wywołuje czasem błędne interpretacje. Katecheza ta bowiem nie jest łatwa do asymilacji, słuchając fragmentów tematyki rozwijanej w ciągu miesięcy i lat.

Szczególnego rozgłosu w środkach masowego przekazu nabrała sprawa "restauracji" w Kościele od chwili użycia tego terminu przez kardynała Ratzingera, prefekta Kongregacji Doktryny Wiary /dawne Święte Oficjum/. Użycia - trzeba podkreślić - niefortunnego, ponieważ termin *restaurazione* /po francusku: *restauration*/ ma wyraźną wymowę negatywną, oznaczając przywrócenie do *status quo ante*, czyli w tym przypadku do stanu przedsoborowego. Kardynał Ratzinger miał zaś na myśli co innego /co sam potwierdził/, a mianowicie odnowę Kościoła, wychodząc z założenia, że wiele osób, także i teologów, interpretowało Sobór Watykański II w sposób jednostronny, reduktywny. Uznał więc w swym słynnym "raporcie o stanie wiary", że trzeba tę interpretację oczyścić z naleciałości "progresyistowskich", redukujących autentyczny sens Soboru. Z drugiej strony

chodzi o wyeliminowanie nostalgicznych tendencji nawracania do dawnych czasów. Papież uznał za prawidłową wykładnię uchwał soborowych w interpretacji Ratzingera, popierając go przeciw polemistom, aczkolwiek zdystansował się nieco od jego zbyt drastycznych czasem sformułowań, stwierdzając /w samolocie w drodze powrotnej z Afryki/, że chodzi o "opinię personalną".

Papież bowiem stoi na stanowisku ciągłości i aktualności Soboru, z tym jednak, że uważa za konieczne przyhamowanie pewnej niecierpliwości. Rzeczą stanowczo bezpodstawną jest więc oskarżanie go o konserwatyzm. Całe przecięcie jego magisterium jest świadectwem, iż obrany kierunek jest przeciwieństwem konserwatyizmu. Po to, by przywrócić właściwe proporcje w patrzaniu i recepcji Soboru zwołat Synod nadzwyczajny biskupów /na przełomie listopada i grudnia br./, który z okazji 20-lecia zakończenia Soboru Watykańskiego II ma za zadanie "przeżycie atmosfery kolegiałości i jedności soborowej, wymianę i pogłębienie doświadczeń odnoszących się do wprowadzenia w życie dokumentów soborowych oraz promowanie realizacji orientacji soborowych w przyszłości". Według byłego sekretarza generalnego Synodu Biskupów, kardynała J. Tomko, z niektórych części świata dotarły "skargi z powodu niekoherentnych i niecierpliwych 'ucieczek do przodu' lub nieuzasadnionych oporów". Papież uznał za konieczne wykorzystać dwudziestą rocznicę Soboru, by zweryfikować stan różnych tendencji w łonie Kościoła Powszechnego, czyli przeprowadzić kolegialny rachunek sumienia.

Na tym Synodzie nadzwyczajnym dojdzie prawdopodobnie do zatwierdzenia projektu reformy Kurii Rzymskiej, który ma być przedstawiiony w październiku na posiedzeniu specjalnej komisji kardynalskiej, powołanej przez Papieża w 1983 roku. Reforma ta, zwiększając - według projektu - atrybuty władzy Sekretarza Stanu - zmierza do tego, by aparat kurialny - to znaczy kongregacje, rady, komisje i urzędy - stał się narzędziem wspierającym misję pastoralną Kościoła i Papieża w jego wędrującym apostolacie. Nie tyle więc Papież suweren na czele Watykanu-Państwa - i tak jak w poprzednich pontyfikatach "władze Kurii" i managerzy - ile arcybiskup w służbie Kościoła Powszechnego i ludzkości. Według linii przewodnich projektu reformy, Kuria ma być przystosowana do wizji Papieża, który deleguje gestię nad jej dykasteriami Sekretarzowi Stanu. Dawniej Papież musiał być wciąż obecny w Watykanie - nowe funkcje Kurii ulegają głębokiej przemianie, uwalniają Papieża i umożliwiają tym samym pełnienie jego misji uniwersalnej. Charakterystyczne, że projekt reformy, jeszcze bardziej niż poprzednia reforma Pawła VI z 1967 roku, redukuje aspekt państwowy Stolicy Apostolskiej; do tego stopnia, że *Segreteria di Stato* nazywać się będzie *Segreteria Apostolica*. Nie chodzi oczywiście tylko o zmianę nazwy, lecz funkcji, która była dotąd zbyt biurokratyczna. Zestrojeniu z profilem pontyfikatu i nową wizją papieżstwa podlegają w projekcie reformy różne zmiany organizacyjne i kompetencyjne w obrębie kongregacji oraz przekształcenie w papieskie rady sekretariatów dla jedności chrześcijan, dla stosunków z wyznaniem niechrześcijańskimi i dla niewierzących.

Mamy więc do czynienia nie z kryzysem pontyfikatu, lecz z kryzysem czy raczej nawet przełomem w dotychczasowej, uwarunkowanej historycznie koncepcji papieżstwa. Do kategorii nieporozumień wynikających z nierozróżniania charakteru kryzysu, należy spotykane nieraz, zwłaszcza u Włochów, porównywanie Jana Pawła II z Pawłem VI /który w określonym przypadku "tak by nie postąpił"/. To przeciwstawianie nie ma sensu; niezależnie od odmiennego stylu rządów, co przysługuje każdemu Papieżowi, mamy do czynienia z inną wizją funkcji papieskiej. Cały profil tego pontyfikatu /co będzie, rzecz prosta, rzutować na jego następców/, czego krytycy nie doceniają, polega na tym, że Jan Paweł II został, można by powiedzieć, wybrany bardziej jako biskup-pasterz niż jako kardynał, to znaczy księżę Kościoła. Siódmy rok pontyfikatu pokazał, że wyrasta on ponad Kurie, która nieco wyobcowana, nie nadąża za szybkim rytmem jego apostolatu. "Jest to Papież, który słucha wielu, rozmawia z wielicz-

nyimi, decyduje sam" - powiedział kiedyś O.B. Serge, redaktor naczelny pisma jezuitów *Civiltà Cattolica*. Prawdopodobnie na skutek zjawiska pewnej nieśpójności z działaniami Kurii i nawyku do tradycyjnego odbierania papieskiej misji, powstała sytuacja konfliktowa na odcinku mass-medium. Dziennikarze niewyspecjalizowani zdani są na depesze agencyjne, oszczędne w słowie i nieraz niechwilny lub w każdym razie niedokładne na skutek przekładów. Watykańscy zaś, czyli korespondenci akredytowani przy Watykanie nie są w stanie przetrwać masy informacji i dokumentacji wychodzącej spod pióra Papieża, czyli brak im czasu na refleksję. A pośpiech, jak wiadomo, nie sprzyja obiektywnym, wyważonym sądom.

Rozczarowanie, a nawet pewne zniecierpliwienie, z powodu jednostronnie krytycznych i uproszczonych, zniekształcających myśl Papieża - według otoczenia papieskiego - artykułów w prasie międzynarodowej, zwłaszcza włoskiej, francuskiej i niemieckiej, stało się źródłem pewnej sensoryjnej operacji edytorskiej. Obiatazy i zasobny w gotówkę wydawca australijski Rupert Murdoch, właściciel szeregu gazet w Anglii i USA, wpadł na pomysł publikowania cotygodniowej kolumny pt. "Obserwacje Jana Pawła II". Jak się okazało nie mają to być oryginalne artykuły Papieża z zastrzeżonymi *copyright*, ale montaż fragmentów jego wypowiedzi, przemówień i dokumentów. Wprawdzie watykański ośrodek prasowy zdementował, by doszło do zawarcia umowy z Watykanem, bo "papieskie teksty stanowią własność wszystkich" i nie ma mowy o podpisywaniu przez Papieża stałej rubryki w prasie, ale - jak się jednak okazało - coś jest na rzeczy. Komunikat watykański stwierdza *nota bene*, że "rozpowszechnianie nauczania papieskiego jest żywo zalecane i doceniane są wszystkie inicjatywy, które to mają na celu, realizując je z rzetelnością i powagą zawodową". Otóż Żyd polskiego pochodzenia, obywatel amerykański Alfred Bloch ma być redaktorem tej syntezy czy też *collage* sporządzanego z papieskich tekstów. Korzystając z tego, że tłumaczył i wydał niektóre prace kardynała Karola Wojtyły /odwiedzał nieraz Kraków/ udał mu się nawiązać dobre kontakty w Watykanie, należy domniemywać, że z właściwymi osobami. Prasa podała tu, że jest on "ekspertem judaizmu" i doradcą w sprawach watykańskich Murdocha, dla którego pracuje od kilku lat. Czy ta impreza okaże się właściwą reakcją na nieprzychylnie dla pontyfikatu wystąpienia prasowe? Czy ta próba edytorska wzmocni autorytet Papieża i odda rzeczywistą usługę nowej koncepcji papiesstwa? Odpowiedź na te pytania zależy od tego, jak czytelnicy zareagują na ten eksperyment oraz oczywiście od sposobu sporządzania tego papieskiego *cooktail*'u przez pana Blocha, co tylko sam Papież będzie mógł sprawdzić i orzec, czy jest udany. Tymczasem gazety, które za pośrednictwem *News American Syndicate* kupiły od Murdocha "papieską kolumnę" /między innymi nadrycka ABC i wiedeńska *Neue Kronen Zeitung*/, opublikowały już pierwszy "artykuł" formowany przez Papieża, poświęcony problemowi *apartheid*'u. Następne odcinki mają zająć się między innymi zagadnieniami: sprawiedliwości na świecie, stosunków pomiędzy chrześcijanami i Żydami, rodziny i małżeństwa, przemocy, różnic pomiędzy grzechem osobistym i społecznym, stosunków pomiędzy Kościołem i Państwem, praw i etyki informacji. Prezentując czytelnikom pierwszą kolumnę papieską gazeta ABC /której korespondentem rzymskim był przez wiele lat obecny dyrektor watykańskiego ośrodka prasowego/ stwierdza: "wobec oskarżeń o konserwatyzm pod adresem Papieża było rzeczą konieczną przedstawienie jego prawdziwego oblicza, dającego światu przykład, jak łączyć nowoczesność i tradycję, aktualność i wieczność". Główna motywacja tego przedsięwzięcia dla hiszpańskiego dziennika /analogicznie chyba i dla wielu innych/ polega na przeciwstawieniu się "zniekształcaniu myśli Papieża przez sowieckie agendy w różnych środkach przekazu na Zachodzie, którym kazano atakować i podważać postać Ojca Świętego".

Dominik MORAWSKI

Pisane 8 września 1985 r.

KULTURA, grudzień 1985

KRZYSZTOF GAWLIKOWSKI

REWOLUCJA EKONOMICZNA W CHINACH

Na drodze do nowego modelu socjalizmu

Przed dwudziestu laty głośno było w świecie o rewolucji kulturalnej, która miała doprowadzić do powstania zupełnie nowej formy socjalizmu, demokratycznego i idealnie egalitarnego. Biurokratyczna machina modelu stalinowskiego miała zostać zlikwidowana. Jeszcze wcześniej, przed trzydziestu laty, nie mniej było głośno o Wielkim Skoku, komunach ludowych - nowych utopijnych falansterach - i o polityce "stu kwiatów". Niebawem sukcesy gospodarcze miały się łączyć z realizacją ustroju komunistycznego i daleko posuniętą demokracją, o jakiej nie śniło się przedtem nikomu w "obozie socjalizmu". Ambitne zamierzenia obciążone od swych narodzin utopijnością i uwikłane w walki polityczne pozostawały za każdym razem sloganami. Praktyka im zaprzeczała, a zwyrodnienia biurokratyczne prowadziły za każdym razem do katastrofy gospodarczej i społecznej oraz do prześladowań politycznych na niebawemą skalę. Propagowane sny o utopii stawały się tragedią dla całego narodu. Wszystkie te antecedenсы nakazują ostrożność przy ocenie obecnych reform w ChRL, które można by nazwać rewolucją ekonomiczną. O ile rewolucja kulturalna koncentrowała atak na sferze ideologii, kultury i instytucji politycznych, reformy obecne dotyczą przede wszystkim gospodarki, choć oczywiście mają one rozmaite implikacje polityczne i kulturalne o fundamentalnym wręcz znaczeniu. Reformy są w toku i ich ostateczny kształt jest wielką niewiadomą, a proces zmian ma w dużej mierze charakter żywiołowy i jest z trudem kontrolowany przez władze centralne. Chociaż wiele z dokonanych zmian gospodarczych wydaje się nieodwracalnymi, trudno dziś przesądzić, jaka będzie ich przyszłość i czy nie nastąpi częściowy od nich odwrót.

Bez względu jednak na brak pewności co do dalszych losów i kształtu reform są one faktem niezmiernie doniosłym, i to z wielu względów. Po raz pierwszy od tak zwanego kryzysu jugostowiańskiego jeden z krajów "realnego socjalizmu", i to wielki, odrzucił w teorii i praktyce biurokratyczno-państwowy stalinowski model zarządzania gospodarką i zadeklarował wolę tworzenia zupełnie nowego modelu "socjalistycznej gospodarki towarowej". Wprawdzie w wielu krajach inicjowane reformy zmierzają w podobnym kierunku, nigdzie jednak nie szły one tak daleko i nigdzie nie

potępiono tak otwarcie metod poprzednio zastosowanych. Za tym poszły działania praktyczne: część dawnych struktur ekonomicznych w praktyce zlikwidowano, inne ulegają głębokim przeobrażeniom, temu towarzyszą fundamentalne zmiany polityczne i ideologiczne, uznane otwarcie za niezbędny element całego zespołu reform /włącznie z rolą partii, koncepcją i sposobem funkcjonowania państwa, itd./. Jest to zatem przeskok zupełnie rewolucyjny, nieporównywalny z jugosłowiańskim rozwojem w kierunku samorządowym czy z reformami węgierskimi. Choć kierunek tych wszystkich reform /włącznie z reformą polską/ jest podobny, forma ich dokonania w Chinach jest dużo bardziej gwałtowna i dużo bardziej radykalna. Zatem *casus* chiński każe po nowemu spojrzeć na dyskutowany od dawna problem "reformowalności socjalizmu". Prócz aspektu teoretycznego eksperyment chiński ma i aspekt praktyczny: pokazuje, jak takie odejście od modelu poststalinowskiego się dokonuje, jakie stwarza problemy społeczne, gospodarcze i polityczne.

Po drugie, reforma chińska ma wielorakie implikacje międzynarodowe. Szybko modernizujące się Chiny stały się ważnym elementem nowego dynamicznego centrum gospodarczego: strefy Pacyfiku. Z tym wiąże się zmniejszanie się politycznej i gospodarczej roli Europy, na której Moskwa od dziesięcioleci koncentrowała swą uwagę; wraz z tym jej zdobycze i wpływy tu uzyskane tracą na znaczeniu. Ponadto rozwój gospodarczy Chin i ich nowy model polityczny stanowią oczywiste wyzwanie dla Moskwy. Ukazują one anachroniczność modelu poststalinowskiego; kraje trzymające się go kurczowo mają perspektywę stania się w przyszłości wyspą biedy i zacofania, pozbawioną w dodatku swobód demokratycznych i sparaliżowaną wewnętrznymi kryzysami. Prawdopodobnie będą one w stanie utrzymać swój model siłą zbrojną, ale zapłacą za to utratą obecnego znaczenia politycznego. Sukcesy chińskie będą z pewnością miały wielki wpływ na ewolucję sytuacji politycznej w innych krajach "realnego socjalizmu", będą zachęcać do reform i muszą spowodować podjęcie jakichś działań przez Moskwę. Nie trzeba dodawać, że będzie to wszystko wpływać także na sytuację Polski, choć charakter tych zmian, a nawet ich kierunek, jest obecnie trudny do przewidzenia.

Zacznijmy od przedstawienia w największym skrócie charakteru dokonujących się w Chinach przemian. Chciałbym od razu zastrzec, że opis opieram wprawdzie na dokumentach oficjalnych, na lekturze prasy chińskiej i opracowań tamtejszych ekonomistów, ale wszystkie te wiadomości starałem się konfrontować z opiniami dziesiątków obywateli ChRL, z ich opowieściami o tym, co dzieje się w ich wsi, miasteczku czy regionie. Nie jest to zatem wyidealizowany obraz propagandowy, który tak lubi rozpowszechniać propaganda krajów "realnego socjalizmu". Jest to tym bardziej istotne, że oficjalna propaganda chińska z wielu względów wewnętrznych i międzynarodowych raczej pomniejsza przemiany i w dość specyficzny sposób je kamufluje, co też jest związane ze sposobem przeprowadzania reform. Jej inicjatorzy starali się, na ile to było możliwe, zachować dotychczasowe pryncypia ideologiczne, instytucje i nazwy, nadając im tylko nowe treści i funkcje, niewiele natomiast odrzucano *expressis verbis*. Bez tego swoistego ograniczenia reform prawdopodobnie nie dałoby się przeprowadzić w atmosferze szerokiego poparcia społecznego i bez poważnych zaburzeń politycznych.

Reformy w rolnictwie zapoczątkowano w 1978 roku. Z jednej strony uznawano je za stosunkowo łatwiejsze do przeprowadzenia, gdyż w przybliżeniu wiadano, jaki sposób produkcji rolnej będzie najwydajniej-

szy i najłatwiejszy do przeprowadzenia, podczas gdy nowy model funkcjonowania przemysłu trzeba dopiero wypracować w praktyce. Z drugiej strony słusznie uznawano, że skoro ponad 80% ludności żyje na wsiach i w obsłudze mających je małych miasteczkach, skoro rolnictwo stanowi podstawę całej gospodarki, ono jest ogniwem strategicznym. Niewątpliwie też sukcesy w tej sferze, łatwe do przewidzenia, stwarzały szanse uzyskania ogromnego poparcia społecznego dla reformy i sparaliżowania jej przeciwników w łonie elity rządzącej. Możliwe perturbacje na rynku artykułów przemysłowych byłoby także znacznie łatwiejsze do przeniesienia dla społeczeństwa przy zapewnieniu stabilności i obfitości na rynku artykułów spożywczych.

Kluczowym elementem reformy w rolnictwie była likwidacja komun ludowych, czyli chińskiej wersji kołchozów i przywrócenie chłopskich gospodarstw rodzinnych wraz z prawem do prywatnego dysponowania ziemią i wolnego obrotu rynkowego uzyskanymi produktami. Choć może się to wydać paradoksalne, owa likwidacja komun odbyła się bez wyraźnie sformułowanej ogólniej decyzji. Już poprzednio w ramach wysiłków poprawy gospodarki i niesprawnych komunach podzielono je na funkcjonujące niezależnie "brygady produkcyjne". Obecnie zezwolono po prostu tym brygadam na podział ziemi między chłopskie rodziny, "jeśli ich członkowie będą tego sobie życzyli". "Społeczna własność ziemi" została jednak teoretycznie zachowana i chłopskie rodziny są zobowiązane odstawiać państwu w przybliżeniu tyle, ile dawniej odstawiały komuny. Biura komun w szczątkowej postaci zostały zachowane, podobnie jak nazwa, sprawują one teoretycznie nadzór nad użytkowaniem ziemi i nad wywiązywaniem się chłopów z ich obowiązków. Nie pisze się zatem o likwidacji całego systemu komun ani o przywróceniu prywatnego władania ziemią. Wszyscy jednak Chińczycy, z którymi rozmawiałem, pochodzący z różnych regionów ogromnego przecież kraju, mówią to samo: w praktyce ziemia została podzielona między ówczesnych członków komun, które w dawnej postaci przestały istnieć. W związku z bardzo szybkim wzrostem produkcji obciążenia nie przekraczają w praktyce 50% plonów, a mogą być jeszcze mniejsze, jeśli rodzina chłopska dobrze gospodaruje.

Początkowo chłopi uprawiali głównie zboża, ale bardzo szybko okazało się, że rynek wewnętrzny został nasycony i ceny wolnorynkowe zaczęły spadać, zabrakło nabywców. Kraj, który od wielu lat musiał importować zboża, nagle stał się pod tym względem całkowicie samowystarczalny i wieloletnie umowy z USA trzeba było anulować. Wielu chłopów przerzuciło się więc na uprawę owoców, warzyw i różnych kultur przemysłowych. Jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać rozmaite drobne przedsiębiorstwa chłopskie, produkujące rozmaite artykuły codziennego użytku. W pobliskich miasteczkach chłopi zaczęli otwierać prywatne restauracje, hotele, a nawet uruchamiać linie przewozowe, z powodzeniem konkurujące z nieruchawym i niepunktualnym transportem państwowym. Linie te czasem już potrafią sprowadzać sobie nowoczesne autobusy japońskie, o jakich linie państwowe mogą tylko marzyć.

Na wsi w ciągu kilku lat zapanowała niebywała *prosterity*. Chłopi zaczęli kupować sobie maszyny rolnicze, pralki, kolorowe telewizory, samochody transportowe i traktory, zaczęli zakładać sobie telefony, przedtem będące tylko przywilejem urzędników, i to nie wszystkich. *Boom* gospodarczy ogarnął pobliskie miasteczka i pobudził rozwój przemysłu, ustawiczne braki produkcji przemysłu państwowego zaczęły uzupełniać liczne wytwórnie prywatne, a także nowe przedsiębiorstwa tworzone przez dawne zarządy komun, które w nowych warunkach muszą zarabiać na siebie jakąś produkcją i usługami. Liczne przedsiębiorstwa zaczęły też tworzyć władze lokalne, dążące do przerabiania na miejscu lokalnych surowców mineralnych i rolnych. *Boom* gospodarczy spowodował gwałtowny rozwój budownictwa. Obok przedsiębiorców prywatnych pojawiły się na rynku przedsiębiorstwa komun, które są w stanie zapewnić chłopom niezbędne kredyty spłacane w dogodnych ratach. W tej zupełnie nowej sytuacji wiele rodzin przeniosło się do miast, albo pozostając na wsi zajmuje się wyłącznie

działalnością pozarolniczą. W praktyce sąsiedzi przejmują ich ziemię w drodze prywatnej umowy, bez potrzeby jakiegokolwiek legalizacji, płacą im niewielką rentę dzierżawną i za nich wywiązują się z obowiązków państwowych. Jak dotychczas nie wprowadzono żadnych ograniczeń wielkości tak powstających faktycznych gospodarstw. Zatem tak zwana reforma w rolnictwie ma w praktyce bardzo szeroki zasięg.

W grudniu 1984 roku rozpoczęto wielką reformę przemysłu państwowego i całej struktury organizacyjnej wielkich miast, opartą na zasadach samodzielności i samofinansowania oraz likwidacji biurokratycznej struktury organów nadrzędnych. Wprowadza się także pewne elementy samorządności, między innymi w niektórych zakładach po raz pierwszy odbyły się wybory dyrektorów. Najtrudniejszym i dotychczas nierozwiązanym problemem są ceny; konkurencja wciąż jest słabo rozwinięta, powiązania z rynkiem światowym ograniczone, nadto zaś występują ciągle tendencje protekcyjnistyczne, poszczególne powiaty a nawet powiaty pod naciskiem lokalnego przemysłu usiłują zamykać swoje rynki przed konkurencyjnymi towarami z zewnątrz.

Innym trudnym problemem jest finansowanie instytucji użyteczności publicznej jak szkoły wyższe, teatry, instytuty naukowe, służba zdrowia itp. W szkołach podstawowych i średnich wprowadzono już odpłatność, dyskutuje się nad konsekwencjami wprowadzenia jej w szkołach wyższych i nad nowym systemem stypendialnym. Sprawa jest tym bardziej paląca, że płace w jednostkach budżetowych są obecnie dużo niższe niż w instytucjach i przedsiębiorstwach usamodzielnionych, co grozi odplywem kwalifikowanych kadr.

Ważnym elementem kompleksu reform było utworzenie w 1979 roku pierwszych "nowych stref ekonomicznych". Początkowo tworzone je w sąsiedztwie Hong Kongu, jako swoiste strefy gospodarki mieszanej, umożliwiające integrację tej kolonii angielskiej z macierzą po wygaśnięciu terminu dzierżawy. Chciano także w ten sposób stymulować rozwój gospodarczy tych terenów przez terytorialną ekspansję dynamicznego centrum hongkongskiego. Ich tworzeniu sprzyjał także rozwój wydobycia ropy naftowej z szelfu kontynentalnego przy znacznym udziale koncernów zachodnich. Obecnie "nowe strefy ekonomiczne" objęły większość portów i całe prowincje regionu nadmorskiego, w których żyje niemal połowa ludności kraju, a także niektóre miasta wewnętrzne, które domagały się tego przywileju. W strefach tych mogą inwestować zagranicze osoby fizyczne i prawne, wprowadzono znaczne swobody dla przedsiębiorczości prywatnej, a także dla handlu zagranicznego, stąd ceny przybliżają się tam do cen światowych. Także przedsiębiorstwa państwowe zyskały tam dużą samodzielność, podobnie jak organa administracji lokalnej. Najstarsza z tych stref jest już obecnie dla Chińczyków krajowym "Zachodem". Niedawne wsie w ciągu kilku lat zmieniły się w statusyczne miasta z domami towarowymi o zachodnim standardzie, eleganckimi hotelami i restauracjami pełnymi pracujących tu cudzoziemców i turystów. Na miejscu dawnych lepienek w oształtującym tempie rosną wysokościowce i fabryki.

Oczywiście istnienie takich stref wiąże się z rozmaitymi administracyjnymi ograniczeniami ruchu ludności i towarów. Wprowadzić trzeba było bariery celne. Strefy te odgrywają ważną rolę ekonomiczną, ale może jeszcze większa jest ich rola społeczna: osvajają one z nowym sposobem działania, pracy i funkcjonowania wszystkich instytucji, z rynkiem światowym, najnowszą techniką i międzynarodowym systemem prawnym, z regułami działania wydajnej gospodarki rynkowej.

Przemiany te byłyby niemożliwe bez zasadniczych przeobrażeń politycznych, co władze otwarcie zadeklarowały. Administracyjna rola partii uległa istotnemu ograniczeniu, a główną rolę zaczyna odgrywać administracja państwowa, która staje się faktycznym gospodarzem swego terenu. Wymagało to wieloletnich działań. Poprzednio na terenach wiejskich komuny ludowe łączyły funkcje produkcyjne z administracyjnymi i wojskowymi; prowadziły także szkoły, przedszkola, ośrodki zdrowia, sklepy. Obecnie przeniesiono administrację pań-

stwowa szczebla powiatowego z odpowiednimi wydziałami i to ona i tworzone przez nią przedsiębiorstwa zapewniać mają zaspokojenie rozmaitych potrzeb społecznych, nie zaś komuny i komitety partyjne. Partii w terenie i w zakładach pracy pozostawiono głównie funkcje ideologiczne i wychowawcze, a także wspieranie reform. W praktyce oznacza to degradację lokalnego aparatu partii i jej funkcjonariuszy. Opowiadano mi na przykład, że w fabrykach sekretarze partii z pozycji numer jeden spadli na piątą lub szóstą, poniżej nie tylko dyrektora i jego zastępców, ale także poniżej głównego technologa i głównego księgowego. Znacznie zwiększyły się obowiązki administracji terenowej, a ograniczono władzę zreorganizowanych i zredukowanych organów centralnych. Rósł rolę parlamentu i terenowych organów przedstawicielskich.

W państwie zarządzanym poprzednio według zasad dowolnie określonej przez władzę "sprawiedliwości socjalistycznej", bez pisanego prawa karnego i cywilnego, wprowadza się normy prawne do całego życia społecznego, co jest rewolucją na skalę historyczną. W cesarstwie chińskim bowiem, inaczej niż w zachodniej tradycji politycznej, nie znano koncepcji prawa jako uniwersalnego regulatora życia społecznego; działania aparatu biurokratycznego kształtowane były przez ideologię konfucjańską i rozmaite wytyczne oraz akty normatywne, ale nie były ograniczone przez prawo. To władze państwowe były źródłem dowolnie zmienianego prawa dla poddanych, którzy byli w rezultacie tylko poddanymi wschodniej despotii; nie zaś obywatelami w sensie rzymskim. Poprzednie dwudziestowieczne próby wprowadzenia prawa były zaledwie krótkotrwałą fikcją bez większego praktycznego znaczenia. Ustanawianie obecnie stosunków cywilno-prawnych, prawa wiążącego zarówno obywateli jak i organy władzy państwowej, tworzy zupełnie nową rzeczywistość społeczną i całkowicie zmienia naturę państwa. Jest wyprawą całego narodu w zupełnie nowy świat pojęć i obowiązków. Właśnie prawo angielskie różniło zasadniczo Hong Kong od macierzy, i ono było kluczem do jego *prosperity*. /Wpływy chińsko-mongolskiej tradycji państwowej na kształtowanie się państwowości ruskiej wprowadziły tę tradycję nawet do Europy/.

Natura państwa i jego relacje ze społeczeństwem zmieniają się obecnie w wielu aspektach. W epoce cesarstwa /do 1912 r./ głównym celem państwa była dbałość o walory moralne w Krainie Środka i na całym świecie, podtrzymywanie porządku niebiańskiego w świecie ziemskim, wśród ludzi, duchów i w naturze. Państwo maoistowskie za swój główny cel przyjmowało posuwanie naprzód rewolucji światowej i ustanawianie moralnego ładu wewnątrz swych granic i na świecie, ładu także o naturze transcendentnej, wyznaczanego przez wieczne prawa historii. Deng Xiaoping /Teng Siao-ping/1 nawraca do nowatorskich koncepcji wczesnego Kuomintangu, do idei państwa reprezentującego interesy swych obywateli i mającego za cel podnoszenie ich dobrobytu, który poprzednio był ustawicznie poświęcany dla "ceiów wyższych". Tak państwo z regionów niebiańskich zostaje sprowadzone na ziemię, do prozaicznej sfery interesów politycznych i gospodarczych.

Zmienia to także zasadniczo relacje państwa i narodu. Państwo w okresie cesarskim i w myśli maoistowskiej było w istocie tworem ponadnarodowym, a nawet dokładniej - aetnicznym, jego cele miały charakter uniwersalny. Państwo obecne, uznając się za obrońcę i reprezentanta narodu, uznaje tym samym istnienie narodu. To otwiera drogę do całkowicie nowego ułożenia stosunków etnicznych wewnątrz Chin. O ile nacjonalistyczny Kuomintang poprzednio glo-

1. W 1957 roku opracowano w Chinach zunifikowaną transkrypcję łącińską pisma hieroglificznego; została ona zaakceptowana przez parlament, ale jej wprowadzenie w życie zostało przedko zahamowane. Po rewolucji kulturalnej wrócono jednak do niej i obecnie jest obowiązującą transkrypcją urzędową. Coraz szerzej stosuje się ją także w wydawnictwach naukowych publikowanych w świecie. W nawiasach podaje się tu dawną popularną transkrypcję polską.

ryfikował wyłącznie Hanów /etnicznych Chińczyków/, a w stosunku nawet do niewielu uznawanych oficjalnie innych narodowości, jak Mongołowie, Tybetańczycy, Ujgurzy uprawiać politykę sinizacji, obecnie uznaje się w praktyce równość wszystkich grup etnicznych, zakłada ich długotrwałe współżycie w ramach wieloetnicznego państwa, przy rozwiniętej autonomii regionalnej dla grup mniejszościowych.

Po raz pierwszy od kilku dziesięcioleci publicznie jest dziś prezentowany patriotyzm hański i tak samo publicznie są dyskutowane różne problemy mniejszości narodowych, a kultywowanie własnych tradycji kulturowych przestało być przestępstwem politycznym. Historia tych mniejszości, a także silne w Chinach patriotyzmy regionalne przestały być tematem tabu, kształtuje się nowe poczucie narodowe "jedności w różnorodności". Zasadniczej rewizji uległ także stosunek do religii, będącej ważnym elementem kultur narodowych. Zaprzeszono prześladowań; władze centralne i lokalne podjęły nawet wysiłek odbudowy zniszczonych poprzednio obiektów kultu i świątyń. Obserwuje się zatem swoisty renesans religii i wzrost społecznego nimi zainteresowania. Dotyczy to tradycyjnych chińskich wierzeń, religii innych grup etnicznych, jak islam i lamaizm, a także najbardziej poprzednio prześladowanych religii zachodnich, kościołów protestanckich i katolicyzmu, które obecnie budzą zainteresowanie daleko wykraczające poza krąg ich dawnych wyznawców. Nie bez pewnych oporów zezwala się także na nawiązywanie zerwanych poprzednio stosunków z zagranicznymi centrami religijnymi i duchowieństwem. Do Mekki wyjechały pierwsze pielgrzymki muzułmańskie, zaproszono grupę jezuitów do prowadzonych niegdyś przez nich zakładów naukowych. Opuszczają więzienia trzymani tam od trzech dziesięcioleci duchowni katolicy, konserwuje się zdewastowane grobowce zmarłych dawniej misjonarzy cudzoziemskich itp. /stosunki z Watykanem są jednak jeszcze dalekie od normalnych/.

Przemiany te wiążą się z fundamentalnymi zmianami w sferze kultury. Zarzucono poprzedni izolacjonizm, wrogość wobec własnej tradycji kulturowej oraz kultury zachodniej, a także próby tworzenia nowej "kultury proletariackiej". W ramach ogólnego otwarcia na świat zezwolono także na powrót kultury zachodniej; gra się więc znowu Chopina i Beethovena, powstają własne orkiestry i grupy muzyczne, uprawiające muzykę zachodnią, klasyczną i młodzieżową, a obce zespoły i soliści odbywają fascynujące *tournees* z milionowymi tłumami słuchaczy w atmosferze niebywałego entuzjazmu. W księgarniach ukazują się dziesiątki tłumaczeń literatury zachodniej, ale i wschodnioeuropejskiej /także popularnego tam Sienkiewicza/. Oczywiście wiele wydarzeń literackich i prądów artystycznych pozostaje jeszcze nieznanymi; otwarcie jest selektywne, szersze wobec literatury i sztuki tradycyjnej niż wobec prądów nowych, które wciąż budzą nieufność władz. Obok tego zaczęto wznawiać wyklętą przedtem dawną literaturę chińską, szacunkiem otacza się krytykowane poprzednio szkoły filozoficzne i dzieła, czego najbardziej chyba spektakularnym przykładem było utworzenie niedawno specjalnego instytutu badań i upowszechniania myśli konfucjańskiej, tak niedawno zaciekle potępianej. Z wielkim nakładem sił zbiera się rozproszonych dawniej artystów sztuk tradycyjnych, tworzy nowe zespoły, przyucza młodzież. Gdyby obecna reforma nie nastąpiła tak szybko, za dziesięć czy piętnaście lat nie byłoby już szans na odtworzenie dawnych umiejętności. Wszystko to łączy się z szerokimi procesami demokratyzacyjnymi i znoszeniem dawnych restrykcji oraz państwowej kontroli całego życia społecznego. Reforma sfery ekonomicznej jest w prawdzie kluczowa, ale łączy się nierozdzielnie ze zmianami we wszystkich wyliczonych powyżej dziedzinach, bez których musiałaby utknąć na manowcach, podobnie jak nieszczesny karzełek polskiej reformy.

Zmian jest tak wiele i są one tak wielorakie, że ich nawet wyliczyć nie sposób, ale o dwu jeszcze warto wspomnieć: o fundamentalnej zmianie systemu informacji i o wyjazdach zagranicznych. Poprzednio prasa, radio i telewizja miały charakter wyłącznie propagandowy i "dworski". Podawały tylko wiadomości

ci o chińskich sukcesach gospodarczych i politycznych /często wyimaginowanych/, o zachwytach ludu pracującego całego świata modelem chińskim i aktualnymi decyzjami najwyższych organów władzy, zawsze "jedynie słusznymi", a także o wizytach składanych przez oficjeli chińskich za granicą, o przyjaznawaniu przez nich gości zagranicznych oraz o niezliczonych zebraniach i kongresach, zaszczyconych obecnością towarzyszy x, y, z i wygłoszonych tam przemówieniach. Obecnie wprowadzono zasadę informowania społeczeństwa o wszystkich ważniejszych wydarzeniach w kraju i za granicą i wiadomości te podaje się w sposób dość obiektywny /odstępstwa od tej zasady są stosunkowo rzadkie/. W prasie zaroily się artykuły dyskusyjne, wypowiedzi kontrowersyjne i krytyczne i pojawiło się wiele wiadomości po prostu ciekawych albo zabawnych. W podobny sposób zmienił się program radia i telewizji, gdzie rekordy popularności biją nie filmy zachodnie i seriale, ale wyklete poprzednio filmy z Hong Kongu przedstawiające walki kung-fu. Pojawiły się setki nowych czasopism dla różnych kręgów czytelniczych. Niektóre z pism regionalnych znalazły się nawet na czele "nowej prasy" dzięki wysokiemu poziomowi i dyskusjom tamigącym różne dotychczasowe tabu. Ogromnie wzrosło czytelnictwo, także na wsi, która zaczęła masowo prenumerować czasopisma fachowe i kulturalno-społeczne. Oczywiście prasie chińskiej daleko jeszcze do standardów wolności prasy zachodniej, swoboda publikacji podlega dość dziwnym fluktuacjom, ale przełom jest niewątpliwy.

Ciekawym fenomenem ostatnich lat jest też pojawienie się w prasie po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat analiz rozmaitych problemów społecznych, wyników badań opinii publicznej w różnych sprawach, na przykład orientacji życiowej młodych, stosunków wewnątrz rodziny itp.

Obserwuje się pęd do nauki i języków obcych /Radio Pekin nadaje kursy angielskiego, francuskiego i od niedawna - rosyjskiego, w ramach zróżnicowania politycznego/. Ułatwiono dostęp do publikacji zachodnich i bardzo rozszerzono własne wydawnictwa w językach obcych. Między innymi wydaje się obecnie w Pekinie *China Daily* na zupełnie przyzwoitym poziomie. Chińczycy mogą nie tylko swobodnie słuchać radiostacji zagranicznych nadających w języku chińskim, ale nawet korespondować z nimi.

Poprzednio wyjazdy legalne z Chin były niezmiernie trudne jeśli w ogóle możliwe. Obecnie uzyskanie paszportu jest dużo łatwiejsze niż zdobycie obcej wizy. W ramach odwiedzania rodziny wyjeżdżają legalnie z kraju na nieograniczony okres tysiące Chińczyków łączących często turystykę z pracą zarobkową, a ambasady chińskie udzielają im chętnie niezbędnej pomocy za granicą. Nie tylko rząd wysyła tysiące studentów za granicę, ale można również prywatnie wyjeżdżać na studia do dowolnego kraju. Studiuje tak, przy pomocy rodziny albo trochę pracując, przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy osób. Kto zatem pragnie trochę więcej wolności niż ma jej w kraju, albo chce popробować swych sił na rynku kapitalistycznym, może wyjechać, wrócić kiedy chce, może odwiedzać rodzinę albo zapraszać ją do siebie. Wyjazdy takie cieszą się jednak ograniczonym powodzeniem, gdyż pozostając w Chinach można uzyskać pracę połączoną z częstymi wyjazdami zagranicznymi, z kontaktami z cudzoziemcami, albo na miejscu podjąć pracę w zachodniej firmie. "Zachód teraz mamy u siebie" mówią Chińczycy, nie bez pewnej przesady oczywiście.

Oczekiwany rezultatem reformy jest przyspieszenie rozwoju gospodarczego i wprowadzenie Chin do grona krajów rozwiniętych, posługujących się najnowszymi zdobyczami nauki i techniki, wzrost dobrobytu obywateli i potęgi kraju. Wybrana droga rozwoju pociąga jednak za sobą dwie ważne konsekwencje społeczne, budzące wielorakie opory i wątpliwości wewnątrz Chin i za granicą, szczególnie w krajach "realnego socjalizmu" i wśród zachodniej lewicy.

Po pierwsze prowadzi ona do likwidacji tak zwanej nowej klasy - uprzywilejowanej grupy biurokratycznych zarządców dysponujących majątkiem narodowym w imieniu społeczeństwa i mającej monopol na władzę polityczną. Obecnie jej

najniższe i średnie warstwy utraciły już w dużym stopniu swą uprzywilejowaną pozycję, prerogatywy polityczne i ekonomiczne. Bardzo obniżył się ich prestiż społeczny, a zarobki stały się stosunkowo niskie w związku z pojawieniem się licznych warstw znacznie lepiej sytuowanych. Opuszczenie stanowiska administracyjnego /bądź partyjnego/ i podjęcie działalności gospodarczej zaczęto więc uznawać za awans społeczny, i bardziej dynamiczne jednostki wcale nierzadko się na to decydują. Innym sposobem zachowania wysokiego prestiżu rodziny jest podjęcie działalności gospodarczej przez zonę funkcjonariusza lokalnego albo innych członków rodziny. Wreszcie aż nazbyt często zdarza się, że funkcjonariusze partyjni i państwowi pozostając na swoich stanowiskach podejmują działalność gospodarczą na własny rachunek wbrew prawu albo rozmiągając się z nim. Mnożą się więc afery gospodarcze o ogromnej niekiedy skali. Jest to po części związane z dramatycznym upadkiem etosu biurokratycznego oraz faktem, że funkcjonariusze przestali się utożsamiać z organizacją, do której przynależą. Swoje działania i myśli koncentrują wokół spraw prywatnych kosztem obowiązków oficjalnych. Opowiadano mi, że obecnie trudno nawet doprosić się milicjantów, by przybyli na miejsce przestępstwa i podjęli pościg za rabusiem czy mordercą.

Aby pozbyć się niekompetentnych albo niepotrzebnych dzisiaj funkcjonariuszy, władze wysyłają ich na wczesne emerytury z zachowaniem wielu dawnych przywilejów ekonomicznych i dodaniem nawet nowych /na przykład raz na rok bezpłatny przejazd z rodziną do dowolnego miejsca ChIn, regularnie przydzielane wczasowe w atrakcyjnych miejscowościach, przepustki do nowych stref ekonomicznych dla dokonania zakupu deficytowych dóbr itp./. Obecnie tego typu akcje objęty nawet dostojników szczebla centralnego. Innym rozwiązaniem jest tworzenie synekur dających pewien prestiż społeczny, rozmaitego typu komisji doradczych bez prawa do praktycznych decyzji. Ten rewolucyjny ze swej istoty proces dokonujący się pod nadzorem kierowniczych organów partii zdaje się przebiegać zaskakująco łagodnie; grupy tracące dotychczasowe pozycje stawiają słaby opór. Wyjaśnienie tego fenomenu nie jest łatwe. Zdają się go powodować liczne czynniki. Przede wszystkim sama władza utraciła wiele ze swej dawnej atrakcyjności; nie broni się jej, gdyż nie daje ona wiele. Wielu funkcjonariuszy utraciło wiarę we własne kompetencje i możliwość podołania nowym, zupełnie innym obowiązkom. Towarzyszy temu nierzadko poczucie winy. Całe społeczeństwo od góry do dołu krytykuje niezwykle ostro poprzednie koncepcje i metody sprawowania władzy, uznaje je za całkowicie błędne, za katastrofę narodową. Ludzie, którzy ten poprzedni kurs realizowali, którzy przekonywali społeczeństwo, iż tak właśnie należy budować socjalizm, utracili wiarygodność społeczną, stali się nieoczekiwanie niemal przestępcami. Ogromne sukcesy nowego kursu, szybki wzrost dobrobytu i demokratyzacja życia społecznego, nowy kult kompetencji i nauki wykluczają możliwość obrony dawnej dogmatycznej ideologii i opartych na niej działań. Godne "dobrowolne" odejście bez rozliczenia z dawnych błędów wydaje się wielu ludziom najlepszym rozwiązaniem. Władze zaś wyraźnie unikają rozprawy z dawnym maoistowskim aparatem, uderzono tylko w jego najwyższe ogniwa, w przywódców poprzednich etapów. Rozprawa sądowa nad "bandą czworga" była tego najbardziej spektakularnym elementem.

Innym ważnym czynnikiem jest wyraźnie zarysowany podział "kadry" na dwie orientacje: eksponentów i realizatorów rewolucji kulturalnej, reprezentantów poprzedniego całkowicie błędnego "kursu lewackiego", mających swe główne oparcie w aparacie partyjnym i propagandowo-ideologicznym, i na szacunku godnych wykonawców polityki premiera Zhou Enlaia /Czou En-laja/, otoczonego prawdziwym i szczerym masowym kultem. Ci ostatni mieli swe pozycje głównie w aparacie państwowym, szczególnie w administracji szczebla centralnego. Po czystkach związanych z eliminacją grupy Lin Biao /Lin Piao/, także armia i wywodząca się z niej kadra w dużym stopniu zachowała prestiż i szacunek społeczny. To właśnie armia poparła powrót Deng Xiaopinga do władzy i reformy. W rezultacie tylko część kadry została boleśnie uderzona przez zmianę kursu politycznego, właśnie ta najbardziej konserwatywna i dogmatyczna, część

zaś, szczególnie ze średniego pokolenia, uzyskała ogromne możliwości sukcesów zawodowych typu menadżerskiego albo administracyjnego /choć uwalnianie się od dawnych wyobrażeń i przyzwyczajzeń jest procesem trudnym i powolnym/.

Drugim fundamentalnym procesem społecznym jest odejście od zasad egalitaryzmu. W modelu socjalizmu biurokratycznego państwo nie jest wprawdzie zdolne zaspokoić wszystkich potrzeb swych poddanych, ale to im nieustannie obiecuje i w jakiejś mierze to realizuje, podejmuje w tym kierunku rozmaite, zwykle mało skuteczne wysiłki. Likwiduje za to albo bardzo ograniczona możliwości poprawy swej sytuacji przez własną pracę i inicjatywę; dokonuje się to zatem niemal wyłącznie w drodze rozmaitych nadużyć, przez działalność sprzeczną z obowiązującym teoretycznie systemem albo pozaprawną /indywidualną albo grupową/. W rezultacie społeczeństwo nie jest wprawdzie egalitarne, ale nierówności są ograniczone, często noszą piętno nadużycia i całe społeczeństwo cierpi biedę oraz przeróżne niedostatki. Zdrowa działalność ekonomiczna i współzawodnictwo są bowiem uniemożliwiane.

Reforma chińska ogranicza coraz bardziej tę nadopiekuńczą fikcję państwa, a troskę o zaspokojenie różnorodnych potrzeb pozostawia obywatelom oraz rozmaitym autonomicznym organizacjom według zasady: pracujesz więcej i lepiej, to masz więcej. W ten sposób reforma w rolnictwie stworzyła od razu duże kontrasty społeczne. Jedni potrafią dobrze organizować pracę na roli, szybko dostrzegają nowe możliwości rynkowe, inni nie są wystarczająco przedsiębiorczy i żyją nadal na dawnym poziomie lub nawet nieco gorzej, nie umiając dostosować się do nowych warunków. Jedni dorobili się już traktorów, maszyn i samochodów, a inni ledwo wiążą koniec z końcem. Dotyczy to nie tylko rodzin wewnątrz jednej wsi, ale i całych wsi a nawet regionów, jedne mają przecież bardziej, a inne mniej sprzyjające warunki.

Te nowe problemy usiłuje się rozwiązywać swojako. Po pierwsze zaleca się administracji lokalnej pomoc najbardziej potrzebującym rodzinom przez fachowe porady, nisko oprocentowane kredyty albo mobilizowanie sąsiadów do pomocy. Propaguje się zasadę "dorobiłeś się sam, to pomóż innym". Zawsze jednak chodzi tu o pracę własną, która ma dawać lepsze rezultaty. Na pewno jednak część rodzin nie utrzyma się na swobodnym rynku rolnym. Nie każdy nauczy się prowadzić hodowlę kaczek, ryb albo wydajny sad. Po drugie rozmaite potrzeby społeczne, dawniej zaspokajane bezpośrednio przez państwo albo przez podległe mu jednostki, przerzuca się na barki autonomicznych jednostek gospodarczych, na pracodawców. Tak na przykład szkołę ma opłacać zakład pracy zatrudniający rodziców albo komuna, do której teoretycznie należy uprawiana przez nich ziemia. Jednak świadczenia dla pracowników są ograniczane przez obiektywne możliwości danej jednostki gospodarczej. Przedsiębiorstwa często nie mają środków, choćby chwilowo. Ponadto w wypadku wielu małych przedsiębiorstw prywatnych typu rodzinnego opłaty spadają na ojca - właściciela zakładu albo gospodarstwa na wsi w związku z praktyczną prywatyzacją rolnictwa. Szkoły, które także przeszły na rozrachunek własny, nie mogą jednak czekać na rozstrzygnięcie tych wszystkich sporów i na pieniądze. Prasa chińska donosiła o dramatycznych wręcz przypadkach odmawiania dzieciom nauki do czasu, gdy rodzice lub przedsiębiorstwa nie uregulują płatności. Sytuację pogarsza ubóstwo dopiero odtwarzanej administracji lokalnej i jej słabości kadrowe.

Władze państwowe, nie chcąc powracać do poprzednich metod totalnego administrowania, zalecają pomoc wzajemną całych wsi i regionów, tworzenie więzi współpracy i wzajemnych korzyści. Na przykład miasto bogatsze może inwestować w biedniejszym, łącząc pomoc z poprawą zaopatrzenia własnego rynku, łączy się kapitały, tworzy rozmaite spółki i przedsiębiorstwa mieszane. Jest jednak jasne, że rozwój kraju nie może być równomierny, podobnie jak awans i postęp gospodarzy poszczególnych rodzin oraz jednostek. Zaakceptowanie owych nierówności zostało jednak uznane za klucz do rozwoju całego kraju i podnoszenia stopy życiowej społeczeństwa jako całości. Odnoszę wrażenie, że roszczenia i niezadowolenie z obecnego stanu rzeczy mają jednak zasięg bardzo ograniczo-

ny i nie stanowią problemu politycznego; postęp reformy w ośrodkach miejskich mogą jednak zmienić tę sytuację. Zapewne kierownictwo polityczne zdaje sobie sprawę z tych niebezpieczeństw i dlatego zachowuje ostrożność w reformowaniu istniejącego przemysłu i miast.

Zastosowano także pewien bufor ideologiczny, łagodzący wstrząs. Powtarza się nieustannie, że Chiny nie odchodzą od socjalizmu, a jedynie przechodzą do wydajnego modelu "chińskiego". Zatem państwo nie wyrzeka się całkowicie swych funkcji opiekuńczych i dbałości o zaspokojenie wielorakich potrzeb obywateli, a jedynie zmienia metody działania. Stąd pojawiły się dyskusje o ideałach socjalizmu u klasyków marksizmu, o zasadach tego ustroju itp. Wydaje się jednak, że społeczeństwo odnosi się do tych rozważań dość obojętnie i mają one nader ograniczony krąg zainteresowanych uczestników. Wiąże się to z dość powszechną ucieczką od ideologii i kompromitacją społeczną działań na niej opartych. Owe dyskusje teoretyczne są jednak z pewnością interesujące i warte, by były uważnego śledzenia. Jedynym dotychczas modelem "socjalizmu marksistowskiego" był przecież model totalnego upaństwowienia całego życia społecznego; Chińczycy pokazują, że wcale tak być nie musi. Jest to tym bardziej interesujące, że nawet samorządowy z nazwy model jugosłowiański nie zapobiegł uformowaniu się Nowej Klasy analizowanej przez Džijasa, jaką model chiński zdaje się eliminować trwale.

Aby przedstawić tu obraz Chin nie wydał się nazbyt optymistyczny, trzeba dodać kilka uzupełniających uwag. Po pierwsze, przeprowadzanie reformy wciąż spotykają się ze znacznym oporem wewnątrz aparatu władzy, który je bojkotuje bądź hamuje i wypacza. Nawet wojskowi, którzy poprzednio poparli Deng Xiaopinga, teraz zajęli pozycje zachowawcze. Stąd proces reform jest powikłany, a same one wcale nie są konsekwentne i ich kontynuowanie wcale nie jest przesądzone. Po drugie, wiele z tego, co zostało powyżej opisane jest zaledwie tendencjami rozwojowymi, nie zaś dokonaniem. Stopień zaawansowania reform w różnych dziedzinach nie jest jednakowy i występują tu, najogólniej rzecz ujmując, dwa modele sytuacyjne: przemiany realne wyprzedzają znacznie oficjalne decyzje i koncepcje /jak chociażby w sprawie komun ludowych/, albo też słuszne koncepcje są wprawdzie ogłoszone i zaakceptowane, ale ich realizacja jest nader powolna /na przykład kształtowanie systemu prawnego/. Społeczeństwo chińskie dopiero wkroczyło na drogę demontażu systemu neostalinowskiego, wyzwala się z niewoli fałszywych dogmatów, złudnych utopii i biurokratycznych ograniczeń, ale wcale nie jest pewne, w jakim kierunku będą zmierzać dalsze przemiany. W historii "realnego socjalizmu" wiele razy słuszne zasady i deklaracje rozmiętały się zasadniczo z późniejszą praktyką. Po trzecie wreszcie, obok zmian pozytywnych występują w Chinach rozmaite zjawiska negatywne, jak na przykład korupcja i nadużycia gospodarcze, ogromny rozwój przestępczości, naiwne zafascynowanie młodzieży zachodnimi modelami i odrzucanie własnego dziedzictwa kulturalnego, obok tego pojawia się nacjonalizm itd. Przedstawienie tych zjawisk, jak też wypaczeń i zahamowań reform wymagałoby jednak odrębnego omówienia. Tu ograniczam się tylko do odnotowania kierunków zmian, które wydają się słuszne i zasadnicze.

Polskiego czytelnika interesuje z pewnością najbardziej kwestia, jak mogło dojść do takiego rozwoju wypadków. Jak każdy proces społeczny, rewolucja ekonomiczna ma wiele rozmaitych przyczyn i specyficznych uwarunkowań historycznych. Dwa czynniki wydają się jednak kluczowe. Pierwszym jest rewolucja kulturalna, a drugim specyficzna tradycja narodowa. Rewolucja kulturalna zburzyła poprzednio istniejący system biurokratycznego zarządzania; armia przejęła władzę, ale nie była w stanie ani chyba nawet nie chciała go odbudować. Ponadto zaś realizacja zasad komunistycznych w sprymitywizowanej i radykalnej wersji skompromitowała całkowicie te zasady, wyzoliła całe społeczeństwo z ideologicznej niewoli utopijnej ideologii i obaliła różne mity, przede wszystkim mit "nieomyślnej partii" i "nieomyślnych przywódców". Totalna państwowo-partyjna kontrola nad życiem społecznym i prywatnym stała się horro-

rem. W swojej warstwie krytycznej rewolucja kulturalna obaliła wiarę, że neostalinowski model rządów jest socjalizmem i otworzyła drogę do poszukiwań innego modelu. Wersja "społecznej kontroli i samorządności" lansowana przez Mao okazała się w praktyce systemem niespotykanego terroru i prześladowań. Obecna reforma idzie w zupełnie innym kierunku, określanym poprzednio jako "restauracja kapitalizmu", ale jest poniekąd kontynuacją poprzednich wysiłków, tak samo zakłada niezbędność zlikwidowania władzy biurokratycznego aparatu nad społeczeństwem i gospodarką. Zatem, choć brzmi to paradoksalnie, najbardziej przyczynili się do powodzenia obecnych reform inicjatorzy rewolucji kulturalnej i ich szalone działania. Oddać też trzeba sprawiedliwość chińskiemu społeczeństwu; rewolucja kulturalna była rewolucją antybiurokratyczną, uaktywniła szerokie masy, zainicjowała na przykład tworzenie wolnych związków zawodowych, związków studenckich, umożliwiła strajki itp. Wprawdzie później wszystkie niezależne organizacje zlikwidowano, strajki stłumiono i zwalczano rozmaite formy prywatnych i grupowych "gazetek" /ściennych albo nawet powielanych i drukowanych/, ale społeczeństwo nie dało się już ujarzmić. To prawda, że większość organizacji wtedy powstałych miała orientację demokratyczną, ale były też i inne. Ważne zaś nade wszystko było upowszechnienie się przekonania, że lud ma prawo podejmować własne działania polityczne, że może organizować się, krytykować i obalać biurokratów, wysuwać własne żądania polityczne i ekonomiczne. To zostało uznane przez władze i trudno się było z tego wycofać.

Nie mniej istotne są specyficzne tradycje. Z jednej strony są to tradycje pewnej nieufności do modeli zagranicznych, dążenie do ich ulepszenia albo odrzucania i stare pragnienia osiągnięcia szybko standardu równego albo nawet wyższego niż w krajach europejskich. Były one leitmotivem nowożytnej myśli politycznej wszystkich niemal orientacji. Sama KPCh wielokroć podejmowała próby idące w tym kierunku, jak właśnie Wielki Skok i rewolucja kulturalna. Z drugiej strony żywe były w Chinach tradycje anarchizmu /w latach dwudziestych najsilniejszego nurtu rewolucyjnego/, samorządności lokalnej i grupowej oraz prywatnej przedsiębiorczości. Nawet w najgorszym okresie rewolucji kulturalnej kwitła ona nielegalnie na terenach wiejskich. Chińskie zdolności do tworzenia przedsiębiorstw i rentownych interesów są znane w całym świecie. Sam widziałem Chińczyków, którzy kilka zaledwie lat temu przybyli do Europy z 5 dolarami w kieszeni, a dziś mają już własne dobrze prosperujące restauracje albo inne przedsiębiorstwa. Działalność gospodarza i zdobywanie pieniędzy było przez stulecia dla znacznych odłamów społeczeństwa stylem życia i jego filozofią, były uznawane za wartości naczelne i traktowane jako sztuka otoczona szacunkiem, uprawiana z mistrzostwem i analizowana teoretycznie. Stąd też samo otwarcie możliwości działania dać tam mogło tak natychmiastowe rezultaty. Inną chińską tradycją intelektualną jest swoisty pragmatyzm, wyrażony najdobitniej w głośnym powiedzeniu Deng Xiaopinga: nieważne, czy kot jest biały czy czarny, ważne żeby łykał myszy, co odnosiło się do ówczesnych dyskusji o kapitalistycznym i socjalistycznym modelu gospodarczym. Dogmatyzm i "orientacja ideologiczna" miały w Chinach od dwu tysięcy lat niktę wzięcie.

Już z powyższego skróconego opisu widać rozmaite paralele między sytuacją polską i chińską, choć oczywiście trudno mówić o prostych analogiach. Porównania te były zresztą dokonywane przez znających nasz kraj Chińczyków i sytuacja w Polsce budziła tam duże zainteresowanie. Pierwsze próby wydatnego rozwoju stosunków z Polską były podjęte przez Chiny jeszcze przed ogłoszeniem stanu wojennego i mogą być interpretowane jako wyraz życzliwego zainteresowania dla polskich reform posierpniowych, choć nie chcąc utrudniać naszej sytuacji międzynarodowej, nie nadawano im rozgłosu. Materiałnym tego wyrazem były bezprocentowe kredyty, jakie Polsce zaoferowano latem 1981 roku i dostawy mięsa, które dotarły w grudniu, w nowej już sytuacji, lecz były uzgodnione właśnie poprzednio².

Uważny czytelnik chińskich projektów reform i projektów reform dyskusowanych w Polsce tak w kręgach Solidarności jak i wewnątrz reformatorskiego nurtu PZPR dostrzeże bez trudu liczne paralele, dotyczące tak zasad jak i szczegółów. Jest to rezultatem podobnej sytuacji wyjściowej: konieczności reform zbliżonego systemu post-stalinowskiego o tych samych głównych niedostatkach. Z drugiej jednak strony można zakładać istnienie pewnych inspiracji i zapożyczeń. Ogromną ilość materiałów publikowanych w Polsce tłumaczono na chiński i były one studiowane w kręgach elity politycznej. Polskie analizy krytyczne mankamentów systemu centralnego planowania i systemu nakazowego były przez niektórych ekonomistów uważane za najbardziej dogłębne. Zainteresowanie budziły koncepcje tak zwanej "sieci", wypracowane przez przedstawicieli największych polskich zakładów przemysłowych, i wyraźne podobieństwa dostrzec można w programie reform przemysłu chińskiego. Jedynym właściwie elementem zasadniczo różniącym obie koncepcje jest nieporównanie mniejszy w Chinach nacisk na samorządność, ze względu na odgórne inicjowanie reform i odmienną sytuację polityczną.

Sytuacja w Polsce poniekąd nawet rzutowała na poczynania chińskie. Wśród elity politycznej w Chinach żywe były obawy, że narastające napięcia społeczne mogą doprowadzić do podobnej eksplozji gniewu społecznego i do pojawienia się tam rewolucyjnego ruchu zawodowego już w najbliższej przyszłości. Zakładano przy tym, iż chińska Solidarność może być znacznie mniej umiarkowana w żądaniach i że wypadki mogą przyjąć krwawy obrót. Być może obawy takie były celowo podsycane przez kręgi reformatorskie, by sparażać opór konserwatyistów. Faktem jest, iż mimo dość ubogiej i bardzo ostrożnie formułowanej informacji w prasie oficjalnej, wydarzenia w Polsce i ruch Solidarności były w Chinach szeroko znane /głównie dzięki rozgłoszom zachodnim/, także wśród tak zwanych prostych ludzi. Zakres tej popularnej wiedzy o Polsce jest zdumiewający, jeśli uwzględnić oddalenie, wzajemną izolację itp. I, co jest nawet jeszcze bardziej zdumiewające, polski ruch reform wzbudził duże i życzliwe zainteresowanie także na Tajwanie, wśród społeczeństwa żyjącego w całkiem innym systemie, tyle że również autorytarnym, gdzie Polska była naprawdę krajem bardzo mało znanym w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Zatem reperkusje polskiego ruchu reform w świecie chińskim mają wiele aspektów. Przykład Polski ukazał tam zupełnie nową drogę inicjowania reform w systemie rządów monopartyjnych.

Na zakończenie tych rozważań można sformułować dwie zasadnicze konkluzje.

1. Program reform realizowanych obecnie w Chinach ma znaczenie nie tylko lokalne, ale uogólnia on i realizuje liczne postulaty i koncepcje wypracowane przez ruchy reformatorskie w wielu krajach "realnego socjalizmu", inicjuje

2. Chiny zaoferowały wówczas Polsce dostawy mięsa wartości stu milionów dolarów, którego wartość miała być spłacona po dziesięciu latach według bieżących cen rynkowych. Dla Chin w ich ówczesnej dość trudnej sytuacji ekonomicznej było to duże poświęcenie, traktowano to jako materialne potwierdzenie dawnej chińskiej przyjaźni dla Polski. Żądaniem strony polskiej było zachowanie całej operacji mięsnej w najgłębszej tajemnicy, na co strona chińska przystała. Z dużo późniejszych informacji podanych przez *Politykę*, bez sprecyzowania czasu ani warunków kontraktu, zdaje się wynikać, że w nowych warunkach stanu wojennego Chiny zmniejszyły tę pomoc i ograniczyły kredyt. Dla prawdy historycznej należy dodać, że od wielu lat Chiny dążyły do rozwoju stosunków z Polską, co bynajmniej nie było wyłącznie elementem manipulacji w rozgrywce z ZSSR, a raczej było traktowane jako najłatwiejszy pierwszy krok do normalizacji stosunków z całym blokiem. Wszelkie wysiłki chińskie idące w tym kierunku były jednak zawzięcie odrzucane przez Moskwę, która narzuciła krajom sojusznicznym politykę zamrożenia wszelkich stosunków z Chinami. Dodać pragnę, że ów kredyt mięsny był rezultatem wysiłków prywatnych niewielkiej grupy osób, które zainicjowały i zdołały przeprowadzić całą sprawę przekonawszy do niej czynniki rządowe.

pojawienie się jego zupełnie nowej formy, która zdaje się zapewniać zdrowy rozwój gospodarczy i zaspokojenie różnorodnych potrzeb społecznych i politycznych.

2. Reformy chińskie idą znacznie dalej niż program przyjęty przez IX nadzwyczajny zjazd PZPR i są w istotnych punktach zbliżone z koncepcjami polskiej Solidarności oraz różnych grup radykalnych wewnątrz partii lub w kręgach zbliżonych do niej. Zatem głoszenie przez polską propagandę, że postulaty gruntownych reform miały u nas charakter antysocjalistyczny są bezpodstawne, jeśli bardzo zbliżony program realizować może wielka partia uznawana powszechnie, także przez PZPR, za komunistyczną.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

Krzysztof GAWLIKOWSKI, urodzony w 1940 roku, studiował w Warszawie i Pekinie, do grudnia 1981 kierował Pracownią Dziejów Azji i Afryki Północnej w Instytucie Historii PAN w Warszawie. Obecnie wykłada w Istituto Universitario Orientale w Neapolu, najstarszym centrum orientalistycznym Włoch, historię chińskiej myśli politycznej. Jest autorem dwu książek wydanych w Polsce: "Chiny wobec Europy; reformy wojskowe XIX wieku" /1979/ i "Nowa batalia o Konfucjusza" /1976/ o życiu politycznym w ChRL, a także redaktorem kilku tomów studiów wydanych w Polsce i na Zachodzie.

Kraj

KULTURA, marzec 1985

STEFAN DENFERT

NALEŻY WRESZCIE WYCIĄGNAĆ WNIOSKI

Polska listopada 1984 roku to Polska zabójstwa ks. Popiełuszki. Podano oficjalnie do wiadomości nazwiska i policyjne stopnie sprawców, odbył się bez przeszkód pogrzeb-manifestacja, trwa nieustająca pielgrzymka do grobu kapłana-męczennika; wszyscy wzywali do spokoju.

Na początek warto zacytować z podziemnego pisma *KOS* /nr 63 z 5 listopada/ opinię jednego z liczących się publicystów, Dawida Warszawskiego: "Mimo licznych apeli i ulotek, często niewiadomej proveniencji, wzywających do strajku - nawoływali /mowa o TKK - przyp. S.D./ do zachowania spokoju i nieulegania prowokacji. Postawa ta - postawa bierności - acz rozpaczliwie sprzeczna tak ze społecznymi oczekiwaniami jak i obowiązkami, jakie Związek dotychczas przyjmował - wydaje mi się jedynie słuszną. Zarazem jednak cena, jaką zapłacimy, będzie wysoka. Chodzi po pierwsze o cenę moralną - ks. Popiełuszko zginął za nas - a my pozostaliśmy bierni, zaprzeczając tym samym samej nazwie Związku. Wysoka będzie także cena polityczna: po raz pierwszy Solidarność zaczyna się upodabniać do swego obrazu lansowanego przez reżimową propagandę - obrazu bezsilnego reliktu przeszłości".

W innym miejscu Warszawski pisze: "Wydaje się rzeczą oczywistą, że Związek nie jest w chwili obecnej i przez jakiś czas jeszcze nie będzie ani organizacyjnie, ani merytorycznie przygotowany do aktywnego włączenia się do walk politycznych. Z przetrzebioną kadrą, zdezerorientowanym kierownictwem, pozbawiony przykonwyjącego programu taktycznego nie mógłby odegrać w nich samodzielnej roli".

Nie można odmówić autorowi trzeźwości sądu: to jest właśnie Polska listopada 1984 roku. Polska, w której wszyscy zgodnym chórem nawołują do spokoju.

A przecież jeśli komuniści, episkopat i podziemna oraz nadziemna Solidarność mówią dokładnie to samo, ktoś musi się mylić.

Biegają lata. Rządzący co dzień i co godzina realizują swój cel: panują. Realizują totalną władzę, przywileje, wyzyskują, kłamią, stosują terror, robią co chcą - i oczywiście spokój, bierność narzuceni są im niezbędnie także wtedy, kiedy wzywali do czegośkolwiek innego.

O istnieniu Kościoła - potężnej, niezwykłej w dziejach instytucji - decydują masy ludzi wierzących. Aby mógł skupić się na praktykach religijnych, ofiarować Bogu swe niedole i tylko w Jego ziemskiej, widomej jako Kościół, opiece szukać ocalenia - niezbędny jest spokój. Toteż Kościół mniej więcej od wiosny Ludów nigdy nie wzywał do czegokolwiek innego - i wzywać nie będzie bez względu na okoliczności.

W sferze polityki Kościół może być tylko siłą bierną. Może chronić w świątyniach niszczone tradycje /nie wszystkie/, zachować kulturę narodową /nie całą/ - zresztą mnóstwo o tym napisano. Wszystko to Kościół polski czyni, lepiej lub gorzej chroni glebę przed marszem pustyni.

O spokój apeluje też Związek, "nie przygotowany organizacyjnie ani merytorycznie, z przetrzebioną kadrami i zdezoriontowanym kierownictwem". Gwoli prawdy i NSZZ "S" nigdy do niczego innego nie wzywał. Ani KOR. Ani nawet KPN ze swoją rewolucją bez rewolucji.

Zadziwiająca sprawa: wszyscy chcą spokoju i ostrzegają przed wybuchem, żywiołem, rozlewem krwi, jakby wszystkie te trzy wiadome siły o skrajnie sprzecznych ideologiach i interesach znalazły się wobec czwartej, dla wszystkich groźnej. Ta czwarta siła rzeczywiście istnieje, a jest nią zwołna wzbierający bunt poddanych, który, jak dotychczas, najbardziej wyraźnie objawił się jako pierwsza w dziejach komunistycznego imperium i od razu 9,5-milionowa organizacja "S".

Nowa klasa panująca po raz pierwszy od przeszło 30 lat miała prawdziwego przeciwnika i rozpoczęła bezwzględna wojnę wewnętrzną, której kulminacją była noc z 12 na 13 grudnia. Kościół ze wzrastającą obawą śledził rozwój wypadków z nadzieją na to, że uda się niezależną organizację na stałe zainstalować w systemie totalnego panowania jednej klasy /czy warstwy, kogo raz i skompromitowana przez marksizm terminologia/ nad drugą - i w interesie tej drugiej oraz Kościoła poprzez nią wymuszać ustępstwa - topniała z miesiąca na miesiąc. Ale najistotniejsze było to, że samo kierownictwo "Solidarności" bało się własnej organizacji, hamowało, uspokajało, zawierało pozorne kompromisy, które były kolejnymi kapitulacjami, traciło czas, "samoograniczało rewolucję". Bało się. Czego?

Tego samego, co w listopadzie 1984 roku. Tego samego, czego pewno będzie się bało w listopadzie 1985 roku, i nie wiadomo ilu jeszcze.

Oto Wielki Strach wszystkich podbitych: rosyjska interwencja. To nie urojone: była już trzy razy - w Niemczech wschodnich 1953, na Węgrzech 1956 i w Czechosłowacji 1968. Wiadomo, że Imperium nie wypuści z rąk żadnego podbitego kraju, nie zdarzyło się to od siedmiu wieków.

Ciekawe, że interwencja czy inwazja zawsze kolarzyła się wszystkim, od szeregowego członka "Solidarności" do Komusji Krajowej i uczonych doradców, z Końcem Świata. Wjadą czołgi i noc czarna i mróz Sybiru. Wolno tak myśleć Kowalskim, nie wolno jej przywódcom.

Cena interwencji jest wysoka, coraz wyższa dla Związku Szczęśliwych Republik Rad, stąd przecież znaleziono o wiele doskonalsze rozwiązanie: użycie siły przez miejscową, skonsolidowaną klasę panującą; dopiero gdyby to zawiodło, nastąpiłaby bratnia pomoc. Udało się nad podziw i pewno zawsze będą od tego zacytować.

Okazało się, że trzeba się obawiać nie armii obcej, lecz własnej, trzymanej w korbach przez siłą liczebnie kasty oficerską i polityczną. Jest więc gorzej, niż przypuszczano - ale i inaczej. Widmo interwencji prawie zniknęło, jego miejsce zajęła policja i wojsko miejscowe.

Wiąże się to z zagadnieniem niemal pomijanym, a niezwykle ważnym. Oto solidarność nie jest naszą własnością, a nawet, gdy bliżej się przyjrzeć - ICH solidarność była bodaj silniejsza. Jakoś nikogo nie zastanawia, że bronili

się zawzięcie i nieustępliwie, i że uratowali prawie wszystko. Nie tylko wojsko i policję, programowo omijane z daleka przez "Solidarność". Nie udało się rozbić do końca nawet związków zawodowych, tej "struktury" /co za okropne słowo/, która, wydawało się, niknie w oczach jesienią 1980 roku. Został brązowy przyczołek, z którego wyruszyło potem kontrnatarcie, mówiąc językiem miłośników pokoju. Mimo różnych łamarców, utrzymali oba "stronnicwa", utrzymali nawet swoje pseudoharcerstwo, które - rozważywany żywe jeszcze tradycje - powinno rozlecieć się pierwsze; bunt był bardzo szeroki, ale płytki, nie naruszył konstrukcji systemu. Bodaj rok 1956 miał większe sukcesy, bo wtedy naprawdę rozpadła się organizacja młodzieżowa i naprawdę rozpadły się kółchozy.

Bójąc się niedźwiedzia nie doceniono własnego drapieżcy, zwartej, solidarnej klasy właścicieli kraju polskiego, którzy tylko w sferze nomenklatury niższych szczebli, zawsze chwiejnej, najmniej też uprzywilejowanej, ponieśli pewne straty; reszta trzymała się twardo, klucząc, oszukując i zwlekając, by doczekać zbrojnej pomocy. Mowa o dyrektorach, prezesach, kierownikach, urzędnikach itp., którzy, każdy u siebie, przetrwali bunt pomysłnie nader skutecznie blokując poczynania "Solidarności". O związku milicjantów lepiej nie mówić, w urzędach centralnych i aparacie partyjnym, w wojsku i policji bunt oglądano z okien.

W listopadzie 1984 roku powinno być dobrze wiadomo, że komuniści też się czegoś nauczyli. Tego mianowicie, że nigdy i nigdzie nie wolno dopuścić do powstania niezależnej organizacji, która, jakkolwiek by się określała i nazywała, i cokolwiek głośiła - musi przerodzić się w każdym podbitym kraju w bunt poddanych. Na szczęście dla nich Kościół wręcz nie może być taką organizacją - każdą jednak inną próbą natychmiast zajmie się policja.

Może zatem mniej przejmować się inwazją, a bardziej własnymi panami i paniami?

Rosjanie wkroczą tylko w jednym wypadku: gdy naprawdę znacznie się walić polski, autonomiczny ustrój sowiecki; gdy załamią się "struktury" aparatu partyjnego, armii, policji, administracji i kłamstwa. Twierdzę, że nie było żadnych poważnych oznak nawet groźby takiego załamania. Jedyne, co było bliskie katastrofy - to komunistyczne "związki zawodowe", element systemu sowieckiego drugorzędny i pomocniczy. Ale i on został jednak zachowany, choć w nędznym stanie, z którego do listopada 1984 roku nie może się podnieść. Niewielki sukces, od którego do inwazji jest tysiąc mil.

Bez porównania groźniejsze było żądanie wolnych wyborów, uderzające w podstawę totalnej władzy. Jednakże wolne wybory miały być osiągnięte drogą "nacisku"; w żaden sposób nie można się było dowiedzieć na czym ów "nacisk" miał polegać - zapewne na strajaku.

I tu dochodzimy do czegoś jeszcze dziwniejszego niż lęk przed inwazją /warto zaznaczyć, że Czesi i Węgrzy jednak inwazję przetrwali, ale to już inny temat/. Jest to głębokie przekonanie, że "nacisk społeczny" wymusi ustępstwa bez ofiar. Historia ludzkości jaskrawo temu zaprzecza, a już przymierzone do komunizmu przekonanie to wygląda humorystycznie. Kto i gdzie zyskał coś od nich inaczej niż siłą? Czy polscy ugodowcy cokolwiek zyskali od carskiej Rosji przez 150 lat? Czy w społeczeństwie coraz ostrzej podzielonym na panów i poddanych może być inny pokój społeczny niż pokorna zgoda tych drugich na wyzysk, przemoc, kłamstwo i poniżenie? Wystarczy przejrzeć niezwykle obfita twórczość prawną, którą kamaryla Jaruzelskiego uraczyła byłych zbuntowanych, by nie mieć złudzeń: do czasu toleruje się różne niegroźne zachowania, trzymane w korbach przez Kościół i zawsze z nim związane: krzyże kwietne, pieśni itp. Ale niech no tylko spróbują rzeczystemu "nacisku"! Wtedy, w majestacie nowych "praw", wkroczy terror.

Chlubimy się tym, że nie było ofiar. Świat to chwiliwa, wrócimy na chwilę do tego fenomenu. Modny stał się Gandhi, ponieważ ludzie, którzy nic o nim

nie wiedzą i myślą Anglię z Rosją sowiecką, sądzą, iż cofną się on przed ryzykiem ofiar i kołowrotkiem wyrzucił srogich kolonizatorów. M. Poleski proponuje /na końcu rozsądnego tekstu/ następujący "nacisk": oto w śróde wszyscy przyjdziemy do pracy z zielonymi wstążeczkami. Nie ma na to przepisu, nie będzie ofiar. Ten dorosły zapewne człowiek udaje, że nie wie, iż warunkiem przyjscia "wszystkich" jest istnienie organizacji na miarę "Solidarności". A żeby taka powstała - no to już bez ofiar się nie obejdzie na pewno. Bez niej przyjdzie co pięćdziesiąty, ubol go zapisze i w ten sposób "nacisk" naciśnie naciskającego.

Oto do czego prowadzi szlachetna ambicja, by nikt nie ucierpiał /tu wypada zacytować listę komitetu helsińskiego: 40 trupów, nie licząc ostatniego, szokującego zabójstwa/. Prowadzi to do tego, że uniemożliwia jakiegokolwiek działanie. Nawet za zieloną wstążeczkę można by zresztą dostać pałą i oto cała rozmowa. Rozmyślnie nie piszę, że z zielonymi wstążeczkami i świecami w oknach /to był pierwszy pomysł z tej serii *pure nonsensu*/ komunizm polski, nie mówiąc o imperialnym, będzie kwitnął tysiąc lat. Rzeczywistość jest brutalna: bez ryzyka ofiar nie ma walki politycznej. Kto go nie umie lub nie chce podejmować - niczego nie osiągnie.

Dla tych, którzy czytają jedno, a chcą rozumieć drugie oświadczam, że nie namawiam do ataku ławą na KC, lecz piszę o czymś, co jest jedną z przyczyn klinczu listopada 1984: o lęku podejmowania ryzyka, które jest obowiązkiem każdego przywódców, każdego oporu przeciwko każdej tyranii. Jasne?

Są jeszcze inne upiory, które powodują, że rozbita i zepchnięta pod ziemię "Solidarność" wzywa do tego, by ją wpełchnąć jeszcze głębiej.

Niepokoje w Polsce mogą mianowicie wywołać wojnę, nuklearną rzecz jasna. Dawano to nawet w 1981 roku do zrozumienia, strasząc "napięciem" itp. Przydałoby się trochę skromności. Poprzednia wojna nie wybuchła o Gdańsk, choć to piękne miasto, lecz dlatego, że hitlerowska Rzesza chciała zagarnąć co najmniejszą Europę i jeszcze oczyścić ją z gorszych gatunków ludzi. Obecnie supermocarstwo sowieckie zagraża cywilizacji całego świata i - jeśli odważy się na atak - to właśnie będzie przyczyną wojny, nawet gdyby w kraju polskim panowała absolutna zapaść, niczym w mordobijskim powiecie.

Przeciwnie zaś, dopóki ten kraj, dość duży jednak, będzie niespokojny - trudniej będzie wyprawić się w kierunku Paryża.

Nie o Paryż jednak powinno nam chodzić, a o Warszawę. Tu zaś rzecz jest rozpaczliwie prosta: im Rosja sowiecka silniejsza, tym niepodległość i wyzwolenie od komunizmu dalsze. A komu pomaga spokój? Rosji pomaga i właśnie dlatego, kiedy Bujak i Wałęsa mówią to samo co Jaruzelski, to coś nie jest w porządku.

Ulubionym straszakiem każdej kamaryli komunistycznej jest też straszak niemiecki. Niech tylko ustanie najjaśniejsza gwarancja nowych carów - momentalnie Niemcy odbiorą Ziemię Zachodnią, a może zechcą granicy z 1913 roku, a jeszcze lepiej z 1795. Tow. Wojna /*nomen omen*/ zadziwił nawet wizją rozbioru /nie sprecyzował kto co dostanie/.

Zapewne zmianę granic w obrębie imperium można sobie wyobrazić, choć dotąd nie było takiego wypadku; na przykład nasze Ziemię Zachodnią przyłączyć do Niemiec wschodnich. Są to kawiarniane spekulacje, bo jedno jest pewne: byłby to wstrząs, przesiedlenia itd. Imperium lubi martwość, zapaść, letarg, święty spokój właśnie.

Planując jakiegokolwiek akt czynnego oporu w Warszawie, martwić się wojną lub agresją podbitego i częściowo uciemięzonego jak my narodu, toż to szukanie usprawiedliwienia, by nic nie robić.

"Solidarność" rozpałała opór na wiele lat, odrabiając w 16 miesięcy 30 lat indoktrynacji. W listopadzie 1984 roku czynny opór zamiera z wyjątkiem prasy

i wydawnictw, co ma kapitalne znaczenie dla oporu biernego. Ten ma rozmiary niebawem, prawie zniknęta obojętna masa poddanych, podstawa spokoju - n e j eksploatacji. Sprzeciwiają się już nieliczni, ale nie pomoże i nie poprze też prawie nikt. Lokalni aktywiści i dolne warstwy nomenklatury przypominają ludzi miotających się w kopym śniegu.

Kamaryla, zwycięska i zastrużona odkrywczyni nowej, nader oszczędnej i wydajnej metody interwencji wewnętrznej własnymi siłami, politycznie panuje nad sytuacją. Ale społecznie potrzebuje dziesiątków lat, by dojść do tego marazmu poddanych, jaki panował za rządów jej śp. patrona - Gomułki.

Dziesiątki lat spokoju w polskim kraju? W listopadzie 1984 wydaje się to niemożliwe.

A jednak jest możliwe, jeśli nie wyrośnie /skąd? oczywiście z "Solidarności"/ pokolenie przywódców, które przestanie się obawiać inwazji, interwencji, koniecznych - niestety - ofiar /tu rozwagi można się rzeczywiście uczuć od Mahatmy/, wojny nuklearnej, rozbioru, pałek, pewnej i natychmiastowej akcji ZOMO i Bóg wie czego jeszcze. "Solidarność" nie była organizacją walki - i zdaje się być nie mogła, bo historia uczy, że opór i bunt nie zaczynają się od perswazji, adresów, postulatów i suplikacji szanujących despotyzm. "Solidarność" jako jednolita organizacja powoli zamiera - gorzka to prawda tego listopada. Ale z grup i grupki, z efemeryd partii, z piśmiek, pism i poważnych wydawnictw coś się powinno wyłonić.

Albo nic. Trudno przypuścić, żeby ruch wydawniczy o takich rozmiarach mógł być tolerowany wiele lat bez podjęcia próby zniszczenia. Wtedy wybije godzina prawdy, oby taka, że część jednak ocala. Bo jeśli nie - to przerwa może być długa, a spokój nastać z czasem zupełny.

Niemniej kamaryla panuje. Ma kłopoty, ale jej totalnej władzy nic nie zagraża. W końcu i tak nigdy o żadnej większości komunistów nawet myśleć nie mogli, większość zresztą z politycznego punktu widzenia nie jest im w ogóle potrzebna. Jeśli wśród 5% panujących nad resztą jest prawdziwy, wojskowo-komunistyczny porządek /a jest/, to pozostali mogą sobie śpiewać "Boże coś Polskę", zostawiając im ten wentyl. Toteż główną troską tak zwanej ekipy nie jest walka polityczna ani znane kłopoty z odtworzeniem sprawności maszyny łgarstwa lub stawiającymi opór grupami inteligencji twórczej i naukowej. Główną troską jest, jak zawsze i wszędzie w imperium, gospodarka.

Tu nareszcie można być rzeczywiście spokojnym. Gospodarka komunistyczna jest wynalazkiem tak genialnym i niebawem nowym, że o naprawie mowy nie ma. Może zgrzytać, zapadać się w piach, trzeszczeć i plując krwią posuwać się, a raczej czołgać za normalnymi gospodarkami świata, ale żeby wstała i ruszyła za nimi, absolutnie niezbędna jest likwidacja komunizmu, a to jest problem XXI wieku, a nie listopada 1984.

Jaruzelski i jego towarzysze-ekonomiści mieli nadzieję, zdaje się, że jeśli zastosują metody wojskowe, to nareszcie będzie przynajmniej porządek, będzie wiadomo z ilu schodów się spadło, co umożliwi powolne, ale w armijnym oryntyku wtańczenie z powrotem.

Taka sama chimera, jak wszystkie poprzednie od 1917 roku. Totalne wywłaszczenie i jego katastroficzny skutek, oderwanie produkcji od potrzeb, co się nigdy dotąd nie zdarzyło, postawiły materialną działalność człowieka w imperium na głowie i w tej pozycji wyrabia on nawet czołgi i rakiety, z pewnością gorsze, droższe i w mniejszej ilości, niżby mógł, a przeciw przemyśle zbrojeniowemu rajską wyspą normalności /bo produkuje, on jeden, na rzeczywiste potrzeby armii/ w tym szpitalu obłąkanych, jakim jest planowa gospodarka cywilna.

Toteż, szczęśliwej drogi reformo! Urodzi się z niej jedynie liczne potomstwo kolejnych podwyżek cen równie dowolnych, jak wszystko w tej fantastyce. Naśladowanie Węgrów może doprowadzić do pewnej poprawy, ale jest to radość,

że podczas gdy Nicolae wpadł już w malignę, Wojciechowi spadło o dwie kreski; a Janos to ma tylko 39,5. Ale wszyscy gorączkują i nigdy nie wyzdrowieją, bo na raka komunizmu po prostu nie ma innego lekarstwa niż skalpel.

A jednak czekanie na to, że przewlekły kryzys i pauperyzacja doprowadzą do wybuchu, to czekanie na Godota. To że podwyżki cen były zapalnikiem w roku 1970 i 1976 nie znaczy, że były główną przyczyną. Gdyby poziom życia decydował o procesach społecznych - to w Związku Szczęśliwych Republik Rad byłaby od 60 lat nieustająca krwawa łaźnia. Tymczasem tam właśnie panuje *paax sovietica*, a na bogatym Zachodzie ciągle strajki i niepokoje.

Mechanika wybuchu społecznego jest dość tajemnicza i na pewno złożona. Obok utajonego, powszechnego i wszechobejmującego niezadowolenia przechodzącego w nienawiść do aktualnego stanu rzeczy, którego to niezadowolenia postępującą nędzą jest zasadniczym składnikiem, ale nie jedynym /niechęć do narzuconej doktryny, przekonanie o amoralności panujących etc./, trzeba też chyba raz przyznać rację tow. Leninowi, tym bardziej, że nie on to wymyślił. Oto konieczna jest także jakaś zorganizowana siła, aby tę olbrzymią, ale bierną i nieświadomą swych pragnień masę poruszyć.

"Solidarność" była pierwszą taką siłą w historii komunizmu - i jeśli nawet jeszcze tysiąc razy napiszę o błędach i o tym, że się przeżyła - to przecież dramat będzie zawsze miał wymiar szekspirowski.

W listopadzie 1984 roku ta siła zamiera, jej przywództwo żąda dialogu licząc na to, że stan gospodarki zmusi do niego komunistyczny rząd; aby umożliwić ten dialog wzywa do spokoju, bo oprócz wszystkich lęków odznacza się też cechą właściwą dla pierwszych sprzeciwów: o wiele bardziej zajmuje się aktualnym humorem tyranów niż własnym. Przecież rozumiemy, u diabła, przecież to w ich interesie!

Tymczasem dialogu, proszę państwa, nigdy z nikim w Imperium nie było. Bywały tylko taktyczne, oszukańcze rozmowy, chwilowe ustępstwa, szalbiersze manewry, przewlekanie dopóki nie naddbiegnie właściwy czstówek i nie strzeli w tył głowy zachwalcowi, który ośmielił się dyskutować. Po śmierci fundatora imperium obyczaje złagodniały: funkcjonariusz zjawia się z kajdankami. Ostatnie takie rozmowy odbywały się całe 16 miesięcy w kraju polskim. Urban twierdzi, że następnych nie będzie.

I dotrzyma, niestety, słowa, bo doprawdy po co rozmawiać, skoro przeciwnicy, nie dość że pokonani, to jeszcze używają do tego argumentu tego samego, co władcy? "Solidarność" nie jest już tą poruszającą siłą. Przykre, jak przeważnie prawda.

Mleko zostało rozlane - w listopadzie 1984 czynny opór, przedłużenie buntu lat 1980-1981, powoli wygasa pod zgodną presją ciemniźcyieli, pasterzy dusz i tych, co powinni prowadzić. Trudno mieć pretensję do pierwszych, że robią to, co dla nich korzystne. Do drugich, że działają we właściwy sobie sposób, ocalaając za to wiele. Trudno nie mieć pretensji do ostatnich. Niech by chociaż nie mówili nic, niech by pozwolili, by powszechny sprzeciw, który wyraża głośno podziemna prasa i emigracja - krzept i trwał do momentu, gdy będą warunki do następnego buntu. Niechże go nie tłumią, przecież nie po to zostali wybrani! Niechże próbują kierować tym, co jeszcze jest, a jeśli są bezsilni - niech powiedzą: jesteśmy bezsilni, możemy tylko drukować - na razie. Niech się nie boją, że tracą wtedy poparcie. Niech nie przewidują, co radośnie ogłosi Urban - nie warto.

Sądzę, że gdyby jednak przestali myśleć o rosyjskiej inwazji, próbowali wywołać wojnę światową, powiedzieli ludziom, że może i zginać ktoś będzie musiał - to wtedy właśnie wyszkolony morderca zawałałby się, to wtedy, być może, nastąpiłby oszukańczy dialog, który jest zawsze świadectwem osłabienia panowania totalnego - i wtedy ci zapędzeni w kolejkę, żywieni w kartki, oczekujący pokornie 15 lat na własny kąt, wiecznie reorganizowani, bezbronni

wobec byle chama w mundurze i za biurkiem, szczęśliwi z nabycia rolki papieru toaletowego lub spartolonego łacha ludzie listopada 1984 roku - znów by zaczęli podnosić głowy i odzyskali zdolność do walki o swoje niezbywalne ludzkie prawa.

Stefan DENFERT

KULTURA, grudzień 1985

CZESŁAW BIELECKI

CZESŁAW BIELECKI SKARŻY GEN. KISZCZAKA

Czesław Bielecki s. Franciszka
Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów
ul. Rakowiecka 37
02-521 Warszawa

Warszawa, 7 VIII 1985.

Prokuratura Rejonowa
Dzielnicy Warszawa-Śródmieście
Pl. Dąbrowskiego

D O N I E S I E N I E

o czynie przestępczym popełnionym przez ob. Czesława Kiszczaka

W dn. 10 maja br. w czasie obrad Sejmu ob. Czesław Kiszczak pomówił mnie o to, że:

- jestem "wieloletnim agentem ośrodków dywersji politycznej";
- "miałem /.../ z polecenia CIA objąć /.../ kierownictwo paryskiej *Kultury*";
- uprawiałem "wrogą działalność, realizowaną na zlecenie mocodawców zachodnich".

O S K A R Ż E N I E

Wypowiedziane przez ob. Czesława Kiszczaka słowa są oszczerstwem, mającym na celu poniżenie mnie w opinii publicznej, co jest przestępstwem z art. 178 § 1 kk. Wnoszę prywatne oskarżenie do Prokuratury Rejonowej Dzielnicy Warszawa-Śródmieście z wnioskiem o rozpoczęcie w tej sprawie postępowania karnego. Oskarżony Kiszczak nie miał i nie ma żadnych dowodów na prawdziwość powyższych twierdzeń, a co więcej, nie ulegało dla niego wątpliwości, że są one pozbawione podstaw. Oto uzasadnienie.

Ob. Kiszczak wiedział, że jest prowadzone przeciwko mnie śledztwo z udziałem funkcjonariuszy podległego mu resortu i wiedział, że przedstawione mi przez prokuraturę zarzuty nie sugerują nawet takiego obrazu mojej osoby, jaki publicznie nakreślił. Jestem bowiem podejrzany o to, że "po 14.XII.1981 wszedłem w porozumienie z osobami działającymi na rzecz obcej organizacji celem działania na szkodę interesów politycznych PRL" /art. 132-*kk*, do 5 lat pozbawienia wolności/, że "założyłem i kierowałem związkiem, którego istnienie i ustrój miały pozostać tajemnicą wobec organów państwowych" /art. 278 § 2 *kk*, do 5 lat/ oraz że "w celu użycia za autentyczne przerobiłem dwa dowody osobi-

ste" /art. 265 § 1 kk, do 3 lat/. Zgodnie z przyjętą u nas wykładnią prawa "związkiem" z art. 278 jest każda struktura "Solidarności", a "obcą organizacją" z art. 132 - każda jej zagraniczna agenda, współpracownik lub instytucja popierająca "Solidarność", choćby składała się z samych Polaków i miała kontrolowane przez prawo źródła finansowania i status, wykluczające jakąkolwiek agenturalność. Wykładnię tę potwierdza fakt, iż już w liście gończym zarzucał mi wejście w porozumienie z Jerzym Giedroyciem z *Kultury* i współpracownikiem wydawnictwa CDN w Londynie Alexandrem Buttlerem. Nawet uwzględnwszy rościąliwość nowo-mowy, w której ob. Kiszczak formułuje swoje myśli, nie da się z przedstawionych wyżej zarzutów wykroić tych kalumni, jakie na mnie rzucił.

Nie wchodzi więc w grę wyłączenie przestępstwa ob. Kiszczaka spod odpowiedzialności karnej na podstawie zastrzeżeń zawartych w artykule 179 kk: gdy zarzut uczyniony publicznie jest prawdziwy /§2 ustęp 1/ lub gdy sprawca działa w przeświadczeniu opartym na uzasadnionych podstawach, że zarzut jest prawdziwy /§2 ustęp 2/. Można też wykluczyć sytuację, w której ob. Kiszczak działał w przekonaniu, że broni społecznie uzasadnionego interesu, co także zastrzega art. 179 § 2. Trudno bowiem przyjąć, że minister odpowiedzialny za Służbę Bezpieczeństwa nie wie, jak na stalinowskiej szpiegomanii i węszeniu za "wrogami ludu" wyszło i społeczeństwo /proces "szesnastu", tysiące ofiar fingowanych procesów przeciw akowcom, aresztowanie prymasa Wyszyńskiego, że wspomnę tylko o najbardziej znanych sprawach/, i sama władza: Spychalski i Gomułka pochowani zostali w końcu w Alei Zastużonych, a nie w Alei Agentów.

Trzy pomówienia wymienione w moim doniesieniu rysują obraz agenta Czesława Bieleckiego vel Macieja Poleskiego, który wykonuje polecenia lub zlecenia a to mocodawców zachodnich, a to CIA, a to ośrodków dywersji politycznej. Teza o agenturalnym charakterze przeciwnika wewnętrznego, którą ob. Kiszczak przedstawił w swoim sejmowym *exposé*, świadczy, że czyn przestępczy na moją szkodę popełnił świadomie i z premedytacją. Jak wiemy, nawet w najlepiej zaplanowanym przestępstwie sprawca popełnia jednak jakiś błąd, uniemożliwiający potem dowolność interpretacji czynu. Błędem ob. Kiszczaka było użycie słów: "agent", "polecenie", "zlecenie".

W odróżnieniu od oszczercy jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że moje sprawy wewnętrzne nie są tak rozległe, bym mógł coś przeoczyć /jak na przykład dwukrotnie zamach na ks. Popiełuszkę lub skrytobójstwo Piotra Bartoszcze/, a już tym bardziej ten istotny moment, gdy ktoś werbuje mnie jako agenta lub gdy CIA daje mi polecenie. Nawet w powszechnej korupcji aparatu władzy lat 70-tych nie przeoczyłem na przykład tego, że zabrakło bruku do budowy pomnika - kwatery zgrupowania AK "Żywiciel" na Cmentarzu Wojskowym, którą wraz z Zofią Milewicz projektowałem; co więcej, odnalazłem ten kamień na ogrodzeniach oraz cokołach domów jednorodzinnych generalicji na Nowym Mieście i nie wystąpiłem do polecenia inwestora - ZBWiD-u, by zmienić z tego powodu projekt. Na moje żądanie musiano dostarczyć brakujący materiał, gdyż nie zgodziłem się na okaleczenie pomnika, który nie jest żyjących kombatanów ani moim pomnikiem, lecz tych, co polegli, żeby Polska była wolna i sprawiedliwa.

W odróżnieniu od ob. Kiszczaka, co powtórnie podkreślam, jestem człowiekiem wolnego zawodu i znajduję się w tej luksusowej sytuacji, że nikt nie wydaje mi poleceń z wyjątkiem strażnika więziennego w areszcie i kochanej kobiety na wolności. To, co robiłem - robiłem z własnej woli, a jedyny przymus, który mnie obowiązywał we współpracy z ludźmi, to mój własny przymus moralny oraz - jak w podanym przykładzie - dyscyplina twórcza niezbędna w architekturze podobnie jak w publicystyce. Brak dowodów na prawdziwość zarzutów ob. Kiszczaka jest prostą konsekwencją takiej postawy.

W przedmiocie przestępstwa objętego moim oskarżeniem można zatem wykluczyć wyjście pośrednie między odpowiedzialnością karną a wyłączeniem z niej zgodnie z zasadą: *non datur tertium sive medium inter duo contradictoria*. Jeśli bowiem z zasady tej wynika, że przeciętny obywatel jest w stanie postępować tylko

zgodnie z prawem albo wbrew prawu, tym bardziej obowiązuje ona szefa Komitetu Rady Ministrów do Spraw Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej.

W tym miejscu kończy się prawny aspekt sprawy, a zaczyna polityczny. Oskarżenie moje uzasadniam znaczną, jeśli nie - wysoką, szkodliwością społeczną czynu wynikłą ze stanowiska, z którego ob. Kiszczak wygłasza oszczerstwa w charakterze wyroków podanych do publicznej wiadomości, jakby śledztwo prowadzone przez urząd prokuratorski i niezawisły sąd były tylko instrumentacją decyzji politycznych. Szkodliwość omawianego tu czynu wielokrotnie przekracza deprawację wywołaną domową produkcją alkoholu, sprzedażą książek spod lady czy odstępstwami po wyższej cenie świeżo nabytego kompletu mebli /za to ostatnie przestępstwo na mocy rewizji nadzwyczajnej Ministra Sprawiedliwości pewien szeregowy obywatel ma właśnie odsiedzieć roczny wyrok, który sąd wymierzył w zawieszeniu/. Presja polityczna na sądownictwo w ciągu 41 lat PRL okazała się istną plagą. Choć oskarżyciel publiczny w mojej i w innych sprawie, ptk Czesław Zbroja, zdaje się być odległy od tradycji ptk. Zarako-Zarakowskiego i choć rzecznik rządu Jerzy Urban nie czuje się zapewne bezpośrednim spadkobiercą tradycji Wandy Odolskiej, sejmowe *exposee* ob. Kiszczaka operuje pojęciami i słownictwem z epoki stalinowskiej. A jak wiemy z dziejów totalitaryzmu, i w nim na początku było słowo.

Gdy w śledztwie grozono mi karą śmierci, traktowałem to jako rutynową presję SB; w słowach ob. Kiszczaka dostrzegam jednak pewne niebezpieczne *continuum*. Wszak Zdzisława Najdera skazano na najwyższy wymiar kary dlatego, że sędziowie ulegli politycznej nagonce; czuli się przy tym bezkarni, gdyż "wieszali" tylko intencjonalnie, mogli powiedzieć, że nie mają krwi na rękach, bo gdyby skazany pojawił się w Polsce, musiano by powtórnie przeprowadzić postępowanie karne. A jednak zapadł wyrok, który hańbi nasze sądownictwo i niezależna opinia publiczna w kraju i za granicą jednoznacznie dała temu wyraz. Jako dowód, że Najder był szpiegiem CIA pokazano społeczeństwu w TV jego biurko ze skrytką w podwójnej ścianie. W kraju, gdzie jest partyjno-administracyjna dwuwładza, gdzie w gospodarce i kulturze zawsze było podwójne życie, gdzie podziął my - oni jest wszechobecny, dowodem zbrodni stanu jest zrobienie podwójnych ścian! Patrzac chłodno, ludzie władzy rzadko śledzą sami siebie, więc nie używają biurka z podwójnymi ściankami, ale rekompensują to sobie podwójną moralnością a w ekstremach - konspiracją w konspiracji.

Nie wiem, czy dojdzie w tej sprawie do rozprawy i czy dane mi będzie w niej uczestniczyć, ale już teraz wyrażam życzenie na podstawie art. 160 kk, by wyrok sądu w sprawie ob. Kiszczaka podany był do publicznej wiadomości. Wagę problemu określa fakt, że choć po obu stronach biegnącej przez społeczeństwo linii podziata zmieniają się ludzie, nie zmieniają się słowa, których używa władza, słowa przestępcze i bezkarne.

Czyn ob. Kiszczaka nie został dokonany w społecznej próżni. Od niemal 10 lat działa w kraju demokratyczna opozycja, choć nie uznana *de iure* - uznana *de facto*, a od zakończenia drugiej wojny światowej działa na Zachodzie niepodległościowe wychodźstwo polskie, które ją wspomaga. Takie są realia, że użyję ulubionego powiedzenia funkcjonariuszy MSW. Dzięki wysiłkom władz PRL nasza emigracja wojenna i powojenna osiągnęła już potencjał intelektualny oraz organizacyjny tej Wielkiej Emigracji, o której ob. Kiszczak i ja uczyliśmy się w szkole.

Gdyby nie określenie "na zlecenie", skłonny byłbym przyjąć drugą część wyrażenia "mocodawców zachodnich" za wysiłek semantyczny oskarżonego. Gombrowicz, Miłosz, Giedroyc, Mieroszewski, Stempowski dali i dają krajowi moc, która, jak w czasach Mickiewicza, Chopina, Czartoryskiego, Krasińskiego, Słowackiego, Norwida okazuje się silniejsza niż zakusy mocodawców wschodnich i zachowujemy pełnię narodowej tożsamości. Ale nie o nowe znaczenia słów chodziło oszczercy, lecz o płaćną agenturę - psychologiczny, socjologiczny i polityczny absurd: ruch "Solidarności" jest po 5 latach bardziej zakorzeniony w społec-

czeństwie niż udało się to władzy po 41 latach sowietyzacji. Narodziny tego absurdu są wytłumaczalne tylko w warstwie psychiatrycznej jako typowa projekcja polskiego komunisty, który wie, że jego ruch nigdy nie był autentycznie narodowy, i broniąc się przed obsesją przenosi tę wadę na swoich przeciwników politycznych. Oszczyrstwa kierowane w stronę "Solidarności" są stare jak problem Wielkiej Emigracji. Działacze niepodległościowi byli i są oskarżani po to, aby lepiej, pewniej czuli się renegaci. W tę skomplikowaną sytuację lepszy wgląd mają publikowane u nas oficjalnie "Raporty szpiega" - polskiego agenta Ochrony, Potockiego, niż raporty agentów ob. Kiszczaka o mnie.

Wnosząc moje oskarżenie sądzę, że mam prawo żądać satysfakcji moralnej - podkreślam to, bo kodeks przewiduje karę do 2 lat pozbawienia wolności, ograniczenia wolności albo grzywny - za czyn, którym nieanonimowy przedstawiciel władzy wyodrębnił mnie spośród bezimiennych, uczciwych obywateli nadal wiernym ideom "Solidarności".

W roku 1980 ta sama Prokuratura Rejonowa Dzielnicy Warszawa-Śródmieście zaniechała śledztwa w sprawie nie mniej oczywistej - przeciw funkcjonariuszowi SB, który w moim własnym mieszkaniu kazał mi się w celu przeszukania rozebrać do pasa, a następnie bił mnie pałką, korzystając z pomocy dwóch mundurowych milicjantów. Tyle że wówczas dowodami przestępstwa była obdukcja lekarska, świadkami - żona i 5-letni syn, a teraz dowody przestępstwa rozsiane były licznie w oficjalnej prasie i świadkami zostali postowie sejmowe. Dziś z kolei nie wiem, czy moje doniesienie o czynie przestępczym i oskarżenie w ogóle dotrze, choć jest pismem urzędowym, do Prokuratury Rejonowej. Jeśli tak się jednak stanie, nie moi lub obcy agenci to spowodują, a właśnie anonimowy, uczciwy obywatel. Jeden z tych, którzy słowo prawdy podają dalej niż sięga *Trybuna Ludu*, gdzie przeczytałem oszczerstwo ob. Kiszczaka, i dalej niż jego policja myśli.

Czesław BIELECKI

Sąsiedzi

KULTURA, kwiecień 1985

ADAM KRUCZEK

W SOWIECKIEJ PRASIE

Jedenastego marca o drugiej po południu TASS zawiadomił świat, że poprzedniego dnia zmarł Konstanty Czernienko. Tę smutną nowinę ukrywano przed narodem sowieckim stosunkowo krótko. Komunikat TASS-a kończył się, jak zawsze, wzruszająco i ufnie: "Konstanty Czernienko, wybitny przywódca partii komunistycznej, nieugięty bojownik o pokój i ideały komunizmu, na zawsze pozostanie w sercach narodu sowieckiego i całej postępowej ludzkości".

Cztery godziny po wiadomości o śmierci generalnego sekretarza narodowi sowieckiemu zakomunikowano, że został wybrany następca. Jeśli zważyć, że wybór Biura Politycznego musiało zatwierdzić KC, czyli około 500 osób, z których niektóre mieszkają bardzo daleko od Moskwy, tempo jest oszałamiające. Być może powtórzono "operację Chruszczowa", który w 1957 roku zwiózł do Moskwy samolotami wojskowymi członków KC, aby plenum zmieniło skierowaną przeciwko niemu uchwałę Biura Politycznego. Być może wszyscy zjechali się już wcześniej, jakby faktyczna śmierć Czernienki nastąpiła na długo przed jej ogłoszeniem /takie przynajmniej wrażenie mieli ludzie oglądający go na ekranach telewizyjnych 28 lutego, po dwumiesięcznej nieobecności/.

W doskonałej powieści "Wszystko płynie" Wasilij Grossman świetnie opisuje rolę planowania w ZSSR: zaplanowane są kolejne "oburzenia", "swobodne dyskusje", powszechna miłość do wodza itd. Aż nagle 5 marca 1953 umiera Stalin: "Ta śmierć wdarła się w gigantyczny system zmechanizowanego entuzjazmu oraz zadekretowanych przez *rajkomy* wybuchów gniewu i miłości ludu. Śmierci Stalina nie było w planie, kierownictwo nie wydało w tej sprawie żadnej dyrektywy. Stalin umarł bez osobistej decyzji towarzysza Stalina. Ta samowola śmierci była jak dynamit, godziła w podstawy państwa".

Trzydzieści trzy lata i pięć dni później znowu umarł generalny sekretarz. Przez te lata ustrój sowiecki zdołał poskromić "samowolę śmierci" i włączyć ją do systemu planowania.

Śmierć Czernienki nie tylko nie zaskoczyła ludzi sowieckich, ale została przyjęta z ulgą. Od dziesięciu lat na czele partii stoją chorzy generalni sekretarze. Od 1982 roku już trzeciego kładą do grobu. Trzeciej śmierci towarzy-

szyły pewne zmiany w rytuale, które być może były osobistym wkładem nowego generalnego sekretarza. Po raz pierwszy gazety z wiadomością o śmierci niezapomnianego wodza ukazały się bez czarnej żałobnej obwódki i bez fotografii nieboszczyka na pierwszej stronie. Tekst orzeczenia lekarskiego jest niejasny. Zachodni specjaliści byli przekonani, że Czernienko cierpiął na niewinną rodzimą płuc. Lekarze sowieccy wykryli u niego dodatkowo marskość wątroby. Z encyklopedii sowieckiej dowiedziałem się, że "przyczyną marskości wątroby są: alkoholizm, syfilis, malaria, pewne trucizny itp."

Ujawnienie słabości zmarłego nie było konieczne. Chyba, że chciano mu pośmiertnie zyskać popularność. Zważywszy, że według ostatnich oficjalnych danych Związek Sowiecki liczy sobie około 40 milionów alkoholików, Czernienko był autentycznym przedstawicielem swego narodu.

Błyskawicznie wybrany następca Czernienki - Michaił Siergiejewicz Gorbaczow - był jednym z dwu oficjalnych kandydatów. Tylko on i Grigorij Romanow byli zarazem członkami Politbiura i sekretariatu KC. Należy się domyślać, że "żelazni starcy" z Biura uzyskali od Gorbaczowa gwarancje, że nie naruszy ich przywilejów. Dlatego wybrano "młokosa", który 2 marca skończył 54 lata.

Na Zachodzie największe wrażenie zrobiła właśnie "młodość" nowego generalnego sekretarza. Jest on rzeczywiście o 20 lat młodszy od swego poprzednika. Przypomnijmy jednak, że Lenin w wieku 54 lat już nie żył, a Stalin został jego następcą mając 43 lata. Chruszczow i Breżniew mieli w chwili objęcia władzy 59 i 58 lat. Mimo to "młody wiek" Gorbaczowa można uważać za coś niezwykłego. W siedemdziesiątym roku swego istnienia system sowiecki organicznie potrzebuje starych przywódców. Gdyby nie żart historii, która dwóch kolejnych generalnych sekretarzy obdarzyła starym zdrowiem, Gorbaczow /czy ktokolwiek inny/ doczekałby się swojej kolejki za jakieś 5-10 lat i objąłby władzę w wieku "dojrzałości socjalistycznej".

Potrzeba starych wodzów wynika z totalitarnej natury systemu. Totalną władzę nad krajem sprawuje partia, wódz partii musi rozporządzać władzą, która pozwoli mu utrzymać się na stanowisku do biologicznego końca. Ponieważ zaś opiera się na wiernych sobie ludziach, także oni pozostają na stanowisku do śmierci. Ostatnie nominacje potwierdzają tę charakterystyczną cechę "dojrzałego socjalizmu": po śmierci 76-letniego ministra obrony Ustinowa stanowisko jego objął marszałek Sokołow, lat 74; w marcu 1985 posem w Japonii, kraju ważnym w strategii ZSSR, mianowany został Piotr Abrasimow, lat 73, niegdyś posem w NRD i Polsce. Czyż można się dziwić, że minister "średniego przemysłu maszynowego" /pod tą nazwą kryje się przemysł atomowy/ Efim Sławskij skończył w tym roku 87 lat?

Historia Związku Sowieckiego zna naturalnie czystki, w tym czystki stałnowskie, a i "pokojowy" Breżniew postąpił na zieloną trawkę niemało członków Politbiura. Dziś jednak są to posunięcia wyjątkowe i spotykają tylko przeciwników generalnego sekretarza. W zasadzie Michaił Gorbaczow może zostać na swym stanowisku 30-40 lat /jeśli weźmiemy w rachubę przyszłe zdobycze medycyny sowieckiej/.

To jednak muzyka przyszłości. Tymczasem nastąpiła wreszcie zmiana pokolenia, której tak wyczekiwał Zachód, uparcie wierzący, że któregoś dnia na Kremlu zasiądzie miły dyplomata, reformator i liberał. Prasa zachodnia nie pozostawała Gorbaczowowi różnych barw: sympatyczny, czarujący, ma poczucie humoru, planuje liczne pozytywne zmiany. Nowego generalnego sekretarza chwali się jeszcze bardziej niż w swoim czasie Andropowa, choć wydawało się to trudne. Pewien angielski parlamentarzysta oświadczył, że w osobach Michaiła i Raissy Gorbaczowów. Związek Sowiecki nareszcie znalazł odpowiednik Johna i Jackie Kennedych.

Zyciorys i kariera Michaiła Gorbaczowa są mało znane. To co wiemy, pozwala od razu na jeden wniosek: stoimy w obliczu typowego sowieckiego przywódcy. Gorbaczow urodził się na wsi w rejonie Stawropoła, na przedgórzu Kaukazu. Oficjalna biografia podaje: w latach 1946-1950 pomocnik kombajnisty. Ma to oznaczać,

że obecny *genssek* wie, co to praca. Prawdopodobnie pracował na roli w czasie wakacji szkolnych, skoro w 1955 roku ukończył prawo na Moskiewskim Uniwersytecie. W ten sposób trzydzieści lat później w Biurze Politycznym znalazł się drugi po Leninie prawnik. Oba prawników łączy to, że nigdy nie wykonywali wyuczonego zawodu. Gorbaczow został w czasie studiów sekretarzem wydzielonej organizacji komsomolskiej, a po dyplomie pojechał z powrotem do Stawropola, od razu po linii komsomolskiej. Był sekretarzem miejskiego, a potem rejonowego komitetu partii. W roku 1978 zrobił gigantyczny skok w górę: został sekretarzem KC. Mówi się, że jego dobroczyńcą był Michaił Susłow, który przez wiele lat pracował w Stawropolu. Starcy z Politbiura z Breżniewem na czele zgodzili się zapewne przyjąć w swe szeregach młodzika Gorbaczowa, bo chętnie podjął się niewdzięcznego zadania, jakim jest zarządzanie rolnictwem ZSSR. Najbardziej przekonującym dowodem specjalnych uzdolnień Gorbaczowa jest fakt, że chronicznie katastrofalny stan rolnictwa sowieckiego w niczym nie zaszkodził jego karierze /w przeciwieństwie do wielu innych/. W 1980 roku wybrano go do Biura Politycznego po rocznym stażu w szeregach zastępców członka. Gorbaczow wszedł do najbardziej ekskluzywnego klubu na świecie, który skupia kandydatów na stanowisko generalnego sekretarza.

Komentatorzy zachodni, wyliczający liczne zasługi nowego wodza podkreślają, że za czasów Stalina był jeszcze dzieckiem, wojny nie przeżył, słowem jest nowy, młody i piękny. Być może. Nie ulega jednak kwestii, że władzę w ZSSR objął człowiek ukształtowany przez 30 lat służby w partii, w tym 22 w Stawropolu. W audycji telewizyjnej z pogrzebu Czernienki stojący na mauzoleum wodzowie różnili się między sobą tylko czapkami.

Podobno umierający Mikołaj I prosił swego następcę, przyszłego Aleksandra II o przebaczenie: "Wybacź, że oddaję berto w złej chwili". Był rok 1855, Rosja przegrała wojnę krymską i było oczywiste, że kraj został w tyle za Zachodem. Podczas swego ostatniego wystąpienia w telewizji Konstanty Czernienko wypowiedział tylko jedno słowo, które można uznać za jego testament. W odróżnieniu od reakcjonisty Mikołaja I marksista Konstanty I tchnął optymizmem. Jedyne słowo, jakie wymówił, brzmiało: *Chorozso*.

Nie wiemy, co miał na myśli. Być może ogólny stan sowieckiego świata. Być może cieszył się, że został wybrany do Rady Najwyższej ZSSR, a wraz z nim wszyscy pozostali kandydaci, na których we wszystkich republikach poza RFSSR głosowało 99,99% /w RFSSR do urn stawiono się tylko 99,33%, ale fakt, że młodsi bracia głosują lepiej niż starszy też jest powodem do radości/.

To *chorozso* mogło dotyczyć wielu innych posunięć kierownictwa sowieckiego. Tuż przed wyborami na przykład Biuro Polityczne podjęło uchwałę "o lepszym zaopatrzeniu ludności w obowie". Komunikat o tej uchwale podkreśla, że właśnie "tow. K. U. Czernienko dostrzegł, że wzrastające potrzeby ludności nie są w pełni zaspokojone". Chory generalny sekretarz z obolałą wątrobą wszystko widział, zauważył nawet, że z butami nie jest najlepiej. Biuro Polityczne natychmiast zareagowało: zdecydowano zastosować środki, które do 1990 roku zapewnią wszystkim obywatelom sowieckim świetne obowie. Równocześnie podjęto jeszcze jedną uchwałę: KC KPZS i Rada Ministrów postanowiły "zaopatrzyć w telefony wszystkie przychodnie lecznicze, szkoły, przedszkola i żłobki, obozy pionierskie oraz przedsiębiorstwa usług materialnych i kulturalnych w rolniczych miejscowościach". Po rozszyfrowaniu znaczy to, że kraj, który skierował na Europę Zachodnią setki rakiet SS-20 i setki innych rakiet na Stany Zjednoczone, który produkuje tysiące bomb nuklearnych, postanowił zainstalować na wsiach telefony. Do 1990 roku. Zwróćmy uwagę, że uchwała nie mówi, że telefony na wsi będą również telefonami prywatnymi. To będzie zapewne zadanie na koniec trzeciego tysiąclecia.

Nie sądzę, aby Czernienko zdążył przeczytać list, jaki ukazał się w *Komsomolskiej prawdzie* 13 lutego. Z listu wynika, że wszystko jest wprawdzie dobrze, ale nie najlepiej. Czytelnik podpisujący się "Siergiej W." już w pierwszych słowach bierze byka za rogi: "Dziękuję ci, szanowna Redakcjo! Pragnę zadać Wam,

a za Waszym pośrednictwem czytelnikom, następujące pytanie: czy mam prawo nazywać się komсомolcem, jeśli przestałem wierzyć w komunizm?".

Nie ma chyba takiego sowietologa, który nie pisałby o "zaniku wiary w komunizm" w Związku Sowieckim. Niektórzy, pomni epoki żarliwego entuzjazmu rewolucyjnego, uważają to za powód do rozpacz, inni za jeden z symptomów rozkładu wewnętrznego. Tak na przykład mówił w wywiadzie dla Wolnej Europy 19 stycznia 1985 profesor Zbigniew Brzeziński: "Jest wyraźny brak wiary ideologicznej".

"Siergiejowi W." i sowietologom odpowiada na łamach *Komsomolskiej prawdy* konsultant pisma *Kommunist* A. Frołow. Konsultant poucza: "Komunizm to rzecz zbyt poważna, by wystarczało weń wierzyć". "W komunizm trzeba nie wierzyć, ale znać go i rozumieć". Konsultant mógł dodać, że "wierzący komuniści" są szkodliwi, że w swoim czasie zajęli się nimi poważnie Stalin i że na braku wiary polega siła systemu sowieckiego.

"Wierzący" zresztą jeszcze istnieją, głównie w szeregach wiernych przyjaciół Związku Sowieckiego. Jeden z nich opowiedział parę słów o sobie na łamach *Literaturnoj gazety* 16 lutego 1985/. Gdyby Czernienko mógł przeczytać jego spowiedź, na pewno powiedziałby *choroszo*.

"Wierzący", o którym mówię, nazwany został przez sowiecką gazetę "polskim pisarzem Andrzejem Przyckowskim". Przyznaję, że nie słyszałem o takim pisarzu. Może to oczywiście wynikać z mojego słabego czytania w polskiej literaturze. Dziwi mnie jednak, że sam Andrzej Przyckowski wspomina tylko o jednej swojej książce, wydanej w 1976 roku po ukraińsku w Kijowie, dodając, że ta sama książka zostanie wkrótce wydana po rosyjsku w Moskwie.

Opowiadanie "polskiego pisarza Andrzeja Przyckowskiego" znowu mi przypominało wywiad prof. Brzezińskiego, którego tekst nadesłali mi przyjaciele z Monachium. Zbigniew Brzeziński wypowiada w nim myśli, do której doszedł na pewno po wnikliwej analizie wszystkich przesłanek. Proces zachodzący w Polsce od śmierci Bieruta profesor Brzeziński nazywa "procesem polonizacji reżymu narzuconego Polsce od zewnątrz". Nie ograniczając się do stwierdzenia zjawiska, o które można by się spierać, prof. Brzeziński poddaje je ocenie: "... ogólny charakter reżymu komunistycznego rządzącego Polską powoli się polonizuje. I w tym sensie uważam Jaruzelskiego za postęp powiedziałmy w porównaniu z Bierutem...".

Wystąpienie "polskiego pisarza Andrzeja Przyckowskiego" potwierdza tezę prof. Brzezińskiego: reżym się polonizuje. Pytanie, czy należy to uważać za postęp?

Posłuchajmy jednak A. Przyckowskiego.

Wszystko zaczęło się w 1942 roku, kiedy zaczął pracować w wywiadzie podziemnym, gdzie zbierał rozmaite informacje, które "przekazywano sztabom sowieckim". Potem dostał się do obozu, z którego uciekł: "I tak doczekałem się lutego 1945 roku, kiedy po raz pierwszy spotkałem żołnierza radzieckiego. Pamiętam, jak rzuciłem mu się w ramiona i poczułem się wolnym człowiekiem. Po raz pierwszy w życiu". "Tak - pisze 'polski pisarz Andrzej Przyckowski' - zaczęła się moja przyjaźń z narodem radzieckim, z armią radziecką, przyjaźń która przetrwa do końca moich dni".

Najwięcej radości przysporzyło Czernienko zapewne przerwanie mistrzostw świata w szachy. To była prawdziwa demonstracja siły! Na oczach całego świata, nie licząc się z nikim i niczym, przy pomocy wiernego przyjaciela przerwano mistrzostwa, bo zaszła obawa, że wygra je szachista nie mający poparcia najwyższej instancji. Mógłby kto spytać: co to za różnica, czy Karpow, czy Gasparow? Nie: Gasparow ma i narodowość nie tę, co trzeba, i wiek nie ten, i zbyt jest porywczy. A poza tym uchwalono, że wygra Karpow.

Jak dowcipnie zauważył pewien amerykański dziennikarz, jeśli można było

przerwać mistrzostwa, to wszystko jest możliwe. Na przykład to, że KGB kazano Bułgarom nająć Turka do zabicia papieża w celu ujarznienia Polski.

Adam KRUCZEK

13 marca 1985

KULTURA, czerwiec 1985

ADAM KRUCZEK

W SOWIECKIEJ PRASIE

W "Gołym roku" Borys Pilniak używa zwrotu "funkcjonuje" energicznie. W pierwszych latach po rewolucji obce słowa były jeszcze czymś niezwykłym, ale używano ich często dla podkreślenia dynamiki nowego świata. Zwrot Pilniaka doskonale pasuje do działalności Gorbaczowa w pierwszych tygodniach władzy: "funkcjonuje" on niezwykle energicznie. Wygłasza jedno programowe przemówienie za drugim, spotyka się z cudzoziemcami, jedzie do Warszawy podpisać przedłużenie Paktu, przyjmuje defiladę zwycięstwa oraz - jak piszą zagraniczni dziennikarze - "wlewa świeżą krew do Biura Politycznego".

Działalność nowego generalnego sekretarza wydaje się wręcz gorączkowa po latach umierania jego trzech poprzedników. Wyczuwa się w niej też ufność we własne siły człowieka, który od razu poczuł się gospodarzem na swoich włościach. 23 kwietnia, sześć tygodni po mianowaniu go generalnym sekretarzem, Gorbaczow zwołał plenum KC, na którym "dolał świeżej krwi", uzupełnił szereg Politbiura "młodzieżą". Członkami zostali: sekretarz KC Jegor Ligaczow /ur. 1920/ i Nikołaj Ryżkow /1929/ oraz przewodniczący KGB Wiktor Czerbikow /1923/. Przewodniczący KGB był dotychczas kandydatem na członka - jego awans oznacza naturalnie uznanie dla jego działalności, ale przede wszystkim podkreśla rolę i znaczenie "organów". Jest faktem charakterystycznym, że minister obrony, marszałek Sokolow, został wybrany zaledwie na zastępcę członka.

Ligaczow i Ryżkow weszli w skład "kierowniczego jądra" Biura: w "pokoju nr 1" zarezerwowanym dla członków Biura, będących zarazem sekretarzami KC, zasiadają obecnie cztery osoby: Gorbaczow, Romanow i dwaj "młodziankowie". Ligaczow, który zaczął karierę partyjną w 1949 roku, od 1983 kieruje wydziałem kadr w sekretariacie KC i obejmie najpewniej stanowisko Głównego Ideologa. Ryżkowa przeniesiono do sekretariatu KC ze stanowiska wicedyrektora Komisji Planowania ZSSR, obecnie on więc prawdopodobnie zarządza gospodarką.

Plenum KC uchwaliło zwołanie XXVII Zjazdu partii na dzień 25 lutego 1986. Data nie jest przypadkowa: 25 lutego 1956, w dniu zamknięcia XX Zjazdu, Chruszczow wygłosił "tajny referat", w którym zdemaskował "kult jednostki Stalina". Należy przypuszczać, że trzydzieści lat później Stalin oficjalnie powróci do Panteonu sowieckich wodzów.

Gorbaczow wygłosił na plenum programowe przemówienie, którego główne tezy wyłożył już 11 kwietnia na zebraniu w KC. Sowieckie gazety zamieściły wówczas tekst przemówienia pod tytułem, streszczającym je w trzech słowach: "Dyscyplina, organizacja, wydajność". Na plenum Gorbaczow niczego od tej triady nie dodał, zatrzymał się tylko nieco dłużej przy "trudnościach" i stwierdził, że "od 1983 roku /to znaczy od śmierci Breżniewa/ sytuacja się poprawia".

"Gdzie szukać przyczyn trudności?" - zapytuje retorycznie generalny sekretarz. I odpowiada: po pierwsze, "w zbiegu przyczyn naturalnych i szeregu czynników zewnętrznych", po drugie w lenistwie ludzi sowieckich. Długie przemówienie, pełne mglistych obietnic, apeli i pogroźek, sprowadza się do żądania "zaktywizowania czynnika ludzkiego, wywalczenia, aby każdy pracował na swoim stanowisku sumiennie i z oddaniem".

Co zrobić z "czynnikiem ludzkim", nową wersją "materiału ludzkiego" z lat trzydziestych, jak go "zaktywizować"? Stary to problem. Rosyjski historyk Wasilij Kłuczewskij pisał o nim w związku z reformami Piotra I: "Piotr miał nadzieję, że groźnym autorytetem władzy uda mu się wzbudzić samodzielność w zwolniczącym społeczeństwie... Chciał, aby niewolnik, nie przestając być niewolnikiem, pracował jak człowiek świadomy i wolny". Gorbaczow chce, aby "człowiek sowiecki walczył o "przyspieszenie postępu społeczno-ekonomicznego", ale tylko pod przewodnictwem partii. Gorbaczow nalega na "dalszy rozwój scentralizowanego impulsu" i zwrócenie szczególnej uwagi na "planowanie, będące nerwem zarządzania", żądając jednocześnie "samodzielności" od dyrektorów przedsiębiorstw. "Działacz partyjny nie powinien przesłaniać ekonomisty". Żądanie to wyraża jednak generalny sekretarz KC partii. Że nie sposób rozwiązać kwadratury koła, dowodzi notatka w *Prawdzie* z 29 kwietnia 1985: przewodniczący egzekutywy rady pracowniczej w rejonie Oszska /Kirgizja/ zdecydował zająć się administracją, nie pytając o zgodę rejonowego komitetu partyjnego, ale na polecenie sekretarza rejonowego komitetu partii, i wykonuje ją pod jego nadzorem.

Wystąpienia Gorbaczowa świadczą o jego "własnym stylu", przypominającym styl "wczesnego Stalina". Gorbaczow w swych pierwszych wystąpieniach umiemy nie to grozi, to uspokaja. Na plenum wypowiedział straszne dla aparatu słowa o konieczności "aktywniejszej rotacji naszych kadr kierowniczych", zarzem jednak uspokoił słuchaczy, oznajmiając, że "Biuro Polityczne uważa za sprawę zasadniczą utrzymanie linii zapewniającej stabilność kierownictwa partyjnego".

O ile w polityce wewnętrznej recepta w odniesieniu do "przywódców" przewiduje 10% strachu i 90% poczucia stabilności, o tyle program dla polityki zagranicznej przewiduje 90% straszenia i 10% dobroduszości. W toku swych krótkich jeszcze chwil u władzy nowy generalny sekretarz poświęcił polityce zagranicznej więcej uwagi aniżeli polityce wewnętrznej. Łatwo to zrozumieć: jakkolwiek zmiany w gospodarce nieprędko przyniosą owoce - jeśli w ogóle je przyniosą. W polityce zagranicznej można bardzo szybko uzyskać namacalne rezultaty (na przykład likwidację Pershingów, nowe kredyty, sprzedaż najnowszej technologii itp.).

Gorbaczow ani na jotę nie zmienił dotychczasowego sowieckiego stanowiska: szczęśliwe lata w stosunkach międzynarodowych to lata 1970-te, okres "odprężenia". W minionym dziesięcioleciu dokonało się to, co Gorbaczow nazwał na plenum "niezmiernie ważną, historyczną zdobyczą bratnich krajów socjalistycznych" - osiągnięto mianowicie "równowagę wojskowo-strategiczną z państwami agresywnego bloku NATO". Znaczy to, że ideologiczna osłona Związku Sowieckiego - przekonanie, że "wszechświatowe zwycięstwo socjalizmu" jest nieuchronne - uszkała materialne podstawy: sowieckie siły zbrojne są równe /a w dziedzinie broni konwencjonalnej nawet znacznie wyższe/ siłom NATO.

Obecnym zadaniem strategicznym jest, zdaniem Gorbaczowa, zachowanie parytetu, czyli powrót do polityki "odprężenia". Na przeszkodzie temu stoją Stany Zjednoczone. "Odpowiedzialność za zaistniałą sytuację - oznajmia generalny sekretarz - ponoszą przede wszystkim koła rządzące Stanów Zjednoczonych, i należy to stwierdzić z całym naciskiem". Stwierdza więc, że światu zagrażają imperialiści. Na plenum KC dodaje, że w imię 10% dobroduszości gotów jest poprawić stosunki ze Stanami Zjednoczonymi "ku obopólnej korzyści". W czasie obchodów 40-lecia zwycięstwa nad Hitlerem przemówił znacznie ostrzej.

Przypadek był dla Gorbaczowa łaskawy i pozwolił mu zaraz po wyborze na ge-

neralnego sekretarza urządzić obchody jedyne go święta, w którym autentycznie uczestniczą wszyscy obywatele sowieccy - święta zwycięstwa nad hitleryzmem. Przygotowania do obchodów trwały ponad rok. Ludzi sowieckich aż do mdłości karmiono wspomnieniami o bohaterskim, trudnym lecz szczęśliwym życiu w latach wojny. Gazety, radio, telewizja, propagandyści i agitatorzy niezmordowanie rozgrzebywali ranę i domagali się zapłaty za dwadzieścia milionów ofiar. Michaił Gorbaczow wystąpił w roli spadkobiercy i wykonawcy testamentu duchowego "dwudziestu milionów zbawców cywilizacji". Gigantyczna defilada uchojska w dniu 9 maja na Placu Czerwonym miała pokazać, że spadkobierca potrafi uzyskać to, co mu się jego zdaniem należy.

Po defiladzie Gorbaczow zabrał głos na przyjęciu na Kremlu i przy tej okazji zrobił mały wypad w lingwistykę, co miało przekonać zagranicznych gości, że poza rakieta mi Związek Sowiecki ma także "naukowe podstawy" do panowania nad światem. W języku rosyjskim - wyjaśnił zebranym generałny sekretarz - słowo "mir" oznacza i pokój, i planetę. Jest więc oczywiste, że bronić planety mają ci, którzy "bronią pokoju". Gorbaczow, który posiada dyplom prawnika i inżyniera-agronoma, nie wie być może, że słowo "mir" pisze się tak samo dla oznaczenia pokoju i świata dopiero od 1917 roku. Przedtem słowa te miały inną pisownię w zależności od znaczenia.

Wycieczka w lingwistykę ma jednak znaczenie nie tylko polityczne, ale i psychologiczne. Nie wszyscy jeszcze zapomnieli o cennych pracach językoznawczych koryfeusza wszech nauk /bez dyplomów/ Stalina. Pamięta o nich być może i sam Gorbaczow, który w przemówieniu w przeddzień święta zwycięstwa przypomniał przewodniczącego Państwowego Komitetu Obrony ZSSR J.W. Stalina i jego wiekopomne zasługi związane z pogromem hitlerowskich Niemiec. Zagraniczni świadkowie uroczystości twierdzą, że od dziesięcioleci nie słyszano na Kremlu takich owacji.

Nie jest przypadkiem, że nazwisko Stalina wytynęto w te świąteczne dni. Stalinowski model jest nadal nie tylko jedynym możliwym, ale też jedynym odpowiadającym kierownictwu partyjnemu.

Lew Tołstoj zapowiadał, że na początku naszego wieku pojawi się nowy Dżingis-chan z telegrafem. Bucharin nazwał w 1928 Stalina "Dżingis-chanem z telefonem". Być może pod koniec stulecia przyjdzie nam oglądać dżingis-chana z komputerem? W każdym razie tęsknota do niego rośnie i karmi się wspomnieniami. Garstka byłych esesmanów, którzy spotkali się w niemieckiej wiosce, spomi nała, że Fuhrer "był takim skromnym człowiekiem". *International Herald Tribune* z 4-5 maja - w której pojawił się reportaż z tego spotkania - zamieściła na sąsiedniej kolumnie informacje moskiewskiego korespondenta o wywiadzie, jakiego udzielił były tłumacz Stalina, który z czułością wspomina, że Wódz "miał duże poczucie humoru", był "spokojny i zrównoważony", choć niekiedy "surowy". Najważniejsze, że "można z nim było dyskutować".

Stalin i Hitler, skromni i weseli Dżingis-chanowie XX wieku, pozostali w pamięci ludzi. O ile jednak pogrobownicy Hitlera mogą co najwyżej robić szum, o tyle spadkobierca Stalina jest powszechnie popierany i z jego nazwiskiem wiąże się nadzieje na przyszłość. Mam na myśli poparcie i nadzieje Zachodu. Amerykańscy świetolodzy zajmują w tej konkurencji bezspornie pierwsze miejsce. Naturalnie, że można znaleźć w prasie amerykańskiej także i ostrzegawcze głosy. Najszerzej uznane "autorytety" są jednak jednomyślne. Dwa miesiące rządów Gorbaczowa pozwalają zebrać pokazny wianuszek cytatów. W optymistycznej ekspertów, którzy nie wątpią w dobroć i postępowość Gorbaczowa, najdziwniejsze jest to, że nie pamiętają o jego poprzednikach: tymczasem opublikowano już grube tomy, pełne równie optymistycznych prognoz z ostatnich 68 lat. Do moich ulubionych cytatów należy oświadczenie Trumana z lipca 1948 roku: "Joe /to znaczy Stalin/ jest jercim Biura Politycznego" oraz portret Berii pióra amerykańskiego socjologa, profesora Jerome Davisa. Od chwili, kiedy współtowarzysze zamordowali Bierię upłynęły 32 lata i warto może przypomnieć, że był to jeden z najbarzziej krwawych katów, jakich ludzkość zrodziła. Amerykański so-

cjolog napisał w 1946 roku: "Ławrentij P. Beria... tysiące człowiek w binoklach, wygląda jak architekt, którym kiedyś był /nigdy nie był architektem, ale to błąd wybaczalny - A.K./... Kierował tajną policją, podobną do naszej CIA... Sądząc po tym, że w czasie wojny w Związku Sowieckim niemal nie było sabotażystów i szpiegów, był niewątpliwie bardzo dobrym ministrem".

Od Stalina i Berii gładko przechodzimy do Gorbaczowa. Nowy generalny sekretarz też wezwał do walki z elementami wywrotowymi na pasku imperialistów. Kiedy amerykańscy kongresmeni, widzący w nim "przywódcę w nowym, zachodnim stylu", osmielili się wspomnieć o prawach człowieka, Gorbaczow odparł: "Wy macie swoje prawa, my swoje". Po czym dorzucił: "Jestem prawnikiem, studiowałem prawodawstwo amerykańskie". To ostatnie miało znaczyć: "A wy naszego nie znacie, więc milczcie!".

Ci, którzy je znają, apelują o dobroć i wyrozumiałość. Sowieolog Jerry F. Hough prosi: "Dajcie mu sześć miesięcy", a pójdzie w ślady Kennedy'ego i Reagana, to znaczy zdynamizuje ZSSR. Wtedy pójdzie na kompromis z USA /*New York Times* z 21 marca 1985/. Sowieolog Stephen F. Cohen nadaje swemu artykułowi tytuł "Waszyngton myli się, bojąc się reform w Moskwie" dowodzi, że należy pójść na ustępstwa, bo to pozwoli Gorbaczowowi przeprowadzić reformy; w przeciwnym wypadku wzmocni się antyreformistyczną frakcją w Biurze Politycznym. Zrozumienie dla Gorbaczowa powinno leżeć u podstaw amerykańskiej polityki zagranicznej /*International Herald Tribune* z 3 maja 1985/. Specjalista Dimitri K. Simes pisze w *New York Times* z 20-24 kwietnia br., że "amerykańska polityka wobec Związku Sowieckiego powinna być jawna i nieprovokacyjna". Artykuł Simesa /jeden z wielu, jakie ogłasza/ wart jest uwagi, bo autor, emigrant, który opuścił Związek Sowiecki jakieś dziesięć lat temu, bardzo szybko stał się autorytetem w dziedzinie sowieologii. Kariera jego zapewne dopiero się zaczyna. Simes formułuje swe zalecenia w trybie rozkazującym: amerykańska polityka powinna być... Sukces jego wynika zapewne stąd, że autorytetem człowieka z *wewnątrz* wspiera wszystko to, co od dziesięcioleci wypisują postępowi sowieolodzy. *Newsweek* z marca 1985 opublikował artykuł Roja Miedwiediewa, "Patrząc z Moskwy", który uważa, że "zwycięstwo Gorbaczowa jest najlepszym z możliwych wyników długiej walki o następstwo po Breżniewie". Miedwiediew powołuje się na tych, którzy znają Gorbaczowa. Wszyscy oni twierdzą jednogłośnie: spokojny, inteligentny, bardzo wykształcony człowiek. Krótko mówiąc: "Gorbaczow obejmuje swą funkcję w atmosferze dużych nadziei...".

Jednym z najciekawszych dokumentów, świadczących o potrzebie "nadziei" są dwa artykuły Zdenka Mlynařa w wiedeńskim *Kurierze* /cytuje za *International Herald Tribune* z 22 kwietnia br./. Były członek Biura Politycznego KPCZ, obecnie na emigracji, wspomina, że przyjaźnił się blisko z Gorbaczowem w latach, kiedy obaj studiowali prawo na Uniwersytecie Moskiewskim. Lojalność wobec przyjaciół jest jedną z najcenniejszych zalet. Boris Suwarin bardzo chętnie powtarzał: "Przyjaźń to rzecz święta". Jednak kiedy Mlynař opowiada, że Gorbaczow w roku 1952 wygłaszał antystalinowskie opinie, trudno się opędić wątpliwością. Autor niniejszych słów żył w 1952 roku w Moskwie i pamięta doskonale, że żaden normalny obywatel ZSSR nie wypowiedziałby wówczas żadnej antystalinowskiej myśli, a już na pewno nie w rozmowie z cudzoziemcem /Czechem/. Wątpliwy /a prawdę mówiąc niemożliwy/ wydaje się też powód, który miał skłonić Gorbaczowa do zmanifestowania swych antystalinowskich uczuć. Mlynař twierdzi, że w 1952 roku Gorbaczow powiedział mu: "Lenin nie aresztował przywódcy mieniszewików Martowa, a pozwolił mu emigrować". Nie mówiąc już o tym, że właśnie w 1952 roku Gorbaczow wstąpił do partii, czyli był żarliwym stalinowcem /innej partii niż stalinowska nikt sobie wówczas nie wyobrażał, nawet Mlynař/, błąd Mlynařa polega na tym, że w roku 1952 przyszły generalny sekretarz nie mógł niczego wiedzieć o losie Martowa. "Humanitaryzm" Lenina został ujawniony dopiero w 1961 roku, kiedy pisarzowi E. Kazakiewiczowi pozwolono zająć do archiwów i napisać książkę pod tytułem "Błękitny zeszyt". Opisał w niej szczegółowo, jak Lenin zmiłował się nad swym starym przyjacielem, który był przeciwnikiem politycznym. Pozwolę sobie na przypuszczenie, że Gorbaczow dowiedział się o tym

też nie z książki, a z filmu, jaki według niej nakręcono w 1964 roku.

Przytoczony przez Młynarza fakt jest być może prawdziwy - Gorbaczow mógł porównywać Stalina z Leninem na korzyść Lenina, ale nie w roku 1952, a w roku 1961 lub 1964, kiedy takie porównania były dozwolone. Jest to różnica zasadnicza, charakteryzująca zarówno Gorbaczowa, jak i Młynarza.

Wychodząca w Paryżu rosyjska gazeta ogłosiła na początku maja wstrząsającą nowinę z Moskwy: Gorbaczow zamierza dokonać rewolucji, zakazać mianowicie sprzedaży wódki, a przynajmniej wprowadzić na nią kartki. *Russkaja mysl* podała nawet datę: 10 maja. Dzień minął szczęśliwie bez katastrofy. Niewykluczone jednak, że jakieś kroki zostaną podjęte, pozorne jak zawsze. Alkohol stał się bowiem nieodłącznym elementem stylu życia krajów socjalistycznych. Stiepan Trofimowicz Wierchowienki, jeden z "biesów" Dostojewskiego, wypowiedział prorocze słowa /jak bardzo prorocze, widać dopiero sto lat później/: *Tous les hommes de génie et de progrès en Russie étaient, sont et seront toujours des kartiożniki, des pijańczy qui boivent en zapoj*. Zbawienny wpływ władzy sowieckiej polega na tym, że dziś wszyscy obywatele ZSSR są ludźmi genialnymi i postępowymi, toteż wszyscy piją na umór.

W najbliższym czasie wiadomo będzie, czy Gorbaczow zdecydował się na to rewolucyjne posunięcie. Z góry jednak można przewidzieć, że żadne posunięcia nie pożąją kresu pijaństwa. Przeciwnie - zabronione, pijaństwo stanie się formą wyrażania niezadowolonia z systemu i rozprzestrzeni się jeszcze szerzej niż dziś.

Adam KRUCZEK

13 maja 1985

KULTURA, lipiec-sierpień 1985

JAN SZUEDRZYŃSKI

CZY NIEMCY NAS ZROZUMIELI?

Specjalny numer *Kultury* wydany w języku niemieckim, poświęcony w całości stosunkom polsko-niemieckim, wywołał wielkie zainteresowanie, jest na wyczerpaniu i Redakcja planuje wydanie drugiego nakładu. To poważne osiągnięcie, godne uwagi, domaga się przeanalizowania.

Mam przed sobą 27 reakcji niemieckich: z prasy, radia, z wypowiedzi różnych publicystów i członków instytutów naukowych, a nawet ministra rządu federalnego w Bonn. Są to źródła poważne, mogące pretendować w dużej mierze do wyrażenia obrazu rzeczywistego, prawdziwego, nie obliczonego na propagandę czy tylko doraźne dziennikarskie informowanie.

Niemcy przyjęli to wydawnictwo z dużym uznaniem. Fakt ukazania się tak wszechstronnego przedstawienia opracowania "palącego problemu" w momencie, kiedy w Niemczech opinia była poruszona niefortunnymi i drażniącymi wystąpieniami wysiedleńców z dawnych ziem wschodnich, podważających stałość zachodniej granicy Polski, wręcz zaimponował wysoką kulturą i wyrobieniem politycznym. Pod adresem Redakcji *Kultury*, jak i treści numeru, wyrażono słowa dużego uznania, a nawet podziwu.

Norddeutscher Rundfunk w audycji z 15 lutego 1985 ustami Gabriela Lauba tak

się wyraził: "Polskie pismo emigracyjne *Kultura* niewątpliwie jest najlepszym polskim pismem w ogóle. Moim zdaniem jest to także w skali międzynarodowej najlepsze pismo, jakie znam. *Kultura* jest swego rodzaju fenomenem. Niezależna, nie finansowana przez żaden wielki dom wydawniczy, przez żaden rząd, ani przez żadną instytucję. Trzyma się konsekwentnie linii liberalnej; otwarta jest na rozmaite poglądy, broni wolności, praw człowieka i porozumienia między narodami; nie boi się bronić także tych tez, które nie są popularne wśród rodaków w kraju i na emigracji. /.../ Mimo że zakazana w PRL i pasowana tam na 'wroga numer jeden' i ośrodek dywersji imperialistycznej, *Kultura* miała i ma duży wpływ na polskich intelektualistów; nawet w oficjalnych środkach informacji daje się wyczuć jej wpływ. /.../ Wysoki poziom jej publicystyki politycznej, daleko wyższy aniżeli w zachodnich czasopismach informacyjnych, zawdzięcza *Kultura* nie tylko temu, że jest miesięcznikiem i nie tylko temu, że skupiły się wokół niej wybitne pióra. Przyczynia się doń także sytuacja autorów emigracyjnych: doświadczyli oni na sobie obu systemów, żyją na ogół w centrum zachodniego potoku informacji, ale pozostają związani niezliczonymi kanałami informacyjnymi ze swoją ojczyzną, co wyostrza spojrzenie".

Wypowiedzi polskich autorów

Na numer niemiecki *Kultury* składa się 12 artykułów - esejów, w równej liczbie autorów z Kraju i z emigracji. Trzy, stanowiące część literacką, to refleksje i opowiadania Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego, oraz esej Stempowski. Jest też zbiór dobrze wybranych przez Ninę Kozłowską "Polenlieder" poetów niemieckich epoki romantycznej. Inne artykuły to publicystyka polityczna - Jeleński, Szrett, Michnik, Szufdrzyński, Garnysz, Najder, Lipski, a dwa opracowania o charakterze historycznym dotyczą polityki zagranicznej Piłsudskiego /Pronobis/ i myśli politycznej Studnickiego /Swianiewicz/.

Piszący nie uzgadniali poprzednio tematyki. Każdy wypowiadał swoje przekonania. Wspólne było założenie spojrzenia w przyszłość polsko-niemieckich stosunków. Mimo różnorodności autorów, Niemcy zauważyli i podkreślili dużą jednolitość w zasadniczych poglądach.

Ponieważ treść artykułów w języku niemieckim nie jest znana polskiem czytelnikom *Kultury* należały w głównych liniach przedstawić tok myśli polskich autorów.

Punktem wyjścia wspólnym wszystkim piszącym jest stwierdzenie, że Rosja a z nią PRL dokładają wszelkich starań, by utrwalić w umyślach polskich niezłomne przekonanie, że jedynie Rosja jest w stanie zabezpieczyć Polsce granice na Odrze i Nysie, a Niemcy Zachodnie zawsze gotowe są do żądania zwrotu utraconych ziem wschodnich. Można zrozumieć, że tragicznie doświadczenia Polski dają temu rozumowaniu, nawet niezależnie od jego propagandowego wykorzystywania, dużą siłę przekonywującą. Rozmowanie to znajduje podatny grunt w "zniewolonych umyślach" i wizja rewanżizmu niemieckiego jest stałym straszakiem. Tak więc stosunki polsko-niemieckie układają się pod zewnętrzna presją Rosji. Pozbawiona możliwości samodzielnego myślenia i działania, Polska jest tu bezwolnym przedmiotem i wykonawcą cudzych, a nie polskich, interesów. Pierwszym więc zadaniem jest stworzenie forum polskiej niezależnej myśli i samodzielnej rewizji stosunków polsko-niemieckich.

Nie chodzi tu o stosunki między rządami, podkreślają wszystkie teksty. Chodzi o stosunki między narodami. One to muszą rozładowywać fobie, kompleksy i resentymenty. Krajowy pisarz Józef Szrett uważa to za tak ważne i pilne, że w tej dziedzinie gotów uznać, iż nawet jednostronne "rozładowanie" ma szanse powodzenia, to znaczy szanse na "rozbrojenie" strony niemieckiej. Inicjatywa *Kultury* odpowiada potrzebie czasu i stwarza najwłaściwsze forum dla podjęcia tego zadania. Pismo to konsekwentnie apelowało, by odpowiedzialnością za krzywdy wojenne nie obarczać całej ludności niemieckiej - co wiąże się z wzajemnie i deklaracją Episkopatu polskiego z 1966 roku.

Wypowiedzi polskie są szczerze i starają się pokazać całą prawdę możliwie obiektywnie. Mowa jest o krzywdach lat wojny i dawnych z przeszłości. Jest też uznanie krzywd, wyrządzonych wysiedlencom niemieckim, o czym mówili biskupi polscy. Ale zachowanie w pamięci doświadczeń przeszłości ma być przestrogą dla przyszłych pokoleń, a nie inspiracją do porachunków. Autorzy piszą bez ogródek i upiększeń, bo nie miejsce tu na propagandę czy powierzchowne spekulacje polityczne, lecz chodzi o coś o wiele głębszego, ważą się losy samego bytu, samej cywilizacji.

Jest w tych szczerych wypowiedziach optymizm i przekonanie, że poprawa leży w naszej mocy i od nas zależy. Niektórych autorów ponosi idealizm, inni widzą konieczność realizmu politycznego, potrzebę dłuższego czasu, nowych pokoleń przyjmujących idee wspólnoty Europy, nie tylko w utrzymaniu bezpieczeństwa, ale też i w rozwoju kultury.

Lipski owiany idealizmem, z głębokim żalem i dobitnie wytyka Niemcom, że jego artykuł napisany po niemiecku, a skierowany do nich jeszcze w 1981 roku pod tytułem "Dwie ojczyzny - dwa patriotyzmy", nie miał ze strony niemieckiej oddźwięku. Czy więc pisał na próżno? Stawia Niemcom zarzut obojętności, ciasnoty myśli, interesowania się swoimi tylko sprawami. Są to ostre wyrzuty. Takich szczerych, z serca płynących wypowiedzi jest u autorów polskich sporo. Mają na celu wstrząśnięcie świadomością, gdyż za dużo zmian zaszło w ostatnich latach w Europie i w świecie, aby można było żyć tym co było i nie zdawać sobie sprawy z potrzeby wytonienia nowych ludzi i nowych pojęć.

Obok sympatii, wynikłej ze spontanicznej ogromnej akcji pomocy RFN w ostatnich latach, odczuwają Polacy też żal o niedostatek solidarności politycznej. Niektórzy autorzy kreślą obraz bezradnego, przesyconego Zachodu, obojętnego na walory wolności, na cierpienie narodów, żyjących dziś jeszcze pod butem dyktatur. Jan Szułdrzyński przeciwstawia temu stanowi rzeczy duchową i moralną rolę Polaków w tworzeniu podstawowych wspólnych wartości, wskazując na postawę Polski w ciągu 5 lat wojny, na ruch robotniczy "Solidarności", na rolę papieżstwa Jana Pawła II.

Przyszłość widzą autorzy w ramach złączonej Europy. Literackie rozważania ilustrują bezsens wojny, jej tragizm i dno moralnego poniżenia, upadek cywilizacji. Los ten dotyczy zarówno Polaków, jak i Niemców. Jesteśmy więc na gruncie wspólnych interesów i wspólnego losu, a to co nas dzieli - maleje, widziane z tej perspektywy.

Budzenie świadomości, że więcej nas łączy, niż dzieli jest naszym zadaniem, na pewno nie łatwym, ale koniecznym i możliwym. Obrazowo przedstawił to Józef Szrett pisząc, że w toku dziejów wyrosły po dwóch stronach Polski pasma górskie, okalające ją ze wschodu i z zachodu. Nie są tworem natury, ale powstały z tragicznych zmagania historii. I stała się Polska doliną między górami - poligonem gier wojennych. Wyrosły z dziejów wrogości wał niemiecki jest sztuczny, trzeba go rozsytać i otworzyć bramę do wspólnoty z Europą, do której droga prowadzi przez Niemcy.

Polska nie może utrzymać się jako teren przejściowy. Jest częścią składową Europy, dzieli z Niemcami jej los i tak jak Niemcy zainteresowana jest w budowie jej przyszłości. Fakt że Polska nie może swej woli wyrażać przez oficjalne władze państwa, nie powinien powstrzymać chęci do dialogu i porozumienia. Nie można czekać z opuszczonymi rękami, nie jesteśmy spektatorami. Ostatnie lata przyniosły już poważne zbliżenie pomiędzy Polakami i Niemcami, jest wzajemne zainteresowanie, jest życzliwa pomoc filantropijna. Trzeba jednak czegoś więcej, niż filantropia. Trzeba poczucia łączności cywilizacyjnej oraz wspólności interesu politycznego.

Wszyscy autorzy stoją niezłomnie na gruncie nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie. Życzliwie odnoszą się do połączenia Niemiec Zachodnich i Wschodnich, gdyż jest ono koniecznością, jeśli "Europa Ojczyzn" ma stanowić podstawę pokoju i bezpieczeństwa. Stanowisko to dobitnie wyraża przytoczony przez Zdzisława

Najderna tekst uchwały PPN z 1978 roku, opublikowany w podziemiu: "Polacy mogliby dojść do wniosku, że zjednoczenie Niemiec leży w ich własnym interesie pod dwoma warunkami:

1/ bezwarunkowego uznania naszej granicy zachodniej;

2/ integracji Niemiec ze Wspólnotą Europejską. Niespełnienie tych dwu warunków wstępnych służy natychmiast za stały argument sojuszu z ZSSR, niezależnie od formy rządów w Polsce i Rosji".

Tak przedstawia się w ogólnym zarysie problematyka poruszona przez autorów polskich, zajmujących stanowisko rekonyliacyjne i nakłaniających obie strony do poważnego przemyślenia każdego z istotnych problemów we wzajemnych stosunkach. Stanowisko polskie cechuje: optymizm, chęć pojednania, wizja zjednoczonej Europy, w której Niemcom i Polsce przypada rola nie tylko w płaszczyźnie czysto politycznej, ale i cywilizacyjno-moralnej.

Polacy powiedzieli swoją prawdę w oczy z poczuciem godności, a nie z uniżonością wobec dziś silniejszych Niemców, przez których względy chcieliby wejść do zjednoczonej Europy. Powiedzieli to z poczuciem, że oba narody spełniają rolę takiej samej wagi.

Reakcje niemieckie

Polska gotowość do zasadniczego pojednania została przez Niemców doceniona. Problem zgody polsko-niemieckiej stawiają oni jako rzecz bardzo zasadniczą i rozumieją, że to sprawa ważna nie tylko dla samych Niemiec, ale dla Europy.

Czytając reakcje niemieckie, w których są wypowiedzi bardzo pozytywne, ale są też i błędne, odnosi się ogólne wrażenie, że w odczuciu Niemców posiew polskiego ziarna zgody jest uznany za dobry i zdrowy, konieczny dla przyszłości i obiecujący. Są w nich wszystkie elementy, potrzebne dla odbioru polskiego apelu. Niemniej nasuwa się pytanie, czy aby te szlachetne i mądre ziarna myśli polskiej padają na grunt dostatecznie przygotowany, aby mogły wydać spodziewane owoce.

Prawdą jest, piszą Niemcy, że po obu stronach odbywa się podobny proces kryzysu cywilizacyjnego, prawdą jest też, że po obu stronach jest dążenie do niezależności od Jałty. Wspólny los nas łączy, piszą Niemcy, ale poczucie wspólnoty losów jest silniejsze u Polaków niż u Niemców. I w tym jest sedno sprawy, niepokojące, wymagające głębszego zastanowienia po obu stronach, bo tu właśnie może przyjść rozczarowanie. Jan Józef Lipski już go doznał. Niemcy to przyznali i wzięli jego żale poważnie.

Rzecz polega na tym, że Polska i Niemcy znajdują się w zupełnie odmiennych sytuacjach. Polska jest w niewoli politycznej systemu rosyjskiego, wojna dla niej się nie skończyła. Polska walczy i w strategii tej walki o wolność punktem centralnym jest solidarność europejska. Dla tego wyraźnego celu Polska mobilizuje siły moralne i intelektualne, jej cele wiążą się ściśle z odrodzeniem Europy jako całości politycznej. Nacisk tej sytuacji polskiej, presja otoczenia i nawet zjawisk codziennego życia - wskazują Polakom Europę, pojednanie z zachodnim sąsiadem i w ogóle ze wszystkimi sąsiadami pragnącymi wolności, jako rzecz konieczną. Bo to dla Polaków stanowi jedyną drogę ratunku, której alternatywę stanowi kapitulacja wobec Rosji. Polacy przemawiają więc z najgłębszego przekonania, przemyślanego i narzuconego przez warunki życia. Niemcy nie.

Niemcy, chociaż z wojny wyszły pokonane, podzielone i z poważnym uszczerbkiem terytorialnym - mają swoje suwerenne państwo i Bundesrepublik dała znów Niemcom światowe, gospodarcze i polityczne znaczenie. Dla Niemców wojna się skończyła, ludność żyje w dobrobycie, chce go utrzymać a nawet powiększać, chce przede wszystkim pokoju, nie szuka konfliktów ani konfrontacji. Nie znaczy to, że dla Niemców historia stanęła w miejscu. Przyszłość niesie zmiany

i mają w swoim polu widzenia wspólnotę Europy, ale w znacznie dalszej perspektywie, osiągalną w ich mniemaniu środkami gospodarczymi i dyplomatycznymi.

Poczucie odrodzenia praw człowieka, czy poczucie zagrożenia cywilizacyjno-moralnego jest więc w Niemczech mniej silne. Nie jest ono tak wyraźne w świadomości Niemca, a w każdym razie nie daje mu on takiego pierwszeństwa jak Polak. Są też Niemcy wystawione na wpływ życia amerykańskiego, nie skłonnego do zdecydowanych i konsekwentnie przeprowadzanych konkluzji. Przyszłość oceniają Niemcy w dalszych perspektywach czasu. Stąd więc mniejsza skłonność do wyraźnego angażowania się już dziś, do czego Polacy są przygotowani pod naciskiem ich tragicznej, odmiennej sytuacji. Niechaj więc Lipski - mówią Niemcy - nie dziwi się i nie bierze za złe, że Niemcy nie są gotowe do tego, by myśleć w kategoriach "dwóch ojczyzn, dwóch patriotyzmów". Nie uchylają się jednak od przyznania, że rozczarowanie Lipskiego ma swoje uzasadnienie. Artykuł jego nie wywołał oddźwięku, piszą autorzy niemieccy, a przecież Lipski "dokonał uczciwego obrachunku z polskimi winami, nie bacząc na to, czy winy Niemców były większe czy nie". Taka samokrytyczna postawa powinna dawać podstawę do trwałego porozumienia. Powinna być zostać doceniona.

Niemcy uważają, że Polacy w swej gorliwości zmierzającej do pojednania i do solidaryzmu politycznego, moralnego, cywilizacyjnego skłonni są do przeoczenia faktu, że jak ostrzega w swym eseju Szufdrzyński, stosunki polsko-niemieckie są w końcowym efekcie dyktowane względami politycznymi. Przecież sami Polacy nimi właśnie się powodują. Przecież chodzi im o zmianę struktury państwa polskiego, a państwo to naród zorganizowany do życia w wolności i tej wolności właśnie Polacy nie mają. Niemcy ją mają i mówią nam, że te różnice trzeba uwzględnić.

Pomimo różnic w napięciu emocjonalnym czy intelektualnym, wypowiedzi polskie nie wzbudziły u Niemców wrażeń, że są one jakby ogólnikowymi produktami idealizmu, fantazji czy czystej dobrej woli pod hasłem: zapomnijmy o tym co było, podajmy sobie ręce. Przeciwnie, ocenili je jako ugruntowane historyczne i polityczne studia, nie oszczędzające żadnego szowinizmu - ani polskiego ani niemieckiego, ani żadnych uprzedzeń. Przewidują, że znajdą się czytelnicy, którym polskie wypowiedzi nie spodobają się. Ale wszyscy muszą uznać ich wagę oraz to, że zapoznają Niemców z obrazem Europy z właściwie nieznanego im punktu widzenia.

Niemcy nie zapomnieli o tym, że Polacy w duchu listu biskupów z 1966 roku okazują skłonność do krytykowania przede wszystkim własnych błędów i uprzedzeń. Widzą w Polakach zrozumienie dalekosiężnego, konstruktywnego celu pokojowej koegzystencji wolnych narodów. Ale to nie dosyć.

W audycji Radia Bawarskiego wytknięto, że Niemcy i Polska za mało wiedzą o sobie. Lepsze poznanie się jest warunkiem wzajemnego zrozumienia. Potrzeba więcej kontaktów z ludźmi po obu stronach. Niemcy i Polacy są zbyt mocno zaangażowani problemami własnego kraju czy bloku. A przecież po obu stronach tępią miejsce podobne procesy rozwojowe, związane z takim samym głębokim kryzysem cywilizacji współczesnej. Z bliższych kontaktów może płynąć pozytywne oddziaływanie wzajemne. Mówią Niemcy: Polacy pobudzają do samodzielnego myślenia, a młode pokolenie Niemców setkami tysięcy protestuje przeciwko zachodnim rakiom atomowym, podczas gdy przejawiają znikome zainteresowanie sprawami obozu komunistycznego.

Jakże żywe jest życie umysłowe w Polsce, nawet pod panowaniem komunistycznym - wywodzi *Kölnische Rundschau*. Widzi w tym się solidarność europejskiej ponad żelazną kurtyną. Widzi też nadzieję na przyszłe zmiany polityczne w Europie. Niemcy muszą się przygotowywać do nich tym bardziej, że historia biegnie czasem skokami. Trzeba widzieć granice władzy Moskwy w Polsce. Zakreślają ją Kościół i Solidarność. To co się rozgrywa w niemieckich ambasadach w Pradze, Warszawie czy Budapeszcie, "to tylko wierzchołek góry lodowej". Wyzwolenie podbitych narodów natychmiast czy w bliskiej przyszłości oczywiście nie wchodzi w rachubę. Nawet teoretycznie się tego nie rozważa, ale komunizm nie jest ustrojem na wsze

czasy.

Moc słowa, wyptywająca z chrześcijańskiej tradycji Zachodu to - zdaniem Niemców - klucz do zrozumienia stałej przewagi narodu polskiego nad sowieckim hegemonem. To ona daje młodzieży, robotnikom, chłopom i intelektualistom siłę do stawiania oporu narzuconej władzy państwowej. Znaczenie *Kultury*, jedynego w swoim rodzaju organu polskiej emigracji, objawia się właśnie w kontekście dzisiejszej potęgi słowa. Tego zdania jest *Kulturpolitische Korrespondenz* z Bonn /z 10 lutego 1985/, dowodząc, że jeżeli w PRL po 40 latach dyktatury komunistycznej utrzymał się tak silny polski patriotyzm i niezależne życie umysłowe, to jest to także zasługą *Kultury*, której wpływ sięgał do tych, którzy zapoczątkowali ruch oporu robotniczego.

Niemcy dostrzegają jakby rozdrożenie w stosunkach polsko-niemieckich. Z jednej strony oficjalny układ między rządami z grudnia 1970 roku otworzył Polsce drzwi do Europy i podważył tezę rosyjską o "niemieckim straszaku". Tak więc na tej drodze oficjalnych kontaktów Niemcy pomogli Polsce, ale z drugiej strony droga do głębszego porozumienia niemiecko-polskiego nie może się ograniczać do kontaktów oficjalnych, gdyż nie są one autentycznie polskie. Niemcy i Polacy muszą bezpośrednio, nie na drodze oficjalnej, szukać porozumienia.

Skoro nie ma możliwości prowadzenia dialogu między rządami trzeba - nawołują Niemcy - tym bardziej śledzić nastroje i nurty w polskim społeczeństwie, które uwolnione od narzuconego balastu ideologicznego, może stworzyć zaufanie między Niemcami i Polakami. We wszystkich esejach *Kultury* wyczuwa się wolę pokojowego porozumienia, często ze wskazówkami jaki jest cel i charakter "Europy Ojczyzn". W tej najogólniejszej perspektywie pamiętają Polacy także o losie krajów nadbałtyckich, o Białorusi i Ukrainie i wskazują na rafy, które trzeba będzie kiedyś usunąć w imię porozumienia polsko-rosyjskiego i w imię powszechnego uznawania praw człowieka.

Numer niemiecki *Kultury* zastępuje, zdaniem Niemców, na szerokie rozpowszechnienie i uważne przemyślenie, gdyż traktuje o chyba najważniejszym zagadnieniu naszych czasów, którym jest zrastanie się świata, pełnego sprzecznych interesów ideologicznych, ekonomicznych, narodowych. Świat znajdzie się pod naciskiem cywilizacji techniczno-przemysłowej i musi sobie z tym poradzić. Narody stają się prowincjami. Zrastanie się wspólnoty musi jednak być procesem dobrowolnym. Trzeba więc wyrównać wzajemne porachunki, aby wspólnota nabrała siły życia. Takie właśnie intencje dobrowolnego zdecydowania się na współpracę wyrażają polscy autorzy.

Autorzy ci jasno też wskazują jak trudnym zadaniem jest wyrównanie wzajemnych porachunków. Ze strony niemieckiej ujmujący jest list podoficera armii niemieckiej z Hamburga, który po przeczytaniu *Kultury* napisał, że nigdy nie zapomni życzliwości, okazanej mu przez ludność polską gdy w styczniu 1940 roku, a więc w czasie kiedy szalały zbrodnie hitlerowskie, Polacy umieli widzieć w nim indywidualum, a nie cząstkę wrogiej masy.

Nieprzypisywanie zbrodniczych instynktów całemu narodowi niemieckiemu odgrywa w odczuciach Niemców bardzo wielką rolę. Sumaryczne potępianie narodu z wielką kulturalną przeszłością bardzo boleśnie ich dotyka i rani. *Kultura* nie obarcza całej ludności odpowiedzialnością za zbrodnie i nigdy tego nie robiła. Niemcy to wysoko cenią.

Głośna sprawa wysiedleńców śląskich znalazła się również wśród niemieckich reakcji. Dla jednych jest to zagadnienie przesądzone i nieodwracalne, mogące być najwyższej przedmiotem dyskusji w celu uzyskania jakichś mniejszościowych udogodnień czy uprawnień. Kardynałowie Wyszyński i Glemp znaleźli jednak krytyków za rzekome odmawianie opieki duchowej w języku niemieckim. Mimo uznawania przez Polaków tragizmu wysiedlenia ludności niemieckiej, niektórzy Niemcy uważają, że lektura *Kultury* prowadzi do rozczarowującego wniosku, gdyż autorzy polscy nie uznają Niemców żyjących w "Niemczech Zachodnich i Środkowych, oraz

pozostałych we wschodnio-niemieckiej ojczyźnie" !/ za partnerów do rozmowy. Uważają, że próba uprzedzenia wyników nieistniejącego jeszcze ostatecznego układu pokojowego zaprowadziła autorów polskich na manowce. Uważają, że rozwiązanie dziś wszystkich kwestii w stosunkach polsko-niemieckich jest niemożliwe.

Inny krytyk uważa, że w okresie kiedy w Niemczech rozgorzała niemal hysteryczna dyskusja na temat związków przesiedleńczych, liberalizm i zdrowy rozsądek polskich autorów działa kojąco na podniecone umysły piszących na łamach niemieckiej prasy lewicowo-liberalnej nawet wtedy, gdy ich wypowiedzi budzą sprzeciw. We wszystkich artykułach widzi on wolę pokojowego porozumienia. Równocześnie zwraca on uwagę Niemcom, iż Polacy ostrzegają ich przed powoływaniem się na "święte prawa i dokumenty". Taka niewzruszona niemiecka postawa wiązałaby Polskę nierozzerwalnym łańcuchem z Rosją i uniemożliwiłaby w przyszłości połączenie podzielonych dziś Niemiec.

Najjaśniej do sprawy roszczeń wysiedleńców odniósł się *Kölnner Stadtanzeiger* /z 23 lutego 1985/. Wystosował on list otwarty do wszystkich Niemców, w którym broniąc twórczych wartości Polski, opowiada się za stanowiskiem autorów niemieckiego numeru *Kultury*. Pisze: "Zawarte w nim teksty, pochodzące w 60% wprost z Polski, są przykładem tego, z jaką rozumą i jasnością umysłu polska warstwa intelektualna - choć nie oficjalnie - stara się o porozumienie. Jan Szufdrzyński wskazuje, że poprawa obecnych stosunków zależy od istnienia w Polsce twórczych i samodzielnych wartości politycznych i od uznania ich przez Niemców".

Wreszcie przedstawiciel młodej generacji wzywa, by w kontrowersyjnej dyskusji na temat Dnia Ślązaków uwzględnione były artykuły *Kultury* o stosunkach polsko-niemieckich. Opowiada się za inicjatywą Michnika, by wydać w polsku opracowania niemieckie dotyczące sprawy wysiedlenia w imię lepszego wzajemnego zrozumienia i znalezienia wspólnej prawdy dla złagodzenia nieprzyjaźni i urazów. Widzi w tym dalszy ciąg drogi, na którą weszli biskupi polscy w 1966 roku.

O wiele krytyczniej zapatruje się pismo *Historische Wahrheit* /z 14 grudnia 1984/. Atakuje Prymasów Wyszyńskiego i Glempa i zarzuca im dawanie złego przykładu, gdyż odmawiają duchowej opieki w języku niemieckim w kraju, gdzie nie tylko ludzie, ale i kamienie mówią o niemieckości, czego oni nie słyszą. Dowodzi, iż polskiemu przystawiu "jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem" właśnie dziś zaprzeczają sami Niemcy, którzy dają Polsce największą pomoc gospodarczą i finansową. Powołuje się na Michnika, który przyznaje, że parlament niemiecki przyczynił się do wypuszczenia z więzienia chorego Lipskiego, a Wąteśie utorował drogę do nagrody Nobla. Powołuje się również na Szreńta który przyznaje, że stosunki polsko-niemieckie straciły na ostrości.

Wyrzeczenie się przemyocy dałoby, zdaniem Niemców, Polakom, walczącym dziś o swe prawa, większe możliwości manewru na forum międzynarodowym. Prawa powinny być równe. Polacy, którzy odwoływali się do praw swojego narodu powinni zrozumieć, że i Niemcy budowali państwo narodowe.

Tyle jest wypowiedzi na temat najżywiej dziś jeszcze poruszający szeroką opinię niemiecką.

Niemieccy czytelnicy *Kultury* uważają, iż rzuca się w oczy jeśli nie pogarda, to całkowita nieufność Polaków do Niemieckiej Republiki Demokratycznej, do NRD. Przytaczają opinię Zdzisława Najdera, że wiele wskazuje na to, iż to właśnie NRD jest dziś rozsądnym wrogiem Polsce tendencji w Niemczech i że to właśnie NRD może stanowić największą przeszkodę na drodze do dobrosąsiedzkich stosunków. Miłość do Polski jest w NRD oficjalnie zakazana, nie ma tam swobodnej dyskusji. Niemcy wschodni czują się upokorzeni i zmuszeni do kłamstwa.

Jest inna jeszcze dziedzina, która wciąż nastrocza poważne trudności w stosunkach polsko-niemieckich, a mianowicie dziedzina argumentacji historycznej. I Polacy i Niemcy przywiązują dużą wagę do świadomości historycznej. Przechodzą ją pieczołowicie, jako żywą część składową swoich kultur. Czytelnicy nie-

mieccy zdają sobie sprawę i czują to, że przeszłość historyczna ciąży. Niemcy częściowo uznają swoje błędy, ale zarysowuje się bardzo wyraźnie tendencja do odmiennej interpretacji faktów historycznych.

Westdeutscher Rundfunk w swojej audycji przytoczył z artykułu Jana Szutrzynskiego całość wywodów historycznych, obciążających Niemców za niedochowanie Traktatu Wiedeńskiego z 1815 roku i za to, co przez następne stulecie nastąpiło. Powstrzymał się od komentarza, polecając słuchaczom przemyślenie i wyciągnięcie wniosków i zaznaczając, że polskiemu autorowi nie chodzi o wzbudzenie ducha odwetu, że porachunki są mu zupełnie obce, że chodzi mu o to, by w przyszłości nie budować na iluzjach, ale na trwałych podstawach. Ten obiektywizm zasługuje na uznanie.

Znalazła się jednak inna postawa, mniej troszcząca się o obiektywizm i zaskakująca interpretacją faktów historycznych. Oto przykłady: to Niemcy pierwsi spośród mocarstw rozbiornych odbudowali niepodległą Polskę w dniu 5 listopada 1916 roku, Polacy natomiast odrzucili dialog, nie okazali ani zrozumienia, ani wdzięczności. Inny przykład: pakt Ribbentrop-Mołotow rzeczywiście spowodował czwarty rozbiór Polski, ale to sama Polska zawiła, doprowadzając do tego swoją antyniemiecką polityką. Sam Piłsudski mówił ambasadorowi niemieckiemu w Warszawie, że 1000-letnia nienawiść narodu polskiego do Niemców jest wielką przeszkodą w realizacji przyjaznych stosunków.

Paradoksalne jest to, że tego rodzaju interpretacja faktów historycznych ukazuje się w piśmie, którego tytuł brzmi *Historische Wahrheit /Prawda historyczna/*.

Radio Bałwarskie przypomniło, że liberalna opinia księstw niemieckich stała po stronie polskich powstańców XIX wieku i że wspólne były ideały odrzucenia Rosji i cara, jako ucieleśnienia władzy absolutnej. "Ponad tysiąc pieśni odzwierciedliło entuzjazm Niemców dla Polski, nieprzeliczona masa artykułów, książek i broszur data mu wyraz". To jest prawda, ale nie cała. Znany mi jest list noszący datę 13 lutego 1849 roku, pisany przez W. Lüdersa. Był to Niemiec, redaktor wychodzącego w tym czasie w Szczecinie pisma pod tytułem *Wächter an der Ostsee /Strażnik nad Bałtykiem/*, w którym ów redaktor tak pisał: "Der Wächter przez swoje stanowcze poparcie Polaków został potępiony przez niemieckich partiotów i filistrów. Starzy przyjaciele i abonenci wyrzekają się pisma i otrzymam list z zarzutami braku partiotyzmu". To była właśnie epoka Wiosny Ludów, Polenlieder i manifestacyjnego uwolnienia Polaków z berlińskiego więzienia Moabitu, które skończyło się wielkim rozczarowaniem. A było to przed Bismarckiem, Wilhelmem i Hitlerem. Pamięć historyczna ciąży, może sprzyjać kompleksom po jednej i po drugiej stronie.

Wnioski końcowe

Z przeglądu reakcji niemieckich jasno wynika, że inicjatywa *Kultury* spotkała się, ogólnie mówiąc, z pozytywnym i żywym przyjęciem. Naturalnie, że w ramach takiego problemu jakim jest stosunek Niemców i Polaków, są sprawy sporne i zawsze jakieś będą. Istotą rzeczy jest to, że Niemcy podjęli ideę dobrosąsiedzkich stosunków w ramach odbywającego się procesu integracji narodów europejskich. Powodzenie tego procesu w dużej mierze zależy od uporządkowania stosunków polsko-niemieckich, którym trzeba nadać nowego ducha. To pobudzenie myśli *Kultura* osiągnęła.

Stosunki polsko-niemieckie są sprawą tak żywą, że przechodzić będą zmienne koleje. Trzeba być na to przygotowanym, nie zrażać się trudnościami i nie cofać się. Polska wszystko zdobywa z trudem, a takich trudności jakie miała Polska Niemcy nigdy nie doświadczyli. Polska, wyniszczona wojnami i brakiem ciągłości własnego życia kulturalnego i politycznego przez wiele generacji, ma o wiele trudniejszą pozycję wyjściową. Trudno spodziewać się szybkiego wyrównania poziomów między obydwojma narodami. Będzie to proces powolny. Niemcy muszą liczyć się z tym, że ludność Polski nie miała tych możliwości powszechnej oświaty,

ani stałości i ciągłości życia kulturalnego - nie z własnej winy. Polska od XVIII wieku była targana ciągłymi zrywami, była jakby mrowiskiem z zewnątrz rozrzuconym i wciąż siłą wewnętrzną odbudowywanym. Z perspektywy naszej, państwo 20-lecia to także tylko epizod - ale w rozmiarach europejskich.

Po drugiej wojnie Niemcy ponieśli duże straty terytorialne. Jeśli decydują się na dobrosąsiedzkie stosunki z Polską to dlatego, że są one konieczne dla integracji Europy i uczynienia z niej w przyszłości jednego z głównych ośrodków polityki światowej. W tym kierunku prowadzą wywody niemieckiego numeru *Kultury*.

Uderzające jest powszechne uznanie Niemców dla *Kultury*. Nie tylko dla samego numeru niemieckiego, ale w ogóle jako dla środowiska polskiego na emigracji. Imponuje im, że pracuje ono od 1947 roku pod kompetentnym kierownictwem, iż ma wyraźny i konsekwentny program, inteligentnie przemyślany, nadążający za biegiem wydarzeń, sięgający w przyszłość. 455 numerów miesięcznika, ponad 400 książek, 72 tomy *Zeszytów Historycznych* czytanych przez Polaków w świecie i w kraju - to osiągnięcie które obudziło podziw Niemców, dawniej skłonnych widzieć w Polakach stłonią ogień, brak talentu organizacyjnego i ładu w "polskim gospodarstwie". Zobaczyli coś zgoła innego. Niemcom nie imponuje blichtr, zyskuje się ich rzetelną pracą.

Alfred Theisen w *Kulturpolitische Korrespondenz* w Bonn /10 lutego 1985/ tak to ocenił: "Do radości, podziwu i uwag krytycznych pod adresem numeru *Kultury* miesza się nieco smutku, kiedy uprzytomni sobie, że Niemcy ze wszystkich części naszej ojczyzny nie mają takiego wspólnego forum, jakim jest dla Polaków *Kultura*. Należy mieć nadzieję, że ten numer specjalny pozostanie w pamięci bońskich strategów od stosunków polsko-niemieckich trwałej, aniżeli ustawiczne kampanie rewanzystowskie!". Dodać można i to, że na niemiecko-amerykańskim spotkaniu przygotowawczym do konferencji w sprawach Europy Środkowej i Wschodniej mającej odbyć się w Berlinie Zachodnim, Heinrich Windelen, minister do spraw ogólnoniemieckich w Bonn, zwrócił uwagę na interesujące koncepcje i sformułowania *Kultury*, nadające się do poważnych rozważań.

Jak rozumieć to powodzenie? Sądę, że *Kultura* w umiejętny sposób dotknęła problemu, który od lat zaprząta umysły zarówno niemieckie, jak i polskie. Zawsze jednak brakło wizji rozwiązania tego problemu, co prowadziło do poczucia beznadziejności. *Kultura* przyniosła optymizm, tak bardzo potrzebny Europie naszych czasów, pokazała że ten problem nie jest nierozwiązywalny. Wypowiedzi dwunastu polskich autorów wskazują drogę, wychodząc naprzeciw potrzebom czasu. Obudziła się też świadomość, że problem stosunków polsko-niemieckich nie spoczywa w rękach tylko wielkich mocarstw, że nie decyduje się wyłącznie w płaszczyźnie stosunków między mocarstwami atomowymi; obudziło się poczucie samodzielności i tego, że nie jesteśmy skazani na własną bezradność i bezwolne oczekiwanie na to, co fala światowych wydarzeń nam przyniesie. Od nas samych zależy rozwiązanie tej jednej z największych bolączek Europy i to jest możliwe. Niemcy zobaczyli, że Polacy posiadają umiejętność politycznego myślenia i że gotowi są działać we właściwym kierunku. Ich bronią jest siła słowa, umiejętnie sformułowanych myśli, które budzą w ludziach nową świadomość. Ludzie na to czekają. Bronią słowa wyrażającego ducha i potrzebę czasów to - jak stusznie Niemcy zauważyli obserwując doświadczenia polskie - bardzo silna broń. Posługiwali się nią Marks dla tworzenia nowych świadomości społecznych.

Sąsiedztwo geograficzne narzuca Polakom i Niemcom pewien naturalny nakaz solidarności. Sytuacja geograficzna może być czynnikiem dodatnim albo ujemnym, zależy to od wyboru woli ludzkiej. Sytuacja geograficzna z natury rzeczy powinna być podstawą siły politycznej. Wola ludzka może oddziaływać na geopolitykę. Wskazuje ona kierunek zależności od czasów. Ongiś nas Polaków z Litwinami, obcymi nam i wrogami, złączyła potrzeba przezwyciężenia prężnej ekspansji niemieckiego państwa Zakonu misyjnego. Wtedy trzeba było się naginać i niełatwo przychodziła "Unia". Podobnie dzisiaj trzeba współżyć pomimo różnic.

Przeszkodą w jednolitej akcji politycznej jest zaściankowość polityki. Polacy są narodem, który własnego państwa tak dawno nie posiadał, że wyrobił w sobie kulturę apafiśtową - to było zdanie Piłsudskiego. Trzeba rozumieć nowe konieczności państwowe. Trzeba umieć współżyć, pomimo różnic w charakterze narodowym i w tradycjach narodowych i kulturalnych. Jest to sprawa tak istotna, że słusznie pisze Zdzisław Najder: "Współżycie ciężko doświadczonych narodów, jakimi są Polacy i Niemcy, nie może opierać się na formułach prawnych i ich egzekucji". Dodam od siebie, że wokół stosunków polsko-niemieckich narosło tyle resentymentów, a nawet kompleksów, że logika rozumowania z trudem trafia do uczuć wywodzących się często z poczucia krzywd historycznych, a więc żywo emocjonalnych. Siłą przekonywującą jest dziś instynkt samozachowawczy. On może uratować nasze wzajemne stosunki. Trzeba ześrodkować i spotęgować siły we wszystkich kierunkach, a cofanie się przed przeszkodami i uznanie siebie za bezsilnych jest nie do darowania, byłoby marnowaniem okoliczności i utratą okazji. Po katastrofie ogólnego "holocaustu" w Europie zapanało mniemanie, że jesteśmy zdani na decyzje mocarstw, a przecież tak dużo zależy od nas samych, od Niemców i Polaków.

Myślę, że droga tak zwanego "wyrównania porachunków" może nie prowadzić do celu. Bóceniom jej znaczenie psychologiczne. Jednakże odważanie argumentów na szali obrachunków sprawiedliwości jest rzeczą bardzo trudną. Niełatwo zdobyć się na ocenę obiektywnego ciężaru odważników i każda ze stron niewądzicie zawsze odważnik cięższy. Wchodzą w grę sprawy, których ani odważyć ani wymierzyć się nie da.

Dla przyszłości trzeba wielkoduszności w polityce z gatunku tej, jaką mieli ci którzy pogodzili Francję i Niemcy. Sprawa polsko-niemieckich stosunków jest trudniejsza, wymaga jeszcze szerszych horyzontów myślowych i jest tak ważnej natury, że słuszny jest pogląd Józefa Szretta piszącego z Polski, iż potrzeba ugody jest tak istotna, że trzeba podejmować starania nawet jednostronne, w nadziei, że taka postawa z biegiem czasu rozbroi antagonizm strony przeciwnej.

Za rzecz bardzo istotną uważam konieczność stworzenia w umysłach i wyobraźni Niemców jasnego pojęcia, czym jest w Europie państwowość polska. Wiadomo, jaką wagę ma w kulturze niemieckiej ideologia filozoficzna i historycyzm. Nie tak jak u Anglosasów, wyznających przekonanie: *economie d'abord*. Argumentacja historyczna żyje w świadomości Niemców. Po obu stronach postępujemy się argumentami takimi jak: historyczna ekspansja kultury miast z zachodu na wschód, historyczny wkład niemiecki do kultury polskiej w ogóle, do jej handlu, rzemiosła, budownictwa, nawet sztuki. To jest święta prawda, ale trzeba sobie zdawać sprawę, że to się odbywało w państwie polskim, szerzej mówiąc w Zjednoczonym Królestwie Polski, Litwy i Rusi. Biorąc pod uwagę zasadniczą różnicę w procesie kulturalnego i politycznego rozwoju pomiędzy Zachodem i Wschodem Europy, te wkłady cywilizacyjne przypominają w pewnym sensie rolę nabywców koncesji, którzy tak się zagospodarowali w obcym państwie, że pretendują do własnych praw politycznych. Trzeba to rozumieć w kontekście Polski jako całości historycznej.

Nie można wyrobić sobie pojęcia o Polsce tylko na podstawie "przyczynków historycznych". Dają one dowolnie skomponowany obraz fragmentaryczny: mogą świadczyć o tolerancji i nietolerancji, o lojalności i nielojalności, o sprawiedliwości lub ucisku, o zamiłowaniu do wolności albo o skłonności do anarchii. To zagadnienie nie dotyczy tylko Polski, ale w ogóle całej Wschodniej Europy. Ma ona bowiem swoją odrębną od Zachodu, organiczną historię rozwojową. Było w niej duże pomieszanie narodowości i kultur i różne pola magnetyczne przyciągających się kultur i sił politycznych.

Znaczenie historii Polski przedstawionej przez historyka angielskiego Normana Daviesa w książce "God's Playground, a History of Poland" polega na tym, że nareszcie dała Anglosasom całościowy obraz żywej historii organizmu państwowego Polski i jego roli w Europie, nie ukrywając żadnych błędów ani kompromitujących właściwości życia polskiego w dawnych wiekach, nie upiększając

niczego, a jednak rewaloryzując znacznie i rolę historyczną Polski w Europie. Historiografia niemiecka potrzebuje tego typu nowego wy tłumaczenia znaczenia Polski, jej roli i miejsca w Europie. Niemcy wiedzą dobrze, że rozbiory zredukowały Polskę do zagadnienia terytorialnych rozgraniczeń - *Nachbarschaftsproblem*. Okazywano lojalność, gdy była silna, dopuszczano się nielojalności w okresie jej słabości i upadku. Trzeba też zrozumieć, że wkład w rozwój cywilizacji materialnej nie jest substytutem wkładu w rozwój ogólnej kultury narodowej, nie zastępuje tego największego wkładu w kulturę, jakim jest oświata, a właśnie jej nam odmawiano.

Osobowość Polski zginęła w znaczeniu europejskim, ale trzeba się wyzwoić z poglądu, że Polska to tylko sprawa granic. Poczucie całości Europy odejmie w przyszłości znaczenie granicom. Żyjemy w czasach, których potrzebą jest sięganie do podstaw, do źródeł, do genezy dla poznania osobowości. Dotyczy to zarówno jednostek, jak i narodów. Mówi o tym doskonale "Rodzinna Europa" Miłosza w skali jednostkowej. Naród ma też swoją osobowość. Tak rozumiana i przemysłana znajomość Polski pokazuje, że koncepcja "dwóch ojczyzn, dwóch partiotyzmów" nie jest rzeczą nową, istniała nie tylko w państwie polskim, ale i w innych krajach Europy Wschodniej.

Jeżeli rzeczywiście dojdzie kiedyś do jakiegoś traktatu pokojowego z Niemcami, o którym mówi Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe i Konstytucja Bundesrepublik, to taki traktat - logicznie biorąc stanowiący według prawa narodów zakończenie wojny - mógłby tylko potwierdzić nowe zasady współżycia narodów, mógłby mieć znaczenie jakiejś nowej *Magna Charta*, deklarującej jeszcze wyraźniej zasady prawa narodów i ich współżycia w Europie, ale nie mógłby zajmować się przesuwaniem murów granicznych. Takie stanowisko bardzo jasno wypowiedział w doskonałej mowie na 40-lecie zakończenia wojny Prezydent Niemieckiej Republiki Federalnej von Weizsäcker.

Koncepcja Rzeszy Niemieckiej, czy to w formie Bismarcka czy nawet Habsburgów, jest już przeżytkiem. Jest tak samo poza czasem jak Rzeczpospolita Zjednoczonego Królestwa Polski, Litwy i Rusi. Piłsudski to rozumiał i nie sięgał niewolniczo do przeszłości, ale szukał nowej formy współżycia narodów sąsiedzkich. Szukał też ugody z Rosją. Przeobrażenia te dokonują się wśród konwulsji drogą rewolucyjną. Nie ma innej. Taka tylko jest droga do uzyskania praw człowieka jako jednostki i praw narodu. Oczywiście, że aby to zrozumieć, potrzeba rewolucji. W kontekście stosunków polsko-niemieckich jest to ogarnięcie całości dziejów Europy z jej specyficznymi warunkami rozwojowymi i widzenie Polski w tym kontekście, nigdy poza nim. Tylko ta droga prowadzi do zbliżenia. Historia staje się wspólną własnością i fundamentem wspólnej przyszłości. Tylko na tej drodze Polska wróci do znaczenia ogólnoeuropejskiego.

Cechą kultury niemieckiej jest posłuch dla władzy, poszanowanie dla państwa, solidaryzowanie się z kierunkami nadawanym z góry. Przy okazji toczących się w Warszawie przed wojną pertraktacji o uznawanie ustaw norymberskich przez Polskę - których Polska nigdy nie uznała - spytałem wyższego urzędnika niemieckiego jak on, pochodzący z rodziny o starych kulturalnych tradycjach, może z przekonania przyjmować ustawy norymberskie, *Mein Kampf* i filozofię Rosenberga, niemieckiego Bałty. Odpowiedział mi, że po przegranej wojnie i po upadku monarchii Niemcy nie wiedzieli czego się trzymać, a teraz "każdy wie co myśleć".

Nam chodzi o to, ażeby stosunki polsko-niemieckie nie były sprawą tylko przejściowej mody na Solidarność, Papieża, Watęśę, lub sprawą ślepego posłuchu z góry. Dlatego tak ważną jest reedukacja obu narodów, obejmująca ogół ich myślących społeczeństw. Dla strony polskiej bardzo duże znaczenie ma emigracja polityczna jako wyraziciel prawdziwej, niezależnej opinii narodu polskiego.

Na pytanie czy Niemcy nasze wywody w niemieckim numerze *Kultury* zrozumieli odpowiadam - myślący Niemcy zrozumieli.

Jan SZUŁDRZYŃSKI ur. 1903 w Bolechowie Poznańskim. Studiował prawa i nauki polityczne na uniwersytetach w Poznaniu, Krakowie i Londynie. Pracował przed wojną w Warszawie w Departamencie Ustawodawczym Ministerstwa Sprawiedliwości jako specjalista prawa rolnego i prawa niemieckiego. W czasie wojny kierownik prasy Jednostek Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie. Po wojnie współpracował z Mid-European Research and Planning Center w Paryżu. W latach 1953-1972 profesor na Uniwersytecie w Addis Abebie, kierownik Departamentu Nauk Społeczno-politycznych. Obecnie w Londynie profesor PUNO.

Autor publikacji:

"Komentarz do ustawy finansowo-rolnej", Warszawa 1933.

"Dziejowa idea państwa polskiego", Jerozolima 1943.

"Anglia i Polska w Polityce Europejskiej", Jerozolima 1945.

"The Pattern of Life in Poland", VI - "The Family", Paryż 1952; XVI - "The Situation of The Catholic Church", Paryż 1953.

"The Legal Aspects of The Organisation of European Economic Cooperation OEEC", Londyn 1953.

"Wspomnienia Wielkopolskie", Londyn 1977.

KULTURA, wrzesień 1985

ROZMOWA Z DEZERTEREM SOWIECKIM*

ADAM KONAR: - *Skąd pochodzisz i co robieś zanim zostałeś powołany do wojska?*

ALEKSANDER: - Pochodzę z miasta Woroneż w centralnej Rosji, jest to miasto milionowe, około 600 km na południe od Moskwy. Mój ojciec jest spawaczem i hydraulikiem, a matka pracuje jako zwykła robotnica w magazynie. W Woroneżu skończyłem szkołę - dziesięcioletką, później pracowałem przez rok w fabryce mechanicznej, była to forma stażu.

A.K.: - *Jak żyje młodzież w twoim kraju? Jakie są perspektywy dla młodych ludzi?*

A.: - Perspektyw nie ma żadnych. Każdy uczeń wie, że w przyszłości czeka go jakaś praca, ale żeby później coś z niej mieć trzeba będzie kombinować, spekulować. Dla uczciwej pracy miejsca nie ma. W dziesięcioletce jeżeli dobrze znasz prace Lenina - dobrze znasz wszystko. Po takiej szkole można iść na studia, ale jest bardzo ciężko dostać się na nie, przeważnie przy pomocy znajomości lub za pieniądze. Młodzież sowiecka zachwyca się amerykańskim stylem życia, często powtarza się pytanie: dlaczego nie urodziłem się w Stanach Zjednoczonych?

A.K.: - *Ile zarabiałeś po szkole, w fabryce?*

A.: - Jako uczeń dostawałem do 30 rubli miesięcznie, a na przykład telewizor czarno-biały kosztował około 200 rubli. Mój ojciec, który był fachowcem wyso-

x Aleksander ma dziś 22 lata. Nie ujawniamy jego nazwiska ze względu na bezpieczeństwo. Przeprowadzający wywiad postępuje się także pseudonimem. Robimy tak dlatego, że "nieznani sprawcy" włamali się do mieszkania Konara i innego jeszcze dziennikarza i skradli taśmy magnetofonowe nagrane z Aleksandrem /na szczęście nie było na nich nic, co mogłoby zdekonspirować osoby, które pomagały mu w Polsce/.

kiej klasy, z 20-letnim stażem pracy, zarabiał dużo - jako spawacz 180-200 rubli, a później jako hydraulik 120-140 rubli miesięcznie.

A.K.: - *Co można kupić za te pieniądze?*

A.: - Zaopatrzenie jest paskudne - mięsa nie ma, kiełbasy nie ma, masło można dostać tylko słoje, można dostać konserwy rybne i słoje, ale kiedy była olimpiada w Moskwie, zniknęły nawet konserwy, pozostały puste lody. Natomiast wódki nigdy nie brakowało, zawsze było pełno. Istnieją również bimbrownie, gdzie alkohol można kupić jeszcze taniej niż w sklepach.

A.K.: - *Czy możesz porównać sklepy w Woroneżu do tych, które widziałeś w Polsce?*

A.: - W Polsce można przynajmniej dostać coś na kartki, a w sklepach w Związku Sowieckim nie ma ani kartek, ani towaru.

A.K.: - *Jak ludzie reagują na te pustki?*

A.: - Niczemu się nie dziwią. Między sobą skarżą się, ale jednocześnie wiedzą, że to nic nie da. Im bardziej w Związku Sowieckim brakuje towarów, tym bardziej kwitnie spekulacja, jeśli nie ma mięsa, to kombinuje się w kotłozach. Im bardziej brakuje artykułów, tym bardziej ludzie kradną w państwowych zakładach. I przeważnie do kogo przyjdiesz, zawsze jest mięso w lodówce, dzięki kombinowaniu właśnie. Istnieje również czarny rynek, gdzie możesz kupić bardzo różne rzeczy, ale bardzo drogo. Dlatego dla większości społeczeństwa rynek ten jest niedostępny. Na przykład stare dżinsy można dostać za 500 rubli, a to już jest majątek. Żywności tam nie ma, głównie odzież, buty, dokumenty - na przykład prawo jazdy, książeczka wojskowa czy legitymacja partyjna, a także broń. Rynek taki nazywa się *tołpa*, w Woroneżu nie ma stałego miejsca, wędruje dookoła miasta, w lasach. Dziś może być w jednym miejscu, jutro w innym, żeby utrudnić milicji jego znalezienie. Czasem zdarzają się obawy i wówczas milicja wszystko konfiskuje, ponadto są kary pieniężne. O tym gdzie jest *tołpa* ludzie informują się metodą pocztą pantoflowej; *tołpa* funkcjonuje w soboty i w niedziele. Samych handlujących jest zwykle około 300 osób, a kupujących co najmniej dwa razy tyle. W każdym mieście Związku Sowieckiego jest taki rynek.

A.K.: - *Jaki jest cel handlowania legitymacją partyjną?*

A.: - Jeżeli na przykład zatrzyma cię milicja, a masz przy sobie legitymację partyjną, to zazwyczaj zatrzymują nie ciebie, lecz twoją legitymację.

A.K.: - *Mówiłeś, że można kupić broń. Skąd się ona bierze?*

A.: - Najczęściej z transportów wojskowych z Afganistanu. Wartę trzymają żołnierze, którzy chcą wypić, więc kradną i sprzedają. Jest to broń zdobycza, przeważnie produkcji zachodniej. W Woroneżu bez problemu można było kupić mauser lub parabelum. Parabelum wraz z czterema opakowaniami naboju kosztowało 25 rubli, a więc niedrogo. Amunicja, której używa milicja pasuje do parabelum.

A.K.: - *Kto i po co kupuje broń?*

A.: - Młodzież. Na wszelki wypadek. Posiadanie broni jest zabronione, a więc trzeba ją mieć, mimo że grozi za to od 5 do 8 lat więzienia.

A.K.: - *Czy ludzie wiedzieli, co dzieje się w Polsce? Czy była sympatia dla "Solidarności"?*

A.: - Nie, raczej obojętność. Ludzie nie wiedzieli nic konkretnego, tylko to, co było w gazetach i w telewizji.

A.K.: - *Ale co myśleli?*

A.: - Ludziom było obojętne, co się tam dzieje. Po prostu ich to nie obchodziło. W fabrykach organizowano obowiązkowe wiece, których tematem była "kontrrewolucja w Polsce". Dawali w rękę transparent, ludzie stali i słuchali z senną miną i tyle. Ani wiec, ani jego przyczyna nikogo nie interesowała.

A.K.: - *Kiedy zostałeś powołany do wojska i czy od razu wiedziałeś, gdzie bę-*

dajesz służyć?

A.: - Do armii poszedłem w kwietniu 1981 roku. Początkowo przez miesiąc byłem wraz z innymi rekrutami w Tambowie, gdzie dzielono nas na grupy. Nikt nie wiedział, dokąd pojedziemy i gdzie będziemy służyć. Dopiero kiedy wydano nam umundurowanie - dla mojej grupy skórzane pasy i buty - os razu stało się jasne, że jedziemy za granicę. Jeśli służy się w Związku Radzieckim - buty i pasy są tylko w części skórzane, a w części z skóry. Mówiło się, że pojedziemy do Afganistanu i w związku z tym żołnierze przepijali wszystkie pieniądze.

A.K.: - *Co wiedzieliście na temat Afganistanu?*

A.: - Ludzie wiedzą tylko, że giną tam żołnierze, widzą przyjeżdżające stamtąd trumny, sam widziałem, do Woroneża też przyjeżdżały. A w telewizji mówi się o pokojowej misji.

A.K.: - *Czy ludzie wierzą w to?*

A.: - Ludzie po prostu nie zwracają na to uwagi, chyba że ktoś z rodziny jest w Afganistanie.

A.K.: - *Czy baliście się jechać do Afganistanu?*

A.: - Tak. Żołnierze się boją. Dopiero w samolocie dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Polski. Najpierw ulżyło wszystkim, ale zaraz pomyśleliśmy, że tam zrobią przecież drugi Afganistan.

A.K.: - *Opowiedz o swoim pobycie w Polsce.*

A.: - Wylądowaliśmy w Kluczach na dużym sowieckim lotnisku wojskowym na północy Polski. Mnie początkowo wzięto do kompanii wartowniczej w Toruniu, a później zostałem przeniesiony do Oławy pod Wrocławiem. Z Polakami nie mieliśmy kontaktów. Przepustki były zabronione, nie wychodziliśmy do miasta. Można było jeszcze pojechać do jednostki polskiej, ale oficerowie wybierali tylko samych "lepszych" żołnierzy. Kontaktów legalnych nie było, ale były nielegalne. Handlowaliśmy papierosami, cukrem i benzyną.

A.K.: - *Co wiedzieliście wówczas o Polsce, o "Solidarności"?*

A.: - Niewiele, tyle co w gazetach, w *Prawdzie* czy w *Czerwonej Gwieździe*. Z tych artykułów robiono nam odczyty. Dowiadaliśmy się z nich, że w lasach grasują "bandy uzbrojonych rolników", ale nikt z nas nie wiedział, co oznacza słowo "rolnik"; tłumaczono, że to kułak.

A.K.: - *Czy sami rozmawialiście na ten temat?*

A.: - Nie. To nikogo nie interesowało, było dla wszystkich obojętne.

A.K.: - *Nie ciekawiło was to, czy też baliście się o tym mówić?*

A.: - Nie ciekawiło. Wszyscy się wkurzali, kiedy zaczęli nam robić w nocy alarm mówiąc, że to w związku z "Solidarnością", w związku ze strajkiem w Gdańsku.

A.K.: - *Na co się wkurzali: na strajk w Gdańsku, czy na oficerów, którzy robili alarm?*

A.: - Początkowo na strajk, później na oficerów, a jeszcze później żołnierze przestali reagować, tylko się śmiali. Przyzwyczailiśmy się.

A.K.: - *Czy takie alarmy były częste i kiedy się zaczęły?*

A.: - Były częste, zaczęły się jeszcze w lecie.

A.K.: - *Jak oficerowie traktowali zwykłych żołnierzy?*

A.: - Jak by było, szeregowy dla oficera się nie liczył.

A.K.: - *Co ty robiłeś w wojsku?*

A.: - Byłem w baterii inżynierskiej na etacie szewca i krawca. Przez cały dzień pracowałem. Gimnastyka, śniadanie i praca.

A.K.: - *Kiedy i dlaczego zdecydowałeś się stamtąd uciec?*

A.: - W pewnym momencie dostałem się do kompanii karnej w Brzegu. To, czy i za co się tam trafi, zależy od humoru oficera. Któregoś dnia oficer był pijany i kazał mi czyścić ubikację szczoteczką do zębów. Udałem się do niego i powiedziałem: "tam gdzie należy" i w związku z tym dostałem miesiąc kompanii karnej. Wykonuje się tam ciężkie i najbrudniejsze prace. Poza tym dwa razy dziennie braliśmy "naukę rozmowy z oficerami", gdzie po prostu dwaj podchorążowie bili mnie i kopali. A buty w armii sowieckiej są ciężkie, kute, i ważą pięć kilogramów. Lekcja taka trwała jakieś pół godziny. Po miesiącu znalazłem się w szpitalu. Miałem cały brzuch spuchnięty, w kolorze granatowym.

A.K.: - *Czy tak właśnie wygląda zwykły dzień w kompanii karnej?*

A.: - Tak. To było normalne. Rzadko się zdarza, aby ktoś wychodził stamtąd prosto do jednostki, zazwyczaj do szpitala.

A.K.: - *Powróćmy do decyzji o ucieczce.*

A.: - Właśnie po tej kompanii karnej zdecydowałem się uciec. Pomyślałem, że może "Solidarność" mi pomoże. I tak się stało. Kiedy już byłem w jednostce, udałem, że boli mnie serce, zrobiono mi elektrokardiogram, w wyniku którego otrzymałem jeden dzień zwolnienia i dzięki temu jakby zapomnieli o mnie. Wieczorem pozbiierałem do plecaka kilka niezbędnych rzeczy i związałem przez mur. Przez trzy dni ukrywałem się na strychu w PGR, żywiąc się kukurydzą z pobliskiego pola. Później skradłem rower i przyjechałem do Wrocławia.

A.K.: - *Czy cały czas byłeś w mundurze?*

A.: - Tak, w mundurze, ale zerwałem pagony i gwiazdkę z czapki.

A.K.: - *Co było dalej, we Wrocławiu?*

A.: - Pytałem na ulicach ludzi o "Solidarność". Dziwili się, ale mówili gdzie jest. Kiedy wreszcie znalazłem budynek, było już za późno. Ukryłem się na strychu w sąsiednim bloku. Rano wróciłem, ale kiedy wszedłem do budynku, zobaczyłem na korytarzu polskiego majora, który miał przypięty znaczek "Solidarność". Schowałem się w ubikacji i gdy ktoś tam przyszedł, opowiedziałem mu całą swoją historię. Ten ktoś powiedział mi, żebym się schował w kabinie i że on po mnie wróci, kiedy korytarz będzie pusty. W pokoju był inny człowiek, który świetnie mówił po rosyjsku, powiedział, że muszę najpierw sprawdzić całą historię, bo obawiają się prowokacji. Ukryli mnie w bezpiecznym miejscu, a po trzech tygodniach pojechałem do Warszawy. W Warszawie ludzie z "Solidarność" zaprowadzili mnie do ambasady szwedzkiej, ale tam powiedziano nam, że muszę najpierw sprowadzić tłumacza, i że teraz nic nie mogą zrobić. A w międzyczasie wybuchł stan wojenny.

A.K.: - *Jak zareagowałeś?*

A.: - Myślałem, że będzie wojna, że "Solidarność" pójdzie do lasu i ja też pójdę do lasu. Później straciłem kontakt z "Solidarnością", ukrywałem się u przypadkowych ludzi, potem znowu odnalazłem kontakt z podziemiem. W czasie stanu wojennego ukrywałem się, nie chodziłem po ulicach. Później już się poruszałem, pracowałem, głównie w prywatnych warsztatach i u rolników. Po roku znałem już język polski.

A.K.: - *Czy miałeś jakieś spotkania z milicją?*

A.: - Tak, raz kiedy wracałem z gór do Warszawy wylegitymował mnie na dworcu w Nowym Sączu milicjant. Kiedy wyciągałem rzeczy z plecaka, wypadł mi oryginalny, radziecki dowód osobisty i prawo jazdy. Zapytał, dlaczego jestem w Polsce i gdzie mam paszport. Odpowiedziałem, że odpoczywam po wypadku samochodowym, a paszport zostawiłem w ambasadzie z obawy przed kradzieżą. Milicjant odszedł, ale cały czas spoglądał na mnie. Podszedłem wówczas jeszcze raz do niego, zadawałem mu jakieś nieważne pytania, żeby przetrwać do innych. Kiedy przyjechałem do Warszawy, cały czas się bałem, że dwaj policjanci, którzy zyskali do mnie kontakt, przyjeżdżają i zabiją i zżądzą moją rodziną i gospodarstwem.

A.K.: - *Co ci groziło w razie wypadki?*

A.: - Kara śmierci. Za dezercję, za zdradę i za współpracę z "antysocjalistyczną organizacją" - kara śmierci.

A.K.: - *Czy poza ambasadą szwedzką miałeś kontakty z innymi ambasadami?*

A.: - Tak, z amerykańską. Przyjaciele poradzili mi, że jeśli dam wywiad do *International Herald Tribune*, wówczas Amerykanie na pewno mi pomogą. Wywiad dałem, poszedłem do ambasady, ale oświadczono mi tam, że nie mogą mi pomóc.

A.K.: - *Jak cię ludzie przyjmowali, kiedy się ukrywałeś? Czy wiedzieli, kim jesteś i czy dawano ci odczuć, że jesteś Rosjaninem?*

A.: - Nie, nie dano mi odczuć. Zawsze byłem wśród swoich. Ukrywałem się u różnych ludzi: u chłopów, robotników i inteligentów. Zmieniłem około 30 mieszkań. Do czasu kiedy mówiłem tylko po rosyjsku, wszyscy wiedzieli, kim jestem.

A.K.: - *Czy stykałeś się z działalnością "Solidarności"?*

A.: - Czytałem niezależne biuletyny, *Tygodnik Mazowsze*, *KOS*, czytałem również "Archipelag Bułag" Sołżenicyna po polsku.

A.K.: - *Czy chciałbyś przekazać coś przyjaciołom w Polsce?*

A.: - Tak, chciałbym ich pozdrowić i podziękować tym wszystkim, którzy mi pomogli.

A.K.: - *Miejmy nadzieję, że dojdą do nich twoje słowa. Dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiał Adam KONAR

KULTURA, listopad 1985

ADAM KRUCZEK

W SOWIECKIEJ PRASIE

Niektórzy inteligenci narzekają na telewizję: że to nie jest sztuka, że bezmyślna strata czasu itd. Trudno mi się z tym zgodzić, bo nie dalej jak kilka tygodni temu pokazali mi w zaczarowanym okienku dwa zadziwiające spektakle: Renaud w Moskwie i Gorbaczowa w Paryżu. Renaud to - jak wszyscy wiedzą - francuski piosenkarz, który udał się do stolicy dojrzałego socjalizmu na festiwal młodzieży; Gorbaczow, generalny sekretarz KC KPZS, przyjechał do Paryża z pierwszą oficjalną wizytą na Zachód.

Reportaż z pobytu Renaud w Moskwie poprzedził audycję z Gorbaczowem w roli głównej i pozwolił w ten sposób raz jeszcze docenić, jak Moskwa przygotowuje spotkania - zarówno wizyty u siebie jak wyjazdy w gości. Renaud dołączył się do francuskiej delegacji, złożonej z komunistów. Sam piosenkarz zdaje się nie należy do partii, ale wyznaje skrajnie lewicowe poglądy, bliższe raczej anarchizmowi. Jak wyjaśnił, zapragnął podzielić się swymi przekonaniami z sowiecką młodzieżą. Francuska telewizja nagrywała cały pobyt modnego śpiewaka. Sowietci zorganizowali przedstawienie w trzech aktach. Widocznie niektórzy francuscy delegaci podzielili się z moskiewskimi gospodarzami wątpliwościami co do repertuaru Renaud, bo w pierwszym akcie "sowiecka super-star" /onaż *dixit*/ udała się - jak gwiazda do gwiazdy - z wizytą do Renaud i mimochodem zainteresowała

się tekstami piosenek, które zamierza śpiewać na jedynym solowym koncercie. Szczególnie interesowało ją, czy Renaud nie ma w repertuarze piosenek politycznych. Francuski pieśniarz dumnie oświadczył, że ma. Na przykład piosenkę "Dezerter" o tym, że niepotrzebna jest armia i wojny, a potrzebny pokój i przyjaźń między narodami.

Akt drugi: koncert. Najpierw oznajmiono Renaud, że biletów nie będzie w sprzedaży: wejścia tylko za zaproszeniami. Potem okazało się, że koncert, wyznaczony na czwartą po południu, zacznie się o dziewiątej wieczór. Wreszcie na ekranie pokazano szczęśliwych posiadaczy zaproszeń, przedzierających się przez potrójny kordon milicji. Tak doszliśmy do aktu trzeciego: Renaud odśpiewał dwie piosenki, po czym zapowiedział "Dezertera". Ledwo doszedł do słów "Rosjanie i Amerykanie szykują zgnębłą planetę", jak zabłyśniętą świetlną sygnalną i sowieccy słuchacze jak jeden mąż wstali i opuścili salę.

Nie mniej starannie przygotowano wizytę Gorbaczowa w Paryżu. Najpierw omawiano sprawy protokołarne: strona sowiecka domagała się, żeby generalnego sekretarza przyjęto jak głowę państwa. Francuzi zgodzili się bez oporu - koniec końców Gorbaczow rzeczywiście jest głową, wodzem. Potem, w przeddzień wylotu do Paryża, odbyła się w sali Katarzyny Wielkiej na Kremlu konferencja prasowa. Gorbaczow przez dwadzieścia minut czytał z kartki przemówienie o sukcesach Związku Sowieckiego i jego walce o pokój, po czym francuski dziennikarze zadawali pytania, na które generalny sekretarz odpowiadał już bez kartki, co z nieukrywanym zachwytem opisywały wszystkie gazety świata. Przez trzy dni Gorbaczow z żoną lub bez żony nie schodził z ekranów francuskiej telewizji. Ze Stanów Zjednoczonych zjechało stu dziennikarzy telewizyjnych, aby zarejestrować dla współczesnych i potomnych każdy jego ruch. Wszyscy byli oszołomieni, że Gorbaczow sam chodzi, nie rozpada się w oczach, mówi głośno i wyraźnie.

Trudno powiedzieć, by generalny sekretarz KC KPZS podbił serca francuskich polityków czy Paryżan. Byli rodacy Gorbaczowa, uważnie obserwujący go w telewizji, podzielili się na dwa obozy: jedni uważają, że wygląda i mówi jak przeciętny sekretarz obwodowego komitetu partii, drudzy - że wygląda i mówi jak przewodniczący zamożnego kotchozu.

Także w Związku Sowieckim zdania na jego temat są podzielone. Andriej Wozniesiński, który wystąpił w reportażu "Renaud w Moskwie", wyznaje, że kiedyś był pesymistą, ale teraz, po objęciu władzy przez Gorbaczowa, stał się optymistą. W ślad za Jewtuszenką i innymi Wozniesiński opublikował 29 września w *Prawdzie* hymn na cześć nowego generalnego sekretarza. "Nadzieją dyszy wytrzeźwiała Rosja" - pisze poeta. Nadzieja naturalnie związana jest z nowym gensekiem. Jeszcze uroczyściej wyznaje swą wdzięczność za "nadzieję" Nikołaj Tichonow, który poprosił o zgodę na dymisję ze stanowiska prezesa Rady Ministrów. Tichonow dziękuje "za wszystko" KC partii, Biuro Politycznemu, ale przede wszystkim "osobiście Wam, Michaił Siergiejewiczu". Zwracanie się do wodzów po imieniu /Josif Wissarionowicz, Nikita Siergiejewicz, Leonid Iljicz/ i zwrot "osobiście Wam" - uświęcone wieloletnią tradycją oznaki kultu jednostki - tym razem pojawiły się bardzo szybko.

Obok nadziei i wdzięczności "Michaił Siergiejewicz osobiście" budzi i inne uczucia. Są już pierwsze dowcipy i przezwiska, dowód, że nowy generalny sekretarz nie jest może aż tak popularny, jak piszą poeci. Przyjęto się na przykład przezwisko "Misza Lemoniada", w którym wyczuwa się lekką ironię pod adresem wysiłków generalnego sekretarza, aby "otrzeźwić" kraj. Inne przezwisko - "meneralny sekretarz" - jest jednocześnie aluzją do kampanii Gorbaczowa, aby wódkę zastąpić wodą mineralną, i do miejscowości "Wody Mineralne", kurortu w rejonie Stawropola, gdzie jeżdżą do wód sekretarze KC. Tam spotkał ich sekretarz stawropolskiego *obkomu* partii Michaił Gorbaczow, zapewniając sobie poparcie, konieczne na drodze ku szczytom.

Najwymowniejszym dowodem, że Gorbaczow chce jak najprędzej zdobyć wszelkie insygnia władzy, był ogłoszony w *Ugolitku* nr 36 wywiad z akademikiem Dmitriem Lichaczowem. Największy specjalista od literatury staroruskiej, który za młodo

odsledził swoje na Sołowkach, wypowiada się na łamach *Ogonka*, pisma, które nawet w Moskwie nazywają reakcyjnym, myśli wysoce nieortodoksyjne. Przede wszystkim akademik uważa, że intelektualny i kulturalny poziom narodu sowieckiego bardzo się obniżył w porównaniu z okresem przed rewolucją. Lichaczow powołuje się na przykład inżynierów, tak zwanej elity technicznej. Do tego dodaje, że reforma szkolnictwa z 1984, która skróciła czas nauki przedmiotów humanistycznych na rzecz zajęć praktycznych, doprowadzi do dalszego spadku poziomu kultury. A w ogóle - oświadcza akademik - celem ludzkości jest rozwój kultury, a nie postęp naukowo-techniczny, walka o pokój itp.

Wywiad zdumiał wszystkich zarówno swoją treścią, jak i miejscem, w którym się ukazał /nakład ponad dwa miliony/. Rzecz się wkrótce wyjaśniła, zaczęto mianowicie rozpuszczać pogłoski, że Raissa Gorbaczowa osobiście napisała Lichaczowowi "My Was kochamy". Każdy przywódca sowiecki uważał za swój obowiązek zajmować się kulturą. Należy sądzić, że Gorbaczow, nie zadowolając się słuźalstwem nadwornych poetów, chce uchodzić za obrońcę prawdziwych wartości kultury.

Aktywność Gorbaczowa składa się ze słów /niezliczonych przemówień/ i czynów. Czyny sprowadzają się na razie do wymiany starych przywódców na nowych, mianowanych osobiście przez Michaiła Siergiejewicza. Po wprowadzeniu swoich ludzi do Biura Politycznego Gorbaczow przystąpił na przełomie września i października do wymiany na stanowiskach administracyjnych, posyłając na emeryturę prezesa Rady Ministrów Tichonowa /lat 80/ i przewodniczącego *Gospłanu* Nikołaja Bajbakowa /lat 74/. Tichonowowi podziękowali za służbę, natomiast Bajbakowowi przyrzeciono się to, co już wiele lat temu przewidywała jego żona. Lidia Szatunowska, żona starego bolszewika, która mieszkała w Moskwie w domu rządowym, wspomina w swych opublikowanych na Zachodzie wspomnieniach rozmowę z Klaudią Bajbakową, podówczas żoną ministra przemysłu naftowego. Szatunowska spytała Bajbakową, dlaczego spekuluje na czarnym rynku. Usłyszała na to szczerą odpowiedź: "My jesteśmy kalfami na godzinkę. Mój mąż dziś jest ministrem i wszyscy do niego odwracają, a w gabinecie przeczą w głos, że już nie jest ministrem, tylko nikim". Rozmowa ta miała miejsce w czasie stałinowskich. Sąjąc po oficjalnym komunikacie, nie jest wykluczone, że Bajbakow kontynuował się o swojej żonie z gazet.

W przemówieniach Gorbaczow wyczuwa się tendencję powrotu do "stalinowskiego" stylu stałinowskiego. Na zebraniu weteranów stachanowszczyzny generał sekretarza dużo mówił o "intensyfikacji tradycji pracy akordowej" stachanowców. *Prawda* z 21 września 1985 i z naciskiem podkreślał, że pół wieku, jakie minęło od dnia, kiedy Aleksiej Stachanow w cudowny sposób wygrał sto dwie tony węgla zamiast przewidzianych w planie siedmiu potwierdziło znaczenie tej metody pracy także na dziś. Wychwalając wczorajszych i jutrzejszych stachanowców, Gorbaczow dodał, że z nieudanych podróży na naftowe tereny zachodniej Syberii i ziemie dzwiczce Kazachstanu oraz rozmów z robotnikami i specjalistami wyciągnął wniosek, że "sowiecki robotnik i chłop, inżynier i uczonej mają głęboką świadomość swej odpowiedzialności za wykonanie stojących przed krajem zadań". Selektywny charakter listy - robotnik, chłop, inżynier i uczonej - nie budzi wątpliwości. Wymienieni "mają świadomość swej odpowiedzialności", ale są i tacy, co nie mają. Kto mianowicie? Odpowiedź znajdujemy w "politycznej dyskusji" akademika W. Afanasjewa w *Prawdzie* z 9 września 1985. Przypominając, że "KPZS jest partią rządzącą, toteż ona i jej komitety naturalną kolejną rzeczy odpowiadają za wszystko", akademik prosi nie zapominać, że "kierownicy gałęzi przemysłu, terenowych sowiecków i innych organizacji bezpośrednio odpowiadają za konkretne sprawy". W związku z tym "należy przede wszystkim ich pociągać do odpowiedzialności za gospodarce nieporządki...".

Jest to jasna odpowiedź na odwieczne pytanie, kto winien. Winne są złe organy planowania, złe kadry gospodarcze, złi administratorzy. Przez nich cierpi naród, przez nich tu i ówdzie brak niektórych towarów, no i przede wszystkim to oni przeskadzają w "intensyfikacji" i "przyspieszeniu postępu

naukowo-technicznego". Na zebraniu z weteranami stachanowszczyzny Gorbaczow mówił o napływających do KC listach, których autorzy proponują zastosowanie "energiczniejszych środków prawnych, materialnych i administracyjnych przeciwko tym, którzy nie chcą sumiennie pracować". Z tekstu wynika jasno, że dotyczy to nie tylko jakieś robotników, ale przede wszystkim "złych kadr kierowniczych". A poeta Wozniesiński, komentując jakby przemówienie Gorbaczowa, wypowiada się - w zasadzie - przeciw anonimowym listom-donosom, robiąc jednak wyjątek dla tych, którzy "muszą ukryć swe nazwisko /ryzykując głową w walce z niecną mafią".

Wśród ostatnich przemówień Miszy Lemoniady szczególne miejsce należy się mówie, jaką wygłosił w mieście Celinograd /*Pravda* z 11 września 1985/. Gdyby trzeba było dowodzić, że typ generalnego sekretarza w niczym się nie zmienia, mowa ta mogłaby być dowodem koronnym - Gorbaczow wychwalał sowieckie rolnictwo i wyliczył jego osiągnięcia: ogólna produkcja rośnie, wydajność się polepsza. "Pod względem ogólnej kaloryczności żywienia znajdujemy się na poziomie najbardziej rozwiniętych krajów... Jeśli idzie o mleko, jaja, ryby, cukier, owoce, kartofle - to poziom ich spożycia na głowę ludności jest nie niższy, a niekiedy wyższy niż w wielu krajach...".

Że jest to bezczelne kłamstwo, dowodzi list otwarty sowieckiego robotnika Olega Alifanowa do KC KPZS. Oleg Alifanow nie wysłał listu pocztą, tylko przyniósł go 30 lipca do francuskiej ambasady w Moskwie, gdzie poprosił o azyl polityczny. Sowiecki robotnik myślał, że wystarczy przedrzeć się na teren ambasady, aby być wolnym człowiekiem. Tak bywa, ale w innych państwach i miastach. W Moskwie Francuzi przyjęli list Alifanowa, po czym odprowadzili go do metra, gdzie go schwytała milicja. Oleg Alifanow znajduje się albo w więzieniu, albo w psychuszce, gdzie go leczą na brak wiary w mądrość partii i "osobiście" generalnego sekretarza.

List został opublikowany. Oto co pisze jego autor o sukcesach sowieckiego rolnictwa: "Od wojny minęło czterdzieści lat, a u nas jak dawniej towary przemysłowe sprzedaje się na talony, a podstawowe produkty żywnościowe na kartki. Nawet w Moskwie kupienie po pracy kiełbasy, mleka, kefiru, świeżego chleba czy jajek jest problemem. W Kujbyszewie i Ulianowsku człowiek może kupić miesięcznie na kartki nie więcej niż 50 dkg mięsa. W Surgucie, stolicy rejonu naftowego, gdzie mieszkam, jest lepiej - kartki opiewają na 2 kg mięsa na osobę, ale żeby je wykupić, trzeba całymi dniami biegać po sklepach w mieście. Albo choćby w mojej rodzinnej wsi ludzie przez cały dzień /także zimą/ czekają, aż dowiozą chleb i mleko. Kiełbasa jest dla mieszkańców wsi i miast towarem wręcz egzotycznym".

Generalny sekretarz oświadcza: niczego nie brak! Robotnik pisze: niczego nie ma. List Alifanowa można by uznać za wymysł obłąkanego, dysydenta lub antysowieckiego - co zresztą znaczy jedno i to samo. Można by, gdyby w piśmie *Nasz sowietnik* nr 7/1985 nie ukazała się powieść Walentina Rasputina "Pożar". Rasputin jest jednym z najgłośniejszych pisarzy sowieckich, autorem powieści "Żyj i pamiętaj", rzadkiej we współczesnej literaturze sowieckiej tragedii. Mimo bezspornego talentu Rasputin jest oficjalnie uznany, latem ubiegłego roku dostał nawet order Lenina.

Rasputin milczał przez blisko dziesięć lat. Jego nowa powieść jest króciutka - raptem 40 stron gazetowych, ale dawno już nie rozległ się w sowieckiej literaturze tak autentyczny krzyk bólu. Rasputin mieszka na Syberii i pisze o syberyjskiej wsi. Jego poprzednia powieść, "Pożegnanie z Matiorą", dotyczyła wsi zatopionej przez sztuczne jezioro, potrzebne dla budowy elektrowni wodnej, potrzebnej nie wiedzieć po co. Ludność zostaje przesiedlona do "osiedla typu miejskiego". Po dziesięciu latach pisarz odnalazł swoich przesiedleńców i zakrzyczał z bólu i rozpaczony nad ich losem. "Pożar" daje przerażający obraz dregnołady ludzi i bezlitosnego niszczenia lasów, ziemi, przyrody. Wybuchający w osadzie pożar jest symbolem ostatecznej zagłady i ostatecznego zwycięstwa zła. Dobro zmieniło się w słabość. zło w siłę. "W pryktyce: życiowej - pisze Rasputin - dobrym człowiekiem jest dziś już ten, kto nie czyni zła, kto niepytany do

niczego się nie wtrąca i w niczym nie przeszkadza".

Rozpacz autora jest tak wielka, że jedyny pozytywny bohater powieści, jedyny sprawiedliwy w osiedlu, traktorzysta Iwan Pietrowicz, na końcu opuszcza osadę. Gdzieś tam istnieje inna osada, w której nie wiedzieć czemu - pisarz tego nie objaśnia - żyją dobrzy sowieccy ludzie, pracujący uczciwie i żyjący godnie. Znając sowiecką cenzurę, można się domyślić, że stroniczka o "cudownej osadzie" jest okupem za resztę tekstu. W każdym razie publikacja "Pożaru" dowodzi, że ekonomiczna sytuacja kraju i morale obywateli znajdują się w fatalnym stanie i że Gorbaczow zamierza je zmienić - przy pomocy dawnych, wypróbowanych metod.

Wizyta we Francji przekonała generalnego sekretarza, że może liczyć na pomoc Zachodu. Z tym przekonaniem pojedzie do Genewy na spotkanie z Reaganem.

Niedawny podarunek - pokojowa nagroda Nobla dla organizacji lekarzy, walczących przeciw wojnie nuklearnej - może tylko podbudować generalnego sekretarza w ufnym spojrzeniu w przyszłość. Nagrodzoną organizację założyli w 1980 roku amerykański lekarz Bernard Lown i sowiecki lekarz Jewgienij Czazow. Amerykański lekarz-pacyfista zapewne wierzy w to, co robi. Czazow jest wiceministrem zdrowia ZSSR i członkiem KC KPZS. Nagrodzenie organizacji, której jest współ-przewodniczącym zostało przyjęte w Moskwie jako wyraz uznania dla polityki sowieckiej. To zresztą powiedział sam dr Lown, kiedy go powiadomiono o nagrodzie: piłka teraz znajduje się w rękach Reagana - amerykański prezydent powinien okazać się godzien sowieckiego budowniczego pokoju Gorbaczowa i jego reprezentanta prof. Czazowa.

Niewykluczone, że Szwedzi chcieli dać dr. Czazowowi nagrodę Nobla z medycyny: to on skutecznie leczył Breżniewa, Andropowa i Czernienkę. Uprzedzili ich jednak Norwedzy. Wątpię, by towarzysz Czazow miał o to do nich żal.

Adam KRUCZEK

15 października 1985

Sprawy i troski

KULTURA, listopad 1985

STANOWISKO KONGRESU POLONII AMERYKAŃSKIEJ

WYWIAD Z KAZIMIERZEM UKOMSKIM^z

KULTURA: - *Jakie stanowisko zajmuje Kongres Polonii Amerykańskiej w stosunku do reżymu generała Jaruzelskiego wobec wzmożenia polityki represji?*

KAZIMIERZ UKOMSKI: - Stanowisko to określa oświadczenie Krajowej Rady Dyrektorów KPA, uchwalone na zebraniu w czerwcu br. Stwierdza ono, że "rozwój wydarzeń w Polsce na przestrzeni minionego roku wskazuje niedwuznacznie, że celem władz komunistycznych jest zrównanie społeczeństwa polskiego w dół, do poziomu bezwolnej, biernej masy ludzkiej, ślepo i bezkrytycznie poddającej się dyrektywom i nakazom kierowanego z Kremla warszawskiego Politbiura". Podobną ocenę rządów generała Jaruzelskiego zawiera oświadczenie KPA, wydane w przeddzień jego przyjazdu do Nowego Jorku na sesję Ogólnego Zgromadzenia ONZ we wrześniu br. Oskarża ono generała Jaruzelskiego, że ulegając dyrektywom Gorbaczowa "stoi na czele komunistycznej dyktatury, której celem jest złamanie zdecydowanego oporu narodu polskiego przeciwko komunistycznemu zniewoleniu". Taka jest, niestety, logiczna konkluzja oparta na faktach rozwiniętych w dalszej części oświadczenia KPA.

KULTURA: - *Sformułowania, które Pan przytoczył odzwierciedlają uszczywnienie stosunku KPA do rządów generała Jaruzelskiego w porównaniu z jesienią ubiegłego roku, kiedy po tak zwanej amnestii Kongres wydawał się zajmować stanowisko bardziej umiarkowane, ulegając w pewnym stopniu teorii większego i mniejszego zła. Jak Pan to skomentuje?*

K.ł.: - W dużej mierze tak było istotnie. "Amnestię", w wyniku której zwolnionych zostało ponad 650 więźniów politycznych przyjęliśmy jako zapowiedź podjęcia przez władze polityki umiarkowania, która stwarzałaby szansę jakiegoś porozumienia i ułożenia nowego typu stosunków pomiędzy władzą i społeczeństwem. Nie był to pogląd odosobniony. Krakowski *Tygodnik Powszechny* pisał w wydaniu z 29 lipca 1984 roku, że: "ten pierwszy ważny krok stwarza szansę otwarcia społecznego w Polsce, ukazania ludziom realnych perspektyw egzystencji i działania". W tej sytuacji uważaliśmy za wskazane, żeby tak istotne - jak wtedy ocenialiśmy - posunięcie władz spotkało się z współmierną reakcją

^z Kazimierz Ukomski, wiceprezes Kongresu Polonii Amerykańskiej i przewodniczący Komisji Spraw Poiskich KPA.

rządu Stanów Zjednoczonych. Od czasu nałożenia sankcji w grudniu 1981 roku prezydent Reagan niejednokrotnie podkreślał, że zostaną one zniesione w miarę poprawy w zakresie poszanowania praw ludzkich w Polsce. Był to więc odpowiedni moment, żeby to stanowisko uwiarygodnić, dając przy tym niedwuznaczny sygnał, że dalsze posunięcia rozszerzające zakres praw ludzkich w Polsce spotkają się z równie znaczącymi koncesjami ekonomicznymi ze strony rządu Stanów Zjednoczonych.

Jak wiadomo, administracja prezydenta Reagana zamierzała początkowo ograniczyć reakcję na zwolnienie więźniów politycznych do cofnięcia zakazu regularnej komunikacji lotniczej LOT-u między Polską i Stanami Zjednoczonymi oraz do wznowienia wymiany naukowej. Uznaliśmy to za niewystarczające i zabiegaliśmy o wycofanie weta amerykańskiego na członkostwo Polski w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Stanowisko Kongresu przeważało wtedy decyzję prezydenta Reagana na korzyść wycofania weta, czemu przeciwstawiły się niektóre środowiska rządowe i co spotkało się z krytyką pewnych środowisk emigracyjnych.

Jak wiadomo, szansa porozumienia ze społeczeństwem zawiodła. W odpowiedzi jakby na świadomie podjęte przez rząd Stanów Zjednoczonych i poparte przez Polonię posunięcie, otwierające drogę do dalszej normalizacji wzajemnych stosunków, władze podjęły na nowo, ze wzmoczoną siłą, akcje represji. Wydaje się oczywiste, że stało się tak między innymi wskutek presji towarzyszy sowieckich, a zwłaszcza Gorbaczowa.

KULTURA: - Dlaczego spośród obowiązujących wtedy sankcji zdecydowaliście się popierać wycofanie weta na przystąpienie Polski do MFW, a nie wznowienie kredytów na zakup artykułów rolnych lub przywrócenie klauzuli największego uprzywilejowania w odniesieniu do taryf celnych w handlu pomiędzy oboma krajami?

K.t.: - Nie jest dla nikogo - także dla władz PRL - tajemnicą, że warunkiem poprawy sytuacji gospodarczej Polski jest uzyskanie pomocy ekonomicznej, głównie Stanów Zjednoczonych i innych krajów Zachodu. Członkostwo Polski w MFW umożliwiłoby Polsce uzyskanie tak potrzebnych kredytów. Jednocześnie państwa zachodnie, które w przeważającej mierze finansują i kontrolują działalność MFW, uzyskałyby pewien wgląd w system gospodarczy i pewien wpływ na zastosowanie reform, koniecznych do usprawnienia gospodarki polskiej, co z kolei jest nieodzowne dla jej długoterminowej odbudowy.

Same jednak kredyty zachodnie i nawet ich celowe wykorzystanie jeszcze nie wystarczają. Dalszym koniecznym warunkiem jest zwiększenie wydajności pracy na wszystkich szczeblach polskiej gospodarki. "Dla osiągnięcia jakiegokolwiek postępu ekonomicznego, spełnienie choćby minimalnych warunków politycznych jest absolutnie konieczne" stwierdzało niedawne oświadczenie NSZZ "Solidarność", omawiające uwarunkowania przystąpienia Polski do MFW: "żeby zapewnić atmosferę i mechanizmy pokojowego rozwiązywania konfliktów w zakładach przemysłowych, co jest konieczne dla zapewnienia większej produktywności, pluralizm związkowy - więc prawo pracowników do zakładania i wstępowania do organizacji odpowiadających im potrzebom - musi być dozwolone. Ponadto, tajemnica i cenzura odnośnie zagadnień ekonomicznych /z wyjątkiem dotyczących spraw wojska/ musi być zniesiona. Bez tych warunków niemożliwa jest niezależna kontrola decyzji politycznych" /chodzi tu chyba o decyzje dotyczące gospodarki. Przytoczone cytaty są tłumaczeniem z dostępnego mi tekstu angielskiego/.

Dopiero skoordynowane kredyty zachodnie, konieczne reformy zarządzania gospodarką, ujawnienie informacji o stanie i problemach gospodarczych kraju i spełnienie postulatów społeczno-politycznych "Solidarności", stwarzałyby realne warunki do odbudowy gospodarki polskiej. Wszystkie te elementy winny być podstawą obustronnych negocjacji zmierzających do przyjęcia Polski do MFW, co nawet przy wycofaniu amerykańskiego weta nie jest sprawą z góry przesądzoną. Zależy od pozytywnych rozwiązań całości problemów, które wskazałem.

Z drugiej strony wznówienie kredytów rolniczych lub przywrócenie klauzuli największego uprzywilejowania byłoby aktami jednostronnymi i nieodwracalnymi.

KULTURA: - *Jak Pan ocenia wizytę generała Jaruzelskiego w Nowym Jorku?*

K.t.: - Chyba najtrafniej podsumowała to redakcja nowojorskiego *Nowego Dziennika*: "W sumie Jaruzelski przyjechał i Jaruzelski odjechał. W sytuacji Polski nic się nie zmieniło". Odnosi się to zarówno do sytuacji wewnętrznej Polski, jak i do jej stosunków międzynarodowych. Spotkania Jaruzelskiego z szefami rządów ograniczyły się do premiera Brazylii i kilku innych mniej znaczących krajów. Nie było kontaktów z członkami rządu Stanów Zjednoczonych ani, o ile wiem, Wielkiej Brytanii, Francji i RFN. Rozmowy w Fundacji Rockefellera dotyczyły pomocy rolnictwu, którym Fundacja jest zainteresowana od kilku lat. Można spodziewać się, że ruszy ona z martwego punktu, podobnie jak Fundacja Pomocy Rolnictwu Indywidualnemu zainicjowana przez Episkopat. Uruchomienie obu tych inicjatyw byłoby pozytywnym środkiem naprzód w tak bardzo istotnym sektorze polskiej gospodarki. Jest natomiast mało prawdopodobne, żeby projekt, jaki generał Jaruzelski wysunął w ONZ, zwołania w Krakowie konferencji głównych państw-dłużników celem omówienia wspólnych problemów i uzgodnienia jakiegoś wspólnego stanowiska, był poważnie potraktowany. Nie sądzę, by na przykład Brazylia /105 miliardów dolarów długu/, Meksyk /100 miliardów dolarów/, Argentyna /47 miliardów dolarów/ i inne kraje o ustrojach demokratycznych chciały rozwiązywać swoje bardzo złożone problemy we współpracy z komunistyczną dyktaturą.

Wizyta generała Jaruzelskiego miała także swoje dobre, choć niezamierzone strony: ożywiła zainteresowanie sprawami polskimi, choć wyrazem tego zainteresowania był nieraz zniekształcony obraz rzeczywistości Polski. Z poważnych wystąpień należy odnotować artykuł redakcyjny *Washington Post*, który nawołując do wypowiedzi kardynała Glempa i Lecha Wałęsy - obaj wypowiedzieli się za zniesieniem sankcji - wyraził opinię, że Amerykanie powinni słuchać autentycznych głosów narodu polskiego, więc znieść pozostałe sankcje. Przy czym, podwołując się na komentarz Lecha Wałęsy, *Washington Post* ostrzega, że Zachód powinien domagać się gwarancji, że nowe pożyczki nie zostaną roztrwonione. "Polsce trzeba pomóc natychmiast, gdy taka pewność zaistnieje". W innym wpływowym dzienniku, *New York Times*, opublikowany został na pierwszej stronie niedzielnego wydania z 28 września artykuł Johna Darntona, byłego wleoletniego korespondenta pisma w Warszawie, omawiający krytycznie wywiad z generałem Jaruzelskim. Darnton zdecydowanie kwestionuje niektóre wypowiedzi generała Jaruzelskiego, jak na przykład jego twierdzenie, że decyzja wprowadzenia stanu wojennego została spowodowana postępującą ruiną gospodarczą, dezorganizacją funkcjonowania aparatu państwowego i groźbą wojny domowej, oraz że reżym aprobował i przyjmował idee "Solidarności", czego dowodem ma być wprowadzenie reform ekonomicznych, urlopy macierzyńskie i niedzielne msze św.

Darnton podkreśla, że był obecny w Polsce w czasie ogłoszenia stanu wojennego. "Nie widziałem anarchii. Nie widziałem środowisk opozycyjnych, które posiadałyby broń. Nie widziałem demonstracji ulicznych", pisze. W innym miejscu Darnton zaprzecza twierdzeniom Jaruzelskiego o przyjmowaniu ideałów "Solidarności": "Najważniejsze spośród nich, jak ograniczenie cenzury, prawo do strajku i organizowania niezależnych związków zawodowych oraz stosowanie zasad pluralizmu, zostały odrzucone". O stanowisku Polonii już mówiłem, przytaczając fragmenty oświadczenia Kongresu Polonii Amerykańskiej, które w całości zostało opublikowane w tymże *New York Times*. Poza tym środowiska polonijne dały wyraz swemu potępieniu reżymu w demonstracjach przed siedzibą Misji Polskiej przy ONZ. Główna manifestacja, zorganizowana przez KPA, odbyła się w czwartek 26 września. Przemawiali na niej między innymi burmistrz Nowego Jorku Edward Koch, prezes centrali związków zawodowych AFL-CIO Lane Kirkland i prezes KPA Alojzy Mazewski. Udział w niej wzięły liczne grupy z okolicznych stanów, jak Connecticut, Massachusetts, Rhode Island, New Jersey i Waszyngton, a także z bardziej odległych jak Ohio, Michigan i Illinois. Stosunkowo najmniej było nowojorczan! Nie otrzymałem jeszcze prasy reżymowej, która nie-

wątpliwie będzie przedstawiała wizytę generała Jaruzelskiego jako pełny sukces. Sądzę, że cytowana już konkluzja *Nowego Dziennika*, że "Jaruzelski przyjechał i Jaruzelski odjechał, a w sytuacji Polski nic się nie zmieniło" najlepiej odaje rzeczywistość.

KULTURA: - *I co dalej? Jak Pan widzi dalszy bieg wypadków w Polsce i wynikające z tego stanowiącego Kongresu? Jakie w tej sytuacji postulaty będziecie wysuwać wobec rządu Stanów Zjednoczonych?*

K.t.: - No cóż. Najbliższa przyszłość nie wróży nic dobrego. Obroza pozostanie zaciśnięta. Można tylko, na podstawie doświadczeń minionych lat, spodziewać się, że okresowo będzie ona luzowana, to znów zaciskana. Jaruzelski zapowiedział na przykład w ONZ, że jeżeli wybory dadzą /w ocenie władz/ pozytywny wynik, to prawdopodobnie zostaną zwolnieni więźniowie polityczni, a jest ich obecnie blisko 400. Daj Boże. To coś. A jednocześnie to tak niewiele.

Z drugiej strony nie ma wątpliwości, że dalszą walkę o prawa ludzkie i obywatelskie, o narodową suwerenność, o prawo do decydowania o kształcie i treści swego życia narodowego, naród polski będzie kontynuował z nieustanną - i podziwu godną - determinacją. Tak jak "przez minionych 40 lat, wykazując bezprzykładny hart, naród polski zwycięsko przeciwstawił się komunistycznym wysiłkom złamania jego woli oporu i zniewolenia jego umysłu i narodowej świadomości" - cytuję z oświadczenia KPA - tak samo "jesteśmy przekonani, że z tego nowego etapu walki z komunistyczną przemocą, kierowaną przez allans Gorbaczowa i Jaruzelskiego, naród polski wyjdzie zwycięsko". Ale walka będzie długa, wymagająca ofiar i poświęcenia.

W tej sytuacji będziemy kontynuowali naszą pomoc charytatywną, kierowaną poprzez Komisję Charytatywną Episkopatu. Oczywiście, nawet jeżeli wartość przestanej żywności, leków i sprzętu medycznego wyraża się na przestrzeni ostatnich lat sumą około 60 milionów dolarów, jest to pomoc symboliczna tylko, niezdołna zaspokoić rozmiaru potrzeb. Tymczasem nadmierna eksploatacja, jak przede wszystkim w przemyśle górnym, starzenie się maszyn i innego wyposażenia zakładów przemysłowych oraz brak surowców powodują spadek produkcji i grożą jej postępującym zastojem. Drastyczny brak leków, sprzętu medycznego i ekwipunku szpitalnego od szeregu już lat stanowi poważne zagrożenie dla zdrowia społeczeństwa, zwłaszcza rosnących pokoleń; statystyka śmiertelności niemowląt i przeciętnej długości życia Polaków jest tego tragicznym dowodem. Gwałtownie postępujące zatrucie środowiska jest bombą zegarową o nieobliczalnym potencjale niszczycielskim. Nie sposób tutaj wchodzić w szczegóły. Sytuacja jest więc nie krytyczna. W obecnych warunkach pełnego impasu w stosunkach pomiędzy PRL i krajami zachodnimi nie sposób dostrzec w tym ponurym obrazie przystawionego światła u wylotu tunelu. Nikt, łącznie z generałem Jaruzelskim, nie może mieć wątpliwości, że tylko wszechstronny, długoterminowy, rozsądnie zaplanowany i przeprowadzony program pomocy ekonomicznej Zachodu może tę sytuację zmienić. Pierwszym krokiem mogłoby być uruchomienie pomocy dla rolnictwa Fundacji Rockefellera i Fundacji Episkopatu. Obie są gotowe do startu. Wymagają tylko decyzji władz PRL. Od czegoś trzeba zacząć. Co dalej? Zagadnieniem to jest na bieżąco przedmiotem poważnych rozważań i narad w zespole kierowniczym Kongresu Polonii Amerykańskiej. Trudno wyprzedzać decyzje, jakie zapadną. Sądzę jednak, że w naszych decyzjach i postulatach kierowanych do rządu i Kongresu Stanów Zjednoczonych powinniśmy kierować się zasadą, że zahamowanie kryzysu i odbudowa gospodarki polskiej wymagają najszybszego otwarcia kraju na Zachód i przetrwania impasu w stosunkach pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Polską, co w konsekwencji umożliwiłoby normalizację stosunków ekonomicznych i zakresu pomocy na poziomie sprzed grudnia 1981 roku, a na dalszym etapie podjęcie przez Stany Zjednoczone, we współpracy z krajami Europy Zachodniej, programu długoterminowej pomocy ekonomicznej.

W stosunkach międzynarodowych obowiązuje dwustronność. Odnosi się to także do normalizacji stosunków pomiędzy Polską i Zachodem. Zachód, co oczywiste i rozumiałe, wymagać będzie gwarancji, że nowa pomoc nie zostanie zmarnowana.

Jest równie oczywiste, że - jak argumentowało wspomniane już opracowanie "Solidarność" - osiągnięcie jakiegoś postępu ekonomicznego wymaga spełnienia podstawowych warunków społeczno-politycznych. Czy stanowi to podstawę do porozumienia? Odpowiedź na to pytanie znajduje się przede wszystkim w rękach władz PRL. Walka narodu polskiego o jego słuszne i niezaprzeczalne prawa trwa i trwać będzie, dopóki nie zostaną one zrealizowane - za rok, trzy, może dziesięć? Musimy w tym miejscu postawić sobie pytanie, jaka ta przyszła Polska będzie. Nietrudno sobie wyobrazić, że jeśli nic się nie zmieni, będzie to Polska zrujnowana gospodarczo, o groźnym stopniu zniszczenia środowiska ekologicznego i krytycznym poziomie zdrowotności społeczeństwa. Te wszystkie elementy obserwujemy już dzisiaj. Pogarszają się one z roku na rok.

W tej sytuacji nie możemy stać w miejscu. Trzeba szukać dróg odwrócenia niebezpieczeństwa podejmując ryzyko, że poszukiwane rozwiązanie niczego nie rozwiąże. No to co? Gorzej może być już tylko niewiele.

Listy

KULTURA, marzec 1986

EUGENE IONESCO

DLACZEGO NIE JADĘ DO POLSKI?

Ubiegłej jesieni pan Collomb, dyrektor Instytutu Francuskiego w Warszawie, zaszczycił mnie zaproszeniem na cykl wykładów połączonych z dyskusją oraz przyjacielskimi spotkaniami z intelektualistami polskimi. Początkowo, z uwagi na zdrowie, przeżytelem ewentualny wyjazd na później, potem obwarowałem zgodę pewnymi warunkami. Ustaliliśmy więc, że będę przyjęty wyłącznie przez członków Instytutu Francuskiego, że władze polskie pod żadnym pozorem nie będą uczestniczyć w imprezach zorganizowanych przez Instytut z okazji mojej wizyty, a przede wszystkim że będę mógł spotkać tych, do których właściwie jechałem, aby im złożyć wyrazy hołdu i podziwu: do księży takich jak Jan Zieja, filozofów jak Józef Rybicki, prawników jak Antoni Pajdak i Ewa Milewicz, artystów jak Haiina Mikołajska i Maria Wosiek, historyków Jacka Kuronia, Jana Józefa Lipskiego i Adama Michnika, naukowców Jana Lityńskiego, Edwarda Lipińskiego i Henryka Wujca, pisarzy i poetów takich jak Anka Kowalska i innych, iluż innych bohaterskich członków KOR-u, Solidarności, redaktorów *Robotnika*. Byłbym również chciał uściśkać Andrzeja Wajdę oraz reżyserów i aktorów, którzy grali moje sztuki w Polsce. Miałem nadzieję, że będzie mi też dane spotkać Lecha Wałęsę.

Ledwie 20 października 1984 ogłoszono publicznie, że wybieram się do Polski, jak zaczęli mnie telefonicznie oblegać oficjalni korespondenci polscy we Francji z prośbami o wywiady - "wyłącznie na tematy kulturalne", rzecz jasna. Wiem, co się w tych krajach rozumie pod pojęciem "tematy kulturalne". Wiedziałem, co bym im odpowiedział, ale nie znając polskiego nie mogłem wiedzieć, jakie słowa włożyliby mi w usta, a ściślej mówiąc mogłem się domyślić. Odmawiałem więc wszelkich wywiadów.

Polskie środki masowego przekazu nadal jednak zapowiadały moją wizytę zupełnie tak, jakby zapraszała mnie i miała przyjąć Polska oficjalna. Takie podstępne fałszerstwa należą do klasycznej strategii totalitaryzmów: drętwa mowa i wynaturzenie pojęć, które przekształca czyni i gesty w ich przeciwieństwo. Moja wizyta w Polsce byłaby więc interpretowana jako przeciwieństwo tego, czym w moich zamiarach miała być. W najlepszym przypadku słowa, które wypowiedziałbym w Instytucie Francuskim nie zostałyby przeinaczone a tylko

przemilczane i w prasie nie ukazałoby się ani słowo o rzeczywistych motywach mojej podróży. Radość ze spotkań z ludźmi, których Kocham i szanuję za ich odwagę, zmąciłaby mi dwuznaczność, w której bym wbrew sobie uczestniczył.

Nie, mowy nie ma o tym, abym wbrew swej woli wspierał reżym, który dzień w dzień jest widownią przerażających wydarzeń: ksiądz Jerzy Popiełuszko zamordowany, inni księża torturowani, oficerowie śledczy miażdżeni przez ciężarówkę, działacze Solidarności prześladowani przez coraz bardziej perfidną dyktaturę generała Jeruzelskiego.

Nie pojedę więc do Polski. Być może Bóg da mi dość długie życie, abym mógł tam kiedyś pojechać bez przeszkód, w wolności którą Polacy wywalczą dla siebie i dla nas.

Na razie muszę niestety tylko z daleka być sercem z nimi, ale chciałbym, aby się w ten czy inny sposób o tym dowiedzieli.

Przyjaciele, bracia, sercem jestem z Wami, ściskam Was.

Eugene IONESCO

Le Monde, 22 stycznia 1985,

KULTURA, maj 1985

CZYTELNIK

Jeden z naszych czytelników w Londynie przestał swoje wrażenia z pobytu Prymasa Glempa w Wielkiej Brytanii. Są one tak ciekawe że zamieszczamy fragmenty listu /Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze.

Fenomenalna postać Prymasa w Polsce jest ważna w każdej sytuacji, chciałbym być na kilku uroczystościach, żeby zebrać jak najwięcej osobistych wrażeń. Otóż piątna "Feta" to była uroczysta msza św. w Katedrze Westminsterskiej w obecności kardynałów Anglii, Francji, Niemiec Zachodnich, Austrii, Jugosławii, Polski i chyba Szkocji. W czasie mszy używano angielskiego, łaciny, polskiego i cerkiewno-rosyjskiego. Po mszy Prymas był jedynym kardynałem, który mógł wygłosić krótkie *exposé*. Wypadło dobrze, było przygotowane, czytane a nie improwizowane i dobrze przetłumaczone na angielski. Natomiast sama msza nasunęła sporo refleksji. Otóż Kyrie i Ewangelię śpiewał bp. Horniak, unita londyński, wraz z chórem unickim /*Hospodi pomilostia!*/ w języku starosłowiańskim. Wypadło to bardzo dobrze. A ja myślałem sobie, że przecie ten kościół unicki, to była kiedyś integralna część Rzeczypospolitej, zresztą przez nią zainicjowana i przez nią wprowadzona w życie. A teraz siedzi polski prymas i polscy biskupi i nic nie mają z tym wspólnego. Natomiast jest powiązanie między unitami i Anglikami-katolikami, którzy tego Horniaka zaprosili i powierzyli mu ważne funkcje. A potem doszło jeszcze jedno wrażenie. Po mszy podeszła pani, pochodząca ze znanej rodziny kresowej i zapytała: - Kto to był ten jakiś biskup, czy nie biskup w wielkiej koronie, który śpiewał Kyrie i Ewangelię? Tak bełkotała, że ja nic nie mogłam zrozumieć. - Jak strasznie ta Polska związiła się - pomyślałem sobie.

A na marginesie jeszcze jedna uwaga. Przed Bożym Narodzeniem był tu arcybiskup Gulbinowicz. Wyróżniał się on tym, że w każdej nauce było coś o Wschodzie, albo o prawosławiu, albo o katolikach "tam daleko w granicach dawnej najjaśniejszej Rzeczypospolitej". Pod tym względem stanowił wyjątek wśród Polaków, bo było widać, że jest wyczulony na Wschód. A zakończył nauki w sposób zupełnie prawosławny, a mianowicie tak jak archidj. po *molebnej*, który stoi i z wielkiego kosza rozdaje wiernym kawałki poświęconego chleba, rozmawiając z nimi jednocześnie, tak samo Arcybiskup Gulbinowicz stał z wielkim koszem opłatków, każdemu wręczał kawałek z niektórymi rozmawiał.

Ale wróćmy do Prymasa. Potem widziałem go na polskiej mszy w opactwie benedyktyń w Ealingu. Do angielskich benedyktyń mówił dobrze, widocznie przygotowany, natomiast do Polaków słabo. Nie przemawia do mnie hipoteza, że "oko za oko i ząb za ząb" to były prawa naturalne, które Chrystus przyszedł usunąć ograniczając naturę. Chrystus rewolucjonista. O wiele bardziej odpowiada mi interpretacja ks. Mirewicza, że Chrystus działał zgodnie z naturą, usuwając jedynie wypaczenia i wynaturzenia.

Ostatnie widzenie Prymasa w kościele św. Andrzeja Boboli - czysto polskie - było najgorsze. Odnosiło się wrażenie, że ci ludzie, którzy tam byli i sprawy które są dla nich bliskie, nic go nie obchodzą, że nic o nich nie wie i nie chce wiedzieć. Biskup emigracji Wesoły siedział niezaangażowany. Już na samym początku, witając Prymasa, lokalny proboszcz /dawny żołnierz Brygady Karpackiej/ powiedział, że ten kościół spełnia podwójną rolę, że z jednej strony jest normalną parafią, a z drugiej jest miejscem gdzie odbywają się uroczystości i ceremonie patriotyczne, narodowe i historyczno-oddziałowe. Prymas Glomp w swoim kazaniu zignorował to całkowicie. W czasie mszy odprawionej przez bp. Dąbrowskiego siedział i rozglądał się. Siedział wobec takich symboli jak witraż Andersa, witraże Brygady Karpackiej, 1-ej Dywizji Pancerniej i Lotnictwa w Wielkiej Brytanii, symboli nie tylko emigracyjnych ale i ogólnopolskich - i kompletnie w kazaniu je zignorował, nic specjalnego do obecnych ludzi i "obecnych" symboli nie powiedział. Takie kazanie mógł wygłosić byle prałat i przyjazd Prymasa był do tego zupełnie niepotrzebny. Dopiero kiedy po skończonej uroczystości przemówił prezes komitetu parafialnego i wspominał, że jest w tym kościele obraz Matki Boskiej Kozieleckiej, to Prymas zerwał się żeby go zobaczyć.

Osobiście odnoszę wrażenie, że chciał "zabłyśnąć" wśród Anglików natomiast emigrację traktował per noga - tak jak większość ludzi w kraju nic o niej nie wiedząc i nie chcąc się dowiedzieć. I mam wrażenie, że bez mała do końca, a może i do końca nie zrozumiał, że Anglicy-katolicy przyjmowali go "szumnie" nie dlatego, że on jest prymasem Polski, ale dlatego, że w tym kraju jest dużo Polaków-katolików, którzy bardzo podpierają katolicyzm w Wielkiej Brytanii. Więc fetowano go jako duchowego opiekuna tych, którzy wzmacniają katolicyzm w tym kraju, a nie jako prymasa odległej i mało znanej Polski. Ale prymas Glomp i jego doradca bp Jerzy Dąbrowski chyba do końca tego nie zrozumieeli.

KULTURA, czerwiec 1985

JAN ULATOWSKI

NIEŚCISŁOŚCI P. KIRKPATRICK

Rocquebrune /Francja/.

Szanowny Panie Redaktorze!

"Roosevelt zupełnie nie przewidywał rozwoju wypadków politycznych w Europie w okresie powojennym" - oświadczyła *Kultura* /nr 4/451, kwiecień 1985/ pani Kirkpatrick. Okazuje się, że można być ambasadorem i nie znać historii własnego kraju.

"Świat będzie podzielony na strefy wpływów... Można założyć że Rosja będzie dominowała w Europie i spodziewać się - choć to już raczej *wishful thinking* - że interwencja rosyjska nie będzie w Europie zbyt surowa /*too harsh*!". Tak rozpoczął Roosevelt 3 września 1943 - na osiem tygodni przed Teheranem - wykład swoich planów powojennych w rozmowie z kardynałem Spellmanem, który nawiasem mówiąc, po miesiącu pobytu w Rzymie czekał pół roku na tę audiencję.

Przyszła Liga - ciągnął Roosevelt - składać się będzie wyłącznie z czterech wielkich mocarstw. Poprzednia poniosła fiasko, bo pozwolono małym Państwom interweniować. Tym razem otrzymają one zgromadzenie doradcze bez prawa decyzji czy głosowania. "Nie wątpię że łatwiej dojdę do porozumienia ze Stalinem niż Churchill, który jest zbyt idealistyczny. Ja jestem realistą. Stalin też". "Niektórzy pragną - *although it seems improbable* uzyskać od Stalina obietnicę że nie rozszerzy terytorium rosyjskiego poza pewną linię". Otrzyma na pewno Finlandię, kraje bałtyckie, wschodnią część Polski i Besarabię. "Nie ma sensu sprzeciwiać się jego życzeniom, bo może je i tak spełnić". Co więcej - "ludność wschodniej Polski marzy o rusyfikacji /*wants to become Russian*/. Nie jest jednak wcale pewne, że Stalin zadowolony będzie z tych granicami".

Gdy Roosevelt zgodził się z przewidywaniem kardynała, że Stalin ustanowi w Niemczech, Austrii i innych krajach reżymy komunistyczne, Spellman zapytał, czy Sprzymierzeni nie mogliby uczynić czegoś ze swej strony i poprzeć "lepsze elementy" tak jak Rosja popiera komunistów? Roosevelt oświadczył że niczego podobnego nie bierze się pod uwagę /*"no such move was contemplated"*! "Jest rzeczą prawdopodobną, że reżymy komunistyczne rozprzestrzenia się, ale co my możemy na to poradzić?". Francja mogłaby uniknąć sowietyzacji gdyby miała rząd typu Leona Biema /*Front Populaire*/. Komuniści może zechcą go uznać.

Na pytanie czy Austria, Węgry i Chorwacja popadną "w coś w rodzaju Protektoratu", Roosevelt odpowiedział twierdząco /*"the answer was clearly yes"*/. Nie należy jednak - dodał - nie doceniać wspaniałych osiągnięć gospodarczych Rosji. "Jest rzeczą oczywistą, że kraje europejskie będą musiały przeobrazić się gruntownie /*undergo tremendous changes*! by przystosować się do Rosji. Można co najwyżej pocieszać się, że dziesięć albo dwadzieścia lat wpływów europejskich uczyni Rosję mniej barbarzyńską. Zdaniem Litwinowa - dodał Roosevelt - Rosja stanie się w 40-tu procentach kapitalistyczna; a demokracje

pozostaną kapitalistyczne tylko w 60-ciu procentach. Ta ewolucja "umożliwi porozumienie".

Churchill - zdaniem Roosevelta - zgadza się na podział Niemiec, ale będą one "utrzymane pod dominacją Wielkiej Czwórki, głównie Rosji". Nie będzie traktatu pokojowego, a "tylko po prostu dekrét Wielkiej Czwórki... Jeżeli Polska będzie odtworzona //, otrzyma Prusy Wschodnie..." Plebiscyty odbędą się w Europie zachodniej i w Grecji, ale nie w Czechosłowacji.

Audiencja kardynała Spellmana u Roosevelta trwała półtorej godziny /zobacz Robert I. Gannon, *The Cardinal Spellman Story*. Wyd. Doubleday 1962. Permapbook Ed. 1963, str. 284-287/.

Zwróćmy uwagę że Roosevelt odkrywa swoje "realistyczne" plany powojenne w chwili gdy jeszcze nic go nie zmusza do robienia Stalinowi ustępstw: armia czerwona jeszcze oblega Smoleńsk, a Anglicy jeszcze wierzą, że zatrzyma się ona na linii Curzona zostawiając Anglosasom resztę rozprawy z Hitlerem. Nasuwa się podejrzenie, że plany te nie są kalkulacją, a inspiracją, tj. że Roosevelt inspirował się Tocqueville'em jak Napoleon Tacytem! Aluzja do tego "proroctwa" z roku 1835, zawarta w liście Roosevelta do Kalinina z listopada 1933, gdy uznawał w imieniu Stanów Zjednoczonych Rosję Stalina, mocno za tym przemawia.

Watykański pomysł zimnej wojny - bo do tego sprowadza się "popieranie lepszych elementów" - wręcz go oburza, nic podobnego w głowie mu się nie mieści. Przewidując podział świata między Amerykę i Rosję, Tocqueville przewidywał różnicę ustrojową między tymi Imperiami, ale nie przewidywał konfliktu. Gdy Stalin w Teheranie uzna Piusa XII za większego "realistę", Roosevelt rozumie że przy całym "realizmie" Amerykanom nie dostaje edukacji politycznej. Bo oto Stalin przyjmie koncepcję Churchilla proponującego oderwanie Prus od Niemiec po wsze czasy, a równocześnie granicę zachodnią tychże Prus jako granicę sowieckiej strefy okupacyjnej. Roosevelt musiał zrozumieć że Wielkich Imperiów nie będzie dzielił Atlantyk, bo będzie je dzieliła taśba. Stalin sam narzucał Anglosasom troskę o... "lepsze elementy"! Stalin bowiem nie podzielał złudzeń Roosevelta i Churchilla, że Niemcy wystarczy rozbroić, żeby nie powróciły do sił, trzeba je zamknąć w nierozwiązalnym wewnętrznym konflikcie. Niemcy po czterdziestu latach jeszcze nie wypłatały się z tej sieci. Nawet Churchill zgodził się, że "jeżeli to potrwa ćwierć wieku, to już potrwa wiecznie!"

Zanim jednak pocieszy się tą perspektywą, Churchill będzie cierpiał katusze z powodu niezrozumiałej dla niego zgody Roosevelta na taśbę. Trzeba stracić głowę żeby dopuścić komunizm do "serca Europy"! Roosevelt przypomniał mu, że przecież dopiero co - bo w sierpniu - na konferencji w Quebec, sam tę granicę sowiecką uznał. Pokazał mu nawet mapę rozgraniczającą strefy okupacyjne sowiecką, amerykańską i brytyjską, którą podpisał! Churchill nie zaprzeczy, ale powie, że zrobił to w rozrządzeniu, nie dając sobie sprawy z doniosłości tego aktu. Długo jeszcze będzie traktował taśbę jako prowizorium i oczekiwał trzeciej wojny światowej, która ją zlikwiduje. Jak idealizm, to idealizm!

Wniosek: losy świata zostały rozstrzygnięte między sierpniem a listopadem 1943, a nie w lutym 1945 w Jałcie, gdzie Churchill już tylko zażyrował wyrok Roosevelta i Stalina, zresztą nie bez haniebnego poczucia, że "skazał dzielny naród polski na niewolę". /Wszystkie fakty dotyczące Churchilla wzięte z jego *Pamiętników*/.

Interesująca jest także aluzja Roosevelta do opinii Litwinowa, bo tu zapowiada się koncepcja "convergence" czyli "ewolucjonizmu", którą następcy Roosevelta będą pocieszać wszystkich niezadowolonych z Jałty - nawet Polaków!

łączę wyrazy poważania

Jan ULATOWSKI

Z ostatniej chwili

KULTURA, kwiecień 1985

ROZMOWA Z JEANE J. KIRKPATRICK

EUROPA WSCHODNIA W AMERYKAŃSKIEJ POLITYCE ZAGRANICZNEJ

Jeane Jordan Kirkpatrick jest pierwszą kobietą w historii, która pełniła funkcję ambasadora amerykańskiego przy ONZ. W ciągu ostatnich czterech lat była członkiem rządu Stanów Zjednoczonych i zasiadała w Radzie Bezpieczeństwa państwa. Sprawowała te funkcje w republikańskiej administracji Reagana jako jeden z niewielu członków Partii Demokratycznej. Ale Jeane Kirkpatrick jest nietypową demokratką reprezentującą raczej poglądy grupy amerykańskich neokonserwatystów. Zarówno w ONZ jak i w rządzie była zwolennikiem twardej linii w amerykańskiej polityce zagranicznej, szczególnie w stosunkach z Sowietami.

Oczekiwano, że podczas drugiej kadencji prezydenckiej Reagana, Kirkpatrick odgrywać będzie jeśli nie naczelną to jedną z głównych ról w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Mówiono, że objąć może stanowisko sekretarza Stanu lub doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa państwa. Tak się jednak nie stało. 30 stycznia tego roku Kirkpatrick złożyła na ręce prezydenta Reagana rezygnację z piastowania funkcji ambasadora amerykańskiego przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jej kadencja wygasa 31 marca. Poniższego wywiadu Jeane Kirkpatrick udzieliła specjalnie dla redakcji *Kultury*.

Robert KOSTRZEWA: - Prezydent Roosevelt w przemówieniu 1 marca 1945 roku na sesji połączonych izb Kongresu, stwierdził, że konferencja jaltańska okazała się dyplomatycznym sukcesem ponieważ zakończyła w polityce międzynarodowej "okres jednostronnych paktów i akcji dyplomatycznych, sfer wpływów, równowagi sił i innych metod w polityce między państwami, metod próbowanych przez stulecia i zawsze zawodzących". Rzeczywiście, w Jaltcie ustanowiono nowy porządek w Europie i na świecie. Porządek ten jednak okazał się zasadniczo różny od tego jaki przewidywał Roosevelt. W różnych okresach powojennych dziejów, Węgrzy, Czesi, czy Polacy ścierali się i ginęli w walce z rządami, które prawomocność swą do dziś dokumentują układem w Jaltcie. Alexis de Tocqueville napisał kiedyś, że Rewolucja Francuska była wydarzeniem historycznym "tak nieuniknionym a jednocześnie tak zupełnie nieprzewidywanym". Do jakiego stopnia, Pani zdaniem, konsekwencje Jaltty były nieprzewidziane, i czy były nieuniknione?

Jeane KIRKPATRICK: - Po pierwsze, nie myślę, że w ogóle były przewidziane, a już na pewno nie przez prezydenta Roosevelta. Churchill miał większe wyuczucie zaistnienia poważnych problemów w okresie powojennym. Powiedzenie jednak, że Churchill wszystko przewidział i nie zrobił nic, aby temu zapobiec byłoby krzywdzące. Miał on pewne przecucia co do konsekwencji Jałty, ale na pewno nie uzmystawiał sobie tego zbyt jasno. Roosevelt natomiast był całkowicie skoncentrowany na zakończeniu wojny. Było to dla niego problemem podstawowym i zupełnie nie przewidywał rozwoju wypadków politycznych w Europie w okresie powojennym. Można by powiedzieć, że Roosevelt nie traktował drugiej wojny światowej po Clausewitzowsku, to jest jako kontynuacji polityki za pomocą innych środków. Na ogół spodziewano się, że w okresie powojennym zostanie zachowana ciągłość w polityce europejskiej. Nie sądzę jednak, aby widział to w ten sposób Roosevelt. Jeśli chcemy zrozumieć czego oczekiwali Roosevelt wystarczy przyrzeć się strukturze Organizacji Narodów Zjednoczonych - tam widać to najwyraźniej. Jeśli chodzi o to czy konsekwencje Jałty były przewidziane, moja odpowiedź brzmi: - Nie. Czy były nieuniknione? - Nie. Nie wierzę w nieuniknione konsekwencje. Tak samo nie uważam, abyśmy kiedykolwiek mogli zgodzić się z poglądem, że na przykład dzisiejsza sytuacja w Polsce jest nieuniknioną konsekwencją Jałty, lub, że jest przez Jałtę uprawomocniona: umowa jałtańska zobowiązała swych sygnatariuszy do wyboru polskiego rządu w drodze autentycznych wolnych wyborów. Gdyby tak się stało, historia Polski potoczyłaby się zupełnie inaczej. Nie powinniśmy zapominać, że nie tyle na skutek układu jałtańskiego co raczej wskutek jego pogwałcenia ustanowiony został w Polsce ustrój, który trwa do dzisiaj. To w końcu Armia Czerwona i polityczna wola Stalina doprowadziły do powstania poddańczych państw w Europie wschodniej. Wszystkie te rządy powstały w cieniu Czerwonej Armii i przetrwały w jej cieniu.

R.K.: - *W Stanach Zjednoczonych prawie zupełnie przemilczano 40-tą rocznicę podpisania układu jałtańskiego. Milczenie to jest kolejnym potwierdzeniem zgody Ameryki na obecny podział Europy. Czy widzi Pani w dzisiejszej polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych możliwość sensownego "wyjścia z Jałty"?*

J.K.: - Myślę, że zadając to pytanie należy przede wszystkim pamiętać, że amerykańska interpretacja Jałty jest odmienna od interpretacji sowieckiej. Obecny prezydent, tak zresztą jak każdy amerykański prezydent, interpretuje Jałtę tak, jak ja to opisałam. Dzisiejszy rząd amerykański z pewnością nie traktuje Jałty jako "uprawomocnienia" sowieckiej dominacji czy stałej obecności armii sowieckich w Europie wschodniej. Problem polega nie tyle na "wyjściu z Jałty" co na odbudowaniu samostanowienia narodów w bloku wschodnim. Jest to jednak - jak sądzę - zupełnie odmienny problem od stworzonego kiedyś przez formalne podpisanie deklaracji jałtańskiej. Jest to problem polityki realnej.

R.K.: - *W jakim sensie Europa wschodnia jest dziś obiektem zainteresowania Stanów Zjednoczonych? Czy Ameryce zależy na lepszych stosunkach z rządami komunistycznymi, czy raczej liczą się dla Stanów nastroje silnie pro-amerykańskie w narodach bloku sowieckiego?*

J.K.: - Zabrzmiałoby to jak slogan ale, najogólniej rzecz ujmując, celem polityki amerykańskiej jest świat pokoju. Świat w którym społeczeństwa rządzone są demokratycznie a narody są niepodległe. W Europie wschodniej prawa te są oczywiście pogwałcone. Nie możemy zatem patrzeć na to obojętnie. Nie sądzę natomiast, aby kraje bloku wschodniego były dla Stanów obiektem specjalnego zainteresowania gospodarczego. Dlatego też nie ma powodu aby czynnik ekonomiczny określał kierunek naszej polityki. Jest natomiast całkowicie zrozumiałe, że przy formułowaniu naszej polityki powinniśmy liczyć się ze stanowiskiem emigrantów ze wschodniej Europy, tak jak liczymy się z głosem emigrantów kubańskich w kwestiach dotyczących polityki wobec Kuby. W końcu jesteśmy narodem emigrantów, składającym się przy tym z wielu przybyszów ze wschodniej Europy,

i nie możemy pominąć faktu, że dla tych ludzi sprawy wschodnioeuropejskie są największą pasją życia. Nie sądzę jednak aby zainteresowanie Stanów Zjednoczonych Europą wschodnią mogło być szczególnie duże. Nie myślę też aby obecność armii sowieckich na terytorium państw bloku wschodniego była dla Ameryki jakimś zasadniczym problemem strategicznym. Jest to przede wszystkim problem dla ludności krajów wschodniej Europy.

R.K.: - *Powiedziała Pani kiedyś, że system sowiecki opiera się na manipulacji ludzkimi wartościami, doskonałości organizacji władzy i opanowaniu technologii przemocy. Zachód natomiast musi stawiać czoła sowieckiemu wyzwaniu zgodnie ze swymi demokratycznymi zasadami. Czy możliwa jest zatem odpowiednia reakcja na to wyzwanie?*

J.K.: - Jest to jedyna możliwa reakcja właśnie dlatego, że my jesteśmy dokładnie tacy, jacy jesteśmy, i że oni są tym, czym są. Względy moralne i polityczne, którymi kierujemy się przy określaniu naszych celów, czy opracowaniu naszej strategii, są - jak myślę - tak samo wiążące jak wiążącymi być mogą względy natury ekonomicznej czy wojskowej. Uważam, że jeśli z realizmem, jasnością widzenia i nieustępliwością stawimy czoła problemom stworzonym przez charakter sowieckiego ustroju to z łatwością możemy wtedy uporać się z nimi w ramach naszych tradycyjnych moralnych zastrzeżeń. Jest to postawa intelektualna która, nawiasem mówiąc, dla ludzi ze wschodniej Europy jest często denerwująca i trudna do zaakceptowania. Niemniej jednak głęboko wierzę w jej słuszność.

R.K.: - *Jak ocenia Pani z perspektywy dziesięciu lat, które minęły od podpisania dokumentu helsińskiego, skuteczność przyjętej przez Zachód w latach 70-tych polityki poszanowania praw człowieka jako narzędzia w polityce zagranicznej państw zachodnich wobec bloku sowieckiego? Czy warto poświęcać tyle energii i pieniędzy na rokowania z rządami państw komunistycznych a potem zawsze znajdować się w sytuacji absolutnej bezsilności przy egzekwowaniu jakichkolwiek postanowień, dotyczących poszanowania tychże praw w systemie sowieckim? Za przykłady niech postępują: inwazja i okupacja Affanistanu, sprawa Sacharowów, czy Polska Jaruzelskiego; w lutym 1982 roku wznawiono obrady madryckiej konferencji do Spraw Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej w niespełna dwa miesiące po ogłoszeniu stanu wojennego...*

J.K.: - Jest to niezwykle trudne pytanie. Pozwolę sobie zacząć od przypomnienia, że mój przyjaciel i wieloletni współpracownik polityczny, Max Kampelman, wierzy święcie, że warto było podjąć ten wysiłek, i że można osiągnąć pewne sukcesy - nawet przy egzekwowaniu postanowień helsińskich. Osobiście nie jestem wcale przekonana czy w takich wypadkach zyski przeważają straty. Jest przecież tak wiele, od dawna istniejących, wartościowych dokumentów, które Sowiety podpisywały tając potem regularnie ich postanowienia. Trzeba mieć zatem bardzo konkretne powody, dla których rozpoczynamy kolejne negocjacje z państwami komunistycznymi. I nie można potem tłumaczyć się, że prowadziliśmy rokowania oczekując, że dana umowa zostanie wprowadzona w życie. Weźmy na przykład taki dokument jak Deklaracja Praw Człowieka. Eleonora Roosevelt spędziła nad nim strasznie dużo czasu i sił a stał się on tylko rodzajem pomnika na cześć tego jej wysiłku. W praktyce postanowienia Deklaracji łamane są regularnie i systematycznie. Przecież także Jajta obiecywała wolne wybory w Polsce... Wiemy już więc, że nie ma żadnych racjonalnych podstaw aby zakładać, że postanowienia porozumień zawieranych z Sowietami będą dotrzymane. Jaki może być zatem powód podpisywania tego rodzaju umów? Chyba tylko ten, aby raz jeszcze pokazać, że wszyscy - nawet Związek Sowlecki i jego sojusznicy - zgadzają się na to, że takie zasady jak wolność słowa i prasy, praworzadność, czy prawo do emigracji lub zrzeszania się powinny być respektowane; że nawet te powinny obowiązywać. Szczerze mówiąc, nie wiem - może to i pożyteczne. A może, z drugiej strony, to tylko cynizm, gdy prowadzi się rokowania i podpisuje umowy nie mając żadnej realnej nadziei na wprowadzenie ich w życie.

Może świadczy to tylko o dewaluacji języka, kiedy angażujemy się w niekończące się rozmowy i negocjacje zgadzając się na to, aby jedna ze stron używała retoryki poszanowania praw człowieka w sposób tak nieuczciwy. Mam zatem bardzo mieszane uczucia w tej kwestii i myślę, że decyzję co do rozpoczęcia rozmów z Sovietami podejmować należy biorąc przede wszystkim pod uwagę jakieś konkretne zyski, które można osiągnąć w danej sytuacji. Trzeba wiedzieć dokładnie co zostało uzgodnione i co podpisujemy. Jeżeli podchodzić będziemy do tego uczciwie, w żadnym wypadku nie tolerując pogwałcenia podpisanych już umów /jeśli na przykład stanowczo reagować będziemy na los grup hełsińskich w Związku Sowieckim i w krajach Europy wschodniej/, to wtedy przynajmniej nie wyrządzamy sobie samym krzywdy. Natomiast przymykanie oczu na rzeczywistość jest niezwykle szkodliwe. Umowy takie pozwalają nam jedynie unikać konfrontacji z nieprzyjemnymi realiami. Nie powinniśmy nigdy tak postępować.

R.K.: - *Była Pani przez ponad cztery lata ambasadorem amerykańskim przy ONZ-cie i z pewnością odpowiadała Pani na tysiące pytań związanych z funkcjonowaniem tej instytucji. Chciałbym poruszyć tu kwestię, która tylko pośrednio związana jest z ONZ. Sowieckie republiki, ukraińska i białoruska, są pełnoprawnymi członkami Organizacji Narodów Zjednoczonych, dzięki temu Sowieci zyskują we wszystkich debatach dwa dodatkowe głosy. Czy nie warto by podjąć starań dyplomatycznych aby zamiast przedstawicielstw konsularnych stworzyć ambasady amerykańskie na Ukrainie i na Białorusi. Czy nie sądzi Pani, że miałyby to pewne znaczenie polityczne w rozgrywkach z Sovietami?*

J.K.: - Nie myślę aby rząd Stanów Zjednoczonych kiedykolwiek podjął działania w tej sprawie. Po pierwsze, przyjęcie Ukrainy i Białorusi jako pełnoprawnych członków ONZ-tu nigdy nie powinno być miejscem. Z Ukrainą w Radzie Bezpieczeństwa Sowiety miały tam z miejsca dwa głosy. Trudno oczekiwać, że rząd Stanów Zjednoczonych - zgadzając się kiedyś, lekkomyślnie na członkostwo Ukrainy i Białorusi w ONZ-cie jako niezależnych państw - rozpocznie nagłe kampanię polityczną, która potwierdzałaby tylko nasze własne błędy. Jeśli chcielibyśmy być konsekwentni nigdy nie powinniśmy byli się zgodzić na to, aby Ukraina i Białorusz weszły w skład ONZ-tu. Trudno oczekiwać od polityków którzy na to kiedyś przystali, aby teraz starali się dowieść jakim to było absurdem.

R.K.: - *Stwierdziła Pani kiedyś, że "dzisiejsza polityka zagraniczna /Stanów Zjednoczonych/ musi być wyznaczana przez fakt, że imperium sowieckie rozkłada się od wewnątrz. Głównie przyczyną tego rozkładu to przede wszystkim rosnące żądania większej wolności i autonomii ze strony narodu polskiego, oraz fakt, że marksizm jako ideologia utracił już zupełnie siłę motywacji w społeczeństwach państw komunistycznych". Jaki wpływ miały wydarzenia w Polsce, między rokiem 1980 a chwilą obecną, na kształt amerykańskiej polityki zagranicznej? Czy zastosowana polityka była możliwie najlepsza?*

J.K.: - Myślę, że nauka wypływająca z wydarzeń w Polsce powinna przekonać Stany Zjednoczone, że nie powinny pomagać Związkowi Sowieckiemu w utrzymaniu władzy w państwach Europy wschodniej; że nie powinniśmy pomagać Związkowi Sowieckiemu w rozwiązywaniu problemów natury gospodarczej czy technologicznej; że nie powinniśmy, na przykład pomagać Związkowi Sowieckiemu w utrzymaniu hegemonii nad Polską. Jako minimum - nie powinniśmy im w tym pomagać. Czy założenie to zostało wprowadzone w życie w sposób najbardziej skuteczny? - Nie. Osobiście życzę sobie, aby nasza polityka sankcji ekonomicznych została utrzymana. Szczerze mówiąc, chciałam, aby pozwolono Polsce zbankrutować w momencie ogłoszenia stanu wojennego, a przynajmniej nie należało znosić tak szybko sankcji gospodarczych. Myślę też, że nasze stanowisko w sprawie budowy gazociągu łączącego Europę zachodnią z Sovietami było całkowicie słuszne. Zakładamy zawsze że udostępniana Związkowi Sowieckiemu technologia nie może być używana do celów wojskowych - dlatego życzę sobie aby nasze programy wymiany zdobyczy technicznych i technologicznych opracowane były z większą

ostrożnością i umiarem. Trzeba jednak podkreślić, że dzisiejszy rząd amerykański zrobił wyraźne postępy we wszystkich wyżej wymienionych dziedzinach. Uważam, że sankcje wobec Polski okazały się skuteczne, i że niedopuszczenie przez nas Polski do wejścia w skład Międzynarodowego Funduszu Monetarnego było jedyną słuszną polityką. Tak samo jak ważna była opozycja wobec budowy sowieckiego gazociągu na terenie Europy Zachodniej. Obecny rząd zrobił już dużo jeśli chodzi o próby zatrzymania przepływu zachodniej technologii na użytek sowieckiej maszyny przemysłowej. Życzylibyśmy sobie tylko, aby ta polityka była stosowana szerzej i bardziej konsekwentnie. Bardzo źle się stało, w związku z tym, że wycofaliśmy amerykańskie veto blokujące przystąpienie Polski do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego...

R.K.: - *Jaka może być zatem rola sankcji ekonomicznych w amerykańskiej polityce zagranicznej wobec Związku Sowieckiego i jego satelitów?*

J.K.: - Uważam, że ekonomia jest sowiecką piętą achillesową. Trudno powiedzieć że mają oni jakiegokolwiek gospodarcze sukcesy. Mimo tego, że władza komunistyczna przywiązuje bardzo małą wagę do polepszenia warunków życia sowieckich obywateli /czy choćby utrzymania ich na tym samym poziomie/, to jednak żaden rząd nie może całkowicie ignorować problemu wyżywienia własnego społeczeństwa. Jest więc niezwykle ważne, aby Zachód nie rozwiązywał tego problemu za rząd sowiecki. Rozwiązując za nich problem wyżywienia sowieckiego społeczeństwa i umożliwiając im dostęp do zachodnich walut, pozwalamy im na inwestowanie w machinę wojсковą. Zachód płaci za to podwójną cenę. Po pierwsze ponosi koszty licznych przywilejów handlowych, przyznawanych Związkowi Sowieckiemu i jego satelitom; a następnie płacimy po raz drugi, ponosząc koszty rozbudowy własnego sektora wojskowego, aby nadążyć za stanem sowieckiego uzbrojenia. Uważam więc, że jest to dla Stanów Zjednoczonych i Zachodu polityka niezwykle szkodliwa. Najważniejsze jest to, aby Zachód nie brał na siebie ciężaru związanego z rozwojem gospodarczym w państwach komunistycznych nie tylko udostępniając Sowietom wysoką technologię, ale także udzielając im pożyczek na najbardziej korzystnych warunkach. Na przykład Francja przez ostatnie 15 lat udziela Związkowi Sowieckiemu pożyczek na warunkach dużo bardziej korzystnych niż własnym obywatelom. Myślę, że jest to niezwykle krótkowzroczna polityka, ponieważ nie wierzę, aby prowadziła do pewnego rodzaju zaleźności sowieckiej od Zachodu jak to pierwotnie przewidywała teoria *détente*. Sądzę, że zwalnia to po prostu sowieckie fundusze i umożliwia im inwestycje wojskowe.

R.K.: - *Tego rodzaju stanowisko amerykańskie ma wielu przeciwników. Okazało się to wyraźnie w opozycji państw zachodniej Europy do sankcji ekonomicznych wobec bloku wschodniego.*

J.K.: - Nie ma na to innego rozwiązania jak to, które zastosował rząd Reagana, który wprowadził własne ograniczenia handlowe i licencyjne, dyskutował na ten temat z członkami Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i próbował przekonać sojuszników Ameryki o słuszności takiego naszego stanowiska. Jest to jedyna metoda, aby tendencjom tym przeciwdziałać.

R.K.: - *Niektórzy członkowie rządu amerykańskiego, zwłaszcza odpowiedzialni za sprawy polskie urzędnicy Departamentu Stanu /dość niskiego szczebla/, wydają się wierzyć, że w ostatecznym rozrachunku Jaruzelski jest polskim patriotą. Uważają oni, że w końcu w Polsce nie jest tak źle i że mogłoby być gorzej gdyby zabrakło Jaruzelskiego. Opinia taka, jak sądzę, skłoniła polityków w Waszyngtonie do zniesienia sankcji wobec Polski. Władza w Warszawie musiała spełnić pewne warunki /chodziło przede wszystkim o zwolnienie większości więźniów politycznych/, aby "znormalizować stosunki" ze Stanami Zjednoczonymi. Sytuacja ta najlepiej pokazała jak polityka poszanowania praw ludzkich wykorzystywana być może przez brutalnych i bezwzględnych manipulatorów. Najpierw się ludzi aresztuje, potem wypuszczają się ich, aby poprawić sobie nadzarczną reputację, a kiedy osiągnie się już zamierzony cel aresztuje się ich po-*

nownie. Następnie, jeśli konieczne, wolno nawet zabijać i "sprawiedliwie" osądzać sprawców /jak to miało miejsce w przypadku morderców księdza Popiełuszki/. Czy Pań współpracownicy w rządzie amerykańskim ciągle jeszcze nie dostatecznie dobrze rozumieją istotę systemu sowieckiego?

J.K.: - Nie. Nie myślę, aby tak było. Uważam, że bardzo dobrze rozumie to Ronald Reagan, a także niektórzy członkowie naszego rządu. Problem, o którym Pan mówi, wynika natomiast z pewnej głęboko zakorzenionej skłonności do optymizmu w postrzeganiu sowieckiego systemu, tendencji widocznej w przeszłości w stosunku do hitlerowskich Niemiec, komunistycznego Wietnamu, czy Chin ludowych. Jest to pełen nadziei optymizm który nie pozwala na uświadomienie sobie brutalnej rzeczywistości przemocy w systemach totalitarnych. Skłonność ta do dziś istnieje u pewnej części członków rządu Stanów Zjednoczonych, ale nie w całym rządzie.

R.K.: - *Rok temu, w rozmowie z Georgem Urbanem, opublikowanej w londyńskim miesięczniku Encounter, mówiła Pani o roli zachodnich rozgłośni radiowych we wspieraniu ruchów opozycyjnych w bloku sowieckim. Czy widzi Pani jakieś inne pokojowe metody amerykańskiej pomocy dla narodów wschodniej Europy?*

J.K.: - Rolę taką może pełnić na przykład wymiana kulturalna i naukowa. Nie tylko rozgłośnie radiowe ale także szeroki dostęp do informacji i książek jest bardzo istotny. Ważne jest to wszystko, co może być pomocne w popularyzowaniu alternatywnych wizji rzeczywistości czy w ukazaniu przeciwnych totalitaryzmowi systemów i politycznych i społecznych. Ważna jest też możliwość podróżowania i szerzej otwarte granice. Są to wszystko środki nie do pogodzenia z monolityczną kontrolą, którą rządy totalitarne próbują narzucić społeczeństwu.

R.K.: - *Dlaczego zatem politycy amerykańscy nie przywiązują należytej wagi nawet do tak skutecznych środków, jak rozgłośnie radiowe? Czy nie sądzi Pani, że w dzisiejszej wojnie ideologicznej z Sowietami rozgłośnie odgrywać powinny rolę niemalże strategiczną?*

J.K.: - Całkowicie się z tym zgadzam. Wielokrotnie starałam się o większą pomoc, o większe środki finansowe, i doskonalszą aparaturę techniczną dla utrzymywanych przez nas rozgłośni radiowych. Problem o którym tu mówimy jest jednak dużo bardziej skomplikowany. Uważam, że celem polityki rządu Stanów Zjednoczonych wcale nie jest - i nie myślę aby być powinno - podżeganie narodów Europy wschodniej do wrogości wobec rządów, pod którymi przyszło im żyć. Mówiłam o tym tak wiele w wywiadzie dla *Encountera* ponieważ uważam, że może to być bardzo niebezpieczne. Aktywny opór w ustroju totalitarnym może dla poszczególnych ludzi pociągnąć za sobą najstraszniejsze konsekwencje. Przekonali się o tym przecież przywódcy "Solidarności". Rząd Stanów Zjednoczonych nie może namawiać kogokolwiek do walki z władzą komunistyczną, jeśli nie jest gotowy mu potem realnie pomóc. Decyzje o oporze wobec jakiegokolwiek tyranii podejmować muszą ci, których to najbardziej dotyczy. Uważam, że możemy bardzo dopomóc w podtrzymaniu ducha tego oporu w narodach Europy wschodniej. Nie jest jednak w naszej mocy, aby uchronić tych którzy walczą z władzą komunistyczną przed konsekwencjami tej walki - w sytuacji kiedy ludzie ci znajdują się w rękach swego własnego rządu. Dlatego myślę, że decyzje co do aktywnego oporu wobec despotycznych rządów muszą być podejmowane indywidualnie, z pełną świadomością branego na siebie niebezpieczeństwa.

Byłam dosyć młoda w czasie kiedy wybuchło powstanie na Węgrzech. Wielkie było moje oburzenie, szczególnie wtedy, kiedy rząd Stanów odmówił zgody na wyjazd młodym Amerykanom, którzy chcieli przyłączyć się do walki węgierskich bojowników. Pamiętam też bardzo wyraźnie zarzuty wysuwane w tym czasie pod adresem Ameryki - że podżegliśmy powstańców węgierskich a potem nie udzieliliśmy im oczekiwanej pomocy. To bardzo poważne oskarżenie. Znalazienie się w takiej

sytuacji świadczyć może tylko o moralnej nieodpowiedzialności, zarówno w sensie ludzkim jak i politycznym.

R.K.: - *Czy widzi Pani jakieś sposoby krzewienia przez Zachód idei demokratycznego kapitalizmu w krajach Europy wschodniej?*

J.K.: - Myślę, że jeżeli pojawi się w państwach komunistycznych ruch w kierunku rozwoju kapitalizmu to nastąpi to raczej od wewnątrz niż od zewnątrz. Pojawi się on od wewnątrz na skutek upadku socjalizmu. Brytyjski historyk, Norman Stone, przygotowuje właśnie dokumentalny serial telewizyjny dla BBC o upadku socjalizmu w Europie wschodniej. Fiasko socjalizmu jako systemu ekonomicznego w bloku sowieckim jest już dzisiaj oczywiste i kolosalne. Stwarza to pewnego rodzaju dynamikę i zmusza rządy państw komunistycznych do próbowania alternatyw. Jest niezwykle ważne, aby Stany Zjednoczone i inne państwa zachodnie nie pomagały rządowi sowieckich satelitów w kontynuowaniu polityki, która nie tylko prowadzi do katastrofy gospodarczej ale jest również ściśle powiązana z systemem politycznych represji. Istotne jest abyśmy nie finansowali rządów Europy wschodniej przynajmniej im ciągle pożyczki i subdydia, czy prowadząc politykę handlową lub monetarną która zmniejszałaby ich problemy. Nie myślę aby było to w naszym interesie, a na pewno nie jest to w interesie narodów wschodniej Europy. Jeśli przestaniemy rozwiązywać za komunistów problemy ekonomiczne to wewnętrzna dynamika upadku gospodarczego może - tak jak to się dzieje na Węgrzech - doprowadzić do większego zakresu swobód i inicjatywy w sferze gospodarczej. Demokratyczny kapitalizm wymaga oczywiście dużo większych swobód politycznych i społecznych, na które nie ma żadnych szans w systemie komunistycznym.

R.K.: - *Czy nie sądzi Pani, że to paradoks, iż w takim kraju jak Węgry opozycja polityczna jest bardzo słaba mimo stosunkowo dużych swobód w działalności gospodarczej?*

J.K.: - Sytuację taką można jednak utrzymać tylko na krótką metę. Szczerze mówiąc, wątpię, aby w jakimkolwiek społeczeństwie można było na dłuższą metę pogodzić wysoki poziom swobód w dziedzinie gospodarczej z niskim poziomem wolności politycznej. Podkreślam, że mam na myśli dłuższe przedziały czasowe. To prawda, że na przykład w Japonii czy w Niemczech przed drugą wojną światową raptownemu rozwojowi gospodarczemu towarzyszył bardzo niski poziom politycznych swobód. Uważam jednak, że w dzisiejszym świecie totalna kontrola nad społeczeństwami słabnie w miarę zwiększania się w tych społeczeństwach swobód gospodarczych. Decentralizacja sektora gospodarczego prowadzi przecież do powstawania alternatywnych ośrodków podejmowania decyzji a także władzy *per se*.

R.K.: - *Czy sądzi Pani zatem, że większe swobody ekonomiczne nieuchronnie prowadzą do politycznej decentralizacji?*

J.K.: - Szczerze mówiąc nie wierzę w historyczne konieczności. To my sami decydujemy o naszej historii. Niezwykle rzadko mamy do czynienia z sytuacją, w której nasze - nawet w ostatniej chwili podjęte - decyzje nie mogłyby zmienić biegu wydarzeń. Także proces o którym mówię nie jest nieuchronny lecz prawdopodobny. Prawdopodobne jest to, że na przestrzeni lat wzrastające swobody gospodarcze osłabią totalitarną kontrolę nad społeczeństwem, co doprowadzi do politycznej decentralizacji, która w rezultacie osłabi system politycznych represji. Tego co mówię nie uważam za dogmat, Mam jednak wrażenie, że tak właśnie się stanie.

R.K.: - *Dziękuję Pani bardzo za rozmowę.*

/Rozmowa miała miejsce 20 lutego i 13 marca 1985 roku w Nowym Jorku. Wywiad przeprowadził i tego tekst przetłumaczył z angielskiego - Robert Kostrzewa/.

KULTURA, kwiecień 1985

MAREK TURBACZ

KOŚCIOŁ A KOMUNIZM W POLSCE

Zacznę od przedstawienia się. Jestem agnostykiem. Jestem publicystą politycznym - publikowałem swoje teksty w pismach związanych z ruchem korowskim i w pismach emigracyjnych. Nie utożsamiam się z lewicą; w największym stopniu utożsamiam się z myślą liberalną.

Występuje obecnie w Polsce renesans katolicyzmu. Dla większości ludzi wierzących wiara stała się bardziej żywa. Przeszła być sprawą prywatną, a stała się przedmiotem dumy. Stała się czynnikiem jednoczącym znaczną większość społeczeństwa. Papież jest charyzmatycznym przywódcą, uwielbianym przez Polaków. Wielu ludzi niewierzących nawraca się na katolicyzm.

Podobnie jak na okresie 1956, tak i na zrywie "Solidarności", najwięcej zyskał Kościół. Pomnożył ilość katolickich pism, pobudował kościoły, wielu intelektualistów i dziennikarzy zaczęło pisać w pismach katolickich zamiast w partyjnych, część niezależnej działalności oświatowej i kulturalnej odbywa się w kościołach.

Dla ludzi upokorzonych klęską "Solidarności", bezbronych wobec przemocy cynicznej i zakłamej władzy, Kościół stał się schronieniem, nadzieją na pomoc, czystą wielką wspólnotą i instytucją, posiadającą moc z którą mogą się utożsamiać - w rozbitym społeczeństwie, pozbawieni państwa. Niewola i bezbronność wobec przemocy i kłamstwa strasznie upokarza. Katolicyzm i Papież są dla Polaków powodem do dumy, powodem do wyższości nad komunistami.

Ale jednocześnie bardzo wielu Polaków utożsamia się z podziemną "Solidarnością". Oczekiwali od Kościoła związku z nią, poparcia jej walki. Kościół tego w zasadzie nie uczynił - Papież i Rada Episkopatu robiły to w ograniczonym stopniu, a Prymas wielokrotnie występował przeciw "Solidarności". Wielu ludzi związanych z opozycją oczekiwało, że Kościół wystąpi ostro przeciw komunizmowi i komunistycznemu państwu, tymczasem przyjmuje on pozycję mediatora, mówi wciąż o porozumieniu i ugodzie. Liczne wypowiedzi Prymasa Glempa szokują bardzo wielu ludzi.

Jako niewierzący i nie odnoszący się bezkrytycznie do Kościoła członek opozycji spróbuję powiedzieć, co myślę o obecnej polityce Kościoła wobec komunizmu.

Uważam, że należy wyraźnie oddzielić linię polityczną Kościoła w Polsce od wypowiedzi Prymasa Glempa. Linia postępowania Kościoła w Polsce jest wypadkową nie tylko poglądów Prymasa, ale i postawy Papieża oraz postawy reszty polskiego Episkopatu, wśród której znajdują się zarówno zwolennicy poglądów Prymasa, jak i ich przeciwnicy. Akceptują - wbrew wielu ludziom związanym z opozycją - linię polityczną Kościoła /choć oczywiście z zastrzeżeniami/. Postępowanie Prymasa uważam za niestuszne i szkodliwe.

Wielu ludzi Kościoła twierdzi, że Kościół jest ponad polityką i polityką się nie zajmuje. Jest to oczywista nieprawda - Kościół zajmuje się polityką co najmniej od czasów Konstantyna i jako wielka międzynarodowa instytucja

politykę prowadzić musi.

Jestem przeciwnikiem dominującego wśród opozycji marzenia, aby społeczeństwo podzieliło się na dwa zwarte obozy - władzy i jej przeciwników. Uważam bowiem tę koncepcję za fatalną i jako liberał ceniący bardzo pluralizm i jako politolog. Sytuacja takiego podziału byłaby normalna w wypadku wojny domowej - zbrojnej wojny. Ale wojny takiej nie było i nie ma, nie mielibyśmy szans na wygranie jej, wygranie z Rosjanami; jedyną szansą na wyjście z komunistycznego szamba jest stopniowa, wspomagana rewolucyjnymi zrywami, ewolucja systemu - postępujące przemiany, erozja, rozkład pod naciskiem społeczeństwa. A ewolucji nie sprzyja sytuacja ostrego podziału i dwóch zwartych bloków, sprzyja jej sytuacja pluralistyczna w której występuje wiele form i wiele odcieni - zarówno w obozie władzy, jak i wśród jej przeciwników. Opozycja bierze sobie sama to, co może wziąć - kulturę niezależną. Ale dla dobra kraju potrzebne są reformy, czyli ustępstwa władzy. O te zaś jest o wiele, wiele trudniej w sytuacji ostrego napięcia, nienawiści, przepaści między władzą a jej przeciwnikami. Po stronie władzy są też ludzie pragnący pewnej liberalizacji gospodarczej, kulturalnej, rozwoju samorządności, i - chociaż są w mniejszości - samą swą obecnością częściowo hamują przykręcanie śruby. A jest to znacznie łatwiejsze, gdy istnieje coś pomiędzy władzą a opozycją, kiedy ktoś mówi o ugodzie i porozumieniu. Zróznicowanie form opozycji i jej ostrości, istnienie instytucji stawiającej się w pozycji mediatora - jaką jest Kościół - instytucji nie odcinającej się zbyt ostro od władzy /jak na przykład DIP/ sprzyja osłabieniu nacisku władzy na opozycję, na niezależne życie społeczne. Oczywiście zarazem osłabiają także i nacisk opozycji. Ale w sytuacji, gdy władza ma o wiele większą siłę - siłę zbrojną i siłę swej pozycji w państwie - opozycja powinna unikać ostrej konfrontacji /poza spontanicznymi zrywami, jak Sierpień, których i tak nie jest w stanie zorganizować/, nastawiać się raczej na nacisk ciągły, ale łagodniejszy, który nie może być bardziej skuteczny, niż ostre starcie. Czystki na uniwersytetach, w szkolnictwie, w samorządach fabrycznych, masowe uwięzienia, kapturowe metody nie optają się władzy, ale jeszcze bardziej nie optają się opozycji. A do tego prowadzi napięta atmosfera nienawiści i brak usiłowań mediacyjnych.

Kościół, idący na umiarkowane kompromisy z władzą i nie występujący opozycyjnie jawnie i ostro, odgrywa bardzo pozytywną rolę. Gdyby występował ostro przeciwko władzy, zmuszałby ją do walki przeciwko sobie /bo przecież nie padłaby na kolana/ i to ona musiałaby zwyciężyć, bo ma siłę fizyczną. Tyle, że byłoby to dla niej bardzo kosztowne - groziłoby wojną domową, ogromną falą wrogości społecznej, kolejnym skandalem światowym - a więc unika tego. Ale dla Kościoła i opozycji starcie takie byłoby jeszcze bardziej kosztowne. Oznaczałoby rozbitcie Kościoła i na czas dłuższy koniec łagodnego traktowania opozycji. /Bo opozycja jest wciąż jeszcze łagodnie traktowana, wbrew temu, co sądzą niektórzy i jak na warunki państwa dyktatorskiego, bo w takim - wyjaśniam - jednak żyjemy/. Jest o wiele lepiej gdy Kościół przypomina regularnie o istnieniu praw człowieka i ich niedostatecznym respektowaniu w Polsce, jeżeli pomaga więźniom i ubiega się o ich uwolnienie, jeżeli daje schronienie niezależnym, wykładom i seminarium, hamuje represje i twardy kurs władz. Kościół idzie na kompromis z władzą nie mówiąc jej dobitnie, że jest zła i podła, i nie bije w dzwony - ale gdyby to robił, to co by to dało, i co mógłby zrobić więcej? A władze idą także na kompromisy wobec Kościoła, na których zyskuje nie tylko on, ale i opozycyjna część społeczeństwa. Dla Polski i dla opozycji bardzo pozytywne są nowe katolickie pisma, w których pisują dobrzy dziennikarze i opozycyjni intelektualści, i bardzo potrzebne są wykłady po kościołach, więźniom potrzebna jest opieka.

Oczywiście do pewnych szczegółów polityki Episkopatu można mieć poważne zastrzeżenia. Wspólny komunikat Rady Episkopatu i rządu tuż po stanie wojennym miał fatalną wymowę ze względu na moment i treść /bardzo łagodny protest, potępienie sankcji gospodarczych/.

Alain Besançon i inni krytykują Watykan za to, że nie potępia komunizmu

jednoznacznie. Watykan tego nie robi nie dlatego, żeby papieże lubili komunizm, ale dlatego, że nie chcą narażać Kościoła w krajach komunistycznych na ostrą konfrontację i uważają, że znacznie korzystniejsza jest dyplomacja. I słusznie. Komunizm w krajach sowieckiego imperium nie jest dziś aż takim złem, jak nazizm i stalinizm, o których absolutnie nie wolno milczeć. Ale jak się jest słabym, jak się nie ma ani jednej dywizji, to nie należy wydawać orędzi do ludów Europy Wschodniej, a trzeba postępować, poczynając roztropnie. Kościół coraz to wypowiada się na temat praw człowieka i niemoralności reżimów dyktatorskich. Ale wciąż robi to za słabo - nawet encykliki brak w tych sprawach - a czyż jest temat ważniejszy moralnie? Ale robi. Jest to całkowiście i ogromnie ważne *novum* w dziejach Kościoła. Datuje się od II Soboru Watykańskiego - jak znaczna większość tego, co się w Kościele dobrego dzieje /choć oczywiście jest to cezurą nieopomowna/. Jan Paweł II tę postawę popierającą prawa człowieka umacnia, i jest to chyba rzecz najważniejsza, jaką dotąd zrobił /przy całej konserwatywności jego pontyfikatu, wspaniałego duszpastersko, ale nie obfitującego w oczekiwane przez wielu zmiany/.

Wiekami powszechnie obowiązywała w Kościele nauka św. Pawła, zgodnie z którą chrześcijanin ma się poddawać władzy, bo każda władza jest ustanowiona przez Boga, a ci którzy jej się przeciwstawiają, przeciwstawiają się Bogu i ściągają na siebie potępienie. Jest to nauka głupia i niemoralna, i całe szczęście, że Kościół z nią zerwał. Dawniej Kościół z reguły nie protestował, gdy ludziami łamano kości i gnojono ich w więzieniach; co więcej sam to bardzo skutecznie robił. Papieżom mogły się nie podobać wyczyny Filipa Pięknego czy Ferdynanda i Izabelli, ale firmowali je czym prędzej w imię racji stanu /czyli dla zwyczajnej korzyści/. Papieże błogosławili Święte Przymierze, kochali Mikołaja I i zawierali konkordat z Mussolinim. Do demokracji odnosili się z wielką rezerwą. Dawniej w sprawie łamania praw ludzkich Kościół w zasadzie występował tylko wtedy, gdy zagrożone były jego własne prawa i własne interesy. Przeciwko komunizmowi występował przed wojną, ponieważ komunizm był wojującym ateizmem i niszczył siłą religię. W antyhitlerowskiej encyklice nazizm jest piętnowany za antykatolickie pogaństwo i za łamanie konkordatu, a nie za jakieś tam obozy czy prześladowanie Żydów. W zasadzie do II Wojny Światowej Kościół absolutnie nic nie miał przeciw dyktatorskim rządóm - przeciwnie wręcz wołał je od demokracji i chciał od nich tylko, aby mu gwarantowały specjalne przywileje, jako jedynej prawdziwej religii. Encyklika *Quanta Cura* i *Syllabus* z 2-giej połowy XIX wieku zawierają wściekły i pełen pychy atak na to, co dziś określa się mianem praw człowieka - na liberalizm polityczny, wolność druku i wolność religii /niekatolickich, oczywiście/. Dziś, kiedy Kościół znalazł się w Europie Wschodniej w poważnej opresji, i kiedy idea praw człowieka w pełni zatriumfowała na Zachodzie, Kościół broni wolności sumienia. I bardzo dobrze. Uważam, że powinien - poprzez encyklikę i teologię - uczynić sprawę praw człowieka fundamentalną częścią swej nauki moralnej. Powinien mówić światu, że demokracja jest najdoskonalszym systemem, jaki stworzył człowiek, a dyktatura sprawowana wbrew większości społeczeństwa jest niemoralna i szkodliwa. Nie powinien natomiast wygłaszać encyklik zawierających bezpośrednią totalną krytykę rosyjskiego komunizmu, ponieważ odbiłoby się to tragicznie na losie milionów wiernych w Europie Wschodniej, gdyż byłoby otwartym wyzwaniem. Uważam natomiast, że Kościół powinien bez ostentacji potępić łagry, więzienia i psychuszki dla dysydentów.

Jako jeden z powszechnie głoszonych frazesów krąży dziś po Polsce frazes, że Kościół posiada niekwestionowany autorytet moralny. Dla większości Polaków posiada /choć nie posiada go Prymas Glemp/, ale nie dla wszystkich. Jest bardzo trudno określić, komu go przyznają ludzie. O niekwestionowanym autorytecie moralnym dawnego Kościoła nie sposób mówić. Nie można spalić żywcem setek tysięcy ludzi za wiarę i za spiszek z diabłem, grozić piekłem wszystkim nieposłusznym, zwalczać wolność sumienia, milczeć o holocaustie i jednocześnie być prawdziwym autorytetem moralnym. Kościół w Polsce był fragmentem Kościoła Powszechnego i stosunkowo spada na niego bardzo mała część winy. Ale dziś

idealizuje się jego przeszłość, głosząc mit o jego jednoznacznie pozytywnej roli w naszej historii i wyolbrzymia się rolę, jaką pełnił podczas zaborów. Była kontrreformacja, która położyła kres wolności wyznaniowej, cofając Polskę w rozwoju i stając się jedną z przyczyn jej upadku. /Młodzież śpiewa dziś z płomiennym uczuciem Pieśń Konfederatów Barskich. Cat-Mackiewicz pisał, że Konfederacja Barska zgubiła Polskę/. Był prymas-targowiczaniec, który zażył truciznę, aby uniknąć szubienicy. /Watykan popierał wówczas Targowicę, tak jak później potępił powstanie listopadowe/. Oportunizm i bierność wśród ludzi podczas zaborów były analogiczne, jak w reszcie społeczeństwa - aktywny opór i walka były dziełem nielicznych.

O prawdziwym autorytecie moralnym Kościoła można mówić - po raz pierwszy od wczesnego średniowiecza - od pontyfikatu Jana XXIII /a i to nie bez poważnych zastrzeżeń, skoro Kościół nie rozliczył się publicznie ze swych niegdyśszych błędów, win i zbrodni/. Przedtem bez wątpienia autorytet moralny przysługiwał wielu poszczególnym ludziom Kościoła. Kościół apriorycznie przypisuje sobie autorytet moralny, przypisuje sobie z góry świętość /zwalając winy na poszczególnych niedoskonałych ludzi, choć torturowała i paliła żywcem instytucja Kościoła, a nie poszczególni ludzie/. Dla wielu ludzi nie jest to zbyt przekonujące. Proponuję bardzo proste kryterium dla moralnej oceny postępowania Kościoła - kryterium miłości bliźniego, niekrzywdzenia ludzi i pomagania im. Jezus w wielkiej scenie Sądu Ostatecznego /Mat. 25, 36-46/ mówi, że wybierze jako swoich tych, co pomagają więzionym, głodnym, chorym, wygnancom. Jako bezwzględny obowiązek moralny przedstawia więc pomoc pokrzywdzonym, a nie głoszenie Pisma czy udzielanie sakramentów. Poza tym nakazuje mówić prawdę: "Tak - tak, nie - nie!". Ludzie Kościoła często twierdzą, że Kościół jest instytucją ponadczasową i ma wyższe zadania /na przykład głoszenie Ewangelii/, a więc nie może się narażać i mieszać w sprawy niezące, pomagając ucisnionym. Jak powiedziałem, zgadzam się z tym, że Kościół nie może i nie powinien *politycznie* występować przeciw dyktatorom. Ale powinien bezwzględnie bronić niesprawiedliwie więzionych i prześladowanych, i pomagać im /co oczywiście ma znaczenie polityczne/, otaczać opieką społeczną biednych i chorych, i wspomagać - niez zaangażowaną zbyt ostro politycznie - działalność społeczną i kulturalną, która gdzie indziej nie może się schronić. I powinien - zgodnie z Ewangelią - uważać to za działalność równorzędnie ważną jak działalność czysto religijną i nauczycielską.

Na ile Kościół wywiązuje się w Polsce z tego moralnego obowiązku? Na pewno niedostatecznie uwzględnia go w swej nauce i w swej teologii. W czasach stalinowskich sam musiał rozpaczliwie bronić się, nie sposób więc wymagać, aby wówczas pomagał innym. Adam Michnik w swej głośnej książce myli ową samoobronę z obroną praw człowieka - Kościół zawsze, kiedy działa mu się krzywda, walczył o prawa własne i na pewno sprzyjało to prawom człowieka, ale nie oznaczało, że Kościół jest szczególnym tych praw orędownikiem. W czasach Gomułki i Gierka Kościół w Polsce występował w obronie praw ludzkich i w obronie krzywdzonych, ale chyba jednak za mało i za cicho. Był może za ostrożny, nie zdawał sobie sprawy ze swych możliwości, nie miał takiej tradycji, nie chciał narażać się broniąc pokrzywdzonych. Zabrakło głośnego wystąpienia Kościoła w roku 1968 w obronie studentów i przeciwko rasistowskiej kampanii. Po roku 1970 nie troszczył się o rodziny zabitych, o los inwalidów. W roku 1976 Kościół występował do władzy po cichu, ale w akcję pomocy więzionym niewinnym robotnikom i lumpom się nie zaangażował. Uczynili to ludzie świeccy - katolicy i niewierzący, w tym paru księży. Kardynał Wojtyła udostępnił w Krakowie kościoły nie zależnej oświacie, ale w Warszawie biskup Dąbrowski tego zakazał. Dopiero od stanu wojennego Kościół zajął się na wielką skalę pomocą więzionym i ich rodzinom i upominaniem się o wolność więźniów. Ma więc miejsce bardzo pozytywna ewolucja. Zdecydowały o niej nacisk opozycji, stanowisko Jana Pawła II i niektórych członków Episkopatu, szeregowych księży i świeckich katolików, i ogólna przemiana sytuacji w Polsce. Na pewno /jak zawsze w życiu/ owa pomoc pokrzywdzonym mogłaby być większa. Wielu księży i niektórzy biskupi nie traktowali jej jako obowiązku moralnego, nie popierali jej, lub wręcz przeszkadza-

li /fatalnie było na Śląsku/. To samo dzieje się z pomocą dla niezależnej oświaty i kultury. Można się spierać, czy trzech biskupów głoszących na PRON to dużo, czy mało - ale nie powinno być żadnego. Bo dziś - jak nigdy - jest jasne, że jest to udział w kłamstwie.

W Kościele jest wciąż wielka pycha. Ludzie Kościoła uważają, że skromność jest osobistym obowiązkiem, ale doktryna pozwala im ubóstwiać swą instytucję i wynosić ją ponad wszystko. Nie uczy krytycznemu/wobec niej. Kościół chce być autorytetem moralnym ponad światem, nie bacząc na to, że do tego nie wystarczy Ewangelia, że trzeba na ten autorytet zapracować.

W Polsce w opozycji jest wielu niewierzących - ale i wielu wierzących, którzy odnoszą się z dystansem do kościelnego aparatu; powszechna jest niechęć do Prymasa. Ludzie opozycji - w odróżnieniu od księży /poza zaangażowanymi w wystąpienia czy działalność opozycyjną/ ryzykują wolnością, pracą, spokojnym życiem. Ci więc, którzy nie są ortodoksyjniem wierzący i którzy nie odczuwają silnej potrzeby psychicznej autorytetu i opiekuńczej instytucji, mogą nie godzić się na to, że Kościół posiada niekwestionowany autorytet moralny. Oceniają i będą oceniać Kościół i konkretnych członków Kościoła po ich działaniu. Legalna "Solidarność" bardzo silnie garnęła się pod opiekę Kościoła i wiary, ale byli to ludzie jeszcze niezahartowani w ogniu i owa masa, z której niewiele zostało po godzinie próby. Obecnie w ramach opozycji są ludzie i grupy identyfikujące się jednoznacznie z chrześcijaństwem, i zachowujące wobec religii i Kościoła /nie zaznaczany jawnie/ dystans. I jest to sytuacja normalna i zdrowa /z punktu widzenia liberała/.

Kościół stawia się ponad światem kultury i uważa, że świat ten upadł odchodząc od Boga. Dla mnie i dla niektórych moich przyjaciół katolicyzm jest jedynie jedną z konkurujących ze sobą w naszej kulturze wier-idei. Uważam, że katolicy nie mają prawa narzucać swej moralności niewierzącym - jak obecnie usiłują to czasem robić poprzez referenda, korzystając z tego, że mają większość. Jako liberał jestem za rządami większości, ale i za obroną praw mniejszości przed większością. Już po II Soborze Watykańskim Paweł VI wzywał do katolików do narzucenia całemu społeczeństwu podczas referendum zakazu rozwodów. Jan Paweł II wzywał do przeprowadzenia zakazu przerywania ciąży - i zrobiono to w Irlandii. Gdy chodzi o rozwody, to sprawa jest jasna. Nauka Ewangelii i Kościoła w tej sprawie jest absolutnie niemiarodajna dla niewierzących. Gdy chodzi o sprawę przerywania ciąży problem jest o wiele trudniejszy. Kościół traktuje przerywanie ciąży jako zabójstwo i jest to w pełni zrozumiałe. Tym, którzy chcą zabijać, usiłuje się przeskodzić. Ale dla wielu niewierzących przerwanie ciąży nie jest zabójstwem - jest zniszczeniem życia, które dopiero zaczyna się rozwijać, a nie jest jeszcze człowiekiem. Uważam, że katolicy nie powinni narzucać swych przekonań tym, którzy tych przekonań nie podzielają, ale powinni pozostać przy propagandzie, opiece nad samotnymi matkami, organizowaniu adopcji. Nie wiemy, czym są narodziny i czym jest śmierć - niech więc każdy rozstrzyga w swoim sumieniu.

Stanowisko prymasa Glempa jest sprawą ogromnie kłopotliwą. Po stanie wojennym w licznych wypowiedziach wyrażał się nieprzychylnie o "Solidarności" i o działających w jej ramach ludziach niewierzących, wypaczał obraz "Solidarności" i obraz sytuacji w Polsce, wyrażał się tak, jakby racja była pomiędzy "Solidarnością" a władzą /oczywiście trochę zawsze tak jest, ale w stopniu zupełnie innym, niż to wynikało z wypowiedzi Prymasa/, zalecał wręcz niemoralne kompromisy, wypowiadał się w konkretnych sprawach bardzo niezręcznie. Nie ma sensu zbieranie tu tych wypowiedzi. Ale wystarczy przypomnieć, że wzywał świeckich katolików do występowania do OKON-ów, że wzywał nauczycieli do podpisywania deklaracji lojalności /aby gorsi nie przyszli na ich miejsce/, że występował przeciw demonstracjom, że jego wystąpienie między innymi przyczyniło się do niepowodzenia strajku 11. XI. 1982, że w Brazylii mówił o marksistach i trockistach w "Solidarności", że lekceważąco i złośliwie mówił o uwieczonym Wałęsie i o całym ruchu, którego przywódcy siedzieli w więzieniu. W wielu wypowiedziach prymasa Glempa /i to zagranicznych/ nieprzychylniej krytyce "Solli-

darności" - ruchu naprawę wielkiego i pięknego mimo wszystkich skaz i błędów - nie towarzyszyła krytyka ekipy Jaruzelskiego i partii. W Brazylii Prymas wypierał się odpowiedzialności za przeniesienie ks. Nowaka, mówiąc, że nastąpiło to "na jego własne żądanie"; wypierał się też udzielonego wywiadu.

Staram się zrozumieć prymasa Glempa. "Trockiści" /tak zapewne określał korowców/ - to dla niego puste słowo; nie studiował historii myśli politycznej. Kościół czuje się zagrożony w swym autorytecie przez autorytet ludzi, którzy się naprawdę poświęcają, a którzy są mu obcy. Jest to sprawa walki o rząd dusz, który Kościół chce dzierżyć niepodzielnie. To samo zapewne wpływało na stosunek Prymasa do całej "Solidarności". Błędy "Solidarności" były rozpaczliwie widoczne dla obserwatora z zewnątrz; ale trzeba było zrozumieć, że były one nieuniknionym wynikiem masowego spontanicznego ruchu /działającego w tragicznej sytuacji politycznej i gospodarczej/ i odnosić się do tych błędów życzliwie - jako do tragedii ludzi miotających się bezradnie, pragnących wolności - jak podczas niezorganizowanego buntu w więzieniu. Prymas stawiał na rolę mediatora i na kompromis z władzą - uważam, że to było słuszne, ale zabrakło mu chyba zimnego politycznego widzenia, że realnym celem takiej polityki może być tylko złagodzenie ostrości konfliktu, ostrości postępowania władzy i ślepej nienawiści jej przeciwników - nie zaś porozumienie czy nowa ugoda. Zabrakło mu zrozumienia, że ta władza nie ma żadnej racji - oprócz tej jednej, że posiada siłę - siłę własną i siłę Rosji. Prymas w toku pertraktacji przyjmował punkt widzenia i terminologię władzy /jak na przykład w sprawie "trockistów"/. Jest to zawsze niebezpieczeństwo czyhające na ludzi kompromisu.

Zmarnowana została wielka szansa - że Kościół w Polsce, nie objęty konfliktem, zachowa się jak bezstronny i uczciwy obserwator i mediator, zachowujący czystość moralną. Że powie obu stronom trochę prawdy - władzy, że postąpiła podle i musi jak najprędzej z tego się wycofać, a "Solidarności", że jej zachowanie musiało spowodować atak, bo uprzywilejowani, posiadając siłę, nie oddadzą naraz tak wiele; i że teraz chodzi o to, aby nienawiść jak najszybciej opadła i aby było jak najmniej aktów gwałtu, bo obie strony muszą ze sobą koegzystować w jednym kraju. /Dużo z tego było w wypowiedziach Prymasa, ale było podane w taki sposób, że mogło trafiać tylko do bardzo życzliwego obserwatora/.

Dzisiaj najwięcej zależy od postępowania władz - od tego, czy znów zaczną zamykać na długie miesiące za drukowanie i kolportowanie książek. Może teraz - z perspektywy czasu - łatwiej będzie wielu ludziom zrozumieć linię Prymasa i linię Kościoła, a Prymasowi - "Solidarności" i niewierzącym.

Marek TURBACZ

KULTURA, kwiecień 1985

JOZEF SZRETT

KOŚCIÓŁ A PAŃSTWO

/NA MARGINESIE ARTYKUŁU MARKA TURBACZA/

Autor artykułu "Kościół a komunizm w Polsce" przedstawia się jako politolog o zamiłowaniach historycznych. Jako politolog mógłby chyba nieco precyzyjniej

konstruować swe wywody i sądy. Przykładowo - pisze on, że "jedyną szansą na wyjście z komunistycznego szamba jest stopniowa, wspomagana rewolucyjnymi zrywami, ewolucja systemu - postępujące przemiany, erozja, rozkład pod naciskiem społeczeństwa". W tym zdaniu występuje klasyczna *contradictio in adiecto*: erozja i rozkład nie mają nic wspólnego ze stopniową ewolucją systemu. Jest jeszcze bardzo wielu ludzi w Polsce, którym przez gardło nie chce przejść sformułowanie, że ten właśnie system, zwiący się socjalistycznym, w rzeczywistości zaś będący sowiecką formułą marksizmu, musi być po prostu unicestwiony, bowiem nie poddaje się procesowi ewolucji, chce zachować swą totalitarną niezmienność. Jest to beton i niech się nikt naiwny nie da złapać na piękne słówka o odmiennych postawach osób i grup wchodzących w skład najwyższej partyjnej egzekutywy. Stąd też i dalszy wywód Turbacza budzi poważne wątpliwości: "... ewolucji nie sprzyja sytuacja ostrego podziału i dwóch zwartych bloków, sprzyja jej sytuacja pluralistyczna, w której występuje wiele form i wiele odcieni zarówno w obozie władzy jak i wśród jej przeciwników". Jest to trochę mówienie ślepego o kolorach, bowiem odmienności postaw i kierunków działania w partii absolutnie nie da się nazwać mianem pluralizmu. Są to najczęściej jednostkowe lub grupowe działania taktyczne w walce o "miejsce na górze", ale nie kryje się za tym żadna ideologicznie ukształtowana odmienność w stosunku do zasadniczej linii politycznej, wewnętrznej i zewnętrznej. Oczywiście można mówić o odmiennościach wynikających z odrębności poszczególnych liderów, co rzutuje na etapowość dziejów i Związku Sowieckiego, i PRL - każda kolejna ekipa wnosi swe odrębne właściwości, najczęściej wodzowsko określone przez osobowości kolejnych pierwszych sekretarzy, ale właśnie partia, widziana jako całość, pozostaje niezmienną formacją biurokratyczno-samoobronną, bazującą na urzędnikach i funkcjonariuszach. Czy można więc tu mówić o jakimkolwiek pluralizmie? Oglądaliśmy przecież w ciągu minionych lat skutki takich prób: każdorazowo partia wydalala /by nie użyć brzydkiego określenia/ wszelkie pluralizmu próbujące grupy. Następstwa: partia betoniała coraz bardziej, a opozycja wzbogacała się o cały bogaty wachlarz dysydencki. To przeciwstawienie pluralizmu i unifikującego procesu betonienia jest chyba najlepszym świadectwem obecnej sytuacji i stąd bierze się cała problematyka konfrontacji. Ale o tym za chwilę.

Historyczne zamętowania Turbacza kazi chwilami spora schematyczność sądów. Historia to diabełnie skomplikowana dyscyplina, wyprana najczęściej z tej jednoznaczności, która pozwalałaby ferować proste wyroki: winny - niewinny. Przykładem są uwagi o kontrreformacji i Konfederacji Barskiej. Mniejsza o to, że autorytet błyskotliwego publicysty Cata-Mackiewiczza nie może być poważnie traktowany z punktu widzenia historyków, chodzi o ważniejszą sprawę - wieloznaczności zjawisk. Można o Konfederacji Barskiej powiedzieć, że - na tle inteligencji i reformatorsko-oświeceniowych tendencji Stanisława Augusta - reprezentowała wstecznicwo i anarchię, które już co najmniej od wieku spychały Rzeczpospolitą w polityczną nicność, ale jednocześnie nie sposób tejże Konfederacji odmówić tego odrodzenia patriotyzmu, który miał później prowadzić do wszystkich kolejnych zrywów niepodległościowych. Historycy wien analizować nie tylko fakty towarzyszące bezpośrednim zjawiskom, ale także cały cykl dalszych następstw. Podobnie kategoryczne stwierdzenie, że kontrreformacja cofnęła Polskę w rozwoju i stała się jedną z przyczyn upadku jest nie do przyjęcia. W innych krajach kontrreformacja umacniała właśnie państwa, stając się podporą różnych absolutyzmów, /między innymi habsburskiego czy francuskiego/. Na upadek pierwszej Rzeczypospolitej złożyło się wiele czynników, o czym już szeroko dywagowali historycy polscy minionego stulecia. Jest chyba sprawą oczywistą, że sądy o katolicyzmie, Kościele czy w ogóle chrześcijaństwie nie tylko mogą, ale powinni wygłaszać niewierzący. Przykładem była książka Michnika, przyjęta na ogół pozytywnie w środowiskach katolickich, a dyskutowana z jej tezami Tischneriada była tego potwierdzeniem. Agnostyk jednak winien się ustosunkować serio do zagadnienia i zrozumieć pewne rzeczy nie w sposób schematyczny. Znow przykład: Turbacz pisze: "Wielu księży i niektoży bisku-

pi nie traktowali jej /to znaczy pomocy pokrzywdzonym/ jako obowiązku moralnego, nie popierali jej, lub wręcz przeszkadzali /fatalnie było na Śląsku/". Uściślijmy: Śląsk to trzy wieknie i ważne diecezje, to trzech biskupów-ordynariuszy i wielu pomocniczych. Kto "przeszkadzał" pomocy: Gulbinowicz, Nosol czy Bednorz? Nie wolno rzucić bezpodstawnych zarzutów, bo negligowanie prawdy znajduje się w bezpośrednio sąsiedztwie kłamstwa i jeszcze gorszych rzeczy.

Turbacz powołuje się też na najróżniejsze dogmaty i pisma Kościoła katolickiego. Pisze między innymi, że ów Kościół realizował przez całe stulecia naukę św. Pawła, wedle której chrześcijanin nie powinien przeciwstawiać się władzy, bo każda ustalona jest przez Boga. Pomińmy określenie, że to "nauka głupia i niemoralna", bo cóż można by powiedzieć o sposobie jej referowania przez autora? Należałoby wszelako pamiętać, że Kościół rzymski budował znakomity pragmatysta - św. Piotr, który wprowadził nie sformułował zasady, ale pozostał ideową spuścizną właśnie przeciwstawiania się władzom świeckim, gdy te jej nadużywają. Ważka i Cesarstwem to ogromny i jakże pouczający rozdział dziejów - warto się nad nim zastanowić! A co do tej części nauk świeckich św. Pawła, to też warto pamiętać, że w pełni zrealizował je bizantyński cesaropapizm, przetransplantowany następnie do Moskwy.

I już naprawdę nie wypada - zwłaszcza niewierzącemu - pisać takich zdań: "Kościół chce być autorytetem moralnym ponad światem, nie bacząc na to, że do tego nie wystarczy Ewangelia, że trzeba na ten autorytet zapracować". Jest to po prostu zdanie, którego autor winien się wstydzić. Więcej komentarza nie będzie.

Wydaje się, że autor artykułu o Kościele i komunizmie w Polsce - pomimo wyliczonych tu - a także pominiętych - gaf, wypaczeń i wręcz niedopuszczalnych sformułowań ma intencje szlachetne, i że należałoby się nad jego tezami zastanowić. Niestety, po dokładnym zapoznaniu się z tekstem czytelnik dochodzi do wniosku, że to raczej nie tezy, a dobre chęci. Turbacz nie wierzy w niebo, nie powinien więc wierzyć w piekło. Stąd niepotrzebne byłoby wypominanie mu, czym jest ono wybrukowane.

Całość artykułu, gdy ją zestawić z niezbyt logicznie przeprowadzonym wywo-dem, robi wrażenie niekoherentne. Autor stoi na stanowisku pokojowego, ewolucyjnego przekształcenia ustroju sowieckiego. Bardzo wątpliwa teza, sprawdzona na historii Związku Sowieckiego i satelitów negatywnie: ten ustrój jest nienaprawialny. Równocześnie Turbacz pisze jednak o "erozji i rozkładzie pod naciskiem społeczeństwa". Można by więc sądzić, że uznaje proces ewolucji za powolne niszczenie ustroju i ideologii. Cóż kiedy nagle wykrzykuje: "Ale jak się jest stąbam, jak się nie ma ani jednej dywizji, to nie należy wydawać orędzi do ludów Europy Wschodniej, a trzeba postępować, poczynać ostrożnie".

Wielu ludzi w Polsce uważa, że "Postanie do ludów Europy Wschodniej" było jednym z najważniejszych dokumentów "Solidarności", jedną z tych manifestacji, które - być może - będą miały dla przyszłości /nie tylko Polski/ bardzo duże znaczenie. Turbacz, choć rozdziela na lewo i prawo pochwały i nagany /a zwłaszcza nagany/, równocześnie w swym sposobie myślenia jest w jakiś sposób porażony szczególnego rodzaju sowietyzmem, sowietyzmem w pewnym sensie *à rebours*, to znaczy widzi jego zło, ale zarazem jest zafascynowany potęgą sekularną tej niby-ideologii. Czy warto bowiem przypominać w tym miejscu, kto pół wieku temu pytał o dywizje, którymi dysponuje Watykan?

Nie wydaje się w tym stanie rzeczy możliwe podjęcie merytorycznej dyskusji z Turbaczem o przyszłość stosunków Kościoła i komunizmu. Autor musiałby bowiem przeczytać kilka prac, a na początek Cywińskiego "Korzenie tożsamości". Wówczas dojrzałby, że Kościół - traktowany przez niego *en bloc* wcale takim monolitem nie jest, że dzieli się /i to jest jego wielka zdobycz/ na wiele warstw, płaszczyzn i poziomów. Monolityczność Kościoła to tylko jedna z fikcji sowieckiej propagandy, gdy rzeczywistość ujawnia niezwykle skomplikowaną strukturę Kościołów narodowych, podziały w obrębie kleru, ścieranie się autorytarności z kolegialnością itd.

Papież nie tylko nie dysponuje dywizjami, ale i pełnią władzy nad swoimi przedstawicielami w poszczególnych krajach. O tym zdaje się nie wiedzieć ani Turbacz, ani zresztą znaczna większość Polaków. Autor artykułu nie jest też konsekwentny w tym, jakim zakresem obejmować pojęcie polityki. I tu dochodzi do głosu owo zsovietyzowanie intelektu, które *a priori* zakłada, że polityka jest domeną i monopolem państwowym i że to władza ustala, co jest, a co nie jest polityką. Turbacz zapomina więc, że polityką jest w s z y s t k o , co dotyczy życia społecznego, tym samym więc także spora część spraw jednostkowych jest też polityczna, bowiem przynależy do tej właśnie sfery społecznej. Jeśli tak rozumować, to czysto polityczną działalnością jest i działalność związkowa, już w samym swym założeniu, a także działalność Kościoła za każdym razem, gdy zwraca się ku problematyce pracy. "Laborem exercens" jest tyż dokumentem teologicznym co politycznym.

I tu zaczynają się Turbaczowe niekonsekwencje, bo domagając się przez cały czas od Kościoła działalności politycznej, nagle - ni stąd ni zowąd - jakby za podszeptem dziennikarza z *Trybuny Ludu*, jeśli nie z *Żołnierza Wolności* - pisze: "...Zgadzam się z tym, że Kościół nie może i nie powinien politycznie występować przeciw dyktatorom", a nieco dalej zaleca katolikom by "... pozostali przy propagandzie, opiece nad samotnymi matkami, organizowaniu adopcji".

Politologia to taka młoda dziedzina, która zrodziła się w wyniku zbiorowego spółkowania dyscyplin takich jak historia, jej kuzynki: historia doktryn politycznych i prawo, jak filozofia, socjologia i kilka dalszych. Odziedziczyła po nich pewien zasób wiedzy niepogęblonej, a jako dziecię niezupełnie ślubne /ojciec nieznanym/ nabyła sporo tupetu. To bardzo ładnie, że Turbacz poklepuje po ramieniu Jana Pawła II, wybacząc mu - za popieranie praw człowieka - "całą konserwatywność jego pontyfikatu". Może jednak Turbacz ustaliłby przedtem semantyczne problemy. Konserwatyzm? No to co jest przeciwstawieniem: lewicowość? A może - *hospody pomytu* - postępowość? Tymczasem dziś te przemaglowane w tygłu nowomowy terminy nic nie znaczą. Czy coś wybiega w przyszłość a nie zostaje zatrzęsnięte w przeszłości, ocenić można tylko po dotychczasowych dokonaniach i po rozległości perspektywy na przyszłość. Mniej tupetu a więcej obiektywnych sądów i... pragmatyzmu, droga politologio!

Z kolei Turbacz rzuca się na prymasa Glempa i bardzo go szarpie. Prymas objął swe stanowisko w okresie niezwykle trudnym, i do kierowania Kościołem na wezbranych wodach wojny jaruzelskiej przystąpił bez dostatecznego przygotowania. Od samego początku, a zwłaszcza od chwili ogłoszenia stanu wojennego, działalność, a zwłaszcza liczne wypowiedzi prymasa, stały się przedmiotem ostrej krytyki. Kardynał Glempe ma wielu przeciwników, szczególnie wśród inteligencji, a także w samym klerze. To co napisał dziś Turbacz napisało przed nim wielu, więc nie jest to już akt odwagi, ale akt tupetu ze strony kogoś, kto tak wyraźnie przedstawia siebie jako niewierzącego, bowiem autor w gruncie rzeczy domaga się od Kościoła tego, co Glempe właśnie robi.

O, politologio, politologio, ty ładna dziewczyno bez "Kindersztuby"!

Józef SZRETT

Kronika kulturalna

KULTURA, wrzesień 1985

MIECZYSEAW CHOYNOWSKI

JESZCZE O ŚMIERCI WITKACEGO

WYJAŚNIENIE

Gdy dowiedziałem się, że po klęsce wrześniowej wróciła do Warszawy pani Czesława Korzeniowska, towarzysząca Witkacego w jego wędrówce na wschód w dwu ostatnich tygodniach jego życia, zdając sobie sprawę z dokumentalnej wartości jej relacji udałem się do niej natychmiast i słuchając jej opowiadania robiłem notatki.

Sądzę, że było to zaledwie kilka dni po jej powrocie, może nieco więcej, ale chyba najwyżej kilka tygodni po śmierci Witkiewicza, chociaż w tej ocenie czasu mogę się mylić - być może pani K. powróciła do Warszawy później. Nie znałem jej osobiście, lecz ona znała mnie z opowiadań Witkacego, z którym przyjaźniłem się od kilku lat, i dlatego zgodziła się bez oporu opowiedzieć mi ze szczegółami przebieg tragicznych wydarzeń. Po zakończeniu rozmowy umówiliśmy się, że sporządzę tekst maszynowy i za dzień lub dwa przyjdę, aby sprawdziła i podpisała ten dokument. Gdy jednak przyszedłem, pani K. nie wpuściła mnie do mieszkania lecz niechętnie rozmawiała ze mną przez szparę w nie domkniętych drzwiach i mimo moich nalegań i perswazji odmówiła nie tylko podpisania, ale nawet przeczytania dokumentu. Przypuszczam, że moja pierwsza wizyta zaskoczyła ją i dlatego zapewne wszystko szczerze mi opowiedziała. Później przysłała refleksję, może fala depresji, być może chęć ucieczki od wspomnień a nawet chęć wyparcia ich z pamięci, może też czyjaś namowa. W każdym razie stwierdzam, że chociaż na pewno w wielu sformułowaniach użyłem swoich słów, ręczę za prawdziwość zapisu wszystkich faktów i cytowanych wypowiedzi zgodnie z opowiadaniem pani K. Żałuję tylko, że przez niedopatrzenie nie zaopatrzyłem go w datę.

Przeszło 13 lat temu wyjechałem z kraju i po około rocznym pobycie w Szwecji i Norwegii jako *visiting professor*, przyjechałem do Meksyku, gdzie jestem teraz profesorem tytularnym Narodowego Uniwersytetu Pedagogicznego i prowadzę badania nad osobowością młodzieży meksykańskiej. Od swego wyjazdu polską prasę kulturalno-literacką czytywałem raczej nieregularnie. Podobno w tym okresie ukazało się kilka relacji o śmierci Witkacego, niezupełnie ze sobą zgodnych, między innymi jedna napisana przez panią K., zresztą jedyną znaną mi, ogłoszona pośmiertnie w numerze 13/1032 *Kierunków* z dnia 28 marca 1976, którą mi nie-

dawno przystano. Relacja jej z dwoma istotnymi wyjątkami różni się od mojej tylko w nieważnych chociaż ciekawych szczegółach. Wyjątkami istotnymi są epizod ślubu i wspólnej modlitwy oraz brak słów Witkacego dotyczących bolszewików i Polski. W prawdziwość ślubu i modlitwy pozwala wątpić zarówno sprzecznosc z osobowością Witkacego, chociaż mógłby je tłumaczyć jego stan psychiczny wywołany zmęczeniem, wyczerpaniem i ogólną depresją, może obawa przed zrobieniem jej w ostatnich chwilach życia przykrości, jak i pominięcie ich przez panią K. w jej zapisanym przeze mnie opowiadaniu. Było to wydarzenie dla niej tak ważne, iż nie mogła o nim zapomnieć, a nie widzę powodu, dla którego miałyby je wówczas przemilczeć. Na prawdziwość ślubu mogłyby może wskazywać słowa Witkiewicza w dziwiącym akapicie relacji, wedle których p. K. powiedziała kiedyś, że zgodziłaby się na małżeństwo z nim "chyba pod chloroformem", a "jest pod luminalem", lub może włożenie w usta Witkacego fragmentu modlitwy ułożonej jakoby dla niego przez matkę gdy jako dziecko był bardzo chory - jest to szczegół, którego zmyślenie wydaje się raczej mało prawdopodobne, chociaż nie można go wykluczyć. Z drugiej jednak strony o tej ułożonej przez matkę modlitwie mógł kiedyś prosto opowiedzieć pani K. wspominając swe dzieciństwo, ona zaś wyzyskała to w tym raczej zmyślonym epizodzie. Zmyślenie staje się bardziej prawdopodobne jeśli się weźmie pod uwagę późniejszą działalność pani K. /starania o rentę po Witkiewiczu oraz podpisywanie listów jego nazwiskiem lub pseudonimem, co potwierdzają istniejące dokumenty/. W działalności tej mógł jej niewątpliwie dopomagać, jak zapewne najmniej sądziła, ów rzekomy ślub, który zresztą nie miałby żadnej mocy prawnej ani wartości religijnej. Ostatecznie jednak, nawet jeśli istotnie Witkacy udzielił sobie ślubu z panią K., jak pisze ona w *Kierunkach*, czego już nigdy nie będzie można sprawdzić, wyciąganie z tego wątpliwego wydarzenia w niezwykle wyjątkowej psychologicznie sytuacji jakichkolwiek wniosków co do jego osobowości czy religijności byłoby moim zdaniem bardzo ryzykowne. Słowa jego mogły być po prostu gorzką żartobliwą ironią, mogły być ze względu na panią K. metaforyczną aluzją do wspólnej śmierci jako ślubu, do którego być może go teraz namawiała, on zaś chyba na pewno odrzucił. Jeśli zaś chodzi o Polskę i bolszewików, pominięcie ich w maszynopisie ogłoszonym w *Kierunkach* tłumaczyć się może względami natury cenzuralnej.

Innych relacji o śmierci Witkacego nie znam i jestem prawie pewny, że moja jest pierwszą zapisaną "na gorąco" i bogatą w szczegóły, o których nikt inny prócz pani K. nie mógł wiedzieć, a które różnią się nieraz od tego, co sama napisała 36 lat później. Naturalnie co do tego pierwszeństwa mogę się mylić.

Sporządzonego przeze mnie dokumentu pani K. przeczytać nie chciała. Wobec, jak się zdaje, istnienia kilku niezgodnych relacji, uważam za swój obowiązek względem pamięci Witkiewicza i kultury narodowej ogłoszenie mojej, którą dla wyżej wskazanych powodów uważam za najbardziej wiarygodną - oczywiście jeśli przyjmijemy, że było zgodne z rzeczywistością opowiadanie pani K.

W styczniu 1984 roku postąpiłem swą relację panu Janowi Stanisławowi Witkiewiczowi, którego mi ktoś gorąco polecił i który o nią usilnie prosił, a o którym wiedziałem tylko tyle, że podobno wydał doskonałą książkę o Witkacym. Ani jego artykułów, ani książki jeszcze wówczas nie znałem. Relację moją chciał zamieścić w numerze *Pamiętnika Literackiego* poświęconym Witkacemu, który podobno redagował, oraz wyzyskać w swej biografii Witkacego, do której zbierał materiały. Gdy jednak mimo mej trzykrotnej prośby /19 czerwca 1983, 18 stycznia i 18 kwietnia 1984/ o wyjaśnienie swego pokrewieństwa z Witkacym p. J.S.W. wciąż tylko obiecywał mi uczynić to "w najbliższych dniach", oraz gdy przeczytałem pierwsze wydanie jego książki "Witkacy i Witkiewiczowie", wydanej w Szwajcarii przez dość zagadkowe wydawnictwo "Pocublice", 19 czerwca 1984 roku odwołałem swoją zgodę powołując się na jego zapewnienie w liście z 4 sierpnia 1983, że bez mojej zgody "nigdy nie opublikuje mej relacji lub też jej w jakiegokolwiek publikacji nie zacytuje". 14 sierpnia tegoż roku napisałem w tej sprawie do profesora Józefa Garlińskiego, redaktora *Pamiętnika* i prezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Ponieważ żaden z nich na moje oba listy polecane mimo upływu prawie dziewięciu i przeszło siedmiu miesięcy

dotychczas nie odpowiedział, posiłam ją do *Kultury* i stwierdzam, że jeśli moja relacja ukaże się w *Pamiętniku* lub też jeśli p. J.S.W. wyzyska ją w jakiejś swej innej publikacji, stanie się to bez mojej zgody, o której odwołaniu poinformowałem zarówno pana J.S.W. jak prof. Garlińskiego.

Po przeczytaniu książki o Witkacym i Witkiewiczach stało się dla mnie rzeczą oczywistą, iż nie tylko nie jest doskonała, jak mi ktoś napisał, ale że jest wprost żałosna, i że jeśli nawet p. J.S.W. jest krewnym Witkacego, nie jest człowiekiem powożanym do pisania o nim, gdyż oprócz pokrewieństwa - zresztą nie wyjaśnionego - należy do tego mieć jeszcze inne kwalifikacje, których on najwyraźniej nie ma. Książka ta świadczy o braku kultury literackiej i ogólnej, nieznanomości warsztatu krytycznego, nieudolności stylistycznej a nawet niedostatecznej znajomości języka polskiego.

Nie twierdzą, że moja relacja jest najbardziej wiarygodnym dokumentem. Mam jednak nadzieję, że pomoże ona przyszłemu biografowi z prawdziwego zdarzenia w dojsciu, przez analizę porównawczą lsgniejących tekstów, do najbardziej prawdopodobnego przebiegu owego tragicznego dnia. Ogłaszając ją uważam, że spełniłem swój obowiązek, i nic więcej na temat śmierci Witkacego nie mam do dodania.

Ostatni raz widziałem Witkacego na dwa czy trzy dni przed jego wyjazdem z Warszawy. Zastałem go przy nalepianiu na szybach pasków papierowych, które rzekomo, jak nas ówczesne władze informowały, miały je chronić od wypadania. Stał na stole postawionym koło okna. Jako znacznie młodszy zaproponowałem mu, że go zastąpię przy tej robocie. "Jakże mógłbym Ci pozwolić na wykonywanie tak idiotycznej czynności", odpowiedział. A chociaż mówiliśmy jeszcze o wielu innych rzeczach, są to ostatnie słowa Stasia, które mi pozostały w pamięci.

Mieczysław CHOYNOWSKI

14 marca 1985

R E L A C J A

Dnia 5 września Witkacy zaszedł do P. K. do biura z decyzją natychmiastowego wyjazdu z Warszawy - zrazu tylko na prawy brzeg Wisły, aby tam czekać na dalszy rozwój wypadków. Poszli razem na Bracką, skąd Witkiewicz wziął nieco najpotrzebniejszych rzeczy, potem do p. K. na Filtrową. Po drodze spotkali dr. Kochanowskiego, z którym Witkacy pogodził się, tak samo jak później - na dworcu - z Bolesławem Micińskim. Na stacji był Langier, Garbińscy, jakieś młode małżeństwo. Po południu dostali się do jednego z pociągów ewakuacyjnych i odjechali w niewiadomym kierunku - jak się później okazało do Brześcia - przechodząc w drodze niewielką katastrofę kolejową.

Witkiewicz od początku reagował na wszystko bardzo źle, zawodziło również zdrowie. W Brześciu spędzili dwie doby nocując w hotelu, przeżywali nalot potężny ze straszny zniszczeniem. Już tam, na drugi dzień wędrówki, Witkacy powiedział do p. K.: "Musimy odebrać sobie życie". Problem ten mimo jej perswazji powracał stale, narzucał się na każdym przystanku.

Z Brześcia wyszli pieszo w stronę Kobrynia. Witkiewicz czuł się z sercem bardzo niedobrze, z dnia na dzień było gorzej. W drodze zaczął źle słyszeć, trzeba było do niego krzyczeć.

W Antopolu odłączył się Langier, dalej szli już tylko we czworo z Garbińskimi. Wszelki kontakt z otoczeniem był dla Witkacego męczarnią. Z Garbińską przestał w ogóle rozmawiać, z Garbińskim mówił tylko o tym, co konieczne. Tymczasem depresja rosła, potęgowana jeszcze tym, że nie mógł się myć, nie mógł czytać. Powtarzał stale, że nie jest społeczeństwu potrzebny. Był szalenie zmęczony wędrówką i życiem - męczyły go od wielu lat podróże, alkohol, narkotyki.

Narzekał teraz, że ma grube nogi, że nie może chodzić - czasem tylko można

była podjeżdżać furką. Zakroczenie wymagało się z dnia na dzień, choć starała się go nie okazywać. Powtarzała od czasu do czasu swe żartobliwe "miau, miauu", że wszystko dobrze, że to wszystko nic. Upierała się, żeby samemu nosić bagaże. Była bardzo senny - już w pociągu do Brześcia zasypiała na dyżurach. W ciągu całej podróży nieustannie zażywała na pobudzenie Ortedrynę, której miała duże zapasy.

Myśli o samobójstwie przewijała się przez życie Witkiewicza do dawna, teraz nie opuszczała go już wcale. Gdy na zarzut: "powiedziałaś, że nie masz przywiązania do życia, a jednak teraz nie chcesz", pani K. usiłowała przekonać go, że jeszcze nie czas na to, że jeszcze będzie potrzebny, oburzył się - tak nie jest, "nie jestem nikomu potrzebny" - i żeby już nigdy o tym nie mówić.

Dobrze mieli na koniec do Jezior, wsi o 20 km od Dąbrowicy - 16 września, nocowali tam w stodole. Nazajutrz przyszła pierwsza wieść o inwazji sowieckiej - palenie dokumentów, licytacja z Garbińską w opowiadaniach okropności o rewolucji bolszewickiej. A gdy p. K. próbowała podsunąć, że przecież teraz jest co innego, że to nie rewolucja, powiedział: "Ty nic nie przeżyłaś, Ty nie wiesz jak to było". Wyobrażał sobie bolszewików strasznie - że będą bić i kłotać, że rzucą się na nią, a on nie będzie mógł jej bronić. Tej nocy decyzja dojrzała nieodwracalnie.

Osiemnastego rano Witkiewicz powiedział "To dziś" - nic więcej, tylko te dwa słowa. "Czy się nie ogolił?" zapytała p. K. "Jak chcesz" - i ogolił się, ale już nie sprzątnął przyborów. Po śniadaniu odezwał się "chodź, pójdziemy na spacer". Poszli, podobał mu się krajobraz - "jak Litwa". Szukali jakiegoś lasu, trudno było znaleźć odpowiednie miejsce: Wyszli o ósmej, chodzili mniej więcej godzinę. Znaleźli wreszcie piękny, olbrzymi dąb. Była już jesień, lekka poranna mgła bez słońca - "Ja nie mogę, nie mogę czekać ostatniej chwili - muszę jeszcze teraz, póki jest Polska. I trzeba spokojnie, z honorem".

Gdy szli, zachowywała się jak gdyby nic się nie miało stać. Jeszcze teraz, pod drzewem, pani K. próbowała perswazji. Witkiewicz przypuszczał, że może jej chodzi o siebie. "Choć powinniśmy razem umierać, jednak może by mogło być inaczej. Ale nie mam Cię komu zostawić, musisz iść ze mną". Lecz ona wiedziała, że musi z nim iść, miała o tym głębokie przekonanie, tłumaczyła mu, że to szczerze, że chce tego sama. Usiedli pod dębem, Witkacy zażywał pastylki. "Po co to bierzesz?" - zapytała pani K. "Bo krew będzie żywiej krążyć, szybciej ze mnie wyjdzie!". Chciał podciąć sobie żyły, dla p. K. miał luminal - ten sam, który od dawna przeznaczał dla siebie. "Powiedziałaś kiedyś, że nie chcesz, abym się z Tobą ożenił, że zrobiłabyś to chyba pod chloroformem", przypominał. "I widzisz - miała być pod chloroformem, a jest pod luminalem!". Rozpuszcili w garnuszku osiemnaście pastylek i dwie pastylki cybaiginy - była zdaje się jedenasta godzina, pani K. wypiała. Potem pożegnali się, pani K. chciała uniknąć wzruszeń, chciała okazać, że ona też tego pragnie. Teraz Witkiewicz wziął się do siebie. Zaczął ciąć rękę, ale krew czegoś nie szła, przeciął jeszcze żyłką na prawej nodze, lecz i tu nie było krwi. Pani K. była coraz bardziej osłabiona, czuła że zasypia, nie mogła opanować senności. "Nie zasypiaj, nie zostawiaj mnie samego!", powiedziała Witkacy, a po chwili: "Jak ty zaśniesz, to poderżnę sobie gardło!". Zamierzał podciąć sobie tylko jedną żyłę, nazwał ją, wyjaśnił, że jeśli się wie jak to zrobić, to wszystko idzie gładko - nie trzeba ciąć całego gardła. Wspominał potem krawca Błońskiego: nie przypuszczał pewnie, iż "mistrzynio" będzie ginąć w ubranku jego roboty. Wspominał de Beau-raina, Langiera, Zofię Zeleńską, Piernikarskiego, swą ciotkę z Antałówki. Gdzieś jechały jakieś konie - Witkacy bał się, że to już bolszewicy. Pani K. położyła się wówczas, nie mogła już siedzieć, nie miała sił. "Nie zasypiaj", mówił Witkiewicz. Mówił także, że szkoda, iż nie ma słońca - "Żeby chociaż zaświeciło słońce!". Pani K. zasypiała już wtedy, widziała jeszcze jak zażywał znów Ortedrynę, a potem już nic nie pamięta.

Obudziła się w nocy, miała torsje. Przez sen zbadała miejsce koło siebie, czy Witkacy jest obok niej - bo tak było przez cały czas wędrówki, gdyż nie

rozstawali się nigdy. Nie było go - przypomniała sobie wszystko, zdawało się jej, że musiał być lekko ranny i zabrali go, więc ona musi znów zasnąć. Potem jeszcze raz się obudziła i jeszcze raz zasnęła. Wreszcie obudziła się trzeci raz, był już ranek, pod głowę miała marynarkę, którą jej musiał włożyć Witkacy - "Stasia nie było". Wstała wówczas i upadła na niego, zawołała, myślała, że żyje. Leżał na wznak z podkuloną lewą nogą, ręce miał zgięte w łokciach i odchyłone do góry, oczy otwarte i uchylone usta - w twarzy była ulga, odprężenie po wielkim zmęczeniu.

Pani K. nie wiedziała co robić, nie mogła się zorientować - to krzyczała, to mówiła coś do Witkiewicza. Byli oboje mokrzy od porannej mgły, z dębu padały na nich żółędzie; ona osuwała się na niego, chciała go grzebać, rękami zgarniała nań ziemię, nie wiedziała co robić. Potem wodą z kubeczka po luminalu umyła mu twarz i okryła ją paprociami. Była strasznie osłabiona, widziała podwójnie - "było wtedy dwóch Stasiów". Pamiętała, że trzeba go pochować i wracała, mówiła coś do niego, pytała o coś, czuła się na czworakach i bezradnie siadała na ziemi. Nagle zaszczekał pies i wtedy uprzytomniła sobie, że przecież gdzieś są ludzie. Przypomniała sobie rękopisy Witkiewicza i wiedziała już, że musi go pochować, a potem ratować rękopisy.

Rano, we wtorek 19 września, Garbińscy wystali milicję na poszukiwania. Znalezione ich - pani K. leżała potem 3 dni nieprzytomna, Witkiewicza pochowali tego samego dnia przy jeziorze, na starym prawosławnym cmentarzu. Jest tam dziś duży sosnowy krzyż, wieniec z jodły i kwiaty przyniesione przez wiejskie dzieci. Witkiewicz leży w trumnie z desek okryty płótnem, z laską. Kowal miejscowy przyrzekł przybić miedzianą tablicę i okryć grób darnią. Na krzyżu są wyskrobane i obrysowane chemicznym ołówkiem imiona, nazwisko oraz daty.

Pani K. zażyła luminal o jedenastej, około 11.30 zasnęła. Była bardzo grubo ubrana, lecz gdy ją nazajutrz rano po odnalezieniu odprowadzono do leśniczówki, miała zakrwawione ramięczko od koszuli. Witkiewicz musiał przy niej siedzieć, okrwawił ją pewnie wtedy, gdy jej podkładał pod głowę marynarkę - musiało być wówczas koło dwunastej, osiemnastego września 1939 roku.

Spisywał Mieczysław CHOYNOWSKI

KULTURA, Listopad 1985

JAN KARSKI

SHOAH /ZAGŁADA/

W połowie października br. zaproszono mnie oraz kilka innych osób na prywatny pokaz filmu "Shoah". Wśród obecnych był profesor teologii katolickiej, Monsignor George Higgins; szczerzy przyjaciel Polaków i były ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie, Richard Davies oraz ceniony i życzliwy Polsce pisarz, Abraham Brumberg.

Film trwa ponad dziewięć godzin. Nie ma w nim aktorów. Zawiera jedynie wywiady z ofiarami żydowskiej gehenny, jej bezpośrednimi sprawcami oraz nacownymi świadkami. Pokazane są również oryginalne dokumenty i raporty niemieckie. Niektóre wywiady /z Niemcami/ są filmowane z nycia. Poza tym są pokazane sceny komory gazu i przyobozowe wsie i miasteczka, tak jak wycię-

dały w czasie wojny i tak jak wyglądają dzisiaj. Twórcą filmu jest Francuz, Claude Lanzmann. Filmował w Polsce, Czechosłowacji, Grecji, Holandii, Izraelu, Szwajcarii, Rumunii oraz Ameryce. Poświęcił tej pracy kilkanaście lat życia.

"Shoah" jest na pewno największym filmem o tragedii Żydów, jaki powstał po wojnie. Nikt nie zdołał odtworzyć zagłady Żydów podczas drugiej wojny światowej tak dogłębnie, z tak krew mrozącą w żyłach brutalnością i brakiem litości dla widza. Jednocześnie konstrukcja filmu, powiązanie ludzi, wydarzeń, natury i czasu są pełne urzekającej poezji. Kojące piękno drzew, wyrostych na miejscach kaźni, nieskazitelnie czysta tafla stawu, zawierającego popioły spalonych Żydów, wieśnlacze łąki i zagony, pokrywające straszne tajemnice obozów koncentracyjnych, procesja, wychodząca z kościoła, który był miejscem zbiórki deportowanych Żydów, przejmujące modły w synagodze tych, którzy przeżyli, stara kobieta, która ocalała i śpiewa żydowską pieśń "z tamtych czasów" - wszystko to wstrząsa grozą lub urzeka pięknem. Jedno jest nieludzko straszne, drugie niewypowiedziane niewinne. Kto zobaczy ten film, nigdy go nie zapomni.

Dowiedział się o filmie "Shoah" Papież i w audiencji, udzieleny francuskim i belgijskim kombatanom chwalił film i sumienność jego twórcy. Podkreślił także moralne znaczenie tego filmu.

Przedmiotem filmu są męczarnie i wreszcie zagłada bezbronnych Żydów, w tym ponad trzech milionów obywateli polskich wyznania mojżeszowego lub żydowskiego pochodzenia. Nic więcej. Film nie opisuje ogólnego tła wojennych lat, podboju przez Trzecią Rzeszę prawie całej Europy i okrucieństw, dokonywanych wobec podbitych narodów. Nie mówi o cierpieniach nieżydowskiej ludności w Polsce, Rosji, Grecji czy Serbii. Rygorystyczna konstrukcja filmu na to nie pozwala.

Intencją Lanzmanna jest uzmysłowić widzowi, iż gehenna Żydów była zjawiskiem jedynym, z niczym nieporównywalnym. Ma w tym niewątpliwie rację. Równanie zagłady Żydów z cierpieniami i stratami nieżydowskiej ludności Europy jest wprawdzie uczuciowo zrozumiałe, ale błędne. Owszem, wszystkie narody ponosiły mniejsze lub większe ofiary, ale wśród Żydów ofiarami byli wszyscy. O tym Lanzmann nie zapomina ani na chwilę i zrozumie to każdy, który ten film zobaczy.

To bezkompromisowe ograniczenie tematu wywołuje wrażenie, iż Żydzi byli opuszczeni przez całą ludzkość, iż cała ludzkość była nieczuła na ich los. Jest to jednak nieścisłe, a poza tym deprymujące, szczególnie dla powojennego i przyszłych pokoleń żydowskich. Żydzi byli opuszczeni przez rządy, przez tych, którzy mieli władzę fizyczną czy duchową. Nie byli opuszczeni przez ludzkość. Przeciwnie w Europie paręset tysięcy Żydów zostało uratowanych. W Polsce przeżyło ich kilkadziesiąt tysięcy. Za ukrywanie Żydów w Polsce groziła kara śmierci temu, kto to czynił i jego rodzinie. W Zachodniej Europie, choć kary nie były tak ostateczne, pomaganie czy ukrywanie Żydów też narażało na wielkie niebezpieczeństwo. Niemniej setki tysięcy chłopów, robotników, inteligentów, księży, zakonników, narażając siebie i bliskich, udzielało Żydom pomocy w każdym kraju Europy. Ilu ich zginęło - Bóg wie jeden.

W Polsce powstała tajna organizacja, której jedynym zadaniem było ukrywanie i pomoc ukrywającym się Żydom. Jej szef, Władysław Bartoszewski, żyje w Warszawie. Żyje w łodzi bohaterski przywódca powstania w warszawskim getcie, Marek Edelman. Żyją inni w innych krajach. Powinni być choćby wspomniani. Uprzątnienie widzowi, szczególnie młodemu pokoleniu Żydów i nie-Żydów, iż tacy ludzie byli, wydaje mi się konieczne, niezależnie od takiej czy innej konstrukcji filmu. Dla jednych jest to konieczne, aby nie stracili wiary w ludzkość i w swoje w tej ludzkości miejsce. Dla drugich, aby zrozumieli o czego prowadzi brak tolerancji, rasizm, antysemityzm i nienawiść oraz co może miłość bliźniego. Jest to ważniejsze niż jakakolwiek konstrukcja. Szczególnie, iż jest to film tak potężny i tak wielki, i będzie miał wpływ na widza.

Technika filmu polega na wywiadach albo zaplanowanych albo przypadkowych, z nieznanymi Lanzmannowi ludźmi. W tej drugiej grupie są wypowiedzi kilku Polaków, mieszkających przyobozowych miast i wsi. Niektóre świadczą o współczuciu i dobroci serca, większość przeraża. Oto jakies małomiasteczkowe kobiety, pytane co myślą o zniszczeniu Żydów, odpowiadają, iż po ich zagładzie żyje im się lepiej niż dawniej. Zajęty pożydowskie domy, okazałszy się te, w których mieszkali przed wojną. Oto jakaś kobieta z innej grupy, choć nie pytana, poucza Lanzmanna, że to, co spotkało Żydów, to kara boska za wydanie Zbawiciela na śmierć. Mówi to na tle kościoła tuż przed procesją. Snać przykazania drugiego soboru watykańskiego, określające taką postawę jako grzech, nie doszły do tej parafii. Oto miejski inteligent, także nie pytany, wyrwa się z tłumy przed kamerę filmową, aby poinformować Lanzmanna, co jakoby wiedział jego przyjaciel. Oto jakiś rabin miał tłumaczyć zebranym na deportację Żydom, że swój los zawdzięczają własnym przodkom, którzy, wydając Chrystusa na śmierć, wołali, aby Jego krew spadła na nich i na ich potomstwo. Inteligent nie dodaje, iż Żydzi i rabin byli otoczeni przez SS-manów z rewolwerami lub pałkami w rękach. Oto rolnik, pytany, czy żałuje, że Żydów już nie ma, odpowiada z uśmiechem, że i tak, i nie. Gdy był młody, lubił Żydówki. Teraz jest stary i wszystko mu jedno. Inny Polak z okolic Trebлінki opowiada o transporcie Żydów z Zachodniej Europy, który obserwował. Na dojazdową stację tuż przed Trebлінką zajęchały pulmanowskie wagony. Siedzieli w nich grubi Żydzi i fryzowane Żydówki. Na stołkach wewnątrz wagonów stały "flakony z perfumami". Widział walizy ze złotem. Na wejściu jeden z Żydów wyszedł z wagonu i udał się do bufetu stacyjnego, aby coś tam sobie kupić. Drzwi wagonu nie były strzeżone. Wolno mu było wyjść - tuż przed Trebлінką. O Boże!

Film zawiera także wywiad ze mną. Okoliczności tego wywiadu ujawniają metodę pracy Lanzmanna oraz zaplanowane ramy "Shoah". Lanzmann odwiedził mnie w 1977 roku, wręczył mi materiały, dotyczące jego kwalifikacji, poprzednich filmów, pochlebnych recenzji itp. i opowiedział o swoim projekcie. Słyszał i czytał o mnie. Jest moim obowiązkiem udzielenie mu filmowego wywiadu. Początkowo odmówiłem. Odszedłem od moich wojennych przeżyć i przez ponad trzydzieści lat do tych wspomnień nie wracałem. W końcu zgodziłem się, prosząc o pisemne sformułowanie pytań. Chcę się przygotować. Lanzmann odmówił: nie chce przygotowanych odpowiedzi. Będzie pytał o to, co należy do filmu. Ja będę mówił to, co pamiętam. Zgodziłem się, zastrzegając jedynie, aby mnie nie wplątywał w jakies polityczne dyskusje, oceny czy konkluzje. Odpowiedział, że bynajmniej nie leży to w jego intencjach.

Wywiad odbył się w 1978 roku u mnie w domu. Filmował dwa dni, w sumie około ośmiu godzin. Lanzmann to trudny człowiek. Namiętny. Całkowicie oddany swej pracy. Bezwzględny w indagacji i ustalaniu faktów. Parę razy załamane się nerwowo. Raz załamał się on. Żona, nie mogąc tego znieść, wyszła z domu.

Z ośmiu godzin filmowania zobaczyłem na ekranie około czterdziestu minut wywiadu, opisującego męczarnie Żydów w warszawskim getcie oraz skargi i rozpaczliwe żądania o pomoc żydowskich podziemnych przywódców, skierowane do zachodnich rządów. I czas, przeznaczony na moją relację i konstrukcja "Shoah" zmusiły Lanzmanna do pominięcia tej części wywiadu, która według mnie była najważniejsza w tej mojej żydowskiej misji z końca 1942 roku. O męczarniach Żydów mówili inni ponad siedem godzin. Wielu zrobiło to lepiej niż ja. Dla mnie centralnym punktem mojego wywiadu było to, iż przedarłem się na Zachód i poinformowałem o tragedii i żądaniach Żydów czterech członków angielskiego Gabinetu Wojennego z Edenem na czele, prezydenta Roosevelta i trzech kluczowych członków amerykańskiego rządu, delegata apostolskiego w Waszyngtonie, żydowskich przywódców w Stanach Zjednoczonych, wybitnych pisarzy i politycznych komentatorów. Przecież o tych rzeczach nikt poza mną w filmie nie mógł mówić, a to wykazywało, jak rządy alianckie, które jedyne były zdolne przyjąć Żydom z pomocą, zostawiły Żydów ich własnemu losowi.

Włączenie tego materiału do filmu "Jak mówić" o ogólnych wiadomości o tych, którzy parali się Żydom pomagać, przekazywałoby zagładę Żydów we

właściwszej perspektywie historycznej. Przywódcy narodów, potężne rządy albo decydowały o zagładzie, albo w tej zagładzie brały udział, albo wobec tej zagłady zachowały obojętność. Ludzie, zwykli ludzie, tysiące ludzi współczuło z Żydami lub szło im z pomocą.

Film "Shoah" poprzez swoją potęgę talentu, woli i okrutnej prawdy, ale także samoograniczenie spowodował konieczność następnego filmu, równie potężnego, równie prawdziwego - filmu, który przedstawi tę drugą rzeczywistość zagłady. Rządy, organizacje społeczne, Kościoły, ludzie talentu i serca powinni znaleźć jakąś formę wspólnego wysiłku, aby taki film wyprodukować. Nie po to, aby zaprzeczać temu, co film "Shoah" pokazał. Po to, by go uzupełnić. Przecież żydowska gehenna czasów drugiej wojny światowej ciąży nad ludzkością jak klątwa.

Jan KARSKI

Georgetown University

Dokumenty

KULTURA, październik 1985

RICHARD VON WEIZSACKER

NIE MOŻE BYĆ POJEDNANIA BEZ PAMIĘCI O PRZESZŁOŚCI

Fragmenty mowy prezydenta Republiki Federalnej Niemiec przed Bundestagiem w Bonn 8 maja 1985 roku w 40-tą rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej.

Wiele narodów rozpamiętuje dziś ów dzień, w którym dobiegła końca druga wojna światowa. Każdy z nich, zależnie od swego losu, łączy z tym dniem swoje własne uczucia. Zwycięstwo lub klęska, uwolnienie spod bezprawia i obcego panowania albo doznanie nowych zależności, podziałów, nowych sojuszków czy gwałtownych przesunięć sił - 8 maja 1945 jest datą o decydującym historycznym znaczeniu dla Europy. /.../

8 maja jest dla nas przede wszystkim dniem pamięci o ludzkim cierpieniu. Jest on jednocześnie dniem refleksji nad biegiem naszej historii. Im rzetelniej go obchodzimy, tym wolniejsi jesteśmy w podejmowaniu odpowiedzialności za jego następstwa. 8 maja nie jest dla nas, Niemców, dniem święta. Ci, którzy go świadomie przeżyli, łączą z nim bardzo osobiste, a więc bardzo różne doświadczenia. /.../

Trudno było w owych dniach o szybką orientację. Nad krajem ciążyła niepewność. Kapitulacja była bezwarunkowa, los nasz spoczywał w rękach wrogów. Przeszłość była straszna, szczególnie dla wielu spośród naszych nieprzyjaciół. Czy nie będą się chcieli zemścić na nas za to, cośmy im uczynili? Większość Niemców wierzyła, iż cierpią i walczą o dobrą sprawę własnego kraju. I oto się okazało, że wszystko było nie tylko daremne i bez sensu, ale służyło nieludzkim celom zbrodniczego przywództwa /.../

A jednak z dnia na dzień stawało się coraz jaśniejsze to, co dziś z całym naciskiem wszyscy musimy powiedzieć: 8 maja był dniem wyzwolenia. Uwolnił on nas wszystkich od nieludzkiego systemu narodowo-socjalistycznych rządów przemocy.

Nikt z powodu tego wyzwolenia nie zapomina cierpień, które dla wielu rozpoczęły się właśnie po 8 maja. Ale przyczyn ucieczek, wygnania i niewoli nie możemy się doszukiwać w końcu wojny. Leżą one u jej początku, u źródła tej dyktatury, która do wojny doprowadziła. Nie wolno nam 8 maja 1945 oddzielać

od 30 stycznia 1933 roku.

Nie mamy doprawdy powodu, ażeby brać udział w dzisiejszych uroczystych obchodach zwycięstwa. Ale mamy wszelkie powody po temu, aby uznać 8 maja jako kres błędnej drogi niemieckiej historii, zawierający ziarno nadziei na lepszą przyszłość. /.../

Pogrążeni w żałobie pamiętamy dziś o wszystkich ofiarach wojny i tyranii. W szczególności pamiętamy o 6 milionach Żydów, którzy zostali zamordowani w niemieckich obozach koncentracyjnych. Pamiętamy o wszystkich narodach, które ucierpiały w czasie wojny, przede wszystkim o niezliczonych rzeszach obywateli Związku Sowieckiego i Polski, którzy stracili życie. Jako Niemcy wspominamy w żałobie własnych rodaków, którzy zginęli jako żołnierze, podczas bombardowań, w niewoli i w trakcie przesiedleń. Pamiętamy o zamordowanych Cyganach, o zabitych homoseksualistach i umysłowo chorych, o wszystkich, którzy z powodu religijnych czy politycznych przekonań skazani zostali na śmierć. Pamiętamy o rozstrzelanych zakładnikach. Wspominamy ofiary oporu we wszystkich okupowanych przez nas państwach. Jako Niemcy czcimy też pamięć ofiar niemieckiego oporu obywatelskiego, wojskowego i kościelnego, oporu wśród robotników i związków zawodowych, oporu komunistów. Wspominamy tych, którzy nie brali czynnego udziału w ruchu oporu, ale wybierali raczej śmierć, aniżeli sprzeniewierzenie się własnemu sumieniu.

Pamiętamy nie tylko o niezliczonych ofiarach śmiertelnych, ale także o nieograniczonych cierpieniach porażonych i pokaleczonych, brutalnie przymusowo sterylizowanych, koszarze nocnych nalotów, ucieczek i przesiedleń, zgwałceń i rabunków, pracy przymusowej, bezprawia i tortur, głodu i nędzy, lęku przed aresztowaniem i śmiercią, utratą wszystkiego w co się zdumnie wierzyło. Rozpamiętujemy dzisiaj ogrom tego ludzkiego cierpienia i pochylamy się przed nim w żałobie.

Największy chyba ciężar z tego, cośmy przeżyli spadł na barki kobiet wszystkich narodów. O ich cierpieniach, wyrzeczeniach i cichej mocy dzieje świata zapominają zbyt łatwo. /.../ A przecież jeśli w obliczu zniszczeń, spustoszeń, okrucieństw i barbarzyństwa narody nie złamały się wewnętrznie i po wojnie stopniowo odnajdywały siebie - zawdzięczamy to przede wszystkim kobietom.

U źródła dyktatury leżała nieprzejeđnana nienawiść Hitlera do naszych żydowskich współobywateli. Hitler nie tylko nigdy się z tym przed opinią publiczną nie krył, ale naród cały uczynił narzędziem tej nienawiści. /.../ Nie ma chyba żadnego państwa, które by nie było w swej historii uwikłane w własnej winy w wojny i przemoc. Ludobójstwo dokonane na Żydach jest jednak w historii bez precedensu.

Dokonywanie zbrodni leżało w rękach niewielu. Ukrywane było przed okiem publicznym. Ale każdy Niemiec mógł dostrzec, co znosili jego żydowscy współobywatele, poczynawszy od chłodnej obojętności poprzez skrytą nietolerancję aż po otwartą nienawiść. Ktoż mógł po pożarach synagog, grabieżach, stygmatyzacji gwiazdą Dawida, wyzuciu z praw i bezustannym deptaniu godności człowieka pozostać bez winy i skazy? Kto miał oczy i uszy otwarte, kto chciał widzieć, ten nie mógł przecoczyć biegu pociągów deportacyjnych. Wyobraźni ludzkiej mogło zabraknąć dla uprzytomnienia sobie metod i rozmiaru zagłady. Ale w rzeczywistości samej zbrodni towarzyszyło usiłowanie zbyt wielu nie przyjmowania do świadomości tego, co się dokoła działo. Dotyczyło to również mego pokolenia, choć jako młodzi udziału w planowaniu i realizacji wydarzeń nie brałiśmy. Istniało wiele sposobów stłumienia sumienia, odsunięcia odpowiedzialności, odwrócenia uwagi i milczenia. Gdy później przy końcu wojny ujawniła się straszna prawda Holocaustu, zbyt wielu spośród nas zastanawiało się twierdzeniem, iż nic nie wiedzieli.

Nie istnieje pojęcie winy albo nieskazitelności w odniesieniu do całego narodu. Wina, podobnie jak nieskazitelność, nie są zbiorowe, lecz indywidualne. Są winy ludzkie ujawnione i pozostające w ukryciu, winy do których ludzie

się przyznają albo których się wypierają. Niech każdy, kto świadomie ten okres przeżył zapyta dziś siebie w cichości sumienia, jak dalece sam był uwikłany.

Większość naszej dzisiejszej ludności znajdowała się w tamtych czasach albo w wieku dziecięcym, albo jej w ogóle jeszcze nie świeciło nie było. Nie może się więc ona przyznawać do nie swolch win za czyny, których nie popełniła. Żaden rzetelny człowiek nie może domagać się przywdziawania wrośiennicy jedynie dlatego, że się jest Niemcem. Przodkowie pozostawili nam jednak trudny spadek. Wszyscy - winni czy niewinni, starzy czy młodzi - musimy się z naszą przeszłością pogodzić. Wszyscy jesteśmy dotknięci jej skutkami i za nie odpowiadamy. Młodzi i starsi powinni i mogą sobie wzajemnie pomóc w zrozumieniu, dlaczego tak niesłychanie ważne jest zachowanie pamięci o przeszłości. Nie chodzi o to, by uporać się z przeszłością. Jest to niemożliwe. Nie sposób jej przecież ani dowolnie zmieniać ani uznać za niebyłą. Kto zaś zamyka oczy na przeszłość, ten staje się ślepy na teraźniejszość. Kto nie chce pamiętać o okrucieństwach staje się znowu podatnym na niebezpieczeństwo nowej infekcji. /.../

8 maja stanowi głęboką cezurę w historii nie tylko Niemiec, ale też całej Europy. Europejska wojna domowa dobiegała końca, stary europejski świat runął. "Europa wykończyła się" /Michał Stürmer/. Spotkanie amerykańskich i sowieckich żołnierzy nad Łabą stało się symbolem prowizorycznego zakończenia europejskiej ery.

Ten rozwój wypadków miał oczywiście swoje dawne historyczne korzenie. Od ponad stu lat Europa była widownią konfrontacji wybujałych nacjonalizmów. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej doszło do zawarcia traktatów pokojowych, pozbawionych jednak dostatecznej mocy, by ugruntuwać pokój. Rozbujające niebawem namiętności nacjonalistyczne pogłębiłone zostały krytyczną sytuacją socjalną.

Na tej drodze wiodącej do katastrofy Hitler stał się siłą napędową. Pobudzał on i wykorzystywał histerię mas. Słaba demokracja nie była zdolna mu się przeciwstawić. Również mocarstwa zachodnie - według oceny Churchilla "bez złej myśli, ale nie bez winy" - przyczyniły się przez swoją słabość do tego zgubnego rozwoju sytuacji. Ameryka, która ponownie po pierwszej wojnie światowej wycofała się z Europy, w latach 30-tych nie miała na nią wpływu.

Hitler dążył do panowania nad Europą. i to drogą wojny. Szukał więc do niej sposobności, aż znalazł w Polsce.

23 maja 1939 roku oświadczył przed niemiecką generalicją: "Dalsze sukcesy są nie do osiągnięcia bez rozlewu krwi... Gdańsk nie jest celem, o który chodzi. Dla nas istotne jest rozszerzenie przestrzeni życiowej na Wschodzie i zabezpieczenie sytuacji aprowizacyjnej... Odpada więc problem oszczędzania Polski, pozostaje decyzja zaatakowania jej przy pierwszej nadarżającej się okazji... Trzeba dążyć do zadania nieprzyjacielowi od razu poważnego ciosu lub do jego całkowitego zniszczenia. Prawo czy bezprawie albo traktaty nie odgrywają tu żadnej roli".

23 sierpnia zawarty został niemiecko-sowiecki pakt o nieagresji. Tajny załącznik do protokołu regulował przewidziany rozbiór Polski.

Pakt ten został zawarty w celu ułatwienia Hitlerowi wkroczenia do Polski. Ówczesne kierownictwo Związku Sowieckiego zdawało sobie w pełni z tego sprawę. Dla wszystkich politycznie myślących było oczywiste, że pakt niemiecko-sowiecki oznacza atak Hitlera na Polskę, a tym samym drugą wojnę światową. Nie zmniejsza to niemieckiej winy za jej wybuch. Związek Sowiecki godził się na wojnę innych narodów, aby przy tym skorzystać. Ale inicjatywa wojny wyszła od Niemiec, nie od Związku Sowieckiego. Hitler był tym, który użył przemocy. Wybuch drugiej wojny światowej pozostanie związany z imieniem Niemiec.

W czasie tej wojny reżym narodowo-socjalistyczny znęcał się i gnębił wiele narodów. W końcu pozostał tylko jeden naród do zgnębienia, zniewolenia i zhań-

bienia: naród niemiecki. Hitler wielokrotnie powtarzał: "Jeśli naród niemiecki nie jest w stanie tej wojny wygrać, to niech zginie. Inne narody padły ofiarą wojny idącej z Niemiec zanim sami staliśmy się ofiarą naszej własnej wojny".

8 maja rozpoczął się podział Niemiec na zony. Tymczasem Związek Sowiecki wkroczył do wszystkich państw Europy Wschodniej i Południowo-Wschodniej, zajętych w czasie wojny przez Niemców. Z wyjątkiem Grecji wszystkie one stały się państwami socjalistycznymi. Rozpoczął się proces podziału Europy na dwa odmienne politycznie systemy. Ale dopiero powojenny rozwój wypadków ten podział umocnił. Nie doszłoby jednak nigdy do niego bez rozpoczętej przez Hitlera wojny. Pamiętają o tym narody, przypominając sobie rozpętaną przez Niemcy wojnę. Patrząc na podział naszego własnego kraju i na straty dużej części niemieckiego obszaru państwowego i my o tym pamiętamy. Kardynał Meisner z Berlina Wschodniego powiedział w swym kazaniu na 8 maja: "Rozpacżliwym rezultatem grzechu jest zawsze rozłąka".

Przypadkowość zniszczeń wpływała na dowolność w podziale ciężarów. Niewinni bywali ścigani, winnym udawano się ująć. Jedni mieli szczęście, bo mogli u siebie w bliskim otoczeniu rozpocząć budowę nowego życia, innych wygnano z własnej ojczyzny. My, w późniejszej Republice Federalnej Niemiec, uzyskaliśmy ceną szansę wolności. Wiele milionów naszych rodaków do dziś jest jej pozbawionych. /.../

Nie możemy wspominać 8 maja nie zdając sobie sprawy z tego, ile przezwy-
ciężonych trudności kosztowała naszych dawnych nieprzyjaciół gotowość do po-
jednania. Czy potrafimy rzeczywiście wczuć się w sytuację rodzin ofiar warszawskiego getta czy masakry w Lidice? Ilez oporów musiał przełamać mieszkańiec Rotterdamu czy Londynu aby wsplerać odbudowę naszego kraju, z którego pochodziły bomby, które tak niedawno spadały na jego miasto. Ażebymy do tego doszło, musiało powoli narastać przekonanie, że Niemcy nie podejmą ponownie próby skorygowania siłą swej klęski.

U nas samych najwięcej wymagało się od przesiedleńców. Jeszcze długo po 8 maja doznawali gorzkiej niedoli i krzywd. Dla zrozumienia ich ciężkiego losu brakowało nam, tubylcom, często wyobraźni i otwartego serca. Ale już wkrótce wzrosła gotowość niesienia pomocy. Udzielono schronienia wielu milionom uchodźców i przesiedleńców, którzy zakorzenili się tu w ciągu lat i ustabilizowali. Ich dzieci i wnuki odczuwają wprawdzie nadal sentyment i związek z ojczystą kulturą swych przodków, ale sami znaleźli już tu nową ojczyznę. /.../

Przykładnie i wcześniej wyrzekli się przesiedleńcy wszelkiej myśli o użyciu siły. Nie było to wyrzeczenie się przemijające i wynikłe z chwili słabości, tylko wyznanie o charakterze nieprzemijającym. Wyrzeczenie się użycia siły oznacza otwarcie możliwości narastania wzajemnego zaufania, obowiązującego również odradzające się Niemcy. Własna ojczyzna stała się z czasem ojczyzną innych. Na wielu starych cmentarzach na Wschodzie jest dziś więcej polskich aniżeli niemieckich grobów. W ślad za wymuszoną wędrownką milionów Niemców na Zachód postępowali miliony Polaków a za nimi znów miliony Rosjan. Są to ludzie, którym nikt nie pytał, ludzie, którym się działa krzywda, którzy stali się bezbronny przedmiotem wypadków politycznych, którym żaden rachunek krzywd ani konfrontacja z roszczeniami prawnymi nie są w stanie wyrównać tego, co ich spotkało.

Zrzeczenie się użycia siły oznacza dziś zapewnienie ludziom gdziekolwiek ich los rzucił po 8 maja i gdzie obecnie od dziesięcioleci zamieszkują, stałego politycznie nienaruszalnego bezpieczeństwa na przyszłość. Oznacza podporządkowanie sprzecznych ze sobą prawnych pretensji nakazowi porozumienia. W tym leży zasadniczy humanitarny wkład w europejski ład pokojowy, na który potrafimy się zdobyć. /.../

Niemcy uczuciowo nie mniej są związani ze swoją ojczyzną, niż inne narody europejskie. Któż by mógł ufać narodowi i jego zapewnieniom o umiłowaniu po-

koju, który zapomina o swojej ojczyźnie? Wola pokoju umydatnia się właśnie w tym, że się nie zapomina o ojczyźnie i czyni wszystko, by w spokoju żyć ze sobą. Miłość ojczyzny przesiedleńców nie jest rewanżyzmem.

Ostatnia wojna rozbudziła w sercach ludzkich większą niż kiedykolwiek tęsknotę za pokojem. Z głębokim oddźwiękiem spotkała się praca pojednawcza kościołów. Należy tu wymienić "Aktion Sühnezeichen" /"akcja pokuty"/, grupująca młodzież /niemiecką/ i działającą w Polsce i w Izraelu. Nadreńskie miasto Kleve otrzymało niedawno od polskich gmin chleb jako symbol pojednania i wspólnoty. Jeden z tych bocheników odesłano z Kleve dalej do Angoli. Stamtąd bowiem nadszedł list od nauczyciela, proszący o jakiś znak pojednania, gdyż w czasie wojny jako lotnik bombardował kościół i domy mieszkalne w Kleve. Wielkim ułatwieniem w osiągnięciu pokoju jest nie czekać na innych, tylko wyjść samemu naprzeciw - tak jak dla nauczyciela.

Konsekwencje wojny zbliżyły dawnych przeciwników. Już w 1946 roku amerykański minister spraw zagranicznych Byrnes namotywał w swoim pamiętnym stuttgarckim przemówieniu do porozumienia w Europie oraz do udzielenia narodowi niemieckiemu pomocy w jego drodze ku wolnej i pokojowej przyszłości. Niezliczeni obywatele amerykańscy pomagali pokonanym Niemcom w leczeniu powojennych ran. Dzięki dalekowzroczności Francuzów Jean Monneta i Roberta Schumana oraz ich współpracy z Konradem Adenauerem ustała raz na zawsze nienawiść między Francuzami a Niemcami. /.../

Zamiast przymusu ustanowiliśmy u siebie demokratyczne swobody. 8 maja 1949 roku, dokładnie w cztery lata po zakończeniu wojny, zgromadzenie parlamentarne uchwaliło naszą konstytucję. Demokratyczni postawie, wnosząc się ponad partyjne interesy, odcięli się od wojny i tyranii w pierwszym artykule naszej konstytucji: "Naród niemiecki uznaje nieetykalne przyrodzone prawa człowieka jako fundament każdej ludzkiej społeczności, pokoju i sprawiedliwości w świecie". Również i o tym znaczeniu 8 maja należy dzisiaj pamiętać. /.../

Nie mamy doprawdy powodów do zarozumiałości czy faryzeuszostwa. Ale wolno nam na rozwój tych 40 lat patrzeć z wdzięcznością, zwłaszcza gdy naszą historyczną pamięć wykorzystamy jako llinę przewodnią w postępowaniu aktualnym.

- Gdy sobie przypomnimy, że chorzy umysłowo byli w czasie III Rzeszy uśmierceni - będziemy wspierać psychicznie chorych traktowali jako nasz szczególny obowiązek.
- Gdy sobie przypomnimy, że prześladowani z powodów rasistowskich, religijnych czy politycznych i zagrożeni pewną śmiercią stawali często przed zamkniętymi granicami innych państw nie będziemy przed prawdziwymi ofiarami dzisiejszych prześladowań zamykali drzwi, gdy szukać będą u nas schronienia.
- Gdy sobie przypomnimy prześladowania wolności słowa w okresie dyktatury - będziemy strzec każdej myśli i każdej krytyki.
- Ten, który osądza stosunki na Bliskim Wschodzie, niech pomyśli o losie jaki Niemcy zgotowali swoim żydowskim bliźnim i co przyczyniło się do powstania państwa izraelskiego w warunkach, które jeszcze obecnie są dla mieszkańców tamtego regionu obciążeniem.
- Gdy pomyślimy o tym, co nasi wschodni sąsiedzi musieli znieść w czasie wojny - zrozumiemy lepiej, iż pojednanie i pokojowe stosunki sąsiadzkie z tymi krajami pozostają głównym zadaniem niemieckiej polityki zagranicznej. To znaczy, że obie strony muszą pamiętać i nawzajem się szanować. Generalny Sekretarz komunistycznej partii Związku Sowieckiego, Gorbaczow, oświadczył, że kierownictwu sowieckiemu nie chodzi o rozniecanie w 40-tą rocznicę zakończenia wojny uczuć anty niemieckich. Związek Sowiecki opowiada się za przyjaźnią między narodami. Właśnie gdy z naszej strony padają pytania również o sowiecki wkład do porozumienia Wschód-Zachód oraz o poszarpanie praw człowieka we wszystkich częściach Europy, nie chcemy tego sygnału z Moskwy nie dostyszeć. My chcemy przyjaźni z narodami Związku Sowieckiego.

W 40 lat po zakończeniu wojny naród niemiecki pozostaje wciąż podzielony. /.../ Ale my, Niemcy, stanowimy jeden naród. Czujemy się wspólnotą, bowiem wiąże nas nasza historia. Również 8 maja 1945 przeżyliśmy jako wspólny los naszego narodu, co nas też łączy. Czujemy się wspólnotą w naszej woli pokoju. Z ziemi niemieckiej obu państw winna promieniować idea pokoju i dobrosąsiedzkich stosunków ze wszystkim krajami. Ale nlech i nikt inny nie czyni z niej niebezpieczeństwa dla pokoju. Ludzie w Niemczech pragną pokoju, sprawiedliwości i praw człowieka dla wszystkich narodów, również dla niemieckiego. Nie Europa murów potrafi dokonać pojednania ponad granicami, ale kontynent, który granicom swoim odbierze charakter przeszkód. Do tego właśnie nawołuje nas doświadczenie drugiej wojny światowej. Ufamy, że 8 maja nie pozostanie w naszej historii ostatnią datą, wiążącą wszystkich Niemców.

Nie jeden z młodych zapytywał w ostatnich miesiącach i siebie i nas dlaczego 40 lat po zakończeniu wojny doszło do tak ożywionych dyskusji nad przeszłością. Czemu są one bardziej żywe aniżeli w 25-cio- czy 30-lecie? Gdzie leży przyczyna tej nieodczowności?

Nie łatwo o odpowiedź na podobne pytania. Nie powinniśmy jednak przyczyn tego doszukiwać się głównie we wpływach zewnętrznych. 40 lat, to okres czasu odgrywający w losach ludzi i narodów ogromną rolę. Proszę mi pozwolić odwołać się tu do Starego Testamentu, który kryje w sobie głębokie myśli dla każdego człowieka, niezależnie od jego wiary. Otóż, w Starym Testamencie 40 lat odgrywa powtarzającą się stale istotną rolę. 40 lat Izraelczycy mieli pozostać w pustyni, nim się rozpoczął nowy rozdział w ich historii wejściem do ziemi obiecanej. 40 lat było konieczne dla całkowitej zmiany odpowiedzialnego wówczas pokolenia ojców. W Księdze Sędziów zaś czytamy jak często pamięć o doznanej pomocy i ratunku trwa jedynie 40 lat. Skoro się urywa - kończy się spokość. Tak więc 40 lat oznacza zawsze poważną cesurę, utrwalającą się w świadomości ludzkiej bądź jako zakończenie ponurego okresu i nadzieja na nową i lepszą przyszłość, bądź jako niebezpieczeństwo zapomnienia i ostrzeżenie przed jego skutkami. Nad jednym i nad drugim warto się zastanowić.

Nowe pokolenie dojrzało u nas do politycznej odpowiedzialności. Młodzi nie odpowiadają za to co wówczas się wydarzyło, ale są odpowiedzialni za wyciągnięcie odpowiednich z tego wniosków.

My, starsi, winni jesteśmy młodzieży nie zniszczenie jej marzeń, ale szczerść. Musimy dopomóc jej zrozumieć, dlaczego zachowanie czujnej pamięci jest tak ogromnie ważne. Musimy jej pomóc w przyswajaniu prawdy historycznej na trzeźwo, bezstronnie i bez ucieczki w utopijne teorie zbawcze, ale również bez moralnej zarozumiałości. Z doświadczenia naszej własnej historii wemy do czego człowiek jest zdolny. Dlatego nie powinniśmy sobie wmawiać, że jako ludzie staliśmy się teraz lnni i lepsi: Nie ma definitywnie osiągniętej doskonałości moralnej. Wiemy, że jako ludzie pozostajemy zagrożeni. Ale posiadamy siłę, by to zagrożenie stale od nowa przezwyciężać.

Hitler działał ustawicznie rozniecając przesady, wrogość i nienawiść. Prośba do młodych brzmi: Nie pozwólcie się wepchnąć we wrogość i nienawiść wobec innych ludzi - Rosjan, Amerykanów, Żydów, Turków, konserwatystów czy alternatywnych ugrupowań politycznych, Czarnych czy Białych. Uczcie się żyć razem, a nie jeden przeciw drugiemu.

Czcijmy wolność! Pracujmy dla pokoju! Przestrzegajmy prawa! Służmy zgodnie z naszym sumieniem sprawiedliwości! Patrzmy dziś, w dniu 8 maja, tak dobrze jak umiemy, prawdzie w oczy!

Richard von WEIZSACKER

/Tłumaczyła z niemieckiego Nina KOZŁOWSKA/

SPIS TREŚCI

Gustaw Herling-Grudziński	- Święty smok	3
Leopolda	- "Wśród ptaków wieknie poruszenie..."	13
Sławomir Mrożek	- Koegzystencja	23
Piotr Paweł Ursyn	- Nie zapomnieć - przemysleć i przebaczyć ..	26
Wiktoria Kraśniewska	- Miłość	34
Gustaw Herling-Grudziński	- Dziennik pisany nocą	51
Endre Bojtár	- Wschodnioeuropejczyk - precyzyjniej	59
Krzysztof Kruk	- Karli realizm	61
Sławomir Mrożek	- Baba	74
Adam Michnik	- Wybory do Sejmu PRL	75
Jan Lityński	- Nowy racjonalizm czy stare złudzenia	80
Jędrzej Krakowski	- Czy PRL powinna zostać członkiem MFN? ...	92
N.N. z Warszawy	- Z refleksji o nacjonalizmie	103

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Brzeziński	- Przyszłość Jałty	107
Leopold Unger	- Podróże kształcą	122
Dominik Morawski	- Korespondencja z Rzymu	130
Kamila Chylińska	- O Zielonych - nie na czarno ani białe	133
Maciej Feldhuzen	- Ameryka łacińska	141
Zbigniew Byrski	- Afryka Południowa	154
Leopold Unger	- Jimmy Reagan?	159
Robert Kostrzewa - Richard N. Perle	- O nowej polityce wojskowej USA	169
Dominik Morawski	- Korespondencja z Rzymu	175
Krzysztof Gawlikowski	- Rewolucja ekonomiczna w Chinach	180

KRAJ

Stefan Denfert	- Należy wreszcie wyciągnąć wnioski	193
Czesław Bielecki	- Oskarżenie gen. Kiszczaka	199

SĄSIEDZI

Adam Kruczek	- W sowieckiej prasie	203
Adam Kruczek	- W sowieckiej prasie	207
Jan Szuździński	- Czy Niemcy nas zrozumieli?	211
Adam Konar	- Rozmowa z dezertorem sowieckim	222
Adam Kruczek	- W sowieckiej prasie	226

SPRAWY I TROSKI

<i>Kultura</i>	- Wywiad z Kazimierzem Łukomskim /Stanowisko Kongresu Polonii Am./	231
----------------	---	-----

LISTY

Eugene Ionesco	- Dlaczego nie jadę do Polski?	236
Czyteńnik	237
Jan Ulatowski	- Nieścisłości P. Kirkpatrick	239

Z OSTATNIEJ CHWILI

Marek Turbacz
 Józef Szrett

- Rozmowa z Jeane J. Kirkpatrick
- Kościół a komunizm w Polsce
- Kościół a państwo

KRONIKA KULTURALNA

Mieczysław Chojnowski
 Jan Karski

- Jeszcze o śmierci Witkacego
- Shoah /Zagłada/

DOKUMENTY

Richard von Weizsäcker

- Nie może być pojednania bez pamięci
 o przeszłości

cena 900